ILUSTROWANY

KALENDARZ ZWIĄZKOWY



ALMANAC

NA ROK

1953

P. N. A.

CENA $1.50

TERAZ PRZY STATE I ADAMS

HOME FEDERAL

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

daje Wam

- **Każdą sposobność, aby wam ułatwić oszczędzanie pieniędzy.**
- **Wygodny sposób, aby oszczędzone dolary przynosiły poważny dochód.**
- **Postępową Instytucję Oszczędnościową oraz usługi, uznane za niezawodne od założenia w roku 1886-ym.**

Bezpieczeństwo Funduszy Oszczędzających
Zaasekurowane do $10,000
Przez F. S. L. I. C.

*BEZPIECZNA OD ROKU 1886









Kalendarz Związkowy



Na Rok 1953

WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS


347



DWIGHT DAVID EISENHOWER

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI



W Dniu 30-go Czerwca, 1952 Roku

Liczył członków . . 333,017
Posiadał zasobów . . . . . $ 62,575,988.00
Suma Ubezpieczenia . . . $234,310,955.00
Wypłacił do dnia 30-go czerwca, 1952

Benefitu pośmiertnego	$63,297,694.00
Dywidendy Członkom	368,749.08
Na cele narodowe, zapomogowe, społeczne i oświatowe	10,075,234.00
Razem wypłacił .	$73,741,677.08

ZARZĄD Z. N. P.

B. F. GUNTHER
Cenzor

K. ROZMAREK
Prezes

A. S. SZCZERBOWSKI
Sekretarz Jeneralny

J. HABUDA
Wicecenzor

FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska

M. TOMASZKIEWICZ
Kasjer

P. B. KOZŁOWSKI
Wiceprezes

DYREKCJA

STEFANIA GONDEK
G. J. WROST
HENRYK DUDEK
A. A. MAZEWSKI
J. ULATOWSKI
J. P. RUDEK
KAT. ZIEMBA-DIENES
WŁADYSŁAW PAŚCIAK
ANNA ZDUNEK
DR. M. W. MAJCHROWICZ

DR. W. A. SADLEK
Lekarz Naczelny



AUGUST ZALESKI

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

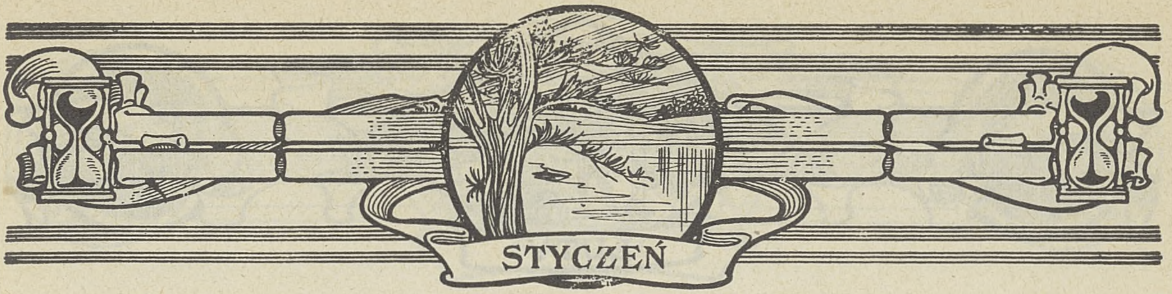
SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—słońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI — Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS
Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ
Rosyjski JANWAR — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1-szy Tydzień		
1	Czwartek	NOWY ROK, Obrzezanie
2	Piątek	Makarego opata
3	Sobota	Daniela, Genowefy
2gi Tydzień		
4	**Niedziela**	Eugeniusza
5	Poniedz.	Emiliana
6	Wtorek	TRZECH KRÓLI
7	Środa	Łucjana, Walentego
8	Czwartek	Seweryna
9	Piątek	Juliana
10	Sobota	Wilhelma
3ci Tydzień		
11	**Niedziela**	Honoraty panny
12	Poniedz.	Ernesta
13	Wtorek	Weroniki
14	Środa	Feliksa, Hilarego
15	Czwartek	Pawła pustelnika
16	Piątek	Marcela, Włodzimierza
17	Sobota	Antoniego opata
4ty Tydzień		
18	**Niedziela**	Katedry św. Piotra
19	Poniedz.	Henryka, Marty
20	Wtorek	Fabiana i Sebastiana
21	Środa	Agnieszki panny
22	Czwartek	Wincentego
23	Piątek	**ZAŚLUBINY N. M. P.**
24	Sobota	Tymoteusza
5-ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Nawróc. św. Pawła
26	Poniedz.	Pauliny, Polikarpa
27	Wtorek	Jana Chryzostoma
28	Środa	Karola, Agnieszki
29	Czwartek	Franciszka Salezego
30	Piątek	Martyny panny
31	Sobota	Piotra z Nolasco

KALENDARZYK HISTORYCZNY

STYCZEŃ

1. 1807. Przybycie Dąbrowskiego do Łowicza i zaprzysiężenie pospolitego ruszenia polskiego.
3. 1795. Zawarcie Traktatu rozbiorowego między Rosją a Austrią.
4. 1797. Napoleon poleca Dąbrowskiego lombardzkiemu kongresowi stanu.
6. 1573. Zwołanie pierwszego sejmu konwokacyjnego.
7. 1429. Zjazd Jagiełły, Witolda i Zygmunta węgierskiego w Łucku.
8. 1633. Władysław IV przybywa pod Smoleńsk.
9. 1797. Podpisanie konwencji między Dąbrowskim a generalną administracją Lombarii, w sprawie legionów.
10. 1569. Otwarcie sejmu dotyczącego Unii Lubelskiej.
12. 1831. Wojska moskiewskie wkraczają do Królestwa Polskiego.
13. 1793. Prusacy wkraczają do Polski.
14. 1807. Utworzenie tymczasowego rządu w oswobodzonej Warszawie.
15. 1863. Początek "branki" w Warszawie.
16. 1832. Mikołaj I znosi konstytucję Królestwa Polskiego.
17. 1649. Koronacja Jana Kazimierza.
18. 1831. Chłopicki składa dyktaturę w ręce sejmu.
19. 1831. Zebranie sejmu ciągłego.
19. 1846. Początek rzezi w Galicji.
20. 1797. Ogłoszenie odezwy Dąbrowskiego do Polaków.
20. 1320. Koronacja Władysława Łokietka.
21. 1633. Jerzy, książę brandenburski, składa hołd Władysławowi IV.
22. 1863. Wybuch powstania.
23. 1440. Węgrzy oddają koronę królowi Władysławowi Warneńczykowi.
23. 1793. Zawarcie konwencji prusko-rosyjskiej o drugi rozbiór Polski.
25. 1588. Zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną.
25. 1610. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Moskwą pod Ułą.
25. 1831. Sejm detronizuje Mikołaja I.
26. 1507. Koronacja Zygmunta Starego.
28. 1819. Zgon Kilińskiego.
29. 1831. Sejm ustanawia Rząd Narodowy.
30. 1667. Traktat Andruszowski z Moskwą.
31. 1610. Poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem zaprasza Władysława IV na tron carski.
31. 1816. Otwarcie 1go Sejmu Rzeczypospolitej krakowskiej.

Pełnia 4-go — Nów 18-go
Ostatnia kw. 11-go — Pierwsza kw. 26-go



28 DNI

Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ

28 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
6-ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Ignacego, Brygidy
2	Poniedz.	**M. B. GROMNICZNEJ**
3	Wtorek	Błażeja biskupa
4	Środa	Andrzeja, Weroniki
5	Czwartek	Agaty panny
6	Piątek	Doroty, Tytusa
7	Sobota	Romualda opata
7-my Tydzień		
8	**Niedziela**	Jana z Maty
9	Poniedz.	Apolonji panny
10	Wtorek	Scholastyki panny
11	Środa	**M. B. z Lourdes**
12	Czwartek	**Ur. Lincolna i Kościuszki**
13	Piątek	Katarzyny, Klemensa
14	Sobota	Walentego
8-my Tydzień		
15	**Niedziela**	ZAPUSTNA, Faustyna
16	Poniedz.	Julianny
17	Wtorek	Polikarpa, Donata
18	Środa	POPIELEC, Szymona
19	Czwartek	Konrada, Zuzanny
20	Piątek	Leona biskupa
21	Sobota	Eleonory, Feliksa
9ty Tydzień		
22	**Niedziela**	**Ur. Washington i Pułaski**
23	Poniedz.	Piotra, Damiana
24	Wtorek	Macieja apostoła
25	Środa	Wiktora, Suche Dni
26	Czwartek	Aleksandra
27	Piątek	Anastazji, Suche Dni
28	Sobota	Teofila, Suche Dni

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LUTY

1. 1717. Sejm "niemy" w Warszawie.
2. 1675. Koronacja Jana III w Warszawie.
2. 1421. Czesi ofiarowują tron Władysławowi Jagielle.
3. 1772. Zajęcie Zamku Wawelskiego przez konfederatów barskich pod wodzą Choisiego.
4. 1633. Władysław IV wjeżdża do Krakowa na koronację.
4. 1633. Pogrzeb Zygmunta III.
5. 1831. Dybicz wkracza z wojskiem moskiewskim do Królestwa Polskiego.
6. 1296. Zabójstwo króla Przemysława w Rogoźnie.
7. 1633. Koronacja Władysława IVgo.
8. 1863. Bitwa pod Węgrowem.
8. 1863. Tajna konwencja Prus z Rosją, celem stłumienia powstania polskiego.
9. 1454. Ślub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą austriacką.
10. 1564. Pożar Jasnej Góry.
11. 1798. Śmierć Stanisława Augusta.
12. 1386. Wjazd Jagiełły do Krakowa.
13. 1609. Chodkiewicz odbiera Szwedom Parnawę.
13. 1831. Pierwsze starcia z armią rosyjską nad Liwcem.
14. 1386. Chrzest Jagiełły w Krakowie.
15. 1574. Pogrzeb Zygmunta Augusta.
15. 1831. Zwycięstwo Dwernickiego pod Stoczkiem.
16. 1758. Urodziny Juliana Niemcewicza.
17. 1386. Jagiełło poślubia Jadwigę.
18. 1574. Wjazd Henryka Walezego do Krakowa.
19. 1472. Urodziny Mikołaja Kopernika.
21. 1846. Wybuch powstania w Krakowie.
21. 1846. Potyczka pod Narajowem.
22. 1846. Ustąpienie Austriaków z Krakowa.
23. 1807. Zajęcie Tczewa przez Dąbrowskiego.
23. 1859. Zgon Zygmunta Krasińskiego.
24. 1831. Bitwa pod Białołęką.
25. 1493. Koronacja Anny Cylejskiej, drugiej żony Jagiełły.
25. 1831. Bitwa pod Grochowem.
26. 1831. Powołanie Skrzyneckiego na wodza naczelnego.
27. 1839. Stracenie Szymona Konarskiego.
27. 1864. Ponowne ogłoszenie przez Austriaków stanu oblężenia w Krakowie i Galicji.
28. 1812. Zgon ks. Hugo Kołłątaja.
28. 1768. Zawiązanie konfederacji w Barze.

☺ Pełnia 2-go ● Nów 16-go
☾ Ostatnia kw. 9-go ☽ Pierwsza kw. 26-go



31 DNI

Angielski MARCH—Litewski KOVAS
Niemiecki MAERZ—Rosyjski MART
Ruski BEREZEŃ

31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
10ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Antoniny
2	Poniedz.	Heleny
3	Wtorek	Kunegundy
4	Środa	Kazimierza
5	Czwartek	Wacława
6	Piątek	Wiktora
7	Sobota	Tomasza z Akw.
11ty Tydzień		
8	**Niedziela**	Jana Bożego
9	Poniedz.	Franciszki
10	Wtorek	40 Męczenników
11	Środa	Pelagii
12	Czwartek	Grzegorza pap.
13	Piątek	Krystyny
14	Sobota	Matyldy, Leona
12ty Tydzień		
15	**Niedziela**	Klemensa, Izabeli
16	Poniedz.	Julianny
17	Wtorek	Zbigniewa
18	Środa	Edwarda, Gabriela Arch.
19	Czwartek	Józefa Oblubieńca
20	Piątek	Aleksandra
21	Sobota	Benedykta apost.
13ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Pawła bisk.
23	Poniedz.	Katarzyny, Feliksa
24	Wtorek	Marka
25	Środa	ZWIASTOWANIE NMP.
26	Czwartek	Teodora, Tekli
27	Piątek	Jana z Damaszku
28	Sobota	Jana Kapistrana
14ty Tydzień		
29	**Niedziela**	PALMOWA, Eustazego
30	Poniedz.	Kwiryna, Anieli
31	Wtorek	Balbiny panny

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MARZEC

1. 1634. Wojska moskiewskie poddają się pod Smoleńskiem Władysławowi IV.
3. 1846. Zajęcie Krakowa przez wojska trzech państw zaborczych.
4. 1386. Koronacja Władysława Jagiełły.
5. 1569. Przywileje zatwierdzające Unię Lubelską dla Podlasia.
6. 1454. Kazimierz Jagiellończyk wciela Prusy i Pomorze do Polski.
8. 1799. Kniaziewicz składa Dyrektoriatowi zdobyte sztandary.
9. 1579. Maksymilian austriacki zrzeka się praw do korony polskiej.
10. 1604. Dymitr Samozwaniec na audiencji u Zygmunta III na Wawelu.
10. 1863. Langiewicz zostaje dyktatorem.
11. 1039. Banicja Bolesława Śmiałego.
12. 1333. Śmierć Władysława Łokietka.
13. 1600. Zygmunt III. nabywa prawa do Estonii.
14. 1801. Śmierć Ignacego Krasickiego.
15. 1848 Rozruchy w Krakowie.
16. 1329. Król czeski Jan Luksemburski odstępuje bezprawnie Krzyżakcm Ziemię Dobrzyńską.
17. 1832. Założenie na emigracji Towarzystwa Demokratycznego.
18. 1863. Zwycięstwo Langiewicza pod Grochowicami.
19. 1877. Śmierć Józefa Ignacego Kraszewskiego.
20. 1849. Utworzenie w Poznaniu Komitetu rewolucyjnego przez Mierosławskiego.
23. 1935. Sejm uchwalił nową Konstytucję.
24. 1794. Przysięga Kościuszki w Krakowie.
25. 1831. Wybuch powstania na Litwie, Żmudzi, Ukrainie i Podolu.
26. 1799. Legiony w walce pod Weroną i Legnano.
27. 1809. Zaszczytny udział Legionów w bitwie pod Ciadad-Rael w Hiszpanii.
28. 1657. Wjazd Rakoczego do Krakowa.
29. 1790. Zawarcie traktatu polsko-pruskiego.
30. 1831. Bitwa pod Wawrem.
31. 1831. Bitwa pod Wielkiemi Dębami.

Pełnia 4-go — **Nów 18-go**
Ostatnia kw. 11-go — **Pierwsza kr. 26-go**



30 DNI — Angielski APRIL—Litewski BALANDIS
Niemiecki APRIL—Rosyjski APRIEL
Ruski KWITEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Środa	Teodory
2	Czwartek	Franciszka a Paulo
3	Piątek	Ryszarda
4	Sobota	**M. B. Bolesnej**
15ty Tydzień		
5	**Niedziela**	WIELKANOC
6	Poniedz.	Julianny
7	Wtorek	Saturnina
8	Środa	Dionizego
9	Czwartek	Marii Egipc.
10	Piątek	Michała
11	Sobota	Leona pap.
16ty Tydzień		
12	**Niedziela**	Juliusza
13	Poniedz.	**Jefferson Day**
14	Wtorek	Waleriana
15	Środa	Anastazji, panny
16	Czwartek	Benedykta
17	Piątek	Fortunata, Rudolfa
18	Sobota	Bogumiła, Apoloniusza
17ty Tydzień		
19	**Niedziela**	Emmy, Zenobiusza
20	Poniedz.	Agnieszki, Teodora
21	Wtorek	Konrada
22	Środa	Sotera i Kajusa
23	Czwartek	Wojciecha bisk.
24	Piątek	Jerzego, Fidelisa
25	Sobota	Marka Ewangiel.
18ty Tydzień		
26	**Niedziela**	**M. B. Dobrej Rady**
27	Poniedz.	Piotra, Teofila
28	Wtorek	Pawła od Krzyża
29	Środa	Piotra z Werony
30	Czwartek	Katarzyny z Sienny

KALENDARZYK HISTORYCZNY

KWIECIEŃ

1. 1566. Śluby Jana Kazimierza we Lwowie.
2. 1817. Kościuszko znosi pańszczyznę w Siechnowicach.
3. 1849. Zgon Juliusza Słowackiego.
4. 1794. Bitwa pod Racławicami.
4. 1814. Ostatni dekret Napoleona dla Polaków z nominacją W. Krasińskiego wodzem po ks. Józefie.
5. 1799. Bohaterska śmierć jenerała Rymkiewicza w ataku na Weronę.
6. 1364. Kazimierz W. zakłada w Krakowie Akademię.
7. 1656. Bitwa pod Warką ze Szwedami.
8. 1861. Strzały na ulicach Warszawy.
9. 1241. Bitwa pod Lignicą z Tatarami.
10. 1864. Aresztowanie Traugutta.
12. 1457. Krzyżacy wydają Malborg Polakom.
14. 1809. Wojska austriackie wkraczają do Księstwa Warszawskiego.
15. 1861. Pierwszy Sejm polski w Galicji we Lwowie.
16. 1794. Powstanie na Żmudzi.
17. 1577. Stefan Batory karze Gdańszczan.
18. 1791. Sejm czteroletni nadaje nowe prawa miastom.
18. 1884. Pogrzeb Kraszewskiego na Skałce w Krakowie.
19. 1773. Rejtan protestuje przeciw I. rozbiorowi Polski.
21. 1490. Elekcja Władysława Jagiellończyka na króla węgierskiego.
22. 1828. Ukaz cara Mikołaja I. przeciw unitom.
23. 1794. Jakób Jasiński zaczyna powstanie w Wilnie.
24. 1863. Śmierć poety Romanowskiego w bitwie pod Józefowem.
25. 1333. Koronacja Kazimierza Wielkiego.
27. 1831. Dwernicki przekracza granicę austriacką pod Chlebanówką i składa broń.
30. 1632. Śmierć Zygmunta III.

Pełnia 2-go — Nów 17-go
Ostatnia kw. 9-go — Pierwsza kw. 25-go



31 DNI — Angielski MAY—Litewski GEGUŻIS / Niemiecki MAI—Rosyjski MAJ / Ruski TRAWEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Filipa i Jakuba
2	Sobota	Zygmunta
19ty Tydzień		
3	**Niedziela**	KRÓLOWEJ Korony Pol.
4	Poniedz.	Floriana
5	Wtorek	Piusa papieża
6	Środa	Jana w oleju
7	Czwartek	Domiceli
8	Piątek	Stanisława bisk.
9	Sobota	Grzegorza
20ty Tydzień		
10	**Niedziela**	**Dzień Matki, M.B. Łask.**
11	Poniedz.	Franciszka
12	Wtorek	Pankracego
13	Środa	Serwazego
14	Czwartek	WNIEBOWSTĄPIENIE
15	Piątek	Zofii wdowy
16	Sobota	Andrzeja Bob., Jana Nep.
21szy Tydzień		
17	**Niedziela**	Paschalisa
18	Poniedz.	Feliksa
19	Wtorek	Piotra, Celestyna
20	Środa	Bernardyny
21	Czwartek	Wiktora i Julii
22	Piątek	Heleny
23	Sobota	Jana de Rossi
22gi Tydzień		
24	**Niedziela**	ZIELONE ŚW., Joanny
25	Poniedz.	Grzegorza
26	Wtorek	Filipa Nereusza
27	Środa	Jana pap., Suche Dni
28	Czwartek	Augustyna
29	Piątek	Magdaleny, Suche Dni
30	Sobota	**Memorial Day,** Suche Dni
31	**Niedziela**	Św. Trójcy, Anieli

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MAJ

1. 1576. Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.
2. 1848. Potyczka pod Wrześnią — koniec powstania.
3. 1791. Uchwalenie Konstytucji 3. Maja.
4. 1505. Król Aleksander wydaje nowe prawa.
5. 1821. Zgon Napoleona na wyspie św. Heleny.
7. 1810. Król Saski przybywa do Krakowa.
8. 1079. Śmierć św. Stanisława biskupa.
9. 1794. Lud warszawski stawia szubienice Targowiczanom.
9. 1809. Wojsko Księstwa Warszawskiego wkracza do Lublina.
10. 1808. Konwencja bajońska między Napoleonem a królem Saskim.
12. 1935. Zgon Marszałka Piłsudskiego.
13. 1588. Pogrzeb Stefana Batorego.
13. 1813. Moskale zajmują Kraków.
14. 1792. Targowiczanie zawiązują konfederację.
15. 1811. Zwycięskie starcie lansjerów polskich z Anglikami nad rzeką Albuhera.
15. 1815. Ustanowienie W. ks. Poznańskiego z zapewnieniem przez króla pruskiego swobód polskiej narodowości.
16. 1429. Urodziny Kazimierza Jagiellończyka.
16. 1861. Zniesienie pańszczyzny według projektu Wielopolskiego.
17. 1773. Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy.
17. 1810. Król Saski przybywa do Warszawy.
18. 1674. Elekcja Jana Sobieskiego na króla.
18. 1802. Wysłanie Legionów na San Domingo.
18. 1809. Generał Sokolnicki i Różniecki zajmują Sandomierz.
19. 1809. Szturm na Zamość i upadek twierdzy.
20. 1648. Śmierć Władysława IV. w Mereczu.
21. 1863. Bitwa w puszczy Łabonarskiej.
22. 1609. Zygmunt III. oblega Smoleńsk.
23. 1647. Klęska Polaków pod Żółtemi Wodami.
24. 1543. Śmierć Mikołaja Kopernika.
25. 1371. Władysław Jagiellończyk królem czeskim.
26. 1831. Bitwa pod Ostrołęką.
27. 1569. Wcielenie Ziemi bracławskiej do Korony.
28. 1793. Zajęcie Gdańska przez Prusaków.
29. 1861. Śmierć Joachima Lelewela.
30. 1434 Śmierć Władysława Jagiełły w Gródku.
31. 1364. Kazimierz W. nadaje przywileje Akademii.

Pełnia 2-go — Nów 17-go
Ostatnia kw. 8-go — Pierwsza kw. 24-go
Pełnia 31-go



30 DNI — Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS / Niemiecki JUNI—Rosyjski JUŃ / Ruski CZERWEŃ — 30 DNI

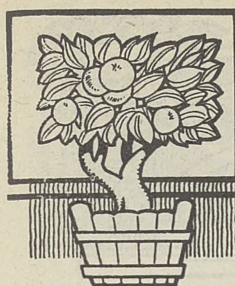
Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
23ci Tydzień		
1	Poniedz.	Jakuba Strzemię
2	Wtorek	Erazma, Marcelego
3	Środa	Klotyldy, Pauli
4	Czwartek	**Boże Ciało,** Franciszka
5	Piątek	Bonifacego
6	Sobota	Norberta
24ty Tydzień		
7	**Niedziela**	Roberta
8	Poniedz.	Medarda
9	Wtorek	Felicjana
10	Środa	Małgorzaty
11	Czwartek	Barnaby
12	Piątek	Onufrego
13	Sobota	Antoniego z Padwy
25ty Tydzień		
14	**Niedziela**	Bazylego
15	Poniedz.	Wita i Modesta
16	Wtorek	Benona bisk.
17	Środa	Adolfa
18	Czwartek	Serca Jezusa, Marka
19	Piątek	Gerwazego
20	Sobota	Juliusza
26ty Tydzień		
21	**Niedziela**	**Dzień Ojców,** Alojzego
22	Poniedz.	Paulina bisk.
23	Wtorek	Zenona, Wandy
24	Środa	Jana Chrzciciela
25	Czwartek	Łucji
26	Piątek	Jana i Pawła
27	Sobota	Władysława, króla
27my Tydzień		
28	**Niedziela**	Leona pap.
29	Poniedz.	Piotra i Pawła
30	Wtorek	Emila

KALENDARZYK HISTORYCZNY

CZERWIEC

2. 1624. Urodziny Jana Sobieskiego.
3. 1605. Śmierć Jana Zaomyskiego.
4. 1872. Zgon Stanisława Moniuszki.
5. 1569. Wcielenie Kijowszczyzny do Korony.
5. 1794. Bitwa pod Szczekocinami.
6. 1818. Śmierć Henryka Dąbrowskiego.
7. 1492. Śmierć Kazimierza Jagiellończyka.
8. 1862. Nadanie autonomii Królestwu — Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego.
9 1815. Kongres Wiedeński uchwalił utworzenie Królestwa Polskiego.
10. 1863. Bitwa pod Ignacowem koło Gopła.
12. 1893. Pogrzeb Lenartowicza na Skałce.
13. 1611. Zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III
14. 1807. Bitwa pod Frydlandem.
15. 1809. Wojska polskie wkraczają do Krakowa.
17. 1696. Śmierć Jana III. Sobieskiego w Wilanowie.
18. 1434. Pogrzeb Władysława Jagiełły.
18. 1574. Henryk Walezy opuszcza Polskę.
18. i 19. 1799. Walki nad Trebbią. Zaszczytne odznaczenie się Dąbrowskiego i Chłopickiego.
19. 1205. Leszek Biały zwycięża Romana halickiego pod Zawichwostem.
20. 1815. Ogłoszenie Królestwa Kongresowego.
21. 1768. Ogłoszenie Konfederacji barskiej w Krakowie.
23. 1818. Pogrzeb Kościuszki w Krakowie.
24. 1768. Rzeź humańska.
24. 1812. Przejście Niemna przez Napoleona.
25. 1447. Kazimierz Jagiellończyk wstępuje na tron.
26. 1812. Zwołanie nadzwyczajnego Sejmu w Warszawie.
27. 1794. Zaburzenia w Warszawie.
28. 1812. Napoleon wjeżdża do Wilna.
29. 1470. Władysław Jagiellończyk królem Węgier.
30. 1651. Bitwa pod Beresteczkiem.
30. 1657. Szwedzi ustępują z Krakowa.

☾ Ostatnia kw. 7-go **☽ Pierwsza kw. 23-go**
● Nów 15-go **○ Pełnia 29-go**






31 DNI — Angielski JULY—Litewski LIEPOS — 31 DNI
Niemiecki JULI—Rosyjski JIUL
Ruski ŁYPEŃ

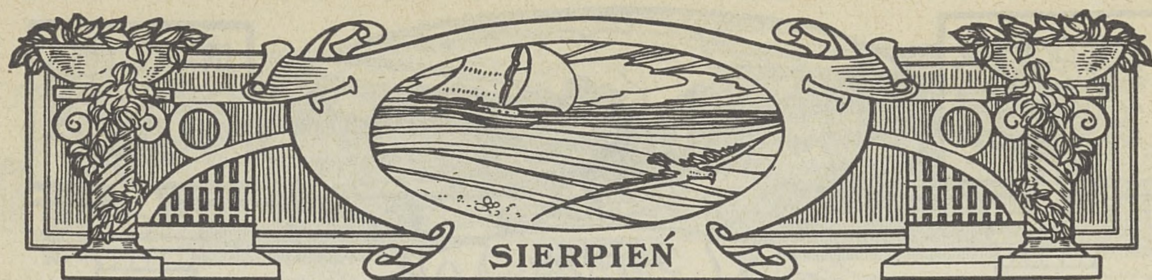
Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Środa	Przemienienie Krwi P.
2	Czwartek	NAWIEDZENIE N.M.P.
3	Piątek	Leona, Heliodora
4	Sobota	DZIEŃ NIEPODLEGŁ.
28my Tydzień		
5	**Niedziela**	Jana z Dukli
6	Poniedz.	Dominika
7	Wtorek	Cyryla i Metodego
8	Środa	Elżbiety Król.
9	Czwartek	M. B. SZKAPLERZNEJ
10	Piątek	7 Braci Śpiących
11	Sobota	Piusa pap.
29ty Tydzień		
12	**Niedziela**	Jana Gwalberta
13	Poniedz.	Małgorzaty
14	Wtorek	DZIEŃ FLAGI, Bonaw.
15	Środa	Henryka cesarza
16	Czwartek	Andrzeja
17	Piątek	Aleksego
18	Sobota	Szymona z Lipnicy
30ty Tydzień		
19	**Niedziela**	Wincentego a Paulo
20	Poniedz.	Małgorzaty, Czesława
21	Wtorek	Daniela, Praksedy
22	Środa	Marii Magdaleny
23	Czwartek	Apolinarego
24	Piątek	Krystyny
25	Sobota	Jakuba apost.
31szy Tydzień		
26	**Niedziela**	Anny, Matki N. M. P.
27	Poniedz.	Natalii
28	Wtorek	Wiktora, Szymona z Lip.
29	Środa	Marty panny
30	Czwartek	Abdona
31	Piątek	Ignacego, Heleny

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LIPIEC

1. 1569. Sejm w Lublinie.
2. 1849. Rozwiązanie Legionu Mickiewicza.
3. 1655. Wkroczenie Szwedów do Polski.
4. 1890. Pogrzeb Adama Mickiewicza w Krakowie.
6. 1607. Bitwa pod Guzowem i stłumienie rokoszu Zebrzydowskiego.
7. 1572. Śmierć Zygmunta Augusta.
7. 1807. Utworzenie Księstwa Warszawskiego traktatem w Tylży.
9. 1330. Krzyżacy palą Nakło.
10. 1685. Zwycięstwo nad Tatarami pod Jazłowcem.
11. 1649. Bitwa z Kozakami pod Zborowem.
12. 1704. Pierwsza elekcja Stanisława Leszczyńskiego na króla.
13. 1666. Bitwa pod Mątwami między Janem Kazimierzem i Jerzym Lubomirskim.
15. 1410. Zwycięstwo pod Grunwaldem.
15. 1794. Wojska rosyjsko - pruskie otaczają Warszawę.
16. 1631. Konfederacja warszawska po śmierci Zygmunta III.
17. 1399. Śmierć królowej Jadwigi.
18. 1863. Bitwa pod Janowem.
19. 1525. Hołd księcia Alberta pruskiego.
20. 1570. Zygmunt August nadaje przywileje Gdańskowi.
20. 1794. Wypędzenie Moskali z Wilna.
21. 1440. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla Węgier.
22. 1807. Nadanie konstytucji Księstwu Warszawskiemu.
23. 1683. Wyjazd Jana III. na odsiecz Wiednia.
24. 1792. Stanisław August przystępuje do Targowicy.
25. 1434. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla polskiego.
26. 1295. Przemysław wznawia Królestwo Polskie.
27. 1697. Elekcja Augusta II. na króla.
28. 1914. Wybuch wojny światowej.
29. 1799. Kapitulacja Mantui i zniszczenie Legii drugiej.
30. 1838. Urodziny Jana Matejki.
31. 1847. Powieszenie Wiśniowieckiego i Kapuścińskiego.

☾ **Ostatnia kw. 7-go** — ☽ **Pierwsza kw. 22-go**
● **Nów 15-go** — ○ **Pełnia 29-go**



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS / Niemiecki AUGUST—Rosyjski AWGUST / Ruski SERPEŃ — 31 DNI

Dni	Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Piotra w okowach
32gi Tydzień		
2	**Niedziela**	N. M. P. ANIELSKIEJ
3	Poniedz.	Augusta
4	Wtorek	Dominika
5	Środa	**M. B. Śnieżnej**, Stanisł.
6	Czwartek	Sykstusa
7	Piątek	Kajetana
8	Sobota	Emiliana
33ci Tydzień		
9	**Niedziela**	Romana, Jana
10	Poniedz.	Wawrzyńca
11	Wtorek	Zuzanny
12	Środa	Klary, Hilarego
13	Czwartek	Hipolita
14	Piątek	Euzebiusza
15	Sobota	**Wniebo. NMP.** Św. żołn.
34ty Tydzień		
16	**Niedziela**	Joachima, Rocha
17	Poniedz.	Jacka, Pawła
18	Wtorek	Heleny, Włodzimierza
19	Środa	M. B. CZĘSTOCHOW.
20	Czwartek	Bernarda
21	Piątek	Joanny
22	Sobota	Tymoteusza
35ty Tydzień		
23	**Niedziela**	SERCA N. M. P.
24	Poniedz.	Bartłomieja Apost.
25	Wtorek	Ludwika króla
26	Środa	Zefiryna, Róży
27	Czwartek	Kazimierza
28	Piątek	Augustyna, bisk.
29	Sobota	Ścięcie św. Jana
36ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Róży z Limy, Joachima
31	Poniedz.	Rejmunda wyzn.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

SIERPIEŃ

1. 1944 Wybuch Powstania Warszawskiego.
1. 1520. Urodziny Zygmunta Augusta.
2. 1897. Śmierć Adama Asnyka.
3. 1831. Świetny odwrót Dembińskiego z Litwy.
4. 1310. Rzeź w Gdańsku, dzieło Krzyżaków.
5. 1772. Traktat pierwszego rozbioru Polski.
6. 1897. Złożenie zwłok Adama Asnyka na Skałce w Krakowie.
7. 1863. Kruk bije Moskali pod Łyżynem.
9. 1650. Śmierć kanclerza Józefa Ossolińskiego.
9. 1849. Gen. Bem, mianowany naczelnym wodzem wojsk węgierskich.
10. 1107. Bolesław Krzywousty bije Prusaków pod Nakłem.
11. 1569. Zawarcie Unii w Lublinie.
11. 1702. Wojska Karola XII, zajmują Zamek Wawelski.
12. 1794. Moskale zajmują Wilno.
13. 1773. Pogrzeb konfederatów barskich w Krakowie.
14. 1018. Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa.
15. 1772. Upadek Konfederacji barskiej.
16. 1680. Jan Sobieski wjeżdża do Jass na Multanach.
17. 1812. Wojska Księstwa Warszawskiego w szturmie na Smoleńsk.
18. 1812. Zdobycie Smoleńska przez korpus polski.
18. 1849. Legion polski biorący udział w powstaniu węgierskim, przenosi się z Węgier do Serbii.
19. 1587. Elekcja Zygmunta III. Wazy.
20. 1672. Zdobycie Kamieńca przez Turków.
21. 1649. Zbaraż uwolniony od oblężenia Tatarów i Kozaków.
22. 1795. Akt zawiązania Deputacji polskiej we Francji dla starań w sprawie polskiej.
23. 1794. Ogłoszenie powstania Kościuszki w Wielkopolsce.
23. 1809. Urodziny J. Słowackiego.
24. 1656. Stefan Czarniecki bije Szwedów pod Strzemesznem.
25. 1526. Zygmunt I. wjeżdża uroczyście do Warszawy.
26. 1601. Karol Chodkiewicz uwalnia Rygę od oblężenia Szwedów.
29. 1656. Wyparcie Szwedów z Krakowa.
30. 1794. Kościuszko odpiera nowe szturmy Prusaków na Warszawę.
31. 1579. Stefan Batory zdobywa Połock.

☾ Ostania kw. 5-go **☽ Pierwsza kw. 20-go**
⊛ Nów 13-go **● Pełnia 27-go**



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS Niemiecki SEPTEMBER—Rosyjski SIENTIABR—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Bronisławy, Idziego
2	Środa	Stefana króla
3	Czwartek	Bronisławy panny
4	Piątek	Rozalji panny
5	Sobota	Wawrzyńca
37my Tydzień		
6	**Niedziela**	Zacharjasza proroka
7	Poniedz.	DZIEŃ PRACY, Reginy
8	Wtorek	NARODZINY N. M. P.
9	Środa	Piotra Klawera
10	Czwartek	Mikołaja
11	Piątek	Prota, Jacka
12	Sobota	Walerego, Gwidona
38my Tydzień		
13	**Niedziela**	Filipa
14	Poniedz.	Podw. św. Krzyża
15	Wtorek	Nikodema
16	Środa	Ludmiły
17	Czwartek	Blizny Św. Franciszka
18	Piątek	Józefa, Ireny
19	Sobota	Januarego
39ty Tydzień		
20	**Niedziela**	7 BOLEŚCI N. M. P.
21	Poniedz.	Mateusza Apost.
22	Wtorek	Mauryciusza
23	Środa	Tekli panny
24	Czwartek	Gerarda bisk.
25	Piątek	Władysława, Kleofasa
26	Sobota	Cypriana, Justyna
40ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Władysława z Gelniowa
28	Poniedz.	Wacława króla
29	Wtorek	Michała archanioła
30	Środa	Hieronima

KALENDARZYK HISTORYCZNY

WRZESIEŃ

1. 1675. Jan III. oswobadza Trembowlę.
2. 1793. Sejm w Grodnie uchwala drugi podział Polski.
3. 1612. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Moskwą.
4. 1656 Wjazd Jana Kazimierza do Krakowa po wypędzeniu Szwedów.
5. 1794. Prusacy odstępują od oblężenia Warszawy.
6. 1580 Stefan Batory zdobywa Wielkie Łuki.
7. 1764. Ostatnia elekcja: wybór Stanisława Augusta Poniatowskiego.
8. 1883. Ugoda mocarstw rozbiorowych w Muenchengraetz przeciw Polsce.
9. 1814. Wprowadzenie zwłok ks. Józefa do Warszawy.
10. 1794. Dąbrowski z powstańcami pod Kołem nad Wartą.
11. 1683. Sobieski na Wahlenbergu.
12. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem.
13. 1820. Car Aleksander I. zagaja Sejm w Warszawie.
14. 1484. Książę mołdawski składa hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi.
15. 1697. Koronacja Augusta II.
16. 1668. Jan Kazimierz składa koronę.
17. 1462. Zwycięstwo wojsk Kazimierza Jagiellończyka nad Krzyżakami pod Puckiem-Żarnowcem.
18. 1454. Bitwa z Krzyżakami pod Chojnicami.
19. 1861. Zamach na hr. Berga w Warszawie.
20. 1492. Koronacja Jana Olbrachta.
21. 1699. Turcy oddają Polsce Kamieniec Podolski.
22. 1703. Konfederacja jeneralna sandomierska za Augusta II.
24. 1621. Zgon Karola Chodkiewicza.
25. 1793. Delegacja Sejmu w Grodnie podpisuje akt zgody na drugi rozbiór z Prusami.
27. 1331. Łokietek zadaje Krzyżakom klęskę pod Płowcami.
27. 1605. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Szwedami pod Kirchholmem.
27. 1612. Śmierć ks. Piotra Skargi w Krakowie.
28. 1648. Bitwa pod Piławcami.
28. 1651. Ugoda białocerkiewska z Kozakami.
29. 1669. Koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.
30. 1657. Przymierze Polski z Danią przeciw Szwecji.

Ostania kw. 4-go — **Pierwsza kw. 18-go**

Nów 12-go — **Pełnia 26-go**



31 DNI | Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS
Niemiecki OKTOBER—Rosyjski OKTIABR
Ruski ŻOWTEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Czwartek	Remigiusza, Jana
2	Piątek	Aniołów Stróżów
3	Sobota	Teresy od Dziec. Jezus
41szy Tydzień		
4	**Niedziela**	Franciszka z Asyżu
5	Poniedz.	Pelagii
6	Wtorek	Brunona wyzn.
7	Środa	M. B. RÓŻAŃCOWEJ
8	Czwartek	Brygidy
9	Piątek	Dyonizego męcz.
10	Sobota	Franciszka Borgii
42gi Tydzień		
11	**Niedziela**	Macierzyństwa N. M. P.
12	Poniedz.	**Dzień Kolumba,**
13	Wtorek	Edwarda
14	Środa	Wincentego Kadłubka
15	Czwartek	Teresy, Jadwigi
16	Piątek	Florentyny
17	Sobota	Małgorzaty
43ci Tydzień		
18	**Niedziela**	Jana Kantego
19	Poniedz.	Piotra z Alcantary
20	Wtorek	Felicjana bisk.
21	Środa	Urszuli panny
22	Czwartek	Korduli
23	Piątek	Romana, Seweryna
24	Sobota	Rafała
44ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Bonifacego
26	Poniedz.	Ewarysta
27	Wtorek	Sabiny męczen.
28	Środa	Szymona, Tadeusza
29	Czwartek	Narcyza, bisk.
30	Piątek	Alfonsa, Edmunda
31	Sobota	Lucyli

KALENDARZYK HISTORYCZNY

PAŹDZIERNIK

1. 1794. Dąbrowski zajmuje Bydgoszcz.

2. 1413. Unia Horodelska z Litwą.

5. 1831 Przejście armii jen. Rybińskiego do Prus.

7. 1620. Klęska pod Cecorą.

9. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami pod Farkanami.

10. 1796. Memoriał Dąbrowskiego do Dyrektoriatu z projektem formacji Legionów.

12. 1617. Królewicz Władysław zdobywa na Moskwie Drohobuż.

13. 1282. Wielkie zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami w okolicach Narwi.

15. 1817 Śmierć Tadeusza Kościuszki.

16. 1861. Moskale katują w Warszawie lud w kościołach.

17. 1863. Powstanie Rządu Narodowego z Trauguttem na czele.

19. 1818 Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego w rzece Elsterze.

24. 1795. Przystąpienie Prus do konwencji rozbiorowej.

26. 1497. Klęska Jana Olbrachta w lasach bukowińskich.

30. 1609. Oblężenie Smoleńska przez Zygmunta III.

☾ Ostatnia kw. 4-go — **☽ Pierwsza kw. 18-go**
● Nów 11-go — **○ Pełnia 25-go**



30 DNI — Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS, Niemiecki NOVEMBER—Rosyjski NOJABR, Ruski PADOŁYST — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
45ty Tydzień		
1	**Niedziela**	WSZYSTKICH ŚWIĘT.
2	Poniedz.	DZIEŃ ZADUSZNY
3	Wtorek	Huberta bisk.
4	Środa	Karola Boromeusza
5	Czwartek	Elżbiety, Zachariasza
6	Piątek	Leonarda wyzn.
7	Sobota	Antoniego
46ty Tydzień		
8	**Niedziela**	OPIEKI N. M. P.
9	Poniedz.	Teodora
10	Wtorek	Andrzeja
11	Środa	ARMISTICE DAY
12	Czwartek	Marcina, Witolda
13	Piątek	Stanisława Kostki
14	Sobota	Józefata bisk.
47my Tydzień		
15	**Niedziela**	Leopolda
16	Poniedz.	M. B. OSTROBRAMSK.
17	Wtorek	Salomei
18	Środa	Romana
19	Czwartek	Elżbiety król.
20	Piątek	Feliksa, Edmunda
21	Sobota	OFIAROWANIE N.M.P.
48my Tydzień		
22	**Niedziela**	Cecylii panny
23	Poniedz.	Klemensa pap.
24	Wtorek	Jana od Krzyża
25	Środa	Katarzyny panny
26	Czwartek	DZIEŃ DZIĘKCZYN.
27	Piątek	Waleriana
28	Sobota	Grzegorza, Zdzisława
49ty Tydzień		
29	**Niedziela**	ADWENTOWA, Saturn.
30	Poniedz.	Andrzeja

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LISTOPAD

1. 1769. Bitwa pod Lanckoroną.
1. 1905. Rzeź na Placu Teatralnym w Warszawie.
2. 1814. Memorandum Metternicha do Kongresu wiedeńskiego, celem odbudowania Polski.
3. 1806. Dąbrowski i Wybicki przed Napoleonem w Berlinie w sprawie powstania Wielkopolan.
4. 1794. Rzeź Pragi.
5. 1370. Śmierć Kazimierza Wielkiego.
6. 1799. Zwycięski udział dywizji Dąbrowskiego w bitwie pod Novi.
8. 1412. Zygmunt Luksemburski oddaje Polsce ziemię Spiską w zastaw.
9. 1673. Zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem.
10. 1794 Korpus Dąbrowskiego składa broń pod Raszycami.
11. 1444. Bitwa pod Warną, śmierć króla Władysława.
13. 1783. Washington mianuje Kościuszkę generałem brygady.
14. 1806. Rozkaz generalny Dąbrowskiego do byłego wojska polskiego, wydany w Poznaniu.
16. 1808. Dekret Dąbrowskiego o poborze rekruta w Wielkopolsce.
17. 1796. Car Paweł wypuszcza Kościuszkę z więzienia.
18. 1655. Wojska szwedzkie oblęgają Częstochowę.
18. 1776. Kościuszko mianowany pułkownikiem wojsk amerykańskich.
19. 1794. Armia Rzeczypospolitej przestaje istnieć.
19. 1807. Deputacja Polaków przed Napoleonem w Berlinie.
21. 1893. Rzeź w Krożach.
23. 1794 Zamknięcie Sejmu grodzieńskiego.
23. 1805. Legioniści polscy pod Castel Franco.
25. 1795. Koniec panowania Stanisława Augusta.
26. 1806. Wojska Napoleona zajmują Warszawę.
26. 1855. Śmierć Adama Mickiewicza.
27. 1806. Cesarz Napoleon w Poznaniu.
27, 28. 1812. Przejście przez Berezynę.
28. 1907. Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.
29. 1466. Krzyżacy zwracają Polsce Pomorze i część Prus.
29. 1830. Wybuch powstania w Warszawie.
29. 30. 1808. Walki i wzięcie wąwozu Somosiera przez szwoleżerów polskich.

☾ **Ostatnia kw. 3-go** ☽ **Pierwsza kw. 16-go**
NÓW 9-go **Pełnia 24-go**



31 DNI — Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS / Niemiecki DEZEMBER—Rosyjski DIEKABR / Ruski HRUDEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Natalii, Eligiusza
2	Środa	Balbiny, Suche Dni
3	Czwartek	Franciszka Ksawerego
4	Piątek	Barbary, Suche Dni
5	Sobota	Anastazego, Suche Dni
50ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Mikołaja bisk.
7	Poniedz.	Ambrożego
8	Wtorek	NIEPOK. POCZ. N. M. P.
9	Środa	Wiesława, Leokadii
10	Czwartek	M. B. LORETAŃSKIEJ
11	Piątek	Damazego pap.
12	Sobota	Aleksandra
51szy Tydzień		
13	**Niedziela**	Łucji, Otylii
14	Poniedz.	Teodora, Alfreda
15	Wtorek	Walerego, Wiktora
16	Środa	Adeli panny
17	Czwartek	Łazarza bisk.
18	Piątek	Gracjana bisk.
19	Sobota	Grzegorza
52gi Tydzień		
20	**Niedziela**	Teofila, Bogumiły
21	Poniedz.	Tomasza apost.
22	Wtorek	Zenona
23	Środa	Wiktorii panny
24	Czwartek	WIGILIA, Adama i Ewy
25	Piątek	BOŻE NARODZENIE
26	Sobota	Szczepana męcz.
27	**Niedziela**	Jana Ewangelisty
28	Poniedz.	ŚŚ. Młodzianków
29	Wtorek	Tomasza bisk.
30	Środa	Eugeniusza bisk.
31	Czwartek	Sylwestra pap.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

GRUDZIEŃ

1. 1830. Chłopicki obejmuje naczelną komendę armii.
2. 1413. Sejm horodelski.
3. 1830. Gen. Szembek z I pułkiem strzelców łączy się z powstaniem.
4. 1796. Pierwsze spotkanie Dąbrowskiego z Napoleonem.
5. 1830. Chłopicki zostaje dyktatorem.
6. 1387. Kraków składa hołd królowi Jagielle.
7. 1806. Wezwanie ks. Józefa do objęcia czynności naczelnego wodza.
8. 1506. Zygmunt Stary królem.
10. 1857. Śmierć generała Józefa Bema w Aleppo.
12. 1501. Koronacja Aleksandra Jagiellończyka.
13. 1587. Śmierć Stefana Batorego.
13. 1867. Zgon Artura Grottgera.
15. 1828. Tajny związek w Szkole Podchorążych.
17. 1530. Elekcja Zygmunta Augusta.
18. 1830. Sejm uznaje powstanie za narodowe.
19. 1812. Napoleon w Warszawie.
20. 1830. Sejm powierza dyktaturę Chłopickiemu.
21. 1658. Zwycięstwo Czarnieckiego nad Szwedami pod Goldyngą.
23. 1595. Zawarcie Unii w Brześciu.
24. 1798. Urodziny Adama Mickiewicza.
24. 1815. Uroczyste zaprowadzenie Konstytucji nadanej Królestwu kongresowemu.
25. 1806. Uniwersał Radzimińskiego, zwołujący pospolite ruszenie pod Łowicz.
26. 1655. Jenerał szwedzki, Mueller zwija oblężenie Jasnej Góry.
27. 1587. Koronacja Zygmunta III. w Krakowie.
28. 1800. Legia Kniaziewicza w walce pod Hohenlinden.
30. 1855. Przewiezienie zwłok Mickiewicza z Turcji do Francji.
31. 1657. Rakoczy siedmiogrodzki wkracza do Polski.

☾ Ostatnia kw. 2-go ☽ Pierwsza kw. 16-go
● Nów 9-go ☺ Pełnia 24-go

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Październ.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Październ.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Październnika
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Październ.
Florentyna Bisk. 16 Październ.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Październ.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Październ.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Październ.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Październ.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Październ.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Październ.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Październ

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Październ.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Urugwaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

ALFABETYCZNY SPIS IMION SŁOWIAŃSKICH

B

Bogna św. 20 Czerwca
Bogodar 9 Listopada
Bogomił 10 Czerwca
Bogomir 13 Stycznia
Bogosław 29 Kwietnia
Bogowit 7 Marca
Boguchwał 18 Marca
Bogufał 27 Kwietnia
Bogumiła 20 Grudnia
Bogusław 1 Lipca
Bogusława 29 Maja
Bogusz 24 Lutego
Boguwola 8 Grudnia
Bohdan 19 Marca
Bohdana 6 Lutego
Bohdar bł. 27 Marca
Bojomir 6 Stycznia
Bolesław 19 Sierpnia
Bolesława 22 Lipca
Bolisław 1 Sierpnia
Borys i Chleb 9 Sierpnia
Borysława 25 Maja
Bożena 14 Marca
Bożesława 31 Maja
Bożesław 10 Marca
Bożydar bł. 9 Maja
Bożydar 21 Września
Borzysław 19 Czerwca
Borzywój bł. 5 Kwietnia
Błażej 8 Lutego
Branmiła 3 Czerwca
Bratumił 18 Października
Bratysław 4 Października
Bronimir 20 Maja
Bronisława 18 Sierpnia
Bronisław 6 Października
Broniwój 22 Czerwca
Budzimił 15 Września
Budzimir 16 Czerwca
Budzisław 1 Marca
Budzisława 20 Października
Budziwój 23 Maja

C

Chlebosław 6 Sierpnia
Chocisław 5 Maja
Chotymir 13 Czerwca
Chronisław 13 Września
Chwalibóg 24 Stycznia
Chwalibóg 28 Lutego
Chwalimir 8 Lipca
Chwalimira 25 Listopada
Chwalisław 3 Listopada
Chwalisława 30 Kwietnia
Cichomił 23 Sierpnia
Cichomir 6 Czerwca
Cichosław 13 Maja
Cichosław 30 Czerwca
Cierpimir 10 Maja
Cierpisława 29 Lipca
Cieszymir 24 Sierpnia
Czcibóg 29 Marca
Czcimisław 29 Marca
Czcisława bł. 19 Lutego
Czesław 20 Lipca
Czesław m. 20 Kwietnia
Czesława 12 Stycznia

D

Dadzibóg 29 Września
Damelit 29 Października
Damian 27 Września
Daromiła 21 Października
Długomir 15 Marca
Długosław 18 Czerwca
Długosława 15 Października
Dobiesław 14 Maja
Dobrogniew 30 Stycznia
Dobrogist 14 Lipca
Dobromiła 11 Października
Dobromir 4 Stycznia
Dobromir 5 Czerwca
Dobromira 31 Marca
Dobrosław 10 Stycznia
Dobrosława 9 Kwietnia
Dobrowit 18 Września
Dobrowój 14 Sierpnia
Dogomost 9 Października
Domorad 16 Sierpnia
Domosław 15 Stycznia
Domosława 7 Września
Domysław 21 Czerwca
Dorosław 24 Listopada
Drogomił 21 Kwietnia
Dobrochna 5 Lutego
Drogomir 22 Grudnia
Drogomira 9 Listopada
Drogomysł 17 Czewrca
Drogosław 17 Września
Drogowit 6 Września
Dzierżykraj 17 Lipca
Dzierżymir 14 Października
Dzierżysław 16 Lipca
Dzierżysław 1 Września

G

Gniewomir 8 Lutego
Godysław 22 Marca
Godysława 24 Grudnia
Godzimir 31 Października
Godzisław 28 Grudnia
Gorysław 9 Lutego
Gorysław 10 Kwietnia
Gościsław 18 Kwietnia
Gościsław 28 Listopada
Gościwit 6 Maja
Gosław 29 Grudnia
Grzmisław 12 Października
Grzmisława 25 Grudnia

H

Homir 24 Września

I

Imisław 30 Września
Iścisław 11 Września
Izasław 6 Lipca

J

Jacław św. 15 Sierpnia
Janisław 24 Czerwca
Jarogniew 6 Grudnia
Jaromir 11 Kwietnia
Jaromir 28 Maja
Jaropełk 18 Stycznia
Jarosława 21 Stycznia
Jarosław 25 Kwietnia
Jerzy św. 24 Kwietnia
Jordan św. 13 Lutego

K

Kazimierz 4 Marca
Kazimiera 21 Sierpnia
Krasisław 17 Kwietnia
Krasnoroda 7 Lipca
Krzepimir 19 Września
Krzesimir 11 Stycznia
Krześław 28 Marca
Krzesomyśl 19 Maja

L

Lassota 31 Grudnia
Lechosław 26 Listopada
Letosław 3 Sierpnia
Litomił 4 Czerwca
Lubomir 1 Maja
Lubomira 21 Marca
Lubomiła 4 Grudnia
Lubomira 24 Marca
Lubomira 24 Lipca
Lubosław 12 Kwietnia
Ludomił 30 Grudnia
Ludowił 20 Lutego
Ludomiła 7 Maja
Ludomir 10 Listopada
Ludomyśl 7 Grudnia
Ludowił 11 Maja
Ludowir 31 Lipca
Ludosława 11 Marca
Ludosław 30 Listopada
Lutosław 26 Października

Ł

Ładysław bł. 26 Września

M

Mieczysław 1 Stycznia
Miłada bł. 16 Lutego
Miłogost 8 Marca
Miłosława 2 Lutego
Miłosław 3 Lipca
Miłosz 25 Stycznia
Miływój 23 Listopada
Miron św. 17 Sierpnia
Mirosław 26 Lutego
Mirosława 26 Lipca
Mnożysław 4 Kwietnia
Mścigniew 19 Grudnia
Mścisław 8 Stycznia
Mścisława 9 Marca
Mściwój 4 Listopada
Myślimir 14 Kwietnia
Myślisław 20 Września

N

Namysław 25 Sierpnia
Niecisław 13 Marca
Niemir 14 Lutego
Niezamyśl 8 Sierpnia
Nonisław 16 Kwietnia
Nowosław 12 Listopada

O

Ojcomił 2 Lipca
Ojcosław 16 Marca
Olek św. 7 Sierpnia
Olga św. 11 Lipca
Onosława 21 Lutego
Ostromir bł. 4 Sierpnia

P

Pakosław 5 Marca
Polemir 20 Marca
Prokop 5 Lipca
Przebysława 22 Października
Przedzimir 14 Czerwca
Przedzisław 23 Lutego
Przedzisław 27 Sierpnia
Przemysław 13 Kwietnia
Przemysław 30 Października
Przemyśl 29 Listopada
Przesław 7 Kwietnia
Przesław św. 3 Września
Przesława 21 Maja
Przybysław 27 Stycznia
Przybysław 15 Listopada

R

Racibor bł. 29 Sierpnia
Radogost 14 Stycznia
Radomił 11 Czerwca
Radomiła 13 Lipca
Radomir 28 Stycznia
Radomir 16 Listopada
Radomyśl 27 Grudnia
Radosław 2 Marca
Radosław 8 Kwietnia
Radosław 15 Lipca
Radosława 8 Września
Radzimir 12 Września
Radzisław 16 Października
Radzisława 10 Grudnia
Radziwój 10 Lipca
Radzyn św. 12 Lutego
Ratymir 19 Stycznia
Ratysław 2 Czerwca
Rosław 13 Sierpnia
Rosława 7 Października
Rościsław 17 Stycznia
Rościsław 4 Września
Rozmysław 26 Czerwca
Rustaw 27 Maja

S

Samomysł 25 Października
Samosława 1 Grudnia
Sebastjan 20 Stycznia
Sędzimir 20 Listopada
Sędzisław 16 Września
Sędziwój 8 Listopada
Sieman 3 Października
Siemisław 24 Października
Skarbimir 26 Stycznia
Sław 21 Listopada
Sława bł. 12 Sierpnia
Sławiflor 14 Grudnia
Sławimir 17 Maja
Sławobój 25 Lutego
Sławomiła 3 Marca
Sławomir bł. 5 Listopada
Sławomira 23 Grudnia
Sławosz 25 Lipca
Sławój 9 Czerwca
Sobiebór 9 Września
Sobiesław 20 Sierpnia
Spitogniew 31 Stycznia
Spitosław 11 Listopada
Spitosława 5 Grudnia
Spitymir 26 Kwietnia
Stanisław św. 8 Maja
Stanisław św. 5 Sierpnia
Stanisław R. 18 Listopada
Stanimir 2 Października
Stosław 2 Października
Stosław i D. 21 Lipca
Strachota 9 Lipca
Strzeżymir 22 Kwietnia
Strzeżysław 2 Stycznia
Strzeżysław 15 Maja
Sudomir 2 Kwietnia
Sulimir 30 Maja
Sulisław bł. 7 Lutego
Swatosz 12 Marca
Świętobój 28 Marca
Świętobór 6 Kwietnia
Świętochna 11 Lutego
Świętomir 28 Lipca
Świętopełk 1 Czerwca
Świętopełk 25 Września
Świętorad 17 Lutego
Świętosław 7 Stycznia
Świętosław 3 Maja
Świętosława 31 Sierpnia
Świętosława 2 Sierpnia
Szczęsław 15 Lutego
Szczęsny św. 30 Sierpnia
Szukosław 30 Marca
Szulisław 2 Grudnia

T

Tolimir bł. 12 Lipca
Tomila bł. 10 Lutego
Tomir 27 Listopada
Tomira 24 Maja
Tomisław bł. 21 Grudnia

U

Unisław 18 Lipca

W

Wacław bł. 15 Kwietnia
Wacław św. 28 Września
Wanda 23 Czerwca
Warcisław 1 Listopada
Wawrzyniec 10 Sierpnia
Welisław 4 Lipca
Wislimir 3 Grudnia
Wisław bł. 7 Czerwca
Wisława bł. 22 Maja
Wit św. 15 Czerwca
Witomił 27 Października
Witosław 22 Stycznia
Witosław 4 Lutego
Witymir 2 Maja
Witymir 2 Listopada
Wiarosława 27 Lutego
Więcymir 26 Maja
Więcysław 25 Marca
Wieńczysław 4 Maja
Wieńczysław 16 Maja
Wielosława 18 Lutego
Władybóg 28 Października
Władybój 10 Września
Władymira 9 Stycznia
Władysław 3 Kwietnia
Władysław 13 Grudnia
Właстybór 5 Stycznia
Własтymila 3 Stycznia
Własтymila 26 Sierpnia
Własтymil 25 Czerwca
Własтymir 23 Października
Włatysław św. 27 Czerwca
Włodzimierz 16 Stycznia
Włodzimierz 19 Kwietnia
Włodzimira 11 Sierpnia
Wodzimir 14 Listopada
Wodzisław 19 Lipca
Wodzisław 5 Września
Wojsław 6 Marca
Wojciech św. 23 Kwietnia
Wojmir 11 Grudnia
Wojsława 8 Października
Wolidar 12 Grudnia
Wolimir 15 Grudnia
Wrócisława 23 Stycznia
Wróciwój 26 Grudnia
Wrócisława 22 Lutego
Wrzesław 18 Maja
Wszebór 27 Lipca
Wszemil 12 Maja
Wszemil 18 Grudnia
Wszemila 22 Listopada
Wszerad 13 Listopada
Wszewład 6 Listopada
Wyszomir 12 Czerwca
Wyszomir 28 Sierpnia
Wyszosław 8 Czerwca

Z

Zasław 5 Października
Zatysława 17 Października
Zdzisław 17 Marca
Zbigniew 1 Kwietnia
Zbisław 23 Marca
Zbisław 17 Listopada
Zbroisław 28 Czerwca
Zdobysław 30 Lipca
Zdosława 16 Grudnia
Zdzisław 29 Stycznia
Zelimir 22 Września
Ziemisław 13 Października
Ziemomysł 14 Września
Ziemowit bł. 19 Października
Znatysław 1 Października

Ż

Żegota 1 Lutego
Żelisław 23 Lipca
Żyrosław 17 Grudnia
Żytomir 7 Listopada
Żywisław 28 Kwietn

ZNACZENIE IMION MĘSKICH I ŻEŃSKICH

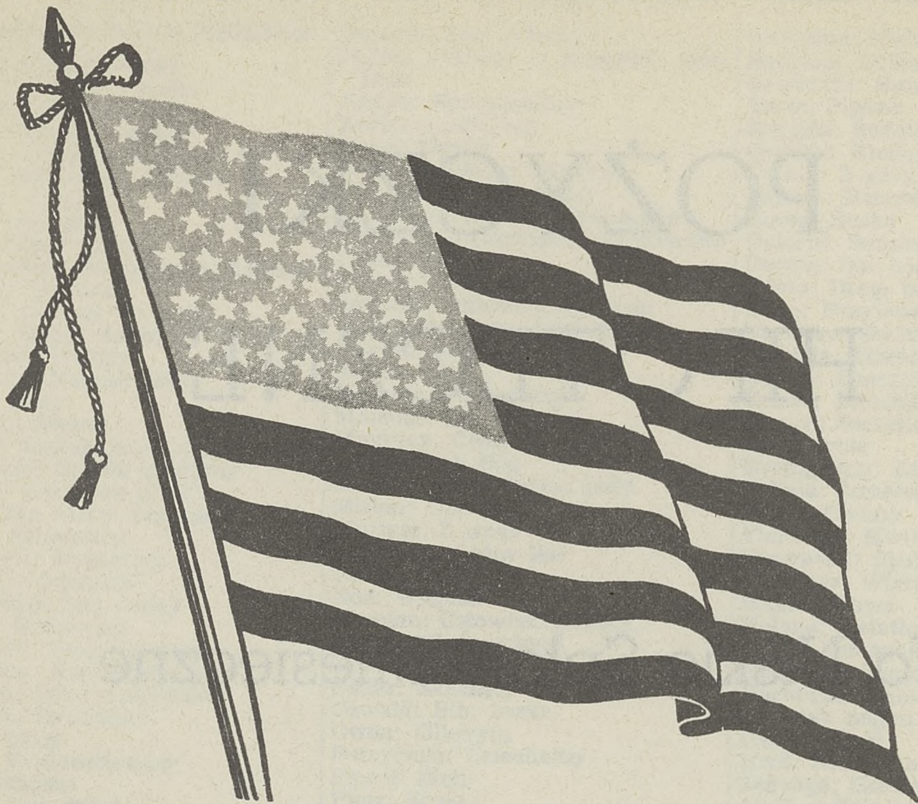
ZNACZENIE IMION MĘSKICH

Abner: Ojciec światła
Abraham: Ojciec wielu
Achilles: Sympatyczny
Adam: Człowiek ziemi
Adalbert: zobacz Wojciech
Adolf: Szlachetny bohater
Adrian: Ciemny
Alan: Harmonia
Albert: Cały jasny
Aleksander: Pomagający ludziom
Aleksy: Obrońca
Alfons: Gotowy do walki
Alfred: Dobry doradca
Algernon: Wąsaty
Ambroży: Nieśmiertelny
Amos: Silny
Andrzej: Mężny
Antoni: Zasługujący na pochwałę
Archibald: Bardzo odważny
Arnold: Silny jak orzeł
Aron: Ten który oświeca
Artur: Szlachetny
Augustyn: Wspaniały
Baldwin: Odważny
Bartłomiej: Syn wojny
Bazyli: Królewski
Benedykt: Błogosławiony
Benjamin: Syn prawej ręki
Bernard: Silny niedźwiedź
Bertram: Roztropny
Borys: Obcy
Cecyl: Niedowidzający
Cyryl: Pański
Cyrus: Jak słońce
Czesław: Żołnierz
Daniel: Boski sędzia
Dawid: Ukochany
Donald: Dumny wódz
Edgar: Chętnie dający
Edmund: Obrońca
Edward: Stróż
Edwin: Uzyskujący szczęście
Elmer: Doskonały
Emanuel: Bóg z nami
Eryk: Dzielny
Ernest: Poważny
Erwin: Jak niedźwiedź
Eugeniusz: Dobrze urodzony
Eweret: Stały
Franciszek: Wolny
Ferdynand: Gwałtowny
Filip: Miłośnik koni
Fryderyk: Pokojowy władca
Gerald: Silny z włócznią
Gilbert: Słynny
Gordon: Szczodry
Grzegorz: Czujny
Gustaw: Wojownik
Harold: Szampion
Hektor: Obrońca
Henryk: Głowa domu
Herbert: Sława armii
Herman: Wojownik
Hiram: Najszlachetniejszy
Horacy: Dzielny przewódca
Hubert: Roztropny
Hugon: Dobroduszny
Irwin: Wojownik
Iwan: Dar boski
Jakub: Wierny
Jan: Dar boski
Jeremi: Święte imię
Jerzy: Posiadający ziemię
Jonatan: Dar Jehowy
Julian, Juliusz: O miękkich włosach
Justyn: Sprawiedliwy
Kalwin: Odważny
Karol: Mężny
Konrad: Zdolny doradca
Korneliusz: Zaszczytny
Krzysztof: Niosący Zbawiciela
Laurenty: Uwieńczony wawrzynem
Leon: Lew
Leonard: Silny jak lew
Leopold: Odważny dla ludu
Luter: Świetny wojownik
Łukasz: Światło
Marek: Młot
Marcin: Wojowniczy
Mateusz: Dar Jehowy
Maurycy: Ciemnej cery
Michał: Jak Bóg
Mikołaj: Zwycięstwo ludu
Milton: Czerwony
Mojżesz: Z wody
Napoleon: Leśny lew
Natan: Podarek
Noe: Wygoda
Norman: Człowiek północy
Oliwer: Zadowolony
Orwil: Spokojny
Oskar: Skaczący wojownik
Oswald: Siła boska
Otton: Olbrzym
Patryciusz: Szlachetny
Paweł: Mały
Piotr: Skała
Ralf: Słynny bohater
Rajmund: Roztropny obrońca
Reginald: Silny król
Robert: Słynny
Ronald: Słynny
Rudolf: Czynny
Rufus: Rudowłosy
Ryszard: Potężny władca
Samson: Wielka uciecha
Saul: Ten o którego proszono
Salomon: Pokojowy
Stanisław: Kamienista łąka
Stefan: Kwiecista korona
Sylwan: Mieszkaniec lasu
Szymon: Chętnie słuchający
Teodor: Dar boski
Tomasz: Bliźniak
Tymoteusz: Bogobojny
Ulekses: Nienawidzący
Walenty: Zdrowy
Walter: Mistrz wody
Wiktor: Zwycięsca
Wincenty: Zwycięski
Wilbur: Dzik
Wojciech: Szlachetny

ZNACZENIE IMION ŻEŃSKICH

Adela, Adelina: Księżniczka
Adrianna: Ciemna
Agata: Dobra
Agnieszka: Czysta
Alicja: Księżniczka
Alda: Bogata
Alma: Dobre serce
Amanda: Godna miłości
Amelia: Ukochana
Angelika: Miła
Anita: Pełna gracji
Anna: Pełna gracji
Antonina: Nieokreślona
Barbara: Dzika
Beatrycja: Szczęśliwa
Berta: Piękna
Brygida: Świetlana
Cecylia: Niedowidząca
Cyntia: Z góry Cynt
Debora: Pszczoła
Diana: Boska
Dolores: Smutna
Dorota: Dar boski
Edyta: Drogi podarek
Edna: Przyjemność
Eleonora: Światło
Elżbieta: Uproszona u Boga
Emilia: Energiczna
Estera: Szczęśliwa
Eunice: Szczęśliwe zwycięstwo
Ewa: Życie
Ewangelina: Dobra nowina
Felicja: Szczęście
Flora: Kwiaty
Florencja: Kwitnąca
Genowefa: Spokojna
Gertruda: Wierna
Gloria: Sława
Helena: Światło
Hilda: Pomagająca
Honorata: Zaszczytna
Hortensia: Lubiąca ogród
Ida: Jak bogini
Irena: Pokój
Irma: Niewinna
Jadwiga: Głowa domu
Janina: Dziecię boskie
Judyta: Chwalona
Julia, Julianna: Z mięk. włosami
Laura: Wawrzyn
Leona: Odważna
Lilian: Lilijka
Loretta: Czysta
Ludwika: Odważna
Łucja: Urodzona przy zachodzie słońca
Magdalena: Wspaniała
Małgorzata: Perła
Maria: Gwiazda morza
Marta: Pani domu
Matylda: Bohaterka
Mildred: Mówiąca łagodnie
Milicent: Słodka śpiewaczka
Miranda: Podziwiana
Natalia: Podarek
Nina: Młoda
Norma: Z północy
Olga: Święta
Patrycja: Szlachetna
Pryscyla: Starodawna
Prudencja: Roztropna
Rachela: Jagnię
Ramona: Zabezpieczona
Rebeka: Czarująca piękność
Sara: Księżniczka
Shirley: Miła
Sybilja: Wróżka
Sylwia: Z lasu
Stella: Gwiazda
Teresa: Niosąca zboże
Weronika: Wierna
Wiktoria: Zwycięstwo
Wiola: Skromna
Wirginia: Czysta
Zofia: Mądrość
Zuzanna: Lilia

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!



Sędzia B. F. Gunther
Cenzor Z. N. P.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA



Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

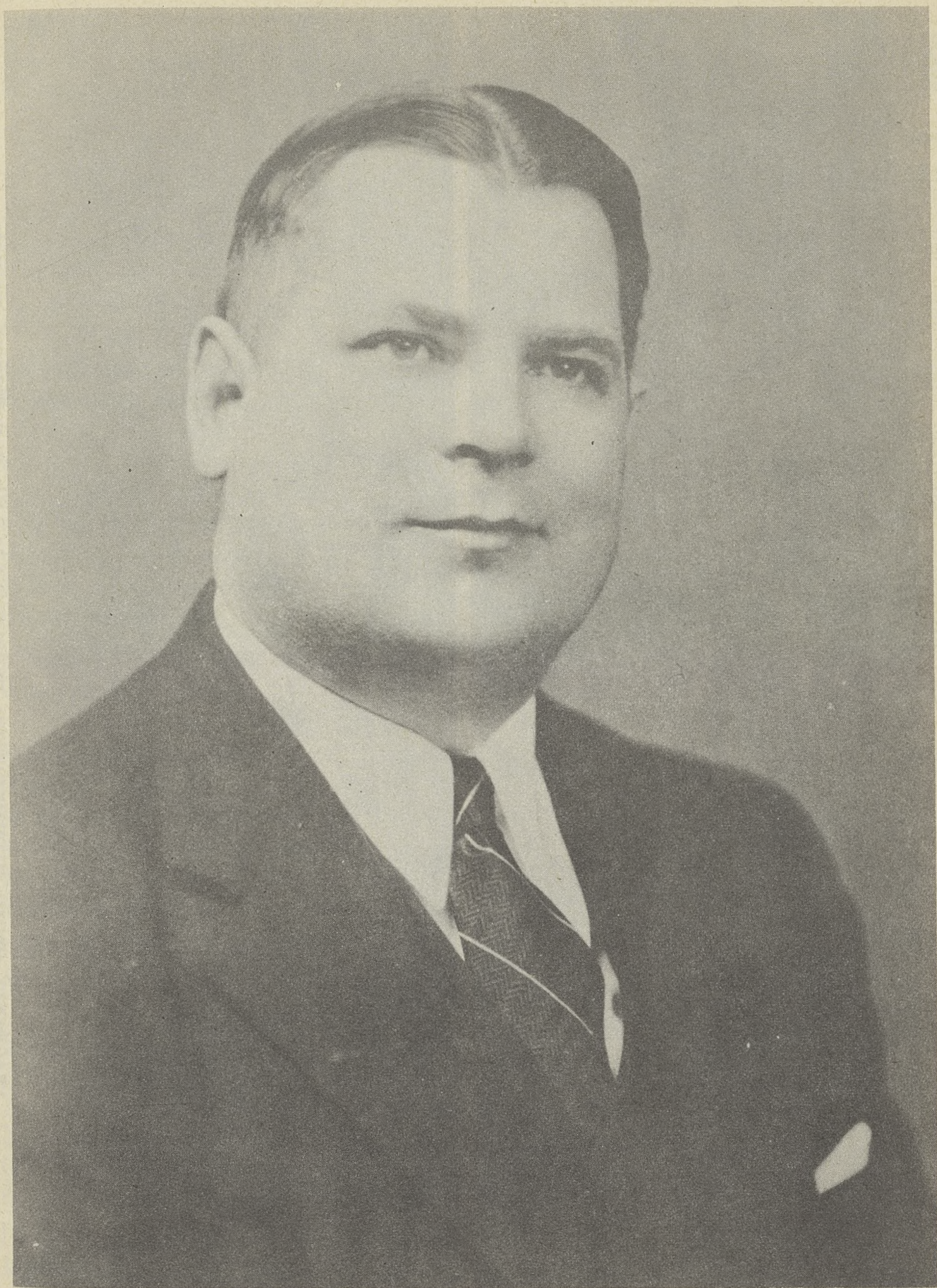
Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz etc.

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz etc.

Mówi ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany :
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz etc.

Na to wszystkich jedne głosy :
Dosyć tej niewoli —
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli.



Karol Rozmarek,
Prezes Z. N. P.

FRAGMENTY OBOZU MŁODZIEŻOWEGO OKRĘGU 12 I 13 Z.N.P. W YORKVILLE, ILLINOIS.

PIOSENKA O MOJEJ WARSZAWIE

Muz. HARRIS.

Tempo di Valse

I

Jak uśmiech dziewczyny kochanej,
Jak wiosny budzącej się wiew,
Jak świergot jaskółek nad ranem,
Młodzieńcze uczucia nieznane.
Jak rosa błyszcząca na trawie,
Miłości rodzący się zew —

Tak serce raduje piosenki tej śpiew,
Piosenki o mojej Warszawie.

II

Warszawo kochana! Warszawo!
Tyś treścią mych marzeń, mych snów,
Radosnych przechodniów Twych lawą,
Ulicznym rozgwarem i wrzawą...
Ty wołasz mnie, wołasz stęskniona
Upojnych piosenek i słów...

Jak bardzo dziś pragnę zobaczyć Cię znów,
O moja Warszawo wyśniona.

III

Pragnąłbym krokiem beztroskim
Przemierzyć przestrzeni Twej szmat:
Bez celu się przejść Marszałkowską,
Na Wisłę napatrzeć się z mostu,
Dziewiątką pojechać w Aleje,
Krakowskiem się wpleść w Nowy Świat...

I ujrzeć, jak dawniej, za mych młodych lat,
Jak do mnie, Warszawo się śmiejesz.

IV

Ja wiem, żeś Ty dzisiaj nie taka,
Że krwawe przeżywasz dni
Że rozpacz, że ból Cię przygniata,
Że muszę nad Tobą zapłakać,
Lecz taką jak żyjesz w pamięci,
Przywrócę ofiarą swej krwi.

I wierz mi, Warszawo, prócz piosnki i łzy,
Jam gotów Ci życie poświęcić.

Utwór Żołnierza Emigranta.

Murmurando

KAZIMIERZ PUŁASKI



Kazimierz Pułaski, jak wyglądał gdy przybył do Stanów Zjednoczonych

PUŁASKI

Zorzą sperlona, troską bezsenna,
Noc ustępuje w promiennych skrach.
O, stepów obcych głębio płomienna!
O, pole bitwy pod Savannah!

Kiedym wędrował, błędny żórawic,
Pałasza swego jedyny pan,
W poryku fali, w ogniach błyskawic,
Wszędy mi świtał ojczysty łan.

Konfederackie z Podola szlaki,
Aż pod Wawelu wiodące próg,
U Jasnej Góry rżące rumaki
I trupem Moskwy pokryty smug.

Takem ci ustał w onej tęsknicy
Takem obumarł z wygnańczych lat
Że dla olśnionej zjawą źrenicy
Martwy jest wokół przestwór i świat.

Jedno co żywie: Marja Panna,
Stugłowej hydrze miażdżąca łeb.
Jak tam pod Barem, tu pod Savannah,
Królowa moja, Królowa nieb!

Dziś do ataku gdy ruszą konie
I gwizdną kule wrogom na strach,
Objaw się Pani w słońca koronie
Na polu bitwy pod Savannah!

Cóż dać ci mogę okrom westchnienia?
Cios jeno korda niechybny mój...
Wesprzyjże siłę mego ramienia,
Za obcą wolność gdy idę w bój!

Na ordynansach u Twego Syna
Spełniłem wiernie rycerski ślub
Stań mi w potrzebie, Pani jedyna,
Gdy obce ręce kopią mi grób.

W godzinę moją, z Polski przez morze,
Jako jaskółki ze swoich gniazd,
Niech lecą k'tobie świetliste zorze
I Twej koronie przymnożą gwiazd.

Bym blask ich ujrzał na Twej sukience
Jakem wymarzył w tęsknoty snach,
A chciwe ku nim wyciągnę ręce
Z krwawego pola pod Savannah!

Antoni Bogusławski

MOWA OJCZYSTA

Siła to wielka,—siła niepożyta
Z serca narodu i z ducha zrodzona, —
Siła, co nigdy w narodzie nie skona
W mowę spowita.

Mowa—to świętość, dla której ołtarze
Miłość ojczyzny z ran i krwi buduje,
Nią modły wznosi, nią myśli i czuje
Z duchem swym w parze.

Mowa—to macierz, co nas w swem objęciu
Do snu kołysze i do życia budzi,
Z nami łzy leje i z nami się trudzi
W słowa zaklęciu.

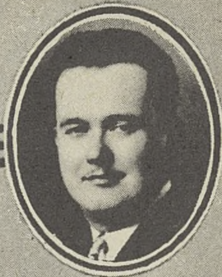
Zuzanna Morawska

ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.

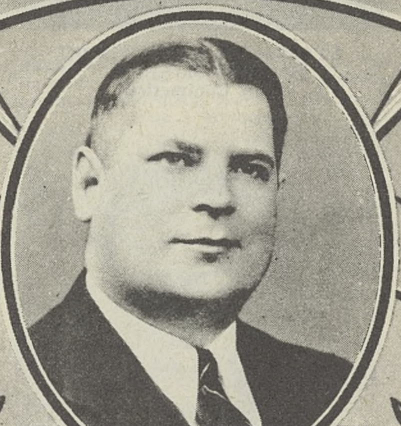

STEFANIA GONDEK


G. J. WROST

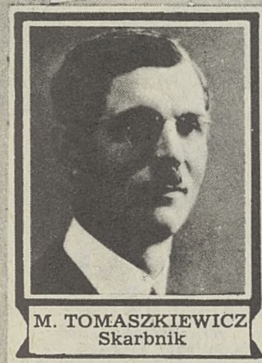

H. DUDEK


A. A. MAZEWSKI


FR. DYMEK
Wiceprezeska


K. ROZMAREK
PREZES


P. B. KOZŁOWSKI
Wiceprezes


M. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik


A. S. SZCZERBOWSKI
SEKRETARZ - JEN.


J. P. RUDEK


K. ZIEMBA-DIENES

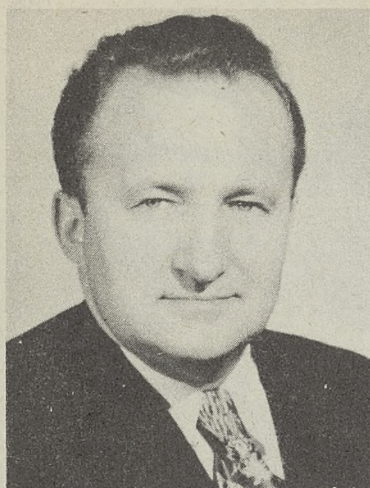

JAN ULATOWSKI


WŁ. PAŚCIAK

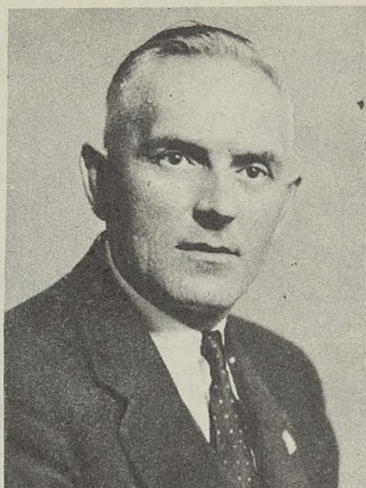

A. ZDUNEK


DR. M. W. MAJCHROWICZ

KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.



JÓZEF A. DANCEWICZ
Komisarz Okręgu I.
Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire



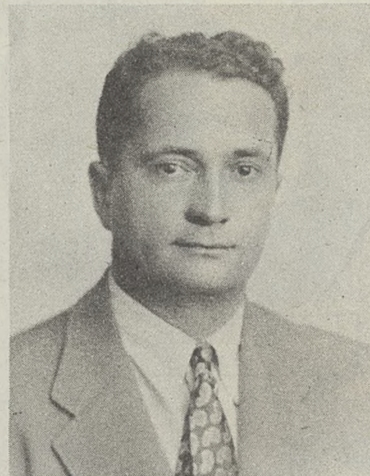
STANISŁAW NIEDŹWIECKI
Komisarz Okręgu II.
Stan Connecticut



LEOPOLD KAROL BABIRECKI
Komisarz Okręgu III.
Wschodnia Część Stanu New York



JAN F. NOWAK
Komisarz Okręgu IV.
Zachodnia Część Stanu New York



EDWARD KOZMOR
Komisarz Okręgu V.
Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)



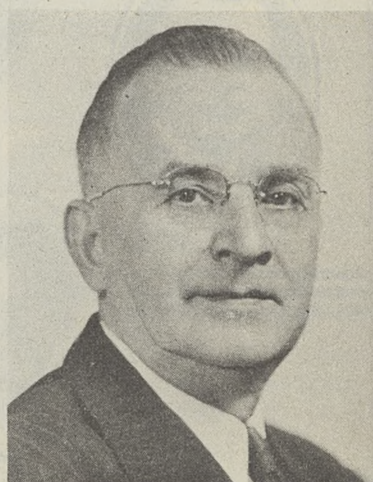
WŁ. SZCZYGIEŁ
Komisarz Okręgu VI.
Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida



L. ŚLIWIŃSKI
Komisarz Okręgu VII.
Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania



MICHAŁ L. HOŁODNIK
Komisarz Okręgu VIII.
Zachodnia Część Stanu Pennsylvania

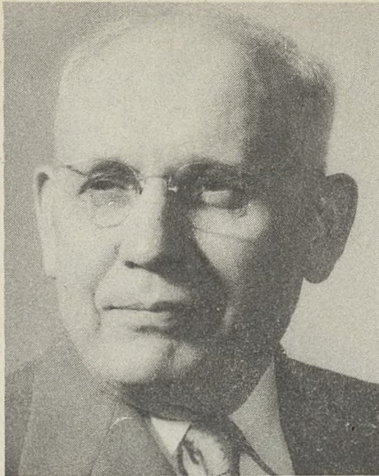


ANTONI SZCZYPIŃSKI
Komisarz Okręgu IX.
Stany Ohio, West Virginia i Virginia

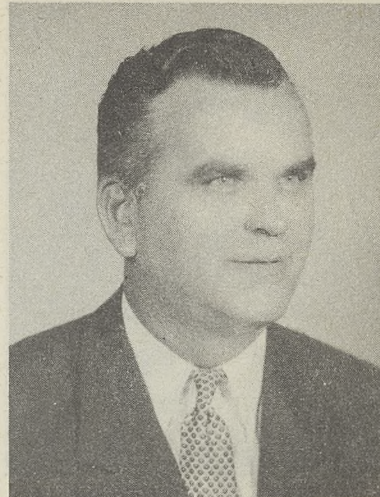
KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.



FRANCISZEK ODROBINA
Komisarz Okręgu X.
Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu



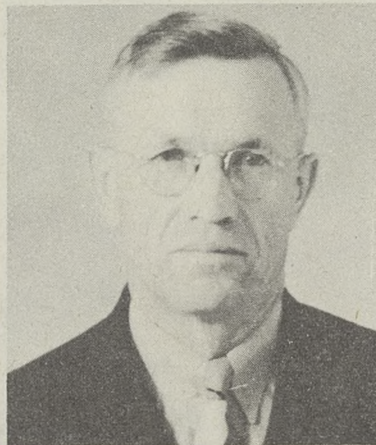
H. KUBICKI
Komisarz Okręgu XI.
Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado



MICHAŁ MOKRZYCKI
Komisarz Okręgu XII.
Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachod. Część Stanu Illinois



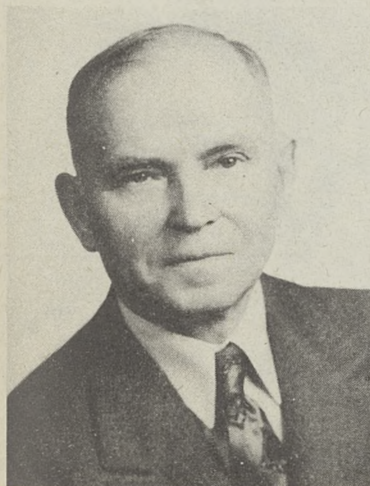
EDWARD KRYSIŃSKI
Komisarz Okręgu XIII.
Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois



JÓZEF T. TOBOLA
Komisarz Okręgu XIV.
Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba



JAN ZIEMBA
Komisarz Okręgu XV.
Północ. Część Stanu Indiana



ANDRZEJ SPULNIAK
Komisarz Okręgu XVI.
Stany California, Oregon, Washington

W Związku Narodowym Polskim możesz otrzymać podwójne odszkodowanie i zabezpieczyć sobie benefit w razie zupełnego i stałego kalectwa. Jeśli dzieci twoje mają talent, pamiętaj, że przeszło tysiąc młodzieży należy do Drużyn Muzycznych Z. N. P. Zapisz do nich i swoje.

Każde ubezpieczenie twych dzieci w Związku Narodowym Polskim jest dla ciebie, ojcze i matko, ratunkiem i pomocą w razie wypadku. Związek Narodowy Polski jest czwartą największą amerykańską, a największą w świecie polską organizacją ubezpieczeniową bratniej pomocy.

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.



JANINA KAROLKIEWICZ
Komisarka Okręgu I.
Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire



TEODORA DROZD
Komisarka Okręgu II.
Stan Connecticut



WANDA L. SŁUPSKA
Komisarka Okręgu III.
Wschodnia Część Stanu New York



MARIA TUCHEWICZ
Komisarka Okręgu IV.
Zachodnia Część Stanu New York



ANNA KAŹMIERCZAK
Komisarka Okręgu V.
Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)



LEOKADIA MISIORA
Komisarka Okręgu VI.
Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida



HELENA ROZAJEWSKA-DWORCZAK
Komisarka Okręgu VII.
Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania



EMILIA JANOWSKA
Komisarka Okręgu VIII.
Zachodnia Część Stanu Pennsylvania



WERONIKA KOPEC
Komisarka Okręgu IX.
Stany Ohio, West Virginia i Virginia

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.



JÓZEFA WOLAS
Komisarka Okręgu X.
Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu



MARIA GODLEWSKA
Komisarka Okręgu XI.
Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado



MARIA L. GIERUT
Komisarka Okręgu XII.
Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachod. Część Stanu Illinois



ROZALIA WÓJCIK
Komisarka Okręgu XIII.
Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois



WŁADYSŁAWA PODKOMORSKA
Komisarka Okręgu XIV.
Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba



WALERIA MAĆKOWIAK
Komisarka Okręgu XV.
Północ. Część Stanu Indiana

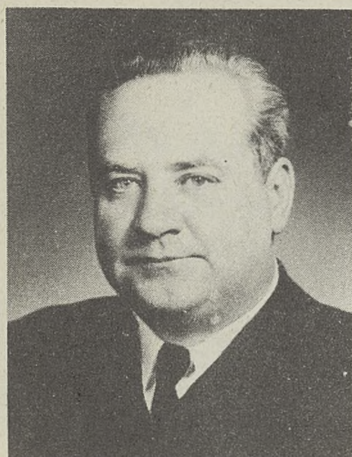
Każda matka Polka w Ameryce powinna nie tylko sama należeć do Z. N. P., ale zapisać także swego syna i swoją córkę do Wydziału Młodzieżowego.



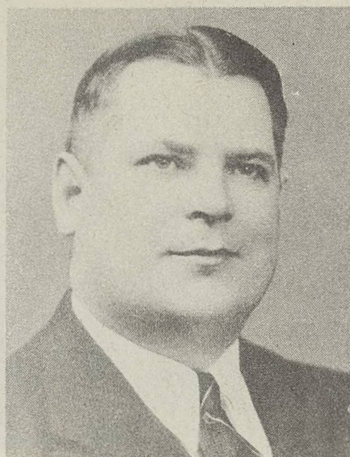
BRONISŁAWA CZARNECKA
Komisarka Okręgu XVI.
Stany California, Oregon, Washington

Należeć do Związku Narodowego Polskiego jest nietylko obowiązkiem narodowym ale i zaszczytem współpracowania w gronie dzielnych patriotów i patriotek.

RADA SZKOLNA Z. N. P.



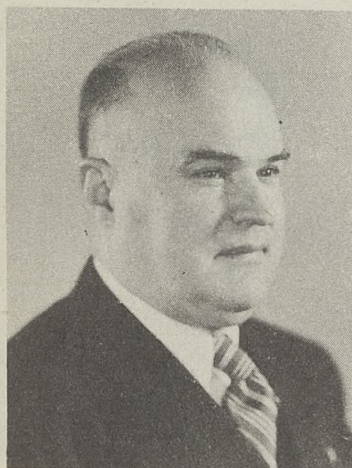
B. F. GUNTHER
Cenzor Z. N. P.
Prezes Rady



KAROL ROZMAREK
Prezes Z. N. P.
Wiceprzew. Rady



MARIA SOKOŁOWSKA
Sekretarz Rady



A. S. SZCZERBOWSKI
Sekretarz Z. N. P.



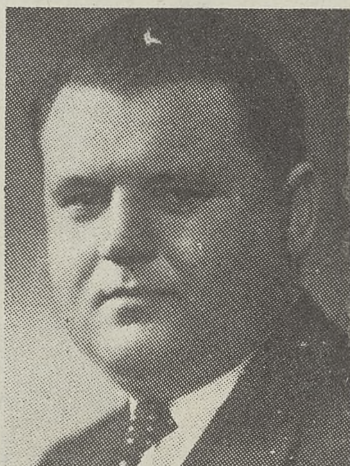
M. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik Z. N. P.



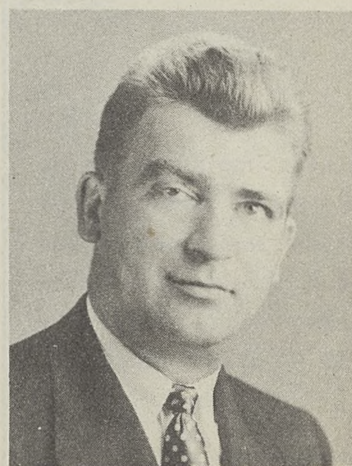
ARTUR A. KOŚCIŃSKI
Sędzia Fed., Detroit, Michigan



DR. J. TOKARCZYK
New Britain, Conn.



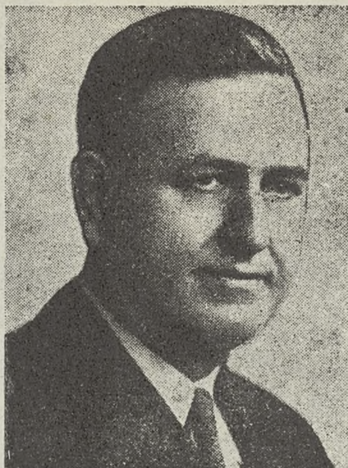
STAN. BORZA
Indiana Orchard, Mass.



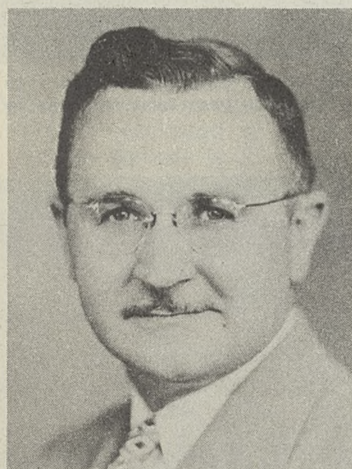
STAN. SAMEK
Cleveland, Ohio

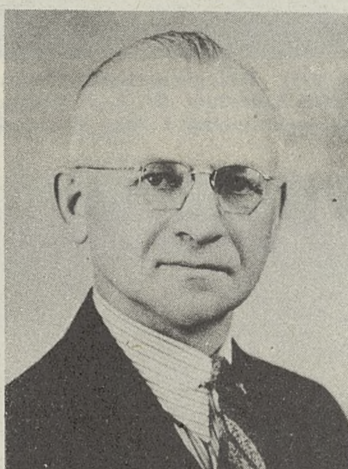
RADA SZKOLNA Z. N. P.


J. F. WATTRAS
Monessen, Pa.


DR. A. P. COLEMAN
Prezydent Kolegium


JAN KOLASA
Dziekan Kolegium


DR. W. A. SADLEK
Naczelny Lekarz Z. N. P.


LEOPOLD A. KOŚCIŃSKI
Doradca Prawny Z. N. P.


LEON S. MAŁŁEK
Urzędujący Rzecznik Z. N. P.


J. S. ŚWIERCZYŃSKI
Zarządca Wydawnictw Z. N. P.


KAROL PIĄTKIEWICZ
Naczelny Redaktor


JÓZEF BRONARS
Kontroler Z. N. P.



Pierwsze abiturientki, które ukończyły Kolegium Związkowe w Cambridge Springs, Pa., z tyłu stoją Cenzor B. F. Gunther, i prezydent Kolegium dr. A. P. Coleman, z lewej do prawej w pierwszym rzędzie: Annette Kurkowska, Josephine Śmietana i Joan Kusiorska.

Widok na zabudowania Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa. z lota ptaka.

Krótka Historia Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pennsylvania

POCZĄTKI ZAŁOŻENIA SZKOŁY ZWIĄZKOWEJ

Na Sejmie XV Związku Narodowego Polskiego, odbytym w Wilkes-Barre, Pa., w roku 1903, rzucono fundamenty pod dzisiejszą Szkołę Związkową przez powołanie do życia między innymi t. zw. "Komisji Oświaty i Szkolnictwa", która miała się zająć zorganizowaniem podstaw finansowych przyszłej tej instytucji szkolnej. Członkowie komisji rozwinęli energiczną działalność, którą ukoronowała uchwała Sejmowa, opodatkowując członków Związku Narodowego Polskiego po cencie miesięcznie na ten cel. Podatek ten na następnym Sejmie w Buffalo (1905) podniesiony został do dwóch centów miesięcznie. Kiedy następnie przelano do kasy Komisji resztę funduszu z budowy pomników Kościuszki i Pułaskiego w Washingtonie, Komisja już na Sejmie w St. Louis (1911) mogła się wykazać poważnym funduszem dochodzącym $75,000.00.

Chodziło już teraz o konkretne plany budowy gmachu szkolnego. W tym właśnie czasie Ks. Seweryn Niedbalski z Erie zwrócił uwagę Cenzora p. Antoniego Schreibera na wspaniały budynek hotelowy w Cambridge Springs, Pa., który był do nabycia za okazyjną cenę $175,000.00. Cenzor zwołał zjazd Komisji Szkolnictwa, Rady Nadzorczej, i całego Zarządu Głównego do Cambridge Springs na 4-go grudnia, 1911 roku i na tym zjeździe kupno budynku "Vanadium" zostało jednogłośnie uchwalone i przeprowadzone. Kolosalny, kilkaset pokoi liczący gmach, górujący nad całą okolicą wraz z 160 akrową farmą, stawami, laskiem, wraz z całym komfortowym urządzeniem, musiał zaimponować przybyłym i też uznany został jednomyślnie za świetną okazję zrealizowania upragnionej wizji. W następnym roku przystąpiono do przeprowadzenia koniecznych przeróbek pod kierunkiem p. Mariana Stęczyńskiego, który zrezygnował był z urzędu prezesa Związku, aby osobiście dopilnować materialnej stony instytucji. Stronę wychowawczo-naukową powierzono profesorowi Romualdowi Piątkowskiemu, który już wtedy cieszył się reputacją świetnego i światłego pedagoga, reputację, zdobytą długoletnią pracą wychowawczą w Orchard Lake. Wśród skompletowanego przez rektora Piątkowskiego fakultetu znajdowali się również doświadczeni na niwie pedagogicznej nauczyciele, jak prof. Piwowarski, Dolewczyński, Fijałkowski, Janusz Ostrowski, i nni.

Z otwarciem nowej uczelni natychmiast napłynęła w mury szkolne wielka ilość młodzieży, bo aż 326 uczniów; co niewątpliwie świadczyło o tym, jak bardzo instytucja ta odpowiadała potrzebom Polonii amerykańskiej. Oficjalna uroczystość otwarcia Kolegium odbyła się dnia 26-go października, 1912 roku w obecności ówczesnego Prezydenta Williama Tafta.

SZKOŁA PODCHORĄŻYCH OCHOTNICZEJ ARMII POLSKIEJ I KSZTAŁCENIE SIEROT POLSKICH Z SYBERII

Spokojny i ewolucyjny tryb życia i pracy w szkole w pierwszych latach nie pozbawiony był i silniejszych momentów. Działalność Szkoły Związkowej zaznaczyła się szeregiem posunięć o dużej wartości wychowawczej i ideowej. Na terenie szkoły i przy czynnym współdziałaniu władz szkolnych, przeprowadzono w Cambridge Springs Kurs Podoficerski Sokolstwa, Szkołę Podchorążych Ochotniczej Armii Polskiej z Ameryki, kurs zawodowego wykształcenia żołnierzy Armii Amerykańskiej. Po wojnie, Szkoła Związkowa zaopiekowała się czynnie dziesiątkami polskich sierot z Syberii, przysłanych tu z Mandżurii, dając im fachowe przygotowanie w zakresie mechanicznym i technicznym.

Wspomniane wyżej kursy zawodowego wykształcenia dla kilkuset żołnierzy Armii Amerykańskiej, oraz techniczne przygotowanie młodzieży polskiej z Syberii, stały się możliwe dzięki temu, że w roku 1915 założono przy Kolegium Instytut Rzemieślniczy, którego celem było i jest kształcenie młodzieży polskiej na fachowych i lepiej płatnych rękodzielników i mechaników na gruncie tutejszym. Inicjatorem tej wysoce pożytecznej instytucji byli prof. Zwierzchowski, — organizatorem prof. Gwiazdowski, — a długoletnim kierownikiem prof. Kozaczka, którego funkcje obecnie chlubnie sprawuje prof. E. Kruszka.

Wojna światowa wywołała oczywiście poważne przeobrażenia także w założeniach ideowych i programie szkoły. Pierwotną ideą założycieli i kierowników tej szkoły było uczynić z instytucji tej naszej zakład naukowy i wychowawczy w duchu rdzennie polskim, służący zasadniczo sprawie krzewienia i pogłębienia tradycji kulturalnych Ojczyzny, wzorowany na zakładach naukowych w Polsce. — Językiem wykładowym był oczywiście język polski. — Ideologia ta nie dała się długo utrzymać i to z wielu powodów. — Przede wszystkim w grę weszły uprawnienia i słuszne wymagania samej młodzieży, która ze studiów naukowych w Kolegium Związkowym pragnęła czerpać pewne praktyczne korzyści życiowe. Dopóki zaś instytucja nasza nie była zatwierdzona przez oficjalne amerykańskie władze szkolne, dyplomy szkoły naszej nie dawały młodzieży koniecznej rękojmy, że będą mogli korzystać z pełni przywilejów gwarantowanych przez amerykańskie instytucje szkolne.

Następnie, wobec zanikającego z każdym rokiem dopływu rdzennej młodzieży z Polski, a zwiększającej się liczby młodzieży urodzonej w Ameryce, językiem wykładowym musiał stać się język angielski, co ostatecznie nastąpiło w roku 1919, pozostawiając jedynie przedmioty polskie wykładom po polsku. — Rzecz zrozumiała, że zmiany te dokonywały się przy akompaniamencie ostrych tarć, dyskusji i walki ideowej między zwolennikami różnych koncepcji wychowawczych. W rezultacie tych tarć prof. R. Piątkowski, którego działalność pedagogiczna zaznaczyła się tak chwalebne, złożył swą rezygnację z kierownictwa. Przez kilka lat po jego ustąpieniu nastąpiło pewnego rodzaju prowizorium w kierownictwie ideowym szkoły. Wyrazem wysiłków i dążeń do uzgodnienia różnych poglądów i kierunków były częste zmiany na stanowisku kierowniczym Kolegium, oraz szukanie najodpowiedniejszego rozwiązania drażliwej a trudnej sytuacji.

ROZSZERZENIE DZIAŁALNOŚCI NAUKOWEJ I WYCHOWAWCZEJ

Pewnym wyjściem z położenia tego było zamianowanie rektorem szkoły znanego wybitnie działacza narodowego i pisarza Wacława Gąsiorowskiego, który stanowisko to piastował przez siedem lat. Konieczności zmuszały szkołę do pełnego rozwinięcia normalnych trybów działalności naukowej w języku angielskim, wskutek czego cały program ideowy, działalność narodowa i obywatelska przeszły automatycznie na departament polonistyczny. Równocześnie dla ułatwienia młodzieży polskiej wyższego wykształcenia zaprowadzono w roku 1925 tak zwany "Junior College", czyli podstawę do regularnych kursów uniwersyteckich.

Zmiany te odpowiadały najwidoczniej wymaganiom młodzieży, która znów zaufanie swoje zamanifestowała wyjątkowo znacznym dopływem nowych studentów do naszej uczelni. Lustracja szkoły przez władze szkolne Stanu Pennsylvania wypadła dla naszego zakładu pochlebnie, wobec czego jego byt został przez autorytatywne czynniki Związku utrwalony jako dla przyszłości naszej konieczny. Zaczęto więc rozbudowywać laboratoria, powiększono znacznie bibliotekę szkolną, oraz zabrano się do wypracowania planów, zmierzających do rozszerzenia działalności naukowej i wychowawczej Kolegium na znacznie większą skalę.

Wobec wyłonionej potrzeby rozbudowy szkoły oraz uzgodnienia jej programu i charakteru z wymaganiami władz amerykańskich zaszła logiczna potrzeba skoncetrowania w jednych rękach różnych departamentów działalności szkoły, a więc zarówno administracyjno-gospodarczych, jak i naukowo-wychowawczych. Ustępują wtedy autonomiczni kierownicy dwóch niezależnych od siebie departamentów, — mianowicie dyrektor Akademii i Junior College, p. W. Gąsiorowski, oraz kierownik Instytutu p. Kozaczka, całą zaś odpowiedzialność za zbiorowy wysiłek rozbudowy bierze na siebie, mianowany przez Komisję Szkolnictwa Prezydentem Szkoły ówczesny Prezes Rady Szkolnej, prof. Stefan Mierzwa, inicjator Fundacji Kościuszkowskiej.

KATASTROFALNY POŻAR SZKOŁY ZWIĄZKOWEJ

Ustalono plany dalszej rozbudowy szkoły i przystąpiono do budowy nowoczesnego, ogniotrwałego dormitorium. W trakcie wytężonych prac przygotowawczych i zanim jeszcze wykończono budowę wspomnianego dormitorium, nastąpiła katastrofa pożaru, która pochłonęła kompletnie cały dotychczasowy dorobek materialny szkoły. Katastrofa ta odbiła się bolesnym echem po całym wychodźtwie, ponieważ ofiarą jej padły również świeżo i bogato urządzone laboratoria przyrodnicze, biblioteka o 12,000 tomach, oraz nadzwyczaj cenne archiwum i muzeum związkowe.

Dzięki żywej, czynnej pomocy ludności miasteczka nauka szkolna nie została przerwaną i podjętą została już na drugi dzień po pożarze w wnętrzach tutejszych kościołów. Równocześnie odchodziła dalsza praca nad

dokończeniem nowego ogniotrwałego i wspaniałego dormitorium, które ostatecznie wykończono w lecie 1931 roku. Dla kontynuowania regularnej pracy szkolnej wybudowano wkrótce po pożarze prowizoryczny, do dziś dnia jeszcze stojący drewniany budynek szkolny, który ostatecznie zastąpiony został nowym i okazałym budynkiem szkolnym, ukończonym w roku 1934.

Po Sejmie w Scranton zaszła zmiana w stanowisku kierowniczym szkoły, które objął ówczesny dziekan, prof. E. Kuberski. Był on pierwszym kierowniem szkoły, który wyszedł z łona Alumnów Kolegium. Tu godzi się zaznaczyć i z najwyższym podnieść uznaniem, że Alumni Kolegium zaczynają odgrywać coraz żywszą i czynniejszą rolę w dziejach i życiu szkoły, co daje rękojmię, że potrzeby szkoły w jej różnych dziedzinach znajdą bezpośredni oddźwięk w szerokich masach związkowych, a szkoła sama stanie się centralnym instytutem pracy ideowej i naukowej Polonii amerykańskiej. Sejm Związku Narodowego Polskiego w Baltimore wykazał niezbicie, że idea Szkoły Związkowej ma wielkie rzesze gorących i ofiarnych zwolenników i że zapuszcza ona coraz głębsze korzenie w świadomość ogółu polskiego w Ameryce.

W roku 1936 kierownik szkoły dziekan Kuberski, z powodu złego stanu zdrowia, złożył swą rezygnację. Przez szereg miesięcy funkcje jego pełni zastępczo szef departamentu chemii, prof. Wm. Powers, poczem Rada Szkolna na zebraniu kwietniowym roku następnego powołała na to odpowiedzialne stanowisko p. Jana Kolasę, doświadczonego na niwie pedagogicznej profesora z Kolegium Św. Jana Kantego w Erie.

JUBILEUSZ 40-LECIA KOLEGIUM ZWIĄZKOWEGO

W czerwcu 1952 roku przeżyło wychodźtwo polskie, przede wszystkim zaś ogromne rzesze Braci Związkowej, doniosły Jubileusz 40-lecia istnienia Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa. Był to prawdziwie moment historyczny. Nie w tym znaczeniu, oczywiście, by Szkoła Związkowa była już uwieńczeniem wszystkich dążeń i aspiracji kulturalno-oświatowych Polonii naszej, ile dla tego, że istnienie jej i nieustanny choć powolny rozwój świadczą o tym, jak głęboko wdarła się w serce i świadomość ogółu polskiego tęsknota za własnym ogniskiem pracy ideowej na polu kultury narodowej.

Za staraniem Cenzora Z. N. P., a prezesa Rady Szkolnej Z. N. P., sędziego B. F. Gunthera zarówno Kolegium jak i Instytut Techniczny otrzymały pełną akredytację od najwyższych władz szkolnych naszego kraju. — Kolegium Związkowe nie tylko wydaje stopnie naukowe od czasu otrzymania upoważnienia od "Midle States Association of Celleges and Secondary Schools", ale dyplomy z kolegium związkowego uprawniają abiturienta do wstępu do wszystkich bez wyjątku uczelni w całym kraju bez egzaminów.

W myśl równouprawnienia w Z. N. P., dziewczęta są dopuszczone do zapisywania się do Kolegium Z. N. P. i pobierają naukę na równi z młodzieżą męską, pozostając pod opieką specjalnych wychowawczyń.

Szkoła Związkowa pozostaje teraz pod kierownictwem prezydenta dr. A. P. Colemana, dziekanem i administratorem jest prof. J. Kolasa, zaś kierownikiem Instytutu Technicznego jest prof. Kruszka.



Sala rekreacyjna w Gmachu Mieszkalnym dla dziewcząt uczęszczających do Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, Pa.

PARAFIA ŚW. WOJCIECHA

Jedna z Najstarszych Parafii Polskich w Chicago



KSIĄDZ KANONIK KAZIMIERZ GRONKOWSKI, Proboszcz

Oraz Księża Wikarzy:
Ks. Zygmunt Andryaszkiewicz
Ks. Ryszard Jung
Ks. Kazimierz Kuszyński
Ks. Władysław Słowiak
Ks. Jan Kalata

Monografja miasteczka Cambridge Springs, Pa.



W PÓŁNOCNO-zachodniej Pennsylvanii, w sąsiedztwie "Wielkiego Jeziora Erie" i wysokich skalistych brzegów rzeki znanej w świecie ze słynnego wodospadu "Niagara", pośród pięknych równin i łagodnych wyżyn, na których przed niewielu jeszcze laty odwieczne lasy kryły mnóstwo dzikiego zwierza i przeróżnego ptactwa, u podnóża pasma gór "Allegheny", wśród łąk zielonych i pól uprawnych, rozsiadła się cicha i spokojna osada ludzka Cambridge Borough, teraźniejsze Cambridge Springs, Pa., miasteczko słynne ze znakomitych mineralnych wód kuracyjnych, czystego powietrza i zdrowego klimatu, a także ze wspaniałego gmachu polsko-amerykańskiego Kolegjum Z. N. P.

Przed mniej-więcej trzydziestu kilku laty, Cambridge Springs było nieliczną osadą zamieszkałą przez kilkadziesiąt rodzin, trudniących się wyrąbem odwiecznych drzew i lasów, rolnictwem, chowem bydła i drobiu. Ludność osady dostarczała ziemiopłodów mieszkańcom pobliskich miast fabrycznych, a z pracy w lasach jak i z rolnictwa dochód na potrzeby życiowe czerpała.

Dzięki odkryciu licznych i obfitych źródeł leczniczych wód mineralnych jak: "Lithia", "Magnesia", "Iron" i innych zdrowotnych wód krynicznych, Cambridge Springs stało się głośną miejscowością leczniczą i stacją klimatyczną, w której stopniowo budowano liczne i wygodne, bogato urządzone hotele, domy prywatne i piękne wille, w których w czasie od początku czerwca do końca września każdego roku przesuwa się 4—5 tysięcy obcych osób, szukających u źródeł wód leczniczych zdrowia, a w pięknej, cichej okolicy, niezatrutego dymem fabryk, czystego i świeżego powietrza, letniego wypoczynku.

Nie dziw więc, że wśród nowych warunków miejscowych z dawniejszej osady rolniczej powstało miasteczko czyste i schludne, w którym budowano i zakładano dobrze w przeróżne potrzeby życiowe zaopatrzone składy ubrań, konfekcji damskiej i dziecinnej, artykułów spożywczych, wyrobów ze złota i srebra, narzędzi rolniczych i przyborów elektrycznych, bogato zaopatrzonych sklepów żelaznych i naczyń kuchennych, magazynów meblowych, dywanów i t. p. urządzeń domowych. Nie brak tu także zegarmistrza i ele-

Widok mniejszych hoteli letnich.

ktrotechników, modniarek, składów materjałów opałowych i budulcowych, wielki skład mąki i nasion rolniczych W. A. Portera, dwa dobrze zaopatrzone i finansowo silne banki, z których jeden "Springs National Bank" drugi "First National Bank" nazwę swą nosi. W miasteczku Cambridge Springs jest także drukarnia, której właścicielem jest p. Ross, człowiek wykształcony i nader sympatyczny, wydaje miescową gazetę tygodniową "Enterprise" i jest serdecznym przyjacielem polsko-amerykańskiej młodzieży szkolnej.

Są tu także nieliczne fabryki, z których jedna pod firmą "Mohawk-Condensed Milk Co." kondensuje najlepsze mleko, które w hermetycznie zamkniętych puszkach w wielkiej ilości w świat wysyła. Oprócz tego produkuje ta fabryka doskonałe sery na sposób serów szwajcarskich wyrabiane. Mleka tej fabryce dostarczają liczni hodowcy bydła z dalszych i bliższych okolic. Mleko to bądź wozami i samochodami, bądź pociągami kolei żelaznej do Cambridge Springs zwożą.

W miejscu przed niedawnym czasem pożarem zniszczonej fabryki "Blystone Mfg. Co." powszechnie ceniony i szanowany burmistrz miasteczka p. Conroe, przyjaciel polskiej młodzieży szkolnej, pod umiejętnym kierownictwem zdolnego inżyniera budownictwa p. M. S. Stęczyńskiego, buduje nową wielką fabrykę maszyn, służących do przerabiania i przyrządzania cementu do budowy dróg i domów potrzebnego, produkcji piasku służącego na formy odlewów metali, automatycznych maszyn do wyrabiania bloków cementowych, których jedna z tych maszyn bez wysiłku około 3 tysięcy sztuk dziennie wyrabia.

Fabryka "Standard Trailor Co." wyrabia wózki do automobilów i inne przybory techniczną łączność z automobilami mające.

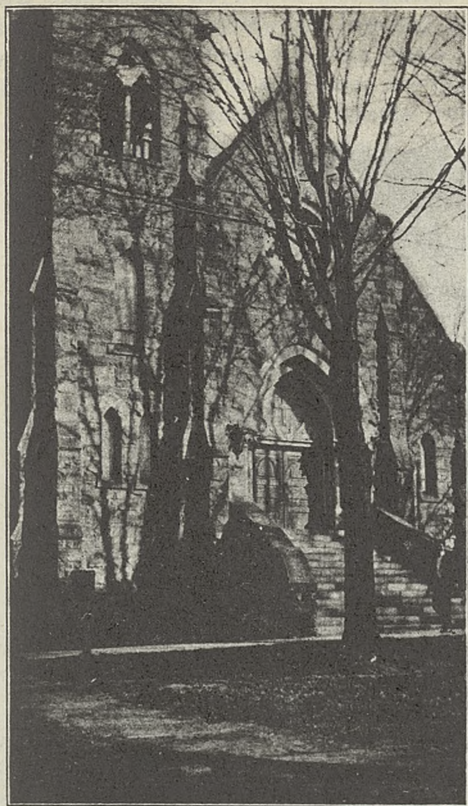
Bezpieczeństwo zdrowia publicznego spoczywa w ręku pięciu lekarzy medycyny i chirurgji, trzech lekarzy dentystów, dwuch okólistów, trzech dobrze zaopatrzonych aptek i dwuch prywatnych domów zdrowia.

W liczbie bogatszych sklepów znajduje się jeden polski, w którym można się zaopatrzyć w dobre gatunki tytoniu i cygar, przybory do palenia i wyroby cukrowe, a także pokrzepić się chłodnikami i wodą sodową w czasie gorących dni letnich. Są tam także książki lekkiej treści, papier listowy, zeszyty szkolne i przybory do pisania, jak niemniej agiencja gazet polskich, angielskich i pism perjodycznych różnej treści. Właścicielem tego handlu i narożnego domu piętrowego jest polak, p. S. Dybowski, długoletni związkowiec. Pp. Dybowscy cieszą się ogólną sympatją i poparciem studentów Kolegjalnych jak i miejscowej ludności. Fakt ten z przyjemnością w jubileuszowym Pamiętniku-Albumie notujemy jako dowód, że Polacy na obczyźnie, inteligencją, pilnością i zapobiegliwością, zgoła w niczym nie ustępują innym narodom kraj ten zamieszkującym.

Cambridge Springs posiada dwie szkoły publiczne, z których jedna wyższa, druga przygotowawcza. I do jednej i do drugiej uczęszcza młodzież szkolna obojga płci w tak znacznej liczbie, że szkolne władze miejscowe nie mogąc młodzieży w obu szkołach pomieścić, zakupiły miejsce pod budowę nowej szkoły, którą w najbliższym czasie budować mają. Mimo, że liczba ludności miaste-



Widok środkowej ulicy Main i rezydencje prywatne.



Rz.-kat. kościół pod wezwaniem św. Antoniego z Padwy.

czka nie przekracza liczby 1.600 osób, jest tu aż pięć kościołów różnych wyznań, wśród których jeden katolicki "irlandzki" pod wezwaniem Św. Antoniego z Padwy, zbudowany przed 12 laty staraniem ówczesnego proboszcza, obecnego biskupa dyecezji Erie, ks. Gannon'a.

Główna ulica Main jest najpiękniejszą częścią miasteczka, z której kilka szerokich ulic zaopatrzonych w wygodne chodniki konkretowe rozchodzi się na wszystkie strony. Wszystkie ulice obsadzone są drzewami, które w skwarne dni letnie chronią przechodniów od gorących promieni słońca.

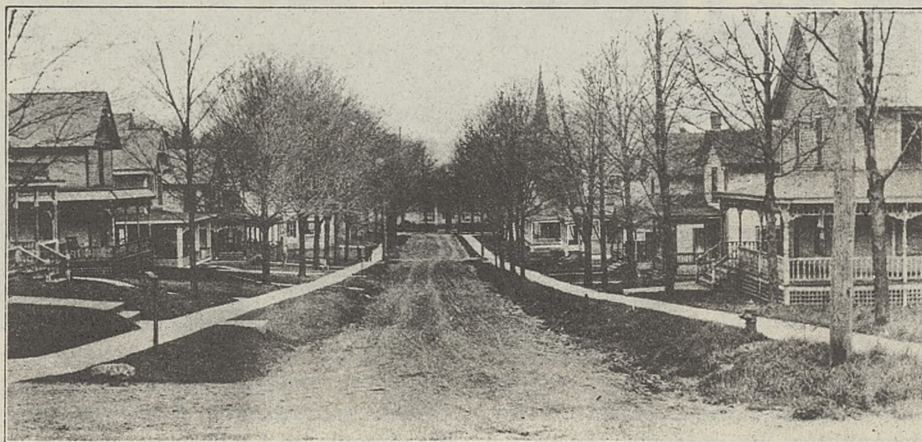
O kilka kroków od śródmieścia jest stacja kolei żelaznej Towarzystwa "Erie", która swą siecią łączy całą Amerykę od Nowego Yorku, na zachód aż do St. Francisco. Obok stacji kolejowej jest stacja kolei elektrycznej "Northwestern", która łączy miasteczko z większymi miastami, Erie i Meadville.

Dość duża i głęboka rzeka "French Creek" dzieli miasteczko na dwie połowy, które są połączone dwoma żelaznymi mostami. Prawa strona miasteczka nazywa się "Riverside", gdzie znajduje się tej samej nazwy piękny i bogato urządzony hotel, cieszący się zaufaniem gości najlepszej sfery społecznej.

Na lewym brzegu rzeki przy ulicy Main znajduje się jeden z największych hoteli, t. zw. "Hotel Bartlett", w którym podobnie, jak w hotelu "Riverside" tylko doborowa publiczność zamieszkuje. Oba hotele w sezonie letnim są przepełnione. W czasie sezonu praktykują grę w golfa i przejażdżkę po rzece, i w ten sposób kuracjusze uprzyjemniają sobie chwilę wypoczynku. Oba brzegi rzeki pokryte są szmaragdową zielenią traw i licznymi drzewami, kąpiącymi korony w lustrze czystej, spokojnie płynącej wody. Olbrzymie pole przeznaczone do gry w golfa, o ile pogoda służy, przez cały sezon letni od rana do wieczora jest zajęte.

"Idle Hour", teatrzyk obrazków migawkowych jest miłą rozrywką w czasie wieczorów letnich i zimowych.

Cambridge Springs ma także historyczną kartę swej przeszłości. Podczas wojny amerykańsko-francuskiej wzdłuż brzegu rzeki "French" wznosiły się okopy francuskiej armji, a także fortyfi-



Dalsza część ulicy Main i rezydencje prywatne.

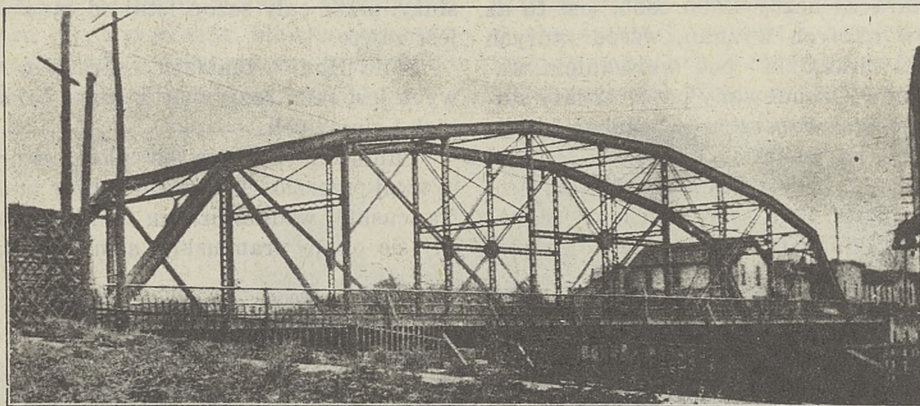
kacje amerykańskie. Do jednej z tych, t. j. "Venango" o trzy mile ang. od Cambridge Springs oddalonej, w roku 1753 z polecenia Dinwiddie'go gubernatora stanu Virginia, przybył najlepszy syn Ojczyzny, Jerzy Washington, jako poseł gubernatora. Washington odbywszy podróż, w swoim raporcie wspomniał o pięknej i zdrowej okolicy Cambridge Springs. Na pamiątkę pobytu Washingtona w tej okolicy, obywatele miasteczka w październiku 1921 r. przy odgłosie dętej orkiestry przy ul. Main odsłonili pomnik z napisem stosownym do historycznej przeszłości. W kilka tygodni później w parku miejskim odsłonięto pamiątkowy kamień w metalową płytę zaopatrzony, na której znajdują się nazwiska tych, którzy w ostatniej wojnie światowej w Europie udział brali. — Nazwiska bohaterów poległych na polu chwały oznaczono gwiazdką. Weterani, których nazwiska na płycie umieszczono, pochodzą z Cambridge Springs i okolicy. Mieszkańcy miasteczka z nielicznymi wyjątkami są to ludzie zamożni, żyjący z procentu od kapitałów. Są uprzejmi, grzeczni i nawzajem sobie pomagają w potrzebie.



Dworzec kolei żelaznej Tow. Erie.

W miesiącach zimowych Cambridge Springs smutny przedstawia widok. Nikogo z obcych nie widać oprócz agentów handlowych, których w całej Ameryce pełno. Na ulicach oprócz młodzieży szkolnej, nikogo nie widać. Liczne hotele, jak: Highland, Shady Lawn, Vienna, Rolnick i t. d., stoją pustką, wyczekując letniego sezonu, w którym się ożywią i od letników zaroją.

Cambridge Springs leży w połowie drogi pomiędzy Nowym Yorkiem a Chicago w trójkącie wielkich miast przemysłowo-handlowych jak: Pittsburgh, Cleveland i Buffalo i wznosi się na wyżynie 1800 stóp ponad poziomem morza.



Most na rzece French, który łączy obie strony miasteczka.

Związek Narodowy Polski wybrał dla szkoły kolegjalnej miejscowość wprost idealną jak drugiej znaleźć trudno. O samej szkole związkowej w niniejszym artykule nie wspominamy, bowiem poświęcamy jej osobną kartę historyczną.

Zdaje się, że w Cambridge Springs jest także jeden sklep wielkiej spółki żydowskiej, sklep artykułów spożywczych, w którym chrześcijanie są zatrudnieni. Bo i gdzieżby żydzi nie byli? Przyp. zecera.



Abiturjenci Kolegjum Związku N. P. z roku 1915-go.

Górny Rząd: A. Zajkowski, E. W. Karlak, B. W. Grabiak, J. W. Piotrowski, J. K. Wieński, J. Kielar.
Dolny Rząd: A. G. Stanczykiewicz, I. W. Raczkowski, A. S. Małek, B. S. Budrewicz.

Budrewicz Stanisław .... Nashua, N. H.
Grabiak Bolesław, Dr. Med. .... Mt. Pleasant, Pa.
Karlak Edmund .... Brooklyn, N. Y.
Kielar Józef, Dr. Med. .... Simpson, Pa.
Małłek Antoni, Dr. Med. .... Pittsburgh, Pa.
Piotrowski Jan, Chem. Eng. .... Ambridge, Pa.

Raczkowski Ignacy, W. Rev. w parafji św. Stanisława .... Buffalo, N. Y.
Stanczykiewicz Alfons .... Chicago, Ill.
Wieński Jan, Dr. Med. .... Stamford, Conn.
Zajkowski Antoni, Aptekarz .... Pittston, Pa.

Z BANKIETU URZĄDZONEGO DLA DYREKTORA ZNP., OBWÓD C., PANA HENRYKA DUDEK, komisarza Okręgu 6, p. Władysława Szczygieł i komisarki Okręgu 6 p. Leokadii Misiora w dniu 20 stycznia, 1952 w Philadelphia, Pa., staraniem Braci Związkowej. Od lewej do prawej — komisarka Okręgu 7 p. Helena Rozajewska-Dworczak; komisarka Okręgu 6-go p. Leokadia Misiora; dyrektor Henryk Dudek; wiceprezeska Zw. Nar. Pol. p. Franciszka Dymek; honorowa prezeska Wydziału Kobiet Okręgu 6 p. Józefa Niewodowska. Stoją—dyrektor Zw. Nar. Pol. p. J. Rudek i komisarz Okręgu 6-go p. Władysław Szczygieł.



DZIELNE ZWIĄZKOWCZYNIE, które interesują się sprawami Polski i Polonii Amerykańskiej, przy śniadaniu podczas Trzeciej Krajowej Konwencji Kongresu P. A. w maju, 1952 w Atlantic City, N. J. W pierwszym rzędzie siedzą: Maria G. Tuchewicz, komisarka Okręgu 4-go ZNP., Emilia Janowska, komisarka Okr. 8-go, Rozalia Wójcik, komisarka Okręgu 13-go; Leokadia Misiora, komisarka Okr. 6-go; Franciszka Dymek, wiceprezeska Z. N. P.; Maria Gierut, komisarka Okr. 12-go; Waleria Maćkowiak, komisarka Okr. 15-go. W drugim rzędzie stoją: Maria Godlewska, komisarka Okr. 11-go; Weronika Kopeć, komisarka Okr. 9-go; Janina Karolkiewicz, komisarka Okr. 1-go; Teodora Drozd, komisarka Okr. 2-go; Józefa Wolas, komisarka Okr. 10-go; Helena Rozajewska-Dworczak, komisarka Okr. 7-go; Władysława Podkomorska, komisarka Okr. 14-go; Wanda L. Słupska, komisarka Okr. 3-go.



WICEPREZESKA DYMEK WRĘCZA NAGRODĘ GM. 139 Z. N. P. — Na posiedzeniu wyborczym i instalacyjnym Gminy 139-tej Z.N.P. p. Franciszka Dymek, Wiceprezeska Z. N. P. i przewodnicząca Wydziału Oświaty Z. N. P. wręczyła prezesowi Gminy 139-tej Związku N. P. p. Henrykowi Spindor, plakiet, stanowiący pierwszą nagrodę za zdobycie pierwszego miejsca w Okręgu 12-tym Związku N.P. w zbiórce przeprowadzonej na Wysiedleńców podczas ostatniej uroczystości 3-go Maja. Na fotografii widzimy od strony lewej ku prawej: b. kom. Okręgu 12-go Z. N. P. p. Józ. Wójcika; b. dyr. Z. N. P. p. Franciszka Wróbel; p. Antoniego Kurantego, sekr. Gm. 139-tej; prezesa Gminy 139-tej; p. Henryka Spindor; panią Zofię Chmiel, wiceprezeskę Gminy 139-tej. Drugi rząd od lewej ku prawej stanowią: Franciszek Walski, kasjer Gminy 139-tej; naczelny lekarz Z. N. P. Dr. W. A. Sadlek, kom. Okr. 12-go Z. N. P. p. Michał Mokrzycki; p. Henryk Witek, wiceprezes Gm. 139-tej i pani Franciszka Dymek, Wiceprezeska oraz przewodnicząca Wydziału Oświaty Z. N. P.



Z UROCZYSTOŚCI WRĘCZENIA GMINIE 91 Z. N. P. PIERWSZEJ NAGRODY Wydziału Oświaty Z. N. P., zdobytej przez Gminę 91-szą w Okręgu 13-tym Z. N. P. w zbiórce na fundusz Wysiedleńców podczas ostatniej uroczystości Trzeciego Maja. Nagrodę na posiedzeniu Instalacyjnem Gminy 91 Z. N. P., dnia 22-go lutego, b. r., wręczył mec. p. A. A. Mazewski, dyrektor Z. N. P. i członek Wydziału Oświaty Z. N. P. Na zdjęciu widzimy delegatów i delegatki obecnych na posiedzeniu instalacyjnem Gminy 9- Z. N. P. oraz jej urzędników. Od lewej strony ku prawej siedzą jak następuje: Andrzej Gołąbek, sekr. prot; Edward Krysiński, prezes; mec. A. A. Mazewski, dyrektor Z. N. P.; Elżbieta Reczek, wiceprezeska; Janina Migała, b. dyr. Z. N. P.; Adam Maryanowski, wiceprezes; Alexander Kućma, kasjer; Jan Walkowicz, korespondent i Jan Michalski, sekr. finansowy.



Z UROCZYSTOŚCI WRĘCZENIA PLAKIETY WYDZIAŁU OŚWIATY Z. N. P. GMINIE 3-CIEJ jako drugiej nagrody zdobytej przez Gminę 3-cią Z. N. P. w Okręgu 13-tym Z. N. P. w zbiórce przeprowadzonej na Wysiedleńców podczas ostatniej uroczystości Trzeciego Maja. Posiedzenie instalacyjne odbyło się 27-go lutego, 1952. Sekretarz Jeneralny Związku Narodowego Polskiego p. Albin S. Szczerbowski wręczył Gminie 3-ciej Związku Nar. Pol. plakietę. Na zdjęciu widzimy urzędników Gminy 3-ciej Z.N.P. i p. Albina S. Szczerkowskiego, Sekr. Jeneralnego Z.N.P., wręczającego plakietę Wydziału Oświaty Z. N. P. prezesowi Gminy 3-ciej. Na fotografii od strony lewej ku prawej znajdują się następujący: L. Opara, wiceprezes; Rozalia Wójcik, Komisarka Okręgu 13-go Z.N.P.; dyr. Anna Zdunek, Wacław Andrzejewski, prezes Gm. 3-ciej; A. S. Szczerbowski, Sekr. Jen. Z.N.P.; Maria Milas, wiceprezeska; Wiktoria Kolman, sekretarz prot. Gminy; A. Zalesiak, marszałek; J. Szumilas, podmarszałek; J. Sobolewski, kasjer i Tadeusz Zieleń, sekr. finansowy.



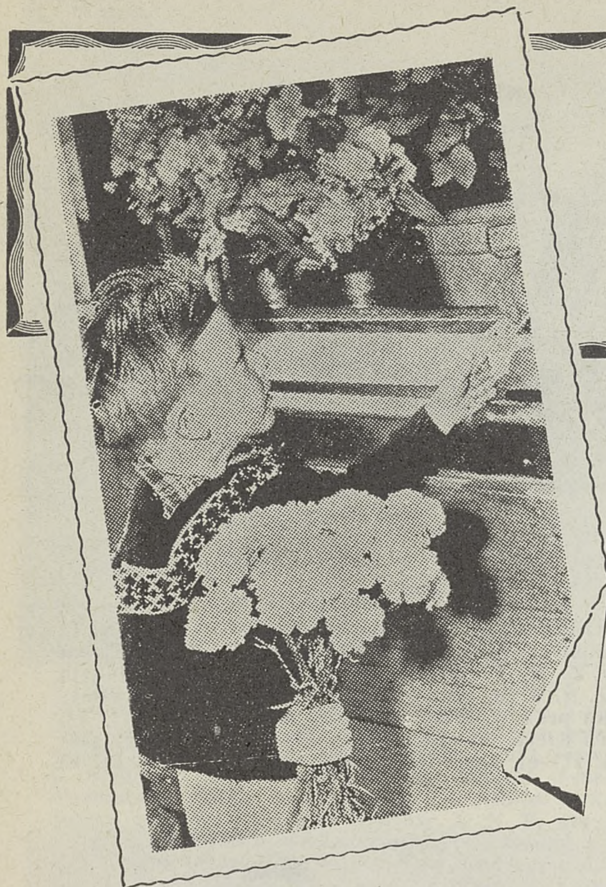
ZDJĘCIE FOTOGRAFICZNE DOKONANE NA POSIEDZENIU INSTALACYJNYM GM. 23 Z.N.P. w So. Chicago, 15-go lutego, 1952 podczas wręczenia Gminie przez p. Franciszkę Dymek, wiceprezeskę Z. N. P., przewodniczącą Wydz. Oświaty Z. N. P. plakiety, stanowiącej drugą nagrodę Wydziału Oświaty Z. N. P. za zdobycie 2-go miejsca przez Gminę 23-cią w przeprowadzonej zbiórce na Wysiedleńców w Okręgu 12-tym podczas ostatniej uroczystości Trzeciego Maja. Zebrani delegaci na posiedzeniu instalacyjnym Gminy 23-ej Z. N. P., w otoczeniu których p. Franciszka Dymek, wiceprezeska Z. N. P., przewodnicząca Wydz. Oświaty Z. N. P. wręcza p. Ludwikowi Witeckiemu, prezesowi Gminy 23-ciej zdobytą nagrodę Wydziału Oświaty. W rzędzie drugim od strony lewej ku prawej widzimy p. Marię Lisowską, zasłużoną działaczkę społeczno-narodową, sekretarkę protokółową Stow. Dobroczynności Z. N. P., pod której przewodnictwem, jako prezeski Komitetu Zbiórki odbyła się kolekta funduszu na Wysiedleńców w Gminie 23-ciej podczas ostatniej uroczystości Majowej.



Z UROCZYSTOŚCI WRĘCZENIA NAGRODY GMINIE 177 Z. N. P. przez Wydział Oświaty Z. N. P. na posiedzeniu instalacyjnem Gminy 177 odbytem dnia 22-go lutego. Skarbnik Z. N. P. p. Michał Tomaszkiewicz wręczył plakietę Wydziału Oświaty Z. N. P. stanowiącą trzecią nagrodę zdobytą przez Gminę 177-mą w zbiórce w Okręgu 13-tym Z. N. P. na fundusz Wysiedleńców podczas ostatniej uroczystości Trzeciego Maja. Od lewej strony ku prawej: Wład. Święton, sekr. fin. Gm. 177-ej; Helena Rutkowska, wiceprezeska Gm. 177-ej; Jakób Kieca, wiceprezes Gm. 177-ej; Michał Tomaszkiewicz, skarbnik Z. N. P.; Józef Kowal, prezes Gm. 177-ej; Józef Rutkowski, sekr. prot. Gm. 177-ej i Michał Storc, marszałek Gm. 177-ej.



Z INSTALACJI GMINY 123 Z.N.P.—Zdjęcie fotograficzne dokonane na wspólnej instalacji Zarządów Grup przynależnych do Gminy 123-ciej i Zarządu Gminy 123-ciej Z. N. P. podczas wręczenia Gminie 123-ciej plakietu przez dyr. Z. N. P. Katarzynę Ziembę-Dienes, stanowiącego trzecią nagrodę Wydziału Oświaty Z. N. P. za zdobycie przez Gminę 123-cią trzeciego miejsca w Okręgu 12 w zbiórce przeprowadzonej na Wysiedleńców podczas ostatniej uroczystości Trzeciego Maja. Na fotografii widzimy w pierwszym rzędzie, ze strony lewej ku prawej:—p. Pawła Kubalicę, marszałka Gm. 123-ciej; dyr. Z. N. P. Katarzynę Ziembę-Dienes; prezesa Gminy 123-ciej, p. Tomasza Paczyńskiego; wiceprezeskę Gminy 123-ciej, p. Bronisławę Kluczyńską i p. Henryka Piaseckiego. wice prezesa Gminy 123-ciej. W drugim rzędzie od strony lewej ku prawej znajdują się:—Andrzej Kopec, kasjer Gminy 123-ciej; Stanisław Koszola, sekr. Gm. 123-ciej i sekretarz Gminy 123-ciej p. Kazimierz Tomaczak.



Zbiór Powinszowań

Dla Rodziców

O najdrożsi, od łez i burz
Niech Was ochrania Wasz Anioł Stróż,
I niech prowadzi przez całe życie,
Po drodze kwieciem, słanej obficie.

Ojcze kochany i Ty Matko droga,
Czego mamy pragnąć od Pana Boga.
Otóż prosimy niech Wam wynagrodzi,
Niech się Rodzicom we wszystkim powodzi.
Za łaski świadczone, dobre wychowanie,
Składamy wdzięczności i uszanowanie.
Stąd przy dzisiejszej uroczystości,
Serca nasze pełne są wdzięczności.
Dlatego też starać się będziemy w każdej chwili
Abyście z nas wielkiej pociechy dożyli.

Na Dzień Matki

Dzisiaj, jak codzień rano,
zerwałaś się do pracy.
Wstajesz tak wcześnie, mamo,
o świcie, niby ptacy.

Poczekaj — takaś zajęta —
Odłóż na chwilę robotę,
bo to dziś wielkie święto —
czyś zapomniała o tym?

Patrz — głowy przy twych kolanach
nas dzieci, cała gromadka.
Chcemy Ci rzec coś, kochana —
coś o czym mówi się rzadko.

Porzuć na chwilę troski,
uśmiechnij się inaczej.
Patrz, jakie ręce masz szorstkie
od tej codziennej pracy.

I oczy też masz zmęczone —
kochane twoje oczy.
My wiemy, dla nas one
czuwają długo w nocy.

Ty może myślisz: ot dzieci —
nie wiedzą, nie spostrzegą...
Gdzieś to wciąż biegnie, gdzieś leci.
Nie zauważą niczego.

My rozumiemy: to dla nas
tak męczysz się, tak trudzisz,
bo pracy trzeba nielada,
nim z dzieci wyrosną ludzie.

Pogłaszcz nas szorstką ręką,
nas dzieci, twoją gromadkę;
kochamy Cię, Mateńko,
choć mówi się o tym rzadko.

Kochamy Cię, — Ty wiesz o tym —
tak, jak nikogo na ziemi.
Uśmiechnij się do nas, Mateńko,
szczęśliwą bądź z dziećmi Twymi.

Dla Ojca

Ubranie, książki, rozrywkę nieraz —
Wszystko to mamy dzięki Twej pracy,
Która Ci brózdy na czole zbiera
I twardym trudem każdy dzień znaczy.

My ze swej strony Ci przyrzekamy
Pilnie się uczyć w szkole i w domu,
By Wam obojgu — Ojcu i Mamie
Już jaknaprędzej w pracy dopomóc.

My się bawimy, Tatku kochany,
A Ty pracujesz całymi dniami;
Myśmy weseli i roześmiani,
A Tyś zmęczony, smutny czasami.

Lecz śmiej się razem z nami radośnie,
Rok zbiegnie szybko, drugi i trzeci,
Ani spostrzeżesz, jak Ci wyrośnie
Pomoc przy pracy z Twych małych dzieci.

Dla Babki i Dziadka w 25-rocznicę ślubu

Niechaj Babuni i Dziaduniowi
Pan Bóg da dużo szczęścia i zdrowia,
Niech ześle łaski swoje obficie
I da obojgu najdłuższe życie,
By wśród duchowej mogli pogody
Radośnie święcić swe złote gody!

Jak cicho potoki płyną po zielonej niwie,
Niech Wam kochani Rodzice tak życie płynie
[mile i szczęśliwie!
Para Jubilatów niech nam żyje!
Niech echo do Polski się odbije!

Od chwili, w której przed Pańskim Ołtarzem
Stuła kapłańska ręce Wam związała,
Dwadzieścia pięć lat przeżyliście razem,
A łaska Boża w życiu Was wspierała.

I błogosławił Wam Bóg w Swej dobroci,
Bo Was otoczył gronem lubych dziatek.
Zadowoleniem życie Wasze złoci
Darzy Was zdrowiem i mnoży dostatek.

Dziś związani powtórnie, idziecie w życie dalej,
Powtórni nowożeńcy z pogodą na twarzy
Niechaj Wam Bóg nadal zdrowia udziela
Byście złotego dożyli wesela.

Dwadzieścia pięć lat już mija od chwili,
Jak żeście się wieńcem zielonym złączyli.
Żyliście w zgodzie przez dwadzieścia pięć latek,
Przechodząc wesołość, nędzę i dostatek.
Niech Bóg Wszechmocny nadal błogosławi,
Aż do chwili aby Złotego Wesela dożyli.

Dla Babki

Babuniu droga, żyjesz na świecie
Latek równiutkich szereg już długi —
Nić srebrna w włosach Twoich się plecie
Życie Twe wielkie miało zasługi.

Ja ledwo stoję na życia progu,
Mało wiem jeszcze, zdołam niewiele,
Ale się modlić umiem do Boga
Szczerze i prosto, ufnie i śmiele.

Więc codzień modlę się najgoręcej,
Usilnie proszę w paciorka słowach:
Byś nie cierpiała nigdy już więcej,
Byś długo żyła i była zdrowa!

Dla Dziadka

Zamiast, Dziadku, składać w rymy
Miłość, którą serca mieszczą,
My u Bozi wyprosimy,
Byś nam żył do stu lat jeszcze!

Do zabaw z nami zawsześ gotowy,
Więc Cię kochamy ze wszystkich sił!
Obyś nam zawsze krzepki i zdrowy,
Dziaduniu drogi, sto latek żył!

W 50-tą rocznicę ślubu

50 lat minęło życia wspólnego,
Na rozkaz Boski zaczynacie okres nowy.
Niech Wam smutek nie trapi głowy,
Niech życie Wasze płynie spokojnie,
Niech Bóg Was darzy swymi łaskami hojnie.

Dla Proboszcza

W dniu jubileuszu cóż damy Ci więcej
Prócz kwiecia i naszej wdzięczności dziecięcej?
Wszak życzyć umiemy, Pasterzu kochany,
Tylko w prostej mowie słów niewyszukanych.

Lecz Ty nas zrozumiesz, bo nieraz z ambony
Do dzieci przemawiasz, miłością natchniony,
Nas szukasz spojrzeniem, choć wkoło tłum ludzi,
By w sercach najmłodszych głos Boży obudzić.

Ty uczysz, jak wiarą i prawdą żyć trzeba,
Jak dążyć miłością i walką — do nieba,
Na ścieżynie cnoty pewne stawiać kroki,
Omijać występku gościniec szeroki.

Dzisiaj godnych życzeń próżno serce szuka,
Więc za twym przykładem i Twoją nauką
Wznosimy modlitwę do nieba w pokorze:
Księdzu Proboszczowi we wszystkim — Szczęść
[Boże!

Na Dzień Matki lub na Imieniny

Mamusiu moja droga! Kiedym była mała,
Tyś mnie do snu piosenką słodką kołysała,
Tyś gładziła mą głowę delikatną ręką,
Słów najpierwszych uczyłaś tylko Ty, Mateńko.

A gdy najmłodsze lata minęły dziecięce,
Kierowały mną zawsze Twe kochane ręce,
W takt kroków Twoich biło me ufne serduszko
Gdy wiodłaś mnie ostrożnie w świat — dobroci [dróżką.

Teraz, gdy biegną ku mnie nowe, barwne chwile,
W których pragnę zadawać pytań różnych tyle
Czyim ustom odpowiedź ciekawą powierzę?
Tylko Twoje, Mateczko, powiedzą mi szczerze.

Tyś tak dobra, a jednak ja smucę Cię nieraz,
Choć i tak czasem oko Twoje łzami wzbiera...
Lecz już nigdy Cię martwić nie będę! Wiesz [przecie
Że Cię kocham, Mateczko, najbardziej na [świecie.

Wiele jest cierpień na świecie,
Tyś nieraz smutna, Mateńko,
Ale ja mogę być przecie
Pociechą, chociaż maleńką.

Będę posłuszna i grzeczna,
Rączkami szyję otoczę,
Może zabłysną słonecznie
Mateńki kochanej oczy.

To wszystko, co posiadam, Mateczko jedyna,
Zdobyłam z Twoją radą, za Twoją przyczyną.

Tyś pierwsza do pacierza złożyła mi ręce,
Tyś kształtowała w główce mej myśli dziecięce.

Nieraz sukienkę moją późną szyjesz nocą,
A w nauce najlepszą jesteś mi pomocą.

Silna duszą, dla ludzi przyjazna, życzliwa,
Uczysz mnie, jak mam mocno zasady zdobywać.

Jak każdy dzień przepędzić zbożnie, pracowicie,
I z uśmiechem pogodnym dzielnie przejść przez [życie.

Szczerze Mamusiu, pragnę, by te drogie rady
Dopomogły mi zawsze w Twoje dążyć ślady.

A dla Ciebie, nim życiem wdzięczności dowiodę,
Niechaj miłość ma będzie choć małą nagrodą.



Każdy dziś życzy Mamusi drogiej;
Czym Ją obdarzyć, ach nie wiem sam!
Jestem malutki, więc cóż dać mogę?
Choć serdecznego buziaka dam!

Jam Cię smucił nieraz, droga moja Mamo,
I, pomimo próśb Twoich, choć wiem, że to boli,
W parę chwilek zaledwie czyniłem to samo,
Lecz wierz mi, z zapomnienia, a nie ze złej woli.

Dziś przepraszam Cię za to, w dniu Twoich [Imienin
O przewinieniach moich, proszę, nie pamiętaj,
Gdyż całym sercem pragnę poprawić się, [zmienić,
Tą szczerą obietnicą umilić Twe święto.

Dla Ojca na Imieniny

W dniu Imienin mały synek
Z serca składa upominek:
Już nie będę broił więcej,
Bo Cię kocham najgoręcej!

Liczę już pięć latek, jestem chłopczyk duży,
I chociaż nie umiem ładnych złożyć słów,
Życzę Tatusiowi, by żył jaknajdłużej,
Był zawsze szczęśliwy, wesoły i zdrów!

Dla Proboszcza

Niech Ci Bóg szczęści i błogosławi w Twej pracy, drogi Kapłanie, który na chwałę Bogu, a na pożytek i pocieszenie dusz naszych, tak ojcownie i z takim pożytkiem pracujesz.

Szczęść Boże na długie lata życia i pracy!

Zacny Księże dziś przed Tobą
Wierne dzieci stoją społem
Z przepełnionym szczęścia sercem
Z pochylonym przez cześć czołem.

Nasz szacunek, wdzięczność wielką
My, pragniemy Ci wyrazić
Całym sercem, bez obłudy
Za Twą dobroć, za Twe trudy.

Żyj nam długo duszpasterzu
W pośród Twoich wiernych dzieci,
Niech przez Twoje życie całe
Gwiazda szczęścia zawsze świeci.

Czcigodny Księże Proboszczu!
W dniu Twego Imienia,
Składamy Ci serdeczne życzenia
Szczęścia i błogosławieństwa Bożego,
Oraz zdrowia do szerzenia słowa Bożego.

Ojcze Wielebny, Zacny Kapłanie,
I my w tym dniu dzisiejszym Imienia,
Składamy najserdeczniejsze życzenia,
Niech Pan Bóg czerstwym zdrowiem darzy,
Byś długo jeszcze u Pańskich ołtarzy,
Błagał za nami Boga Najwyższego.

Najczcigodniejszy Kapłanie,
Ty znasz nasze przywiązanie.
Ty wiesz, że Cię kochamy,
Dlatego Ci dziś składamy:
Nasze najszczersze życzenia,
Za Twoje poświęcenia.
Za Twe trudy i prace,
Za to życie tułacze,
Niech Ci Pan Bóg udziela
Zdrowia, szczęścia i wesela.

W dniu Imienin, Czcigodny Kapłanie,
Życzą Ci Twoi parafianie,
Szczęścia i zdrowia czerstwego,
Przede wszystkim jednak:
Błogosławieństwa Bożego.
Pragniemy aby się nasze spełniły życzenia,
Abyś Kapłanie osiągnął koronę zbawienia,
I tam przed Stwórcy naszego tronem,
Zażywał chwały ze swym patronem.

W dniu Twych zacnych Imienin,
Składamy Ci, z serca płynące, dużo życzeń.
By Bóg raczył wynagrodzić Tobie
Za trudy poniesione za nas.
By Bóg dał długie życie Tobie
I wieczne szczęście w niebie raz.
Prosimy Boga, by Ci dał:
Siły — światło — męstwo.
Byś nas dalej pokierował
Poprzez przeszkód zwycięsko.

Dla Ks. Patrona

Jak długo apostołujesz pomiędzy nami,
Jako pasterz między owieczkami,
Tak my Tobie dziś, w dzień św. Patrona Twego,
[wierni parafianie,
Nasze najserdeczniejsze życzenia do nóg Twoich
[składamy.
Żyj nam długo wśród nas bezpiecznie,
A po znojnej i zbożnej pracy,
Będziemy modły zanosić do Stwórcy naszego,
Abyś otrzymał zapłatę w szczęśliwości wiecznej!

Na przyjazd dostojnika kościelnego

Witamy Ciebie, Gościu nasz dostojny,
Któryś w te progi raczył wstąpić skromne.
Niesiemy Tobie, zamiast darów hojnych,
Serca, godności Twej i zasług pomne.

Przyjm hołd od nas, Czcigodny Pasterzu,
Za Twe zasługi i za pracę Twoją,
Za to, że krzepisz lud swój w ojców wierze
Pociechą z Sakramentów zdroju.

I przyjm życzenie, Gościu Świątobliwy,
Byś nadal Bożą łaską umocniony,
Ze świętych łanów Swej pasterskiej niwy
Jak najobfitsze długo zbierał plony.



Kupcie Sobie

ELEKTRYCZNĄ MASZYNĘ

Do Osuszania

— *jest ona lepsza, ponieważ jest* *cała* *Elektryczna!*

Znaczy to, że otrzymujecie bezpieczne, czyste, niezawodne gorąco — niema sadzy, któraby mogła zabrudzić, niema wyziewów, mogący uszkodzić delikatne materie. Jest to gorąco tak czyste, jak elektryczne światło — i tak łatwo w użyciu! Elektryczną maszynę do osuszania możecie ustawić gdziekolwiek — nawet w kuchni, jeżeli chcecie. Dolar za dolara, zaletą za zaletę — najwięcej wam da Elektryczna Masyna do Osuszania!

COMMONWEALTH EDISON COMPANY



ZE ZJAZDU KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ odbytego w Atlantic City, N. J. w Chelsea Hotel w dniach od 30-go maja do 1-go czerwca, 1952 r.



DELEGACI I DELEGATKI ZJAZDU KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ jaki odbył się w Atlantic City, N. J. w dniach od 30-go maja do 1-go czerwca, 1952 r., w Chelsea Hotel. Powyżej rzut oka na fragment sali zjazdowej.



UROCZYSTY MOMENT SKŁADANIA PRZYSIĘGI przez nowo obrany Zarząd Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przysięgę odbiera Ks. Alojzy Staszkiewicz, a składają ją prezes Karol Rozmarek, Ks. Walerian Karcz, sekretarz; sędzia Tadeusz Adesko, Ign. Nurkiewicz i Dr. Karol Smołczyński, wiceprezesi; Innymi urzędnikami, którzy weszli w skład zarządu Kongresu, a których nie można zauważyć na fotografii to:—Teofil Sawicki, M. Amlicke, sędzia B. F. Gunther, M. Dombrowski, J. Pukanty, dyrektorzy; Edw. Kozmor, wiceprezes; Leon Knoll, dyrektor; Jan A. Stanek, skarbnik; A. Grudziński i B. Migała, dyrektorzy; Adela Łagodzińska, Maria Korpanty, wiceprezeski; Zakrzewski, Franciszka Dymek, A. Wojsowski i Benjamin Leśniak, dyrektorzy.



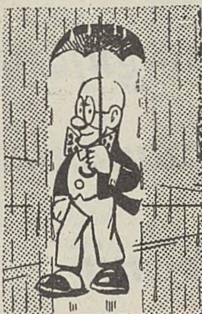
DELEGACI I DELEGATKI ZJAZDU KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ jaki odbył się w Atlantic City, N. J. w dniach od 30-go maja do 1-go czerwca, 1952 r., w Chelsea Hotel. Powyżej rzut oka na fragment sali zjazdowej.

Jaka będzie pogoda

Od czasu istnienia ludzkości człowiek stara się odkryć tajemnicę przewidywania pogody za pomocą znaków, jakie obserwuje na niebie, w powietrzu, lub na ziemi. W tym celu też ludzie wiedzy skonstruowali różne aparaty oraz utworzyli tak zwane stacje meteorologiczne, za pomocą których informują na podstawie wiedzy o mającej nastąpić pogodzie.

Przeciętny człowiek, czy to pracownik umysłowy, robotnik, rolnik itp., który nieraz nie posiada nawet barometru woli od dawna swoje „własne" przewidywania pogody i wie, że......

Zanosi się na deszcz...



1) gdy z zachodniej części nieba szybko nadciągają chmury pierzaste.

2) Jeżeli po ukazaniu się takich szybko poruszających się chmur pierzastych, nieboskłon pokrywa się stopniowo delikatną oponą warstwowych i w szeregi rozłożonych chmurek (t. zw. baranki).

3) Gdy kierunek ruchu chmur nie odpowiada kierunkowi wiatru w warstwie dolnej i wykazuje widoczne odchylenie na prawo.

4) Gdy na znacznej części nieba przechodzą w wyciągniętych pasach chmury pierzaste, wyglądające tak, jakgdyby strzeliste wychodziły z jednego punktu na horyzoncie.

5) Gdy chmury kłębiaste trwają do wieczora i nie rozpraszają się.

6) Gdy w ciągu kolejnych dni o jasnej pogodzie kierunek wiatru pozostaje stały z nieznacznymi zmianami w ciągu dnia, w razie raptownej zmiany kierunku wiatru.

7) Jeżeli dzień był jasny, a chmury ukazują się dopiero ku wieczorowi, stopniowo wzrastając i stając się grubszymi.

8) Gdy wiatr ku wieczorowi staje się silniejszym, można oczekiwać długotrwałego deszczu lub burzy; gdy nie ustaje i przy tym zmienia swój kierunek z biegiem słońca.

9) Gdy powietrze jest nadzwyczaj jasne, tak że w okolicach górskich zarysy bardzo odległych przedmiotów dają się dokładnie odróżnić.

10) Gdy po upalnych dniach letnich brak rosy.

11) Gdy księżyc otoczony jest kręgami (wieńce) o małej średnicy.

12) Gdy na tle wschodzącego lub zachodzącego słońca występują barwy purpurowe.

Zanosi się na burzę...



1) Jeżeli chmury kłębiaste szybko rosną, występując w formie spiętrzonych wałów, a spód ich ma kierunek poziomy.

2) Gdy bardzo wysoka chmura kłębiasta przemienia się w chmurę burzową, z której części górnej wychodzą promieniste chmury pierzaste, lub której część górna rozchodzi się w kształcie grzyba, to przy wilgotności powietrza.

3) Gdy rano lub w ciągu dnia widoczne się stają „baranki", lub gdy ku wieczorowi podnoszą się chmury kłębiasto-warstwowe.

4) Gdy w ciągu dnia letniego i jasnej pogody chmury mają przeważnie charakter warstwowo-kłębiasty, burze nocne powtarzają się często przez kilka nocy zrzędu.

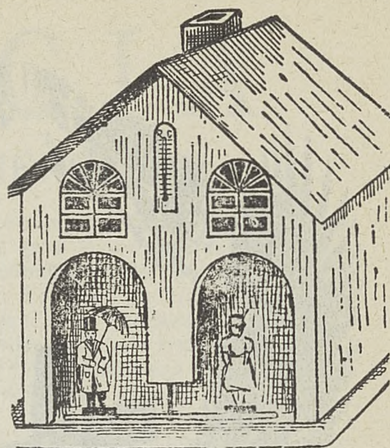
5) Gdy słabe lub z oddali pochodzące dźwięki dają się szczególnie wyraźnie słyszeć, jest to oznaką wielkiej wilgotności warstw dolnych powietrza i to być może zwiastunem burzy lub opadów.

6) Jeżeli na dolnej powierzchni nadciągającej chmury burzowej występują stopniowo liczne, okrągłe i na dół skierowane wyrostki, jest to oznaką, że chmura ulegnie rozproszeniu bez burzy.

Roztargniony profesor

Profesor Mądralski zamiast listu, wsadził parasol do skrzynki pocztowej.





Mowa barometru

1) Jeżeli barometr spada bez przerwy w ciągu całego dnia, to można oczekiwać zbliżania się depresji wtórnej, a wraz z nią związanych z tym stanem pogody opadów i wiatru.

2) Jeżeli barometr spada bardzo szybko, to prawdopodobna jest burza.

3) Gdy barometr podnosi się powoli i bez przerwy w ciągu kilku dni, to można oczekiwać ładnej pogody w ciągu dłuższego czasu.

Zanosi się na pogodę...



1) Gdy niewielkie chmury kłębiaste ciągną po niebie w tym samym kierunku, co i wiatr nad powierzchnią ziemi.

2) Gdy widoczne są w ciągu dnia tylko poszczególne chmury, ginące ku wieczorowi.

3) Gdy w nocy panuje cisza, a rano w parę godzin po wschowia się lekki wiedzie słońca, pojatrzyk, który stopniowo wzmacnia się ku południowi, aby znów osłabnąć ku wieczorowi.

4) Gdy dzień jest gorący, a noc chłodna lub zimna.

5) Silna rosa zapowiada dobrą pogodę, a sucha mgła towarzyszy zazwyczaj suszy i upałom.

6) Gdy na słońcu, zachodzącym przy jasnym niebie, widać przez czas długi białosrebrzystą smugę bez wyraźnych granic.

7) Gdy niebo wczesnym rankiem nie jest zachmurzone, a natomiast koło 10 rano ukazują się okrągławe chmury pierzaste, które zbierają się w liczbie rosnącej aż do godzin południowych, aby ku wieczorowi ulec rozproszeniu.

8) Gdy wieczorem w miejscach niżej położonych tworzy się mgła, która znika następnie w czasie wschodu słońca.

9) Gdy w nocy jest wyraźnie cieplej w lesie niż na polu.

10) Gdy chmury pierzaste ciągną ze wschodu.

ASTROLOGJA

ONGI NAUKA — DZIŚ SZALBIERSTWO

WSPOMINALIŚMY niedawno, pisząc o wróżbitach-szarlatanach, że niektórzy z nich podają się za astrologów i z dziwacznych, bardzo trudnych obliczeń wyprowadzają horoskopy — to znaczy sądy gwiazd o ludziach i wypadkach.

Każdy rozumny człowiek dzisiejszy odrazu wzruszy ramionami i owych astrologów uzna za oszustów lub — w najlepszym razie — poczciwych durniów. A przecież jeszcze nie tak dawno, bo 150 do 200 lat temu, ze zdaniem astrologów liczyli się nawet mądrzy i wykształceni ludzie.

Skąd to pochodzi?... Skąd tak odmienny stosunek do astrologji i jej zwoleniknów?...

Oto stąd, że dziś nawet zupełny prostak żadnej nie ma wątpliwości, iż gwiazdy są to ciała niebieskie, podobne do naszej ziemi i naszego słońca. Dawniej natomiast długo kołatało się przypuszczenie, że są to dusze zmarłych przodków, spoglądające na nas z nieba i interesujące się wszystkiem tem, co my tu na ziemi robimy. Samą ową ziemię uważano przez długie wieki za ośrodek wszechświata. Dokoła niej miało obracać się słońce; wszystko, co się działo na firmamencie, pradziadowie nasi wyobrażali sobie, że odbywa się z wyłączną myślą o nich — dla korzyści, lub na szkodę człowieka.

Pochodziło to, rzecz prosta, z grubej nieświadomości istoty rzeczy. Równocześnie pozwalało wierzyć w istnienie na niebie znaków, dających nam możność odgadywania jego względem nas zamiarów.



Astrologowie. Drzeworyt Holbeina z XVI w.

Poszukiwanie owych właśnie znaków zrodziło konieczność bacznego obserwowania wszystkiego, co się na niebie dzieje. Pojawili się tedy specjaliści, którzy zadanie to wzięli na siebie. Należało ono z początku przedewszystkiem do kapłanów, zawodowo uprawiających wróżbiarstwo i ciągnących z tego poważne zyski. W miarę jednak mnożenia się spostrzeżeń i przybywania wiadomości badanie zjawisk niebieskich ulegało coraz większej, coraz ściślejszej specjalizacji, aż w końcu zamieniło się w odrębną i bardzo trudną naukę. Gromadziła ona coraz więcej zupełnie trafnych i ścisłych obliczeń, dotyczących ruchu ciał niebieskich. Same jednak owe ciała pozostawały tajemnicą. Stopniowo z dusz przodków wyobraźnia ludzka zamieniała je w bóstwa, w dalszym ciągu jednak prawda pozostawała ukryta i zbadać się nie dająca. Chociaż więc badacze obserwowali ściśle, obliczali trafnie — wnioski z tych obserwacji i obliczeń wyprowadzali naiwne.

Oto, naprzykład, zauważono, iż słońce wschodzi w coraz to innem, zależnie od miesiąca, otoczeniu gwiazd. Dwanaście owych grup nazwano Zwierzyńcem, albo Zodjakiem, każdą zaś grupę — konstelacją, czyli gwiazdozbiorem. Upatrując w figurach, tworzonych przez gwiazdy, podobieństwo do rozmaitych istot lub rzeczy (podobieństwo, zresztą, często nader wątpliwe), nadano konstelacjom nazwy. A mianowicie: 1. Baran, 2. Byk, 3. Bliźnięta, 4. Rak, 5. Lew, 6. Panna, 7. Waga, 8. Niedźwiadek, 9. Strzelec, 10. Koziorożec, 11. Wodnik, 12. Ryby.

Niezawsze rysunek figur, tworzonych przez gwiazdy, decydował o nazwie konstelacji. Brane były pod uwagę inne jeszcze okoliczności. Oto naprzykład Wodnikiem nazwano grupę gwiazd, w której pokazywało się słońce w okresie deszczowym; Wagą — kiedy następowało zrównanie



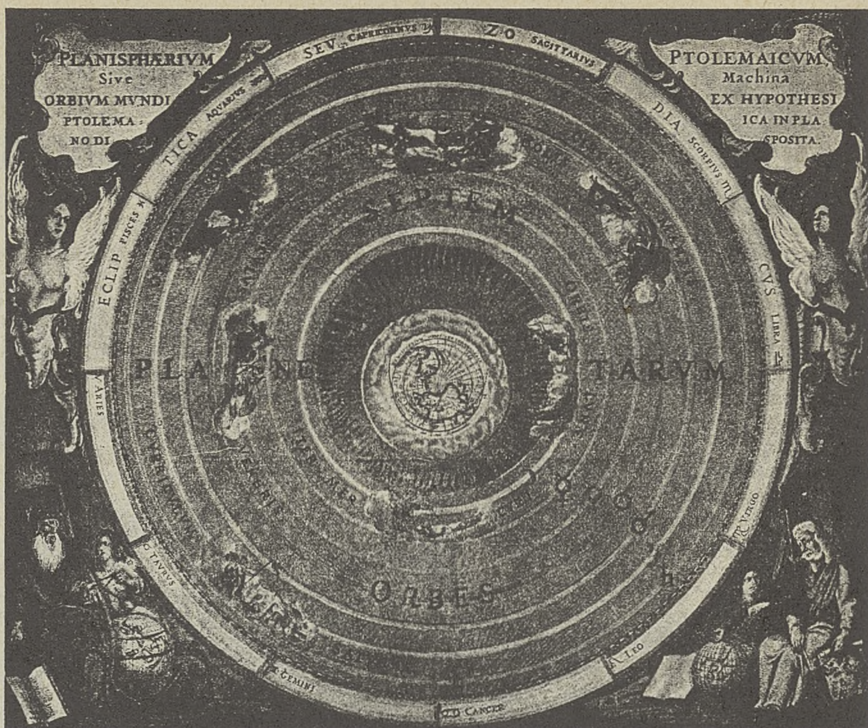
Starożytny zodjak hinduski.



Wpływ planet według drzeworytu z XV w.

dnia z nocą; Lwem — gdy słońce wykazywało najwięcej siły... Właśnie w nadawaniu tych imion kryje się błąd, popełniany przez starożytnych uczonych. Im się zdawało, że konstelacje nadają zjawiającemu się na ich obszarze słońcu taki lub owaki charakter. One czynią je raz płaczliwem, kiedyindziej radosnem, chłodnem, gorącem i tak dalej.

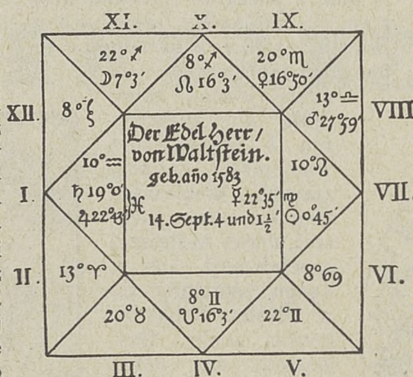
Następnie rozumowano, że skoro dany gwiazdozbiór może tak potężny wywierać wpływ na słońce — — przez wiele ludów poczytywane za naczelne bóstwo — to tem bardziej decydować musi o losach narodów i poszczególnych ludzi.



System Ptolomeusza.

Przekonania te, a a raczej złudzenia, powtarzają się u wszystkich ludów w zaraniu ich cywilizacji. Zodjak i jego podział spotykamy tak samo u Greków jak Chaldejczyków, u Hindusów jak Chińczyków. Różnice ograniczają się jedynie do szczegółów; inne mogą być tu i owdzie przedstawiane istoty i ich nazwy. Więc naprzykład Zwierzyniec niebieski według Chińczyków przedstawiał odrębną menażerję. Mianowicie, tworzyły go: 1. Szczur, 2. Wół, 3. Tygrys, 4. Zając, 5. Smok, 6. Wąż, 7. Koń, 8. Koza, 9. Małpa, 10. Kogut, 11. Pies, 12. Wieprz.

Zodjak, znany w Europie i przez nią przyjęty, pochodzi z Chaldei. Jest wytworem kultury semickiej. W Chaldei wróżbiarstwo z gwiazd było ściśle związane z wierzeniami religijnemi. Nakazywały one szacunek i głęboki kult wobec gwiazd, to jest dusz przodków. Obserwowanie nieba kapłani tamtejsi uważali za swój wyłączny przywilej — tak, że świątynie chaldejskie budowano jako obserwatorja astronomiczne. Znana z Biblji wieża Babel też miała być takiem właśnie obserwatorjum. Pięć gwiazd uznali kapłani chaldejscy za naczelne bóstwa. Były to: Jowisz, Merkury, Wenus, Mars, Saturn. Planety te — jak zauważono — posiadają drogi nie tak szablonowe i ściśle powtarzające się, jak inne gwiazdy. Uważano więc, iż poruszają się wedle własnej woli, jak same chcą. Otóż właśnie z ich ruchów,



Horoskop Keplera.

sądzono, można zgadywać bogów wolę.

Oczywiście, nietylko ruchy planet charakteryzowały ich istotę. Brano też pod uwagę inne okoliczności. Dlaczego naprzykład Mars uchodził za boga wojny? Oto dlatego, że jego czerwone światło przypominało krew. Nieoczekiwane a silniejsze ruchy tej gwiazdy poczytywano za wróżbę niepokojącą... Bóg wojny szykuje się, coś zamierza... Źle! Niemniej lękano się i Saturna. W jego świetle bladem, ruchach powolnych, w jego wielkiej odległości od słońca widziano coś tajemniczego, śmiertelnego, jakiś strach budzący chłód... Natomiast silne i piękne światło Jowisza, a również i Wenus wlewało otuchę; w ruchach tych planet dobrą widziano wróżbę. Jowisz wyróżnienie swe zawdzięczał również temu, że świeci dłużej aniżeli inne gwiazdy, że błyszczy całą noc wtedy nawet, kiedy słońce jest po przeciwnej stronie (tak zwana "opozycja Jowisza"). Wreszcie Merkury, znajdujący się stale wpobliżu słońca, uchodził za jego sekretarza, totumfackiego, faktora. Stąd prawdopodobnie poszło, że zarówno przez Greków (Hermes), jak i Rzymian uważany był za patrona kupców i posłańców.

Za pana całego nieba, oraz przedstawiciela męskości poczytywano słońce. Księżyc nato-

miast uchodził za wcielenie właściwości kobiecych.

Te i tym podobne "prawdy" o ciałach niebieskich starożytni kapłani uważali za wielką swoją tajemnicę. Nie zdradzali ich przed ogółem i spisywali w księgach świętych, pilnie strzeżonych, aby nie dostały się do niepowołanych rąk. Wróżbiarstwo zbyt dobrym było interesem, aby pozwalać uprawiać je byle komu. Zapewniano też zwykłych śmiertelników, że owe księgi nie przez ludzi napisane były. Miał je ułożyć sam sekretarz słońca — Hermes (rzymski Merkury), u Fenicjan i Egipcjan zwany Tootem. Dlatego też w Egipcie uchodził on za wynalazcę pisma, hjeroglifów, a w Grecji dodawano mu przydomek "Trismegistos" — to znaczy: po trzykroć wielki.

Tak więc cały świat starożytny żył w przekonaniu, że gwiazdy kierują sprawami ludzkiemi. Nie wątpili o tem nawet znakomici greccy i rzymscy uczeni, umysły bardzo światłe i na polu badań przyrodoznawczych zasłużone.

W Rzymie religja sprzyjała rozwojowi wróżbiarstwa z gwiazd i tu właśnie powstaje **astrologja**, która poprzez średniowiecze niemal aż do czasów najnowszych uchodzi za naukę zupełnie poważną. Niemniej jednak krytyka dawno już przeciw niej powstaje. Bardzo trafną uwagę wygłosił mędrzec rzymski Cycero: "Jeżeli — powiada — mniemamy, iż dana konstelacja w chwili narodzin człowieka wywiera wpływ na jego przyszłość, to czem sobie objaśnić fakt, że ludzie, w jednym czasie urodzeni, przechodzą następnie zupełnie różne koleje życia?"...

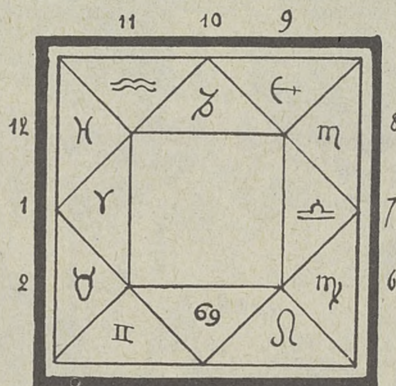
Głosy krytyki uczonych nie mogły jednak osłabić wiary, podsycanej w masach przez kapłanów, ciągnących zyski z głupoty i zabobonów tłumu. Astrologja kwitła, kwitła coraz śmielej — nie bacząc na to, iż była prawie zawsze nauką importowaną, to jest—obcego pochodzenia. W wiekach średnich Europa korzystała z badań, czynionych nie na miejscu, ale hen, daleko, przez Arabów. Astrologja arabska stała się nawet tak poważana, że jej zasady wykładano na uniwersytetach europejskich. W wieku XII i XIII katedry astro-

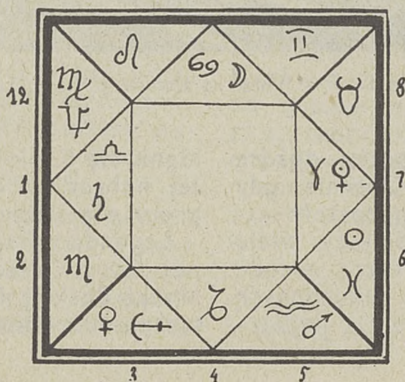


Zodjak chiński.

logji arabskiej istniały w Padwie i Bolonji. Wprawdzie Kościół katolicki występował przeciw tej nauce, bo stała ona w sprzeczności z dogmatem wolnej woli, lecz niewiele to skutkowało

Figura astralna.





Horoskop
Waga wschodzącą konstelacją zodjaku i w niej przypada Saturn. Wenus zaś znajduje się z Baranem w domu 7-ym czyli w aspekcie opozycji. Księżyc jest w gwiazdozbiorze Raka i stanowi konstelację górującą.

nawet w arcy-katolickiej Hiszpanji, gdzie długoletnie panowanie Maurów utrwaliło wpływy poglądów mahometańskich i wiary w niewzruszalność przeznaczenia, czyli fatum (stąd słowo: fatalizm).

Do triumfów średniowiecznej astrologji europejskiej walnie przyczynił się król Alfons X Kastylijski, który, popierając nauki wogóle, i astrologom nie szczędził pomocy. Pod jego to protektoratem liczni uczeni chrześcijańscy, żydowscy i mahometańscy prześcigali się w sporządzaniu tablic, niezbędnych do odtwarzania konstelacji gwiazd i wyprowadzania z nich horoskopów. Były to często obliczenia bardzo trudne, zawikłane. A nie upraszczała roboty okoliczność, że astrologowie, zazdrośni o swoje tajemnice, posługiwali się najchętniej znakami sekretnemi, których nie mógł żaden laik odcyfrować. Podajemy tu, dla przykładu, kilka takich tablic.

Ciekawą jest rzeczą, jak astrologja łączyła trafne naukowe spostrzeżenia z wnioskami najzupełniej fantastycznemi i wręcz bezsensownemi według dzisiejszych naszych pojęć. Oto naprzykład stwierdzono, iż dziecko, urodzone przedwcześnie, bywa niezawsze równie zdolne do życia: łatwiej wychować płód, który przyszedł na świat w siódmym miesiącu, aniżeli w ósmym. Dziwne to zjawisko i prawdziwe (które nowoczesna medycyna już naukowo objaśniła) astrologowie tłumaczyli tem, iż na siódemkę wywiera wpływ księżyc, a na ósemkę — Saturn. Księżyc przynosi szczęście, a Saturn — przeciwnie, zmartwienia.

Jedną z wielkich zasług Kościoła katolickiego jest to, iż astrologję pozostawił ludziom świeckim. Tym sposobem rzekoma ta "nauka" utraciła dawną swoją świętość, nietykalność, tajemniczość. Rzucili się do studjowania jej ludzie najrozmaitsi. Między nimi zaś umysły trzeźwe, które jęły wkrótce plewy od ziarn oddzielać. Prawdy istotnie naukowe, astronomiczne, nagromadzone przez astrologów zarówno starożytnych, jak średniowiecznych, zebrano osobno i uniezależniono je od wróżbiarskich dodatków.

MIEJSCOWOŚCI PIELGRZYMKOWE W POLSCE

Naród polski od wieków odznaczał się wielką pobożnością i religijnością, toteż miejsca specjalnie czczone, jako posiadające jakąś świętość lub słynące cudami, otaczane były specjalną opieką uczuciową i stale odwiedzane przez dążące do nich pielgrzymki. Obecnie, gdy poza granicami Polski pozostały setki tysięcy rodaków, śpieszy wielu z nich corocznie z resztą narodu w dnie uroczyste do ukochanych miejsc. Najsłynniejszą i najbardziej ukochaną w Polsce jest Jasna Góra, będąca jakby centrum polskiego życia religijnego. Corocznie przybywa tam ze wszystkich ziem polskich, a nawet i z całego świata, przeszło milion pielgrzymów, by pokłonić się Królowej Polskiej i u stóp Jej nabrać sił i otuchy do dalszej pracy dla siebie i kraju.



Jasna Góra — Widok na klasztor z lotu ptaka.

Legenda opromienia początki Jasnej Góry. Według podania obraz Matki Boskiej Częstochowskiej został namalowany na desce cyprysowej

przez św. Łukasza i dostał się rozmaitymi drogami na Ruś, skąd książe Władysław Opolski, będąc wielkorządcą tej ziemi, sprowadza go do kraju i umieszcza w specjalnie wybudowanym kościele, oddając pod opiekę oo. paulinom.

Słynna obrona Jasnej Góry, opisana tak wspaniale w „Trylogii" Sienkiewiczowskiej, pobudziła naród cały do rozpaczliwej walki ze Szwedami i wyrzucenia najeźdźców z kraju.

Przed ołtarzem Najświętszej Maryi Panny modlili się królowie i rycerstwo, spiesząc na wojnę, a wracając z niej, u stóp ukochanej Bogarodzicy składali bogate dary dziękczynne; zdobyczne bronie przechowywane są do dziś dnia w skarbcu klasztoru jasnogórskiego.

W r. 1925 Matka Boska Częstochowska została uroczyście koronowana na Królowę Korony Polskiej, a w hołdzie złożono Jej koronę, berło i jabłko, jako votum Narodu. 15 sierpnia w dniu Jej święta i koronacji przybywają tu corocznie olbrzymie rzesze pątnicze, dochodzące do pół miliona osób.

Główny okres pielgrzymkowy trwa od Zielonych Świątek aż do 8 września tj. dnia Narodzin N. M. P., przy czym ku końcowi lata coraz bardziej wzmaga się ruch pielgrzymek.

Kompanie wiernych, zdążające pieszo na odpust do Częstochowy, zatrzymują się po drodze, w odległym o 14 km miasteczku G i d l e, gdzie w miejscowym kościele znajduje się cudowna figurka Matki Boskiej, według legendy, przez nabożnego kmiotka z ziemi wyoranej.

Obok Jasnej Góry równą prawie czcią jest otoczona Ostra Brama w Wilnie. Matka Boska Ostrobramska opiewana była przez Mickiewicza, a ukochana przez Marszałka Piłsudskiego, który nigdy nie rozstawał się z Jej wizerunkiem. Obraz Cudowny w Ostrej Bramie, będącej dawniej główną miejską basztą obronną, później rozszerzoną i nadbudowaną, znajduje się na piętrze, w wspaniale ozdobionej tysiącami votów, kaplicy. Obraz widoczny jest z ulicy, na której zawsze widać klęczących i modlących się. Jest to nigdzie niespotykany, a nadzwyczaj wzruszający i podniosły widok.

Wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej historią swoją sięga XVII w., a malowany jest na deskach dębowych, na wzór obrazów z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Ostra Brama łączy się z klasztorem oo. karmelitów i z kościołem św. Teresy, gdzie było złożone serce Marszałka, zanim je przeniesiono na cmentarz na Rossie.

Corocznie przybywają do Wilna liczne pielgrzymki z całej Polski, z przewagą jednak Kresów, które specjalną miłością otaczają Ostrą Bramę. Poza tym widać tam stale również pielgrzymów i zza kordonów granicznych. Największe uroczystości i zjazdy odbywają się w dnie: Opieki św. Józefa (na wiosnę), N. M. P. (na jesień) i podczas Zielonych Świątek.

Pielgrzymujący do Ostrej Bramy odwiedzają też i wspaniałe, pełne zabytków i pamiątek kościoły wileńskie, oraz odległą od Wilna o 7 km K a l w a r i ę W i l e ń s k ą, słynną od czasów najdawniejszych, a po zniszczeniu przez Moskwę wspaniale odbudowaną przez króla Jana Kazimierza. Dalej trochę znajduje się też i druga, znana K a l w a r i a w T r o k a c h.

K r a k ó w, ze wspaniałą katedrą na Wawelu, w podziemiach której znajdują się groby królewskie i wiel-



Mała Wisła na Śląsku — Starodawny zabytek kościelnego budownictwa drzewnego.

kich Polaków, a między nimi i grób Marszałka J. Piłsudskiego, oraz historyczny kościołek na Skałce, mieszczący Groby Zasłużonych, a także z pełnym, bezcennych dzieł sztuki kościołem Mariackim, należy do najbogatszych w świątynie miast w Polsce. Kościoły krakowskie, których

jest aż 65, posiadają poza tym i wiele relikwii świętych, ściągających w dniu ich patronów liczne pielgrzymki z okolic bliższych i dalszych, a poza tym, stanowią olbrzymią skarbnicę pamiątek narodowych.

W okolicach Krakowa znajduje się Kalwaria Zebrzydowska, miejsce odpustowe dla Małopolski, a w znacznej mierze i dla pątników z całego kraju. Szczególnie słynny jest tu 3 dniowy odpust na 15 sierpnia, ze wspaniałą, nocną procesją przy świecach.

Gniezno, kolebka Państwa Polskiego, w swej starożytnej katedrze posiada szczątki św. Wojciecha, zamordowanego przez pogańskich Prussów. W roku tysiącznym cesarz niemiecki Otto III, przybywszy tu z pielgrzymką, a ujęty bogactwami i potęgą Bolesława Chrobrego, uznał go równym sobie monarchą, wkładając koronę królewską jego na głowę. Od tej monarszej pielgrzymki przez setki lat dążyli do grobu św. Wojciecha pątnicy, podziwiając zarazem wspaniałą katedrę, pełną pamiątkowych dzieł sztuki, a na odpust Św. Wojciecha (23 kwietnia), przybywają doń corocznie tłumy pobożnych z Wielkopolski, Pomorza i całego kraju. Gniezno zajmuje w kraju wyjątkowe stanowisko, gdyż arcybiskupi gnieźnieńscy od XV wieku są równocześnie prymasami Polski, a obecnie władają połączoną archidiecezją gnieźnieńsko-poznańską.

Poznań, który w swej katedrze mieści groby pierwszych królów polskich: Mieszka I i Bolesława Chrobrego, również ściąga do swych świątyń w dniach ich patronów liczne kompanie wiernych z dalszych i bliższych okolic.

Niedaleko Poznania znajduje się słynny obraz Matki Boskiej w Dąbrówce Wielkopolskiej.

Na Pomorzu słyną od wieków cudami obraz Matki Boskiej w Swarzewie, położonym nad morzem. Również miejscem pielgrzymek jest Wejherowo ze słynną Kalwarią Wejherowską.

Piekary na Śląsku Górnym ukochane przez lud śląski, gdzie przed wyprawą wiedeńską modlił się kornie Jan III Sobieski, szczególnie w dn. 15 sierpnia odwiedzane są przez pielgrzymów, a piękne stare stroje śląskie stanowią wspaniałą dekorację dla olbrzymich procesyj, dziennych i wieczornych.

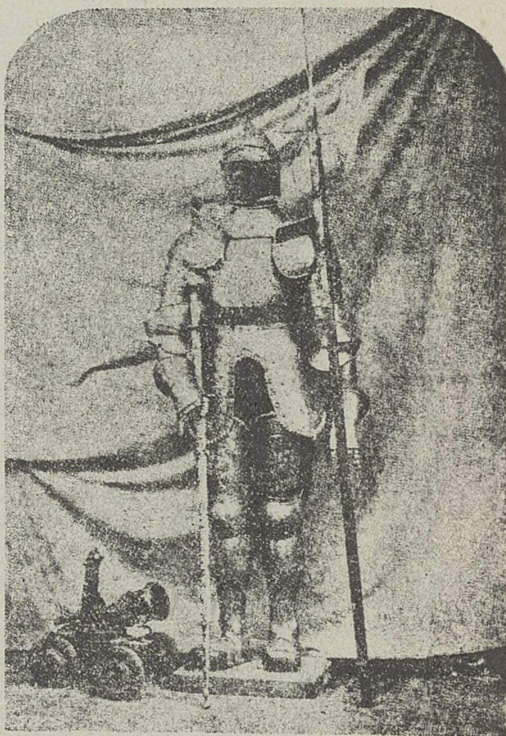
Kodeń, miasteczko kresowe, leżące na skraju Podlasia, słynęło od wieków szeroko cudownym obrazem Matki Bożej. Unici, ci wielcy, a cisi bohaterowie i męczennicy za Wiarę i Ojczyznę, co woleli pójść do katorgi i na Sybir, a nie wyrzec się wiary swojej, szczególniej ukochali Matkę Boską Kodeńską, której obraz pochodzenia rzymskiego, owiany legendami, został przywieziony do Polski w XVIII wieku, przez wojewodę brzeskiego, Mikołaja Sapiehę. W dniach prześladowań Unii, Moskale zamknęli kościół, aby nie służył za bazę oporu, lecz cudowny wizerunek udało się przedtem wywieźć potajemnie do Częstochowy, skąd wrócił z wielkimi uroczystościami w r. 1927. Obok Kodeńskiego wielką czcią cieszy się, znajdujący się niedaleko, wizerunek cudowny N. M. P. w Leśnej.

Wymieniliśmy tutaj tylko najważniejsze, słynne w kraju całym, a nawet poza jego granicami, miejsca pielgrzymkowe, gdyż inne o znaczeniu miejscowym, wyliczyć można jeszcze dziesiątkami.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

BROŃ W DAWNEJ POLSCE

BROŃ stanowiła w starożytnej Polsce nieodzowną a najdostojniejszą część kostjumu. Szabla była nieodłączną towarzyszką i kochanką szlachcica, stroił ją też i ozdabiał jak kochankę. Inna też była broń do boju, inna do stroju: za panem, który przypasał bogatą karabelę, chadzał wyrostek z drugą szablą, by ją podać zaraz, gdyby zaszła potrzeba użyć broni na serjo. Nie dziw też, że szabla stała się przedmiotem zbytku, który atoli nie poprzestał na niej samej, ale przeniósł się także na inne przybory rycerskie: na szyszak, półzbrojek, koncerz, sajdak i tarczę. Szlachta tak dalece lubowała się w bogatej i ozdobnej broni, że często broń traciła już cechę oręża i stawała się rzeczą fantazji i teatralnej pompy. Król Stefan Batory, przybywszy do Polski, gorszył się widokiem szlachty w szyszakach i pancerzach, na których było więcej srebra i złota, aniżeli żelaza — ad mascaras, non vero ad rem militarem in suo ornamento habent, wyrazić się miał do Jana Hlebowicza. Był to objaw wrodzonego ówczesnym polakom zamiłowania do zewnętrznej świetności, podniecanego ustawicznie wpływem wschodu, tej ojczyzny broni fantastycznie bogatej. Nigdzie też w Europie nie spotykamy takiego zbytku w broni jak w Polsce, a mamy tu na myśli zbytek materjalny, bo zbytek w dostojniejszym znaczeniu, zbytek artystyczny, był na tym polu wspólną cechą wszystkich narodów wysokiej kultury aż do końca XVIII wieku: panował we Włoszech, Francji i Niemczech. Ale podczas gdy w tych krajach płatnerz i miecznik zdobił broń rzeźbą, nielem, inkrustacją, a więc technikami prawdziwie artystycznej natury, pozostawiając żelazu i stali to dominujące znaczenie, jakie się im należy, w Polsce obok wszystkich powyższych

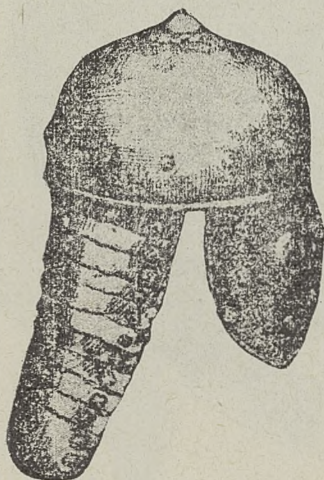


Zbroja, moździerzyk spiżowy, koncerz i halabarda.

sposobów ornamentacji używano tyle złota, tyle drogich kamieni, że stal na zbroi, głownia w szabli stawały się rzeczą drugorzędną, a sam ornament celem.

W inwentarzach magnackich i szlacheckich spotykamy przyłbice i szyszaki z szczerego srebra, grubo pozłociste, sadzone drogimi kamieniami; nawet pełne zbroje bywały srebrne. Abraham Herbut ma pancerze złociste, nabite drogimi kamieniami; w inwentarzu Jana Bełzeckie-

go spotykamy siedem złocistych szyszaków; w inwentarzu dubieńskich książąt Ostrogskich z r. 1916 "zbroje z kamieniami i różami złotymi", "karwasze złotem oprawne z rubinami i szmaragdami", za trumną hetmana Koniecpolskiego niesiono jego szyszak złocisty, do koła djamentami sadzony. Takim samym przepychem uderzały tarcze, a zwłaszcza t.zw. kałkan. bardzo ulubiony w Polsce: tarcza pleciona z figowego pręcia, owiniętego w barwisty i wzorzysty jedwab, której metalowy środek czyli t. zw. uchwat, inaczej cyrkuł (rzymskie umbo) kuty z szczerego złota lub srebra, bywał często prawdziwym klejnotem, tyle drogich kamieni składało się na jego ozdobę. Taka tarcza



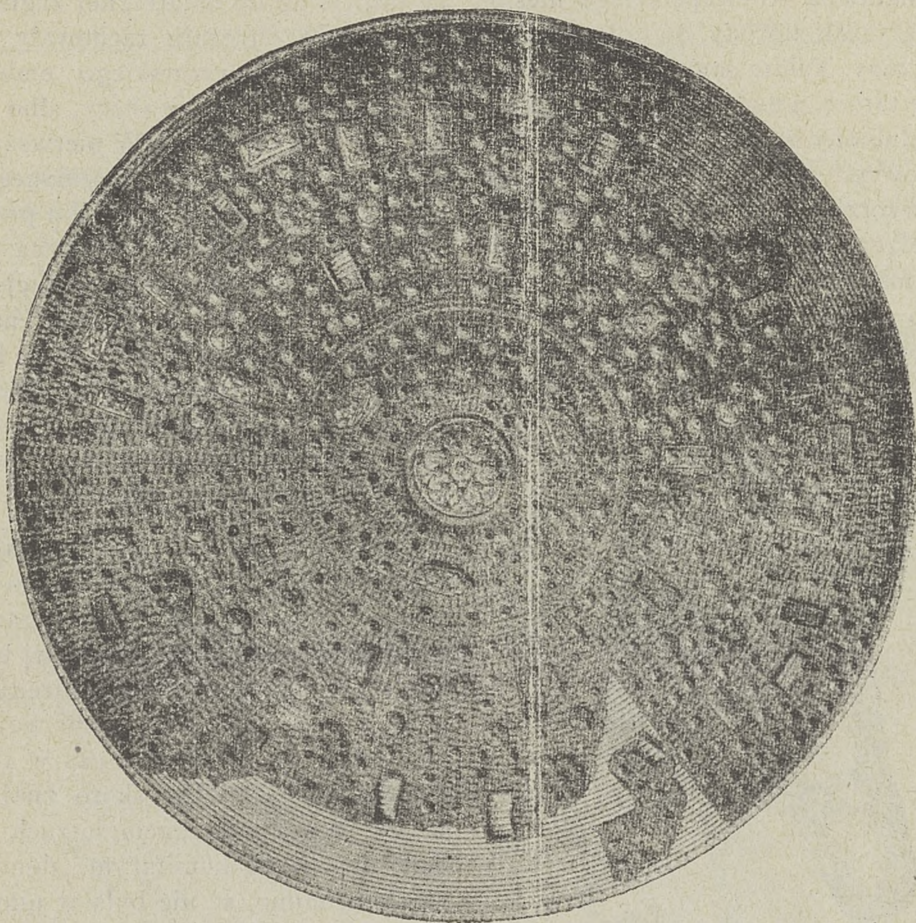
Hełm.

była raczej kosztownym sprzętem dekoracyjnym, ozdobą kostjumu, konia lub też ściany, aniżeli ochronną bronią; wieszał ją nad łóżkiem tuż pod ryngrafem z wizerunkiem Bogarodzicy szlachcic, jechał z nią "na okazowanie", wieszano ją pod czapkę z białymi piórami przed namiotem hetmańskim, upinano u boku konia na wjazdach uroczystych.

Prawdziwym cackiem a zarazem reprezentacyjną ozdobą rycerską był sajdak czyli kołczan, który mimo coraz większego udoskonalenia broni palnej nie wychodził bardzo długo z używania, jak wogóle jeszcze po sam koniec XVII wieku całe chorągwie polskie, zwłaszcza t. zw. wołoskie, uzbrojone były łukami. Nawet jeszcze w ostatnich latach XVIII w. wielu ze szlachty chadzało z sajdakami, które prawie aż do ostatecznej zagłady staropolskiego obyczaju zachowały tradycyjne znaczenie rycerskiego emblematu. Sajdak bywał albo ze skóry, albo z drzewa, albo też z kruszcu. W pierwszym wypadku zdobił go haft z ciągnionego złota lub srebra, w drugim wypadku przybierał nazwę łubia, a kryty był srebrną blachą lub aksamitem i miał ornamentację najrozmaitszej techniki; w trzecim nakoniec kruszec bywał szlachetny, a złoto i srebro kameryzowano turkusami, almandynami, a niekiedy i droższymi nad nie kamieniami, jak tego liczne przykłady spotykamy w inwentarzach i testamentach.

Do najokazalszych i najkosztowniejszych przyborów reprezentacyjno-kostjumowych należały buławy buzdygany, które w rzeczywistej ongi wojennej broni obuchowej (masse de guerre, Streitkolben) stały się już tylko odznakami wojskowej hierarchji, aż w końcu u nas w Polsce i to znaczenie straciły, skoro znajdowały się w kilku nawet egzemplarzach w każdym niemal znakomitszym domu szlacheckim, mimo, że nie było w nim nigdy ani hetmana ani regimentarza. Z inwentarzy, z portretów, z rycin, z opisów, przechowywanych do naszych czasów, odnosi się wrażenie, że kto chciał, ten nosił te odznaki, choć się właściwie należeć były powinny tylko starszyźnie wojskowej. Gdzie jednak armja bywała improwizowana, tam oczywiście nie brakło także improwizowanych wodzów, regimentarzy, rotmistrzów. W czasie zamieszek domowych, jak np. rokoszu Zebrzydowskiego, w awanturniczych wyprawach do Moskwy i do Wołoszczyzny, w każdej dorywczej ruchawce, czy to w niej chodziło o lokalny odpór tatarom lub opryszkom, czy też o starościńską egzekucję mota nobilitate, na zajazdach i wojnach prywa-

tnych, każdy, czy to pan czy szlachcic, zaciągnąwszy kupę luźnego żołnierza lub zragę sabatów, uważał się za hetmana lub regimentarza a już przynajmniej za rotmistrza, jeździł na czele swojej czeladzi z buławą lub buzdyganem w ręku a nawet ci, którzy i takiego nie mieli pretekstu, nawet ci, którzy otrzymawszy królewski list przypowiedni na sformowanie roty, nigdy jej nie przyprowadzili do obozu, kazali się malować z tymi odznakami wojskowego dostojeństwa. Buława nie uległa znaczniejszym zmianom co do formy, tylko gałka, w regule kulista, przybierała czasem kształt owalny; inne różnice polegały na spiralnych lub podłużnych strefach, to wypukłych, to żłobionych, i na odmiennych rodzajach ornamentyki. Zato buzdygan miał wiele form rozmaitych, najbardziej zaś z nich typowa i niejako zasadnicza była t. zw. pierzasta, która polegała na tym, że główka buzdygana składała się z sześciu lub siedmiu t. zw. piór, wpuszczonych w trzonek; inne, także często używane, formy nie miały piór i przypominały gruszkę, sześciościenną latarnię, berełkową głowicę i t. p. Najrozmaitsze kontuły piór, sposób zawinięcia ich brzegów, np. w półprofil orła, w esy, w trójkąt, w obwód liście i t. p. stanowiły w formie buzdygana. Używana była także forma zachodnia, laskowata, bez główki lub z główką słabo akcentowaną i tego rodzaju buławę nazywano regminentem. Najskromniejszą, ale w znaczeniu artystycznym najszlachetniejszą ornamentacją buław i buzdyganów była inkrustacja czyli t. zw. tausia, złota lub



Kałkan, wysadzany drogimi kamieniami. (Ze zbiorów książąt Lubomirskich).

srebrna, jeżeli były żelazne, zaś niello czyli, jak tę technikę nazywano w Polsce, blachmal, jeśli były srebrne lub pozłociste. Żelazne obywały się zazwyczaj bez



Karacena Jana III.

drogich kamieni, co najwyżej sadzone były turkusami; srebrne i pozłociste oprócz rzeźby i rytowanych ornamentów obsypywano nierzadko djamentami, rubinami i t. p., niekiedy zaś, i często, jak świadczą zabytki i inwentarze, buławy i buzdygany robione były całe z półszlachetnych kamieni, z achatu, górnego kryształu, jaspisu, lapis lazuli. W regestrze zamku leskiego wojewody wołyńskiego Stadnickiego z r. 1699 spotykamy np. "buzdygan w złoto oprawny z aspisowymi piórami, z rękojeścią z kryształu przedniego kamiennego", buzdygan "w srebrze złocisty, rubinami i turkusami sadzony, z piórami i nakońcami aspisowymi" i t. d.



Buzdygan.

Nad tymi wszystkimi kostjumowo-rycerskimi przyborami górowała jednak szabla. Szyszak, pancerz, sajdak, buzdygan, tarcza, służyły tylko na uroczystościach, przy ceremonjach i obchodach publicznych; szabla była codzienną towarzyszką nieodstępną i niezbędną zawsze i wszędzie; w kościołach, w domu, w gościnie, w podróży, na sejmiku, na targu, na weselu, pogrzebie, bankiecie. Nie dziw też, że ona przedewszystkim stała się szczególnym przedmiotem zbytku, mody, amatorstwa. Przechodziła przez rozmaite zmiany rozmaitymi czasy, ale to nie przeszkodziło, że się wyrobił pewien typ polskiej szabli, ostatecznie mało co zawisły od wpływu obyczajów postronnych tureckich, węgierskich i niemieckich, choć wpływ ten w pewnych porach bardzo był widoczny. Nawet kaprysy mody nie przeobrażały radykalnie najgłówniejszej rzeczy, poprzestawały na pewnych odmianach rękojeści, na rozmiarach, na pochwach i okuciu, na sposobie upięcia i materjale tych łańcuchów, pasków, rapci, sznurów i pendentów, które z tą rozmaitością nazwy przybierały także rozmaitość formy, a czasem nawet i osobne znaczenie, bo np. wiemy, że na znak akcesu do konfederacji wojskowej upinano w odrębny sposób szable na paskach. według pewnych odmian rozróżniamy do dziś dnia szable Batorówki, Zygmuntówki, Augustówki, nazwane tak od królów, pod których panowaniem weszły w używanie. Odmiany szabli albo raczej, że tak powiemy, jej style, zależały przeważnie od krzywizny głowni i od formy jelca czyli rękojeści; ze stanowiska zaś broni sie-

cznej, a więc niejako technicznie, rozróżniano trzy główne rodzaje: koncerz, pałasz i szablę. Wszystkie inne nazwy były tylko synonimami albo zaznaczały pewne odmiany nieistotne; kord i multan np. oznaczał to samo co pałasz; ordynka, szerpentyna, karabela i t. p. były to szable odmiennej krzywizny. Koncerz, tak zwany od tureckiego kandżara czyli hanczara, choć wcale do niego nie był podobny i przypominał formą raczej miecz bez krzyża u jelca, figurował tylko na koniu,



Karacena (zbroja łuskowa), rząd, siodło, buzdygan, buława i łóżko obozowe Jana III.

przytroczony do rzędu; cechą pałasza była głównia prosta, długa i bardziej obosieczna: szabla była zawsze krzywa, z turecka bardzo, z polska lekko krzywa i tylko w trzeciej końcowej części obosieczna. O ile była i jest bronią czysto - kostjumową, szabla polska nosi dziś nazwę prawie wyłączną karabeli, ale nazwa ta bardzo mało zwyczajna jeszcze w XVII wieku, utarła się i weszła w powszechne używanie dopiero w ciągu XVIII wieku — rzecz



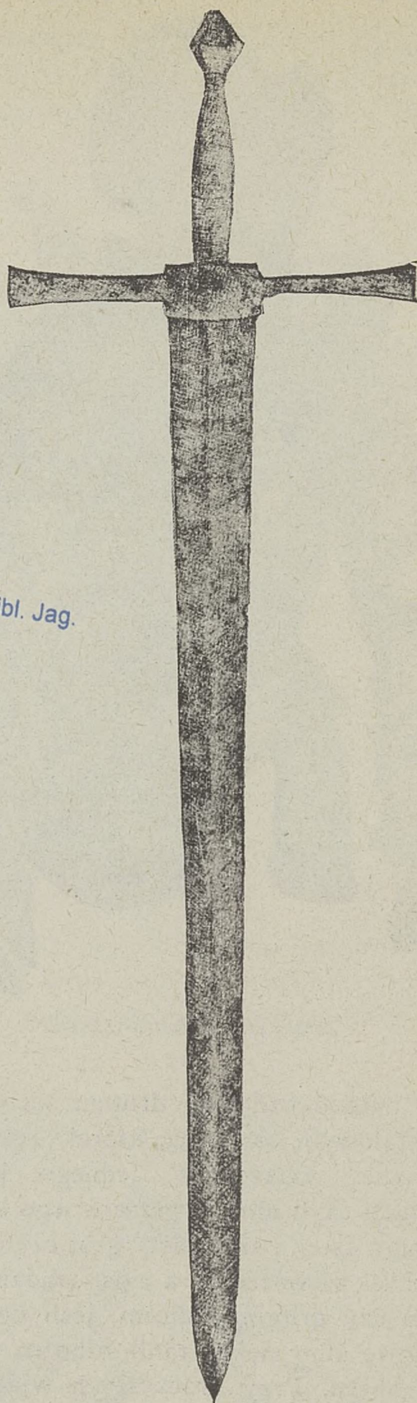
Kolczuga.

o tyle dziwna, że powstała bardzo wcześnie, miała bowiem wziąć swój początek od niejakiego Karabela, który na dwór królewski jeszcze w roku 1496 wprowadził bardzo lekką i strojną po dzisiejszemu mówiąc salonową szablę, małpującą



Karabele, kełmy i skrzydła husarskie.

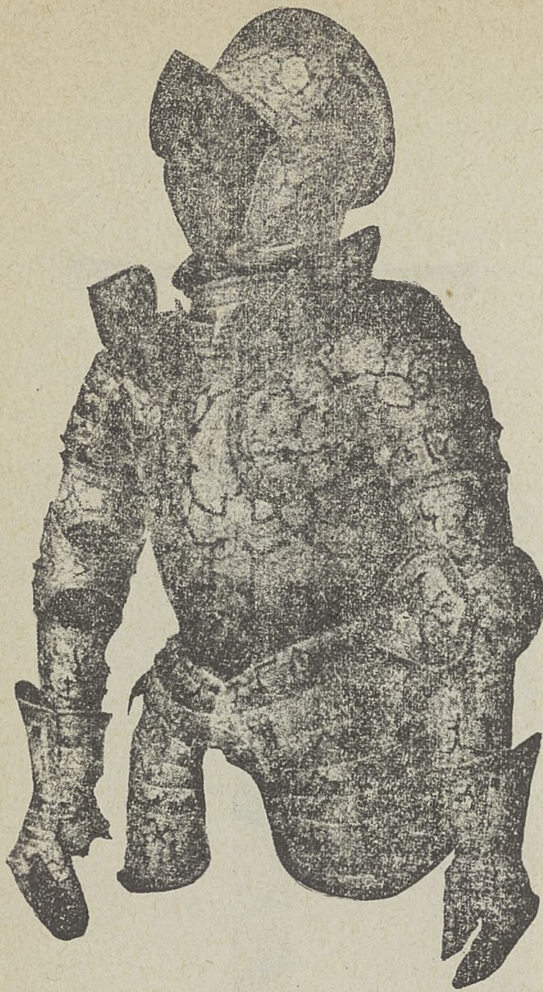
oręż prawdziwy — simiam frameae, jak opiewa wzmianka o tym w korespondencji Erazma Ciołka. Tymczasem w żadnym inwentarzu, a więc w żadnym z najautentyczniejszych źródeł, a znamy ich liczbę niemałą, obfitujących w nomenklaturę broni, nie zdarzyło nam się spotkać z nazwą karabeli i bodaj czy nie pierwszy Wacław Potocki używa tego wyrazu. Na kostjumowej szabli polskiej koncentrował się wszystek zbytek, jaki się roztaczał na przyborach, o których mówiliśmy powyżej. Wszystkie techniki artystycznej ornamentacji składały się na jej wyposażenie; inkrustacja, rzeźba, rytowanie, niello i kameryzacja drogimi kamieniami na złocie i srebrze — nie miecznik, ale złotnik i jubiler wysilał się na jej ozdobienie. Do jakiego zdumiewającego stopnia dochodził ten zbytek, tego mamy w źródłach bardzo liczne przykłady; dość z nich przytoczyć kilka bez wyboru. W dubieńskim zamku Ostrogskich była szabla, otaksowana na 6000 talarów; szablę Ossolińskiego przy wjeździe do Rzymu szacowano na 20,000 zł.; wojewoda smoleński Firlej płaci Gabryelowi Dobrogostowi, złotnikowi lubelskiemu, dwanaścieset zł., a więc nawet przy ówcześnie bardzo niskim kursie złotego przeszło 5000 koron za samą robotę od oprawy szabli, a cóż dopiero kosztować musiał materjał użyty przy tej robocię, skoro czytamy w jej opisaniu, że montowana w szczerym złocie, ozdobiona była nietylko emalją, ale osypana rubinami i djamentami z rubinów, niektóre miały wielkość migdała.



Koncerz.

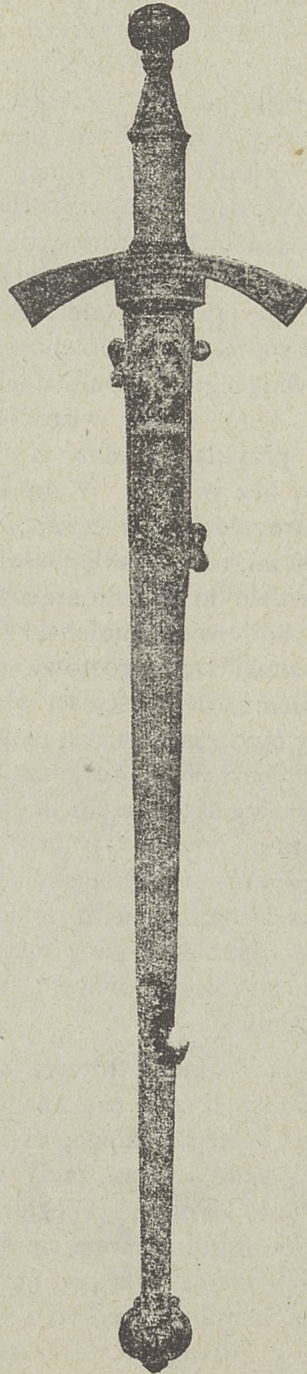
Jak szablą, tak i czekan towarzyszył zawsze szlachcicowi. Nazwę czekana wywodzą niektórzy z węgierskiego, mylnie wszakże, bo jak sam czekan, tak i jego nazwa przyszła do Polski i Węgier ze wschodu, gdzie ta broń nazywała się dżukan. Na zachodzie znana była pod nazwą marteau d'armes, horsmanhammer, a używała jej jazda; w Polsce służyła za broń i laskę zarazem. Jakoż czekan taki, jaki noszono u nas, był i wygodną do opierania się laską i straszną bronią przy zwadzie, tak niebezpieczną, z tylu krwawych i śmiertelnych wypadków osławioną, że trzema konstytucjami z lat 1578, 1601 i 1620, zakazano mieć ją przy sobie na miejscach publicznych pod winą dwuchset grzywien. Czekan był laską, najczę-

którejś ze stolic zagranicznych za orszakiem jeźdźców prowadzono luźne, z niesłychanym przepychem ubrane konie z tarczą, koncerzem, sajdakiem i czekanem u rzędów, same zaś rzędy, natkane sztuczkami i ogniwkami ze złota lub pozłocistego srebra, z pod których nie widać by-



Zbroja ks. Radziwiłła „Sierotki".

ściej bardzo ozdobną, drutem srebrnym lub stalowym okręconą, której rękojeść stanowiło żelazo, z jednego końca w obuch czyli młot, z przeciwnego końca w długi, ostry i szpiczasty grot czyli tzw. nadziak zakończony, a cios, zadany jednym czy drugim końcem, jeśli ugodził w głowę albo ciężko ranił, albo na miejscu zabijał. Przy uroczystych wjazdach i obchodach przytraczano bogato złotem nabijane czekany, porówno z koncerzem i tarczą przy rzędach na koniach; świta wielkopańska, jeżeli miała na sobie kolczugi, trzymała je, jak szablę przy ramieniu, żelazem do góry. Było zwyczajem, że przy każdym uroczystym wjeździe czy to powitalnym, koronacyjnym, pogrzebowym w Krakowie, czy to poselskim w



Miecz Zygmunta Augusta.



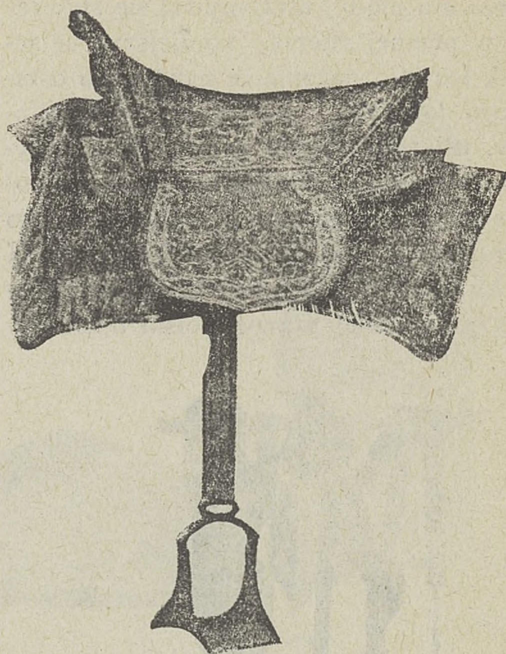
Miecz regimentarski (część górna).

ło rzemienia, olśniewały blaskiem drogich kamieni, a wraz z wymienioną powyżej dekoracyjną bronią, z ociekającymi złotym haftem czapkami, czetmanami, dywdykami, kuranami — i jak się jeszcze nazywały te kapy i okrycia — z kitami piór strusich w kameryzowanych rubinami i turkusami tulejach i forgach na końskich, z szczerosrebrnymi łękami, strzemionami i t. p. reprezentowały, każdy z osobna, całą i to pokaźną fortunę. Dość powiedzieć, że niektóre rzędy na koniach przy



Czekany, 2 garłacze, sztuciec, pistolet krzoskowy i rogi do prochu.

słynnym wjeździe Ossolińskiego do Rzymu ceniono na 10,000 dukatów, a rząd pod Rzewuskim, kiedy posłował do Danji, na miljon złotych — sumy bez wątpienia grubo przesadne, ale niemniej przeto jako cyfrowe ujęcie olśniewającego wrażenia, jakie odnosili widzowie, mniej może oddalone od prawdy, niżeliby zdawać się mogło. Na domiar jaskrawego efektu farbowano konie, nadając im maście nieznane w naturze; pani de Motteville zapisuje, że przy wjeździe delegacji polskiej, która przybyła do Paryża po Marję Ludwikę, niektóre konie pomalowane były na czerwono, a polski uczestnik tegoż poselstwa zapewnia, że dwadzieścia koni tego bajecznie wspaniałego orszaku legacji



Siodło hetm. Jabłonowskiego.

podkutych było srebrnymi podkowami; koń zaś wojewody poznańskiego Opalińskiego miał podkowy szczerozłote, z któ-



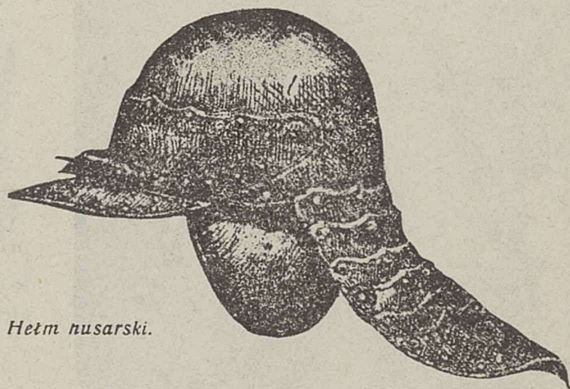
Zbroja husarska z XVII wieku.

rych jedną umyślnie tak luźnie przytwierdzono, aby się zgubiła po drodze.

Wpływ Turcji na broń i kostjum męski, bo żeński, jak łatwo zrozumieć, nie ulegał mu nigdy, utrzymywał się statecznie w pewnej mierze, zmniejszył się jednak bardzo znacznie za panowania ostatniego Jagiellończyka i za dynastji Wazów, ustępując coraz więcej pola wpływom zachodnim i niewątpliwie nie byłoby się nam pozostało tyle wybitnych jego śladów, gdyby w ostatnich latach XVII wieku zwycięstwa Jana III nie zasypały były nagle całej prawie Polski niezmiernie bogatym łupem broni, rzędów, szat, srebra, kobierców, naczyń i sprzętów tureckich, które ozdobiły nietylko zamki wielkopańskie, ale także dwory i dworki szlacheckie i nadały strojowi i urządzeniu mieszkań uderzające piętno wschodu. Była to niejako nagła orjentalizacja smaku polskiego — zwyciężona i upokorzona Turcja wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizjognomję obyczajową szlachty, aniżeli przez setkę lat wywierała groźna i zwycięska. Wiktorje pod Chocimem i Wiedniem dokonały tej zewnętrznej orjentalizacji, rzec można, z dziś na jutro. "Zdobycz nasi wzięli pod Chocimem — powiada Jan Chryzostom Pasek w swoich pamiętnikach — w srebrach, rzędach i namiotach bogatych, w sepetach zaś owe specjały wyborne, co mógłby drugi sepet na sto tysięcy rachować; one szable bogate, one janczarki. Nasiało się tedy po wszystkiej Polsce rzeczy tureckich, onych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, łubiów bogatych i inszych różnych specjałów". Kiedy król Jan III wjeżdża na koronację swoją



Rząd na konia hetm. Jabłonowskiego.

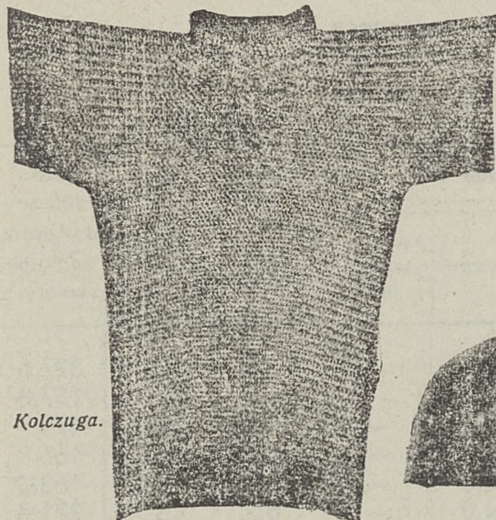


Hełm husarski.

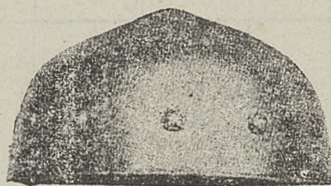


Hełm z XI w.

do Krakowa, koń jego ma na sobie rząd Hussejna Baszy, zdobyty pod Chocimem, szczerozłoty, bajecznej ceny, sadzony dwoma tysiącami rubinów i szmaragdów, i rząd ten jest niejako sygnaturą smaku polskiego z tej specjalnej pory, rozmiłowanego w grubym efekcie, biorącego bogactwo za piękno, przepych za sztukę.



Kolczuga.





Misiurki

Ubiory w dawnej Polsce



III. POŻYWIENIE I ODŻYWIANIE SIĘ

Wartość odżywcza pokarmów

Produkty zwierzęce

NAZWA	Każde 100 gramów zawiera					Każde 100 gr dostarcza ciepłotek (koloryj)
	białka	tłuszczu	węglowodanów	soli mineraln.	wody	
Baranina tłusta	10,5	29,5	—	1,0	59,0	327,6
Cielęcina tłusta	19,8	7,1	—	1,0	72,3	157,8
Gęś tłusta	16,0	45,5	—	0,2	38,0	471,7
Jaja kurze	12,5	12,2	—	1,0	74,2	166,0
Karp	19,2	8,6	—	1,0	70,5	163,8
Kawior	29,3	14,0	—	8,2	48,5	271,8
Kiełbasa świeża	21,3	27,0	—	3,2	48,2	317,0
Kiełbasa sucha	27,8	48,9	—	5,2	17,8	534,0
Końskie mięso	21,2	3,4	—	1,0	74,2	129,1
Królicze mięso	21,5	9,5	—	1,2	67,5	145,0
Kura średnio — tłusta .	20,8	4,7	—	1,0	73,5	137,6
Lin	17,2	0,4	—	1,0	81,4	85,9
Łosoś	21,3	13,6	—	1,0	64,0	214,0
Łój	0,5	98,0	—	—	1,3	874,8
Margaryna	0,5	87,3	0,5	2,4	9,0	787,3
Masło	0,5	84,0	0,5	1,0	14,0	160,4
Mleko krowie pełne . .	3,5	3,4	4,9	1,8	87,4	66,7
Mleko krowie zbierane.	3,0	1,5	4,8	0,9	90,9	37,9
Mleko kozie pełne . . .	4,3	4,5	4,3	0,3	86,0	77,9
Móżdżek	9,0	8,6	—	1,3	80,9	74,0
Ser tłusty	25,0	29,5	3,4	4,6	35,3	301,0
Ser chudy	35,0	12,4	4,1	4,7	45,5	289,0
Słonina solona	8,8	73,2	—	8,0	10,0	577,1
Szczupak	18,5	0,5	—	1,0	79,8	91,2
Smalec wieprzowy . . .	0,3	99,0	—	—	0,7	884,9
Szynka wędzona . . .	24,8	35,8	—	10,5	28,5	434,0
Śledź marynowany . .	19,4	16,8	—	16,4	47,4	234,9
Śledź wędzony	36,8	15,7	—	18,2	34,3	333,0
Węgorz	13,8	18,4	—	0,8	67,0	221,5
Wieprzowina tłusta . .	14,4	34,7	0,2	—	50,7	315,0
Wołowe mięso śr. tłuste	20,0	7,9	—	1,0	71,5	159,8
Wołowe mięso chude. .	20,5	3,0	—	1,0	75,5	121,7
Zwierzyna	21,3	1,8	—	1,0	76,0	113,6

Wartość odżywcza pokarmów

Produkty roślinne

NAZWA	Każde 100 gramów zawiera białka	tłuszczu	węglowodanów	soli mineraln.	wody	Każde 100 gr dostarcza ciepłotek (kaloryj)
Bułka pszenna	5,7	0,4	56,1	—	33,7	265,1
Buraki	1,3	0,1	8,7	1,9	88,0	29,0
Chleb pszenny	6,1	0,6	47,6	37,3	—	223,5
Chleb żytni	4,1	0,5	48,3	39,5	—	217,7
Chleb razowy	4,4	0,7	41,7	42,0	—	194,6
Cebula	2,7	0,1	25,7	—	70,2	97,0
Cukier	0,5	—	99,1	—	—	398,4
Czekolada	3,0	21,0	62,0	2,3	1,6	457,8
Fasola.	16,4	0,6	44,0	6,0	12,5	661,8
Groch	16,4	0,6	44,4	8,4	12,3	262,5
Jabłka świeże	0,5	11,3	—	—	85,0	47,5
Kakao	20,3	28,4	34,5	—	5,5	451,8
Kapusta zielona	2,8	0,4	9,3	—	80,0	54,5
Kapusta kiszona . . .	1,0	0,3	3,1	—	91,4	20,0
Kartofle	1,5	0,2	20,0	—	75,0	89,0
Kasza gryczana	10,6	2,4	70,1	—	14,0	207,0
Kasza jęczmienna . . .	12,3	2,4	68,5	—	14,1	296,0
Kasza owsiana	13,4	5,9	68,7	—	9,7	315,0
Kasza pęcakowa . . .	11,8	2,7	74,5	—	6,3	318,0
Makaron	9,0	0,8	73,3	—	12,0	344,1
Marchew	1,2	0,3	9,1	2,6	86,8	32,0
Mąka gryczana	8,3	1,5	74,6	—	13,8	303,0
Mąka jęczmienna . . .	12,6	2,9	66,4	—	15,2	291,0
Mąka kukurydzowa . .	9,6	3,8	70,0	2,4	14,2	305,0
Mąka owsiana	14,4	6,8	66,4	2,6	9,8	315,0
Mąka pszenna	8,7	0,7	73,6	—	11,6	343,0
Mąka żytnia	8,4	1,0	66,6	—	14,0	316,2
Ogórki	1,1	0,1	2,2	1,2	95,4	11,0
Pomidory	1,0	0,2	4,0	1,4	93,4	18,0
Ryż	6,4	0,5	77,0	—	12,5	343,6
Sałata	1,0	0,3	1,5	—	94,0	13,6
Szpinak	2,4	0,3	3,2	2,0	89,2	27,2
Śliwki	1,8	0,6	44,4	18,7	28,0	191,9
Kalafior	2,5	0,3	4,3	—	92,9	32
Rzodkiew	1,2	0,2	3,8	—	94,8	22
Szparagi	2,0	0,3	1,3	—	96,4	18
Sucharki	13,2	3,2	82,0	—	1,5	420

NARZECZONA

T. SUCHODOLSKI

NOWELA

Znali się od połowy sezonu zimowego, przy wielu obiadach proszonych siedzieli obok siebie, występowali razem w przedstawieniach amatorskich i przetańczyli z sobą sześć kotyljonów. Za pośrednictwem kart ze spisami potraw wyznali sobie rozmaite swoje upodobania i wiedzieli, że oboje doskonale tańczą walca .

Sekretarz sądu Borski, którego blond włosy zaczęły od niedawna cokolwiek rzednąć, nazywał Janię Winnicką "czarującą dziewczynką" i nadskakiwał jej bezustannie.

Miała lat dziewiętnaście, była pełna prostoty, świeża, oczy miała duże i myślące, a obok niezmiernej żywości, umysł poważny. Z usposobienia wesoła, zasługująca na miłość, cieszyła się światem i świat nią się cieszył. Panienka nie miała żadnego doświadczenia, młody człowiek był znów bardzo doświadczony i z tego powodu podobali się sobie wzajemnie.

Borski, jako próżny karjerowicz, nie był lubiany przez kolegów. Zato damy zachwycały się nim i nazywały "czarującym młodzieńcem". Po każdym kotyljonie, rozgorączkowany i okryty papierowemi orderami, miał minę bohatera, który wygrał walną bitę. Był to lew salonów w całem tego słowa znaczeniu. Starsi panowie wróżyli mu świetną przyszłość, a matki cieszyły się, gdy rozmawiał z ich córkami. Borski nie opuścił nigdy obowiązkowego tańca, nigdy nie przeoczył znajomej damy, lecz jednę tylko Janię wyróżniał z widocznym celem. Złe języki mówiły, że czyni to dlatego, ponieważ Jania jest siostrzenicą prezesa sądu.

Nic dziwnego, że małej Jani pochlebiały hołdy pana sekretarza. Niewiele dotąd przebywała z panami; wpadła w wir życia z ukrytym skarbem ideałów i uczuć, jakie zaczerpła z książek czytanych przez podlotki. Uważała — jak wiele z jej rówieśnic — każdego mężczyznę za bohatera, siebie za bohaterkę romansu i czekała z niecierpliwością na tę miłość, o której tak wiele czytała, a którą tak mało rozumiała.

W salonie bogatego domu kupieckiego, pod sam koniec sezonu, wyznał jej Borski swe uczucia. Zmęczeni byli, rozgrzani tańcem i usunęli się do chłodnej, zielonej oranżerji. Przechadzali się pod olbrzymiemi palmami i paprociami. Elektryczne światło oświecało tę zieleń: olbrzymie liście rzucały fantastyczne cienie na wąskie, piaskiem wysypane ścieżki, a w tem wilgotnem, lekko ogrzanem powietrzu rośliny stały bez ruchu, jakby zaczarowane. Wodotrysk szemrał jednostajną swą melodję, stłumione tony muzyki dolatywały zdala.

Jania milczała. Fantastyczność położenia pobudziła jej wyobraźnię: miała uczucie podobne do tego, jakiego się doświadcza w najbardziej zajmującem miejscu ciekawej powieści; wielkie jej oczy spoglądały z rozmarzeniem, nieprzytomnie prawie. I nieprzytomnie też patrzyła na człowieka, który zaczął jej mówić o miłości, o swojej miłości dla niej! Zdumiona, olśniona, oniemiała, słuchała go chciwie. Ważność tej chwili wzruszyła ją do głębi. Więc to jest owo ważne zdarzenie, na które oczekiwała od tak dawna?!

Kocha ją! Ona sama nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać: jest upojona. A gdy ją zapytuje, czy zechce zostać jego żoną, gdy mówi, że żyć bez niej nie może, ona z głębokiem wzruszeniem, rumieniąc się, wymawia "tak" i spogląda na niego wilgotnemi, błyszczącemi oczyma.

Prezes i jego małżonka udają bardziej zdziwionych wystąpieniem Borskiego, aniżeli są w rzeczywistości: wiedzieli dobrze na co się zanosi. Stryj jest szczególnym protektorem Borskiego. Raduje się szczęściem siostrzenicy i nazywa ją w żartach "pani ministrowa sprawiedliwości in spe".

Karty zawiadamiające o zaręczynach zostały rozesłane do znajomych, wizyty poskładane i poprzyjmowane. Zaproszenia ścigają się, wszyscy winszują młodej parze i wysilają się na uczczenie jej. Jania jest rzetelnie znużona.

— Męcząca to rzecz, być narzeczoną — skarży się przed narzeczonym, który się z niej śmieje.

Towarzystwo jest jego żywiołem. Umie wywiązywać się bez zarzutu ze wszystkich obowiązków towarzystkich. Narzeczonym mało pozostaje czasu na poufne posiedzenia sam na sam.

— Kiedy się pobierzecie — pociesza Janię ciotka — wszystko będzie lepiej.

I ona cieszy się na myśl o spokoju po burzy.

Nadchodzi wiosna. Sekretarz, oderwany od boku narzeczonej, wyjeżdża na komisje na dalekie Kresy, a prezesowa postanawia wyjechać z siostrzenicą w góry, gdyż skutkiem przebytych wrażeń i wzruszeń silnie pobladła i zeszczuplała w ciągu ostatnich kilku tygodni. Obładowane kwiatami wyjeżdżają obydwie panie. Narzeczeni żegnają się krótko lecz serdecznie. Jania cieszy się w duchu z tej podróży, lecz kryje się z tem, nie chcąc urazić narzeczonego. Tak mało widziała w życiu, a jej bujna wyobraźnia ukazuje jej światy nieznane w najpiękniejszych barwach.

Małe miejsce kąpielowe jest romantycznie położone między górami, pokrytemi lasem. Czysty potok przepływa, jak srebrna wstążka, przez czarowny górski zakątek. Domki wyglądają śli-

cznie, podobne do małych świątyń radości. Prezesowa wynajmuje mieszkanie w wysoko położonym domku szwajcarskim, otoczonym staremi jodłami. Widok prześliczny na rozpływającą się w błękicie dolinę.

Podczas gdy ciotka wyrzeka na złe zwierciadło i próbuje zniszczonej kanapy, Jania wychodzi na balkon willi. Z upojeniem wpatruje się zachwyconemi oczyma w dal: "Boże, jakże piękny jest świat!" Splata ręce bezwiednie i zatapia się w myślach.

Nieznane jakieś uczucie ogrania ją, jakgdyby dusza jej uwolniona została od wszystkiego co ziemskie, jakgdyby unosiła się samotna i szczęśliwa ponad ziemią. Naokoło cisza, góry, lasy... Wiatr powiał, jodły poruszają opuszczonemi gałęziami, ptaszek świergoce na krzaku osypanym kwitnącemi różami. Na łące pasą się dwie kozy, a bosy pastuszek leży w trawie. Kolana sterczą mu do góry, ręce ma podłożone pod głowę i wygwizduje jakąś piosenkę.

Spokój, cisza, samotność. Nigdzie nie widać wystrojonych ludzi z pięknemi frazesami na ustach i udaną miłością bliźniego. Jania przeciąga swe członki w nagłem uczuciu swobody. Doznaje uczucia takiego, jak ptak, wypuszczony na wolność, próbujący skrzydeł, których używać nie umiał, czy zapomniał, bo ich nie potrzebował. I zaczyna tak wyśpiewywać swym dźwięcznym głosikiem, że ptaszek zestraszony milknie, a zaciekawiony pastuszek podnosi jasną głowę.

Wieczorem Jania pisze pełną zachwytu kartę do narzeczonego. Na dłuższy list nie ma czasu, musi iść przypatrzeć się, jak ślicznie słońce zachodzi...

Teraz rozpoczyna się szereg szczęśliwych dni dla młodego dziewczęcia. Prezesowa leży na kanapie przy otwartych drzwiach na balkon i czyta powieści lub zajmuje się ręcznemi robótkami, a Jania biega po lasach i górach. Gdy tylko minie łąkę, już jest w lesie, w starym, wspaniałym lesie. Poziomki i dzwonki kwitną wśród mchów i paproci. Całemi godzinami, zdjąwszy kapelusik, z rękami podłożonemi pod głowę, leży Jania na skraju lasu i wpatruje się w jodły, między wierzchołkami których błękitnieje niebo. Serce i dusza budzą się, nowe myśli rodzą nieznane wzruszenia. Dawne uczucia, balowa muzyka, szał tańca, bledną i opadają, jak zeschłe igły jodeł. Jania zaczyna zastanawiać się nad sobą. Wobec potęgi przyrody wyrabia sobie pojęcie o własnej małości. Przejęta poważnemi myślami biegnie Jania do domu i popychana potężnem pragnieniem poufnej rozmowy, pisze na dziesięciu stronnicach list do narzeczonego.

Z jakąż niecierpliwością oczekuje odpowiedzi, która ma jej przynieść objaśnienie tylu wątpliwości. A tymczasem cóż otrzymuje zamiast tego upragnionego listu? Powszednie szczegóły życia Borskiego, wiadomości, o tym lub tamtym z jej znajomych, parę czułych słówek, lecz na to, co do głębi porusza jej duszę, narzeczony odpowiada jednem żartobliwem słówkiem, nazwaniem jej "szaloną główką".

Jania drze list na kawałki, zamyka drzwi z trzaskiem i schodzi na dół, śpiewając. Usiłuje wmówić w siebie, że nie doznała żadnego zawodu, przeciwnie, że jest w bardzo wesołem usposobieniu. Ten wymuszony spokój nie odstępuje jej, dopóki nie weszła do lasu, lecz w lesie rzuca się na mech i płacze, płacze bez miary, gorącemi, gorzkiemi łzami, jakiemi zwykle płaczą ogniste dusze, i bezsilna w swej młodzieńczej nieświadomości, wzywa napróżno pomocy i myślami woła o ratunek. Od tej chwili listy Jani do narzeczonego bywają krótsze i mniej częste; proszący rzadko zwraca się do drzwi zamkniętych, rzadziej jeszcze do takich, do których wstępu raz mu odmówiono.

Pewnego ranka obił się o uczy Jani dźwięk wesołego, kobiecego śmiechu, dolatujący przez otwarte okno. Zerwała się i wychyliła, by wyjrzeć nadół. Na łące przed domem, tuż przy krzaku różanym, siedział młody człowiek, a przed nim stały sztalugi, obok niego zaś młoda kobieta w jasnej sukni. Rozmawiali i śmieli się obróceni plecami do Jani.

— Kto to może być?

Zbiegła żywo po schodach i stanęła zaciekawiona, niepewna, za nieznajomą parą.

Wielki pies domowy przyszedł się do niej łasić. Wtedy nieznajoma dama obejrzała się.

Przez chwilę wpatrywała się w ogorzałą, pełną wyrazu twarz dziewczęcia z nieśmiałemi, ciekawemi oczyma, a potem na jej ujmującej twarzy ukazał się pociągający uśmiech.

— Dzień dobry pani — skinęła jej głową wesoło. — Jesteśmy zapewne sąsiadkami w tej samotni?

Znajomość zrobiła się w jednej chwili.

"Dziś poznałam dwoje zachwycających ludzi" pisała tego samego wieczora Jania do narzeczonego. "Mieszkają w tym samym domu co i my. Mąż jest pejzażystą, a żona... o, żona! Nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze widzieć równie sympatycznej osoby. Jej obecność rozgrzewa serca miłem ciepłem, jakby wiosennego słońca. A jak oni się kochają!"

Od tej chwili Jania nie czuła się już samotną. Jej nieświadome własnego osamotnienia serce rwało się z zapałem ku tym dwojgu, a szczera, prosta natura dziewczęcia, jej ujmująca prostota zjednała dla niej ich serca. Dusze ich zrozumiały się. Był w tych ludziach niezwykły jakiś spokój, była moralna i duchowa harmonja, jaką się rzadko spotyka, chyba tylko u wybranych tego świata.

I Jania mogła gawędzić, mówić o wszystkiem co myślała i czuła, wiedziała, że zostanie zrozumiana, lub też cichym, serdecznym głosem upomniana i skierowana na właściwą drogę. Jej pragnienia, jej gorąca chęć doskonalenia się i

kształcenia znalazły poparcie i zachętę, jako święta iskra, którą pielęgnować należy. Zaszła też w Jani wielka zmiana: dojrzała i zaczęło jej się rozjaśniać w myślach.

— W jaki sposób właściwie poznaliście się? — zapytała pewnego dnia z całą naiwnością.

Mąż roześmiał się.

— W bardzo zabawny sposób: żaba była pośredniczką między naszemi pokrewnemi duszami.

— Żaba? — zdziwiła się Jania.

— Tak, i to zupełnie zwyczajna żaba. Siedziałem w oknie pracowni; mieszkałem wtedy na przedmieściu; przed mojemi oknami rozciągała się wilgotna łąka. Szosą przejeżdżały tramwaje, chodnikiem szli ludzie. Nadeszła jakaś młoda osoba z małym chłopczykiem. Chłopczyk krzyknął, gdyż wielka żaba, odurzona jeszcze resztkami zimowego snu, pełzała, kołysząc się zwolna na szynach tramwajowych. Młoda osoba wzięła kijek i usiłowała zepchnąć żabę, ale napróżno. Żaba rozsiadła się na samym środku szyn i nie dała się usunąć. Dzwonek tramwajowy zadźwięczał groźnie. Młoda osoba po chwilowem wahaniu zdobyła się na odwagę: wydobyła chusteczkę z kieszeni, porwała żabę i odrzuciła ją na łąkę z lekkim okrzykiem wstrętu. Ropucha plusnęła w błoto, a młoda osoba poszła w swoją drogę. Ja jednak pomyślałem, że ten, kto ma tyle miłosierdzia dla tak brzydkiego stworzenia, musi posiadać serce hojnie uposażone przez Boga w dobroć, serce nieposledniej wartości. Zacząłem szukać, dochodzić, pytać, aż znalazłem tę, którą pani teraz widzi przed sobą jako moją żonę.

Jania zamyśliła się. Żywy jej umysł budził się pod wpływem tych ludzi, jak kwiaty budzą się w świetle słonecznem.

— Rzecz dziwna — odezwała się po chwili, potrząsając głową. — Pańskie serce widziało jasno, a ludzie tak wiele mówią o zaślepieniu miłości?

On i ona roześmieli się wesoło.

— Moja maleńka, — przemówiła, przestawszy się śmiać młoda pani, — przestań raz już wierzyć w ślepą miłość. To gra niebezpieczna. Zawsze przywodzi mi na myśl grę w ślepą babkę. Ludzie biegają, narażając się na niebezpieczeństwo, potrącają się, kaleczą, chwytają dwadzieścia razy, zanim chwycą tego, za którym się upędzali. Badaj zawsze serce z otwartemi oczyma. Niema straszniejszego losu, jak los kobiety związanej z człowiekiem, który nie rozumie jej duszy!

Jania całe dnie przebywała z nowymi znajomymi. Robili razem wycieczki, rozmawiali lub też młoda pani czytała, podczas gdy mąż jej malował.

Jania przysłuchiwała się z błyszczącemi oczami i wzruszała się utworami, znanemi jej przedtem zaledwie z tytułów. Na głośne czytanie postanowiła namówić swego narzeczonego. Teraz częściej niż przedtem biegły ku niemu jej myśli, serdeczniej i przyjaźniej. Z dziecka wyrastała na kobietę, zaczynającą pojmować, że małżeństwo to wielki, święty obowiązek, a nie zabawna odmiana dotychczasowego życia. Takiem małżeństwem jak to, które miała przed sobą, będzie i jej małżeństwo.

— Rozum mojej żony i jej czyste, głębokie uczucie są dla mnie najlepszymi przewodnikami — zwykł był powtarzać jej malarz.

I ona też, Jania, usłyszy to samo kiedyś z ust Borskiego.

Tygodnie upływały, młodzi małżonkowie zabierali się do odjazdu. Mówiono dużo o rozstaniu i zobaczeniu się w przyszłości, a Jania była zgnębiona, jak nigdy dotąd w swem beztroskiem życiu.

— Droga moja pani — powiedziała do niej młoda kobieta w chwili pożegnania, — bądź zawsze tak szczera jak teraz; trafiłaś na właściwą drogę i pamiętaj, że najsrożej mści się na nas kłamstwo, popełnione względem własnego serca.

Jania uczuła się opuszczona, gdy odjechał jej anioł opiekuńczy. Cały świat wydawał się jej teraz pusty. Z niezmierną radością powitała list od narzeczonego, który oznajmiał jej swój niespodziewany przyjazd. Przyjęła Borskiego z nieznaną dawniej serdecznością i nieśmiałością. Zauważył, że zmieniła się, wyładniała. Radowała ją myśl pokazania mu lasu i uroczych górskich widoków. Opowiadała mu o pięknościach natury i o swoich nowych znajomych. On słuchał obojętnie. Jania popatrzyła na niego zdziwiona i poczuła, że jego milczenie działa na nią ochładzająco.

A gdy wkońcu oznajmił, że te piękne widoki woli obejrzeć po wypiciu kawy i wypaleniu cygara, zgasła odrazu jej radość. Więc zupełnie obcymi stali się sobie? Zdawało się prawie, że tak. Jania uważała, że Borski jest zmieniony, a nie domyślała się nawet, że jest taki sam jak był, tylko jej oczy bystrzej patrzą i widzą to, czego dawniej dojrzeć nie potrafiły.

Pobyt z ukochanym tak bardzo różnił się od tego, o czem marzyła. Przez szkła binokli podziwiał od niechcenia piękności natury, jak się ogląda panoramę, nie odczuwając jej czaru. Kiedy wieczorem wyruszali na spacer po łące, powoli, mierzonym jak w mieście krokiem, bo pan sekretarz był nieprzyjacielem długiego i szybkiego chodzenia, miał zwyczaj zręcznym ruchem laseczki ścinać główki kwiatów. Za pierwszym razem Jania wydała okrzyk politowania.

Borski spojrzał na nią ze zdziwieniem, przypuszczając, że może nastąpił jej na nogę.

— Biedne, niebieskie kwiatki! — szepnęła z wyrzutem.

On się roześmiał.

— Ależ moja mała, jakiż to śmieszny sentymentalizm! Muszę cię od tego odzwyczaić.

Jania nic nie odpowiedziała.

Pewnego dnia, gdy deszcz padał, poprosiła narzeczonego nieśmiało, by jej przeczytał cokolwiek głośno. Żona malarza podarowała jej tomik Słowackiego i tę książkę przyniosła Jania do czytania. Borski zasiadł w fotelu, wyrzekał i złościł się na niepogodę, aż wkońcu zabrał się niechętnie do przerzucania książki.

— Wiersze? — odezwał się zawiedziony — ależ moje dziecko, to coś strasznego! Żądaj ode mnie czego chcesz, tylko nie czytania wierszy.

— Więc znasz tę książkę? — zapytała Jania, która zachwycała się Słowackim.

— Nie, tej nie znam, ale znam wiele podobnych. Z zasady nie czytuję nigdy żadnych poezyj.

Rzucił książkę na stół, nie pomyślawszy nawet o tem, by dla zrobienia przyjemności narzeczonej, raz choćby odstąpić od zasady. Gdy później chciał ją do siebie przyciągnąć i pocałować, Jania odwróciła się z niechęcią; Borski rozgniewał się i powiedział, że pobyt na świeżem powietrzu wywarł na nią wpływ niekorzystny, że się zrobiła kapryśna.

Jania milczała, czując, że nie zdoła się z nim porozumieć. Tysiąc razy miała sposobność przekonania się o tem, lecz nie chciała tego przyznać przed sobą. Poszła sama do lasu i przyglądała się zmoczonym jodłom, a sekretarz z prezesową grali tymczasem w bezika.

— Powiedz mi, czy znasz doktora Wernickiego? — zapytała raz Jania od niechcenia.

— Znam — odpowiedział Borski mocno zdziwiony — ale bardzo mało.

— I córkę jego znasz także?

Skrzywił się i końcem starannie wypielęgnowanego paznokcia strącił popiół z cygara.

— Tak — odrzekł z niechęcią. — Dzięki Bogu widziałem ją raz tylko. Bardzo niesmaczna.

— Ależ to niepodobna! — Jania potrząsnęła głową niedowierzająco. — To jest najlepsza przyjaciółka tej naszej sąsiadki, żony malarza. Jaka to szkoda, żeś wcześniej nie przyjechał i nie poznał jej!

Borski dyplomatycznie pominął milczeniem ostatnią uwagę.

— Przyjaciółką? Nie pojmuję tego zupełnie. Przyjaźń jest dla mnie zagadką. Ta młoda osoba poświęciła się medycynie i dziś jest asystentką swego ojca.

— Ach, to mi się bardzo podoba! — wykrzyknęła Jania z ożywieniem. Dlaczego mówisz, że jest niesmaczna?

— Dlatego, że ona i ojciec są krańcowymi postępowcami i przy każdej sposobności powstają na obecny stan rzeczy na świecie. Takie niespokojne duchy psują mi zawsze humor.

— Postępowcy? Co to takiego? — zapytała Jania.

— Nie zrozumiałabyś tego, moje dziecko — odparł krótko Borski.

Ileż to razy słyszała już Jania ten nienawistny zwrot! Ile zapytań, pragnień, stłumił w niej podobnemi odpowiedziami! A zawsze z tym swoim pobłażliwie lekceważącym uśmiechem i tonem, który w duszy młodej dziewczyny wywoływał bunt gwałtowny.

— Sądzę, że jest na świecie wiele rzeczy niedobrych i potrzebujących poprawy — odezwała się ostrożnie.

— Rozumie się — potwierdził Borski uprzejmie. — Ale ogólnie rzeczy biorąc, całość stosunków jest zadawalniająca. Cóżbyśmy robili, gdyby nam sądzone było przyjść na świat w piętnastem stuleciu? Bo, powiedz sama, kto jest dziś niezadowolony? Ci chyba, którym nie chce się pracować i nieuleczalni marzyciele. Na jednych i drugich niema rady.

— Ale cóż to właściwie są postępowcy? — nalegała Jania, pochłonięta swemi myślami.

— Ależ, dziecko, ty tego zrozumieć nie możesz!

— Więc mi wytłumacz! — zawołała żywo.

Borski zdumiał się. Żądanie takie było dla niego niespodzianką. Jego matka i siostry w milczeniu poddawały się zawsze wyrokom jego salomonowej mądrości, a teraz ta mała ośmiela się zadawać mu pytania i żądać tłumaczeń! Spojrzał na nią nieufnie, podczas gdy ona stała, wciąż topiąc w nim jasne i głębokie spojrzenia i oczekując odpowiedzi. Szkoda, była taka ładna, miałażby być niedogodna, jako żona?

— Janiu — odparł żartobliwie i wymijająco — nie pytaj tak wiele, a zachochaj raczej tę swoją czarującą naiwność dotychczasową.

— Czy mam naiwność rozumieć jako równoznaczną z ograniczeniem umysłu?

Po raz drugi wprawiła go w zdumienie.

Zadziwił się zrazu, a potem zniecierpliwił. Sekretarz Borski nie czuł bynajmniej powołania na nauczyciela, a zresztą na co dziewczynie potrzebne takie wiadomości? Nie miał też ochoty wdawać się w dyskusje, bo każdy spór wogóle uważał za nieodpowiedni swej godności.

Oboje byli rozdrażnieni. Charaktery ich w zupełności nie godziły się z sobą. Despotyczne samolubstwo gnębiło niemiłosiernie indywidualność dziewczęcia.

To też przypatrując się narzeczonym, prezesowa nie mogła dłużej nie dostrzec prawdy, że stosunki między narzeczonymi znacznie ochłódły. A wszystko było smutnem następstwem tego letniego mieszkania w górach. Zaczęła się z pośpiechem zabierać do wyjazdu i częściej niż zwykle wspominała o bliskim ślubie.

Minęło kilka tygodni. Wszyscy popowracali do miasta, zwykłych warunków życia, ale Jani świeżość z gór przywieziona, uleciała. Młoda jej twarzyczka nie była już teraz taką jak przedtem niezapisaną kartą; ciężkie myśli tłoczyły się pod białem czołem dziewczyny. Ludzie szeptali, że się postarzała, a przecież ona niedawno obchodziła dwudziestą rocznicę swych imienin.

Można sobie wyobrazić zdumienie wujostwa Jani, gdy pewnego poranka usłyszeli:

— Wuju, ciociu, będziecie się na mnie gniewali, ale ja nie mogę, doprawdy nie mogę zostać żoną pana Borskiego.

Prezes upuścił trzymany w ręku dziennik, małżonka postawiła z brzękiem filiżankę na stole i oboje wpatrzyli się oniemiali w siostrzenicę. Wydała się im zupełnie inną. Silne postanowienie rysowało się na jej twarzy, policzki jej zapadły, oczy miała silnie podkrążone, skutkiem bezsenności.

"Niema nic okropniejszego, jak być związaną z człowiekiem, który nie rozumie duszy naszej".

Te słowa wydarły jej spokój, życie zatruły.

— Czyś postradała zmysły? — wybuchnęła ciotka, odzyskawszy mowę po dłuższej chwili, — co to ma znaczyć?

— Znaczy to, że zaręczając się z panem sekretarzem, byłam jeszcze dzieckiem i nie wiedziałam co czynię.

— A teraz rozumiesz? Chcesz popełnić głupstwo, gorzej niż głupstwo, szaleństwo niepojęte, którego będziesz żałowała całe życie, jeżeli my cię nie ocalimy.

— Wuju, ciociu! Moglibyście mi bronić naprawić błąd popełniony?

Głos jej drżał z przerażenia.

— Janino — przemówił prezes z namaszczeniem — twój postępek jest czemś niesłychanem. Przestrasza mnie twój brak poczucia moralnego, brak uczciwości, dumy kobiecej, twoja niepojęta lekkomyślność...

— Wuju, to wcale nie jest lekkomyślność. Bóg jeden wie, jak długo walczyłam i opierałam się tej myśli. Zaręczając się z panem Borskim, nie miałam żadnego doświadczenia, nie znałam świata, a nikt mnie nie ostrzegł, nie zachęcił do zastanowienia się — skarżyła się — zrozpaczona dziewczyna.

— Czy chcesz czynić nam wyrzuty? — roześmiał się wzgardliwie prezes. — Tak, tak, niewdzięczność jest zwykłą zapłatą na tym świecie. Sekretarz Borski jest doskonałą partją, jest człowiekiem honoru, ma przed sobą świetną karjerę. Cóż wreszcie możesz mieć przeciw niemu?

Stał groźny przed Janią.

— Nie rozumie mojej duszy! — zawołała z rozpaczą.

— Głupia jesteś!

Wuj, tak grzeczny dotychczas w obejściu, wziął Janię za ramię i potrząsł nią. Wyrwała mu się.

— Nie chcę być maszyną. Chcę, by moje pragnienia były wyrozumiane!

— Nic więcej?

Prezes odetchnął z uczuciem ulgi.

— No, no! — powiedział, wracając do zwykłego obejścia. — Widocznie zaszło tu jakieś nieporozumienie. Pomówicie z sobą, a wszystko będzie dobrze.

Jania potrząsnęła energicznie główką.

— Czyż rozmowa może zmienić nasze charaktery?

* * *

Kawa dobroczynna, innemi słowami zebranie dam dostarczających robótek na bazar dla najbiedniejszych, zgromadzenie dobroczynnych rąk i złośliwych języków. W tej chwili jedne i drugie są w nieustannym ruchu.

Posłuchamy, co głoszą ostatnie:

— Z jakiego właściwie powodu zerwało się małżeństwo Jani Winnickiej?

To było ważne pytanie, nad którego rozwiązaniem połowa miasta łamała sobie głowy.

— Widocznie od samego początku Jania postanowiła zaręczyć się tylko na pewien czas — wygłosiła w formie domysłu jakaś matrona, właścicielka dość ostrego języka. — Pokazuje się, że szło jej przedewszystkiem o hołdy.

— Nie pojmuję prezesowej — zauważyła jej sąsiadka, — gdybym była nią, naznaczyłabym termin ślubu w trzy miesiące po zaręczynach i nie byłoby tak fatalnego zakończenia.

— Niedoszła pani sekretarzowa Borska opuściła dom wuja i przeniosła się do znajomych. Wielkie szczęście, że tak się stało, bo panna po zerwaniu zaręczyn jest zawsze mniej czy więcej skompromitowana, więc nie mogłabym pozwolić mojej córce na utrzymywanie z nią stosunków.

— I ja także!

— I ja również! — odezwały się dalsze głosy.

— To się należy biednemu sekretarzowi!

— Jakiż to brak charakteru, takie niedotrzymanie słowa. Nie mogłabym zmrużyć oka, mając podobny ciężar na sercu — westchnęła stara sentymentalna panna, której nigdy do tej pory nie zagrażały zaręczyny.

— Dlaczego brak charakteru? — padło niespodziewanie pytanie z ust osoby, która do tej pory słuchała w milczeniu. — Ja uważam, że aby się przyznać do popełnionej omyłki, właśnie potrzeba charakteru, a nadto rozsądku i miłości prawdy. Niema człowieka nieomylnego, tembardziej więc może się pomylić dziewiętnastoletnie dziecko. I serce mylić się także może, ale jeżeli uznaje swój błąd, zyskuje tym sposobem prawo do współczucia ludzkiego. Obciążać takich, dotkniętych przez los, zarzutem, w żadnym razie się nie godzi. Wszak błędami znaczy się droga do poznania prawdy.

— Nie jestem zdania pani — odezwała się biblijnym tonem jedna ze starszych dam. — Przyrzeczenie powinno być święte dla każdego. Złamanie wiary jest grzechem, zerwanie zaręczyn jest czynem wysoce niemoralnym i zostawia na zawsze plamę na duszy.

Panna Wernicka, lekarka, wzruszyła tylko ramionami. Z potęgą pięknych frazesów walka zawsze trudna. Wiadomo przecież, że tam, gdzie niema uczucia, frazes zastępuje wszystko. Milczała, nie chcąc narażać się na dalszą dysputę z damami dobroczynnemi.

ŚWIĘCI POLSCY

My Polacy, których cechą charakterystyczną jest gorący temperament i wielka pobożność, posiadaliśmy nie tylko pełnych zapału bojowników na licznych polach bitew za Wiarę św. i Ojczyznę, ale i świętym ogniem miłości Bożej płonących mężów i niewiast. Jednak nie umieliśmy promienistą glorią sławy otaczać swoich wybrańców, nadawać ich szlachetnym uczynkom wszechświatowego rozgłosu. Stąd tak małą stosunkowo liczbę Polaków beatyfikowanych notują spisy Świętych w Rzymie. Niewątpliwie o wiele większa ich liczba zapisana jest w księgach niebieskich, gdzie oku Boskiemu nie uszła żadna cicha zasługa, ani, pominięte uwagą otoczenia, bohaterstwo duszy i serca.

Świetlanemu pocztowi znanych i nieznanych Świętych Polskich przewodniczy Królowa Korony Polskiej — Matka Boska Częstochowska, czczona w całej Polsce pod postacią kilkudziesięciu cudownych, koronowanych obrazów i posągów.

Pierwszymi świętymi, o których wspominają kroniki, to są ci legendarni aniołowie, którzy przyszli w gościnę do kołodzieja Piasta na postrzyżyny synka jego — Ziemowita. Byli nimi prawdopodobnie dwaj misjonarze słowiańscy, św. Cyryl i św. Metody.

Pierwszym już historycznym świętym w Polsce chrześcijańskiej, to św. Wojciech, zamordowany przez dzikich Prusów, którego ciało król Bolesław Chrobry na wagę srebra wykupiwszy, umieścił w pięknym sarkofagu w katedrze gnieźnieńskiej. Za Bolesława Chrobrego wsławiło się jeszcze śmiercią męczeńską pięciu świętych pustelników, tak zwanych Pięciu Braci Polskich, oraz z tego zarania dziejów naszych zachowało się wspomnienie błogosławionego biskupa-pustelnika — Bogumiła. Starał się on zorganizować wielką pracę misyjną wśród sąsiednich pogańskich Prusów, co gdyby zostało uskutecznione, — wywarłoby wielki wpływ na całe dzieje Polski, bo wówczas ks. Konrad Mazowiecki nie sprowadziłby Krzyżaków.

Trzecim świętym biskupem polskim był św. Stanisław Szczepanow-



Bolesław Chrobry wita św. Wojciecha, przybywającego do Gniezna



Święta Jadwiga Śląska wspiera ubogich i dogląda chorych



Święta Kinga sprowadza sól z Węgier do Polski

ski, biskup krakowski, obrany za patrona Polski, który według podania wskrzesił Piotrowina, aby dał świadectwo prawdzie. Został on zamordowany przez bohaterskiego, lecz zapalczywego króla Bolesława Śmiałego, którego upominał za rozwiązłe życie.

W następnych wiekach promienna aureola świętych dziwnie misternie splata się ze złotymi koronami królowych naszych. Święta Jadwiga, żona Henryka Brodatego, księcia śląskiego, a matka Henryka Pobożnego, który zginął w bitwie z Tatarami pod Lignicą, zajaśniała cnotą wielkiego miłosierdzia względem ubogich, a według legendy, na znak widomej łaski Boskiej, jałmużna, którą niosła w płaszczu, zamieniła się w więź wonnych róż.

Święte powinowactwo krwi i dusz łączy w tym czasie tron polski z węgierskim. Córka błogosławionej Grzymisławy, żony Leszka Białego, a matki Bolesława Wstydliwego — św. Salomea, jest żoną księcia węgierskiego, a następnie halickiego — Kolomana, a owdowiawszy nie chce być nawet ksienią w założonym przez siebie klasztorze i ostatnie lata życia spędza samotnie w pustelni na twardym, w skale wykutym, łożu, które do dziś dnia oglądać można koło Ogrodzieńca, nad rzeką Prądnikiem, w Kieleckiem.

Bratowa jej, królewna węgierska, a polska królowa — św. Kinga sprowadza cudownie sól z Węgier do Polski, a po śmierci męża dokonywuje życia w ufundowanym przez się klasztorze w Nowym Sączu.

Jej siostra — św. Jolenta, żona księcia wielkopolskiego, Bolesława Pobożnego, a następnie ksienia Klarysek w Gnieźnie, łączy w sobie szczytne zadania matki, żony, i działaczki społecznej, które spina klamrą nieustającej modlitwy. Wszystkie one cztery stanowią mistyczny wieniec róż i lilij Bożych.

W tych bogobojnych czasach zajaśniał też cnotami i nauką kronikarz i biskup krakowski — Wincenty Kadłubek; zaś zacny i możny ród Odrowążów wzbogacił kraj nasz całym szeregiem wielkich świętych. Choć nie kanonizowany, ale za świętego uważany był ogólnie, biskup krakowski i kanclerz królewski — Iwo Odrowąż. Wielką świętością zajaśniał bratanek jego Hiacynt, zwany św. Jackiem, pierwszy Dominikanin polski i założyciel tego zakonu w Polsce, a niestrudzony rycerz Maryi i nieustraszony misjonarz.



Czterdziestu Dziewięciu Męczenników czyta zapowiedź swego męczeństwa



Św. Jan Kanty w gronie żaków krakowskich

Apostołując na Litwie, Rusi i w krajach nadbałtyckich, rozszerzając owczarnię Pańską— rzuca on jednocześnie podwaliny pod przyszły wielki gmach potęgi polskiej i przygotowuje szlaki, po których się ona rozszerzy. Św. Jacek wprowadza też do Polski modlitwę różańca świętego oraz włoskie orzechy, zwane od jego imienia, jackami.

Krewnym jego i towarzyszem był Dominikanin, św. Czesław, przeor klasztoru we Wrocławiu — wielki kaznodzieja i cudotwórca, który przepowiedział najście Tatarów, a gdy nadeszli i oblegli miasto, mocą modlitwy odrzucił ich i zmusił do cofnięcia się w popłochu. Krewniaczką św. Jacka była też św. Bronisława, zakonnica sióstr Norbertanek na Zwierzyńcu pod Krakowem, czczona jako patronka dobrej sławy. — Duchowymi synami św. Jacka było też Czterdziestu Dziewięciu Męczenników-Dominikanów, z przeorem Sadokiem na czele, których wymordowali Tatarzy w kościele św. Jakuba w Sandomierzu. Zapowiedź tej męki, przeczytali rano, ognistymi literami wypisaną w księdze żywotów świętych.

Gdy następnie Polacy zwrócili się do Rzymu z prośbą o relikwie, papież Urban VIII kazał posłom przywieźć ziemi sandomierskiej, a gdy z nią wrócili:

Wziął garść jej w rękę. Ziemia ściśnięta
Dłonią papieża — pociekła krwią.
— Patrzcie: męczeńska krew to jest święta.
Waszą relikwią nazwijcie ją!

Polska cała z utęsknieniem oczekuje do dziś tej chwili, kiedy w poczet świętych zostanie też zaliczona i uwielbiana przez cały nasz naród królowa Jadwiga, która ofiarą serca nawróciła Litwę.

Doczekał się wkrótce kanonizacji św. Jan Kanty — profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, którego każdy wykład był nauką świętości. Jemu to zawdzięcza Polska, że modli się za nią świat cały, gdyż papież Klemens XIII w bulli kanonizacyjnej wstawił na dzień jego święta modlitwę za Polskę.



Królewicz Kazimierz modli się nocą u wrót katedry wileńskiej



Św. Stanisław Kostka ukazuje się nad polem bitwy pod Chocimem

Następnym świętym z tego okresu jest królewicz Kazimierz Jagiellończyk, patron Litwy, któremu przypisują ułożenie pieśni łacińskiej na cześć Matki Boskiej: „Omni die — dic Mariae" — drugim zaś świętym młodzieniaszkiem naszym, to ukochany patron młodzieży polskiej — św. Stanisław Kostka. Dzieciństwo jego od najmłodszych lat otacza aureola świętości i choć ojciec jego, dumny magnat, o wielkiej karierze marzy dla swych synów, nie dla doczesnych zaszczytów przeznacza Bóg niebiańską duszyczkę małego Stasia. „Do większych rzeczy jestem stworzony" — mówi on sam o sobie. Więc w sekrecie przed rodziną, która była przeciwna jego powołaniu, pieszo, o żebraczym chlebie, udaje się on do Rzymu, gdzie zostaje przyjęty do, od niedawna istniejącego, zakonu Jezuitów. Urok jego ujmującej postaci, i delikatnego obejścia jedna mu serca całego otoczenia. Niedługo jednak ojcowie i bracia cieszą się obecnością cudownego chłopięcia. Po paru miesiącach, w sam dzień Wniebowzięcia Matki Bożej — 15 sierpnia o świcie umiera, jak to przepowiedział sobie i o co gorliwie się modlił. „Gotowe serce moje, gotowe" — to są jego ostatnie słowa. I anioł odleciał do Nieba, a cały Rzym z naręczami kwiecia biegnie złożyć hołd u stóp „świętego, małego Polaka" i rozrywa strzępki odzieży jego, jako relikwię.

Patronem Unii stał się biskup unicki Jozefat Kuncewicz, zamordowany przez dyzunitów. Otaczał on swą opieką bohaterskich Unitów, którzy dzięki niemu zdobywali siłę do wytrwania w walce z potężnym caratem, chcącym narzucić im prawosławie.

Wśród świętych z połowy XVII w. najbardziej znanym i czczonym jest Andrzej Bobola, Jezuita, który całe swe życie spędził jako misjonarz na Polesiu i został tam w okrutny sposób umęczony przez kozaków. Uważany on jest za drugiego patrona Polski, a to ze względu na przepowiednię Jej wskrzeszenia, uczynioną w 1819 roku za pośrednictwem ks. Korzenieckiego, Dominikanina z Wilna.

Zjawiwszy się w jego celi, jako widmo, ukazał mu przez okno wizję pola bitwy, na którym walczyły z zaciekłością narody Europy i rzekł: „Kiedy ludzie doczekają się takiej wojny, za przywróceniem pokoju nastąpi wskrzeszenie Polski, a ja zostanę uznany Jej głównym patronem". Przepowiednia ta przez sto lat niewoli krzepiła naród polski.



Św. Andrzej Bobola przepowiada wielką wojnę i wskrzeszenie Polski

JÓZEF RELIDZYŃSKI

KSIĘŻYCOWY KAWALER

W POCIĄGU pośpiesznym Krynica-Lwów, wygodnie rozciągnięta na pluszowem siedzeniu przedziału pierwszej klasy, jechała pani Ada Dornowa. Była sama w przedziale, który galanterja jej sezonowych adoratorów krynickich (miała na nich specjalne określenie: "fatyganci") zmieniła w istną oranżerję. Mogła więc spokojnie oddać się swoim dumaniom beztroskim, jak beztroskie było jej życie — życie pięknej żony bogatego męża.

Jednakże nie jej uroda i nie majątek pana Teofila Dorna — same przez się nie dające jeszcze powodu do beztroski — stanowiły o pogodzie usposobienia pięknej Ady.

Pani Dornowa była dzieckiem szczęścia. Przyniosła z sobą na świat dar rzadki i bezcenny: ową radość życia, przelewającą się w żyłach, jak w drzewach soki wiosenne. Na radość tę nie miały wpływu drobne smuteczki życiowe — któż ich nie zna na tym świecie? — ani nawet ta wyrodna, tak zazwyczaj tragiczna w życiu pięknej światowej kobiety chwila, kiedy nieodstępne lusterko odkryje jej pierwszą zmarszczkę koło oczu, czy pierwszy włos pobielały na skroni.

Pani Ada nosiła swoją czterdziestkę, nie można rzec — z godnością, słowo to bowiem w zestawieniu z jej humorem i temperamentem byłoby wręcz śmieszne, — ale właśnie z pogodą. W żartobliwej powadze, jaką lubiła czasem przybierać, było tyle wdzięku, ton macierzyński, który niekiedy przybierała w stosunku do zakochanych w niej młodzieńców, owo kokietowanie swoim piątym krzyżykiem i dorosłym synem,—miało taki czar; jej uroda zaś, mimo pewne charakterystyczne rozleniwienie w biodrach i zaokrąglenie podbródka, była ciągle jeszcze tak oszałamiająca, że pochód pani Ady przez życie równał się chyba tylko pochodowi Cezara przez Galję, a legjony "fatygantów" nie tylko nie topniały, lecz przeciwnie, rosły z każdym dniem, raczej z każdym sezonem.

Sezon letni należał do Krynicy. Pani Ada wierna jej była od lat zgórą dwudziestu, kiedy to, właśnie w Krynicy, zaręczyła się ze swoim obecnym mężem. Temu ostatniemu była mniej wierna... Nic dziwnego zresztą. Usposobienia ich były tak różne, jak ogień i woda.

Pan Teofil, znacznie starszy od swojej żony, mocno szarpnięty burzliwą młodością, traktował małżeństwo jako port bezpieczny, do którego zawija skołatany burzami okręt. Poza tem duże interesy pozostawiały mu mało czasu.

Pani Ada z niezwykłą umiejętnością i doświadczeniem, jak na jej młode ówczesne lata, zgotowała małżonkowi ową przystań zaciszną, w której tkwił dotychczas, niby w miękkim kłębie waty. Była wzorową gospodynią i panią domu, dbała pieczołowicie o zdrowie i wygody pana Teofila, z godnością reprezentowała jego ważkie w świecie wielkiego przemysłu nazwisko na przyjęciach domowych i oficjalnych uroczystościach. Była także wzorową matką i wychowała mu bez zarzutu syna.

Młody Dorn przebywał na studjach zagranicą. Matkę kochał bałwochwalczo. Była mu ona zresztą przyjaciółką i — rzecz dziwna — o ile był skrępowany wobec ojca, tyle przed nią nie miał żadnych tajemnic. I pani Ada, w sekrecie przed mężem, regulowała zarówno długi jedynaka, jak i jego życie erotyczne, kierując niem bezapelacyjnie.

Swoje własne życie erotyczne, w które rychło po ślubie pchnęła ją młodość i niezaspokojony temperament, potrafiła pani Ada odgrodzić od swoich najbliższych nieprzeniknioną zasłoną. Lawirowała z przedziwną zręcznością tak, że nawet w tym małym światku, zwanym "wielkim światem", panowała w stosunku do niej zupełna dezorjentacja.

Podejrzewano ją o wszystkich mężczyzn, wprzęgniętych do jej zwycięskiego rydwanu, nikt jednak nie mógł wskazać palcem na tego jednego, w danej chwili aktualnego. Był to system, jeżeli nie nowy, to w każdym razie doprowadzony przez panią Adę do doskonałości.

Nie znaczy to, aby pan Teofil niczego się nie domyślał. Miał umysł nazbyt analityczny i bogate doświadczenie. Był jednak człowiekiem dobrze wychowanym i cenił nadewszystko spokój. Czuł zresztą, że nie jest bez winy w tym względzie.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak "robić dobrą minę do złej gry"... Z wyrozumiałym, trochę zmęczonym uśmiechem, spojrzeniem zlekka przysłoniętem melancholją zrezygnowanego mężczyzny obserwował panią Adę, gdy spiesznie kończyła obiad i wybierała się "do krawcowej", bądź też "na posiedzenie" jakiegoś towarzystwa dobroczynności, zwłaszcza zaś kiedy pakowała śliczne łaszki w przeddzień wyjazdu do Krynicy lub zagranicę (państwo Dornowie od szeregu lat, z wyjątkiem obowiązkowego krótkiego pobytu wiosną na Rywierze, podróżowali oddzielnie).

Zresztą pani Ada była w takich chwilach podwójnie czuła dla męża. Po powrocie z podróży — nieobecność małżonki była dla pana Teofila istną męczarnią, mimo licznej służby czuł się pozbawiony wygód i opieki, nikt bowiem nie umiał tak tańczyć koło niego, jak własna żona — otóż po powrocie pani Ada oplątywała męża taką misterną siecią dbałości i troskliwości, wysilała się na tak nadzwyczajne potrawy (pan Teofil był wyrafinowanym smakoszem), przywoziła mu tak wymyślne pyjamy, szlafroki i pantofle, — że wieczorem pan Teofil, wygod-

nie ubrany, a raczej rozebrany po domowemu, po kieliszku starego wina, z dobrem cygarem w ustach, słuchając rozkosznego szczebiotu małżonki, opowiadającej przeżyte wrażenia, zapominał o swoich moralnych dolegliwościach i fizycznych brakach i skłonny był mniemać, że jednak świat jest piękny, i błogosławił niebo za skarb nad skarby w osobie swojej żony.

Czemże bo istotnie były burze jego młodości, o których myślał czasem z tęsknym żalem, czemże troski jego wieku męskiego, czemże chłód zbliżającej się starości wobec tego wykwintnego pokoju i ciepła tego wykwintnego uśmiechu?

Uśmiech pani Ady nie był zaprawdę uśmiechem kłamstwa. Jaśniało w nim szczere przywiązanie i przyjaźń, płynął z niego spokój, korona mądrości życia. Pan Teofil w miarę jak się starzał, stawał się filozofem. Słodka trucizna Schopenhauera i filozofji buddyjskiej nie była mu obca.

I cóż, że kochankowie pani Ady brali z niej burzę sami? Spokój dojrzałego serca, niczem owoc dojrzałej jesieni, w ciepłym i mądrym uśmiechu żony złocił się tylko dla niego. I czemże było wszystko inne? Bańką mydlaną, tyleż barwną co nietrwałą.

Pan Teofil był zadowolony z życia.

Zadowolona była i pani Ada.

I teraz, leżąc wygodnie na miękkiem posłaniu, z papierosem w ustach, pomyślała nawet przelotnie o mężu. Pomyślała z przyjemnością, że do niego wraca. Jej "wyjazdy kuracyjne" były zazwyczaj bardzo męczące... Prawdziwy odpoczynek czekał ją dopiero w domu, u boku pana Teofila. A ostatecznie nie miała lat dwudziestu...

Była wprawdzie uosobieniem siły, zdrowia i energji, nie miała w sobie nic z powoju, będącego często synonimem kobiety. Raczej dębem była zielonym, którego czepiały się różne jemioły, żerujące na jej urodzie i radości życia.

Czasem jednak i na nią przychodziło zmęczenie. Gorzej — przesyt i niesmak. Zaglądała wówczas do niedyskretnego lusterka i liczyła w niem zmarszczki. Zaglądała do dyskretnego notesika i liczyła w nim swoje "flirty". I czuła wokół siebie próżnię. Kochankowie rozwiewali się, jak ten dym z papierosa, nie przypominała sobie dobrze nawet niejednej twarzy i imienia...

Syn dorosły odszedł od niej w świat. Krąg interesów jej męża jest jej obcy. Książki? Nazbyt mało posiadała pogłębienia, aby znaleźć w nich świat własny. Dobroczynność? Jest dobra, ale kiedy obok niej jest wiele innych rzeczy. A kiedy tych "innych rzeczy" zabraknie? Kiedy pogłębią się wyroczne zmarszczki, kiedy przygasną świetliste oczy, zżółkną i obwisną kwitnące jeszcze ciągle naturalną barwą policzki? Kiedy przyjdzie starość?...

W rzadkich chwilach depresji myślała pani Ada dłużej niż zazwyczaj o mężu. Myślała o nim z rozrzewnieniem, że oto, gdy nadejdzie wieczór życia, kiedy opuszczą ją kochankowie, a syn jej stworzy sobie własny dom i życie, — on jeden — jej Teofil— wiernie przy niej zostanie, zawsze czuły i subtelny, i pomoże jej dźwigać okrutny ciężar starości.

Nie wątpiła zresztą, że będzie uroczą staruszką. Mówili jej to wszyscy i czuła sama, że przy jej humorze i temperamencie nie będzie nigdy jedną z owych uroczystych, zasuszonych mumij, które obcałowuje się po zmarszczonych rękach tyleż z uszanowaniem, co z obrzydzeniem. O starości myślała spokojnie, skłonna była nawet dopatrywać się w niej stron pięknych, jak piękno kryje w sobie każda pora roku.

Widziała się już w roli babki, hołubiącej maleńkiego Dorna — syna jej syna — i blada starość nabierała dla niej wówczas barw rumianych słonecznego, zimowego dnia. I pani Ada uśmiechała się do niej pogodnie uśmiechem, w którym nie było rezygnacji jej męża, lecz wiara w siebie i świat, co do niej należy...

I czasem tylko — tak jak w tej chwili — kiedy tak ogniście na dworze gasło słońce późnego lata...

Kiedy blisko, tuż przy ustach pachniały róże jesienne...

Kiedy rozkołysany bieg wagonu kołysał jej myśli w rytm określonych marzeń i wspomnień, a częściej jeszcze — nieokreślonych tęsknot i pragnień... —

W sercu pani Ady budził się żal za czemś niedoceniononem i uchodzącem, co za wszelką cenę zatrzymać by pragnęła, i lęk przed czemś nieuniknionem i nadchodzącem, co za wszelką cenę pragnęłaby odwlec...

I rodził się bunt.

I gasła radość życia, jak to słońce późnego lata...

Prędko jednak pani Ada otrząsała się z owych "głupich sentymentów", jak zwała te nastroje, sentymentów, których w życiu wystrzegała się jak wszelkiej słabości, tak sprzecznej z jej energiczną naturą, o silnej przewadze pierwiastku męskiego.

— Co mi się stało? Nie jestem chyba zakochana?... Ha, to by było wspaniałe, w moim wieku i sytuacji!... Nie, nie... to jest wprost śmieszne!— pomyślała, energicznie gasząc papierosa w popielniczce.

Głośno się roześmiała, ale śmiech jej brzmiał trochę sztucznie.

— A to wszystko, przez tego "księżycowego" chłopca!

Gniewnie przewróciła się na bok i sięgnęła po torebkę. Przeciągnęła ołówkiem po ustach, spojrzała do lusterka...

Czy ona może jeszcze wzbudzić prawdziwe, wiośniane uczucie, tak różne od miłości, jaką darzył ją ogół mężczyzn? Czy może ją kochać chłopiec śliczny, młody, bogaty, psuty przez życie i kobiety... kochać z zachwytem poety i nieśmiałością dziecka, mając dla innych kobiet trzeźwość urodzonego zdobywcy i pewność siebie światowca... kochać miłością bezcielesną anioła i wraz z namiętnością suchotnika, kochać w sposób tak skomplikowany, jak skomplikowana była cała jego niezwykła natura?...

Odpowiedź lusterka na te pytania musiała wypaść zadowalająco, bowiem pani Ada ślicznie się uśmiechnęła, leniwym ruchem odłożyła torebkę, przeciągnęła się z przyjemnym dreszczem w biodrach.

Ziewnęła.

Zapaliła znów papierosa i pobiegła myślą do Krynicy.

Obecny sezon krynicki pani Ady był — jak go sama określała — pod znakiem księżyca. Widziała go w kolorze srebrzysto-białym, tak obcym zresztą jej naturze i tak różniącym go od wszystkich innych jej sezonów, w których — pani Ada lubowała się w określeniach astrologicznych — dominował ognisto-czerwony kolor Marsa.

Sprawił to ON, ten "księżycowy kawaler", jak go nazwała zaraz pierwszego wieczora.

W życiu zwał się: Marjan Kraśnicz, miał lat dwa-

dzieścia, był synem bogatej wdowy, obywatelki ziemskiej z pogranicza Rumunji. Formalnie studjował prawo na uniwersytecie lwowskim. W istocie był poetą i dużo jeździł po świecie. Zagrożony był chorobą piersiową, a raczej żarła go ona jak robak wylęgły w pąku bujnego kwiatu.

Kiedy pani Ada, dowiedziawszy się o chorobie chłopca, zapytała go dlaczego przyjechał właśnie do Krynicy, odpowiedział z uśmiechem, co prześwietlał jego bladą twarz, niczem promień księżyca, ślizgający się po toni jeziora:

— Mnie już nic nie pomoże, ani zaszkodzi... Lekarze dawno machnęli na mnie ręką i pozwalają mi jeździć, dokąd mi się tylko podoba. Przyjechałem do Krynicy, bo wiedziałem, że tu spotkam panią...

Dziwny był ten "księżycowy chłopiec"! Poznała go wieczorem w parku, w srebrnym blasku księżyca, tajemniczo naświetlającym deptak i zalewającym drzewa.

Był w towarzystwie Heli Darskiej, jednej z przyjaciółek pani Ady. Pani Hela zdawała się być nim zajęta. To wystarczyło, żeby pani Ada zajęła się ze swej strony młodym człowiekiem.

Odrazu się jej spodobał — był taki oryginalny i taki inny niż reszta mężczyzn. Miał śliczne jasne włosy z seledynowym połyskiem, wielkie, marzące zielone oczy o dalekiem, melancholijnem spojrzeniu, blade, namiętne usta i ręce przezroczyste, jak u kobiety. I ten jego uśmiech, co był jak melancholijne lśnienie księżyca...

— "Księżycowy kawaler" — pomyślała sobie i tak go już odtąd nazywała.

Dziwny był także ich stosunek. Rzecby można: zdrową krasą rumianej ziemi do bladego księżyca— pozornie martwego i zimnego, w którego łonie jednak czaiły się wrzące wulkany. Pani Ada czuła z każdym dniem bardziej, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo zakochania się.

Przed niebezpieczeństwem tem zawsze się broniła i może właśnie dlatego ona, która nie należała bynajmniej do "kobiet trudnych", w stosunku do "księżycowego chłopca" przyjmowała ton wzniosły i moralizatorski, tłumaczyła mu, że mogłaby być jego matką, nie pozwalała na najmniejsze poufałości i wogóle z pasją go dręczyła.

Chłopiec nie dał poznać po sobie, że cierpi. Był zbyt dumny na to, aby mówić wprost o swojej miłości — w jego mniemaniu — nieodwzajemnionej. Mówił o niej w licznych wierszach. Dostawała je codzień rano, z przepysznemi różami koloru krwi. Wiało z tych wierszy żarem gorączki, mrokiem bezsennych nocy i chłodem śmierci.

Były prześliczne. Pani Ada starannie je chowała i upajała się niemi w samotności. Natomiast skoro znalazła się we dwoje z autorem, była zimna i opanowana. A kiedy chłopiec, z dniem każdym bledszy, smutniejszy i bardziej eteryczny, z coraz silniej ocienionemi powiekami i gorączkowym ogniem w oczach, wychodził od niej późnym wieczorem, po długich, niezapomnianych rozmowach, które skrzyły się poprostu od blasku bogatej jego duszy i otwierały przed panią Adą nowe, nie śnione dotąd horyzonty, oczarowana słuchaczka najchętniej rzuciłaby się była na łóżko, płacząc spazmatycznie i gryząc z żalem róg poduszki. Jednakże nie czyniła tego. Dbała o swoją cerę i nie chciała sama sobie wydać się śmieszną. Broniła się uporczywie przed "księżycowym kawalerem" i ostatecznie obroniła...

Któregoś dnia chłopiec przyszedł do niej z wiadomością, że został telegraficznie wezwany do Lwowa, gdzie obecność jego jest konieczna ze względu na jakieś sprawy majątkowe. W pierwszej chwili pani Ada odczuła coś, jakby ulgę. Żal przyszedł dopiero potem...

Żegnając się ze swoją tyranką, chłopiec popatrzał jej przeciągle w oczy i zapytał:

— Czy nie pocałuje mnie pani choć raz na pożegnanie?...

— Owszem... jak matka! — zażartowała i pocałowała go w czoło.

Lekki skurcz wykrzywił usta chłopca. Rozejrzał się błędnie po pokoju. Spojrzenie jego padło na ponsową różę, którą pani Ada odruchowo, widocznie zdenerwowana, mięła w ręce.

— Nie mam od pani żadnego drobiazgu... Niech mi pani da choć tę różę na pamiątkę!

Duch przekory (a może odruch subtelności) nie pozwolił jej zadość uczynić prośbie chłopca.

— To pańska własna róża — odrzekła (w istocie róża nie pochodziła od chłopca, lecz z bukietu pana Wacława Drohobyckiego, przedsiębiorczego i przystojnego nafciarza, oddawna kręcącego się koło pani Ady).

— Coś panu powiem — położyła mu rękę na ramieniu. — 26-go będę we Lwowie. Daję panu rendez-vous o jedenastej rano w kawiarni X. Przyniosę mojemu "księżycowemu chłopcu" śliczne róże...

Przycisnął mocno jej rękę do ust. Odpowiedział (nad znaczeniem tych słów zastanowiła się dopiero później):

— Powinienbym może powiedzieć: żegnam panią! Mówię jednak: do widzenia, wierzę bowiem, że 26-go sierpnia zobaczę panią tak czy owak we Lwowie...

Skłonił nisko głowę i wyszedł w lśnieniu księżyca, tak jak był przyszedł do niej — "księżycowy chłopiec".

Po wyjściu chłopca pani Ada czuła się bardzo nieswojo. W nocy źle spała i wstała nazajutrz mizerna, z podkrążonemi oczyma. Było jej z tem nie do twarzy i postarzało ją.

Zła na siebie, postanowiła nigdy więcej nie spotkać się z "księżycowym chłopcem". Przyszła jednak na stację, coprawda w licznem towarzystwie, odprowadzającem ogólnie lubianego pana Mara. Zamienili z sobą kilka obojętnych słów.

Pani Ada była zimna i wyniosła, choć, gdyby mogła pójść za głosem serca, najchętniej byłaby przycisnęła do piersi "księżycowego chłopca", porwała go do swego pięknego, pachnącego pokoju, który dla tylu mężczyzn był kwitnącym ogrodem rozkoszy, a dla niego jednego wydmą piaszczystą męki, i tam za każdą różę jego zapłaciłaby mu płomiennym pocałunkiem, za każdą przykrość — słodką pieszczotą. Przepalałaby go swojem pragnieniem i sama spłonęłaby w żarze...

Potem przyszło jej na myśl, że jest szalona, że igra z ogniem, — i opamiętała się. Pożegnała go jak obojętnego znajomego. Dopiero, kiedy zauważyła, że pani Hela coś przydługo trzyma w swojem ręku dłoń odjeżdżającego, ostentacyjnie wspięła się na stopień wagonu i szepnęła chłopcu do ucha:

— Proszę pamiętać o 26-ym sierpnia!...

Drgnął lekko, twarz jego ściągnął nieznaczny grymas. Uśmiechnął się jak przez mgłę. Skinął głową i cicho odpowiedział:



Z uroczystości zakończenia Roku Szkolnego w Kolegium Z.N.P. w Cambridge Springs, Pa. i zasadzenia krzewu powoju przed gmachem szkolnym "Washington Hall" przez panią Habuda z Youngstown, O., żonę wice-cenzora Z.N.P.

— Pamiętam!

Coś jeszcze mówił, ale słowa jego zgłuszył przeraźliwy świst lokomotywy. Nieraz później dręczyła panią Adę myśl, co on wtedy jeszcze powiedział.

Kiedy pociąg ruszył i w oknie wagonu mignęła po raz ostatni blada, księżycowa twarz chłopca, serce pani Ady przeszył tępy ból, jakiego nigdy jeszcze nie odczuła. Ale już znalazł się przy niej przedsiębiorczy i przystojny pan Wacław i, dość zresztą niewybrednym dowcipem, wywołał uśmiech na jej usta.

Z dworca pani Ada wracała już w aucie pana Wacława, w towarzystwie pani Heli i jakiegoś obojętnego "fatyganta". Ostatecznie całe towarzystwo znalazło się na dancingu i wieczór przeszedł bardzo przyjemnie.

Dopiero późną nocą, po wesołej kolacji, kiedy pani Ada znalazła się w swoim pokoju, z każdego kąta wyszło ku niej wspomnienie "księżycowego chłopca", pachnące, jak jego róże. Zrobiło się jej bardzo smutno. Odczytywała długo wiersze chłopca i płakała. W nocy nie zmrużyła oka, zasnęła dopiero nad ranem i miała jakiś okropny sen. Nie mogła go sobie przypomnieć, czuła tylko dziwny ciężar w mózgu i chłód w sercu.

Nazajutrz pani Ada była bardzo nieszczęśliwa i osamotniona. Wzięła proszek na ból głowy i, zła na siebie i cały świat, postanowiła natychmiast wracać do Warszawy. Ale oto wyłonił się znowu, jak z pod ziemi, czujny i nieoceniony pan Wacław. Z właściwą sobie energją i doświadczeniem, psychologiczny nafciarz, czy może psycholog naftowy, zręcznie wykorzystał moment słabości uroczej sąsiadki i pani Ada ani się spostrzegła, jak wypełnił jej samotność swoją osobą. W towarzystwie jego, przy zdrowym śmiechu i błysku wilczych zębów, rychło zapomniała o dręczącej ją zmorze "księżycowego chłopca".

Przypomniał ją pani Adzie po tygodniu krótki list chłopca:

"Byłem bardzo chory. Miałem krwotok. Obecnie jest już lepiej. Proszę skreślić do mnie bodaj kilka słów i pamiętać o 26-ym sierpnia. Do tego czasu już wyjdę i będę o oznaczonej godzinie w kawiarni X. Może róże pani staną się dla mnie tem lekarstwem, którego nie zna już żaden lekarz i o które nadaremnie modli się biedna matka moja. M."

Odpisała chłopcu bardzo serdecznie. Czuła się winną wobec niego zdrady, jak nigdy wobec żadnego mężczyzny. Było to jednak — tak przynajmniej sądziła — uczucie raczej litości, niż miłości. We krwi miała innego...

Czuła się też poniekąd wyzwolona i uznała, że może teraz spokojnie zobaczyć się z chłopcem. Postanowiła być dla niego bardzo dobrą, zostać jego najlepszą przyjaciółką, drugą matką. Nie wątpiła, że zdoła mu jednak wytłumaczyć, że księżyc a ziemia są to rzeczy całkiem różne; była pewna, że wszystko ułoży się między nimi jak najlepiej...

Byleby tylko żył śliczny, kochany, "księżycowy chłopiec"!... Na myśl, że mogłoby mu się stać co złego, że mógłby tak odejść od niej na zawsze, bez jednego dobrego słowa z jej strony, nie wiedząc jak bardzo go ona lubi, ile ma mu do zawdzięczenia, na samą myśl o tem zamierało z grozy jej serce...

Na list swój pani Ada otrzymała depeszę z jednem tylko słowem: "Dziękuję".

I oto jechała teraz do Lwowa, pełna łagodnych, seledynowych myśli o chłopcu. Myśli te krwawym szkarłatem mąciło czasem wspomnienie pieszczot tamtego... Pani Ada czuła się podwójnie nasycona: krew jej przyjemnie się burzyła i przyjemnie falowało serce. Była więc zadowolona z życia i siebie. Pod miarowy rytm wagonu błogo zadrzemała, ukołysana wonią róż.

Na drugi dzień, 26-go sierpnia, pani Ada po wczesnem udaniu się na spoczynek zbudziła się w pokoju hotelowym, doskonale wypoczęta, świeża jak poranek majowy. Lekka i wesoła jak ptaszek wzięła kąpiel, ubrała się z wyszukaną starannością i, stwierdziwszy w lustrze, że wygląda doskonale, wyszła na ulicę.

Dzień był lekko przymglony, ale ciepły i pogodny. Rzekłbyś — uśmiech kończącego się lata, roztopiony w melancholji nadchodzącej jesieni.

Piękna pani zaczęła, jak zwykle, od fryzjera. Potem wstąpiła do kwiaciarni, gdzie kupiła dużą wiązankę ponsowych róż. Zlustrowała jeszcze po drodze kilka wystaw sklepowych i wkrótce po jedenastej, uśmiechnięta, obrzucana wymownemi spojrzeniami przechodzących mężczyzn, znalazła się w kawiarni X.

Ogarnęła jednym rzutem oka pusty o tej porze lokal. "Księżycowego chłopca" nie było...

Poirytowana, że każe jej na siebie czekać — nie była do tego przyzwyczajona — nerwowo podeszła do stolika w głębi. Siadła i kazawszy podać sobie herbatę i sucharki, machinalnie wzięła się do przeglądania ilustracyj. Po chwili spojrzała na zegarek. Było już piętnaście minut po jedenastej...

Nie, tego już za wiele! Spóźnia się o cały kwadrans... Zawołała kelnera i zapłaciła. Musi dać chłopcu nauczkę... Niech przyjdzie i dowie się od kelnera, że pani z różami była i przed chwilą wyszła. Będzie miał pyszną minę... Nigdy jej więcej nie zobaczy! Smarkacz jeden! Mógłby być jej synem, a każe jej czekać, jej, Adzie Dornowej, niczem jakiejś panience z magazynu...

— A może jest chory?... — przyszła jej nagła refleksja. — Może...

Poczuła lodowaty chłód w sercu.

Coś wionęło, jakby ktoś wszedł z ulicy do kawiarni...

Ale nikt nie wchodził. Drzwi były zamknięte. Kelnerzy ziewali po kątach. Za bufetem anemiczna panna ruchem pełnym apatji przeciągała ołówkiem po bezkrwistych wargach. Ktoś zadzwonił łyżeczką na płatniczego. I znów cisza, od której włosy jeżą się na głowie. I ten zimny wiew... ciągle... coraz bliżej przy niej... Skurczyła się w sobie. Jak automat, wiedziona nakazem wewnętrznym, sięgnęła po leżącą opodal gazetę.

W rozszerzone grozą oczy pani Ady uderza mrowie słów w czarnej ramce. Niektóre z nich rozpływają się w mgle, inne znów wżerają w mózg, niczem straszliwe, ogniste czerwie:

Ś. p. Marjan Kraśnicz... lat 20... Pogrzeb 26-go sierpnia o godzinie 11-ej... Matka...

. . . .

Stoi u stóp bogatego katafalku...

Kir, zieleń, kwiaty... W przepychu tym i ogromie dziwnie biedna i malutka wydaje się wysoko ustawiona trumna...

Pani Ada sama nie wie w jaki sposób tu się znalazła. Widzi wszystko jak przez mgłę. Jarzą się w mroku tysiące świateł, jak tysiące złych, szyderskich oczu... Przyciska do ust wilgotne naręcze ponsowych róż... Przymyka oczy. Jest napół

przytomna. Zdaje się jej, że całuje "księżycowego chłopca"... Wchłania chciwie zapach róż... Czuje chłopca przy sobie, blisko, jak nigdy... Ocknęła się.

Składa chwiejnie kwiaty pod trumną. Ciężko spoczywają na niej poprzez krepę welonu łzawe oczy kobiece. Jego matka... Ona, która modliła się daremnie o lekarstwo dla niego...

I oto lekarstwo nie przyszło — a może... przyszło zbyt późno...

W zmartwiałym mózgu pani Ady rodzi się myśl okrutna: oto tam, wysoko, obojętny i niedostępny, leży człowiek... jedyny, którego kochała w życiu.

Jej "księżycowy chłopiec"... księżycowa poezja jej szarego ziemskiego życia...

. . .

Jest na cmentarzu, w tłumie gapiów. Mgła w oczach, mgła w mózgu, mgła w powietrzu... Zaszeleściał pod stopą żółty liść. Zapachniało jesienią...

Łzy płyną po bladych policzkach pani Ady. Niepowstrzymywane już i swobodne. Palące. Niszczące piękną cerę i piękne oczy...

Pani Ada czuje, że oto nagle postarzała się o lat kilkanaście... że nielitościwa dłoń losu, zabijając "księżycowego chłopca", zabiła wraz jej skarb jedyny, bezcenny — jej radość życia...

Przygarbiła się i pomyślała o mężu...

. . .

Na dworcu w Warszawie pani Ada wolno wychodzi z wagonu. Zbliża się do oczekującego jej z bukietem w ręku, uśmiechniętego męża. Martwo podaje mu usta do pocałowania. Kładzie ciężko dłoń na jego ramieniu. Mówi zmienionym głosem:

— Musisz mnie bardzo kochać, musisz być dla mnie bardzo dobry... Jest mi bardzo źle i nigdy już dobrze nie będzie... Dawna Ada umarła... masz przed sobą kobietę, która jedynie pragnie być wierną towarzyszką twej starości...

— Co się stało? — pyta zaniepokojony pan Teofil, teraz dopiero zauważywszy zmienioną twarz żony.

Pani Ada nic nie odpowiedziała. Patrzy tępo przed siebie. Ale przenikliwy wzrok męża czyta odpowiedź w jej przygasłych oczach...

Pan Teofil gładzi żonę delikatnie po włosach. Kiwa głową. Uśmiecha się. Czuje, że Ada jest teraz, teraz dopiero jego, naprawdę jego. Wybiła jego godzina. Lat czekał na nią przeszło dwadzieścia... Błogosławi nieznanego sprawcę, nie wiedząc, kto nim jest, a raczej, że go już niema.

Podaje szarmancko ramię żonie i bez słowa prowadzi ją do wytwornej limuzyny.

A wieczorem, po wystawnym obiedzie, siedzą we dwoje w sztywnym i zimnym gabinecie pana Teofila. Czarna kawa stygnie w filiżankach. Lampy niezapalone. Zmrok pokoju nasyca łagodne, melancholijne lśnienie księżyca...

W księżycowej poświacie pani Ada snuje opowieść o "księżycowym chłopcu"... Mówi półgłosem, z zapatrzeniem dalekiem w oczach. Do siebie raczej, niż do męża.

Pierwszy raz, zamiast wieczorowej sukni, ma na sobie wygodny domowy szlafrok i nieondulowane włosy...

Pan Teofil, we wzorzystej pyjamie i miękkich pantoflach, rozłożony w klubowym fotelu, pali cygaro i za kłębami dymu błogo uśmiecha się do swych myśli...

Lśni księżyc...

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

Z AFORYZMÓW WSCHODNICH.

Miłość o mądrości węża
i odwadze lwa
wszystko w świecie przezwycięża,
miłość o mądrości węża...

Broń najlepsza z serc oręża,
co nierdzawie trwa —
miłość o mądrości węża
i odwadze lwa.

* * *

Próżność, to zasłona
która ślepi nas,
fałszywie złocona
próżności zasłona...

Z głupoty zrodzona
w niepamiętny czas —
próżność to zasłona,
która ślepi nas.

Jeśli kochasz okiem serca,
to miłość bez końca,
nie zbrzydzi jej los szyderca,
jeśli, kochasz okiem serca...

Robak zdrady się nie wwierca,
nie gasi jej słońca —
jeśli kochasz okiem serca,
to miłość bez końca.

* * *

Miłość z namiętności —
to wybuch na chwilę,
krótko w sercu gości,
miłość z namiętności...

Ile z niej przykrości
i niesmaku ile? —
Miłość z namiętności
to wybuch na chwilę.

Od ognia miłości
stal jak wosk topnieje,
traci hart sztywności
od ognia miłości...

Gdy w sercu zagości
dotąd promienieje,
aż w ogniu miłości
stal jak wosk stopnieje.

* * *

Kto rozdmucha pył,
ten zasypie oczy,
w mrokach będzie żył,
kto rozdmucha pył...

Promień, co mu lśnił,
blasku nie roztoczy —
kto rozdmucha pył,
ten zasypie oczy.

U DOKTORA

— Piwa, wódki... proszę nic nie pić. Rozumie pan?

— Iiii, pan doktór jest dzisiaj w złym humorze, przyjdę jutro do ponownego zbadania.

BISKUP I RABIN

Na proszonym obiedzie posadzono jako duchownych, biskupa i rabina obok siebie. Gdy podano kotlety wieprzowe, rabin nie brał potrawy, biskup zwraca się do rabina ze złośliwym uśmiechem:

— Pan nie jesz, panie rabinie?

— Nie, religja mi nie pozwala.

— Żałuj pan, panie rabinie, nie wiesz co dobre.

Po skończonym obiedzie rabin, żegnając się z biskupem, mówi:

— Ekscelencjo, proszę oświadczyć małżonce najlepsze życzenia.

— Ależ, panie rabinie, ja nie mam małżonki, religja mi nie pozwala.

— Żałuj ekscelencjo, że nie wiesz co dobre!...

TEN ALE PLOMBOWAŁ!

Do pewnego młodego doktora dentysty w Krakowie przyszła panna Kazia zaplombować ząbek. Doktorek jej go zaplombował i zawarł bliższą znajomość z panną Kazią, że ta pod pozorem dalszego plombowania ząbków, często zaczęła doktora odwiedzać aż ją matka zaczęła podejrzywać.

— Wiesz co, panie Edwardzie, mama zaczyna podejrzywać, że ja nie dla plombowania zębów przychodzę do pana — powiedziała Kazia do doktora podczas ostatniej wizyty.

— O to źle! — mówi doktór.

— Radź pan, kochany panie doktorze, jak mamę przekonać, że ja zęby plombuję, coby się niczego nie domyślała.

— Hm, hm, — zaczął doktór rozmyślać, chodząc po pokoju, naraz uderzył się w czoło i mówi: — Już mam! Jutro poślę mamie rachunek. J z. B.

ICEK SAMARYTANIN

Idzie sobie Icek Ginc gościńcem i rozmyśla o swoich interesach handlowych, że nie słyszy trąby samochodu, który pędzi wprost na niego. Na kilkadziesiąt kroków szofer, by nie rozjechać żyda skręcił nagle w bok i uderza z całą siłą w słup telegraficzny. Samochód rozbił się na kawałki, a szofer wyrzucony kilka metrów na gościniec leży jak bez duszy. Poczciwy Icek podbiega przerażony i cuci rannego, który daje jeszcze słabe znaki życia, potem biegnie do pobliskiej rzeczki, przynosi w kapeluszu wody, skrapia nią twarz zemdlonego szofera a gdy ten przychodzi do przytomności, pyta się go:

— Panie, panie, czy pan może już mówić?

— Mogę — odzywa się słabym głosem szofer.

— To powiedz pan ile pan zechce za ten szmelc z samochodu? J. z B.

Kto wrzeszczy.

W salunie kłóci się z sobą dwóch agentów.

— Nie wrzeszcz tyle!

— Ja mam nie wrzeszczeć?

— Kto wrzeszczy? Czy ja wrzeszczę? Ja nie wrzeszczę, ale ty wrzeszczysz, a wrzeszczysz na mnie, żebym ja nie wrzeszczał!

Wyrozumiały.

Bartłomiej Pijacki wychyla już szósty potężny kufel. Żona chcąc go wydostać z karczmy powiada:

— Pamiętaj Bartku, że masz siedmioro dzieci.

Bartłomiej zaś na to:

— Masz racyę żonko, trzeba wypić na zdrowie tego siódmego robaczka, żeby się nam dobrze chował... Dajcież-no jeszcze jeden kufel!

Cięta odpowiedź.

Pewna pani lubiąca się pudrować i trochę malować, zauważyła, że jej nowa służąca jest często brudną na twarzy, ale chcąc być dyplomatyczną powiada.

— Kasiu gdybyś ty użyła gorącej wody z mydłem, tobyś była bardzo ładną.

Kasia. — To dziwne, że pani sama tego nie spróbuje na sobie.

Niegrzeczny.

Pan: — Zauważyłem, że dym mego papierosa niechętnie pani znosi.

Panna: — Tak!

Pan: — To w takim razie niech pani przejdzie do oddziału dla niepalących.

Niedobry lekarz.

— Czy lubisz Jasiu naszego doktora?

— Za co go mam lubieć? Myślałem, że ze dwa tygodnie nie pójdę do szkoły, a on mię w dwa dni wyleczył.

Zna siebie.

Gospodyni do nowego stołownika: — Czy obudzić pana o siódmej rano?

Stołownik: — Może pani spróbować, ale nie ręczę, czy o tej porze już będę w domu.

Na komorze.

Leciwa pani Zuckerbergerowa jedzie z ośmnastoletnią córką, piękną Dorą do Wiednia. Na granicy czeskiej, urzędnicy skwapliwie przeprowadzają rewizyę i w gorliwości swej przetrząsają zawstydzoną pannę Dorę, aż do ostatecznych ostateczności. Nie znalazłszy nic groźnego dla całości przesławnej republiki czesko-słowackiej, odchodzą. Wtedy starsza pani Zuckerbergerowa, jak zraniona tygrysica, rzuca się na nich i potrząsając ramieniem najbliższego celnika, krzyczy:

— Nu, a na mnie to panowie nie jest czekawe?

ROZMAITOŚCI AMERYKAŃSKIE

O NOWE ŚWIĘTO

39-letnia Miss Dorothy D. z Texas napisała do prez. Trumana list z żądaniem wprowadzenia „DNIA STARYCH PANIEN".

Prośbę swą uzasadniała tym, że wszystkie damy w dojrzałym wieku muszą obchodzić „Dzień Matki", „Dzień Ojca", Dzień Dziecka", a same nie mają sposobności stać się bohaterkami dnia.

Wiele starych panien nie może nawet otrzymać jakiegoś prezentu w dniu urodzin, ponieważ dzień ten muszą osłaniać tajemnicą ze względu na wiek

ZWRÓCONY LIST.

Poczmistrz w Grafton (USA) zwrócił adresatowi w Pfaffenhofen (Bawaria) list zaadresowany następująco: „Do przywódcy partii komunistycznej w Grafton".

Na liście poczmistrz dopisał następującą uwagę:

„Nasze kartofle zgniły, śnieg sięga nam do pasa, a woda po szyję, poza tym obawiamy się plagi szarańczy. Ale w naszym mieście nie ma na szczęście ani jednego komunisty."

PRZEWIDUJĄCY PREZYDENT

Podczas posiedzenia Zgromadzenia Konstytucyjnego w Filadelfii, jeden z członków wniósł projekt „aby armia U. S. A. nie liczyła nigdy więcej niż 35.000 ludzi". Jerzy Washington, jako przewodniczący nie miał prawa wnioskodawczego, to też szepnął do swego sąsiada: „Wnieś pan poprawkę do tego projektu: — Ustala się również na wsze czasy, że żadna inwazyjna armia nieprzyjacielska nie ma prawa przekroczyć ilości 3.000 ludzi".

CODZIENNOŚĆ

Najczęstsze rozmowy w państwie filmu:

Pierwsza gwiazda: Co się dzieje z Twoim mężem?

Druga gwiazda: Z którym?

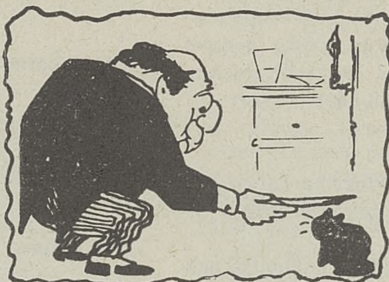
A... z Clark'iem. On się rozwiódł z trzecią żoną mego drugiego męża, aby zaręczyć się z pierwszą żoną mego trzeciego męża, która rozwodzi się ze swym drugim mężem, za którego ja mam wyjść zamąż.

AMERYKANIE NA FESTIWALU.

Zamożny przemysłowiec amerykański, milioner zwiedza ogród zoologiczny w Londynie. W pewnym momencie zwraca się do stojącego obok dozorcy:

„Chętniebym kupił wasz ogród dla moich dzieci".

To się nie da zrobić, — odpowiada dozorca — ale za to chętnie kupimy pańskie dzieci do naszego ogrodu.



ZNAKOMITE RADY.

Lekarz kongresu amerykańskiego dr. Calvers uważa, że mało który zawód jest tak niebezpieczny dla zdrowia jak polityka.

Przed 20 laty przeciętnie 20 posłów umierało co roku na zbyt wysokie ciśnienie krwi czy też zaburzenie naczyń krwionośnych. W r. 1938 w jednym miesiącu umarło 3 posłów, w tym jeden bez lekarskiej pomocy, w swej pracowni w Kapitolu i wówczas komisja kongresowa uchwaliła pomoc lekarską dla posłów.

Dr. Calver swe zasadnicze rady dla posłów ujął w następujące punkty: 1) Jedz mało! 2 Pij dużo, ale tylko wodę! 3) Dbaj o wiele ruchu! 4) Nie irytuj się z powodu rzeczy, których nie można zmienić! 5) Spędzaj dobrze wolny czas! 6) Śpij dostatecznie długo! 7) Co pewien czas daj się zbadać przez lekarza!

PODSŁUCHANE.

Dwaj dyplomaci rozmawiają o Jugosławii:

— Za wariata uważałbym tego, kto powiedziałby przed trzema laty, że Ameryka będzie udzielać pomocy komunistycznemu państwu w tym momencie, gdy Rosja chce je rozbić.

Mogą się zdarzyć jeszcze dziwniejsze rzeczy. Czy nie przypuszcza Pan, że Stalin poprosi pewnego dnia Amerykę o pożyczkę na zwalczanie komunizmu w Rosji?

ZAWCZEŚNIE PRZYJECHAŁA

Szczegółowemu egzaminowi trzeba się poddać, aby uzyskać obywatelstwo amerykańskie. Petent musi udowodnić, że ma pewne pojęcie o historii Stanów Zjednoczonych.

Kiedy znana aktorka Ilka Gruening znalazła się przed komisją egzaminacyjną, była tak zdenerwowana, że na pytanie, kiedy przyjechała do USA. odpowiedziała „w roku 1490" zamiast w r. 1940

Wyrozumiały urzędnik powiedział: „Gdyby jeszcze Pani dwa lata zaczekała, to mogłaby przyjechać razem z Krzysztofem Kolumbem".

PRZECHYTRZYLI SIĘ...

B. Prezydent U. S. A. Coolidge zaprosił pewnego dnia na obiad do Białego Domu kilku swych przyjaciół z Veremont.

Nie byli oni zbyt pewni zachowania się przy stole, toteż postanowili dokładnie robić wszystko to co prezydent.

Obiad minął bez wypadku aż do momentu gdy podano kawę. Coolidge nalał kawę na spodeczek. Goście uczynili to samo. Coolidge wrzucił cukier i dolał śmietanki. Goście zrobili to samo...

A potem Coolidge schylił się i podał spodeczek swemu kotu.

OMYLIŁ SIĘ.

Dzisiejszy amerykański magnat prasowy Hearst w młodości wydawał ze swym przyjacielem pismo, poświęcone sztukom pięknym, które szło bardzo źle i znalazło się w obliczu ruiny.

Pewnego dnia Hearst i jego przyjaciel stali smutni przy oknie swej małej redakcji, i oglądali kondukt pogrzebowy.

— Założmy się — powiedział Hearst — że w trumnie leży nasz abonent.

FILOZOFIA PROFESORSKA.

Pewien amerykański profesor badał przez 5 lat, czy dziennikarze żyją dłużej aniżeli ludzie innych zawodów. Ogłoszony przez niego wynik badań brzmiał następująco:

— Dziennikarze, zarówno mężczyźni jak kobiety, umierają o trzy lata wcześniej aniżeli inni śmiertelnicy. Jeżeli jednak przekroczą krytyczny wiek... 90 lat, to już mogą być spokojni. Dziennikarze w tym wieku umierają w normalnym procencie'

TRUDNY WYBÓR.

Głowa misji muzułmańskiej w USA szeik Daud Achmed Feisal oświadczył że jeśli Rita Hayworth chce, aby jej córka Jaśmina została za muzułmankę, to musi na przyszłość zrezygnować ze strojów kąpielowych i pocałunków filmowych.

Wobec powyższego pani Rita będzie się musiała kąpać prawdopodobnie bez stroju kąpielowego.

INCYDENT POWYBORCZY.

W ub. r. zdarzył się w Buffalo ciekawy incydent. Mianowicie po odbytym głosowaniu do Kongresu amerykańskiego Mrs. Helen Arkison jadąc samochodem ze swym mężem, zwolennikiem Partii Republikańskiej zakomunikowała mu, że oddała swój głos na kandydata demokratycznego. Oburzony mąż wyrzucił ją z samochodu.

Epilog: poturbowana żona odleżała cztery tygodnie w szpitalu a „krwisty" mąż odsiedział dwa tygodnie w areszcie.

F. C. PHILIPS

NIEUDANE OSZUSTWO

NOWELA

MR. SIDNEY CAFFYN palił cygaro w swej kancelarji, czekając na pierwszego klienta. Oddawał się temu samemu zatrudnieniu już od roku, z tą jedynie zmianą, że czasem zamieniał cygaro na fajeczkę lub papierosa.

Pan Caffyn był wielce miłym młodzieńcem, ale nie był wolnym od sporej dozy samolubstwa, gdyż inaczej nie byłby znajdował się we własnej adwokackiej kancelarji i zająłby się jakąkolwiek pracą, któraby przynosiła mu choćby skromne dochody. Na adwokata stanowczo pan Sidney nie nadawał się. Miał jednak bardzo wysokie przekonanie o swych zdolnościach i przymiotach i żywił silny żal do ludzi, że nie poznawali się na nich i traktowali go naogół lekko. Można łatwo wysnuć z tego wniosek, że jeżeli w oczach otoczenia nikt nie jest bohaterem, to we własnem przekonaniu wszyscy poczytujemy się za wielkich ludzi i genjuszów.

Pan Caffyn senjor, umierając pozostawił dwoje dzieci i 1,200 funtów szterlingów, z których należało opłacić koszty pogrzebu.

Starszem z tych dwojga dzieci był właśnie Sidney, młody gentleman, wciąż wyczekujący na klientów, należących najwidoczniej do rasy za mało spostrzegawczej, żeby dostrzegła jego wybitne zdolności. Młodszą zaś sierotą była brzydka, ale dobrego serca dziewczyna, Marion. Dobra i ustępliwa, chętnie zgodziła się na to, by brat obrał sobie nieodpowiedni zawód i trwonił pieniądze po ojcu, zamiast użyć ich na należyte przysposobienie się do swych obowiązków.

— Jam nie stworzony do handlu — zwykł mawiać Sidney. — Nie mam pociągu do pracy tego rodzaju. Gdybym się ulokował w jakim sklepie, byłoby to poprostu stratą czasu, bo do końca życia pozostałbym marnym kupczykiem. Nie, moja droga Marion, z tych naszych 1,200 funtów nietylko mogę wnieść opłaty sądowe, ale przy oszczędności starczy nam na to, byśmy mieszkali razem w jakim przyzwoitym pensjonacie, dopóki nie zdobędę osobistych dochodów jako sławny adwokat. Wkrótce spodziewam się stawać w sądzie.

— Dobrze, drogi braciszku. Naturalnie, że masz słuszność — odrzekła Marion.

Trzeba powiedzieć na jej pochwałę, że chociaż nie była zbyt pewna prawniczych zdolności brata, nigdy ani słówkiem nie zdradziła swych wątpliwości.

Mr. Coffyn niecierpliwym ruchem rzucił do kominka niedopalone cygaro. Rozmyślał o tem, jak niezasłużonem jest nieszczęście, jeśli mając kochaną narzeczoną, trzeba utrzymywać siostrę. Przez to, że zakochał się przed otrzymaniem patentu na adwokata, Sidney jeszcze bardziej pogorszył swe położenie i chociaż ukrywał, póki się tylko dało, popełnioną nierozwagę, prawda doszła wreszcie do uszu miss Marion.

Tajemnica ta wydała się, gdy ich kapitalik, pozostawiony przez ojca, został prawie całkowicie wyczerpany. Wówczas Marion powiedziała, że obowiązkiem jego jest zerwać z panną i uwiadomić listownie przyrodniego brata nieboszczyka ich ojca o stanie ich interesów.

— Masz wielkie zdolności, mój kochany, i jestem pewna, że wyrobisz sobie kiedyś piękne stanowisko i sławę, ale tymczasem potrzeba nam obojgu na utrzymanie. Nasz ojciec dużo dopomagał stryjowi Alfredowi, gdy obaj byli młodzi, więc nie wątpię, że gdy dowie się o naszych kłopotach, odwdzięczy się nam i uczyni to z serca.

Alfred Caffyn od wielu już lat zajmował się handlem w Stanach Zjednoczonych i, jak ogólnie mówiono, powodziło mu się znakomicie.

Sidney wahał się długo, lecz ostatecznie napisał do stryja. Z narzeczoną zerwać nie chciał, ale był na tyle mądry, że nie wspominając w liście o tym stosunku, doniósł tylko, że musi sam utrzymywać siostrę, co nie było zupełną prawdą, gdyż Marion zarabiała trochę piórem. W końcu nadmienił, że ponieważ zaczyna dopiero karjerę, ma bardzo szczupłe dochody i prosi o pożyczkę, która by jemu i jego siostrze zabezpieczyła byt na kilka lat.

Miało to miejsce przed sześciu tygodniami a odpowiedź jakoś nie nadchodziła. Sumka pozostająca jeszcze w banku szybka zmniejszała się, klientów nie było i nadzieja szybkiego ożenienia się była coraz mglistsza. Nic więc dziwnego, że Mr. Sidney Caffyn był w posępnem usposobieniu.

Podczas gdy siedział wpatrzony w dymiący się jeszcze niedopałek cygara i gromił się w

duchu za napisanie listu do stryja, jako za ubliżenie swej godności, dał się słyszeć szelest u drzwi.

Angielskim zwyczajem wsunął listonosz kopertę w szparę. Sidney szybko podniósł się z fotela, pochwycił kopertę i zaraz spostrzegł, że to jest właśnie owa tak długo oczekiwana odpowiedź z Ameryki.

Zbladł cokolwiek i drżącemi rękami wydobył weksel załączony do listu. Był to przekaz na pięćdziesiąt funtów. Zawiedziony młodzieniec jęknął i wziął się do czytania gęsto zapisanych kartek listu. Gdy je przeczytał, twarz zbladła mu jeszcze bardziej. Siedział parę minut pogrążony w myślach, potem, tłumiąc gniewny wykrzyk, przeczytał je powtórnie, uważniej i z wzrastającym niesmakiem.

List ten nie pochodził od Alfreda Caffyna, lecz od jego młodszego brata Stefana, o którym Sidney znacznie mniej słyszał. Przyczyną zwłoki w odpowiedzi było — jak pisał ów gentleman — że obaj z bratem chcieli rozważyć kwestję, zanim sąd o niej wydadzą. Otóż, ich zdaniem, Sidney marnuje czas i byłoby daleko lepiej, gdyby się kierował na handlowca i podążył w tym celu do Stanów Zjednoczonych. "Ze stryjem Alfredem nie stanowimy spółki" pisał "i sądzę, że ja, będąc bezżennym, będę ci pomocniejszy w nowej karjerze niż on. Miałbym ochotę dać Ci siebie za przykład, czego może dokonać w Ameryce człowiek w średnim wieku, ubogi, ale energiczny i wyrwały. Radzę Ci niezwłocznie wyrzec się Twego zawodu i obrać praktyczniejszy. Będziesz mógł wtedy co tydzień odłożyć coś dla siostry i stopniowo pozyskasz niezależność — rzecz, na którą nie liczę dla Ciebie w starej Anglji. Załączam weksel na 50 funtów na koszt przeprawy. Gdybyś postanowił zostać w Londynie, możesz wydać te pieniądze na inny cel, ale ani stryj Alfred ani ja nie uznamy takiego postąpienia za rozsądne"

Mr. Caffyn zgniótł to pismo w kieszeni, chwycił kapelusz i poszedł poradzić się miss Stelli Cunningham, swojej narzeczonej.

— Co robić? — zapytał. — Co myślisz o tem?

— Ja bym pojechała.

— Porzucić mój zawód! — Miał chęć usłyszeć "zostań".

— Za rok lub dwa, moglibyśmy się pobrać — szepnęła.

— I zrzec się możliwości wsławienia się!

— Trzeba coś poświęcić — odparła chłodniejszym tonem, gdyż po raz pierwszy Sidney wydał się jej samolubem.

— Czy chciałabyś mieszkać w Ameryce?

— Z tobą?

— Rozumie się, że ze mną. O czemże mówimy?

— O, bardzo bym chciała. Ale nie miej mnie jednej na względzie, musisz myśleć i o sobie.

— Ja też myślę — odparł szczerze. — No, ale możemy wrócić kiedy indziej do tego przedmiotu i dojść do jakiegoś postanowienia. Niema nic pilnego.

Stella była bardzo piękna i w dalszych słowach Sidneya czuć było zapał prawdziwie rozkochanego człowieka.

— Ty, wiesz, Stello, że dla siebie zrobiłbym wszystko na świecie! Gdybym wiedział, że będę mógł poślubić cię za rok, jak powiadasz, poleciałbym lotem strzały, ale właśnie w tem kłopot...

— W czem kłopot?

— Widzisz... oni... mogliby się przestać interesować mną, gdybym chciał żenić się właśnie w tej chwili, kiedy mi otwierają drogę do fortuny. Może, ich zdaniem, nie mam prawa... rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Jeżeli mam jechać tam do jakiego nieznośnego zajęcia i być tak dalekim od połączenia się z tobą, jak teraz, to wolę już pozostać na miejscu. W takiem razie poświęcenie moje nie miało by celu.

— Jeżeli możesz pozwolić sobie na to—odrzekła — jeśli wystarczają ci teraźniejsze tutejsze dochody, to naturalnie postąp, jak ci się podoba.

— Starzy ludzie są tacy dziwni, tacy zabawni... — odparł.

Nie miał chęci powiedzieć, że siostra jest tak bardzo zależna od niego i, że stryjowie z pewnością będą przypominali mu jej prawa. Wszak stracił jej połowę spadku po ojcu.

— Starzy ludzie są tacy dziwni — powtórzył — a ja... widzisz... musiałbym stosować się do ich kaprysów. Kto wie jednak, czy to nie będzie dobrą spekulacją, jeżeli zrzeknę się mojej adwokatury i popłynę tam. Przyśpieszyłoby to nasz ślub o kilka lat, ale jeżeli to się nie uda, będę sobie zawsze wyrzucał, żem nie czekał tutaj, zwolna pokazujących się, ale pewnych środków do życia. Jak myślisz, czy twoja matka nie sprzeciwi się twemu zamieszkaniu w Ameryce?

Panna potrząsnęła główką.

— Zabardzo pragnie naszego pobrania się, żeby stawiać przeszkody. Jestem pewna tego. Zresztą jak wiesz, jej zdrowie jest bardzo wątłe i nasze środki...

— Tak, tak, sądzę, że zgodziłaby się... Teraz, najdroższa, pójdę do domu, a co się tyczy odpowiedzi, taką lub owaką wyślemy najpierwszym statkiem pocztowym. Pocałuj mnie!

Powracając do siebie wciąż rozmyślał, jak ma postąpić.

Ponieważ obydwie kobiety radziły mu przyjąć propozycję, a nawet uważać ją za szczęśliwą dlań okoliczność, przestał wahać się i postanowił wyruszyć natychmiast do Stanów Zjednoczonych. Miarkując, że stryjowie liczą na to, że da siostrze niezgorszą część tych pięćdziesięciu funtów, zostawił jej banknot dziesięciofuntowy, przyczem nadmienił, że ta sumka, obok jej za-

robku literackiego, ma jej zapewnić przez trzy miesiące utrzymanie w jakim tanim pensjonacie.

Opłacił swój przejazd przez ocean i zamówił sobie niektóre rzeczy, niezbędne, jak mu się zdawało, słyszał bowiem, że ubranie jest bardzo drogie w Ameryce. Było to doskonałą wymówką na zbytkowne wybryki przedwyjazdowe. Następnie urządził dla siebie i panny Cunningham pożegnalny obiadek, rodzaj stypy na pogrzebie swej zmarłej karjery adwokackiej. Był silnie przekonany, , że jeszcze nikt nie złożył tak wielkiej ofiary na ołtarzu miłości i, gdy stanąwszy wreszcie na pokładzie "Germanica" wpatrywał się w niknące wybrzeże Anglji i sylwetkę Liverpoolu, bladnącą we mgle, uczuł w piersi nadzwyczajny przybór uczucia, wskutek czego skierował chwiejne kroki do bufetu.

Stefan Caffyn mieszkał w Buffalo, dokąd udał się i Sidney, przebywszy przez ciekawość i chęć zwiedzenia miasta, dwa dni w New Yorku.

Przepych, z jakim podróżował, gdyż, za oceanem Amerykanie przewyższają Europejczyków pod względem wygód w pociągach kolejowych, usposobił go do patrzenia na świat przez różowe okulary, gdy wysiadłszy w Buffalo z wagonu, zmierzał w stronę miasta, wskazaną w adresie stryja.

Natura zajęć jego stryjów była mu całkiem obca. Z przykrem wrażeniem zauważył na miejscu przeznaczenia nazwisko "Caffyn" wymalowane olbrzymiemi głoskami nad oknami wielkiego składu departamentowego. Odkrycie to tak go przeraziło, że nie miał siły wejść do wnętrza i przedstawić się stryjowi.

Poszedł więc w tę samą stronę, z której przybył, aż do hotelu, gdzie, usiadłszy w pokoju, poważnie rozmyślał przez pół godziny.

Był przygotowany na jakieś zajęcie krępujące swobodę, rutynowe, ale godne gentlemana, tymczasem przekonał się, że Amerykanin nie widzi ujmy dla siebie w posiadaniu i prowadzeniu sklepu pod swem nazwiskiem. Gdyby jeszcze była pora, byłby ze wzgardą i oburzeniem odrzucił propozycję stryja Stefana. Ach, gdyby był nie opuszczał Londynu!

Ale było już zapóźno. Dźwignął się ociężale z krzesła w pokoju hotelowym i powolnym krokiem, jak skazaniec na szafot idący, powrócił przed dom stryja. Był to duży skład. Na parterze znajdowało się kilkunastu pomocników za stołami. Na zapytanie Sidneya, jeden z nich odparł, nie przerywając układania krawatów w pudełku:

— Mr. Caffyn? Jest prawdopodobnie na górze, w oddziele dywanów.

Sidney podążył na górę, żeby odnaleźć stryja. Gruby, jowialny mężczyzna bez marynarki, przeglądał próby, rozwijane przez podróżującego agenta handlowego.

Przypuszczając, że to zarządzający składem, Sidney postawił pytanie:

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę pana Caffyna?

— Czem mogę panu służyć?

— Jestem pańskim synowcem — odparł młodzieniec słabym głosem.

Olbrzymia prawica uścisnęła jego rękę i na tem skończyła się prezentacja.

— Doprawdy? — rzekł grubas wesoło. — Jesteś moim synowcem! Cieszy mnie to, cieszy mnie to bardzo... I chcesz spróbować szczęścia w handlu?

— Tak — odpowiedział Sidney zcicha. — Jak widzisz, stryju, usłuchałem twej rady i miło mi, że ci się ten mój krok podoba...

Wodząc oczami po półkach, utkwił je smutno w nierozwiniętych jeszcze próbach.

— Będzie to wielka zmiana, przewrót w mojem życiu.

— Kieruj się na człowieka — rzekł stryj serdecznie. — Napełniaj sobie kieszenie dolarami i kieruj się na człowieka. Europa już się przeżyła; tylko w tej naszej części świata młodzieniec może się czegoś dorobić. Ja nic nie miałem, kiedym tu przyjechał, a teraz... przyjrzyj mi się!

Rzeczywiście, była to dosyć przyjemna fizjonomja. Lata, a przeżył ich już stryj Stefan czterdzieści pięć, nie zorały mu jeszcze oblicza i krótko przystrzyżoną brodę zaledwie przyprószyły siwizną. Spojrzenie miał łagodne a zarazem inteligentne i bystre

Sidneya trawiła ciekawość, czy go stryj przypuści do spółki w interesie, ale w ciągu pierwszej rozmowy nie dowiedział się niczego o swojej przyszłości i zamiarach stryja. W niepewności powrócił na noc do swego hotelu.

Stefan Caffyn mieszkał w domu swego brata i bratowej i Sidney także znalazł u nich chwilowe pomieszczenie. Nie miał powodu do narzekania na przyjęcie ze strony krewnych i po kilku dniach czuł się u nich jak we własnym domu.

Po upływie tygodnia przystąpiono nareszcie do upragnionego przez Sidneya przedmiotu jego przyszłości. Stefan Caffyn zaproponował mu posadę buchaltera z płacą dwadzieścia dolarów tygodniowo.

— Musisz się zadowolnić tem, że będziesz się dorabiał powoli — rzekł, gdy Sidney opuścił nos na kwintę.—Mając dwadzieścia dolarów tygodniowego dochodu, możesz mieszkać u kogoś w prywatnym domu, stołować się tam i posyłać siostrze siedem lub osiem dolarów na tydzień. Niejeden młody chłopak przystałby chętnie na taki początek i to nawet chłopak obeznany już z handlem.

Były adwokat bez praktyki nie rad był, że porównują go do chłopaka.

— Miałem inne widoki — odrzekł. — To marna przyszłość dla mnie.

Stryj spojrzał nań z powątpiewaniem.

— Czegożeś się spodziewał, chłopcze? — zapytał.

— Nie przypuszczałem, że porzucę obrany zawód dla posady... hm... hm... w domu handlowym, z zapłatą dwadzieścia dolarów na tydzień...

— Ile dolarów tygodniowo przynosił ci twój zawód w Londynie? — zapytał spokojnie stryj Stefan.

Pytanie to nie mogło ułatwić Sidneyowi argumentowania, zwlekał więc z odpowiedzią.

— Rozumie się, kochany stryju, że ty sam wiesz najlepiej, jaką wartość przedstawiam dla ciebie. Jeżeli nie zasługuję na wyższą pensję, to nie odrzucę i takiej. Przeciwnie, przyjmę ją i będę czekał lepszych czasów.

Stryj poklepał go po plecach.

— Nie opuszczaj tylko rąk, to zrobisz majątek, tak samo, jak ja go zrobiłem. Ale pamiętaj, że masz w opiece siostrę i że mężczyzna, odpowiedzialny za los dziewczęcia, nie może przebierać z zatrudnieniach.

Sidney jęknął w duchu i zamyślił się. Co by też stryj powiedział na to, że on ma narzeczoną.

Przeniósł się, za radą stryja Stefana, do pensjonatu i w składzie, w oddziele bławatnym, przesiadywał od 9-ej rano do 6-ej wieczór. Pensjonat kosztował go drożej, niż się spodziewał. Prócz tego, wieczory dłużyły się mu bez rozrywek i nie chcąc zbyt często bywać u krewnych, przesiadywał na bilardzie i raz lub dwa na tydzień chodził do teatru. W takich warunkach rzadko kiedy mógł posłać parę dolarów siostrze do Londynu.

Pewnego dnia, kiedy Sidney gryzł pióro w biurze, dumając o Stelli, z którą małżeństwo wydawało mu się dalszem niż kiedykolwiek przedtem, stryj Stefan zrobił mu następującą propozycję:

— Rozmówiliśmy się z bratem — rzekł i obaj jesteśmy tego zdania, że twojej siostrze musi być bardzo tęskno samej w Londynie. Radzimy więc, byś ją tu sprowadził.

Sidney spojrzał na stryja z podziwieniem.

— Gdy ci dodamy dziesięć dolarów tygodniowo, będziecie mogli oboje żyć tu bardzo wygodnie i dostatnio. Oto masz czek na wydatki w podróży, wyślij go pierwszą pocztą i napisz, by siostra przyjechała, o ile możności, jak najprędzej.

— Stryjowie są dziwnie dobrzy dla nas — powiedział Sidney. — Zastosuję się do waszej rady.

Cały wieczór przesiedział w swym pokoju, walcząc ze straszną pokusą.

Przyszło mu nagle na myśl, jakby łatwo można było posłać ten czek Stelli i sprowadzić ją do Ameryki w miejsce siostry. Zdawało mu się, że mogą wziąć ślub w New Yorku, gdy pojedzie na spotkanie okrętu, i że Stella będzie z nim mieszkała w Buffalo jako żona, zamiast siostry. Stryj Stefan nie odwiedzał go nigdy w mieszkaniu, innych gości także nie miewał, a gdy pójdzie z wizytą do stryja Stefana, no, to Stella będzie się nazywała Marion i wszystko będzie w porządeczku!

Był to pomysł rozpaczliwy, szalony i niedorzeczny, ale Sidney uczepił się go i nie chciał odkładać wprowadzenia go w czyn, aż do widzenia się ze Stellą, była ona bowiem szczególnie sprytna i nie potrzebował lękać się, żeby przypadkiem nie wydała podstępu. Wypadało mu tylko czemprędzej wysłać czek i zalecić, by zaraz wybrała się w podróż do Ameryki.

Czek stryja Stefana wyszedł z Buffalo w liście miłosnym, zaadresowanym na imię miss Stelli Cunningham, Torrington Crescent, Londyn.

Półtora miesiąca żył Sidney w stanie napół przytomnym, w oczekiwaniu odpowiedzi od narzeczonej. Wreszcie nadszedł upragniony list z zawiadomieniem, że Stella opuści Londyn w następnym tygodniu i przyjedzie do New Yorku statkiem "Majestic".

Klamka zapadła. Sidney powiedział stryjowi, że Marion zgadza się na przyjazd i że chciałby wybrać się na jej spotkanie do New Yorku. Stryj bardzo pochwalił mu ten zamiar.

Właśnie w dzień, kiedy Stella miała wyruszyć w drogę z Londynu, Sidney nie mógł pójść do zajęcia z powodu silnej grypy.

Musiał położyć się i wezwać lekarza. Gorączkowa chęć pojechania bądźcobądź za kilka dni po New Yorku nie przyśpieszała pacjentowi wyzdrowienia. Rano, w przeddzień zamierzonego wyjazdu, doktór wyraźnie zalecił mu leżeć w łóżku przynajmniej jeszcze pół tygodnia.

Stryj Stefan, który go odwiedzał w chorobie, rzekł:

— Ja pojadę za ciebie. Nie martw się chłopcze, przywiozę ci siostrę.

Tłumiąc niepokój, Sidney usiłował wstać koniecznie, ale daremnie. Zresztą jakże mógł gwałtownie nalegać, skoro stryj sam łaskawie chciał jechać do New Yorku i przywieźć rzekomą synowicę. Pozostawało zostać w łóżku, ślub zaś ze Stellą odłożyć do chwili, kiedy, przyszedłszy do siebie, będzie mógł wybrać się na jaką wycieczkę z "siostrą".

Sidney zgorączkowany, z wielką trudnością napisał krótkie zawiadomienie, które stryj Stefan miał wręczyć przyjeżdżającej. Donosząc, co zrobił, kładł nacisk na ważność tego, żeby udawała osobę, którą nie jest. Stryjowi zaś zalecił z całą energją, na jaką pozwalała przeklęta grypa, żeby oddał to pismo zaraz w pierwszej chwili powitania. Gdy się już załatwił z tem wszystkiem, zelektryzowała go myśl, że stryj Stefan będzie się pytał na okręcie o "miss Caffyn" i odpowiedzą mu, iż niema między pasażerami osoby tego nazwiska.

Oblany zimnym potem leżał cały drżący. Naraz, uderzony szczęśliwym pomysłem, zaniósł

prośbę do swej szczęśliwej gwiazdy, żeby pomysł ten okazał się wykonalnym i praktycznym. Posiadał bowiem dużą fotografję Stelli z podpisem: "Twoja na wieki" i z różnemi miłemi dodatkami na odwrotnej stronie. Całą godzinę poświęcił na staranne wycieranie i wyskrobywanie napisów i gdy stryj nadszedł, pokazał mu fotofrafję jako portret swej siostry.

— Będziesz się stryju, napewno przyglądał pasażerom wchodzącym do komory celnej — rzekł do stryja Stefana. — Jeśli przypatrzysz się dobrze tej fotografji, poznasz ją odrazu. Chciałbym, a raczej proszę, żebyś oddał, stryju, mój list, zanim do niej przemówisz, bo gotowa pomyśleć, żeś przybył z wiadomością o mojej śmierci. Ona zaraz pozna moje pismo.

Tu, przypomniał sobie, jak straszną trudność przedstawia zaadresowanie listu. Jakże tu adresować do Stelli Cuningham, skoro stryj pojedzie spotykać Marion Caffyn?!

— Nie kładę nawet nazwiska na kopercie — rzekł, oprzytomniawszy — ale zaczynam sam list na kopercie. Napiszę tak: "Wewnątrz przeczytasz, dlaczego nie przybyłem na Twoje spotkanie. Sidney". To uśmierzy natychmiast obawy siostry.

Stryj Stefan, któremu synowiec wydawał się zbyt zgorączkowanym nawet na chorego, przyrzekł zastosować się do jego wskazówek.

— Z pewnością poznam ją odrazu — dodał. — Taką ma wyrazistą twarz. Tyś wcale do niej nie podobny...

— Doprawdy? Jednakże... Jednakże... często mi mówiono, że przypominamy się nawzajem.

Stryj Stefan przybył do New Yorku rano tego dnia, kiedy "Majestic" miał przypłynąć i dowiedział się w biurze okrętowem, że statek jest spodziewany popołudniu. Rozumie się, że o wskazanej godzinie stał wśród tłumu na przystani. Statek opóźnił się cokolwiek. Było już po piątej, kiedy ogromna szopa, w której Stefan czekał, zaczęła napełniać się podróżnymi i bagażami. Pasażerowie wchodzili jeden po drugim, a Stefan Caffyn, stojąc tuż przy schodkach, uważnie przyglądał się ich twarzom, gdy się doń zbliżali.

Prawie na samym ostatku pojawiła się panienka, którą natychmiast poznał z fotografji i skoro stanęła na lądzie, znalazł się przy niej w jednej chwili.

— Miss Caffyn? — rzekł.

Panienka obróciwszy z zadziwieniem głowę, zawahała się co odpowiedzieć.

— Caffyn? — powtórzył pytająco. — Mam liścik do pani od Sidneya — rzekł i podał jej kopertę.

Zmieniła się na twarzy czytając i widocznie była bardzo zmieszana.

— Nie lękaj się pani, o niego — żywo odezwał się Stefan — prędko przychodzi do zdrowia i wkrótce będziesz mogła go zobaczyć. Tymczasem musi pani przyjąć moją opiekę. Jestem przecież stryjem. Zaraz zajmę się kuframi.

Z jankesowską szybkością uporał się ze wszystkiemi formalnościami w komorze celnej i gdy Stella posiliła się nieco, zaprowadził ją do pociągu, gotowego do odejścia.

Sidney siedział w pokoju na łóżku, otulony szalami, gdy stryj Stefan przyszedł oznajmić szczęśliwe przybycie jego siostry.

— Nie przyprowadziłem jej tu z obawy zarazy — rzekł. — Widzisz, mój kochany, nie chcielibyśmy mieć dwojga chorych odrazu do pielęgnowania. Zawiozłem ją wprost do domu i stryjenka pomaga jej rozgościć się, ale jak tylko doktór zapewni, że już nie grozi niebezpieczeństwo zarazy, zaraz tu się przeniesie i będziecie mieszkać razem.

— Czy pragnie zobaczyć się ze mną? — zapytał Sidney.

— O, bardzo — odrzekł stryj Stefan wesoło. — Powiada, że musi zobaczyć cię jak najprędzej. No, ale już czas wrócić do domu.

Sidney znowu obcierał sobie oczy, gdy pozostał sam i złorzeczył złośliwym losom, które, jakby dla igraszki, stwarzały komplikacje.

Późnym wieczorem oddano mu z poczty kartkę, która go niebardzo uspokoiła.

Stella wyrzucała mu wręcz, że źle postąpił i oznajmiła, że nie myśli brać udziału w tak szkaradnem oszustwie.

"Mam wstręt do wynurzania piórem swoich uczuć w tym względzie — dodała — ale gdy się zobaczymy, wypowiem Ci je otwarcie" i podpisała się: "życzliwa ci, Stella Cunningham".

Lękając się lada chwila skandalu, będąc zmuszony czekać co najmniej tydzień na sposobność zwalczenia jej skrupułów, Sidney Caffyn był w usposobieniu nie do pozazdroszczenia.

Stryj Stefan wpadł za to w szczególnie dobry humor. Ile razy odwiedził synowca, zawsze mówił, że jego siostra jest zachwycającą dziewczyną i że wszyscy w domu są nadzwyczaj radzi z jej przybycia. Zapewniał, że można uważać jej przyszłość za zabezpieczoną, bo niezawodnie wyjdzie dobrze zamąż.

— Prawdę mówiąc — dodał raz — moja bratowa ma już dla niej upatrzoną świetną partję.

Sidney, rad nie rad, musiał okazywać radość z tych wieści.

Gdy już pozwolono Stelli odwiedzić go, widzenie się ich było bardzo przykre. Dziewczyna wykrzyknęła, że doznaje takiego uczucia, jakby była oszustką, że jest nią rzeczywiście i rozkazała mu niezwłocznie wyznać całą prawdę. Sidney obiecał zastanowić się nad tem i zaskoczony jej niespodziewanem zachowaniem się, rad był, gdy mu stryj Stefan oznajmił, że ją chcą zatrzymać jeszcze kilka tygodni w domu.

Powróciwszy do zajęć w składzie stryja Stefana, zauważył, że szef jego przybrał jakąś rozmarzoną i nieszczęśliwą minę, z którą było mu bardzo nie do twarzy, Stella zaś nie była jeszcze

nigdy tak wesoła, jak pewnego wieczora, kiedy Sidney odwiedził swych stryjów.

Stryj Stefan zdawał się nieszczęśliwy, mis rozpromieniona, a Sidneya dręczył niepokój, co myśleć o tem wszystkiem. Wkrótce jednak nastąpiło przesilenie, które przywróciło równowagę.

Pewnego popołudnia stryj Stefan przyszedł do kantoru Sidneya i rzekł do synowca:

— Miss Cuningham jest moją narzeczoną...

Sidney westchnął tylko głęboko i nic nie odpowiedział.

Może przez wdzięczność za powabną żonę, Stefan traktował synowca bardzo pobłażliwie. Może Stella wstawiała się za nim; bądźcobądź wyszedł on z tej biedy daleko lepiej niż zasłużył swem zamierzonem oszustwem.

Dziś Sidney prowadzi na wielką skalę handel serami zagranicznemi w zachodniej części miasta. Państwo Stefanowie często rozmawiają z sobą o nim i zapraszają go na obiady, na które chętnie przychodzi, ile razy zdarzy się mu być "na wschodzie" miasta.

Marion, która została wezwana zaraz po wydaniu się podstępu Sidneya, wkrótce po przybyciu do Ameryki zaślubiła bogatego przemysłowca, ma równie egzaltowane i mylne wyobrażenie o charakterze i zdolnościach swego brata.

Nikt jednak z osób występujących w tem opowiadaniu nie żałuje, że stało się tak, jak się stało.

BENEDYKT HERTZ

WIEPRZ MARZYCIEL

Nad kałużą błotnistą, którą lazur nieba
przeglądając się, barwił błękitnemi tony,
stanął raz Wieprz poważny, dobrze upasiony i dumał:
— Nie rozumiem, jaka też potrzeba
gna ptactwo głupie do słońca;
trzepoce to skrzydłami bez zastanowienia,
choć z własnego doświadczenia
wie, że ta podróż nigdy nie ma końca.
Bo niechże kto pomyśli: żali orzeł który
siedział kiedy na słońcu lub na grzbiecie chmury?
Nie!... Szukacie piękna? Hm... tego nie winię,
jednakże radziłbym ptakom naśladować świnie.
Nas także zachwycają wspaniałe widoki,
lecz poco trud latania? Wszak pyszne obłoki,
ba! nawet samo słońce widać i w kałuży.
Milsze, nie tak jaskrawe, można patrzeć dłużej
i sił się nie marnuje zadzieraniem głowy...
To też każdy z nas zawsze krzepki jest i zdrowy,
a gdy legniemy syte, w zadumie głębokiej,
często mamy pod sobą słońce i obłoki...
Na co?... Kto praktyczniejszy?... Sądź ptasia hołoto!
Tu, chcąc pobujać sobie, Wieprz zwalił się w błoto.

BENEDYKT HERTZ.

OSIEŁ I SŁOWIK

(Wzorowane na Kryłowie).

Spostrzegł osieł słowika i woła:
— Hej, mały!
Mówią, żeś ty najlepszy śpiewak w naszym lesie.
Czy to aby nie kawały?
Ano, popisz-że się.
Żem krytyk, znać po uszach. Sąd zaraz wydamy,
czy nie za dużo w tych głosach reklamy.
Zabolało pieśniarza podejrzenie osła,
więc dotkniętego w artystycznej dumie
chęć nieodzowna uniosła
pokazać wszystko, co umie.
Jak wirtuoz, co zanim grę właściwą zacznie,
lekkiemi pasażami sprawdza lutni dźwięki,
tak słowik: nim uderzył w melodję piosenki
zaklaskał, zaszczebiotał cichutko, nieznacznie,
wziął ton niski, wysoki, jeden, drugi, trzeci...
Poleciała pieśń w niebo. Ton za tonem leci,
to się strugą przelewa, to kroplami pluska,
to ciszę trelem pieści, to ją rwie okrzykiem...
Słucha las. Wiatr zaprzestał gonitwy z wietrzykiem;
zadumał się dąb stary, zapłakała brzózka,
i ptasząt zamilkło ćwierkanie
i stad głosy na polanie.
A pastuszek, słowiczą pieśnią kojąc serce,
dech zaparł i wzrok tęskny zwraca ku pasterce.
Skończył słowik. Kłapouch, czoło w ziemię wparłszy,
— Owszem—powiada—owszem, nieźle, panie starszy...
Można słuchać. Jest medjum, jest wysoka nuta...
Ot, szkoda, że naszego waść nie znasz koguta...
Gdybyś tak jeszcze popracował przy nim, —
zostałbyś może drugim Kogutinim.
Tu ptak zerwał się, frunął, hen, hen, bez pamięci.
Odtąd nie dba, co mówią o nim recenzenci.

Halina Karnicka

PŁYŃ PIEŚNI POLSKA...

„Śpiewania słodka potęga
Zjadliwe zgrzyty płoszy;
Śpiewanie do serca sięga,
Jest źródłem wszelkiej rozkoszy“.

Wśród soczystych zielenią polskich pól, ponad rozkołysane wiatrem łany zbóż wzbił się ku niebu skrzydlaty piewca naszej wsi — skowronek. Rozedrgana w przestworzu melodia ptaszęcej pieśni, brzmi szczęściem, radością, weselem. Czasem tylko, kiedy już milknie, albo się oddala, zostawia po sobie nieuchwytny cień smętku czy tęsknoty, żalu za zgasłym dźwiękiem kryształowych dzwonków. — Taką właśnie jest pieśń polskiego ludu.

Bezpośrednia w swej mocy i prostocie, jurna, hałaśliwie wesoła, pełna wymykających się spod władzy woli namiętności, albo zamglona melancholią jesiennych pól, żarząca się płomieniem pastuszego ogniska i śmigła jak iskra, krzesana góralską ciupagą, szemrząca melodią wiślanych fal.

Pieśń ta rzeczywiście „do serca sięga“, jest wylewem nagromadzonych w sercu uczuć, wyrazem najsubtelniejszych przeżyć i nieodzownym składnikiem wszystkich tradycyjnych obrzędów i zwyczajów wiejskich. Z niej, jak z rozwartej księgi, idą ku nam obrazy naszej wsi, barwione krasą ludowych strojów, pachnące miodną wonią dojrzałego zboża i ostrym zapachem, koszonej w letni poranek, trawy.

Świat pieśni jest całością zwartą i zamkniętą w sobie, rządzącą się własnymi prawami, bo takim stworzył go śpiewak pierwotny, inaczej niż my, pojmujący zjawiska otaczającej go przyrody. — Potężna natura to w jego zrozumieniu cały szereg zjawisk tajemniczych i bliżej nieokreślonych, które pozostają jednak w najściślejszym związku z człowiekiem i z jego życiem indywidualnym i społecznym.

Pomiędzy człowiekiem i naturą wytwarza się łączność, której dziś nie jesteśmy w stanie zrozumieć: przyroda wpływa niejako na stosunki ludzkie i nawzajem jednostki, czy nawet całe grupy społeczne oddziaływują na jej zjawiska.

Ślady tego dawnego światopoglądu trwają do dziś ukryte w obrzędach, a zwłaszcza w wierzeniach i przesądach ludowych. Podobnie i w pieśni, przyroda łączy się z ludźmi ścisłymi związkami, współdziała z nimi, przestrzega, współczuje ludzkiemu nieszczęściu. Pieśń — to nieodłączna towarzyszka ludzkiego życia, przy pracy i przy zabawie, w dniu urodzin i śmierci.

Wszystkie uroczystości wiejskie, zwyczaje i obrzędy posiadają im tylko właściwe pieśni i nie wolno ich

nawet powtarzać w innych okolicznościach. Śpiew ma tu poniekąd rytualne znaczenie, a wiele piosenek może się znaleźć tylko na ustach nielicznych, ściśle określonych osób.



Śpiewająca Ślązaczka

Szczególnie obrzęd weselny pozostał do dziś okazją do popisów śpiewackich, a nawet stał się jak gdyby przedstawieniem operowym, rozłożonym na kilka dni, w którym biorą udział zarówno zespoły, jak i soliści. Ceremoniał kościelny ograniczył się tu do samego aktu ślubu. Reszta uroczystości odbywa się już poza kościołem.

Panna młoda nuci nieco monotonną pieśń o jabłoneczce:

A wierniem ja Panu Bogu służyła,
Kiedym ja tę jabłoneczkę sadziła.
Posadziłam w ogródeczku przy drodze,
Którędy mój kochaneczek przyjedzie.

I nie wyszła jabłoneczce godzina,
Już się moja jabłoneczka przyjęła.
Już ci mojej jabłoneczce rok mija,
Już się moja jabłoneczka rozwija.

I nie wyszło jabłoneczce dwie lecie,
Już na mojej jabłoneczce jest kwiecie.
I nie wyszło jabłoneczce trzy lata,
Już ci moja jabłoneczka ma jabłka.

Czerwone mi jabłuszka rodziła,
Zielonymi listeczkami okryła.
Urwała mi starsza druchna dwanaście,
I zaniosła na zamek staroście.
A starosta jabłuszeczkom bardzo rad,
Oj, zaprosił starszą druchnę na obiad.

Te i tym podobne, sklecone często nieudolnie i naiwnie wiersze, przekazywane w śpiewie z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, przechodzą nieraz z jednej okolicy w drugą, utrwalane tylko w pamięci, bez oparcia o jakiś tekst pisany czy drukowany.

Najstarszą chyba z polskich pieśni jest dziękczynienie po obiedzie weselnym. Zgromadzeni goście śpiewają chórem:

Dziękujemy Panu Bogu, da i tobie panie [gospodarzu
Po obiedzie weselnym,
Z panią gospodynią — po obiedzie, po [dobrym.
Toć tam były stoły — toć to wszystko [cisowe.
Toć tam były ławy — toć to wszystko [dębowe.

Dziękujemy Panie Boże, da i tobie,
[panie gospodarzu
Z panią gospodynią po obiedzie
[dobrym.

Toć tam były obrusy,
Toć to wszystko bielone.
Toć tam były szklanki,
Toć to wszystko zielone itd.

A gdy para małżeńska doczeka się potomstwa, to znów mamy powód do obrzędu chrzcin i powód do pieśni.



Plon, niesiem, plon!

Potem, gdy matula z tkliwością pochyla głowę nad kołyską dziecka, marząc o jego przyszłych losach, z ust jej wyrywa się niepozorna i bezpretensjonalna, a pełna uroku i nieświadomego artyzmu piosenka:

Uśnij że mi, uśnij
Albo mi urośnij.
Możesz mi się przydać,
W pole gąski wygnać.
Wyżeniesz gąsiątka,
Przyjdziesz po cielątka,
Cóż to za pociecha
Z małego dzieciątka.

Albo też:

Lulajże mi, lulaj,
Kołysko lipowa,
Niechże cię, dziecino,
Pan Jezus uchowa.

Lulajże mi, lulaj,
Kołyseczko z wieczkiem.
Idzie od Krakowa
Cyganeczka z dzieckiem.

Ale nie tylko radosne i tkliwe motywy niesie pieśń ludowa. Wyrosła z życia, z niego czerpiąca natchnienie, w smętnej melodii zaklina cierpienia po stracie ukochanych istot:

Wszystkie gospodynie wyganiają świnie,
Ino moja Kasia śpi.
Trzeba mi, trzeba siedmiu pacholików,
Żeby mi ją podnieśli.

Całe bogactwo melodii i pieśni stworzyły doroczne święta i obchody, tradycyjne uroczystości, stygmatem umiłowania odwiecznych obyczajów pradziadowskich znaczące każdą porę roku. Tak chociażby w wigilię

św. Jana, gdy nad rzekami zapłoną tradycyjne ogniska, a z połyskliwą falą popłyną wianki, wtedy brzmi tęskny śpiew:

W polu lipeńka, w polu zielona
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianeczków wiła.
Oj, czego płaczesz, moja dziewczyno,
Ach, cóż ci za niedola?
Nie płaczże Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach, będziesz ci go miała.
O mój Jasieczku, o mój jedyny,
Da stałać mi się szkoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda.

Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie kłopocz ty się o nie,
Oj, mam ja parę białych łabędzi,
Popłynąć one po nie...

A gdy nastaną inne święta, gdy nadejdą zapusty, ileż radości daje pieśń. Wybucha żarem beztroskiej młodości, czasem docina komuś w złośliwej przyśpiewce lub układa się posłusznie w takt tańca. Potem, gdy już z okowów zimy wytryśnie naraz niepohamowaną zielenią, długo oczekiwana wiosna, wówczas i piosenka bardziej żwawa wyraża nowe uczucia, zbudzone w sercu ludzkim.



Andriolli — Przed figurą wioskową

Ale najbogatszą gamą melodii, różnorodnością pomysłów uderza pieśń dożynkowa. Raz dostojna i godna, jak dorodna przodownica, składa-



Z pieśnią w góry

jąca dziedzicowi w darze symboliczny wianek, to znów w tonie żartobliwym wychwalająca jego zalety, albo skoczna niby najbardziej ochoczy krakowiak, czasem nawet frywolna i swobodnie wyśmiewająca się z dworskich stosunków, a kiedy indziej tak poważna, jak dziękczynienie Bogu za bogaty plon.

Prowadzimy plon
W jegomości dom.
Aby dobrze plonowało,
Po sto korcy z kopy dało.
Prowadzimy plon
Jegomości w dom.
Niech jegomość wyjrzy w pole,
Oziminka się nie chwieje.
Prowadzimy plon
W jegomości dom.
Nie chwieje się i jareczka,
Sprzątnęliśmy do ziareczka.
Prowadzimy plon
W jegomości dom.
Bogdaj zdrowo plonowało,
Że tak roczek doczekało.
Prowadzimy plon
W jegomości dom.

Lub też bardziej swobodna i bezpośrednia:

Dożęli żytka do odłogu,
Podziękujem Panu Bogu.
Plon niesiem, plon!
Uchylaj panie cisowe wrota,
Niesiem wianeczek z szczerego złota.
Plon niesiem, plon!
A nasz wianeczek jedwabiem wity,
Nie wykupisz pan za talar bity,
Plon niesiem, plon!
Nie żałuj panie siwego konia,
Ślij po muzyki choć do Krakowa.
Nie żałuj panie siwego źrebca,
Ślij po muzyki choć do Królewca.
Dożęli żyta, dożeniem i jarki,
Nie żałuj, panie piwa, gorzałki.

Żyto już skoszone czy zżęte. Padły pod cięciem połyskliwej kosy złociste, ciężkie dojrzałym ziarnem kłosy pszenicy i długowąse jęczmienie. Nie ostał się i owies. Jakieś bardziej roz-

ległe i gładkie wydają się w przezroczystym powietrzu jesieni opustoszałe ścierniska. Czasem tylko zabrzmi pastusza pieśń o dziewczynie, która zgubiła wołki:

Pognała wołki na bukowinę,
Wzięła skrzypeczki, wzięła jedyne...
Tam grała, śpiewała,
Gdzie swoje, siwe wołki pasała.



A. *Chełmoński — Pastuszek*

Poszedł Janek na bukowinę,
Znalazł Marysię, znalazł jedyną.
Marysiu, co ci to?
Pono twoje siwe wołki zajęto...?

Obok tych pieśni obrzędowych, czy związanych ściśle z porą roku, trwa i rozwija się, ulega przeobrażeniom podawana z ust do ust, dostępna dla każdego i łatwo przyswajalna, a jednak pełna uroku piosnka powszechna. To prawdziwa literatura dla ludzi niepiśmiennych.

Niektóre pieśni i melodie, grywane również do tańca, złączyły się tak silnie w naszej pamięci z pewną dzielnicą Polski, że na Kujawach pragniemy uparcie usłyszeć kujawiaka, a krakowiaka w Krakowskim itd. Tymczasem z jednej okolicy do drugiej pieśń przedostaje się bardzo łatwo. Czyż trudno jest przyswoić sobie

miłą piosenkę, śpiewaną na Kujawach:

Oj, nie jedź Jasiu, nie jedź,
Oj, bo tam nie przejedziesz,
Oj, dziewczyny nie dadzą,
A sam se jej nie weźmiesz.
Oj, sam se jej nie weźmiesz,
Oj, ani nie ukradniesz,
Dopóki pani matce
Do nóżek nie upadniesz.
Oj, nie jedź Jasiu, nie jedź,
Bo bystra tam wodziczka,
Oj, dziewczyny nie dadzą
I utopisz koniczka.

Jeszcze łatwiej może wędrować z biegiem Wisły po całym kraju flisacka pieśń z Krakowskiego pod tytułem „Flisaczek płynie do Torunia":

Flisaczkowa żona siedzi sobie doma,
A flisaczek, nieboraczek, płynie do To-[runia.
Flisaczkowie z nieba,
Dajcież nam też chleba.
Dawnoście tu nie bywali,
Chlebaście nam nie dawali,
Chleba nam dawajcie.

Pieśni powszechne to jakby ballady o temacie epickim, zaczynające się rodzajowo, jak na przykład popularna piosenka:

Jasio konie poił,
Kasia wodę brała.
Oj namawiał ci ją,
By z nim wędrowała.

Nie braknie też i pieśni miłosnych czy zalotnych, które nieraz przemawiają z tak szczerym sentymentem, że nie tylko wśród ludu, ale i w innych środowiskach zdobyły chętnych odtwórców. Ileż to razy w świetlicy czy na wycieczkach powtarza się tę zwrotkę:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
A ja doliną...
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą
A ja kaliną...

Nie rzadziej także sięgamy do repertuaru pieśni komicznych, jak:

Córuś moja, dziecię moje, co po sieni [puka?
Nic, nic, matulińku, kotek myszki szuka itd.

Albo do piosenek słynnych zbójników góralskich:

Hańciu moja, pójdź do doma,
Wydam ja Cię nie wiem komu,
Wydam ja Cię Janickowi,
Hej walnemu zbójnickowi.
Janku, Janku, tęgiś zbójnik,
Wiesz po wierchu każdy chodnik,
We dnie idziesz, w nocy wrócis,
A mnie biedną tylko smucis...

Małe zróżnicowanie dawnej wsi polskiej pod względem społecznym nie sprzyjało powstaniu pieśni na przykład rękodzielniczych. Ale mamy i takie. Przekazywana przez majstra czeladnikowi i terminatorowi, pieśń rzemieślnika rozbrzmiewała przy pracy w piekarni, na budowie, w kuźni, we wszystkich warsztatach. Nie spisana i nie drukowana przechodziła wraz z „rajzującym" (wędrującym) rzemieślnikiem różne koleje losu.

Innemu elementowi podróżującemu tj. wędrownym dziadom zawdzięczamy wiele motywów i melodii. — Oni to w dawnych czasach stanowili często jedyny niemal łącznik ze światem dla odległych, ustronnych miejscowości, pełnili rolę doradców i pośredników, a przede wszystkim, idąc od chaty do chaty, lub zbierając się pod kościołem, na jarmarkach, odpustach, śpiewali ku zbudowaniu słuchaczy.

Pieśni ich są najczęściej treści religijnej, czasem o podłożu patriotycznym, lub historycznym:

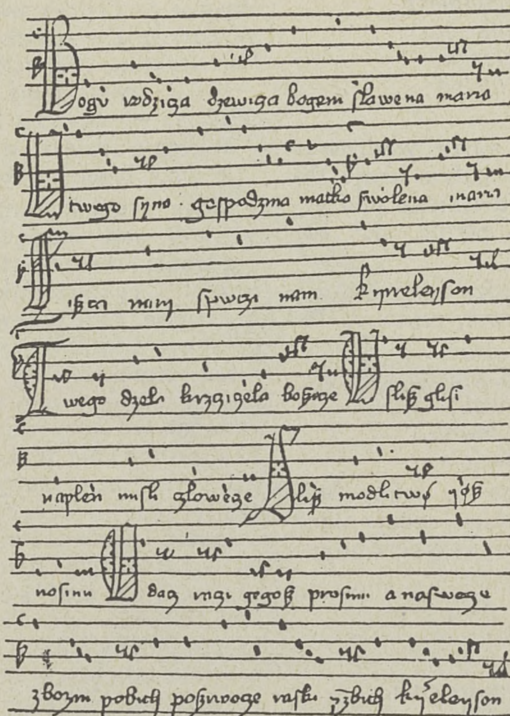
I przyjechał król Sobieski,
Do kościoła bieży.
Upadł przed Najświętszą Panną;
Upadł, krzyżem leży.

A wtem słyszy głos z obrazu,
Powstań na kolana,
A idź sługo najmilszy
Na Turka pogana.

Obszerna i ciekawa grupa to pieśni żołnierskie. Dużo ich pozostało — z rozmaitych okresów i przez różnych nieznanych i znanych autorów tworzonych.

Zrazu zagrzewała do boju walecznych rycerzy Polski skandowana rytmicznie, będąca modlitwą przedbitewną i hymnem pochwalnym na cześć Matki Zbawiciela, odwieczna „Bogarodzica". Jej słowa proste i wielkoduszne unosiły się fanatyzmem rozmodlenia ponad ciżbą obrońców Rzeczypospolitej aż do czasów rozbiorów:

Bogurodzica,
Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja.



Starodawny tekst Bogarodzicy

Agdy niestało skrzydlatej husarii, gdy rozszarpana na części Polska popadła w niemoc niewoli, wówczas po latach przygnębienia zrodziła się idea Legionów.

I znowu ponad głowami tych nowych ryczerzy polskich zabrzmiała, jako hymn bojowy, pieśń głosząca, że „Jeszcze Polska nie zginęła". Autorem tekstu był Józef Wybicki, a melodię skomponował Michał Ogiński, twórca słynnych polonezów.

Najukochańsza piosnka bitnych wiarusów i później całego ogółu patriotycznych Polaków, nosząca pierwotnie tytuł „Mazurka Dąbrowskiego" od dowódcy Legionów, przetrwała lata niewoli, by w niepodległej Polsce stać się Hymnem Narodowym.

Odtąd już każdy poryw polskiego bohaterstwa, każde dźwiganie się, powstanie listopadowe ze słynną „Warszawianką", skomponowaną w chwili natchnienia przez Francuza Kazimierza Delevigne i zaopatrzoną w muzykę Karola Kurpińskiego, czy z okowów niewoli przepajała melodia rodzimej pieśni. Czy to będzie wreszcie ostatni okres walk o niepodległość, gdy w rowach strzeleckich zanucono pieśń „najdumniejszą, jaką kiedykolwiek Polska stworzyła", „Pierwszą Brygadę" — nigdy nieumilkła żołnierska piosenka.



JANINA DOBA

PRZEBACZ...

NOWELA

Pada deszcz, pada...

Woda ścieka z rynien na chodniki i płynie potokami. Przechodnie uciekają przed ulewą, kryją się w bramach i sieniach.

Smutna, szara zasłona ołowianych chmur pokryła niebo.

Robi się ciemno.

Dorożkarze pędzą przez ulice, to w tę, to w ową stronę, zabierając po drodze przechodniów. Nie wszyscy jednak mogą sobie pozwolić na jazdę dorożką. Nie każdy może wydać złotówkę, dla uniknięcia zmoczenia. A że nie miło wystawać pod bramami, jaki taki puszcza się piechotą w stronę domu. Ulice miasta pustoszeją.

Tu i owdzie migotają już blade światła latarń.

Jakaś postać kobieca stoi skulona przed wielkiem wystawowem oknem magazynu i pozornie przygląda się rozwieszonym damskim kapeluszom. Patrzy na nie, ale wzrokiem zamglonym, bezmyślnym. Nie obchodzą ją w tej chwili kapelusze, nic nie obchodzi, prócz deszczu, który zmusił ją do stanięcia przed wystawą, by znaleźć ochronę, pod wystającym daszkiem sklepu.

Na ulicach woda zmieszała się z piaskiem i ziemią i potworzyła brudne kałuże błota.

Kobieta wychyliła się z pod daszka i wysunęła przed siebie rękę, dla zbadania, czy deszcz jeszcze mocno pada.

Była to jeszcze młodziutka dziewczyna o cudownie pięknych rysach twarzy okolonej aureolą złocistych włosów, które niedbale spadały wijącemi się loczkami na szyję i ramiona. Oczy wielkie, piwne, przysłonięte długiemi rzęsami, rzewnie jakoś i smutno na świat spoglądały.

Szczupła, średniego wzrostu, ubrana była w skromną, ale gustowną sukienkę.

Deszcz nie przestawał padać.

Czekała z rezygnacją, stojąc wciąż na jednem miejscu. Odruchowo spojrzała na zegar, umieszczony nad drzwiami magazynu.

— Boże — wyszeptała przerażona — miałam być u pani Boguckiej punktualnie o drugiej popołudniu, a tu już trzecia!...

Wybiegła na ulicę, rozejrzała się dokoła i szybkim krokiem poczęła iść w stronę ulicy Mickiewicza.

Deszcz smagał ją bezlitośnie. Nie zważała jednak na ulewę. Biegła przez ulice nie zatrzymując się wcale.

Minęła kilka ulic, stanęła przed katedrą i bezradnie spojrzała dokoła siebie. Nagle oczy jej zabłysły radośnie. Ujrzała stojącego opodal policjanta.

Podeszła do niego i rzekła:

— Proszę mi powiedzieć, gdzie się znajduje biuro pani Boguckiej?

— Cóż to za biuro? — spytał policjant, patrząc na nią badawczo.

— Biuro pośrednictwa pracy...

— Hm... Takich biur mamy wiele w Wilnie. Czy nie wie pani, jak się nazywa ulica na której to biuro się znajduje?

— Właśnie zapomniałam nazwę ulicy.

— To gorzej. Może na Jagiellońskiej? Tam jest takie biuro...

— Tak, tak — odparła po chwilowym namyśle.

— Jeżeli tak, to proszę iść prosto, a potem w trzecią ulicę na prawo.

— Dziękuję.

Posterunkowy odpowiedział salutowaniem.

Dziewczyna udała się w kierunku, wskazanym przez policjanta.

Wkrótce stanęła na ulicy Jagiellońskiej.

Na ratuszowej wieży wybiła czwarta popołudniu.

Wypogodziło się.

Czarne chmury przepłynęły. Na niebie ukazało się słońce. Deszcz majowy odświeżył miasto. Pozmywał kurz z drzew, budynków i ulic. Ptaki powylatywały z kryjówek, porozsiadały się na gałęziach drzew i krzewach i rozwodziły w powietrzu cudną pieśń wiosny.

W ogrodach i parkach rozwijały się kwiaty wiosenne, rozsiewając dokoła miłą, subtelną woń. Ulice na nowo zaroiły się ludźmi.

Dziewczyna stanęła przed jednym z domów i odczytała wszystkie napisy. Nie znalazła jednak n a p i s u, któryby zwiastował, że w tym domu znajduje się biuro pani Boguckiej. Znów stanęła bezradnie, namyślając się, w którą stronę iść dalej na poszukiwanie upragnionego biura.

Naprzeciw, po drugiej stronie ulicy stało dwóch młodych oficerów. Obaj przystojni, wytworni i eleganccy, chcąc nie chcąc zwracali na siebie uwagę przechodzących kobiet. Obydwaj mieli na mundurach i czapkach odznaki majorów.

Pierwszy z nich brunet, wsparty o drzewo, zajęty był przeglądaniem gazety, drugi zaś, blondyn, stojąc obok, bacznie obserwował dziewczynę.

Zachwycony jej urodą, nie

mógł oderwać oczu od tego pięknego zjawiska.

Po chwili blondyn zbliżył się do drzewa, pod którem stał jego przyjaciel i rzekł:

— Słuchaj, Jurek... Popatrz tam...

Zagadnięty podniósł wzrok i po chwili odezwał się:

— Nie widzę nic ciekawego. Dlaczego każasz mi tam patrzeć?

— Człowieku z kamienia! — odparł blondyn. — Patrz - że przecie na tę panienkę — dorzucił, wskazując oczami na dziewczynę po drugiej stronie ulicy. — A co?

— Cacko... — odrzucił obojętnie Jurek.

— Dlaczego ona tam stoi? Hm... Zdaje się, że nietutejsza...

— Niewiem.

— Pójdźmy do niej, Jurku. Może uda mi się ją rozweselić, bo coś smutnó mi wygląda. A ładna...

— Idź sam, Olek. Ja mam co innego do roboty.

— W takim razie, do widzenia, — rzekł Olek i skierował się na drugą stronę ulicy.

—Powodzenia — rzucił w ślad za nim przyjaciel i oddalił się najspokojniej w przeciwnym kierunku. Świat kobiecy mało go obchodził.

Olek tymczasem zbliżył się do dziewczyny i salutując z wielką galanterją spytał uprzejmie:

— Przepraszam, czy mogę wiedzieć, na kogo pani czeka?

Dziewczyna drgnęła i cofnęła się w tył.

Major powtórzył pytanie.

Po chwili kłopotliwego milczenia usłyszał głos o słodkiem, delikatnem brzmieniu:

— Od godziny szukam biura pani Boguckiej i nie mogę znaleźć.

— Gdzie? Tu na ulicy pani szuka? — spytał major uśmiechając się filuternie.

Dziewczyna zaczerwieniła się po uszy i opuściła wzrok.

— To biuro pośrednictwa pracy — rzekła, jąkając się.

— Aha... pośrednictwa pracy. Z łatwością mogę pani wskazać, gdzie się to biuro znajduje. Proszę iść ze mną.

Zawahała się przez chwilę, w końcu jednak poszła za nim.

Przeszli kilkadziesiąt kroków i zatrzymali się przed bramą.

— Otóż jesteśmy na miejscu — zawołał raźno oficer. — Widzi pani, że moja pomoc przydała się na coś.

Dziewczyna podziękowała lekkiem skinieniem głowy i weszła do bramy.

— Pani! — zawołał znów major.

Obejrzała się.

— Czy pozwoli pani, żebym na nią zaczekał!

— Poco? — spytała, spoglądając nań z ukosa.

— Chciałbym z panią porozmawiać.

— Porozmawiać? Ze mną? Ależ ja pana pierwszy raz w życiu widzę.

— To nic, pani. Lepiej pierwszy niż ostatni. Proszę bardzo pozwolić mi czekać na panią. Bardzo proszę...

Mówił głosem melodyjnym, miękkim a przytem tak patrzył na nią...

— Dobrze — odparła i szybko wbiegła na schody.

Pan major uzbroił się w cierpliwość i czekał.

Od pierwszego wejrzenia podobała mu się ogromnie. Postanowił zapoznać się z nią i powiedział sobie, że będzie czekał, choćby do nocy.

— Hm... Przyjezdna z pewnością — mruczał do siebie — bo tu przecie znam wszystkie prawie kobiety. — Trochę dzika w obejściu, ale caca! No, jakoś to będzie — pomyślał i rozpoczął spacer po chodniku.

* * *

— Do kogo pani? — spytała młoda pokojówka, otwierając drzwi przedpokoju.

— Do pani Boguckiej — odpowiedziała dziewczyna.

— Pani Bogucka śpi teraz, a pana niema w domu...

— Ja chciałam tylko ten list oddać — rzekła przybyła, wyjmując z torebki dużą kopertę.

Służąca spojrzała na dziewczynę, wzięła do ręki kopertę i rzekła:

— Zresztą zobaczę, może pani już wstała. Proszę iść za mną.

Weszły obydwie do małego pokoju, mającego wygląd poczekalni a zarazem biura.

— Proszę tu zaczekać — rzekał służąca. — Pójdę do pani.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła. Pokój był wąski i mały. Pośrodku stał stół, przy ścianie na prawo czerwona, mocno zniszczona kanapa, pod drugą ścianą kilka krzeseł. Na ścianie wisiały w ramkach za szkłem rozmaite przepisy biurowe, trochę dalej widniało zapstrzone pozwolenie na prowadzenie biura, a na półce leżało kilka grubych, zakurzonych książek.

Po kilku minutach drzwi uchyliły się i do pokoju weszła pani domu, osoba w podeszłym już wieku, miłego i ujmującego wejrzenia.

Dziewczyna skłoniła się z uszanowaniem.

— Dzień dobry — odpowiedziała pani Bogucka na ukłon dziewczyny, wyciągając przytem rękę na powitanie. — Proszę, niech pani siada — dodała, wskazując równocześnie gestem ręki na krzesełko.

Dziewczyna usiadła w milczeniu, pani Bogucka zaś wzięła z półki wielką księgę i zaczęła ją przeglądać, przewracając kartę za kartą.

Podczas tej czynności mówiła:

— Poszukamy, a może znajdziemy co dla pani, panna Ireno. Tak, tak... różnie w życiu bywa, różnie... Przeczytałam list pani Jezierskiej i wiem wszystko. Poczciwa ta hrabina Jezierska... Zawsze zajęta dobremi uczynkami. Ot i panią zaopiekowała się. A trzeba pani wiedzieć, że polecenie hrabiny Jezierskiej wiele znaczy, o, bardzo wiele! Jako energiczna działaczka społeczka szeroko jest znana. Pisze, że pani zasługuje pod każdym względem na wszelką pomoc... Została



Old Market Square

Stare Miasto w Warszawie

pani sama na świecie... Ale na szczęście są jeszcze dobrzy ludzie, którzy pomogą pani. Wszystko się jakoś ułoży, tylko niech pani rozweseli się i raźniej patrzy na świat boży... Nie trzeba przejmować się...

— Pani bardzo dobra — odpowiedziała dziewczyna, ocierając chusteczką łzy, które gwałtem wymykały się z pod pod powiek.

Pani Bogucka nie odpowiedziała tylko dalej przewracała karty księgi, aż wreszcie zatrzymała rękę na jednej i zawołała:

— Ot, i jest! Mamy miejsce dla pani. Posada nauczycielki w domu bogatych ziemian. I to odrazu, każdej chwili do objęcia. Zaraz jutro może pani jechać. Miejscowość jest dosyć daleko stąd, za Grodnem. Zaraz nadam depeszę, żeby przysłali konie na stację. Tylko jedna dziewczynka do nauki. Dziecko zdolne i trudu nie wiele będzie pani z nią miała. Dobrze pani tam będzie.

— Bardzo pani dziękuję — odpowiedziała Irena. — Postaram się, żeby byli ze mnie zadowoleni. Serdecznie pani dziękuję.

— Bardzo jestem rada, że tak odrazu znalazłam miejsce dla pani — rzekła dobrodusznie pani Bogucka, powstając z kanapy, na której siedziała. — Oto adres tej pani: Hrabina Puszyńska, w Ptaszkowie, stacja kolei Grodno. Życzę pani powodzenia i do widzenia, moja droga. Jutro wieczorem konie będą na stacji w Grodnie. Żegnam panią.

Po chwili Irena znalazła się znów na ulicy.

Czekający major przystąpił do niej w tej chwili.

— Dosyć długo pani bawiła u tej pani Boguckiej — zawołał wesoło.

— Musiałam — odrzekła. — Sprawa była ogromnie ważna dla mnie.

— A teraz gdzie ma pani zamiar iść?

— Do domu — odparła krótko. — Raczej nie do domu, tylko do hotelu, gdzie mam swoje rzeczy.

— Pozwoli pani odprowadzić się?

— Dziękuję, ale wolę iść sama.

— Niechże pani nie będzie dla mnie okrutna. Pani jest zmęczona, odwiozę panią.

Propozycja majora uśmiechała się Irenie. Po krótkim namyśle zgodziła się, gdyż istotnie czuła się bardzo zmęczoną.

— Dziękuję! — zawołał uradowany.

Doszli w milczeniu do rogu ulicy.

— Dorożka! — zawołał major na stojącego na rogu dorożkarza. Ten podniósł głowę do góry i podjechał.

Kiedy znaleźli się w dorożce, dziewczyna przyciszonym głosem wymieniła nazwę hoteliku, w którym zostawiła rzeczy, a oficer prawił jej mnóstwo komplementów i czułych słówek. Irena w milczeniu wysłuchiwała tego wszystkiego i siedziała osowiała, zapatrzona przed siebie. Gniewało ją natręctwo majora i byłaby najchętniej wysiadła z dorożki, ale jakoś brakowało jej odwagi, by powiedzieć dorożkarzowi że chce wysiąść.

Major tymczasem pochylił się ku dorożkarzowi i wtykając mu zręcznie kilka monet w rękę, szepnął, by zmienił kierunek jazdy i udał się prosto w stronę koszar, w pobliżu których mieszkał.

Stary wyga dorozumiał się rychło planu pana majora i skręcił w inną stronę miasta. Mijali szybko ulice, a Irena nie przypuszczała nawet, by jechała gdziekolwiek indziej, niż do swego hotelu. Nie zważała zresztą na drogę, przemyślając aby jaknajprędzej pozbyć się towarzystwa natręta.

Tymczasem pogodne przed chwilą niebo znów zachmurzyło się, zerwał się silny wicher i zdawało się, że lada chwila rozpocznie się nowa ulewa. Wtedy właśnie dorożka stanęła na środku opustoszałej ulicy.

— Wysiadamy! — rozległ się uprzejmy głos oficera.

Irena rozejrzała się dokoła. Nie znała miasta, więc też nie wiedziała gdzie się znajduje. Poznała jednak, że to nie jest dzielnica w której był jej hotel. Wysiadłszy z dorożki przerażonemi oczami patrzała to na ulicę, to znów na jednakowe, niepozorne budynki, opatrzone numerami.

— Proszę pani — ozwał się major. — Idziemy...

— Gdzie ja jestem? — spytała strwożona widząc, że dorożkarz odjechał całym pędem i znikł po chwili za narożnikiem.

W tej chwili zaczął padać gruby, zimny deszcz, chłoszcząc niemiłosiernie twarz dziewczęcia.

— Ależ to nie mój hotel! — zawołała. — Gdzie mnie pan prowadzi?

Deszcz padał coraz silniej.

— Uciekajmy, uciekajmy, bo deszcz nas zleje do nitki! — zawołał major ciągnąć Irenę w stronę domu, stojącego opodal od innych.

— Ależ to nie mój hotel! — wołała dziewczyna, opierając się z całej mocy.

— Zawiozę Panią do hotelu, ależ przecie nie możemy stać tu na ulewie. Proszę tylko wejść, nic się pani złego nie stanie.

Ulica była zupełnie pusta. Irena chciała wołać o pomoc, ale widząc, że nikogo nie widać, poprzestała tylko na szamotaniu się i błaganiu majora, żeby ją puścił.

Deszcz lał coraz silniej i silniej.

Wreszcie zmęczona szamotaniem się, zmoknięta i zziębnięta, musiała ulec przemocy silnego ramienia i znalazła się w mieszkaniu pana Olka.

Wszędzie tam panował wzorowy porządek. Mieszkanie składało się z trzech pokoików, zastawionych umiejętnie dobranemi rzeczami. W jednym z pokojów stał śliczny fortepian.

— Niechże pani usiądzie — prosił m a j o r, zrzuciwszy płaszcz z siebie. — Nie ma pa-

ni powodu do płaczu — dodał, widząc, że po twarzy Ireny spływają gęste łzy. — Czyż ja jestem taki straszny, że aż tak bać się mnie trzeba?

— Proszę pana, niech mnie pan zaraz wypuści stąd. Ja nie mogę, nie chcę być tu ani chwili!

— Pani się mnie boi? — zapytał, zbliżając się do niej i obejmując ramieniem wiotką jej kibić. — Niema czego, ślicznotko...

Odsunęła go, oburzona do najwyższego stopnia.

— Panie majorze...

Nie dokończyła zdania. Oficer przyciągnął ją do siebie i gwałtem ucałował jej łzami zalaną twarzyczkę.

Zanosząc się od płaczu padła na stojący tuż fotel.

— Dlaczego pan mnie tu przywiózł, dlaczego? — wołała przez łzy. — Ja tu nie zostanę dłużej, proszę mnie natychmiast wypuścić!

— Gdzie? Na taką ulewę? Niechże pani będzie rozsądna! — mówił, podnosząc ją z fotelu i prowadząc w stronę otomany. — Ot, tu... proszę pani, niech pani siada. A ja, koło pani, wszak pani pozwoli...

Nie czekając na pozwolenie siadł przy niej i począł mówić smętnym, melancholijnym głosem:

— Wiem, że postąpiłem źle, wioząc tu panią, ale nie mogłem zapanować nad sobą. W życiu mojem nie spotkałem jeszcze istoty podobnej do pani... Pani ma odrębny typ, coś, co mnie oszałamia... Pani... na pierwszy rzut oka pokochałem cię całem sercem i czuję, że bez ciebie żyć bym nie mógł!

— Panie majorze, proszę przestać! Ja nie chcę słuchać tego!

— A jednak wysłucha pani... Nie wiem skąd jesteś, nie wiem dokąd idziesz, jedno wiem tylko, że zawładnęłaś mną całym... Pani, zostać tu na zawsze! Gniewaj się na mnie, pogardzaj mną, ale zostań...

Spojrzała na mówiącego. Przez myśl jej przemknęło, że jednak ten oficer to śliczny chłopak. Czuła do niego urazę, bała się go, ale w spojrzeniu jej nie było już tyle strachu i urazy, co przed chwilą.

Oczy ich spotkały się.

Uwierzyła w zaklęcia majora, w jego obietnice wspólnego przyszłego życia. Przedstawiał jej przepiękne obrazy wymarzonego szczęścia we dwoje, mówił o małżeństwie, o ślubie, o wspólnem pożyciu na zawsze.

W biednem jej sercu zatliła iskierka uczucia sympatji. Nie odpychała go już, gdy pokrywał jej oczy namiętnemi pocałunkami.

I oto zdało się sierocie, że przecież zaświta w jej życiu jutrzenka szczęścia. Uczuła, że gotowa jest pokochać tego natręta całą mocą serca. Źle jej było dotychczas na świecie — i oto ten przypadkowo napotkany, wymarzony książę z bajki, nowe życie przed nią odkrywa...

Piersiami jej wstrząsnęło łkanie. Ale nie były to łzy bólu i rozpaczy. Przymknęła oczy i oparła głowę na szerokiej piersi majora.

Na dworze deszcze padał i wicher zawodził potępieńczemi tony.

....

Irenę ogarnęła senność. Zamykając zmęczone oczy, chwyciła rękę oficera i wyszeptała uśmiechając się błogo:

— Mój... narzeczony... mój ... mój... Olek...

Usnęła.

Major otulił ją pledem i wyszedł z pokoju na ganek.

Uspokoiło się na dworze.

Wsparty o balustradę ganku pogrążył się w zadumę.

Brzmiały mu w uszach słowa jej, które przed chwilą wyszeptała.

Jakto? Co? Czyżby ona naprawdę była tak naiwna? Ślub? Żona? Zwarjowała dziewczyna! Ha, ha, ha! On i ślubny kobierzec!

— Udało mi się — myślał — zerwać piękny i świeży kwiatek. Ale żeby zaraz brać to tak serjo? Coś także! Takich kwiatów wiele miał w życiu i wiele jeszcze zerwie...

Tylko co z nią zrobić?

Zostawić ją u siebie w charakterze kochanki? Nie, to byłoby głupie i niesmaczne. Trzeba ją jaknajprędzej wyprawić. Niech jedzie, gdzie zamierzyła.

Świtało już, gdy Olek wszedł z powrotem do pokoju. Irena spadła, słodko uśmiechając się przez sen. Ogarnął ją wzrokiem.

— Ładna, ale znamy ładniejsze. Jak jej się pozbyć?

Siadą na otomanie i lekko dotknął ręką jej obnażonego ramienia.

Otworzyła oczy.

— Jakże się pani spało?

— Dobrze... — odpowiedziała, rumieniąc się prześlicznie.

— To doskonale. Ale może to już czas na panią, jeżeli chce pani jechać rannym pociągiem? Trzeba wstawać...

Spojrzała na niego wielkiemi, smętnemi oczami.

— A tak — rzekła. — Zaraz się ubiorę, tylko niech pan wyjdzie z pokoju.

Gdy wrócił, siedziała już ubrana i przygotowanna do wyjścia.

— Pojedziemy razem na kolej — ozwał się major, patrząc jej w oczy. — Jakże jestem nieszczęśliwy, że nie mogę odrazu przedstawić panią, jako moją narzeczoną. Ale warunki tak się składają, że musimy jakiś czas poczekać. Kilka miesięcy tylko, które dla mnie wiecznością się staną...

Ucałował jej rękę.

— Ale pani będzie często pisać do mnie, prawda, Irenko!

— Tak, tak...

— A jak napiszę, to zaraz przyjedziesz... A wtedy to już na zawsze...

— Uśmiechnęła się rozkasznie.

— Przyjadę, choćby z końca świata...

Na dworcu pożegnali się jak para narzeczonych.

Przez otwarte okno wagonu posłała mu całusa od ust i powiewając chusteczką zawołała:

— Do widzenia! A proszę pisać często!

— Do widzenia! — odpowiedział major, postał jeszcze chwilę, a gdy pociąg ruszył, powrócił do koszar, pewny siebie i zadowolony.

....

Irena objęła posadę nauczycielki w magnackiej siedzibie państwa Puszyńskich. Warunki były świetne. Pensja wyższa ponad wszelkie oczekiwanie, prześliczny pokoik, praca miła i wykwintne, kulturalne towarzystwo.

Zaledwie jednak tydzień przebyła na nowem stanowisku. Po trzech dniach jej pobytu w pałacu, zaczął ją prześladować zalecankami starszy syn dziedzica, a czynił to tak natarczywie, że biedna dziewczyna nie miała ani chwili spokoju.

Gdziekolwiek poszła, wszędzie, jak cień był za nią i pomimo jej oziębłości prawił jej komplementy i gdzie mógł oświadczał miłość.

Daremnie prosiła go, by zaprzestał prześladowania jej. Panicz, nie przyzwyczajony do oporu dotychczasowych guwernantek i garderobianych, oznajmił jej najwyraźniej, że musi ją zdobyć.

Przyszło do tego, że w siódmym dniu jej pobytu, zakradł się w nocy do jej pokoiku.

Przebudzona, narobiła krzyku. Zjewiła się na miejscu sama pani hrabina, która widząc syna, uciekającego z pokoju nauczycielki, powstała na niewinną dziewczynę w najokropniejszy sposób i nazywając ją uwodzicielką i bezczelną kokietką, wymówiła jej posadę.

Irena tej jeszcze nocy zabrała swe rzeczy i nie żądając nawet koni do kolei, odjechała z powrotem do Wilna.

Jechała do Niego...

On jej pomoże, on poradzi. Może nie trzeba będzie czekać tak długo na ślub... On przecież tak ją kocha...

Jechała do niego spokojna, ufna w jego dobroć.

Oczy jej śmiały się na myśl, jak się Olek ucieszy, gdy zamiast oczekiwanego listu zjawi się ona sama... Taki był smutny gdy odjeżdżała...

Ranek już był, gdy stanęła w Wilnie.

Oddała swoją walizkę do przechowalni na kolei, a sama postanowiła udać się piechotą na miejsce. Szła wolnym krokiem, ciesząc się z niespodzianki, jaką zrobi Olkowi.

Wcześnie jeszcze było, gdy stanęła przed białym domem, otoczonym ogródkiem, pamiętnym dla niej domem Olka.

Zatrzymała się chwilkę na ganku i lekko, nieśmiało zapukała.

Gdy na pierwsze pukanie nikt się nie odzywał, zapukała silniej.

W mieszkaniu rozległ się donośny głos majora:

— Czego tam, u licha? ! —

Głowa Olka ukazała się w oknie pokoju.

— A... pani tu? — spytał zmieszany.

— Tak, panie Olku, to ja... przyjechałam...

— Zaraz, zaraz — odrzucił prawie szorstko i zamknął okno.

Po minucie ukazał się w drzwiach w niedbale narzuconym szlafroku. Stanął na ganku i patrząc na Irenę spytał chłodno:

— Dlaczego pani już przyjechała? Przecież umówiliśmy się, że dopiero w jesieni, a tu dopiero początek wiosny. I właściwie poco?

— Nie mogłam tam być dłużej... mówiła, wstrzymując łzy cisnące się jej do oczu. — Myślałam...

— To źle pani myślała — odparł cierpko. — Bardzo mi przykro, ale muszę pani powiedzieć, że lepiej będzie, gdy pani zapomni o mnie... Zresztą nic pewnego nie obiecywałem pani...

Słuchała tych słów patrząc na niego szeroko otwartemi oczyma. Chciała coś odpowiedzieć — nie mogła. Poczuła gorycz w ustach i przejmujący ból w sercu. Chwyciła się ręką za poręcz ganku by nie upaść.

— Pani zbyt serjo bierze takie rzeczy do serca — mówił dalej spokojnym tonem. — Ot, żartowałem sobie, a pani w żarty uwierzyła...

— Olku!... Olku! — krzyknęła, wyciągając do niego ręce. — To nieprawda, co teraz mówisz... ja w to nie wierzę...

— Tylko proszę mi tu scen nie robić — przerwał cofając się do mieszkania. — A jeżeli jest pani w chwilowej potrzebie, w tej chwili służę...

Wydobył z kieszeni szlafroka portfel i wyjąwszy z niego kilka dwudziestozłotowych banknotów, chciał jej wręczyć pieniądze.

Cofnęła się jak przed strasznem widmem.

— Podły... podły... — rzuciła mu w oczy. — Pożałujesz tego...

Odwróciła się i jak błędna zataczając się, odeszła.

Olek wrócił do mieszkania.

Po raz pierwszy w życiu wydało mu się jakieś puste i straszne. W uszach dźwięczały mu słowa Ireny: Podły, podły...

Spojrzał na wiszący na ścianie portret matki i cofnął się przerażony. Zamiast dobrej, łagodnej twarzy matki ujrzał widmo jakieś wyciągające do niego ręce. Za mglistą zasłoną poznał twarz Ireny. Ale była to twarz blada i martwa. Oczy tylko patrzyły na niego szklistym wzrokiem, pełnym niemego wyrzutu.

Strach go przejął niewymowny.

— Co to? — zawołał głośno, chcąc usłyszeć przynajmniej dźwięk własnego głosu.

W mieszkaniu panowała głucha cisza.

I nagle porwał go żal niezmierny.

Głos jakiś wewnętrzny szeptał mu w ucho: . .

— Idź, idź za nią... idź, póki nie będzie zapóźno!

Szybkiemi, gorączkowemi ruchami ubrał się i wypadł z mieszkania. Zatrzaśnięte drzwi z głuchym łoskotem zamknęły się za nim.

Dobiegł do narożnika.

— Dorożka! Hej, dorożka! — krzyknął, jak szalony i nie czekając, aż dorożkarz podjedzie, wskoczył na stopień i zawołał:

— Pędem na dworzec!

Pojechali.

Za pół godziny stanęli na dworcu.

— Czekać! — rzucił Olek dorożkarzowi i wpadł na dworzec.

W wiekiej hali panował niezwykły o tej porze ruch.

— Samobójczyni! — słychać było głosy publiczności. — Taka młoda...

— Gdzie? Kto? — zapytał policjanta, stojącego przy wejściu na dworzec.

— Jakaś młoda dziewczyna rzuciła się pod pociąg przed chwilą. Właśnie wnieśli ją do służbowego pokoju.

Roztrącając ludzi Olek przedostał się na peron, skąd przemocą wtargnął do pokoju, gdzie służba kolejowa złożyła jakąś postać, przykrytą białem prześcieradłem.

W twarzy majora było coś takiego, że nikt nie ważył się zastąpić mu drogi. Drżącą ręką uniósł zasłony i spojrzał.

Na noszach leżał trup Ireny...

Domyślał się tego. Dlatego tak pędził na kolej.

Zapóźno.

Życie byłby dał teraz, żeby cofnąć to co się stało. Zapóźno.

Pochylił się do ręki zmarłej i złożył na niej pocałunek. Ręka była już zimna.

A gdy odjął drżące wargi od stygnącej ręki dziewczyny, z ust jego wydobył się cichy szept:

Przebacz...

Wracał do domu jak nieprzytomny. Słyszał ciągle głos jakiś:

— Zbrodniarzu, zabiłeś ją...

— Zabiłem — szeptał głucho. — Zabiłem...

* * *

Wieczorne pisma umieściły sensacyjną wiadomość:

"Dziś rano, Irena Sawicka, nauczycielka prywatna, sierota przybyła z Grodna, popełniła samobójstwo. Powodem rozpaczliwego czynu była, jak mówią, zawiedziona miłość. Zwłoki samobójczyni spoczną na cmentarzu dla samobójców za Rosą".

* * *

Dzień Zaduszny. Cały cmentarz tonie w powodzi świateł. Tłumy ludzi uwijają się koło grobów, zdobiąc je wieńcami, kwiatami, ustawiając świeczki i lampki. Smętny, poważny i majestatyczny nastrój. Wielki dzień, w którym żywi wzmacniają węzły, jakie łączyły ich z umarłymi.

Na cmentarzu samobójców cicho i smutno. Nie widać świateł na prostych mogiłach, brak wieńców i kwiatów. Z rzadka tylko zabłyśnie uboga świeczka na mogile samobójcy.

Jeden tylko grób wyróżnia się z pośród innych. Wyróżnia się starannem ogrodzeniem, drzewkami, ocieniającemi mogiłę. Płonie światłem dziesiątek migających płomyków, chwiejących się w powiewie lekkiego, jesiennego wiatru.

U stóp mogiły klęczy młody jeszcze oficer. Twarz jego poważna i blada, oczy wpatrzone w mogiłę. Przedwczesna siwizna srebrem pokryła jego skronie.

Z ust klęczącego wionie cichy, bolesny szept:

— Przebacz, przebacz...

DLA NIEJ

Powoli zima przemija, a wiosna
idzie w muślinach, urocza jak Ona...
Kiedyś, gdy na me spotkanie radosna
biegła przed wrota, aby mnie powitać.

to jam się nawet Stwórcy nie chciał pytać,
której należy piękności korona?
Bo pocóż pytać? Wszak jej piękne skronie
toną w przecudnych splotach — jak w koronie.

I gwiazdy czasem, gdy czarną oponą
chmur nie zakryte, pytająco świecą,
czemu nadziemską piękności koroną
stroję uroczą jej główkę kobiecą?

Ach! Ona sama nie wie, jak mi droga,
że całą duszą wielbię ją — jak Boga.
Czczę ją... I czemu? — spytacie zapewne,
od wiosny samej piękniejszą nazywam

i w poetyczne ją szaty rozwiewne
ubieram jakby w girlandy i zrywam
wiośnie piękności koronę ze skroni
i ją ubieram... Bo któż mi zabroni?

DANTES.

Rozmowa telefoniczna

— Hallo! Czy mogę rozmawiać z panną Krystyną?

— W tej chwili poproszę.

— Dziękuję.

— Dzień dobry, panno Krystyno!

— Dzień dobry!

— To ja. Czy nie przeszkadzam?

— Nie, wcale!

—Pani nawet nie może sobie wyobrazić, jaki jestem szczęśliwy, że słyszę głos pani.

— Pan mi pochlebia.

— Ależ nie, naprawdę. Chodzę ulicami, całuję przestrzeń i myślę tylko o pani, lecz nigdzie nie mogę dostrzec nawet jej cienia. Dlatego... nie mogłem dłużej powstrzymać się i zadzwoniłem, by podziękować pani za ostatnie spotkanie.

— Hm... a gdzie widzieliśmy się ostatnio?

— Muszę powiedzieć?

— Pan wybaczy, ale...

— Spotkaliśmy się w Resursie Obywatelskiej.

— Ach tak; koncert był przepiękny.

— Nie, to był bal. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

— Czy pan nie uważa, że „nigdy“ brzmi zbyt mocno?

— Czy pani sądzi, że można o pani zapomnieć?

— E ,wszyscy tak mówią.

— Jakto „wszyscy“?

— Wszyscy mężczyźni.

— Panno Krystyno, pani mnie bardzo słabo zna, jeśli może pomyśleć, że jestem zdolny zapomnieć o najszczęśliwszym dniu mego życia. Mógłbym powtórzyć każdy drobiazg, każde słóweczko, wypowiedziane przez panią, wszystko do ostatniego pocałunku, podarowanego przed pożegnaniem. Z pierwszego wejrzenia poczułem, że pani nie jest podobna do współczesnych panien, które, że tak powiem, przechodzą z rąk do rąk. Pani mi wróciła wiarę, że jest na świecie kobieta, która może stać się dla mnie wszystkim.

— Co też pan opowiada?

— O, ja muszę powiedzieć jeszcze bardzo, bardzo dużo. Wszystko, co przemyślałem, co przeżyłem przez ten czas. Czy mogę panią zobaczyć?

— Dobrze, tylko..

— Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł spotkać się z panią dzisiaj wieczorem?

— Dzisiaj w żaden sposób nie mogę.

— A więc jutro?

— Jaki jest jutro dzień? Poniedziałek... tak... chwileczkę, tak mogę. Gdzie zobaczymy się?

— Może na Placu Teatralnym?

— Nie, tam za dużo ludzi, lepiej w poczekalni kina „Palace“

— Dobrze. O której?

— Powiedzmy o dziewiątej

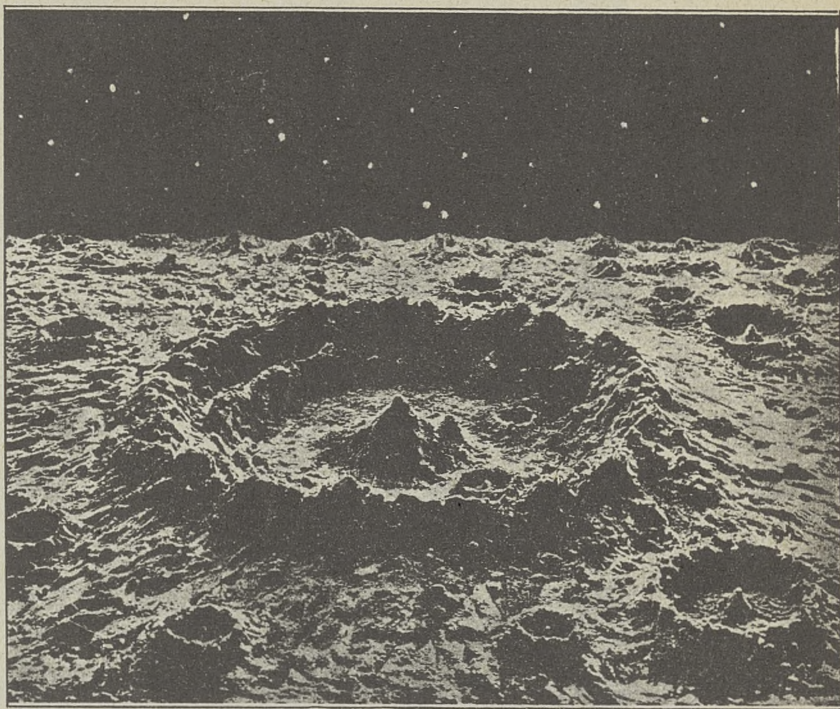
— A więc do zobaczenia panno Krysiu!

— Dowidzenia... tylko, niech pan wybaczy, ale kto mówi?

MARTWY SWIAT

W ROZWOJU planet naszego układu słonecznego najtragiczniejszym okresem jest ten, kiedy planeta coraz bardziej traci swe ciepło i atmosferę i zamienia się w martwą, wystygłą bryłę planetarną. Obserwacje planet mogą nas wiele pouczyć o obecnym stanie ich rozwoju. Mars, naprzykład, posiada jeszcze atmosferę, ale tak bardzo rozrzedzoną, że mieszkaniec Ziemi nie mógłby nią oddychać.

Aczkolwiek ani jedna ze znanych planet nie dosięgła jeszcze końcowej fazy rozwoju, to jednak jedno ciało niebieskie dobiegło już do kresu swego życia kosmicznego. Ciałem tem jest nasz satelita — księżyc. Obecnie jest to już bryła martwa i zimna.

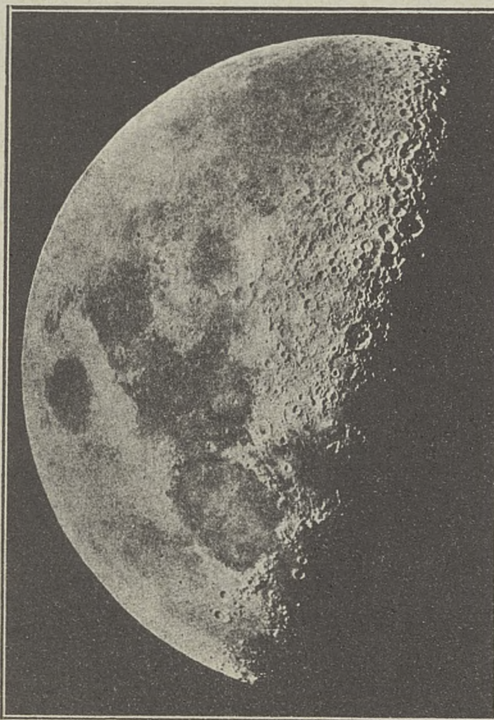


Przypuszczalny widok "cyrku" i mniejszych kraterów na powierzchni księżyca.

Obrazy księżyca, widziane przez potężne teleskopy, mówią nam, jakim kataklizmom musiał podlegać nasz satelita, zanim zastygł w obecnej postaci. Jakieś ogromne kratery i pierścienie, oraz mnóstwo mniejszych lub większych wyniosłości pokrywa księżyc, co sprawia wrażenie, że cała jego powierzchnia jest usiana olbrzymiemi dziurami.

Znajomość powierzchni księżyca wiedza zawdzięcza zupełnemu brakowi powietrza na księżycu. Obrazy księżyca, o ile niebo jest czyste i pogodne, są zawsze jasne i wyraźne. Brak powietrza potwierdzają badania widmowe. O ile jest na nim jakie powietrze, to gęstość jego musi być przeszło 2,000 razy mniejsza od gęstości naszego powietrza przy poziomie morza.

Dzięki brakowi powietrza na księżycu astronomowie mogą swobodnie badać jego powierzchnię. Stwierdzili tedy olbrzymią ilość kraterów, których na półkuli księżyca odwróconej ku ziemi znajduje się kilkadziesiąt tysięcy. Jako typowy przykład krateru może służyć krater Kopernik, składający się z olbrzymiego, okrągłego wału o średnicy przeszło 60 mil; na dnie krateru widać grupę gór. Większe kratery, jak Clavius o średnicy 160 mil lub Grimaldi cokolwiek większy, noszą nazwę cyrków.



Zdjęcie fotograficzne księżyca, dokonane w obserwatorjum Yerkesa, koło Chicago. Widać mnóstwo gór i kraterów.

Najwięcej tych zagadkowych kraterów jest na południowej półkuli księżyca. Wały kraterów zachodzą jedne na drugie, na obwałowaniach cyrków znajdują się drobniejsze kratery, cała powierzchnia przedstawia się jak chaotyczna masa spiętrzonych głazów, dziur, rozpadlin i wyższych lub niższych pagórków.

Wiedza ludzka nie potrafiła dotychczas wyjaśnić przyczyn powstania owych kraterów, istnieje jednak przypuszczenie, że powstały one wskutek działania sił wulkanicznych.

Inna znów hipoteza utrzymuje, że kratery na księżycu powstały wskutek spadnięcia mnó-

stwa ogromnych brył kosmicznych — meteorytów, które, padając z kolosalną s i ł ą, wytworzyły zagłębienia, na podobieństwo kraterów meteorytowych na ziemi (w Arizonie).

Daleko trudniej jest wytłumaczyć pochodzenie olbrzymich cyrków. Tu trzeba przypuszczać, że w okresie powstawania skorupy księżycowej gazy wydymały podatną jeszcze korę i tworzyły jakby wielkie b ą b l e, które potem pękały, a spływająca lawa czy miazga (magma) zastygała w postaci pierścieni. Uczeni zdołali nawet wykonać sztuczne podobizny takich kraterów, przez ogrzewanie mokrego, rozrobionego g i p s u. Na gipsie powstawały małe kraterki, podobne do księżycowych, a prócz tego w czasie stygnięcia gips pękał, tworząc rozpadliny i szczeliny, zupełnie podobne do rozpadlin na powierzchni księżyca.



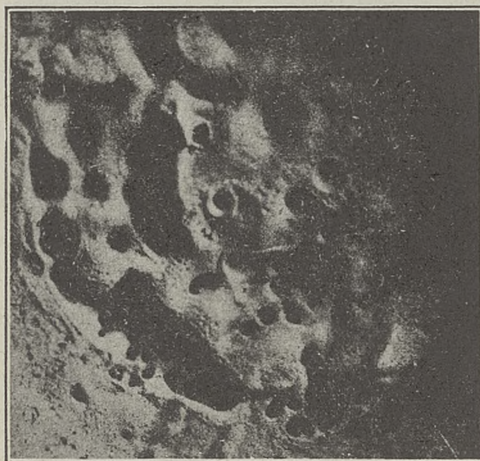
Łańcuch górski na księżycu i olbrzymie kratery. Udjęcie fotograficznem dokonane obserwatorjum astronomicznem na Mount Wilson.

Najwyższy szczyt górski znajduje się na południowym brzegu tarczy księżyca; wysokość jego dochodzi do sześciu mil angielskich. Innemi ciekawemi utworami na księżycu są jego "morza", które w rzeczywistości przedstawiają obszerne równiny lub wielkie wgłębienia w skorupie. Morza te zajmują przeważnie północną część półkuli księżyca. Morza i kratery znajdują się i na odwróconej od ziemi półkuli, co potwierdzają tak zwane "libracje", wskutek których księżyc odsłania nam więcej niż połowę swej kuli.

Na obszernych równinach mórz księżycowych, rozległych na kilkaset tysięcy mil kwadratowych, widoczne są zrzadka mniejsze i większe kratery, pojedyncze zbiorowiska g ó r s k i e, samotnie sterczące piramidy skalne i wzniesienia, ciągnące się setkami mil, co przy niskiem oświetleniu słońcem sprawia wrażenie olbrzymich, zastygłych fal morskich.

Straszny i groźny jest w i d o k tych ponurych równin księżycowych. Ziemskie pustynie, jak Sahara, Gobi czy pustynie Tybetu, wyglądałyby wobec nich jak urodzajne oazy.

Brak powietrza na księżycu nie pozwala na rozchodzenie się głosu. Wschodu słońca nie oznajmia różowy świt. Nagle z p o z a czarnych sylwetek gór ukazują s i ę oślepiające promienie, rozlewające blaski na grzebienie odległych gór i wypierające gęste ciemności. Płonące słońce wolno wznosi się na czarne niebo i zalewa wszystko gorącem i blaskiem. Dzień na księżycu trwa naszych dni czternaście, a gdy dzień ten ma się ku schyłkowi i słońce pocznie dotykać promieniami dalekich szczytów górskich, wszystkie wyniosłości rzucają długie cienie, które wydłużają się i łączą się z sobą. Następuje czternastodniowa księżycowa noc, podczas której straszliwy mróz ściska skorupę "srebrnego globu". W ciągu tej długotrwałej nocy niebo widziane z powierzchni księżyca upiększa nasza ziemia, świecąca jak księżyc, ale czternaście razy większa od niego i jaśniejsza.



Podobizny kraterów księżycowych, wykonane z gipsu.

Mierzenie ciepłoty na księżycu, wykonane w obserwatorjum na Mount Wilson z pomocą specjalnych, bardzo



Północna część księżyca. Wielka równina czyli "morze". U góry krater Kopernik i jasne smugi, które brano za kanały. Zdjęcie wykonane w obserwatorjum, na Mount Wilson.

czułych termo-elementów, wykazało, że podczas nocy temperatura na księżycu opada do 173 stopni z i m n a, podczas dnia zaś podnosi się d o 127 stopni ciepła.

Czy wobec tak nieprzychylnych warunków klimatycznych może na księżycu istnieć jakie ż y c i e ? Wprawdzie biologja uczy, że zarodki są n i e-zmiernie odporne na niską temperaturę i znoszą zimno, nie tracąc zdolności rozmnażania się. Ale czy zarodek jakikolwiek mógłby wytrzymać ciepłotę dnia księżycowego, przekraczającą temperaturę wrzenia wody? Jest to niemożliwość. W obec tego trudno przypuścić, by na księżycu mogło istnieć jakiekolwiek życie, a wszelkie dostrzegane zmiany na księżycu należy przypisywać niszczącej działalności różnicy temperatury dnia i nocy.

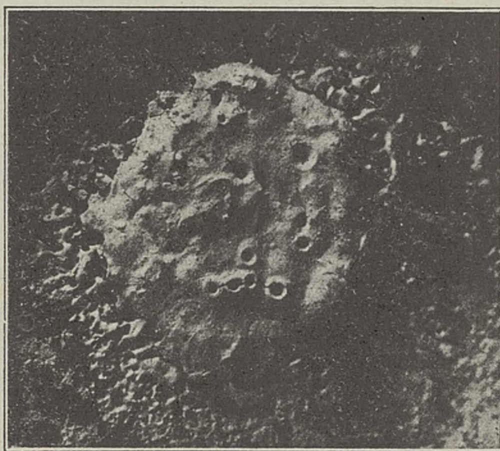
Badania wykazały, że w niektórych okolicach księżyca znajdują się pokłady siarki. Siarka jest łatwo topliwa i w temperaturze 120 stopni Celsjusza zaczyna się zmieniać i topić. Możliwe więc, że w tych okolicach księżyca, gdzie zauważono jakieś zmiany, istnieją pokłady siarki, która pod wpływem ciepła dnia ulega zmianom podobnym do tworzenia się chmur, nadających powierzchni księżyca pozory istnienia życia organicznego.

Trudno objaśnić jasne smugi, rozchodzące się promienisto od niektórych kraterów. Przypuszczano, że to kanały, wybudowane rękami ludzi księżycowych, ale skoro istnienie życia na księżycu jest nieprawdopodobne, przypuszczenie to upadło. Być może, że są to pęknięcia w pokrywie księżyca, wypełnione przez substancję księżycową — magmę.

Wnioskując z księżyca, można robić przypuszczenia jaka przyszłość czeka naszą ziemię, która jak księżyc jest przecież ciałem niebieskiem, planetą.

Wszelkie dane są za tem, że w miarę starzenia się, ziemia będzie tracić coraz bardziej swe ciepło i powietrze, oceany i morza staną się coraz płytsze i w końcu, gdy wyschną zupełnie, planeta zmieni się w martwą bryłę, która będzie krążyć dokoła słońca zimna, opustoszała, jak teraz księżyc.

Wiele pisano o możliwości istnienia roślin i ludzi na księżycu, ale wszelkie te przypuszczenia upadły wskutek wielkich postępów wiedzy astronomicznej, która, posługując się niezmiernie czułemi i udoskonalonemi instrumentami, wykazuje, że księżyc jest martwą bryłą. Kiedy podobny los spotka naszą ziemię, czy potrwa jeszcze tysiące, setki tysięcy czy miljony lat, zanim zamieni się na zimne i martwe cmentarzysko,—wiedza powiedzieć, ani nawet w przybliżeniu określić nie może. Zanim ziębnięcie ziemi zacznie naprawdę dokuczać naszym potomkom w przyszłości niewiadomo jak dalekiej, — środki miejscozmienności będą już zapewne tak udoskonalone, że z łatwością ludność z i e m i przenieść się będzie mogła na jakąś inną, cieplejszą planetę.



Sztuczne kratery księżycowe, wytworzone z mokrej i rozgrzewanej masy gipsowej.

NAGODA

NA MAŁĄ SKALĘ

TRZY cienkie polanka drzewa świeciły się w małym piecyku, starym i popękanym. Pan Wincenty, siedząc w dużem, drewnianem krześle jakiegoś dziwnego, staroświeckiego kształtu, grzał sobie ręce i patrzył z zadumą w słabo błyskający płomień; w izdebce całej panował mrok i chłód przejmujący; chociaż niewielka, wydawała się pusta, a właściciel jej, zgarbiony przed otwartemi drzwiczkami piecyka, robił wrażenie smutne, jak każda starość opuszczona.

Nie czuł się jednak samotnym i rzeczywiście nie był nim w całem bolesnem tego słowa znaczeniu; w tej chwili nawet czuwało nad nim spojrzenie, pełne bezgranicznego przywiązania i uległości, spojrzenie mądre i czujne, dużego, białego pudla, leżącego u nóg jego na małym, wytartym dywaniku.

Ile razy oczy pana Wincentego, znużone długiem wpatrywaniem się w ognisko, odrywały się od niego i w inną zwracały stronę, zawsze napotykały na swej drodze te okrągłe, wilgotne źrenice psa, przyćmione już mgłą starości, ale zawsze dość jeszcze wymowne, ażeby się oznaką przywiązania porozumieć ze starym także panem.

Wąskie, zapadłe usta pana Wincentego roztwierały się wtenczas w uśmiechu, ręka gładziła z upodobaniem szorstkie, pożółkłe kudły poczciwego Fidla, a ten, uradowany pieszczotą, uderzał ogonem o dywanik, wysłużony już bardzo, z którego pył się unosił, gdyż nigdy nie bywał trzepany innem narzędziem, prócz niedołężnego ogona Fidla.

I panu i psu dobrze było w tej ciszy i spokoju szarej godziny; tyle już podobnych wieczorów spędzili tak sam na sam, — wiedzieli, że i te, które nastąpią, będą równie jednostajne i ciche, bez troski o jutro, bez żalu za minionem wczoraj.

Czy pies co myślał? Czem zapełniał sobie te minuty i kwadranse, oznaczane cichem tik-tak starego zegara? Któż zgadnie! Pan Wincenty, zasiadając o szarej godzinie w swoim fotelu, otwierał skarbiec dawnych wspomnień i przetrząsał w nim z nigdy nie słabnącem, raczej wzmagającem się coraz upodobaniem. — Nie żeby w życiu jego minionem miały miejsce jakieś chwile uniesień wielkich, słodkich rozkoszy lub świetnych powodzeń, których obrazem mógłby się jeszcze upajać — ale te dni szare i bezbarwne napozór to były wspomnienia młodości jego własnej; te rzadko porozrzucane jaśniejsze chwile, których błyski komu innemu wydawałyby się może blade i mętne, jak połyski szkiełek czeskich, dla niego miały blask najpiękniejszych drogich kamieni.

A więc najpierw drewniana ławka szkolna, zlana atramentem, a na niej wytarty łokieć najbliższego sąsiada, Janka, który go zawsze uwiadamiał szturchańcem, że liczy na jego pomoc, gdy zostanie wyrwany przez profesora. Potem parę lat chłodu i głodu, niepewności w jaką rzucić się stronę, jaki ster chwycić, żeby przepłynąć przez życie bez burz wielkich i bez rozbicia. Niepokoju dużo, podstawy bytu żadnej, ale zato nadzieje, nie ograniczone jeszcze żadnym murem twardej rzeczywistości.

I oto znowu izba szkolna, ale widziana już z wysokości profesorskiej katedry; kilkadziesiąt par oczu, utkwionych w niego, czasem z bezwiednem, wzbudzonem usilnemi staraniami profesora zajęciem do wykładanego przedmiotu, częściej dla pochwycenia tylko stosownej chwili do wypłatania jakiegoś figla. Gwar, hałas, że w uszach szumi, ale wesoło, a przynajmniej jakoś znośnie. I ot, życie upływa.

Dzień za dniem przynosi te same figle studentów, ten sam zgrzyt kredy po czarnej tablicy i stosy zeszytów, zapisanych dziecinnem, niestarannem pismem, wśród którego nieczytelnych zygzaków znużone oczy profesora śledzą za błędami, trudnemi do wyłapania dlatego właśnie, że ich tak gęsto, jak drzew w lesie.

Pan Wincenty pracował szczerze, póki płuca i oczy starczyły; niestety, nie wystarczyły do całej emerytury, i teraz musiał poprzestawać na bardzo skromnej pensyjce, przyznanej mu "w drodze łaski". Ale był i z tego zadowolony; nie wymagał wiele od życia i wszystko, co mu przynosiło, przyjmował jako darowiznę, której nie mamy prawa kłaść na szali, lub mierzyć stopą naszych potrzeb i życzeń.

— Alboż to mi źle? Powiedzcież czego mi brakuje? — bronił się z niecierpliwością prawie tym, którzy nie znając go dobrze, wyrywali się niezręcznie ze słowem współczucia. — Urządziłem sobie co prawda życie na małą skalę, ale mam spokój, nie cierpię braków, a nawet jest we wszystkiem pewna równowaga i harmonja. O! jest pod każdym względem.

Ludzi widywał bardzo mało; odwiedział tylko niekiedy sąsiadów swoich o ścianę, których krzykliwa dziatwa przypominała mu dawnych uczniów, i parę razy do roku bywał u ciotecznego brata, mieszkającego w tem samem mieście. W ostatnich latach jednak te odwiedziny stawały się coraz rzadsze, bo brat był urzędnikiem kolejowym i mieszkał aż na dworcu, a nogi pana Wincentego nie służyły już do tak dalekich przechadzek.

Niebardzo się też krewni troszczyli o jego wizyty; brat za widzeniem powiedział mu tylko, że, ot, "dziwaczeje na starość" — na co pan Wincenty oburzył się bardzo. Toż dziwactwo — to przecie tyle prawie, co kaprysy, a gdzie jemu do takich wymysłów!

W świecie uczuć pana Wincentego najpierwsze, największe miejsce zajmował Fidel. Humor psa, jego apetyt, jego przywiązanie i rozum, to był temat do częstych bardzo rozmyślań, cel wielu projektów tego człowieka, który nie stracił jeszcze popędów do szukania szczęścia w zadowoleniu drugich, a w tak ciasnych musiał je zamykać granicach.

Niezawsze jednak tak bywało: przez życie pana Wincentego przesunęła się, podobnie jak przez

życie tylu innych ludzi, ładna kobieca twarzyczka, zostawiając mu wspomnienia zrazu bolesne, dziś już tylko pełne uroku, świeżości i woni, jak ten kwiat różany, który niegdyś podała mu drobna rączka dziewczęca, z rumieńcem i łzą pożegnania.

Poszła za innego. Pan Wincenty ani ją przeklinał, ani się jej dziwił; podumał trochę, a uczuwszy nagle jakąś wilgotną mgłę pod powiekami, machnął ręką zniecierpliwiony, mówiąc:

— Niedołęga jestem... Gdzie mnie żona i dzieci! Alboż to dałbym im radę?

Odtąd powtarzał sobie zawsze, a może i z dobrą wiarą, że pocałunek kobiety kochanej, pieszczoty drobnych rączek — to wszystko rozkosze dostępne tylko wybranym, na które jego nie stać było w życiu.

— Mam Fidla, i na co mi rodzina? To nie dla mnie! Ot, żyję sobie pod każdym względem na małą skalę. Ale przynajmniej we wszystkiem jest równowaga moralna i fizyczna.

Ta równowaga, dla której zrzekał się zgóry najgorętszych pragnień, ażeby się nie trawić próżnemi marzeniami, spokój — oto był według niego najpiękniejszy ideał życia; a jednak dzisiaj w siwych źrenicach jego pojawiły się dawno uśpione iskierki, słuch przytępiony wytężał się niespokojnie, a za każdym szmerem u drzwi, na policzki pomarszczone i wyschłe wybijało się coś nakształt rumieńca.

— Co ona powie... Co powie? — szeptał sam do siebie, a serce uderzało mu silniej niepokojem oczekiwania, nadzieją i obawą, jakich dawno już nie zaznał.

Nareszcie klamka ruszyła się; Fidel zerwał się na równe nogi, ale spojrzawszy w stronę drzwi, przybrał znowu dawną, wygodną pozycję, ruszając tylko lekko ogonem na znak aprobaty; do pokoju wbiegła mała dziewczynka i jednym skokiem znalazła się na kolanach pana Wincentego, zarzucając mu pieszczotliwie ręce na szyję.

— Widzisz, dziadziu, przyszłam, choć mama mi nie chciała pozwolić, bo kaszlę; ale obiecałam, że wezmę przez sień chusteczkę i wypiję grzecznie ziółka, jak mnie puści do ciebie.

Zsunęła się nagle z kolan i usiadła na ziemi obok Fidla.

— Proszę się przywitać, to nieładnie drzemać, gdy gość przyjdzie — mówiła, szarpiąc lekko psa za uszy. — Dziadziu, czy Fidel chodził dziś po gazetę?

— A jakże, chodził.

— A nie zmarzł?

— Spytaj się go.

— Albo mi to powie? Słyszysz, Fidel, mów zaraz, czyś nie zmarzł? Kasia powiedziała mamie, że straszny mróz i że mnie nie trzeba puszczać; ale ona pewnie mnie tylko na złość mówiła, za to, żem ją wczoraj ukąsiła w rękę...

— Ukąsiłaś ją? A fe, Maniusiu! Dziadzio nie będzie kochał takiej niegrzecznej dziewczynki. Widzisz, nawet Fidel nie kąsa, choć piesek.

Maniusia, zawstydzona, spuściła główkę; nagle podniosła ją z wyrazem tryumfu.

— Fidel stary! — zawołała, uradowana tak słusznym argumentem. — Wszyscy starzy są zawsze grzeczni.

Potem, zmieniając tak niemiły przedmiot rozmowy, dodała skwapliwie:

— Czy Fidel będzie dziś pokazywał sztuki?

— Sprobuj; może zechce, jak go ładnie poprosisz.

W chwilę potem pies i dziewczyna bawili się razem jakimś kłębkiem papieru, oboje widocznie z tej gry zadowoleni.

Pan Wincenty patrzył na nich i uśmiechał się. Ta chwila w dniu była największą ozdobą jego życia — srebrny śmiech dziecka sąsiadów, obijający się o te puste ściany, dawał mu złudzenie rodzinnego ogniska, a czarne, głębokie oczy dziewczynki dziwnie podobne zdawały mu się w mroku do oczu innych, których spojrzenia szukał niegdyś z takiem pokornem przywiązaniem, z jakiem dziś Fidel wlepiał w niego swoje źrenice.

Nagle Maniusia, znudzona już zabawą, zbliżyła się do niego i oparła mu lekko rączkę na ramieniu.

— Masz co dla mnie, dziadziu? — szepnęła nieśmiało, ale z przymileniem, mającem wynagrodzić niedyskretność tego pytania.

Pan Wincenty zrobił ruch, wyrażający zakłopotanie.

— Otóż macie! Zapomniałem dzisiaj, zapomniałem na śmierć!

— No, to... nic nie szkodzi, dasz mi jutro... Doprawdy, że nic nie szkodzi...

Żywy rumieniec i lekkie drżenie małych usteczek świadczyły, że tak wspaniałomyślnie okazywana obojętność kosztowała ją wiele.

Pan Wincenty pospiesznie sięgnął do kieszeni i wydobył z niej mały, różowo lukrowany piernik.

— Nie, nie! Masz, kochanko. Dziadzio, choć stary, ale ma jeszcze dobrą pamięć: nigdy nie zapomni o Maniusi.

— Ani o Fidlu także — dodała poważnie dziewczynka, wkładając do ust połowę piernika i patrząc na psa, który powracał na swe stanowisko u nóg pana.

— Ani o Fidlu, ma się rozumieć; on już dostał swój podwieczorek, już nie będzie miał nic do jutra rana: tak samo, jak dziadzio.

— A nie będzie głodny? — i dziewczynka, odjąwszy od ust resztę piernika, patrzyła na nią z wahaniem, jakby niepewna co ma uczynić.

— Nie, nie, bądź spokojna; on nigdy na noc nic nie je; to dla piesków niezdrowo.

— Dobranoc, dziadziu! — Mówiąc to, Maniusia pocałowała pospiesznie pana Wincentego i pobiegła ku drzwiom z lekkiem sercem, czując, że dopełniła już tu wszystkich swoich codziennych obowiązków, ale oczy pana Wincentego śledziły ją z jakimś dziwnym niepokojem.

— Maniusiu! — zawołał nagle, gdy kładła rękę na klamce. — Maniusiu, a co, podobała ci się?

Głos jego drżał trochę, a spojrzenie zawisło na ustach dziewczynki, jak gdyby z nich miał wypaść dla niego roztrzygający jakiś wyrok.

— Co mi się miało podobać, dziadziu?

— A ta książeczka?

— Ej... — Maniusia skrzywiła się z lekceważeniem — to jakieś takie, ni to prawda ni bajka. Mamusia daje mi ładniejsze książeczki.

Drzwi skrzypnęły, lekkie kroki dziewczynki ucichły w sieni; pan Wincenty, z oczyma utkwionemi w dogasające węgle, siedział nieporuszony, nie zważając, że Maniusia zostawiła drzwi niedomknięte i mroźne powietrze wciskało się z sieni przez szeroką szparę.

Płomień ogniska zdawał się panu Wincentemu mniej jasnym w tej chwili, izdebka więcej pustą i smutną. Drobnostka to była, ten wyrok, usłyszany z ust dziecka o



Królowa Uzdrowisk Polskich Krynica.

książce, napisanej niegdyś, za lat młodych, w epoce pierwszej energji i zapału do pedagogicznej pracy. Ale to jedno obojętne słówko odnowiło w nim całą gorycz zawodu, doznanego wówczas, kiedy spodziewał się, że ta praca da mu trochę uznania i trochę uczciwie zapracowanych pieniędzy. Tak niewiele żądał, a dziś już i od tego odstąpił; jedno tylko pochlebne słówko z ust dziecka byłoby go wynagrodziło za wszystko — byłby w niem znalazł swoją odrobinę sławy — na małą skalę wprawdzie, ale byłaby mu ona wystarczyła zupełnie. Od tylu już miesięcy czyhał na sposobność oddania znowu swej pracy w ręce małoletniego sędziego! Czynił to z taką nieśmiałością, a jednak z taką nadzieją.

Fidel patrzał na zachmurzoną twarz swego pana, a jego różowy języczek z nieśmiałością lizał opuszczoną bezwładnie rękę. Pod wrażeniem tej wilgotnej pieszczoty pan Wincenty ocknął się nagle i szepnął:

— Poczciwy Fidel, poczciwy; żebyś ty umiał czytać, ty jeden pewnie byś mnie pochwalił!

. . . .

Mroźny wicher podnosił z ziemi tumany śniegu i, jak tysiącem ostrych szpilek, zasypywał niemi oczy i twarze rzadkich jeszcze w tej rannej porze przechodniów. Urzędnicy, spieszący do biura, podnosili kołnierze paltotów na uszy i kryli zziębnięte ręce w kieszeniach; kucharki, z koszami idące na kupno, nie zatrzymywały się dziś do zwykłej pogadanki ze znajomymi; nawet przy dużej, ocembrowanej studni, brak było dzisiaj codziennego kółka nosiwodów, pokojówek i żołnierzy, szukających rozrywki, którym konewka służyła za wygodny pretekst do schadzki i wymówkę przed wyższą władzą.

Pan Wincenty wyglądał przez okno, zacierając skostniałe palce.

— Uu, ludziska coś bardzo pomykają. Fidel zmarznie dzisiaj — mruknął sam do siebie i wziął się do grzania mleka na spirytusowej maszynce...

Fidel, wbrew swemu zwyczajowi asystowania panu przy tak ważnej czynności, leżał jeszcze wyciągnięty na swym dywaniku i zdawał się kończyć drzemkę.

— Fidel! Widzicie go, jak się to rozespał stary! Fidel, śniadanie już gotowe!

Pies otworzył oczy i wlepił je w swego pana, lecz nie okazywał najmniejszej ochoty ruszenia się z miejsca. Pan Wincenty wziął ze stołu mały koszyczek i, otworzywszy drzwi do sieni, wskazywał je ręką.

— A no, Fidel, ruszajże się prędzej, mleko kipi!

Na to wezwanie pies podniósł się posłusznie i ujął w zęby koszyczek, ale bez wielkiej skwapliwości. Zwykle na słowa: "mleko kipi!" wybiegał pędem z pokoju, dziś podnosił na pana spojrzenie jakby proszące i pełne wahania. Wreszcie wysunął się do sieni, ze łbem smutnie zwieszonym.

— Filut! Przeczuwa, że tam zimno, i dlatego się ociąga. O, postarzał już ten poczciwiec, wygódek mu się zachciewa! — mruknął pan Wincenty i stanął w oknie, żeby zobaczyć, jak Fidel biegnie w stronę sklepiku z bułkami.

Odtąd uwaga jego i przytomność umysłu były narażone na ciężką próbę: drżał z obawy, żeby mleko, grzejące się na silnym ogniu spirytusowym, nie wykipiało, gdyż i tak porcja Fidla i jego własna były bardzo skromne, a jednak trudno mu było odstąpić od okna i wyrzec się widowiska, które, choć podziwiane codziennie, zawsze go równo cieszyło i bawiło. Ale bo też Fidel był taki paradny z tym koszyczkiem w zębach! Wszyscy prawie oglądali się za nim, nawet inne psy zdawały się patrzeć na niego z szacunkiem i nigdy nie zastępowały mu drogi. A jak się spieszył, gdy, podniósłszy oczy, zobaczył w oknie postać swego pana! Jak radośnie machał ogonem na znak, że niesie mu podstawę bardzo mile przez obu witanego posiłku.

Ale dziś widocznie Fidel był w złem usposobieniu; czy go zdemoralizowały pieszczoty pana i, pewien pobłażliwości, bawił się gdzieś po drodze, czy inna jaka przyczyna, dość, że mleko zagotowało się już na maszynce, spirytus wypalił się do kropli, a psa ani widać.

— A to szelma! — mruczał pod nosem pan Wincenty, trzaskając niecierpliwie w palce i spoglądając z żalem na stygnące śniadanie. — Co jemu się stało, u licha?

Daremnie natężał wzrok i przecierał rękawem zamglone szkło szyby — stare oczy wprawdzie co chwila łudziły go, biorąc zdaleka każdego obcego psa za upragnionego Fidla, ale za każdym razem spotykał go tylko zawód, coraz przykrzejszy do zniesienia.

Nareszcie niecierpliwość pana Wincentego zaczęła zamieniać się w niepokój.

—Jemu bo naprawdę coś się stać musiało! — zawołał, i chwyciwszy palto i czapkę, z żywością dawno mu już nie znaną zeszedł na dół.

Wysokie zaspy śniegu leżały przed kamienicą, bo w tej odludnej uliczce nikt nie myślał o ułatwieniu nielicznym jej mieszkańcom komunikacji z gwarniejszym, bardziej cywilizowanym światem; wicher podnosił z ziemi białe tumany, zamieniając przechodniów w śniegowe figury. Panu Wincentemu wydało się w pierwszej chwili, że nie zdoła utrzymać się na nogach; oparł się o ścianę i próbował założyć na piersiach klapy staromodnego, szeroko roztwierającego się płaszcza. Niewiele to jednak pomogło; mroźny wicher przejmował go do kości, a przytem oczy co chwilę zapływały mu łzami, tak, że mniej jeszcze mógł widzieć, niż ze swego okna na górze.

— Niema co robić, trzeba iść go szukać — wymówił wreszcie i z trudnością, co krok o mur się opierając, posunął w dół uliczki do sklepiku bułczarki.

— Co pan sobie życzy? — zapytała uprzejmie okazała, rumiana jejmość, królująca na podwyższeniu za stosem równie okazałych i rumianych jak jej twarz bułeczek.

— Moja pani, przychodzę się spytać, czy nie było tu dziś psa?

— Pańskiego pudla? A jakże, był biedak, ale taki jakiś marudny, jak nigdy. Myślałam, że to z głodu, i dałam mu kawałek świeżutkiego rogalka, jak pana szanuję, z tych maślanych, bo przecie szkoda stworzenia, żeby się marnowało, ale co, powąchał tylko i ani się patrzeć nie chciał. Widać słaby.

Na twarzy pana Wincentego przebijał się niepokój coraz to wyraźniejszy.

— Słaby? Skąd pani wie? Wyglądał jak zawsze, przecież ja byłbym poznał.

— A co takie nieme stworzenie, jak jego poznać, kiedy ono się nie poskarży? Ot, szkoda psa, bo to miał rozum lepszy, niż niejeden człowiek, a poczciwość to mu już z tych oczu patrzała.

Rozmowna sklepiczarka byłaby się jeszcze długo rozwodziła nad przymiotami swego czworonożnego klienta, ale pan Wincenty nie mógł słuchać tych pochwał, które brzmiały jak mowa pogrzebowa dla jego jedynego przyjaciela. Skinął więc głową i jak błędny wysunął się na ulicę.

Teraz i on przypomniał sobie dziwną ociężałość i błagalne spojrzenie Fidla przed otwartemi drzwiami. Biedactwo! Może się tak wypraszał od spełnienia obowiązku, który już był nad jego siły. A on nie zrozumiał go, nie wysłuchał prośby swego wiernego, poczciwego towarzysza — wysłał go chorego na zimno takie, po śniadanie dla siebie. Och, jakże chętnie byłby pościł dzień cały, żeby się ukarać za tę nieuwagę! Ale jakim sposobem mógł się tak zabałamucić, on, co dotychczas taką troskliwością otaczał swojego Fidla!

— Ha, postarzałem się — westchnął smutno.—Widać nie należało mi mieć już i tego przyjaciela, kiedy dbać o niego nie potrafię.

Nie mógł się jednak odważyć powracać do domu bez lepszych wiadomości o Fidlu. Poszedł do sklepu, gdzie pies codziennie biegał po gazety, ale tam nie widziano go dziś wcale. Gdzie miał się udać? Co się z nim stać mogło?

Nagle przyszła panu Wincentemu nowa myśl do głowy: podobno psy nieraz odwiedzają z własnego popędu miejsca, w które kiedyś towarzyszyły swemu panu, więc może i Fidel pobiegł na dworzec do braterstwa, których dzieci zawsze obsypywały go przysmakami.

Wicher huczał coraz zacieklej, na rogach ulic ludzie chwytali się murów, żeby się nie dać przewrócić. Pan Wincenty patrzał na to i nie wiedział, co ma uczynić. Droga do dworca była daleka. Ale jeżeli tam jest Fidel? Czyż nie warto było zziębnąć, zmęczyć się, ażeby prędzej odszukać biedaka?

Pan Wincenty przyspieszał kroku jak mógł; wspomnienie smutnego, błagalnego spojrzenia Fidla prześladowało go i pędziło naprzód; niezrozumiał go wtenczas, ale chciał się sam przed sobą uniewinnić, ponosząc dla niego najcięższą ofiarę, na jaką mógł się zdobyć. Ach, żeby tylko ten wiatr nie był taki przejmujący!

Państwo Feliksowie przyjęli brata ze zdziwieniem, którego nawet nie próbowali taić: taki rzadki gość, przybywający właśnie w tak okropną porę... Co go mogło sprowadzać? Byle nie potrzeba jakiego zasiłku pieniężnego, bo w tym wytartym paltocie pan Wincenty wyglądał, jakby rzeczywiście bardzo dotkliwie potrzebował, a państwo Feliksowie nie lubili ani dawać, ani odmawiać.

— Cóż to, pan brat pogniewał się na nas, że już może od roku ani nawet nie zajrzał? — zaczęła szybko bratowa, nie pragnąc wcale ułatwić mu wypowiedzenia prośby, którą, zdawało się jej, że już czyta w jego niespokojnem spojrzeniu i nerwowo drżących ustach.

— Fiedel jest tu? — zapytał pan Wincenty głosem urywanym od zmęczenia.

— Nie, skądżeby był? Poczciwe psisko już pewnie drogi zapomniało do nas.

— Niema go! — jęknął pan Wincenty i wybladłe jego oczy zaszkliły się pod mrugającemi szybko powiekami.

— A no niema. Cóż to, zginął? Jakim sposobem?

— Nie, nie zginął, gdzież tam; ot, tak, zabawił się dziś dłużej na mieście... Myślałem, że może tu zabiegł; ale pewnie musi już być w domu i rozminąłem się z nim w drodze — upewniał pan Wincenty drżącym głosem więcej siebie może, niż swoich obojętnych słuchaczy.

— A pewnie — potwierdził pan Feliks — pies zawsze wróci do domu, chybaby padł martwy na drodze; inaczej dowlecze się, póki w nim dech nie zamrze. Cóż to, zabierasz się już z powrotem! Nie spoczniesz choć chwilkę?

— A możeby brat co przekąsił? Może choć kawy dla rozgrzania?

— Nie, nie, nie zmęczyłem się; zresztą to najgorzej się tak rozsiadać, potem już nie chciałoby mi się wcale wyjść.

Ta ewentualność nie uśmiechnęła się państwu Feliksom, to też nie zatrzymywali dłużej gościa; pan Wincenty wyszedł na ulicę, z sercem boleśnie ściśniętem, cały drżący ze znużenia, zimna i najgorszego z nich — niepokoju.

Przed oczyma jego przesuwał się obraz Fidla chorego, wycieńczonego, ostatkiem sił starającego się jeszcze dowlec do drzwi, poza któremi czekała go ostatnia pieszczota pana. To znowu zdawało mu się, że to wszystko było tylko wymysłem jego wyobraźni: sam był pewnie chory i stąd ten nerwowy niepokój. Fidel leży tam już może na swoim dywaniku, z oczyma utkwionemi w klamkę, czekając, rychło się ona poruszy. Przecież niepodobnem było, żeby miał stracić tego jedynego towarzysza. Co by robił bez niego? Jak by sobie dał radę?

Im bliżej był domu, tem gwałtowniej uderzało serce pana Wincentego; nie czuł już zimna, przeciwnie, na zżółkłych policzkach miał dwie czerwone plamy i tylko od chwili do chwili dreszcz go przechodził; nogi ociężały mu, jakby ciągnął uwiązane u nich żelaza. Czy też potrafi jeszcze wydźwignąć się na schody? W głowie mu się kręci, widzi tylko światło, przekradające się przez szparę drzwi, które zostawił niedomknięte. Co też za temi drzwiami zastanie?

Izdebka pana Wincentego nie była pusta — wchodząc do niej, potknął się prawie na progu o leżącego Fidla; okrągłe jego oczy patrzyły istotnie na klamkę, z tym samym bolesnym wyrazem, z jakim rano wybierał się na swoją zwykłą wędrówkę; obok leżał przewrócony koszyczek z bułkami.

— Fidel! — wykrzyknął radośnie pan Wincenty, pochylając się do ulubieńca. — Fidel! — powtórzył zmienionym głosem, gdy ręka jego dotknęła białych kędziorów, okrywających tę głowę, która tak często tuliła się do niego, szukając jego pieszczoty; dziś głowa ta nie poruszyła się, a wilgotny od śniegu włos przejmował dziwnym chłodem, jakby nietylko od mrozu zapożyczonym.

Pan Wincenty klęczał nad ostatnim przyjacielem swej starości i żal nieopisany ogarnął go. W świecie jego uczuć i myśli zrobiło się naraz tak pusto... O kimże teraz będzie pamiętał, z kim podzieli samotny posiłek? Do kogo się przygarnie, gdy zapotrzebuje kochającego serca? To poczciwe, przywiązane psie serce starczyło mu za wszystko, a teraz?...

Zakrył twarz rękami i rozpłakał się jak dziecko.

Dnia tego wieczorem Maniusia wpadła do pokoju matki blada i drżąca z przerażenia.

— Mamusiu, chodź prędko do dziadzia, bo tam się coś stało; dziadzio leży na łóżku taki czer-

wony i ciągle coś gada, ale nie do mnie, tylko sam do siebie, a Fidel znowu leży przede drzwiami i nic nie mówi.

Poczciwa pani Karolowa zaniepokoiła się o swego starego sąsiada, i porzuciwszy pończochy, których cerowaniem była zajęta, co tchu pobiegła do niego. Dziecko, trochę przestraszone, ale więcej jeszcze ciekawe, postępowało za nią w pewnej odległości.

Pan Wincenty leżał rzeczywiście na łóżku, nie rozebrany jeszcze z palta; w tej chwili był trochę spokojniejszy, przymknął oczy, a z ust wydobywały się nie słowa już, ale ciche jęki.

Pani Karolowa podsunęła mu pod głowę poduszkę, okryła go kocem i chwilę stała nad nim niepewna, co jej uczynić wypada.

— Ha, niema co, tylko trza iść po doktora; ani chybi, jakieś zapalenie, to ja nie poradzę — szepnęła wreszcie.

Zwróciła się ku drzwiom. W mroku ujrzała Maniusię, z głową psa opartą na kolanach. Dziewczynka bardzo poważnie zajęta była okręcaniem mu koło szyi białej chustki.

— Dziecko, cóż ty robisz?

— Kompres mu kładę. Ciocia Hela powiedziała, że na zaziębienie najlepsze są kompresy, a on pewnie się zaziębił, bo cały taki zimny.

Pani Karolowa pochyliła się do Fidla i dotknęła go lekko ręką.

— Pfe! Wszakże ten pies już nie żyje; rzućże go jaknajprędzej! — zawołała zgorszona. — Trzeba będzie kazać zaraz go stąd wynieść, a ty, Maniusiu, idź sobie w tej chwili umyj ręce.

Dziewczynka patrzyła z żalem na psa i miała widoczną ochotę pozostać przy nim.

— Niech go choć zawinę w dywanik — szepnęła błagalnie. — Dziadzia się będzie bardzo martwił, jak się dowie, że Fidel był taki słaby i nikt go nawet spać nie położył.

— Ależ, dziecko, on nic nie czuje; mówię ci przecież, że już zdechł.

Dziewczynka przecząco wstrząsnęła główką:

— On i tak czuje — odparła; — przecież nieraz, nawet choć spał, głaskałam go i ledwie się trochę obudził, już ogonem machał.

Pani Karolowa wzięła dziecko za rękę i pociągnęła je za sobą. W dwie godziny potem stała znowu przy łóżku pana Wincentego z jakimś obcym, niemłodym mężczyzną.

— To pan konsyljarz powiada, że niema po co już się tu fatygować?

— A niezawodnie, niezawodnie, moja pani. Zapalenie płuc w takim wieku, i to jeszcze takie gwałtowne. Obydwa szczyty są mocno zaatakowane, a lewe płuco bardzo nadwerężone... Stary musiał już dawno kaszlać?

— A kto go wie? Może i kaszlał.

— To pani nie uważała?

— Ja? A skądże bym ja tam mogła uważać? Czy to ja go tak widywałam! Tyle, co czasem na schodach do mnie zagadał. Pies jego chyba mógłby coś o nim powiedzieć, ale i to nieme stworzenie akurat dzisiaj zdechło. A poczciwe było człowieczysko, ten Wincenty. Maniusię naszą kochał jak rodzoną córkę; ale też teraz cały kłopot z doglądaniem i z pogrzebem to taki na nasze ręce padnie, a tu jak raz mąż ma całodzienną służbę i ja sama w domu... Nie wiem, jak się rozerwać.

Pan Wincenty rzucał się w malignie i nie słyszał słów pani Karolowej. Gdyby je mógł rozumieć, byłby jej za nie z pewnością wdzięczny — były to przecież słowa współczucia, tylko... na małą skalę.

MARJA KONOPNICKA.

CO MI NADA, CO POMOŻE...

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól...

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

W marmurowych chodzisz grodach,
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką
Hen, przez łężny szlak...

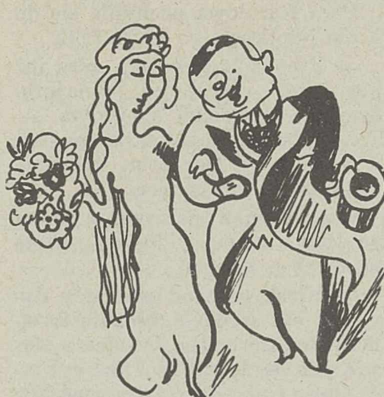
Obejdź lądy, opłyń wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul...

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych skrzydeł w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać naprzemiany
Co tam, gdzie i jak...

TRAGIKOMEDJA MAŁŻEŃSKA



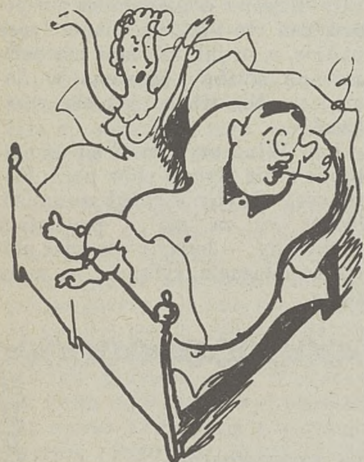
1.
Ot, nieszczęście ludzi goni:
Do cna zgłupiał pan Antoni



2.
i w małżeńską wprzągł się parę
do ślubu wiodąc Barbarę.



3.
Lecz po ślubie — wielkie nieba!
na sukienki dawać trzeba!



4.
Żona robi awantury
pan Antoni zły, ponury,



5.
nie pracuje, tylko pije,
żona w domu robi chryje...



6.
Ona wściekła — on pijany,
w złości tłuką głową w ściany!



7.
Adwokata wynajęli
i czemprędzej rozwód wzięli.



8.
Basia w pismach ogłosiła:
"Szukam męża". Zgłoszeń siła!



9.
Smukły — randka.
Twarz Basienki aż się płoni...
I któż przyszedł?... Pan Antoni!

HERBATA



Zbiórka liści z pól herbacianych.



Od niepamiętnych czasów herbata jest powszechnie znanym i jednym z najbardziej międzynarodowych napojów. Stała się nieodzownym artykułem stołu bogaczy jak i ubogich, na Dalekim Wschodzie stanowi niemal napój rytualny, a po całym świecie jest artykułem pierwszej potrzeby dal szerokich mas ludności.

Wprowadzenie herbaty do Europy zawdzięczamy Holendrom. Wkrótce po jej wprowadzeniu, zyskała ogromną popularność jako napój, czego dowodem były i są olbrzymie transporty, wwożone do wszystkich krajów europejskich.

Dawniej, w początkach używania herbaty, rozróżniano dwa gatunki główne: Thea i Camellia. Obecnie klasyfikacja ta poszła w zapomnienie i głównym gatunkiem dostarczającym herbaty jest krzew Thea Chinensis (Herbata chińska).

Krzak herbaty jest prosty, silnie rozgałęziony, sięgający wysokości od 4-ech do 25-iu stóp wysokości. W dzikim stanie krzaki herbaty wyrastają nawet znacznie wyżej, do 40 stóp wysokości. Hodowcy herbaty jednak nie dopuszczają, żeby krzewy były wyższe ponad 10 stóp, a to dla ułatwienia zbiórki.

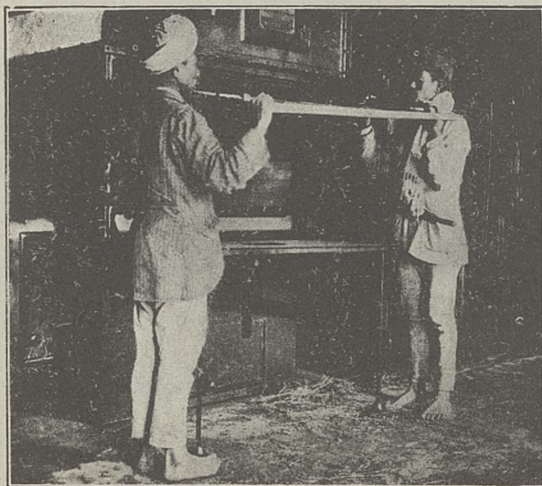
Krzew herbaty posiada liście krótko - ogonkowe, kształtu jajowatego lub wydłużonego. U niektórych gatunków spód liścia jest lekko meszkowaty. Kwiat herbaty jest barwy białej, wielkości kwiatu jabłoni, zwieszony, pachnący. Występuje przeważnie pojedynczo, rządziej podwójnie lub potrójnie. Nasiona krzewu herbaty są koloru brunatnego, błyszczące, wielkości pestki wiśni.

Hodowcy odróżniają kilka odmian krzewu herbacianego, w praktyce jednak odróżnia się tylko dwa gatunki, choćby dlatego, że młode listki herbaciane, nawet świeżo zebrane, są trudne do ścisłego rozpoznawania.

Właściwie więc istnieje herbata chińska, o liściach lancetowatych, długości nie przekrającej 4 cale, i herbata assamska, o liściach owalnych, dochodzących długością aż 9 do 10 cali. Herbata assamska jest hodowana w Indjach, na wyspie Cejlon, w Japonji i Natalu. Herbata chińska, jak sama nazwa wskazuje, przeważnie w **Chinach.**

Zbiórce podlegają tylko pączki listne i cztery pierwsze listki rozwinięte, przyczem najlepsze gatunki herbaty składają się wyłącznie z pączków, średnie z listków od pierwszego do trzeciego, pośledniejsze zaś z liści od drugiego do czwartego. W handlu pączki herbaciane noszą nazwę herbaty "pecco".

Do uprawy herbaty nie potrzeba ani nadzwyczajnie dobrego gatunku ziemi, ani wyjątkowo łagodnego klimatu. Próby, dokonywane w wielu miejscowościach Europy dały stosunkowo niezłe wyniki, szczególnie w pobliżu jeziora Lago Maggiore w Szwajcarji.



Wsuwanie liści herbacianych do suszarni.

Nasiona herbaty sieje się w inspektach. Młode roślinki przesadza się do ziemi w plantacji, gdzie sadzi się je w rzędy.

Główne plantacje herbaty znajdują się w Chinach i Japonji, następnie na Jawie, w pewnych częściach Indyj i na Cejlonie, który stał się jednym z ważnych ośrodków handlu herbatą, dzięki umie-

jętnym zabiegom Anglików.

Inne kraje, jak Brazylja i Ameryka Północna mają drugorzędne znaczenie na rynku wszechświatowym i ilości herbaty dostarczane przez nie są niewielkie.

Krzew herbaty wydaje pierwszy zbiór liści dopiero w trzecim roku, a największa jego wydajność przypada na dziewiąty rok życia. W Chinach zbiór herbaty odbywa się cztery lub pięć razy na rok, począwszy od marca, a kończąc na sierpniu.

Do pracy tej używane są przeważnie dziewczęta, które przez cały okres zbiorów muszą zachowywać nadzwyczajną czystość ciała i wystrzegać się nawet pewnych pokarmów o silnej woni. Wydajność jednej robotnicy wynosi dziennie od 18 do 20 funtów liści.

W wielu plantacjach herbaty pola są pokrywane specjalnemi dachami, dla ochrony krzewów od rosy.

W Indjach i na Cejlonie sposoby zbierania liści herbacianych są inne. Tam bowiem zbiór odbywa się stale co kilka lub kilkanaście dni, przyczem obrywa się tylko pączki z dwoma najmłodszemi listkami i najwyżej połową trzeciego liścia.

Zależnie od dalszego postępowania po zbiorze otrzymuje się dwa zasadnicze gatunki herbaty: zieloną i czarną.

Dla otrzymania herbaty zielonej, liście zaraz po zerwaniu podlegają suszeniu na wolnym ogniu w silnie rozgrzanych panwiach, a następnie, po wysuszeniu i zdjęciu z ognia, zwija je się rękami. Najlepsze gatunki bywają poddawane działaniu pary wodnej. Ostateczną czynnością w wytwarzaniu herbaty jest nadawanie jej odpowiedniego aromatu, co osiąga się przez zamykanie liści na pewien czas w naczyniach, zawierających mocno pachnące gatunki ziół.

Inny jest sposób otrzymywania czarnej herbaty.

Zebrane liście pozostawia się na dwa do trzech dni, aby zwiędły, przetrząsając je należycie. Następuje wtedy lekka fermentacja, poczem liście, upakowane w odpowiedni sposób, zostają silnie ugniatane, co sprzyja wyciśnięciu z nich gorzkich soków. Po fermentacji liści podlegają suszeniu w płytkich panwiach na ogniu z węgla drzewnego, a następnie zostają ręcznie zwijane.

Proces ogrzewania po poprzedniem oziębieniu powtarza się kilkakrotnie, aż do chwili, gdy herbata nabierze właściwego koloru.

Pośledniejsze gatunki otrzymuje się znacznie prościej i łatwiej. W tych wypadkach suszenie odbywa się na słońcu, a zwijanie — za pomocą kamieni lub specjalnych maszyn.

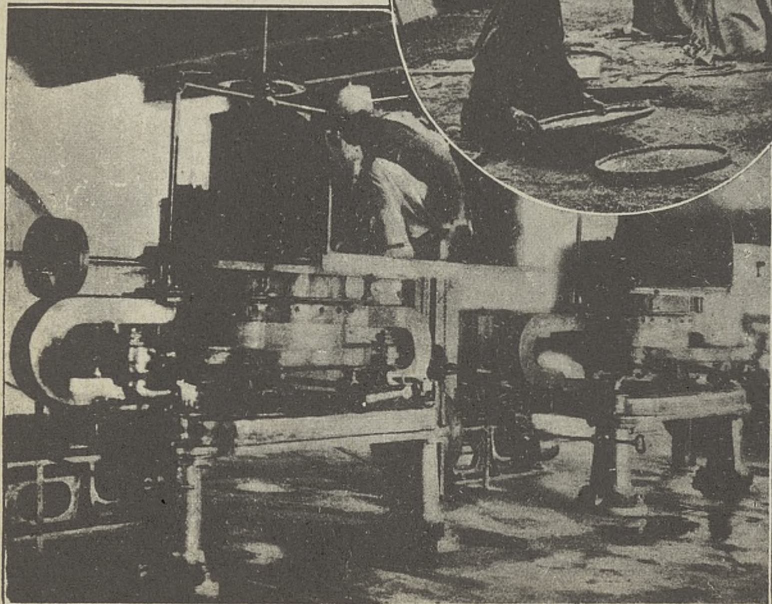
Najprzedniejszy gatunek herbaty "Pecco" wcale nie jest zwijany.

Najpośledniejszy gatunek herbaty, herbata cegiełkowa wyrabia się z liści pewnej odmiany krzewu herbacianego, rosnącego dziko, lub z odpadków przy wyrobie lepszych gatunków, ugniecionych w zwartą masę z klejem zwierzęcym i krwią. Herbaty takiej używają najuboższe warstwy ludu. W Tybecie używają herbaty cegiełkowej za jarzynę, w Mongolji zaś jako monety obie-



Wytwórnia herbaty w Indjach. Robotnicy krajowcy wykonują wszystkie czynności pod dozorem Anglików.





gowej.

Herbaty cejlońskie i indyjskie posiadają silniejszy smak, niż gatunki chińskie, ale są mniej od nich aromatyczne.

W skład chemiczny herbaty wchodzi kofeina (teina) w ilości 1 do 5 procent. Dobroć i aromat herbaty zależy od olejku eterycznego, znajdującego się w liściach herbacianych w ilości 0.5 do 1 procent. Smak herbaty zależy od garbnika w niej zawartego. Działanie herbaty na ustrój nerwowy człowieka pochodzi od teiny, której zawartość waha się w herbacie, zależnie od pochodzenia i wieku liści herbacianych. Młode liście zawsze zawierają więcej teiny niż starsze.

W celu zachowania aromatu i należytych własności herbaty transportowanie jej jest otoczone całym szeregiem ostrożności. Do przewozu herbaty używa się skrzyń, wybitych blachą ołowianą, a poszczególne paczki herbaty są zwykle owijane ołowianym papierem lub opakowane w blachę.



Pakowanie herbaty w wielkiej plantacji.

Krajem wywożącym największe ilości herbaty na cały świat są Chiny. W ostatnich latach wywóz herbaty z Chin przewyższał 100,000 ton rocznie. Pozostałe kraje, wytwarzające herbatę, to znaczy Japonja, Ceylon i Indje, wszystkie razem wywożą drugie tyle.

Ze spożywców herbaty na pierwszem miejscu stoi Australja, gdzie rocznie na jednego mieszkańca spożycie wynosi przeszło siedem funtów. Na drugiem miejscu znajduje się Anglja, spożywająca po pięć funtów herbaty na głowę, potem Stany Zjednoczone, gdzie na głowę wypada po niespełna półtora funta herbaty. W Polsce na mieszkańca wypada po trzy ćwierci funta rocznie. Wielkim spożywcą herbaty jest i była Rosja, ale dla braku wykazów statystycznych, nie wiadomo ile teraz tam herbaty wypada na każdego mieszkańca.



Damy japońskie pijące herbatę w specjalnym pokoju do herbaty.

Co do sposobów przyrządzania herbaty, tych niema ściśle określonych. W pierwszej epoce herbaty, to jest w epoce gotowania (herbata ma swoje trzy okresy: gotowania, tarcia i parzenia), liście herbaty poddawano działaniu pary, rozcierano w moździerzu, robiono z tego ciasto i gotowano z ryżem, imbierem, skórkami pomarańczowemi, korzeniami lub mlekiem.

W VIII-ym wieku herbata wyzwoliła się z tego pierwotnego sposobu przyrządzanie. Wszystkie przyprawy, z wyjątkiem soli zostały usunięte. Ciasto z herbaty gotowało się na wolnym ogniu, poczem rozcierało się je między dwiema kartkami papieru i rozpuszczało wrzącą wodą, gotując na silnym ogniu.

W dwunastem stuleciu herbata gotowana ustąpiła miejsca herbacie "tartej". W kamiennym moździerzu tarli liście na proszek i ubijali w wodzie prętem bambusowym. Wtedy zaprzestano używać soli, jako koniecznej przyprawy do herbaty.

Dopiero w XVI-ym wieku herbata przeszła w ostatnią fazę swego rozwoju: przyrządza się ją, parząc liście wrzącą wodą. Wszystkie te etapy herbaciane odbywały się w Chinach i Japonji. Do Europy herbata "parzona" przedostała się z Chin dopiero w pierwszych latach XVIII-go wieku.

Z powodu stosunkowo wysokiej zawartości kofeiny (teiny) herbata jako napój, jeżeli bardzo mocna lub używana w zbyt wielkich ilo-

ściach powoduje podrażnienie i pobudzenie nerwów, które objawia się bezsennością, drżeniem, czasem bólem głowy i innemi oznakami rozdrażnienia nerwowego.

Z powodu wysokiej ceny spreparowanej herbaty na rynku światowym, ważny ten artykuł handlu często podlega fałszowaniom. Istnieją najrozmaitsze sposoby fałszowania herbaty, z których najbardziej rozpowszechnionym bywa mieszanie listków herbaty z liśćmi różnych roślin, jak wiśni, poziomek, wierzby, róży i innych. Zdarzają się także wypadki, że zużytą już, czyli bezwartościową herbatę, suszą, zwijają ponownie i domieszawszy cokolwiek świeżej, dobrej herbaty, pakują i sprzedają jako towar w dobrym gatunku.



Japoński dom do picia herbaty.

W Europie, Australji i Ameryce piją herbatę przeważnie z cukrem. Dla dodania kwaskowatego smaku wrzucają do herbaty kawałki cytryny lub wlewają odrobinę wina. W Polsce często pije się herbatę z mlekiem lub ze śmietanką. Tak mleko jak śmietanka zmienia w zupełności oryginalny, gorzkawy smak herbaty.



Damy japońskie na tarasie herbaciarni

Mistrzami w sztuce przyrządzania napoju z liści herbacianych są bez wątpienia Chińczycy. Kładąc szczególny nacisk na to, by z zaparzanej herbaty nie ulotniło się ani trochę właściwego jej aromatu, parzą ją w ten sposób, że wsypują cokolwiek listków, często wraz z młodemi gałązkami, wysuszonemi wraz z liśćmi, do specjalnego naczynia, umieszczonego w pudełku, dającem się hermetycznie zamknąć. Wlawszy odpowiednią do ilości herbaty ilość wrzącej wody, czemprędzej zakrywają czajnik i szczelnie zamykają pudełko. Gdy listki herbaciane dostatecznie naciągną, napój jest gotów do użycia.

W Chinach, Japonji i innych krajach Dalekiego Wschodu herbatę pije się bez żadnej przyprawy, to jest bez cukru, cytryny lub innych dodatków.

Pomimo, że herbata do przewożenia okrętami jest bardzo starannie opakowana i mieści się zwykle w skrzyniach drewnianych, obitych blachą ołowianą, dla niedopuszczenia wilgoci, podróż przez morze odbija się ujemnie na herbacie. Dla tego tak bardzo chwalono tak zwaną herbatę rosyjską, karawanową. Była to zwykła herbata chińska, ale sprowadzano ją do Rosji drogą lądową, póki nie było kolei żelaznych na Syberji, karawanami. Taka herbata zawsze była znacznie lepsza i aromatyczniejsza od sprowadzanej okrętami, drogą morską.

W teraźniejszych czasach w handlu światowym wcale niema herbaty sprowadzanej drogą lądową z Chin. Wszystkie liści herbacianych są wysyłane okrętami z portów chińskich, japońskich, indyjskich lub cejlońskich.

Dla dzisiejszego Chińczyka lub Japończyka picie herbaty jest nietylko koniecznością, nieodzowną codzienną potrzebą, ale pewną ceremonjalną uroczystością, traktowaną bardzo poważnie. Podczas picia herbaty z gościem, gospodarz i gość zapominają na chwilę o interesach, zbliżają się ku sobie duchowo i w solennem milczeniu oddają się rozkoszy połykania gorzkawego, aromatycznego płynu.

W Japonji istnieją specjalne pokoje i domy do picia herbaty. Pokój taki staje się dla Japończyka czy Japonki pokrzepiającą okazą na smutnej pustyni codziennego bytu. Zależnie od stanu majątkowego właściciela, pokój do picia herbaty bywa rozmaicie urządzony. W za-



Uroczysta ceremonja picia herbaty.

możnych domach pokój do picia herbaty składa się z właściwego pokoju do przyjmowania gości, z przedpokoju, gdzie przygotowuje się i myje naczynia potrzebne do herbaty, z portyku, gdzie zaproszeni goście oczekują, zanim przejdą "na herbatę" i z alei, która łączy portyk z apartamentem herbacianym.

Panie japońskie namiętnie lubię popijać herbatę i często schodzą się na wspólne hebratki. Siedząc japońskim sposobem na ziemi lub matach, zapijają wonny trunek, ale nie w milczeniu na wzór mężczyzn, tylko przy ożywionej rozmowie, jak to widać na załączonych ilustracjach. Można przypuszczać, że zajmują się wtedy najgorliwiej sprawami nieobecnych przyjaciółek i sąsiadek, jak to nieraz zdarza się na "herbatkach" urządzanych w Euorpie czy w Ameryce, przez białe panie.

Rosjanie zawsze pili i piją bardzo dużo herbaty. Im też przypada zasługa wynalezienia "samowara", przyrządu do gotowania wody na herbatę, bardzo mało znanego poza granicami Rosji i Polski. Stawiano na stole potężny samowar, mieszczący w sobie kilkanaście kwart wody, towarzystwo zasiadało dokoła i piło herbatę dziesiątkami szklanek lub filiżanek.

Zwyczaj picia herbaty był tak szeroko rozpowszechniony między ludem rosyjskim, że na stacjach kolejowych, w sklepikach i herbaciarniach sprzedawano wrzącą wodę tym, którzy nie posiadając samowara lub będąc w drodze, zdaleka od domu, nie chcieli płacić za gotową, przyrządzoną już herbatę, tylko sami ją zaparzali, zapłaciwszy kopiejkę lub dwie za dzbanek "kipiatku".

Rosjanie używają herbaty z cukrem, ale w rzadkich wypadkach wsypują lub wkładają cukier do szklanki. Przeważnie biorą kawałek cukru do ręki i ugryzłszy odrobinkę, popijają herbatą, która rozpuszcza cukier w ustach. Ten rodzaj picia herbaty nazywa się piciem "z prykuskę". Na tym podkładzie powstały liczne dowcipy o rosyjskiem piciu herbaty, jak picie" z prylizką", co znaczy, że towarzystwo siada w kółko, nad którem unosi się zawieszony na sznurku kawałek cukru, oblizywany kolejno przez współbiesiadników. Inny znów dowcip powiada, że gdy towarzystwo nie mogło się zdobyć nawet na jeden kawałek cukru, wypisywano na ścianie wielkiemi głoskami napis "Cukier" i pijący niesłodzoną herbatę myśleli w tej chwili o słodyczy. To nazywało się piciem herbaty "z prydumką".

K. ZAWISTOWSKA.

MAGDALENA

O! Nie patrz na mnie! Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać Twe stopy znojne:
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi,
I klęcząc, warkocz rozplatam długi,
I z stóp Twych kornie biorę na włosy
Łez moich zdroje i oliw rosy.
O! Nie patrz na mnie! Długom czekała,
Długo płomienna byłam i biała...
Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
Bo trąd występku ciało mi toczy...
W proch mi skroń zetrzej stopy białemi,
Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi...
Bom jako owa oblubienica,
Co w snach już widząc miłego lica
W przededniu jasnym dnia godowego,
Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
Na żer służalczym pachołom dała
Królewską krasę swojego ciała...

Lecz nie odtrącaj mnie! Jam Twoje ręce
W snach widywała i przeczuć męce,
I drżąc w brutalnych ramion oplocie
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie,
I w skrach ogniowych, w szału purpurze,
Jak gołąb byłam o białem piórze!

Wiem — przyjdą inne... Już się wybiela
Straż najprzedniejsza cór Izraela
I niosą kwiatów barwiste snopy
Pod Twe tułacze, wędrowne stopy.
Idą ku Tobie w zwartym szeregu,
Idą ku Tobie w róż białych śniegu...
Nie mnie iść z niemi!... Po wieczne czasy
Popiołem zsypię raj mojej krasy.
I w ślad stóp Twoich pójdę pokutna,
Jako służebna, cicha i smutna!...
Nie mnie iść z niemi!... Twoje źrenice
Godowych dziewic zrumienią lice,
I Twoje dłonie spoczną litośnie
Na ich liljowej, rozkwitłej wiośnie...

O! Rabbi, Rabbi! Ja w prochu leżę
I z Tobą pójdę i w Ciebie wierzę,
I kładę usta i włosy moje
Pod opylonych stóp Twoich znoje!
O! Rabbi, Rabbi!

"Wstań od stóp moich! Zmazan grzech ciała
Boś nieskończenie umiłowała,
I odtąd będziesz z śniegu i woni,
Ów kwiat, na dziewic wybranych skroni!
Idź!... i oleje pochowaj wonne
Na namaszczenie dla mnie pozgonne". —

EWA ŁUSKINA

Jak Bawili Się w Wielkanoc Artyści Florenccy

I.

SPIESZCIE się, chłopcy! Nadążać mi co żywo z robotą!... Święta na karku, wieczór za pasem... a tu wszystko, jak w budzie tandeciarza!

W istocie, pracownia mistrza Ghirlandaja, w wielkiej hali jednego z opuszczonych pałaców florenckich, — nie grzeszyła czystością, ani porządkiem. Z kilku uczniów, od 12 do 18 lat życia, jedni zajęci byli rozcieraniem farb, drudzy napuszczaniem olejem desek, gruntowanych pod malowidła, inni wreszcie rysowali pilnie, wzorując się na rozstawionych na stole figurkach z kolorowego wosku, służących im za manekiny, które świeżo w użycie wprowadził Verocchio.

Smagły, czarnowłosy młodzieniaszek o krętych lokach, któremu pierwsza ruń zarostu puszczała się nad malinowemi wargami, przy małem kowadełku nadawał za pomocą stalowego młoteczka pożądany kształt małym, sercowatym blaszkom złota. Sam mistrz w skórzanym fartuchu, stał przy ogromnym kominie z okapem, zbudowanym w rogu pracowni, gdzie buzował suty ogień z potężnych kłód drzewa i stały tygle i tygielki. Żylaste ręce, z zawiniętemi po łokcie rękawami, zajęte były precyzyjną robotą. Odbierał blaszki z rąk młodzieńca i składał w misterne kwiaty i listki róż, wiążąc je następnie w zgrabne wieńce i gałązki, — giętkim, złotym łańcuszkiem. Były to obecnie najulubieńsze ozdoby dam florentyńskich, jakie sam wymyślił.

Raptem otwarły się drzwi pracowni i stanął w nich chudy, niepozorny, sterany pracą, o wielkich szkłach okularów na zmęczonych oczach, rzeźbiarz Lorenzo Ghimerti. Uśmiechał się pogodnie kiwając głową w stronę przyjaciela.

— Wyglądasz jak jaki stary alchemik!

— Co prawda, my, artyści dzisiejszej Florencji, nie potrzebujemy mozolić się nad odkryciem sekretu robienia złota!— odrzucił tamten wesoło. — Mamy ważniejsze formuły do rozwiązania: tajemnice sztuki!

— Byle siła ciała nie wypowiedziała przedwcześnie posłuszeństwa... — Ghiberti przesunął dłonią po swych cierpiących oczach. — Ale nie o to teraz chodzi! Wstąpiłem, by ci rzec, że szynkarz pod "Złotą Wiechą" ma beczkę wina z pod stóp Wezuwjusza, — ognistą jak sama młodość! Przydałaby się na jutrzejszą biesiadę!

— Pędzę!... Lecę!... Żeby nas kto nie ubiegł...

Ghirlandajo rzucił na stół gorący jeszcze djadem, zbronzowiały od żaru i zawołał do swego młodego pomocnika:

— Masz, Nino! Wypoleruj mi duchem ten wieniec, a spraw się dobrze, bo szlachetna monna Donati zapowiedziała, że jeśli nie dostarczę go jej na święta, — to własnoręcznie wyrwie mi resztę włosów ze łba!

Przesunął ręką po łysiejącem czole, zaśmiał się, odrzucił skorzany fartuch, porwał z ławy aksamitny beret i opuścił pracownię wraz z przyjacielem.

Jak na komendę, odrazu wszyscy uczniowie porzucili swą robotę. Wzniósł się wesoły gwar, najmłodszy z chłopców przyskoczył do ładnego Nina, — który z niechęcią zabierał się do wyznaczonej pracy i zapytał z płonącemi ciekawością oczyma:

— Czy mówiłeś, Nino, mistrzowi, że w pracowni straszy?

— Nie gadaj głupstw, bo cię obiję!

— Kiedy naprawdę!... Jak tylko legnę na tapczanie i zamknę oczy — zaczynają się szelesty, szmery, szepty, — że ze strachu muszę chować głowę pod derkę i zatykać uszy.

— I cóż jeszcze? — rzucił Nino gniewnie.

— Kiedy się boję gadać...

— Głupiś! Mnie nie powiesz?

— Już powiem! Tylko nie śmiej się ze mnie!

— Mów-że raz, prędaku!

— Wczoraj w nocy... obudziłem się raptem i wyjrzałem z pod derki... A tu...

— Co?

— Zobaczyłem światło, migające w oczach Olbrzyma...

Malec wskazał na stojącą w kącie pracowni ogromną, groteskową figurę, z drzewa i malowanego jaskrawo gipsu, z szeroką gębą, używana do pochodów karnawałowych, oddana do naprawy, — wielkolud, w którego głowie od biedy mógł się zmieścić skurczony człowiek.

Nino skoczył raptem, jak ukąszony.

— Czyś zwarjował? Przyśniło ci się? Ja ci tu dam! Mówiłeś o tem komu? Może mistrzowi?

— Nie mówiłem! Nie bij! Co... ty...

Nino pohamował się raptem. Pogroził tylko.

— No, pamiętaj! Ani słowa! Żebyś mi się nie wyrwał z takiem głupstwem! A teraz — marsz!

Złożyć mi narzędzia — i idźcie sobie, gonić po mieście!

Chłopcy rozbiegli się, jak stado wróbli.

Pozostał tylko starszy czeladnik, rówieśnik Nina. Był to flegmatyczny Niemczyk, Oskar Ingram, sprowadzony przez Ghirlandaja z Kolonji do robót w katedrze, jako specjalista od witraży i mozajki.

— Mały nie kłamie... — odezwał się spokojnie. — Ja sam widziałem te światła. I wiem, co to jest.

Nino skamieniał.

— Ty... wiesz?! — wyjąkał.

— Niema w tem nic dziwnego. Pewien pobożny mnich powiedział mi, że według dawnej przepowiedni, nastały teraz czasy, że Lucyper został wypuszczony z piekła i wolno mu będzie hasać po świecie przez trzy i pół roku.

— Aha! — bąknął Nino uspokojony. — W takim razie weźmy się do sprzątania. Bo ty, Oskarze, znasz się, widzę, na djabłach, ale za to nie masz pojęcia, jak tu się odbędzie jutro piękna biesiada, gdy jak zawsze, w pierwszy dzień Wielkanocy, obie korporacje artystów florenckich: "Kotła" i "Kielni", wystąpią ze swemi arcydziełami!

— Opowiedz mi o tem!

— Eh! Co ci będę opowiadał! Sam zobaczysz. Palce lizać! Tymczasem pomóż mi sprzątać!

— Dobrze. Może przestawimy tego Olbrzyma?

— Ani mi się waż! — zaperzył się. — Nie rusz go!

Oskar wzruszył ramionami — i w milczeniu już zabrali się obaj do porządków.

II.

Wnętrze pracowni grało połyskami i barwami w rzęsistej iluminacji grubych, woskowych świec, — gdy drzwi otwarły się szeroko i zacni kompanjoni "Kotła", w przepisowej liczbie dwunastu, wkroczyli do odświętnie udekorowanej hali.

Na czele szedł rzeźbiarz Donatello, wysokiego wzrostu i herkulesowej siły, za nim malarze Gentile di Fabriani, Luca, Signorelli i inni, dobrzy artyści Florencji. Za nimi pachołkowie nieśli tuzin tac na których piętrzyły się najosobliwsze w świecie dania. Żywotność i werwa artystów znajdowała sposób plastycznego wypowiedzenia się nawet na tem polu, które było prawdziwym turniejem humoru!

Pierwsze danie stanowił pasztet, na którym można było oglądać scenę, jak Ulisses gotuje swego ojca, aby go odmłodzić, — obie figury przedstawiały kapłony gotowane, którym nadano kształty ludzkie. Dalej była świątynia, wsparta na kiełbasianych kolumnach, gdzie posadzkę stanowił wielki półmisek galarety, wyobrażający mozaikę. Podstawy i kapitele były z parmezanu, gzymsy z migdałów, a kazalnica marcepanowa. Na środku stał pulpit z sera, o nutach z ziarnek pieprzu, — przy nim sześciu śpiewaków przedstawiały pieczone drozdy, zaś basami były dwa grube gołębie o rozwartych szeroko dzióbach. Inne danie tworzyło różowe i smakowite prosię, przebrane za wieśniaczkę, przędzącą na kołowrotku, jeszcze inne przedstawiało kowala przy kowadle, zrobionego z wielkiej gęsi.

I tak szły dalej coraz cudaczniejsze pomysły, potęgując dobry humor zebranych.

Zanim rozmieszczono należycie te arcydzieła, nowy gwar w przedsionku zwiastował zjawienie się konkurencyjnej kompanji: "Kielni" albo "Murarzy". Przewodził jej wesoły towarzysz, pierwszy do żartów i zabawy, Sandro Botticelli, znany dowcipniś, blondyn o kędzierzawej czuprynie, nadworny malarz i ulubieniec Medyceuszów. "Murarze" byli ubrani jednakowo, w jedwabne, czarne fartuchy, opięte na ich wykwintnych strojach, w czapki murarskie, z przyborami swego cechu, a przedewszystkiem każdy z odznaką swojej korporacji: zatkniętą za pas srebrną kielnią.

Chłopcy, którzy szli za nimi, nie nieśli żadnych potraw, zato dźwigali putnie, cebry i wiadra z rozpuszczonem wapnem i glinę, oraz kolorowemi zaprawami, a inni dźwigali na ramionach stosy cegieł palonych.

Przy bliższem rozpatrzeniu okazało się, że cegły były z zimnych mięsiw i pierników, piasek z tłuczonych orzechów, pomieszanych z grubym cukrem, a wapno i farby — wybornemi kremami!

Tymczasem majstrowie dobyli z za pasów kielnie i w oczach ciekawych widzów rozpoczęli na stole budowę pięknej rotundy z kopułą, z przyniesionych materjałów. Aż gdy wreszcie na szczycie błysnęła czerwona chorągiewka, a oklaski nagrodziły udane dzieło, — rozburzono wśród śpiewów piękną budowlę i obie kompanje w przykładnej zgodzie zajęły miejsca przy ich gruzach, zajadając z apetytem: wieśniaczkę, kowala, śpiewaków i świątynię, — i zapijając to wszystko wybornem winem toskańskiem, dolewanem hojnie przez gospodarza.

Wnet rozwiązały się i języki. Donatello powstał, wzniósł kielich i zawołał:

— Cieszmy się życiem, które wzniosło się ponad siebie!

— Uhm! Zaraz cię ściągnie z tych górnych firmamentów pierwszy lepszy lichwiarz albo swarliwa żona! — mruknął ktoś zgryźliwie.

— Żoną artysty jest sztuka! Jeżeli chcesz stać się nim prawdziwie, — odepchnij od siebie smutki, kłopoty, które nie mają nic wspólnego ze sztuką. Niech dusza twoja stanie się zwierciadłem, które odbija w sobie wszystkie przedmioty, każdy ruch i każdą barwę, — a samo pozostaje jasnem, czystem i nieruchomem!

W tej chwili mały epizod odwrócił uwagę bie-

siadników. Dwa charty, które wpadły do pracowni i gryzły kości pod stołem, — uporawszy się z tem, rozbiegły się po kątach, węsząc. Nagle — gwałtowne ujadanie psów zwróciło uwagę zebranych.

Charty doskakiwały ze szczekaniem do figury karnawałowego olbrzyma w kącie pracowni, która od ich ataków zaczynała chwiać się u podstawy. Nagle runęła z trzaskiem, a równocześnie rozległ się krzyk kobiecy.

Ciekawi przyskoczyli do maszkary — i oczom ich przedstawił się widok — zgoła nieoczekiwany: Obok przewróconej figury z odpryśniętemi kawałami gipsu, — siedziała na ziemi młoda dziewczyna, kryjąc twarz w dłoniach.

Równocześnie Nino zmierzał chyłkiem ku wyjściu... ale silna ręka mistrza zatrzymała go za kołnierz.

— Tuście, ptaszki?

Założył ręce na piersiach i spojrzał z surową miną sędziego:

— Co to znaczy, urwipołciu? Kto jest ta dziewczyna i co tu robi?

Nino, widząc odwrót odcięty, nadrabiał miną.

— Kto ma być? To moja narzeczona!

— Hę? I dla tej samiczki uwiłeś gniazdko w głowie tego poczciwca? Rozumiem teraz, dlaczego miał tak głupią minę! Ale do rzeczy: gadajno teraz ty, turkawko! A przedewszystkiem... pokaż buziak!

Odjął jej ręce od twarzy. Ukazał się szczupły, smagły owal młodziutkiej dziewczyny, z oczyma przerażonej sarny. Była dzika i śliczna.

— Smarkacz ma dobry gust! — mruknął mistrz.

Nino tymczasem odzyskał rezon.

— Już powiem! Rosita jest sierotą i uciekła od złej macochy, która ją biła. Jesteśmy z jednej wsi... i — nie miałem gdzie ją podzieć! A olbrzym ma taki wielki łeb!

Wybuch śmiechu powitał tę arcypustą historję.

— Dosyć! Adoptujemy tę sierotę! Rosito! Bierzemy cię za córkę! Nadstaw fartuszek!...

Posypały się drobne monety i złote cekiny.

III.

W drugie święto Wielkanocy, kiedy ludność Florencji zwykła była wylegać za miasto na rozległe błonia i brać udział w ludnowych zabawach, — artyści i młodzież rzemieślnicza urządziła jeden z właściwych im, wesołych pochodów, — których ostatecznym celem miały być, jak zwykle, podmiejskie gospody.

Mistrz Ghirlandajo i co poważniejsi kompanjoni, już tam siedzieli przy lampkach dobrego wina, wspominając własne, młode lata i przygody, — ze wzrokiem zwróconym na biały gościniec.

Jakoż w pewnej chwili ukazało się coś, podobnego do olbrzymiej gęsi z rozpostartemi skrzydłami. Wkrótce można już było rozróżnić szczegóły. Środkiem toczyła się ogromna beczka na kółkach, ciągniona przez orła, któremu z obu, zapadłych srodze boków, wyrastały wielkie, złocone skrzydła. Na beczce siedziała znana, ulubiona modelka florenckich malarzy z kielichem w ręku, po który wyciągali chciwie ramiona młodzi artyści, idący przy beczce.

— To nasi! — mruknął Sandri.

Przodem biegł błazen, w pstrokatym ubiorze, potrząsał grzechotką i śmiał się zjadliwie.

— Hi! hi! Oto pierzasta brać Apolina — orły i łabędzie, jak się skromnie mianują, która ma ocalić wobec historji — ducha naszych czasów. A jak gęsi ocaliły Kapitol, tak im należy się sława — gąsiorów kapitolińskich!

Beczka z chudym pegazem zatrzymała się, a otaczający ją młodzi adepci sztuk wyzwolonych zawiązali djalog:

— Brakuje nam Luigiego!

— Otóż zdąża ku nam!

Osobnik, którzy się teraz wysunął, wysterczał z tłumu, jak żerdź od chmielu. Był długi, żółty, odziany dziwacznie i naopak. Przemówił ponuro:

— Jestem Cieniem Apetytu, który zachorował na niestrawność...

Jeden z kolegów pociągnął go za skraj kurty.

— A co to wisi na tobie nakształt strączków suchego grochu?

— Wędzonka, ser ostry i papryka. Wędruję do świętej beczki, szukać utraconego pragnienia!

— Battisto! To twoja cząstka! Przyjmij nieszczęśnika pod swe opiekuńcze skrzydła.

Modelka, uśmiechnięta, wyciągnęła ramiona do franta, skrzywionego jak półtora nieszczęścia.

— Pójdź, Cieniu!

Ten wdrapał się zręcznie, jak dziki kot, na beczkę i zasiadł obok dziewczyny, która zarzuciła mu pulchne ramiona na szyję.

— Uff! — odetchnął i zaśmiał się szeroko. — Czuję, że odżyłem.

Ucałował jej kwitnące policzki — i beczka potoczyła się dalej.

Z kolei na białej drodze ukazał się mały wózek, a na nim buda teatrzyku marjonetek, otoczona popularnemi figurami ze starej ludowej "Comedia dell'arte".

Zgrabna Colombinka wyskoczyła na płaski dach budy i rozłożyła ramiona gestem sprężynowej lalki.

— Ucałujcie usteczka moje, Fanfaronie i Arlekinie! Ukażę wam życie, jakiem jest: poczwarne i błazeńskie, życie — w latarani Poliszynela! Wolno jest wszystko! Wszystko jest śmiechem!

Pajace, otaczający budę, ucieszeni nadzwy-

czajnie, poczęli kręcić się w kółko i wzajem wycinać sobie siarczyste policzki.

— Wszystko jest śmiechem! Słuchajcie! Słuchajcie! Oto przedstawienie teatrzyku marjonetek! Oto występy błaznów w roli dygnitarzy! Maszkary i chimery! Groteski i buffonady! Hi! hi!

Nagle rozpierzchli się jak liście, które wiatr zmiótł. Na placyku przed gospodą pojawił się skądś blady pierrot w białych jedwabiach, ze srebrnym półksiężycem, wyhaftowanym na piersiach. Na ogolonej głowie miał czarną, aksamitną myckę, w ręku niósł śliczną różę.

Pierrot księżycowy przyklęknął na jedno kolano przed swawolną Colombiną.

— Weź hołd i różę... To serce moje!... Gdy nie podejmiesz — pęknie na dwoje!...

Colombina zręcznie zeskoczyła z niskiego daszku budy, klasnęła w białe dłonie i przyjęła róże.

— Wybornie! — zawołała — i cisnęła kwiat prosto w pierś pstrokatego Arlekina.

— Oto róża... Arlekinie!... Tyle wspomnienia... po Colombinie!...

Podbiegła wraz i ucałowała usta klęczącego Pierrota, którego uprowadziła do wnętrza budy. Ale zaraz ukazała się w okienku, by przesłać od ust całusa Arlekinowi.

Pajace wśród zabawnych grymasów kręcili się w kółko.

— Brawo! Pierrot księżycowy — na miłosne wyszedł łowy — i samiczkę w potrzask schwytał!

Tu wysunął się Arlekin i stukając się w pierś, dokończył:

— ...Lecz Arlekin zeń się śmieje... — bo niepłonną ma nadzieję: — "A to biedy się napytał!" Colombinka wcale miła — w niestałości tkwi jej siła... — Sobie wierna, głupca rzuci... Jutro wróci!!...

Wywinął kozła i zręcznie wyskoczył na wierzch budy, gdzie zasiadł na skrzyżowanych nogach. Buda ruszyła dalej swoją drogą — a za nią pociągnął rozbawiony tłum ludności przedmiejskiej, która tymczasem zdążyła się zgromadzić, przyciągnięta improwizowanem widowiskiem.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wiosennym wieczorem wracali do miasta Nino i Rosita, trzymając się za ręce. Młody chłopak przyciskał ramię dziewczyny, która tuliła się doń, rozmarzona i szczęśliwa. Na gładko umuskanej główce miała wianek polnych kwiatów.

— Rosito! Miła moja! Jutro zaniosę na zapowiedzi. Mistrz obiecał, że namaluje cię na swym najbliższym obrazie — a w lecie wyprawi nam wesele!

Przechodzili wąską uliczką, gdzie na rogu widniał posążek Madonny i tliła ponsowa lampka, jak rajska róża. Rosita zdjęła wianek z głowy i zawiesiła go u stóp posążku.

— O, Madonno! To za Nina, którego mi dałaś!

Chłopak spiesznie ściągał z głowy aksamitny beret... A wkładając go z powrotem, zawołał z zapałem:

— Życie jest piękne! Niech żyje życie!

Witold Stanisław Żągołłowicz.

(Biały)

PŁYŃ MYŚLI, PŁYŃ!

Płyń myśli, płyń!
Pod niebios szczyty,
w jasne błękity,
nad lądy, morza,
w ducha przestworza —
Płyń myśli, płyń!

Dąż myśli, dąż!
W krainę ducha,
tam znajdziesz druha—
pij z życia czary
szczęścia nektary,
Dąż myśli, dąż!

Żyj myśli, żyj!
Szczęściem marzenia,
życiem natchnienia,
w krajach wyśnionych,
w duchu stworzonych,
żyj myśli, żyj!

Płyń myśli, płyń!
Płyń w inne światy,
zrzuć ziemskie szaty,
w duchowym bycie,
tam znajdziesz życie,
Płyń myśli, płyń!

Dąż myśli, dąż!
Do szczęścia zdroju,
w błogim nastroju,
zmień prozy szaty
w marzeń szkarłaty,
Dąż myśli, dąż!





Rzeźba w Ogrodzie Łazienkowskim w Warszawie.

Anegdoty o sławnych ludziach

Szopen był z natury b. pogodny i żartobliwy. Pewnego dnia założył się z jednym z wybitnych ówczesnych pianistów, że napisze coś, czego tamten nie potrafi wygrać, podczas kiedy on, Szopen, to wykona. Po przyjęciu zakładu Szopen usiadł przy stoliku i po paru chwilach doręczył pianiście skreślone na poczekaniu nuty. Tamten zaczął grać, ale po chwili zatrzymał się i powiedział: „No, tego nie zagra nikt. Prawa ręka wysoko we wiolinie, lewa nisko w basie, a w środku napisał pan jeszcze jedną nutę. Czymże ja zagram?". Szopen uśmiechnął się i zajął miejsce przy fortepianie. Gdy doszedł do omawianego miejsca, pochylił głowę i uderzył klawisz... nosem! Zakład był wygrany!

Moniuszko znany był z dobrotliwego usposobienia, toteż młodzi kompozytorzy chętnie cisnęli się do niego, aby mu doręczać swoje manuskrypty do przejrzenia i oceny. Pewnego dnia zjawił się u niego młody samouk, mający wysoką opinię o swoim talencie, z rękopisem swej opery. Moniuszko zgodził się przejrzeć rękopis, zaznaczając wszystkie błędy krzyżykami na marginesie. Gdy po upływie umówionego czasu młody „twórca" zjawił się u autora „Halki", ten zwrócił mu rękopis bez słowa. Młodzieniec przerzucił kilka stron swego dzieła i zawołał radośnie: „Co ja widzę? Ani jednego krzyża na marginesie? To znaczy, że mistrz nie znalazł żadnych błędów!" — „No, nie bardzo!" — odparł Moniuszko — „Czy pan myśli, że miałem czas i ochotę kreślić cały cmentarz?"

Churchill posiada stajnię wyścigową, z której bardzo jest dumny. Po pewnym wyścigu, w którym jego koń przegrał z kretesem, usprawiedliwiał go tak wobec swych przyjaciół: „To wszystko moja wina. Powiedziałem memu ogierowi przed biegiem, że jeśli wygra, przekażę go do stadniny na rozpłodowca. Żadnej pracy i najpiękniejsze klaczki, jakich tylko zapragnie! Niestety, biedak tak sobie zaprzątnął głowę tymi ślicznymi klaczkami, że się spóźnił na starcie i przyszedł ostatni!"

Słynny muzyk Rossini lubił dobrze zjeść i wypić. Pewnego dnia zaszedł do niewielkiej restauracji w swym rodzinnym mieście. Restaurator poznał go natychmiast i tytułując go mistrzem, usługiwał mu osobiście. Jedzenie było jednak podłe. Po spożyciu posiłku Rossini zapłacił, a potem otworzył ramiona i zawołał do zdumionego restauratora: „Uściśnij mnie, przyjacielu!" — „Ależ, mistrzu! Taki zaszczyt!" — bąkał zaskoczony restaurator — „Za co? Dlaczego?" — „Bo już mnie w życiu nie zobaczysz!" — odpowiedział Rossini.

Lloyd George, angielski mąż stanu, miał niezwykłę cięty język. Podczas jednej z jego mów wyborczych zaatakowała go pewna niewiasta wołając: Gdybym była pańską żoną, dałabym panu truciznę!

— Gdybym był pani mężem natychmiast bym ją zażył — odciął się z miejsca mówca.

Aleksander Dumas, autor „Trzech Muszkieterów", odwiedził swego przyjaciela, mieszkającego na przedmieściu Paryża. Przyjaciel z dumą oprowadził pisarza po mieszkaniu, a wreszcie pokazał mu należący do niego maleńki ogródek, otoczony ze wszystkich stron wysokimi domami. Pisarz, chcąc gospodarzowi sprawić przyjemność, chciał powiedzieć jakiś komplement o ogródku; nie mogąc jednak znaleźć nic odpowiedniego, rozejrzał się wokoło i wreszcie rzekł: „No, duży to on nie jest, ale zato wysoki!"



F. Faure, jeden z prezydentów francuskich, miał zwyczaj incognito przechadzać się po Paryżu. Pewnego dnia, zaskoczony ulewnym deszczem, zapukał do drzwi jekiegoś wielkiego budynku. Gdy mu otworzono, Faure powiedział: „Chciałbym tu przeczekać deszcze. Jestem prezydentem Francji". Stojący we drzwiach człowiek w białym fartuchu popatrzył na niego przez chwilę, a potem uprzejmie usunął się na bok i powiedział: „Proszę bardzo, niech ekscelencja pozwoli. Tam już Napoleon i Aleksander Macedoński czekają na ekscelencję!" Okazało się, że prezydent niechcący zapukał do drzwi zakładu dla wariatów!

Mark Twain słuchał komedii napisanej przez autora młodego, lecz obdarzonego dużym tupetem. Za każdym razem, gdy odczytywano jakiś bardziej dowcipny urywek, Mark Twain milcząco podnosił kapelusz. Zapytany, co oznacza ten gest, odpowiadał:

— Witam starych znajomych.



Sławny angielski chirurg Kister, wezwany w nocy do bogatego pacjenta, po zbadaniu go zapytał:

— Czy napisał pan już testament?

— Nie jeszcze, doktorze — odpowiedział pobladły chory.

— W takim razie radzę natychmiast wezwać notariusza i spadkobierców.

— Czyżby tak źle było ze mną?

— Wcale nie! Ale nie chcę być jedynym głupcem, którego bez powodu obudzono dzisiejszej nocy.

Hr. Lew Tołstoj, widząc raz, jak policjant niezbyt delikatnie obchodzi się z pijakiem zawołał gniewnie do przedstawiciela władzy:

— Czy umiesz czytać?

Policjant na to: umiem.

— A czy czytałeś ewangelię?

— Owszem. Czytałem.

— To powinieneś wiedziec, że bliźniego nie wolno znieważać!

Po krótkim namyśle — z kolei policjant zapytuje Pisarza.

— Czy pan umie czytać?

Zdziwiony Tołstoj — Tak. Umiem.

— A czy czytał Pan instrukcję dla stójkowych?

— Nie, nie czytałem.

— No to niech pan nic nie mówi, dopóki pan jej nie przeczyta.

W jednej z większych kompozycyj muzycznych znanego i popularnego „króla walców" Jana Straussa znalazł się motyw, żywo przypominający podobny temat muzyczny z utworu kompozytora węgierskiego Franciszka Liszta. Gdy na to zwrócono uwagę sławnemu autorowi „Rapsodyj węgierskich", odparł:

— Nic nie szkodzi, w ten sposób przynajmniej częściej będę grywany i słuchany.



Balzac, słynny francuski pisarz, rzadko posiadał większą sumę pieniędzy. Pewnej nocy, obudzony hałasem w sąsiednim pokoju, pisarz wstał z łóżka i stanął w drzwiach. W świetle księżyca zobaczył złodzieja, który usiłował otworzyć jego biurko. Usłyszawszy głośny śmiech, złodziej obrócił się i ku swemu zdumieniu ujrzał pokładającego się ze śmiechu Balzaca. „Dlaczego pan się śmieje?" — zapytał wreszcie włamywacz. „Bagatela!" — odpowiedział Balzac — „Ja w biały dzień nie mogę znaleźć pieniędzy w moim biurku, a pan chce to zrobić po ciemku!"

S. BOROWSKA

UNDERWOOD

PANNA Zofja Łaniewska podniosła oczy z nad Underwooda i utkwiła je w gałęziach kasztana za oknem. Wśród jasno-zielonych, młodziutkich liści rozsiadła się w słońcu tegoroczna spóźniona wiosna.

— A Pan Bóg zawsze "trzyma" z dyrekcją... — pomyślała panna Zofja. — W dzień powszedni pogoda, w niedzielę... obowiązkowo deszcz.

Pisała machinalnie szematyczny wykaz jakiś do jednego z włoskich korespondentów instytucji w Medjolanie. Nudna robota, mechaniczna, wymagająca bacznej uwagi i nie mogąca przykuć myśli jakiemkolwiek zainteresowaniem.

Panna Zosieńka zaczęła dumać o Medjolanie, którego nigdy nie widziała.

— I którego nigdy nie zobaczę — dodała w duchu, z przedziwnem, iście urzędniczem rozgoryczeniem.

Na życiu jej młodem, dwudziestotrzy-letniem, położył się Underwood, jak złe, drapieżne zwierzę, obrzydliwe i oślizgłe, i sprawił, że nie miała oto praw do niego.

Jakto... jakto?... A kasy przezorności i emerytalne z gwarancjami beztroskiej starości? A kasa chorych, "ta najdroższa", z całą baterją flaszek i słoików, zawierających dekokty zbawienne na wszelkie dolegliwości: duszne, sercowe i wątrobiane?...

A tyle zniżek do kin i teatrów, a tyle możności kupowania na raty?... Głównie zaś i przedewszystkiem codzienny kawałek chleba dla matki, dwojga młodszego rodzeństwa i siebie samej.

Gdy z paszczy bolszewików uciekła panna Zofja do Warszawy i mimo młodego wieku, dzięki znajomości trzech obcych języków, znalazła pracę w poważnej, pierwszorzędnej instytucji handlowej — kochała bardzo Underwooda. Niezdarnie wtedy jeszcze biegały palce po klawiszach. W miarę nabierania wprawy w wygrywaniu listów handlowych, słabła sympatja panny Zofji do maszyny.

Siedm godzin pracy, ośma zaś dla korespondentki aż nazbyt często konieczna, chociaż się nie liczyła. W przeciągu czterech lat utworzyło to góry i stosy godzin stukania na maszynie i "ujeździło" czupurność panienki. Broniła się początkowo. Sądziła, że pogodzi pracę biurową z innemi sprawami życia. W teorji rzecz bardzo możliwa; w praktyce—mało prawdopodobna.

Z roku na rok, nieznacznie, pomimo jednomiesięcznego urlopu letniego, spędzanego przeważnie w Warszawie, słabła energja panny Zofji.

Troska o utrzymanie rodziny i praca biurowa,—to coś niby truchcik drapieżcy w pogoni za umykającym jeleniem. Truchcik niechyży, przyciężki, lecz niezawodny. Dogania szybkobiega zawsze, czasem przy dziesiątym, przy dwudziestym dopiero kilometrze...

— Jeszcze lat kilka — myślała pana Zofja Łaniewska, bębniąc wykaz dla włoskiego korespondenta—jeszcze lat kilka, a będę wyglądała jak ta biedna panna Lasocka, przy której kolega Gadomski nie chce siedzieć, bo mówi, że ona pachnie starą szafą...

Nie żal jej było życia i w tej chwili nie pragnęła jakichkolwiek dóbr tego świata.

Raz tylko jeden... jeden raz tylko jeszcze wyjechać z Warszawy tam, gdzie teraz gospodarują bolszewicy i nieprzychylny, ciemny chłop małoruski. Tam, dokąd powrót jest niemożliwy. Odnaleźć pewien zakątek pomiędzy Barem i Jampolem, odnaleźć go takim, jakim był przed laty, i z tem, co dawniej tam było... Wślizgnąć się cicho do stajni w tajemnicy przed okiem Hrehorka, czyniącego zawsze głupie, furmańskie objekcje, osiodłać poczciwego, gniadego Mehmeda i jechać w pole... Prosto w łunę purpurową zachodu, albo do lasu... Powiedzieć trawom, drzewom i ptakom, że w życiu wszystko jest inaczej, niż się marzyło i projektowało, ale, że dziś to już nie ma znaczenia, najmniejszego znaczenia...

Ach, czemże jest Underwood, pomyślany na tle tamtego krajobrazu, w lesie, gdzie gruchają dzikie gołębie i kują dzięcioły? Jakże nierealny, bezsensowny, jak śmieszny, o wiele śmieszniejszy niż bajki o żelaznych wilkach, a bezsilny w swej chęci szkodzenia, jak wrogie warknięcie psa, co ma kaganiec na pysku.

— Słowo "Underwood" nawet brzmi jak warknięcie — zauważyła panna Zofja w duchu. — Wrzucićby tę maszynę do rowu i niech rdzewieje w czarnem, podolskiem błocie.

Woźny przerwał jej rzewne dumania:

— Pan Różycki prosi panią...

Pan Olgierd Różycki był szefem bezpośrednim panny Zofji i prokurentem instytucji, w której pracowała. Najmilszy szef pod słońcem, przyznający się otwarcie, że dwóch rzeczy uczynić nie może: patrzeć na łzy kobiety i stanąć profilem do osoby, której pragnie się podobać... To ostatnie z powodu potężnego nosa, dodającego niewątpliwie majestatu twarzy, lecz ujmującego równocześnie podobieństwa do młodzieńca o klasycznych rysach.

Pan Różycki siedział przy swem prokurenckiem biurku, frasobliwy jakiś i niewyraźny. Podał pannie Zofji depeszę szyfrowaną od amerykańskiego korespondenta.

— Oto jest odpowiedź na nasz wczorajszy telegram, złożony ze stu kilkudziesięciu słów... Niech pani odczyta...

Panna Łaniewska zdziwiona wzięła blankiet do ręki.

Co to?... co to?... Jedno tylko słowo, jedno niezrozumiałe, szyfrowane słowo: "Mysia".

— Mysia — przeczytała głośno panna Zofja, w niejasnem ale dojmującem przeczuciu jakiejś klęski. — Ja nie wiem co znaczy "mysia"...

— Oczywiście nie może pani umieć wszystkiego na pamięć, ale oto jest Code Petersona...

Podał jej wytworną, ciężką, w safjan oprawną książkę.

— Proszę sprawdzić.

Panna Zofja pochyliła się skwapliwie i z determinacją, drżącemi cokolwiek palcami przewracała kartki. Jest "Mysia"... Ach, znaczy to, przetłumaczone na język polski: "Depesza panów jest niezrozumiała".

Grom z jasnego nieba!

Panna Zofja patrzy na swego szefa blada, osłupiała. Depesza ze stu kilkudziesięciu słów, tak ważna, nad którą panna Zofja, panna Łaniewska, nie myląca się nigdy, pracowała przeszło godzinę...

Pan Różycki ma głowę zwróconą ku oknu, mówi z przymusem i troską w głosie:

— "Wpakowała" nas pani na złotych tysiąc straty... Dyrektor już wie...

Cisza.

Pan szef odwraca głowę od widoków za szybą, spogląda na swą korespondentkę i podskakuje na krześle...

— Ależ, panno Zofjo, ależ na Boga, nie trzeba się tak przejmować... Przecież wszyscy są omylni... No... panno Zofjo... Pani dotąd była nadzwyczajna, nie myliła się nigdy w amerykańskich szyfrowanych depeszach... Podziwialiśmy szczerze... Mój Boże, taka młoda, w wieku, gdy każda kobieta musi się mylić, powinna się mylić, czy to w wyborze męża, kapelusza, czy kochanka...

Po twarzyczce panny Zofji płyną strumienie, potoki łez... Nie może zrozumieć, jak to się stało... Ona, ona, która przez cztery lata ani razu...

Wszystko zaczyna wirować w jej mózgownicy: Mysia, Code Petersona, pan Różycki, Underwood, dzikie gołębie, a przez to pole chaosu cwałuje oszalały Mehmed, unosząc na sobie jej roztrzęsioną urzędniczą sławę...

Woźny oznajmia:

— Pan dyrektor prosi pana naczelnika...

Zrywa się z krzesła pan Różycki, osieracając gumową poduszkę, podobną do wielkiego obwarzanka, tak nieodłączną w tej instytucji od prokurenckiej władzy, jak berło jest nieodłączne od pojęcia królewskości.

Panna Zofja wymyka się z gabinetu, wraca na salę do swego Underwooda, wspiera łokcie na żelaznym wampirze i płacze, ciągle płacze.

Kolega Gadomski unosi z nad biurka twarz, utrzymaną w płowych tonach i podobną do oblicza oswojonego lwa.

— Nie trzeba płakać, panno Zofjo, — pociesza z dobroduszną ironją. — Świat jest piękny, ludzie szlachetni...

Nie można już nawet płakać dłużej, bo przy wejściu do sali, obszernej jak ujeżdżalnia, ukazuje się pan Różycki z dyrektorem.

Zmierzają niewątpliwie do stolika panny Zofji.

Panna Łaniewska ociera szybko oczy. Szkoda, że nosa przypudrować nie zdąży zanim nadejdą. W sercu jej poczucie mimowolnej winy przerodziło się już w ostrą niechęć wydziedziczonych do całego świata. Zacina się hardo w sobie.

Dwaj panowie podeszli do grzesznej korespondentki.

— Panno Zofjo — odzywa się pan Różycki bez wstępów i komentarzy, — pan dyrektor chce sam podyktować pani tekst depeszy do American Exchange Irving Trust Company...

Twarz pana dyrektora wypromieniowuje lodowatą życzliwość.

Panna Zofja Łaniewska zakłada ćwiartkę papieru na wałek maszyny, poczem zaczyna pisać. Palce przebiegają szybko po klawiszach Underwooda, a oblicze korespondentki dumne jest i obojętne. Wygląda jak niewolnica, co zmuszona grać w czasie uczty ciemiężców, gra sobie jednej, pieśń dalekiej, utraconej ojczyzny.



Warszawa w gruzach

H. DUVERNOIS



POCAŁUNEK

CÓŻ za wzruszający moment! Pan Symeon Gibmuller, właściciel wielkiej fabryki "bronzów artystycznych", sam pan Gibmuller we własnej osobie, w chwili, gdy stylowy zegar, nieodebrany przez jakiegoś klienta, wydzwonił południe, rozłaskawił się tak dalece, że przemówił do najskromniejszego ze swych urzędników.

— Wraca pan do domu, panie Clarot?

—Nie... to jest właściwie, owszem, panie dyrektorze, ale, oczywiście, jeżeli pan dyrektor sobie życzy, mogę zostać dopóki pan dyrektor rozkaże... do pierwszej, do drugiej, choćby i do trzeciej... panie dyrektorze...

Powtarzał ten sakramentalny tytuł jak początkujący literat powtarza "Mistrzu" lub dworak — "Wasza Królewska Mość". Ale pan Gibmuller potrząsnął głową.

— Ja nie w tym celu. Ot, myślę, że pan jest szczęśliwy, mogąc wrócić do swego kąta, posiadając domowe ognisko... Och, wyobrażam sobie, że się tam zapewne nie przelewa... Ile pan zarabia, panie Clarot?

— Dwieście siedemdziesiąt pięć franków miesięcznie, panie dyrektorze... ale gdybym doszedł do trzystu, bylibyśmy bardzo szczęśliwi.

—Dwieście siedemdziesiąt pięć... tyle właśnie otrzymywałem, gdy miałem pańskie lata. Tylko, że ja... hm... byłem ambitny... Gnieździliśmy się na poddaszu, byliśmy weseli jak szczygły... pani Gibmuller potrafiła coraz to upitrasić coś smakowitego... Straciłem ją przed piętnastu laty, i od piętnastu lat, panie Clarot, nie jadłem prawdziwej sztuki mięsa. W tych wielkich restauracjach podają to panu na płaskim talerzu, z mnóstwem zbędnych przydatków dla zamydlenia oczu. Głodny pan, panie Clarot?... Zazdroszczę panu. No, nie zatrzymuję pana, proszę niech pan idzie na obiad...

— Gdybym się mógł ośmielić, panie dyrektorze... to... z całego serca... Moja żona doskonale przyrządza sztukę mięsa...

Clarot z heroizmem, na jaki w pewnych momentach zdobywają się ludzie nieśmiali, z miejsca zaryzykował swe zaproszenie. Zostało przyjęte. Umówiono się na najbliższy czwartek... Obiadek familijny bez ceremonji, z łokciami na stole.

Uniesiony radością urzędnik zapomniał zmienić swą zaplamioną kurteczkę biurową, krzywo zawiązał szalik na szyi, nałożył kapelusz na bakier i wyszedł, triumfalnie powiewając połami płaszcza. Przybył do domu szczęśliwy, upojony, promieniejący i podzielił się z małżonką sensacyjną wiadomością.

Pani Clarot, przystojna blondynka, łagodna i spokojnego usposobienia, przyjęła ten wylew dziecinnej radości uśmiechem rezygnacji.

— Ależ, Madziu, — rzekł z wyrzutem pan Clarot — wyglądasz, jakbyś nie rozumiała tego, co powiedziałem: Stary będzie tu na obiedzie we czwartek... Człowiek, co zazwyczaj ledwo mówi... Ot, masz, do kasjera, który pracuje w firmie od dwudziestu lat, zwrócił się nieoficjalnie w ciągu całego tego czasu raptem dwa razy... Już ja tam, choć może wyglądam na niezaradnego, potrafię pchać się naprzód nie gorzej od innych. Gdybyś mię była słyszała jak mówiłem: "Moja żona, panie dyrektorze, znakomicie przyrządza sztukę mięsa..." To ci dopiero koledzy porozdziawiają gęby, gdy się dowiedzą, że stary przyszedł do nas na obiad...

Termin "stary" drażnił Magdalenę; żachnęła się z irytacją, lecz natychmiast opanowała się, pogłaskała mężowską głowę tkliwym gestem macierzyńskim, oznajmiając:

— Ha, zrobi się co tylko będzie można, żeby obłaskawić tego smoka! — i dotknęła jego pokornego czoła swemi kształtnemi wargami.

Przybycie znakomitości tego kalibru do tak szczupłego apartamentu wymaga szeregu robót przygotowawczych, nieznanych szczęśliwcom tego świata i zdolnych rozrzewnić najtwardsze serca. Obmyślenie potraw zajęło cały długi wieczór. Postanowiono uraczyć gościa, poza ową sztuką mięsa, zupą cebulową z serem, karpiem po alzacku, oraz omletem z rumem. Przez całą niedzielę Clarot, wyśpiewując na cały głos wciąż tensam refren wojskowej piosenki, czyścił mocno zużyte srebra i prostował koślawe widelce.

— Służyły jeszcze matce mojej babki... To, uważasz, antyki. Pan Gibmuller, jako znawca, potrafi je ocenić.

Kwestja kwiatów wywołała spór między małżonkami. Magdalena chciała mieć ich dużo, aby tem przybraniem pokryć cokolwiek nędzę jadalni, z tym mizernym kredensikiem, wypatroszonemi krzesłami i kompotjerką z wymalowanym na niej krwawiącym z nosa rogaczem.

— Pan Gibmuller — przekładał Clarot, — nic nie będzie miał przeciw zapachowi zupy cebulowej. To człek pełen prostoty, choć ma fortunę wielomiljonową. Przyjedzie pewno własnym samochodem... Znam szofera i nie okazuję mu wyższości mego stanowiska, gdyż wiem, że ma spory wpływ na starego... Gibmullera obliczam na jakie cztery miljony conajmniej. Przy siedmiu procent wypada mu dwieście osiemdziesiąt tysięcy renty; pozatem bronzy dają mu pięćdziesiąt tysięcy... Ha, żeby nas tak obdarzył tylko jednem swem półroczem, moglibyśmy wybrać się do Bretanji... Bo rachuję siedem procent, ale można śmiało liczyć osiem...

— Oh — przerwała Magdalena — to nam do kieszeni ani grosza nie wsadzi.

Wieczorem przybyła w odwiedziny mizerna para przyjaciół — on profesor rysunków, ona nauczycielka. Clarot wskazał im krzesło, na którem zasiądzie pan Gibmuller, miejsce, które zajmie przy stole.

— Jegomość, co może wydać dziennie blisko półtora tysiąca franków! — objaśniał.

Jego radosna paplanina oszołamiała żonę. Magdalena przeżywała właśnie ów okres, w którym kobiety, co nigdy nie zaznały szczęścia, wspominając ubiegłe lata, żałują jedynie ich beztroski; miała w całej postaci ten osobliwy blask,

jakiego nabiera uroda niewieścia w swej ostatniej, przedzmierzchowej godzinie.

Lustra w jej mieszkaniu były nieliczne i niewielkich rozmiarów. Przyglądała się tylko swym rękom; na nich stwierdzała powolny odpływ młodości, na tych dłoniach schnących i nadmiernie zeszczuplałych. Gdy się im przypatrywała, miała w oczach taki wyraz, że Clarot, choć nie grzeszący finezją umysłu, pytał strwożony: "Co ci jest?" Magdalena podnosiła głowę i zdobywała się na uśmiech.

— Nie wiem co się z tobą dzieje — bełkotał mąż. — Nie jesteś jak wszyscy ludzie.

Nadszedł wreszcie ów czwartek. Około godziny siódmej Magdalena, nie mogąc dłużej znieść hałaśliwej obecności małżonka, posłała go do miasta po ciastka i likiery. Stara Celestynowa, przychodnia posługaczka, która musiała podawać do stołu, oddaliła się również, aby przywdziać swe najlepsze obleczenie.

Magdalena została sama; rozmieściwszy nakrycia na stole, przypasała sobie niebieski fartuch i, z rumieńcami na licach, doglądała gotującej się zupy, oraz zdobiła pietruszką i trybulką tęgiego karpia, obficie obłożonego galaretą.

Nagle ozwał się dzwonek.

— Celestyna używa schodów kuchennych... mąż ma swój własny klucz do mieszkania... Zatem to z pewnością pan Gibmuller — skombinowała z przerażeniem.

Pobiegła do przedpokoju i stanęła: za drzwiami usłyszała głośny oddech starca zasapanego po przebyciu sześciu pięter. Otworzyła.

—Czy tu mieszka pan Clarot?

Magdalena, w półmroku, rzekła umyślnie zmienionym głosem:

— Proszę, niech pan wejdzie. Państwo za chwilę powrócą.

Wprowadziła go do jadalni i chyłkiem zemknęła do kuchni.

— Trzeba będzie jaknajprędzej przejść do sypialni, aby się przyczesać i umyć ręce — myślała. — Także pomysł... przychodzić punkt o siódmej!

Zabrała się do przygotowywania omletu.

Pan Gibmuller tymczasem nudził się. Przypominał najdokładniej karowego króla swą tuszą, brodą, włosami, które nosił dość długie, gwoli zaznaczenia, że jego przemysł graniczył ze sztuką.

Pochlebił mu widok umieszczonej na honorowem miejscu fotografji z podpisem: "Bronz, ofiarowany panu Symeonowi Gibmullerowi przez wdzięczny personal". Potem przyjrzał się zegarowi, tudzież gruszkom przedstawionym na jednym obrazie; kwiaty obrzucił spojrzeniem pobłażliwej pogardy, wytarł nos, siadł, powstał, począł żałować swego przybycia, i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi do kuchni.

Magdalena, pochylona nad garnkiem z zupą, przeczuła katastrofę i zaparłszy dech, stała nieporuszona.

— Dalibóg, wspaniale tu pachnie u panienki! — wykrzyknął pan Gibmuller. — Mam wrażenie, że będziemy mieli sztuczkę mięsa pierwszej klasy. I karp po alzacku! To mi się podoba, choć zresztą nie jestem Alzatczykiem; jestem rodem ze Szwajcarji, alem prawdziwy Francuz, moja śliczna dziewuszko, dziarski na każde zawołanie, a grzeczny z damami... Ale panienka, niema co, jest bardzo ładna... Czemuż taka nieśmiałość?

Magdalena stała jak z kamienia.

— Hej — mówił dalej wesoło pan Gibmuller — niezawsze przecie miałem sześćdziesiąt lat i dobrze wypchaną kieskę... Pamiętam czasy, gdy z wiktem bywało ciężko... Ale, hm... panienki gustowały we mnie; nazywały mnie "Ko-ko-pięknooki", woziłem je do Nogent na wycieczki... No, proszę obrócić się troszeczkę, niechże przypatrzę się tej buzi z frontu... Nie łaska?... Ha, trudno, zgadzam się i na profil! Oj, to ci uciecha! Fe, jaka złośnica! Udaje, że szuka licho wie czego w garnku, i buzi nie pokaże... Czekaj-że!

Magdalena słyszy ten cały monolog niby skroś jakąś koszmarną mgłę. Myśli tylko o tem, jakby się schować, ukryć swe przybrudzone ręce, spotniałą twarz, rozwichrzone włosy, lecz oddech pana Gibmullera dociera tuż do niej — i nagle uczuła na policzku muśnięcie wilgotnych warg...

Biedaczka wydała tak straszny okrzyk zdumienia, wstydu i wstrętu, że starzec zaniepokojony cofnął się do saloniku i grzecznie usadowił się na nowo.

— Za moich czasów — rozmyślał Gibmuller — kuchareczki nie były takie dzikie. Ta wrzasnęła, jakby ją ukąsiła jadowita bestja. Do licha! Gdy się zaprasza na obiad swego zwierzchnika, możnaby w każdym razie uprzedzić służbę. Jeszcze to cielątko gotowe wszystko opowiedzieć swym państwu i ośmieszyć mnie...

Po chwili zanucił:

— *Mam w kieszeni nowiutkiego talara — dla dziewuszki...*

W tej samej chwili w zamku zazgrzytał klucz i do pokoju wpadł pan Clarot, obładowany butelkami i paczkami.

— Ach, mój Boże! Pan dyrektor tu — a gospodarza niema! Najserdeczniej przepraszam, panie dyrektorze...

— Przyszedłem zawcześnie — rzekł pan Gibmuller. — Proszę sobie nie robić żadnej subjekcji z mojego powodu.

Clarot zaprotestował. Subjekcji? Skądże! Przyjmie się pana dyrektora oczywiście z całym respektem, należnym jego wysokiemu stanowisku, ale stosownie do umowy, bez żadnych ceremonij.

Zaczem urzędnik jął gawędzić o biurze, o gońcu Saturninie, którego ledwie można zrozumieć, bo ma dziurawe podniebienie, o kasjerze, jaki to poczciwy człowiek, ale już cokolwiek zdziadziały...

Zwierzchnik słuchał z roztargnieniem i odpowiadał nie do rzeczy.

Lecz oto wchodzi Magdalena w skromnej sukience niebieskiej, bardzo ładna i bardzo blada.

— Panie dyrektorze — oznajmia uroczyście Clarot — mam zaszczyt przedstawić panu moją żonę...

Stary osłupiał.

Stoi kołysząc się na nogach jak niedźwiedź i w tym krótkim momencie milczenia pojmuje rozterkę młodej niewiasty, która zapewne ma go za łotra i drży z obawy, że dyrektor pomści na urzędniczynie doznany przed chwilą despekt. Zdaje sobie zarazem sprawę z zamieszania spowodowanego jego wizytą, ze skutków wykosztowania się na obiad... Tak, tak, on zna to wszystko... wie, jak się czyści srebra, jakgdyby od ich połysku cała przyszłość zależała, jak się drży o to, czy aby ryba dość świeża, czy się mięso nie przypaliło...

Wziął panią Clarot za kucharkę. Jaka fatalna przygoda!

I Gibmuller napróżno głowi się, jakiemi słowami prosić o przebaczenie.

— Jestem bardzo wzruszony,- proszę pani... — mówi wreszcie. — Rozumiem wiele rzeczy, chociaż dziś jestem już starym głupcem,

POCAŁUNEK

(Dokończenie ze stronicy 147-ej.)

bo za długo żyję w bogactwie... Te kwiaty... ten kredens, ta lampa... Znam to wnętrze, tę domową atmosferę... oddychałem nią wraz z moją biedną żoną... Nasza jadalnia była całkiem podobna do waszej i to mnie roztkliwia niemal do łez...

Zaczem, chcąc zmazać tamten wstrętny pocałunek, pan Gibmuller rozwiera po ojcowsku ramiona i głosem pełnym szacunku bełkoce:

— Ot, widzi pani, tak bym pragnął... Niechaj mi będzie wolno panią ucałować!

Miłość ojczyzny—o! to słońce świetne,
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą,
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą—
Świetniejsze serca wylatują przodem,
Umrą—ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament—to hasła.
J. Słowacki.



Zniszczony gmach "Prudential" w Warszawie



Kazanie Ks. Skargi przez Jana Matejkę.



URUGWAJ

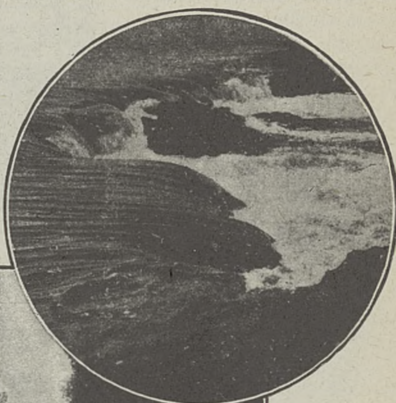


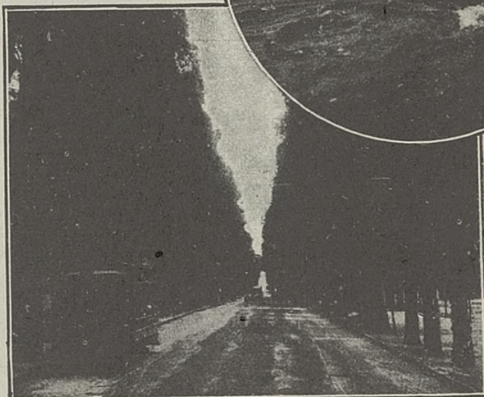
KRAJ I MIESZKAŃCY



Plaża pod Montewideo.

Fantastyczne wybrzeża Urugwaju.





Urugwaj. Aleja eukaliptusów w pobliżu Colon.

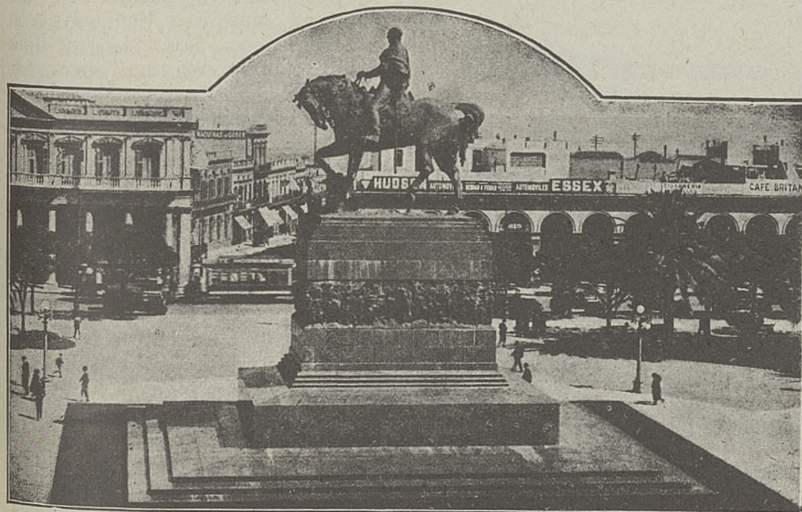
URUGWAJ (Republica Oriental del Urugwaj) jest najmniejszą z licznych republik Ameryki południowej. Rozłożona nad oceanem Atlantyckim na przestrzeni mniejszej niż połowa obszaru Polski, ma 1,800,000 mieszkańców. Jest to najgęściej zaludniony kraj Ameryki Południowej, gdyż żadne państwo na tym kontynencie nie wykazuje dziesięciu głów na kilometr kwadratowy, jak wykazuje Urugwaj.

Trzecia część ludności całego kraju skupiła się w stolicy Urugwaju, Montewideo, która liczy około 600,000 mieszkańców, czyli jest czwartem z rzędu największem miastem Ameryki Południowej.

Montewideo leży na obszernym cyplu między zatoką oceanu Atlantyckiego i rzeką La Plata. Nad olbrzymią rzeką ciągną się plaże i parki, zatokę obramowały fabryki i dzielnice robotnicze. Port, zabezpieczony u wejścia potężnemi wałami, nie jest głęboki i wymaga ciągłego pogłębiania. La Plata bowiem niesie mnóstwo mułu i piasku, zaścielając ujście aż daleko w ocean.

Ognisko stolicy znajduje się na półwyspie w sąsiedztwie portu i stacji kolejowej. Jest to stara dzielnica, z pamiątkami czasów kolonjalnych. Tu, na przestrzeni kilkunastu ulic, skupiły się banki, giełda, firmy wielkiego handlu, przedstawicielstwa, konsulaty i inne biura. Wąskie ulice zapychają się w godzinach ruchu do tego stopnia, że samochody i tramwaje poruszają się bardzo powoli i tworzą długie sznury. Ruch uliczny jest wyłącznie jednostronny. Ulice poprzeczne stanowią miejsca postoju samochodów prywatnych i tak są zastawione, że nieraz trudno przejść z jednej strony ulicy na drugą.

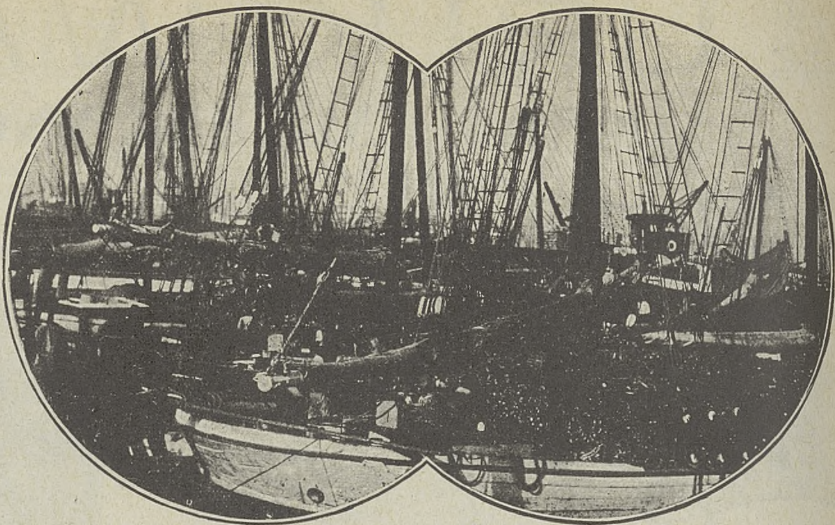
U podstawy półwyspu leży obszerny Plac Wolności, mający na środku pomnik wzniesiony ku czci Artigasa, ojca niepodległości urugwajskiej. Po wschodniej stronie skromny pałacyk prezy-



Montewideo. Plac Wolności z pomnikiem Artigasa.

denta republiki. Naokoło, obok starych, zaniedbanych budowli, czekających na rozbiórkę, wznoszą się w górę wysokie gmachy nowoczesne, z których najwyższy ma aż 26 pięter.

Przedmieścia leżą za wspaniałym bulwarem, opasującym miasto od morza do zatoki dwoma ramionami. Tu dopiero widać różnicę między bogactwem a nędzą. Wspaniałe rezydencje i wille, budowane ogromnym kosztem, stanowią oddzielne, zamknięte w sobie grupy, ubogie domki także osobne tworzą dzielnice.



Fragment portu w Montewideo. Żaglowce z węglem.

Zamożny mieszkaniec miasta Montewideo posiada zazwyczaj dwa domy lub mieszkania: w mieście na zimę, na lato zaś na przedmieściu w pobliżu plaż morskich. Plaże urugwajskie zjednały sławę temu krajowi. Corocznie ściągają tam tysiące turystów z Argentyny, Boliwji i Paragwaju, a nawet dalszych krajów. Wtedy roją się nadmorskie piaski jak plaże europejskie. "Haciendero" przybywa z głębokich pampasów by wypróżnić nabity trzos, gdyż usłużny Urugwaj przygotował dla niego nietylko wspaniałe plaże i hotele, ale i ruletkę.

Wybrzeża Urugwaju.

Fragment portu w Montewideo.

Dzielnice robotnicze przedstawiają przygnębiający i smutny widok. Próżno tam szukać domów z drzewa lub z cegły. Wszystko klatki z blachy. Urugwaj, kraj stepów i pampasów nie posiada drzewa, trudno tam o opał i materjał budowlany. W Brazylji, robotnik skupuje po trochu drzewo i deski i buduje własny domek, w Urugwaju zaś zbiera bańki blaszane od nafty, rozprostowuje je i pokrywa tą blachą wiązania swego domu. Po pewnym czasie pokrycie, wystawione na działanie deszczu i słońca, powleka się rdzą, która wygryza dziury i wtedy sklecony tak dom daje opłakany obraz.

Rzecz jasna, że w takich, blachą dokoła krytych domach, mieszkanie jest nadzwyczaj przykre. W lecie, gdy promienie słońca rozgrzeją blachę, w domu jest gorąco jak w suszarni, w zimie zaś, chłód doskwiera, jak w psiej budzie. A klimat tamtejszy wcale nie jest tak ciepły, żeby nie potrzeba dobrego i ciepłego schronienia. Od Europejczyków nieraz słyszy się narzekania, że nigdzie tak nie przeziębli, jak właśnie w Urugwaju. W mieszkaniach niema tam pieców, brak zwykłego zaopatrzenia na zimę, w oknach i drzwiach szpary. Nocne powietrze bywa przenikliwie zimne, a gdy wieje wiatr południowy lub w razie zbliżenia się gór lodowych na oceanie, temperatura spada do zera i niżej.

Mieszkaniec Urugwaju, należący do biedniejszej sfery, pędzi żywot marny i znosi wiele niewygód. Kuchni w domach ubogich wcale niema. Przeciętne mieszkanie na przedmieściu ma na podwóreczku przystawkę lub tylko małą budkę, także blachą obitą, tak ciasną, że najwyżej dwie osoby pomieścić się w niej może. W zakamarku tym, zazwyczaj ciemnym, mieści się rodzaj nalepy i to jest cała kuchnia. W nalepie znaj-

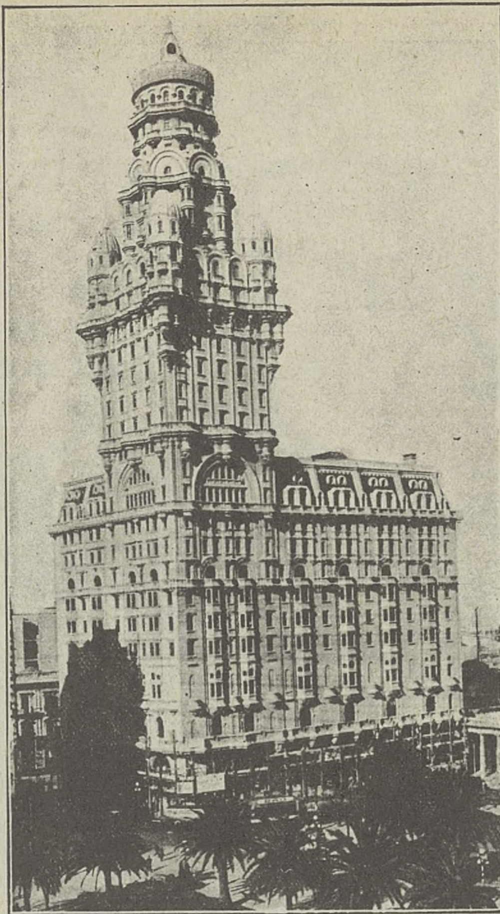
dują się otwory na węgiel drzewny, lecz tych rzadko tam używają. Gospodyni urugwajska posługuje się przeważnie maszynkami naftowemi do gotowania. Nawet mniejsze hotele i pensjonaty gotują obiady na szwedzkim prymusie.

Budownictwo urugwajskie posiada pewne swoje właściwości. Domy są wąskie, a za to głębokie. Wysokie ceny ziemi pod budowę w mieście zmuszają właścicieli do wykorzystania każdej stopy i wskutek tego domy w Montewideo nie mają podwórek. Miejsce ich zajmują tak zwane "Patio" coś w rodzaju staro-rzymskiego wnętrza. Jest to jakby pokój w środku domu, wyłożony tafelkami, nie mający dachu. Patio spełnia często rolę salonu i nierzadko zastępuje balkon. Pełno w niem bywa kwiatów doniczkowych, zupełnie jak na naszych balkonach lub werandach. W razie deszczu zaciąga się nad patio kopułę szklaną.

Domy w Montewideo mają przeważnie zupełnie płaskie dachy. W budownictwie przoduje żelazo-beton. Montewideo nabrało w ostatnich czasach ogromnego rozmachu do budowy i jest pokryte szkieletami z żelaza i cementu. Szkielet taki dostaje powłokę zewnętrzną i wewnętrzny podział z cegieł.

Ludność Urugwaju jest pochodzenia przeważnie śródziemnomorskiego. Trzon główny stanowią Hiszpanie i Włosi, do nich przyczepili się Portugalczycy, Grecy, Jugosłowianie, Polacy, Bułgarzy, Syryjczycy. Murzynów i mulatów niewielu. W rozwoju dziejowym Urugwaju mieszanina ras nie odegrała takiej roli, jak w innych republikach południowych. Był to kraj pasterski, bez kopalń i plantacyj, obszedł się zatem bez pomocy niewolników afrykańskich. Z mieszaniny krwi europejskie i tubylczej wyrósł "gauczo", półdziki pastuch, którego można napotkać w głębi kraju, lecz w Montewideo należy do rzadkich zjawisk.

Urugwaj zawdzięcza swą niepodległość nieporozumieniom pomiędzy możnymi sąsiadami. Ujście rzeki La Plata zajęli Hiszpanie jeszcze w początku XVI wieku, lecz Portugalja jak i Brazylja w długich wojnach usiłowały wydrzeć dla siebie lewy brzeg. Żaden z przeciwników nie zdołał jednak utrzymać się w Urugwaju na stałe i pampasy między rzeką a Atlantykiem przechodziły ciągle z rąk do rąk, póki nie zgodzono się na utworzenie państwa buforowego, co stało się przeszło sto lat temu.



Montewideo. Plac Wolności. Najwyższy budynek, pałac Salvo.

Rola zapory między niezgodnymi sąsiadami przez długi czas była bardzo ciężka i przykra. W Urugwaju trwały ciągle rewolucje i okupacje. Dopiero pod rządami znakomitego polityka, dwukrotnego prezydenta Józefa Baatlego, kraj uporządkował sprawy wewnętrzne i z charakteru miedzy granicznej potrafił wyciągnąć dla siebie korzyści nietylko polityczne ale i gospodarcze.

W teraźniejszym czasie Urugwaj jest najbardziej skonsolidowanem państwem w Ameryce Południowej, wolnem od wszelkich zaburzeń i przewrotów, co w tej części świata jest rzeczą nadzwyczajną. Dwie główne partje polityczne, biali i czerwoni, załatwiają swe spory na drodze legalnej i równoważą się co do siły. Konstytucja urugwajska jest wzorowana na szwajcarskiej. Z a p e w n i a swobodę tak jednostce jak i wszelkim dążeniom społecznym i szczególną opieką stara się otoczyć sfery pracujące. Prezydent republiki ma w ręku siłę zbrojną, sprawy zagraniczne i naczelną reprezentację. Reszta, jak sprawy wewnętrzne, szkolnictwo, przemysł, handel i inne podlegają Radzie Narodowej. Imigracja i kolonizacja podlegają ministerstwu przepysłu.

Przyroda odmówiła Urugwajowi skarbów naturalnych. Kopalnie tego kraju są nieliczne i niezbyt wydajne. W Urugwaju znajdują po trosze złota, srebra, miedzi, ołowiu i lignitu. Pozatem cały kraj jest płaszczyźniany, mniej nadający się do rolnictwa, a natomiast odpowiedni do hodowli bydła i koni na wielką skalę. Tabuny krów, i koni, oraz stada owiec wypasają się na rozległych stepach i stanowią najważniejszą gałąź gospodarstwa krajowego.

W czasach powojennych spora liczba Polaków znalazła się w Urugwaju. W Montewideo jest nawet honorowy konsul polski, Urugwajczyk polskiego pochodzenia, który ma zajmować się sprawami polskich immigrantów.

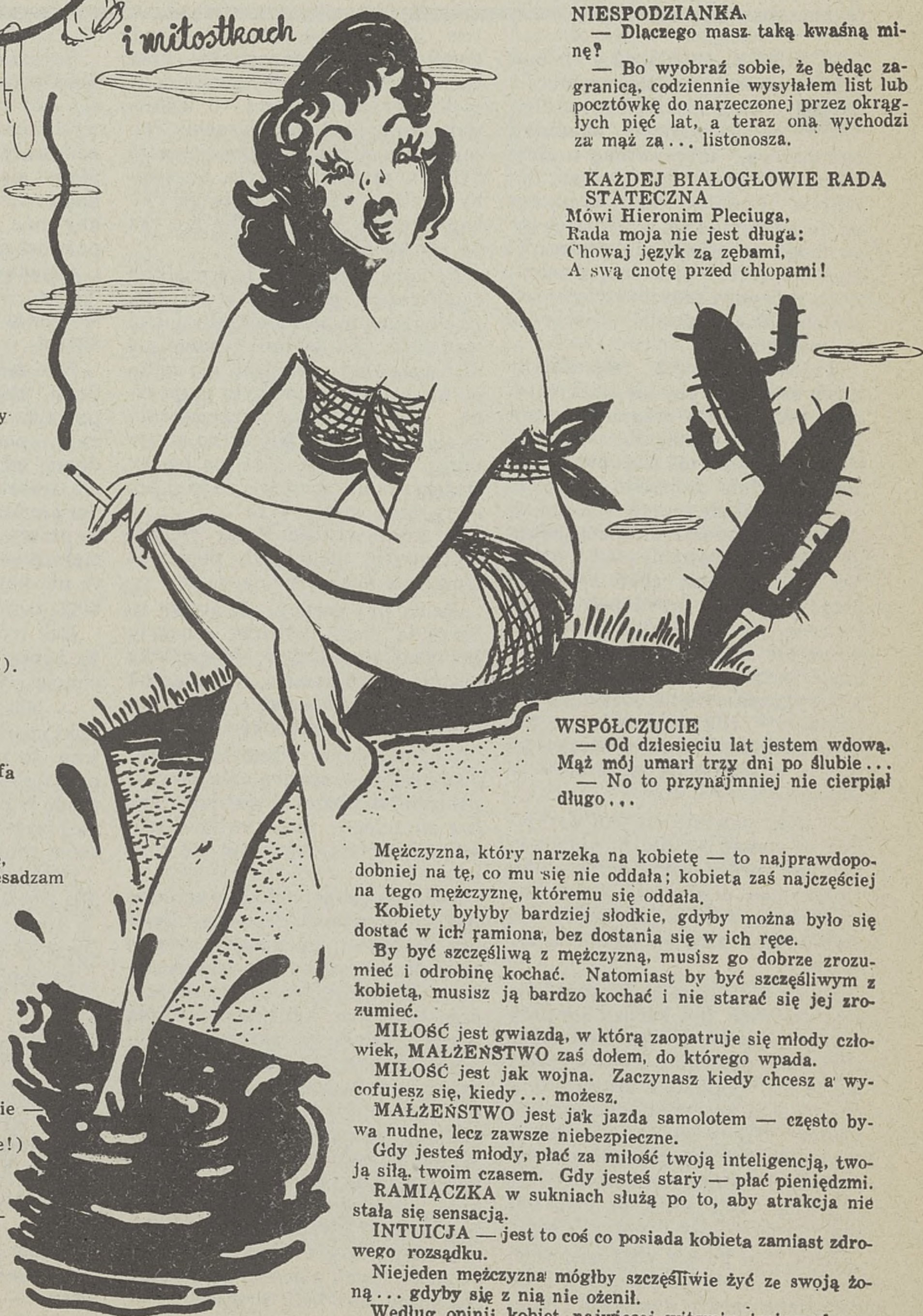
Immigranci polscy w Urugwaju grupują się wyłącznie w Montewideo, gdzie pracują przeważnie w rzeźniach i domach wysyłki mięsa. Praca ta jednak trwa tylko przez lato, a w zimie zakłady rzeźnicze są zamknięte. Dlatego śmiało rzec można, że tamtejsi robotnicy przez sześć miesięcy pracują, a przez drugie pół roku szukają pracy.

Przeciętny zarobek dziennego robotnika wynosi \$1.60 do \$2.00. Byłoby to nieźle, gdyby było zapotrzebowanie na robotnika. Teraz jednak panuje tam przepełnienie i rząd urugwajski ma zamiar ograniczyć immigrację.



Z dorocznej manifestacji 3-majowej do pomnika Kościuszki w parku Humboldta w Chicago pod pomnikiem T. Kościuszki za staraniem Okręgu 12 i 13 Z. N. P.

o Kobietach i miłostkach



PRZESADA

Każdy z nas na tym świecie
Ma skłonność do przesady.
Rodzimy się z tym przecie
I nie ma na to rady

Minister i robotnik,
Poddany, czy też władca,
Żołnierz, marynarz, lotnik,
Ach, każdy z nas przesadza

Przesadza lekkoatleta
Podczas wyścigu — plotki,
Rzeźbierz, muzyk, poeta
I ogrodnik — stokrotki

Przesadza w szkole „teacher"
Rozbrykaną dzieciarnię.
Przykładów tych nikt nie zliczy
I nikt ich nie ogarnie

I tu mą myśl zagradza
Wniosek nieunikniony,
Że ona też przesadza.
(Aluzja do mej żony)

Otóż tą moja żona
To osobliwość niezwykła.
Zresztą by was przekonać,
zaraz wam podam przykład

Przyśniło się coś niebodze,
Gdyż twierdzi, (przebacz luba!).
Że jest piękna — ach drodzy,
To przesada zbyt gruba!

To tak jakby ktoś (tu strofa
Przesady odrobiną
Nabrzmiała) porównał Karloffa
Z Rudolfem Valentino

Chcąc udobruchać żonę,
Ja zawsze się z nią zgadzam.
Zawsze? — Tu wstydem płonę,
Gdyż — psiakrew! znów przesadzam

Nieraz jej ostro odpowiem
Gdy miarka się przebierze.
A ona na mej głowie
Tłucze wszystkie talerze

Wszystkie? — hola, wyraźnie
Przesadzam: Kilka zostaje
(Jakto człek wyobraźni
Łatwo unieść się daje)

Żyś z mą żoną — to męka
Żyś bez niej walałbym — wiecie —
Wszędzie (przesada maleńka,
Bo w Rosji — za nic w świecie!)

Lecz w błędne koło wpadam,
Z którego wybrnąć trudno
Więc kończę — tak wypada —
Tę mą „balladę" nudną

Nudną, gdyż wiem i mnie to
Boli, że rzadko dogadzam
Komuś — a nigdy kobietom
(Tym razem nie przesadzam)

ZAGŁUSZONY SZUM NIAGARY

Przewodnik oprowadzający grupę kobiet: — Stoimy obecnie przed słynnym wodospadem NIAGARA. Jeśli panie przestaną na chwilę rozmawiać, będziemy mogli usłyszeć jego potężny szum.

PRAKTYCZNY NARZECZONY

— Wyobraź sobie, moja droga, że ilekroć mamy randkę, mój narzeczony ciągnie mnie do muzeum.
— To ciekawe. Cóż on studiuje?
— Ekonomię

NIESPODZIANKA

— Dlaczego masz taką kwaśną minę?
— Bo wyobraź sobie, że będąc zagranicą, codziennie wysyłałem list lub pocztówkę do narzeczonej przez okrągłych pięć lat, a teraz oną wychodzi za mąż za... listonosza.

KAŻDEJ BIAŁOGŁOWIE RADA STATECZNA

Mówi Hieronim Pleciuga,
Rada moja nie jest długa:
Chowaj język za zębami,
A swą cnotę przed chłopami!

WSPÓŁCZUCIE

— Od dziesięciu lat jestem wdową. Mąż mój umarł trzy dni po ślubie...
— No to przynajmniej nie cierpiał długo...

Mężczyzna, który narzeka na kobietę — to najprawdopodobniej na tę, co mu się nie oddała; kobieta zaś najczęściej na tego mężczyznę, któremu się oddała.

Kobiety byłyby bardziej słodkie, gdyby można było się dostać w ich ramiona, bez dostania się w ich ręce.

By być szczęśliwą z mężczyzną, musisz go dobrze zrozumieć i odrobinę kochać. Natomiast by być szczęśliwym z kobietą, musisz ją bardzo kochać i nie starać się jej zrozumieć.

MIŁOŚĆ jest gwiazdą, w którą zaopatruje się młody człowiek, **MAŁŻEŃSTWO** zaś dołem, do którego wpada.

MIŁOŚĆ jest jak wojna. Zaczynasz kiedy chcesz a wycofujesz się, kiedy... możesz.

MAŁŻEŃSTWO jest jak jazda samolotem — często bywa nudne, lecz zawsze niebezpieczne.

Gdy jesteś młody, płać za miłość twoją inteligencją, twoją siłą, twoim czasem. Gdy jesteś stary — płać pieniędzmi.

RAMIĄCZKA w sukniach służą po to, aby atrakcja nie stała się sensacją.

INTUICJA — jest to coś co posiada kobieta zamiast zdrowego rozsądku.

Niejeden mężczyzna mógłby szczęśliwie żyć ze swoją żoną... gdyby się z nią nie ożenił.

Według opinii kobiet najwięcej witamin życiowych posiadają... banknoty.

G. MORRIS

LEKARSTWO NA BÓL GŁOWY

PERCY PELHAMA bolała głowa. Siedział na krześle w Regents Parku i stukał po asfaltowym chodniku bambusową, zakrzywioną u góry laską. Ból głowy dokuczał mu dotkliwie. Pierwszy raz w życiu mu się to zdarzyło i nie miał nic, co by go mogło w utrapieniu pocieszyć. Myśl o operetce, po której przegrało się w brydża znacznie więcej niż można sobie pozwolić, pociechą być nie mogła.

Percy próbował najrozmaitszych środków, aby się pozbyć tępego bólu między oczami, nic mu jednak nie pomagało. Przedesię to zdarzyło i nie miał nic, co by mu porządnie zakręciło w nosie, potem starał się leczyć jajkami ze szpinakiem, odczytywaniem jednego z popołudniowych pism, które już sprzedawano, choć była dopiero jedenasta przed południem, lekkiem cygarem,—ale i to wszystko na nic się nie zdało. Trzy męczące partje tenisa przekonały go, że i wypocenie się na ból głowy nie pomaga. Nie uzdrowiła go też dwugodzinna, leniwa włóczęga po parku w mglistem, wrześniowem słońcu.

— Nie powinienem się przejadać — stękał. — Nie powinienem nic pić, prócz wody mineralnej. Dotychczas nigdy mię głowa nie bolała, więc albo to jest coś bardzo niedobrego, albo też znak, że się starzeję.

Percy Pelham miał lat dwadzieścia dziewięć, był bardzo zgrabny i przystojny. Twarz miał może zbyt mało ożywioną i bez wyrazu, ale to nie wynikało z braku inteligencji, lecz ze spokojnego usposobienia. Nigdy się nie uśmiechał, chyba że już coś musiało go naprawdę i bardzo rozweselić, ale wówczas zato uśmiech jego był tem bardziej miły i rozbrajający.

Ktoś, kto go nie znał osobiście, mógłby sądzić, że ma przed sobą człowieka bardzo dumnego, ponieważ Percy poruszał się powoli (o ile znów nie biegał i nie skakał gwałtownie, jak naprzykład, przy tenisie) i byłby zachwycony jego piękną rzymską głową o wyniosłem czole, okolonem jasnemi włosami. Ale gdyby miał przyjemność być mu przedstawionym, odszedłby z miłem wrażeniem, że go Pelham wysoce ceni, i byłby mu raz na zawsze oddany.

Pelham mógłby był być wielkim człowiekiem, gdyby żył w czasach, gdy ludzie nie potrzebowali szukać stanowisk, bo godności same na nich spływały. Nigdy o nic nikogo nie prosił i to też było przyczyną, jak niektórzy utrzymywali, że się nie żenił. "Nie tylko utrzymuje," mówiono, "że najlepszy mężczyzna nie wart jest żadnej kobiety, ale i wierzy w to".

W rzeczywistości Percy Pelham dlatego się nie ożenił, ponieważ nigdy nie kochał się naprawdę.

Dzień był gorący. Miarowe uderzenia laski Pelhama znaczyły już ślad na asfalcie. Wiewiórka przypadła do krzesła, czekając na orzechy, i uciekła nagle, spłoszona odgłosem czyichś kroków.

— Następnym razem trzeba będzie przynieść ze sobą orzechów — pomyślał Pelham i odwrócił się, bez zbytniego zaciekawienia zresztą, chcąc zobaczyć, kto się zbliżał.

Była to jakaś młoda kobieta. Ale nie wyminęła Pelhama. Usiadła na ławce po drugiej stronie alei i poczęła się bawić srebrną monetą. Twarz jej, ocieniona olbrzymim czarnym kapeluszem, była bardzo ładna. I ogromnie było jej do twarzy w fantastycznych kolczykach ze starego hiszpańskiego szkła.

Percy przestał myśleć o bólu głowy. Obserwował swoją sąsiadkę. Kapelusz, kolczyki, czarna suknia, bezpretensjonalnie wycięta pod szyją w kwadrat, pełna, okrągła szyja, ręce o długich, zlekka zaokrąglonych palcach, utrzymane starannie ale bez przesady, — wszystko to przypadło mu do upodobania.

Spojrzał na jej nogi. I nogi podobały mu się. Nie zastanawiał się nad tem, czy czarne buciki z wysokiemi czerwonemi obcasami nadawały się do noszenia. Przyglądał się jej nieznacznie i poczuł nagle, że pragnąłby ją poznać, aby móc z nią rozmawiać. Przypomniał sobie o swoim bólu głowy i zaciekawiło go, czy rozmowa z młodą, ładną kobietą może być skutecznem na ból głowy lekarstwem.

Nie mógł pochlebiać sobie jednak, aby ją zaintrygował. Nie patrzyła na niego. Bawiła się monetą, podrzucając ją czasami na dłoni; gdy nie zdążyła jej schwycić, srebrny krążek gubił się w fałdach sukni na kolanach i na chwilę przerywała zabawę. To znów, marszcząc brwi, spoglądała, niby to nie patrząc, na czubki trzewików.

Raz wydało się Percy Pelhamowi napewno, że usłyszał jak westchnęła. Poczęła go intrygować.

— Nie odejdę — myślał — dopóki ona będzie tu siedzieć. To pewne, że nie odejdę. Ale gdy się podniesie, zostanę na krześle, albo pójdę w przeciwną stronę. Byłoby nieprzyzwoicie iść za nią. Co ona znów robi?...

Obracała monetę między wielkim i wskazującym palcem. Nagle — mocny prztyk! i pieniądz wyleciał na dwanaście stóp w górę.

Pelham zatknął ręką usta. O mało nie wykrzyknął: "Reszka!" Spadając, pieniądz ominął wyciągniętą rękę właścicielki, upadł na asfalt i, zatoczywszy półkole na chodniku, zatrzymał się z tem złośliwem wyrachowaniem, jakie miewają czasami martwe przedmioty, u samych stóp Pelhama.

Pelham chwycił go i wstał z krzesła.

—Co ja za głupstwa wyprawiam! — odezwała się młoda kobieta. — Dziękuję panu bardzo. Czy pan nie zauważył, na którą stronę upadło?

— Na żadną — odparł Pelham.
— Chwyciłem pieniądz, nim zdążył upaść. Jeśli pani chciała powziąć w ten sposób jakąś ważną decyzję, najserdeczniej przepraszam. Nie zrobię tego więcej.

— Ale, skoro się pan na to odważył — odparła — szkoda... że strzał spalił na panewce, że się tak wyrażę.

Percy Pelham uśmiechnął się najbardziej czarującym ze swych rozbrajających uśmiechów.

— Zdaje mi się, że porównanie jest zbyt dramatyczne...

— Ciekawa byłam...

— Jeśli pani ma jakąś wątpliwość — ciągnął Pelham — może zmysł krytyczny osoby postronnej...

— Co innego mnie martwi — przerwała mu.—Jestem zgorszona mojem postępowaniem. Gdy pan zwrócił pieniądz, dama powinna była panu podziękować i na tem koniec. Mógłby pan wrócić na swoje miejsce i dziurawić dalej laską publiczny chodnik. Ale ja zwróciłam się do pana z zapytaniem, jak to upadło, pan mi odpowiedział, że pan nie wie i wiedzieliśmy już oboje lepiej, niż się za pozór mogło zdawać, że to jest wstęp do rozmowy. Jest to bardzo źle z naszej strony.

— Stało się — odparł Pelham i znów się uśmiechnął.

— I ja tak sądzę — odpowiedziała młoda kobieta. — Więc... więc... może pan usiądzie?

Usiadł przy niej z wielkiem zadowoleniem.

— Właśnie zaczęła mi pani opowiadać — odezwał się, — co to miała być za wróżba.

— Tak? — odparła szyderczo.— Nie jestem pewna. Zdaje mi się, że zaczęłam panu mówić... — urwała, spoglądając ukradkiem na czubki butów i roześmiała się krótkim, gardłowym, rozkosznym śmiechem.

— Już wiem teraz — ciągnęła — o czem zaczęłam mówić. Z wielu straconych setek pozostało mi około dwóch funtów. Przyjechałam do Londynu, mniejsza o to skąd, aby się dostać na scenę. Wszystkie prawie pieniądze wydałam na to, aby się dobrze zaprezentować. Przekonałam się jednak, że łatwiej jest przecisnąć się przez ucho igielne, niż dostać się na scenę. Dyrektorzy, którzy mnie widzieli, nie chcieli mię zaangażować.

— Gdybym tego z ust pani nie usłyszał, nigdybym nie uwierzył — odparł żywo Percy.

— Inni nawet widzieć mnie nie chcieli. Stan mojej kasy każe mi powracać do domu, na łono zubożałej rodziny, która posiada bardzo wiele poczucia humoru. Dlatego nie uśmiecha mi się ten powrót. Jestem przekonana, że nawet moja mała siostrzyczka Marta, choć ma dopiero dziewięć lat, zapewni mię, że to przepowiadała. Pozostaje mi druga ostateczność, panie...

Umilkła, pytając go spojrzeniem wielkich, szarych oczu o nazwisko.

Odparł:

— Pelham.

— Drugą ostatecznością jest bogaty człowiek, który by wcale nie miał poczucia honoru. Otóż pieniądz, który rzucałam w powietrze, miał rozstrzygnąć to subtelne zagadnienie. Muszę się znów uzbroić w odwagę i znów cisnąć.

— Nie — odrzekł Pelham.

— Dlaczego nie?

— Czy możliwe jest, aby żaden wróżbita nie przepowiedział pani, że los jej zmieni się na lepsze z chwilą, gdy pani spotka wysokiego blondyna?

— Oh! — krzyknęła — Przecież nie zechce pan wmówić we mnie, że pan posiada wpływy w teatrach!

— Czy nie wyglądam na to?

Powątpiewanie jej nie uraziło go wcale. Pytanie zadał takim tonem, jakgdyby mu chodziło tylko o informację.

— Nie — odparła, — ale może pan zna jakiego dyrektora, który...

— Nie znam żadnego dyrektora — odrzekł poważnie — ale zato znam pewną młodą kobietę, któraby mogłaby być w niektórych rolach uroczą. I połowa sprawy jest już wygrana.

— Trzeba jeszcze wygrać drugą połowę.

— Druga wygra się sama przez się. Zawsze to mam, czego pragnę. Dlaczego tak jest, sam doprawdy nie wiem. Ale udaje mi się.

— Cudownie! — krzyknęła. — Ale czy nie zdarza się panu mieć tego, czego pan nie pragnie?

— Owszem — odparł. — W tej chwili, naprzykład, mam ból głowy.

— Oh! — zawołała ze współczuciem. — Gdzie?

— Nie mówmy o tem — odpowiedział z lekkiem skrzywieniem ust. — Boli mię głowa między oczami.

— Dziękuję panu. — Postaram się to zapamiętać.

Pelham zmieszał się i aby to pokryć, parsknął wesołym śmiechem.

— Czy pani ma — zapytał — jakiegoś upatrzonego dyrektora, do którego trupy chciałaby pani być zaangażowana?

— Oh tak, — odparła. — Do Morrow i Granta. — I dodała:

— W przyszłym tygodniu rozpoczynają próby z "Karjery pana Wildinga". Bardzo bym pragnęła grać rolę Ziff. Jest to dziewczyna, która, że użyję zakulisowego wyrażenia, umie "nabierać". Jestem pewna, że bym doskonale tę rolę zagrała. Trzeba ją grać z niesłychanym wdziękiem...

— W takim razie, jestem pewien, że pani zagrałaby doskonale — odparł poważnie Pelham.

— Jeszcze nikogo na Ziff nie zaangażowali — ciągnęła z ożywieniem — a ja umiem na pamięć rolę. Mogę powiedzieć, że... niech mnie pan nie bierze za warjatkę... że wżyłam się w tę rolę.

— O ile sobie przypominam sztukę — zauważył Pelham, który nigdy nie widział, nie czytał, ani nie słyszał o takiej sztuce — Ziff jest to typ niezwykle uroczego dziewczęcia.

— Widzieć, to nic — ciągnęła, przejęta swoją myślą. — Każda kobieta może widzieć to, co czuje, ale ja, gdy przepowiadam sobie czasami rolę przed lustrem, staję się Ziff. Staję się nią.

Percy Pelham potrząsnął przecząco głową.

—W to nie uwierzę. Pani nie jest typem kobiety, umiejącej "nabierać".

I raz jeszcze potrząsnął głową i powtórzył głosem, jakby do siebie:

— Nie, pani nic w sobie nie ma z tego typu. Nic. Słowo daję.

— Niech mnie pan posłucha. Mam nadzieję, że mi pan dopomoże. Wygląda pan na człowieka bardzo energicznego i dlatego tak na pańską pomoc liczę. Ale absolutnie nie chcę nieporozumień. Ja jestem typem kobiety, umiejącej nabierać, może dlatego, że z takiem przejęciem studjowałam rolę Ziff. W każdym razie umiem nabierać i raz w życiu przynajmniej nabrałam już kogoś.

Pelham potrząsnął przecząco głową.

— Niech mi pani dowiedzie, — odparł.

— Doskonale. Siedziałam tu na ławce. Tam pan siedział. Patrzyłam na pana.

— Przepraszam. Miałem nadzieję, że pani spojrzy, ale w rzeczywistości nie patrzyła pani na mnie.

— Patrzyłam. Ze dwadzieścia razy na pana spojrzałam. Pan o tem nie wiedział, ma się rozumieć. Nie odważyłabym się na to, gdybym nie posiadała pewnej finezji. Przyglądałam się panu i mówiłam do siebie: "To jest człowiek, który, gdyby nie należał do bogatej, próżniaczej klasy, mógłby zajmować wybitne stanowisko w świecie. Dość, aby spojrzał prosto w oczy i zaczął mówić poważnie, a każdy oddałby mu wszystko: głosy przy wyborach, pieniądze, najodpowiedzialniejsze stanowisko — wszystko."

— Oh, cóż pani mówi? — zaprzeczył Pelham, któremu jednak pochlebiało to zlekka.

— Mówiłam sobie — ciągnęła dalej — że gdyby taki człowiek czemś się zainteresował, to włożyłby w to całą duszę i serce i taka rzecz musiałaby się udać. I myślałam, że gdyby był moim przyjacielem i chciał mi dopomóc, to napewno zostałabym zaangażowana i mogłabym grać Ziff w "Karjerze pana Wildinga". Była to więc dla mnie kwestja życia i śmierci i dlatego uciekłam się do podstępu. Czy pan myśli, że to, że pieniądz potoczył się do pana, było przypadkowe?

— Oczywiście — odpowiedział szczerze.

Roześmiała się pogardliwie. I znów moneta, którą się bawiła, wyleciała na dwanaście stóp w górę. Upadłszy z powrotem na ziemię, okręciła się jak fryga, zatoczyła półkole na chodniku i upadła akurat w tem samem miejscu, gdzie laska Pelhama wyżłobiła ślad w asfalcie.

— Kto pani tej sztuki nauczył? — krzyknął zadziwiony.

— Moja mała siostrzyczka Marta.

— Gdyby pani siostrzyczka Marta była mężczyzną — odparł Pelham z akcentem lekkiego wyrzutu w głowie, — nie grałbym z nią w karty o pieniądze.

Wolnym ruchem podniósł się z ławki i schylił po pieniądz.

— A uboga rodzina, posiadająca zbyt wiele poczucia humoru, i bogaty człowiek bez honoru, owe dwie ostateczności, o których mi pani wspominała, czy to również... przypadek?

— Nie — odparła. — I rodzina i ów bogaty człowiek istnieją w rzeczywistości.

— Życie aktorki — zaczął Pelham sentencjonalnym trochę tonem, — życie aktorki jest w ogóle... — i zdał sobie sprawę, że nic o życiu aktorek powiedzieć nie potrafi.

— A ów bogaty człowiek chce pani dopomóc?

— Bardzo nawet tego pragnie. Ale zdaje mi się, że najgorszym błędem dla młodej panny jest wyjść zamąż za człowieka, którego nie kocha. Nie sądzi pan?

— Stanowczo. Powiem nawet, — ciągnął z ożywieniem w głosie, — że bez względu na to ile razy kobieta wychodzi zamąż, nigdy nie powinna wychodzić bez miłości. Zdaje mi się... zdaje mi się, że już znam panią dostatecznie, aby móc prosić, by mi pani to przyrzekła.

— Dobrze, jeżeli pan mi przyrzeknie, że pan się nigdy nie ożeni bez miłości.

— Tego chyba przyrzekać nie potrzebuję! — krzyknął Pelham. — Sama myśl o czemś podobnem napełnia mnie odrazą.

— Wracając jeszcze do mojego podstępu, muszę panu powiedzieć, że i ten pomysł wzięłam ze sztuki. Jest tam scena, w której Ziff, bawiąc się kłębkiem bawełny, rzuca nim tak zręcznie, że kłębek pada wprost pod nogi owemu panu.

— Jakiemu panu?

— Owemu panu, co ma się żenić z panną, której nie kocha.

— I cóż dalej?

— On podnosi kłębek, zaczynają rozmawiać, przysiada się do niej, ona uskarża się na swój los, on przyrzeka jej dopomóc, no, i rzeczywiście w końcu...

Pelham przerwał jej ruchem ręki.

— Niech mi pani nie opowiada zakończenia sztuki. To by mi ją popsuło. Chcę być świadkiem widowiska do końca i przekonać się, czy pani jest tak dobrą Ziff, jak sądzę. Ale sztuka musi być znakomita. O ile mi się zdaje, jest wzięta wprost z życia, czy też raczej nawet życie wzoruje się na niej.

Wstał i machnął w powietrzu laską.

— Czy to jakieś magiczne zaklęcie? — spytała.

— Nie. Mówiłem pani, że wszystko mi się udaje. W tej chwili myślałem o dorożce i dorożka się zjawiła. Teraz pobiegniemy przez trawnik do drogi. Cóż pani o tem myśli?

— Nic nie myślę. Myślałam, że pan chciał uciec. Dopóki jednak pan się zgadza, żebym mu towarzyszyła, nic nie myślę. Mam nadzieję, że uda się nam sprawa z teatrem.

— Ostrożnie — przerwał Pelham, odchylając gałęź buku, żeby mogła przejść pod nią.

— A jakiż jest adres panów Morrowa i Granta?

Klasnęła radośnie w dłonie.

— Więc pan na serjo postanowił się tem zająć? Prawda, że pan nie żartuje?

Udzieliła mu adresu.

Wsiedli w dorożkę i pojechali. Na twarzy Pelhama malował się wyraz żartobliwej stanowczości.

— Ale — odezwała się nagle — pan się z nimi nie umawiał, a oni są zawsze tak zajęci...

— Pośle pani swój bilet wizytowy i przyjmą nas.

— Mnie nie przyjmą.

— Z dyrektorami teatru mówi się o interesach tak samo, jak ze wszystkimi innymi ludźmi. Niema się czem przejmować. Nie powiedziała mi pani jeszcze, jakiej gaży pani żąda.

— O tem nie myślałam już nawet wcale. Chodzi mi tylko, żeby się udało.

— Tego się po pani nie spodziewałem — odparł Pelham. — Rozmawialiśmy i nie wywarła pani na mnie wrażenia istoty nierozsądnej. Więc co? Sądzę, że na jakieś dwadzieścia funtów na tydzień będziemy mogli się zgodzić?

— Boże! — krzyknęła. — Byłabym szczęśliwa, gdybym pięć dostała.

Cerberem, strzegącym wrót firmy Morrowa i Granta, był olbrzymi Irlandczyk o niemiłym wyrazie twarzy. Miał w sieni rodzaj biura, nie większego od budki żołnierskiej, skąd dawał baczenie, aby nikt niepowołany nie przedostał się do agencji.

Percy Pelham podał odźwiernemu swój bilet.

— Pragnąłbym widzieć się z panem Morrow, lub z panem Grantem.

Cerber obejrzał badawczo Pelhama od stóp do głów, następnie począł wertować w brudnym notesie, gdzie ołówkiem były pozapisywane nazwiska i godziny przyjęć.



High Tatra — The Morskie Oko Lake Photo: T. Zwoliński

— Nie widzę tu pańskiego nazwiska — mruknął.

— Jest na bilecie — odparł Pelham.

Odźwierny obracał przez chwilę bilet w palcach, wreszcie odezwał się:

— A co pan ma za interes?

— Ten właśnie — odparł Pelham, — o którym chcę porozmawiać z dyrektorami. Bliższych wyjaśnień dać panu nie mogę. Może któregoś dnia, gdy będę miał trochę wolnego czasu, przyjdę i opowiem to panu, ale na razie tylko dwie osoby dopuszczone są do tajemnicy.

Odwrócił się do swej towarzyszki, która stała trochę na oboczu, i uśmiechnął się zachęcająco. Następnie uśmiechnął się do odźwiernego. Odźwiernemu to pochlebiło, choć sam zapewne nie wiedział dlaczego, i uśmiechnął się również. Odwrócił się do aparatu telefonicznego i, przyłożywszy słuchawkę do ucha, zaczął mówić: "Jakiś pan, który mówi, że się nazywa Percy Pelham, chce się zobaczyć z panem dyrektorem". I po chwili znów: "Ten pan (parę niezrozumiałych dźwięków) jest tutaj. Czy pan dyrektor go przyjmie?"

Odpowiedź musiała wypaść pomyślnie, gdyż cerber wyszedł ze swej klatki i uchylił drzwi wejściowych.

— Siódme drzwi na prawo — odezwał się — gabinet pana Morrow.

Pelham usunął się, aby przepuścić swoją towarzyszkę. Półkoronówka, którą trzymał w palcach, znalazła się w dłoni cerbera i Pelham z aktorką zapuścili się w korytarz, pełny akcesorjów teatralnych. Były tam blaszane zbroje, złocone kolumny z tektury, olbrzymi stylowy fotel, do połowy pokryty jedwabną materją z frendzlami.

— To jest bardzo wygodny fotel — odezwał się Pelham. — Myślę, że lepiej będzie, gdy pani tu poczeka.

Aktorka usiadła w fotelu. Pelham, widząc, że była zdenerwowana i podniecona, uśmiechnął się do niej i wykonał taki ruch, jakgdyby chciał ją poklepać po ramieniu.

Siódme drzwi były otwarte. Ale Pelham musiał jeszcze minąć dwa salony i jeden korytarz, nim doszedł wreszcie do sanktuarjum pana Morrowa. Ujrzał tam parę tak wspaniałych foteli, jakich w życiu jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć; najbogatszy na świecie zbiór tego rodzaju antyków.

W największym, najwygodniejszym i najwspanialszym z tych foteli spoczywał pan Morrow. Podniesionym do góry wzrokiem śledził rozwiewającą się smugę dymu z cygara z takim wyrazem na szerokiej i rozlanej twarzy, z jakim małe dzieci zasiadają przed kominkiem, żeby się przyglądać płonącym węglom. Po chwili zamyślony dyrektor odwrócił głowę, spostrzegł Pelhama i nagle zerwał się z krzesła.

— Słowo honoru daję — krzyknął — to nie do uwierzenia. Marzyłem o spotkaniu jakiegoś wielkoluda i pan się zjawia. Byłem wczoraj wieczorem w Brighton i kazałem sobie wróżyć. Wróżka przepowiedziała mi, że mnie spotka wielkie szczęście, gdy mi zajdzie drogę nieznajomy drągal z jasnemi włosami. Czy ja pana znam? Czy nie znam? Może pan cygaro pozwoli?

— Nie zna mię pan — odparł Pelham poważnie. — Cygaro zapalę. Wróżka przepowiedziała panu najzupełniejszą prawdę. W życiu pańskiem już zaszła szczęśliwa zmiana.

Obaj byli jednakowego wzrostu i silnej budowy, ale dyrektorowi brakło wytworności i okazałości Pelhama.

— Zazdroszczę panu tych foteli — odezwał się Pelham. — Ponieważ w życiu pańskiem zaszła już szczęśliwa zmiana, więc może przystąpimy do interesu?

— Z największą chęcią — odparł pan Morrow.

Pelham uśmiechnął się i odrazu oczarował uśmiechem przedsiębiorcę teatralnego. A ponieważ tamten nie miał równej broni, więc odrazu stał się bezbronnym.

— Czy pan już ma, — zaczął Pelham prosto z mostu, — aktorkę na rolę Ziff?

Dyrektor potrząsnął przecząco głową.

— Od dziesięciu lat szukam — odparł — i dwie tylko udało mi się spotkać, które zaledwie wybijały się ponad poziom przeciętności.

— Doskonale — odparł Pelham takim tonem, jakgdyby był współwłaścicielem agencji. — Nie powiem panu, że znalazłem aktorkę, która by potrafiła zagrać Ziff. Ja znalazłem samą Ziff.

— Samą Ziff?

— Najmilsza dziewczyna, jaką w życiu zdarzyło mi się spotkać. I najsprytniejsza.

— Gdzież ona jest? Gdzie dotychczas grywała?

— Mniejsza o to — odparł Pelham. — Narazie ważne jest to, że miał panu przynieść szczęście wysoki blondyn. Mam przeczucie, że to ja jestem tym blondynem. A jeszcze ważniejsze jest to, że kobieta, o której mówię, to właśnie Ziff.

— A czy umie grać?

— Czy sama Ziff mogłaby zagrać tę rolę? Pytam się pana.

— Sama Ziff mogłaby zagrać — zgodził się dyrektor. — Dlatego tak djablo trudno było obsadzić tę rolę...

— Próby — odezwie się Pelham — mają się rozpocząć w tym tygodniu.

— Pan Grant i ja jesteśmy w rozpaczy. Kiedy mógłbym tę osobę zobaczyć?

— Za pozwoleniem, parę słów jeszcze — odparł Pelham. — Powiedziałem panu, że jest to osoba stworzona do roli Ziff. Możebyśmy zaczęli od omówienia warunków.

— Mógłbym pana prosić o nazwisko?

— Percy Pelham.

Na twarzy pana Morrowa odmalowało się zadowolenie.

— Co prawda, mogłem się był tego domyślić — odezwał się. — Bardzo mi jest przyjemnie poznać pana, panie Pelham.

— Wierzę panu najzupełniej, że ta osoba stworzona jest do roli Ziff — ciągnął pan Morrow. — Posiada pan więcej kwalifikacyj odemnie do osądzenia, jak powinna wyglądać panna, należąca do tej klasy, co Ziff. Ale — proszę mi to zastrzeżenie wybaczyć... Skąd pan wie, że ona umie grać?

— Panie Morrow — odpowiedział Pelham — odpowiem panu szczerze: nie wiem, czy ona umie grać. Pojęcia nie mam, ale...

Podniósł się z fotelu i twarz jego przybrała nagle entuzjastyczny wyraz.

— Na wygląd jest urocza. Każdy jej ruch jest pełen niewysłowionego wdzięku. Ma najpiękniejszy głos, jaki tylko wymarzyć można. Każdy mężczyzna, który ją raz ujrzy, gotów być jej rycerzem. A przecież połowa publiczności w teatrze składa się z mężczyzn, nieprawda? Ma w sobie coś wzniosłego, tak, że każda kobieta, wracając z przedstawienia do domu,

będzie się nią zachwycała. Czy umie grać — nie wiem, ale się umie pokazać. Może mówić zwykłym swoim głosem. Porusza się jak anioł, a gdy się roześmieje, wszyscy muszą się śmiać. Niech mi pan wierzy, znam się trochę na magnetyzmie. Otóż ona posiada dar magnetyzowania ludzi. A co się umiejętności gry tyczy, panie, mówiąc między nami, czy dzisiaj ktokolwiek umie grać w teatrze?

Pan Morow pomyślał chwilę i z akcentem szczerego uznania w głosie wymienił pięć nazwisk, z których Pelham żadnego nigdy nie słyszał.

Pelham usiadł z powrotem w fotelu.

— Co się tyczy gaży — zaczął — to sądzę, że powinien jej pan dać tyle, ileby pan dał jakiejś bardzo znanej aktorce.

— Dlaczego? — zapytał z prostaczą naiwnością Morrow.

— Aby ją do siebie na zawsze przywiązać. Przecież nie byłoby pożądane, aby, zdobywszy tu powodzenie, przeniosła się następnie do innej trupy.

— Nie, to nie byłby dobry interes.

— Więc, skoro ma zapewnić sztuce powodzenie, słusznem jest, aby była odpowiednio wynagrodzoną, nieprawdaż?

Pelham stawiał warunki ze spokojem i stanowczością, ale, gdy trzeba było wymienić sumę pieniędzy, zmieszał się nieco.

— Sytuacja jej jest bardzo ciężka — rzekł. — Jeśli nie uda jej się dostać na scenę, będzie musiała wrócić do domu, do rodziny ograniczonej i mniej zamożnej. I tak skończą się jej śliczne marzenia o sławie. Ale pan może ją uratować, może pan odegrać wobec niej uroczą rolę zaczarowanego księcia. W pańskiej mocy jest najzupełniej, aby jednem słowem rozprószyć wszystkie niepokoje i smutki tej dobrej i ślicznej dziewczyny i uczynić ją najszczęśliwszą istotą pod słońcem, za co ona przez całe życie będzie wdzięczna panu i mnie — dodał z uśmiechem. — Pan to zrobi, nieprawdaż? Na zawsze zostanie panu krzepiące serce przekonanie, że spełnił pan najpiękniejszy czyn w życiu.

Pan Morrow, zdecydowawszy się widocznie, nagle skinął potakująco głową.

— Powiedzmy — odezwał się Pelham — trzydzieści funtów tygodniowo...

Gdy to mówił, uczuł lekki, wewnętrzny dreszcz.

— Jeśli się zdecyduję powierzyć jej rolę Ziff, dam jej trzydzieści funtów na tydzień. Jeśli mi się bardzo spodoba, mogę jej dać nawet nieco więcej.

— Niech pan poczeka chwilę.

Pelham wyszedł z niebywałym, jak na niego, pośpiechem i po chwili powrócił z "Ziff".

Na sam jej widok oblicze pana Morrowa rozpromieniało.

— I pani nie mogła znaleźć miejsca? — krzyknął.

— Nie.

— A, osły, bałwany! — wybuchnął impresarjo. — Pan Pelham zaangażował panią do grania roli "Ziff", w "Karjerze pana Wildinga". Potrafi pani ją zagrać?

Zastanowiła się chwilę i nagle, potakując głową, z niewypowiedzianym wdziękiem odparła:

— Potrafię. Jestem tego pewna. Bo, czasami sama się w nią przemieniam...

— Umie pani rolę?

— Umiem.

— Może nam pani parę słów powiedzieć?

— Z przyjemnością — odparła.

I odwróciwszy się do Percy Pelhama, poczęła spokojnym, melodyjnym głosem recytować końcowy ustęp z trzeciego aktu:

— "Gdybym panu chciała dziękować za wszystko, co mi pan dobrego zrobił, pan by się uśmiechnął tylko i powiedział, że nie warto o tem wspominać. Bo niema drugiego człowieka na świecie, któryby umiał tak cudzą dolę odczuć..."

Gdy umilkła, pan Morrow kichnął dwa razy, a Pelham był blady i zmieszany. Przyglądała mu się przez chwilę, a następnie zwróciła się do impresarja.

— Widzi pan — odezwała się z uśmiechem, — że czasami potrafię się przemienić w "Ziff".



Gwałtownym wybuchem śmiechu starał się zamaskować wzruszenie. Krótka ta scena była tak zagrana (czyż to była gra?...), że uczuł się do głębi wzruszonym.

— Więc, jak mówiliśmy—zwrócił się do Pelhama — trzydzieści pięć funtów tygodniowo, nieprawdaż?

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

— Tak — odparł Pelham poważnie — trzydzieści pięć funtów z łaski zaczarowanego księcia.

Po chwili Pelham wrócił ze swoją towarzyszką do dorożki, która na nich czekała.

— A teraz niech mię pan do hotelu odwiezie — odezwała się, dając mu adres.

Ale Pelham nie powtórzył woźnicy adresu. Kazał mu wrócić do parku. Młoda kobieta wybuchnęła nagle płaczem.

Pelhama przeraziło to i wzruszyło. Zaczął ją pocieszać, jak mógł i umiał, szepcząc najczulsze wyrazy, ale nerwy nie mają uszów. "Ziff" płakała coraz gwałtowniej, omal że nie dostała spazmów.

Wszystko jednak ma swój koniec, więc i łzy szczęścia również. Uspokoiwszy się, poczęła go przepraszać za swój wybuch. Mówiła mu o swem szczęściu i wdzięczności. Zapalili małą elektryczną lampkę, w którą powóz był zaopatrzony, i młoda kobieta poprawiła przed lusterkiem kapelusz i włosy.

— Mieszkam na sąsiedniej ulicy — odezwała się, — zaraz wysiądę, niech pan zagasi światło.

Pelham zaprotestował, ale zgasił.

— W ostatniej scenie sztuki — odezwała się pociemku tonem, z którego widać było, że jest zdecydowana na to co mówi, ale, że przychodzi jej to z trudem, — w ostatniej scenie sztuki biedna mała "Ziff", człowieka, który był dla niej taki dobry, całuje, jak brata, w czoło.

Pelham zdjął kapelusz i przymknął oczy.

Dorożka odwiozła go następnie do restauracji, w której miał się spotkać z przyjaciółmi na obiedzie. Powitano go zapytaniem:

— No, cóż, przeszedł ci ból głowy?

— Jaknajzupełniej — odparł Pelham. — Cały dzień coprawda straciłem na to, ale znalazłem wyśmienite lekarstwo na ból głowy.



Kto wynalazł...



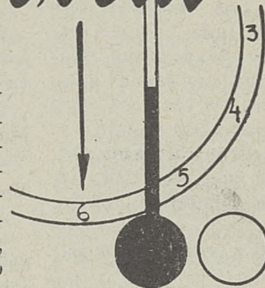
MOŻNABY założyć się, że gdyby w towarzystwie składającem się z kilkunastu osób postawił ktoś pytanie: kto wynalazł zegarek, barometr, termometr, maszynę do szycia, maszynę do pisania lub wreszcie samochód — mało kto potrafiłby dać właściwą odpowiedź. Oczywiście, że nieświadomość taka nie dowodzi braku wykształcenia, jednak są to rzeczy, które powinniśmy wiedzieć.

Powszednie pytanie: "Która u ciebie godzina" — tak łatwo dla każdego zrozumiałe i spotykające się z natychmiastową odpowiedzią, gdyż zapytany wyjmuje zegarek kieszonkowy i w mgnieniu oka odczytuje godzinę, nie było łatwem dla starożytnych Greków i Rzymian, pomimo ich wysoko rozwiniętej kultury. Długich wieków człowiek potrzebował, zanim nauczył się dokładnego mierzenia czasu. Pojęcie czasu powstało najpierw u Chaldejczyków. Oni też wynaleźli pierwszy czasomierz w postaci zegara słonecznego. Od nich zegar ten dostał się do Grecji, skąd rozpowszechnił się po całej Europie.



Pierwszy zegar kółkowy.

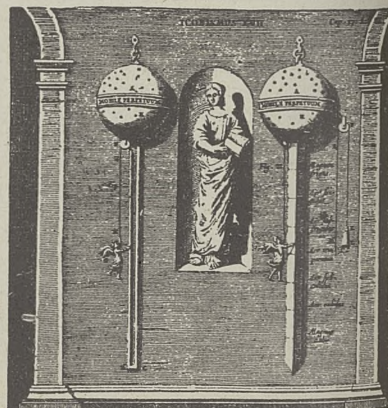
Z biegiem lat okazało się, że zegar słoneczny nie odpowiadał w zupełności swemu zadaniu. W dni pochmurne nie można było wyczytać z niego, jaka jest pora dnia i trzeba było wymyślić coś lepszego, takiego, żeby zawsze czas wskazywało. Przemyślni Asyryjczycy wynaleźli tedy zegar wodny. Był to wydrążony stożek drewniany, napełniony wodą, która cieniutkim otworem sączyła się do stojącego pod nim naczynia. Odmierzyli ilość wody, jaka wyciekła w jednej godzinie i już mieli podstawę do sporządzenia wodnego zegara. Po godzinie wlewano wodę zpowrotem do stożka i w ten sposób mierzono całą dobę. Pewną odmianą zegara wodnego był zegar piaskowy (klepsydra), której używanie przechowało się do bardzo późnych czasów. Dziś jeszcze mamy w kuchniach małe klepsydry, służące do oznaczania długości czasu gotowania jajek na miękko czy na twardo. Klepsydra składa się z dwóch naczyniek, połączonych z sobą wąziutkim otworkiem. W jednem z naczyniek znajduje się bardzo drobny i miałki piasek. Chcąc wiedzieć, jak długo należy gotować jajka, stawiamy ten dowcipny przyrządzik pionowo, tak, żeby jedno naczynie było wprost pod drugiem. Skoro piasek z górnego naczynia przesypie się do dolnego — mamy odmierzoną pewną ilość czasu. Ile piasku trzeba wsypać do takiej kuchennej klepsydry, żeby sypał się trzy lub pięć minut, sprawdzili już w fabryce, gdzie te przyrządy wyrabiają.



Do zasadniczego przełomu w mierzeniu czasu przyczynił się wielce późniejszy papież Sylwester II. On to bowiem w IX-ym wieku wynalazł zegar kółkowy. Lecz i ten rodzaj czasomierza, mimo istnych arcydzieł, do jakich go z czasem doprowadzono, nie odpowiadał celowi. Brakło mu bowiem jednego, najważniejszego czynnika: wahadła, które wynalazł wielki astronom włoski Galileusz.

Zegarek kieszonkowy zawdzięcza swe powstanie ślusarzowi norymberskiemu Piotrowi Henleinowi. Istniejąca w archiwach miasta Norymbergi stara kronika podaje o tem następujące ciekawe szczegóły:

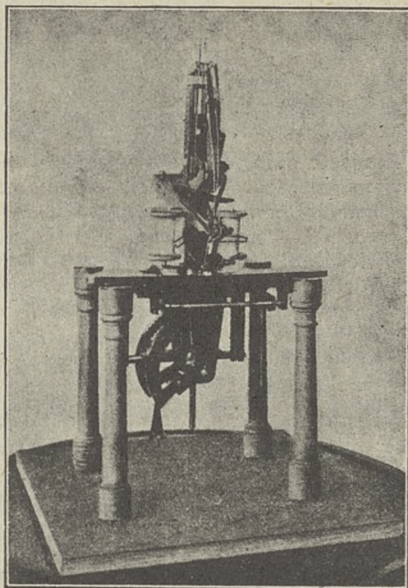
Kiedy po długich wysiłkach i niezliczonych próbach udało się Henleinowi dopiąć swego celu i zrobić pierwszy zegarek, żona jego, znalazłszy w jego nieobecności ten cudowny aparacik, była przekonana, że to jakaś "djabelska sztuczka" i bez namysłu roztrzaskała zegarek na miazgę. Gdy biedny Henlein przyszedł do domu i zastał owoc wieloletniej pracy zniszczony, popadł w rozpacz, która przeszła w melancholję. Błąkał się po ulicach miasta, aż wreszcie poszedł do burmistrza i oskarżywszy się o "pakt z szatanem", prosił, by go zamknięto do więzienia. Uczyniono zadosyć jego prośbie, uważając go za pozbawio-



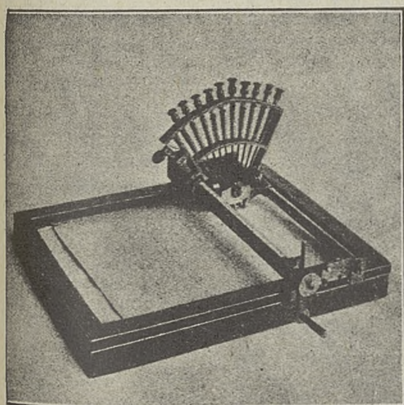
Termometr Guericke'go.

nego rozumu. W więzieniu Henlein mógł spokojnie po raz drugi zabrać się do pracy nad stworzeniem zegarka kieszonkowego i rzeczywiście udało mu się w zupełności. Wkrótce zegarek rozpowszechnił się po całej Europie.

Bardzo ważne instrumenty, służące do mierzenia ciepłoty i ciśnienia atmosfery, termometr i barometr, znane są dopiero od XVI-go wieku. Wynalazł obydwa te tak niezbędne instrumenty sławny burmistrz miasta Magdeburga, Otto von Guericke, który przeszedł do dziejów fizyki jako twórca słynnych "kul magdeburskich", dowodzących istnienia próżni. W czasie swych badań na próżnią, Guericke zauważył, że pogoda musi zależeć od ciśnienia powietrza. Odpowiedni przyrząd mógł ją zatem wcześniej zapowiadać. Nie znając jeszcze rtęci, burmistrz magdeburski musiał w pierwszym zbudowanym barometrze posługiwać się wodą. Ponieważ jednak woda jest tak bardzo lżejsza od rtęci, rura barometru Guericke'go musiała sięgać aż pod dach jego pięciopiętrowego domu. Tak wysoki słup wody był bowiem konieczny, żeby ciśnienie powietrza mogło się na niej odznaczyć.


Maszyna do szycia Maderspergera.

Sławnemu temu burmistrzowi Magdeburga zawdzięcza ludzkość także termometr. Wprawdzie już przed nim wielki Galileusz zbudował aparat do mierzenia ciepłoty i użył powietrza do tego celu. Aparat ten okazał się jednak niedokładny. Dopiero Guericke wpadł na szczęśliwy pomysł zastąpienia powietrza spirytusem. Jednocześnie ustalił punkt zera oraz skalę porównawczą. Zczasem spirytus ustąpił miejsca rtęci, używanej do dzisiejszych czasów w barometrach i termometrach.


Pierwsza maszyna do pisania (Foucaulta).


Pierwszy mechaniczny wóz, poruszany mechanizmem zegarowym, zbudowany przez H. Hautscha.

Niezwykle ciekawe są dzieje maszyny do szycia, wynalezionej niespełna sto lat temu. Pierwszym jej wynalazcą był krawiec tyrolski Józef Madersperger. Pracował nad nią przeszło dwadzieścia lat, lecz nie doczekał się uznania swych trudów. Zbudowana przez niego maszyna do szycia do dnia dzisiejszego znajduje się w jednem z muzeów miasta Monachium. Zupełnie niezależnie od niego wynalazł ją po raz drugi w roku 1850-ym zwyczajny robotnik fabryczny w Bostonie, Eljasz Howe. Ale i jego los był z początku tragiczny.

Wpadł na swój pomysł w sposób prawdziwie bajkowy. Oto, straciwszy pracę jako robotnik w fabryce, przechadzał się pewnego wieczora po jednej z ulic ubogiej dzielnicy Bostonu i ujrzał przez okno parterowego domku — tkacza przy robocie. Stanąwszy jął uważnie przypatrywać się konstrukcji warsztatu tkackiego. Nagle zabłysła mu myśl, że gdyby zachowując naogół tę konstrukcję w zmniejszonym formacie, wyposażono czółenko w igłę, maszyna taka mogłaby zastąpić szycie ręczne. Odtąd ta myśl nie dała mu już spokoju. Przez długi szereg lat pracował nad jej urzeczywistnieniem, poświęcając każdy zaoszczędzony grosz na zakupno potrzebnych materjałów. Kiedy jednak nareszcie dopiął celu swych wysiłków i zbudował pierwszą maszynę do szycia, świat go wyśmiał.

Minęły lata, zanim znalazł się człowiek, który zainteresował się wynalazkiem Howego. Był to dyrektor wędrownego teatrzyku, Izaak Singer. Zaznajo-

miwszy się bliżej z maszyną Howego, Singer poczynił pewne nieznaczne zmiany i począł wyrabiać maszyny do szycia na wielką skalę. Takim wygodnym sposobem, były właściciel teatrzyku stał się założycielem słynnej dziś na całym świecie fabryki maszyn do szycia "Singera".

Wynalazca Howe jednak nie zasypiał gruszek w popiele. Wytoczył Singerowi proces, który trwał długie lata, ale skończył się zupełnem zwycięstwem wynalazcy. Sąd bowiem nietylko przyznał Howemu pierwszeństwo jako wynalazcy, ale skazał wszystkie istniejące już w znacznej liczbie fabryki maszyn do szycia na wypłacenie Howemu po pięć dolarów od każdej zrobionej maszyny. Biedny robotnik stał się odrazu miljonerem.

Myśl stworzenia maszyny do pisania wyłoniła się na samym początku z chęci przyjścia z pomocą najnieszczęśliwszym z ludzi: niewidomym. Zarówno pierwszy wynalazca maszyny do pisania, Anglik Henry Hill, jak i następny, wielki fizyk francuski, Jean Foucault, kierowali się przedewszystkiem tą myślą. Hill już w roku 1714-ym zbudował bardzo pierwotny "aparat do pisania" z drzewa. O wiele lepsza była maszyna Foucaulta, i ta jednak bardzo była oddalona od właściwych maszyn do pisania. Właściwym jednak poprzednikiem wszystkich późniejszych wynalazców maszyny do pisania był pastor w Kopenhadze, Hansen, którego "kula do pisania" posiadała już tak zwane saneczki na papier", klawiaturę i hamulec, wskazujący koniec wiersza. Europa jednak nie zrozumiała doniosłości tych wszystkich wynalazków. Dopiero praktyczny zmysł amerykański pojął odrazu o co tu chodzi i maszyna do pisania została doprowadzona do jej dzisiejszego stanu dopiero w Ameryce.

Na miano właściwego "ojca" maszyny do pisania zasługuje Amerykanin John Pratt. Nie on jednak zbierał plony swej pracy, lecz sprytniejszy od niego Nathan Shols z Milwaukee, który, znalazłszy w bogaczu Gliddenie zapalonego amatora maszyny do pisania, wydoskonalił model Pratta. Już w roku 1872-im słynna odtąd fabryka Remington poczęła na szeroką skalę produkować maszyny do pisania, nazwane "Remington". Z biegiem czasu powstawały coraz nowsze modele maszyn do pisania, i dziś jest ich cały szereg tak w Ameryce jak i w Europie.

O samoporuszającym się wozie marzyli już starożytni Egipcjanie. Posiadali też dziwaczne wehikuły, przypuszczalnie poruszane parą, o czem świadczą liczne malowidła na pomnikach.

W średnich wiekach sławny fizyk, mnich Roger Bacon, zastanawiał się nad możliwością "wozu, poruszanego bez użycia siły zwierzęcej". Pierwszy jednak wóz, który poruszał się bez takiej siły, zbudował zegarmistrz norymberski Jan Hautsch. Była to kolasa, poruszana mechanizmem zegarowym. Wywołała też niezmierną sensację w całej Europie. Zakupił ją król szwedzki Gustaw Adolf.

Właściwy samochód powstał pod koniec XVIII-go i początkach XIX-go stulecia. Amerykanin Evans i Anglik Trewithik niezależnie od siebie zbudowali wozy, pędzone mieszaniną z gazu naftowego i powietrza. W roku 1822-im Gurney wprowadził w Londynie pierwsze omnibusy-samochody, poruszane parą. Kiedy jednak poczęły się mnożyć nieszczęśliwe wypadki, publiczność zajęła tak wrogie stanowisko wobec tego wynalazku, że rząd angielski zakazał używania tych omnibusów.

Właściwy przełom w dziejach samochodu nastąpił dopiero w roku 1885-ym, w którym po raz pierwszy pojawił się samochód, poruszany motorem eksplozyjnym. Wynalazł go Francuz Rawel. Niezależnie zaś od niego Niemiec, Gotlieb Daimler, wpadł na pomysł poruszania samochodu wybuchami gazu z benzyny. Daimler jest przeto uważany za właściwego twórcę nowoczesnego samochodu.



WARSZAWA. Wycieczka Polaków z Ameryki Południowej, u stóp pomnika księcia Józefa Poniatowskiego.

JIM POKER

ŚNIEG

Opowiadanie Inżyniera

Rrrran! O-o-o!

Jęczy ludzkim głosem żelazny dziób pługa. Pryska w obie strony zbity, stwardniały, poplamiony oliwą i sadzą śnieg. Dyszą ciężko sprzężone tendrami oba "Consolidation". Naprzód!

Ale śnieżny wąwóz staje się węższy i wyższy. Zprawa, zlewa, zprzodu wyrasta żółto-biały mur stwardniałego szmalcu, w którym zęby pługa ryją coraz słabiej. Jeszcze trochę i koła obu parowozów ślizgają się w miejscu.

Stój! W tył!

Łatwo powiedzieć. Dziób "śniegowca" wbił się głęboko w zimną ścianę. Ciśnienie opadło. Dno palenisk zatkane tającą zwolna masą brudnego śniegu. Oblepione koła bezsilne, jak ręce ostrzyżonego Samsona.

W tył, do licha!

Du-du-du-du — huczą dmuchawki, zadychają się cylindry. Skład rusza, wyrywa się z kleszczy białego potwora, cofa poza wąwóz. Zabawnie wygląda komin oblepiony mydlinami śniegu: broda poczciwego olbrzyma, któremu przeszkodziła w goleniu Biała Strzyga.

Odpoczynek. Obie maszyny dyszą ciężko. Robotnicy spiesznie oskrobują wciąż pług. Śnieg — mały, drobny, kłujący, sypie wciąż, jak na urągowisko. Zmęczonym, zziębniętym ludziom wydaje się, że białe płatki układają się czasem w jakiś fantystyczny kształt, w smoka z białą gębą, śmiejącego się z ich wysiłków. Hu-hu-hu... huczy śmiech ten w wąwozie. Akompanjuje mu coraz słabsze tremolo zerwanych drutów telegraficznych.

Naprzód! Mocno!

Strzałki manometrów drżą nerwowo przy samem maksimum. Para bulgocze. Na białem tle dym wydaje się czarny, jak dno piekieł. Cylindry syczą, wyrzucając długie strumienie wrzątku.

Jeszcze sto metrów. Jeszcze pięćdziesiąt. Jeszcze dwadzieścia pięć. Trzymajmy się mocno. Jeden za hamulec, drugi za antabę. Zaraz wyrżniemy.

Chwilka niepokoju. Wrażenie, że drugi, pchający tyłem parowóz wzlezie przy uderzeniu na wierzch, zgniecie wszystko. Człowiek mimowoli kurczy się, maleje.

Rrrran!

Biały mur szmalcu odpada wielkiemi płatami, by w postaci miałkiego cukru posypać się za chwilę na atakujące maszyny. Poruszony siłą uderzenia węgiel jest zazdrosny o tę zabawę i z wierzchu tendrów spada miałem. Ludzie wzięci we dwa ognie — biały i czarny, bronią się zawzięcie...

— Puści cholera!

— Co ma nie puścić. Wczoraj przebiliśmy pod Lipą, przebijemy dziś pod Zaklikowem. A jutro pod Szastarką. Nie martw się. Roboty wystarczy do wiosny.

* * *

Już dwa dni na linji Lublin-Rozwadów pługi odśnieżne walczą z białym żywiołem. Ciężka to walka, ale nie beznadziejna. Powoli, uparcie, stanowczo człowiek zwycięża żywioł.

Opodal w wagonie służbowym siedzi zmiana: dwóch inżynierów, dwóch maszynistów, dwóch palaczy. Zanikły różnice stopni, stanowisk. Dziś wszyscy są bohaterami, wszyscy są równi wobec niebezpieczeństwa. Wszystkich jednakowo bolą odmrożone palce, zgrabiałe nogi, pieką mroźnemi igłami kłute policzki.

Na stole butelka rumu, którą starszy z inżynierów przemyślnie przywiózł. Obok dwa kubki z gorącą herbatą. Kolejka.

— Która godzina?

— Piętnasta osiem, panie inżynierze. Jeszcze tamci muszą pomordować się trochę.

— Sypie wciąż?

— A sypie. Niech go djabli. Służyłem na syberyjskiej linji, alem i tam rzadko taki śnieg widział.

— Ba — odzywa się ironicznie młodszy inżynier, — wam się zdaje, że widzicie śnieg. To nie śnieg, to zaledwie śnieżek. Śnieg widziałem tylko raz w życiu: w Szwajcarji.

— Gdzie, kolego?

— Służyłem na elektrycznej kolei górskiej.

— Nie gadaj mi, kolego, o elektrycznych. Bujda. To nie kolej. To zabawka. Coś tak, jak samochód czy tramwaj. To nawet zagwizdać nie potrafi. Słyszał kiedy kolega, jak taka kolej elektryczna gwiżdże? Zupełnie jak stróżowski chłopak na kluczu od bramy.

— Ale za to z Paryża do Ostendy jeżdżą sto piętnaście na godzinę.

— Phi... Wielki mi cymes — sto piętnaście! Jakem był na politechnice dwadzieścia lat temu, to tam już poczciwe parowe kociołki "Norda" wyciągały po sto dwadzieścia. I to bez bólu.

— Widzę, że kolega jest konserwatystą.

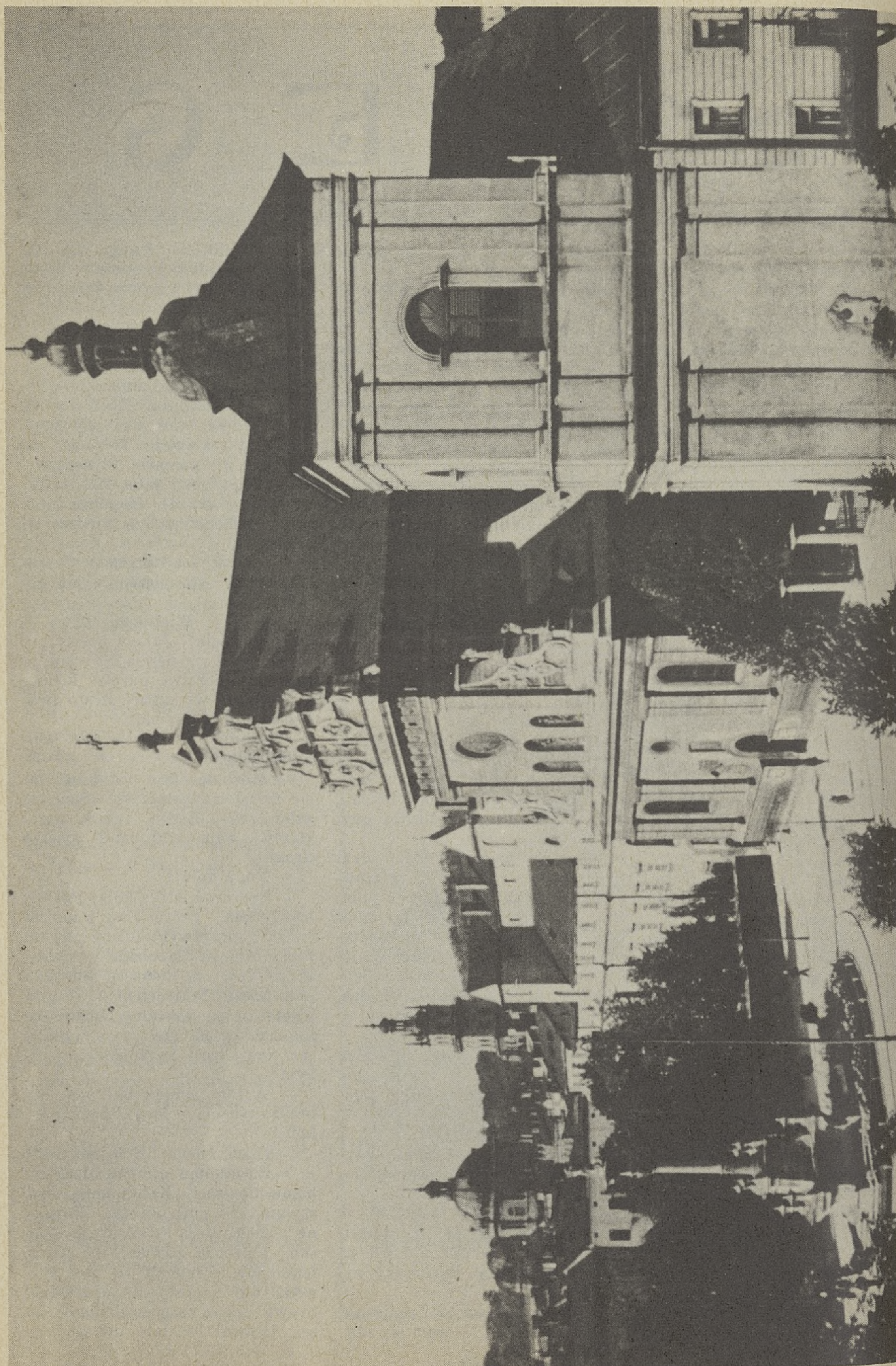
— Możliwe. Nie podobają mi się te nowe wynalazki. Samolot zabił czas. Radjo zabiło przestrzeń. Samochód zabił poezję drogi.

— No, a kolej?

— Poczciwa, stara kolej jest romantyczna. Przyszliśmy z nią na świat, przyzwyczailiśmy się do niej. Ale te djabelskie wynalazki... Tfu, do licha! I powiedz pan, czego taki jeden z drugim idjota śmiga na samochodzie sto kilometrów na godzinę, ryzykując, że skręci kark sobie i innym?

— A sam jednak był pan za przyśpieszeniem biegu pociągów, kolego?

— To co innego. Kolej ma swoje tory, nikomu nie zawadza, nikomu nie grozi. Kolej musi być szybka. To puls narodu. Powolne pociągi mają tylko kraje o ni skiej kulturze, zamieszkane przez leniuchów. Jednak to nie powód, aby gość, wyjeżdżający ze swą donną na półgodzinny spacer, udawał bolida i był niebez-



Lwów—Widok na Kościół Bernardyński.

pieczeństwem publicznem.

— Ba, trudno oprzeć się pokusie. Nowoczesne samochody — to cuda techniki.

— Cuda techniki, cuda techniki! Patrzcie go. To, że leci sto albo i więcej kilometrów na godzinę. Wielki interes. A cóż to taki wózek ciągnie? Figę. Muchę. Komara. Przyczep mu pan choć jeden zwykły piętnastotonowy wagon — zobaczymy, czy pociągnie. A przecież na Zachodzie parowe samowary taszczą sobie tuzinek pięćdziesięciotonowych pullmanów ze średnią szybkością dziewięćdziesiąt albo sto. To jest sztuka, a nie szwędanie się bez pożytku i robienie warjata bez potrzeby.

— Nam daleko do takich szybkości.

— Poprawi się, kolego.

— Musi się poprawić. Będziemy walczyć. Jak teraz z tym śniegiem. Już mi i tak wątroba puchnie. Opowiedz lepiej kolego, jak było w tej Szwajcarji.

* * *

— A no, była taka kolej górska, trochę normalna, a trochę zębata. Kręciło to, kręciło, skakało przez przepaście, kryło się w tunelach, aż wlazło na górę, coś z tysiąc osiemset metrów nad poziomem morza. Stacja klimatyczna.

Latem ruch był mały. Ale zimą wielki — z powodu sportów. Przyjeżdżały różne Olendry, Angliki, Argentyńczyki, Hiszpany, dzikie makaki i inne narody sprośne, śniegu nie znające. Poubierało się to wszystko po sportowemu — panny w hajdawery, a panowie w spódniczki — i dawaj używać tego śniegu. A mnie cholera brała, bo i mętlik był z tego wielki i ten śnieg się przykrzył, bo leżał tam na górze coś od października do czerwca, aż człowiekowi bieliło się w głowie.

Nudziłem się też śmiertelnie, dopókim nie poznał Alicji. Dziwna to była osoba. Ojciec jej był Anglikiem, naturalizowanym w Szwajcarji. Matka Szwajcarka, pochodzenia włoskiego. Narzeczony Rumun czystej krwi. A ona sama, urodzona w Niemczech, a wychowana w Oxfordzie, niebardzo wiedziała, któremu świętemu się polecić. Polecała się więc tylko zwykłym śmiertelnikom.

Poza oficjalnym Rumunem, autentycznym potomkiem książęcego rodu na wymarciu, chodził za nią różaniec młodzieńców wszelkich narodowości. Był tam i Holender, który nigdy w życiu gór nie widział, i Grek chytry a przewrotny, i Turek, jednocześnie młodoturkiem będący, i Garcia y Diego y Gonzales y tak dalej — grand hiszpański.

Brakowało Polaka — więc postawiłem swoją kandydaturę.

I o dziwo — zostałem przyjęty. Nawet z wyróżnieniem. Zaraz drugiego wieczoru Rumun nasłał na mnie dwóch zbirów, a Grek usiłował orżnąć mnie w karty. Potem Turek zaprosił mnie na partję bobsleigh'u z widocznym zamiarem skręcenia mi karku. Ale sam siadłem do kierownicy, więc się nie udało. Wreszcie Hiszpan rzucił we mnie popijanemu butelką od whisky (żeby chociaż malagi). Na szczęście nie trafił.

Było nam tedy dobrze. Nam — to znaczy Lili i mnie. Kochałem się w niej trochę — tyle, ile wypada na miejscowość klimatyczną. Rumun z tego powodu zieleniał. Hiszpan chudł i patrzył wilkiem. Turek na swym bobsleigh'u wyprawiał dzikie harce. Grek wyjechał. Jeden Holender po dawnemu uśmiechał się przyjaźnie.

Aż tu któregoś grudniowego ranka zaczął padać śnieg. Nie byłoby w tem nic dziwnego, boć padał z kilkudniowemi przerwami od października i leżało go coś zgórą półtora metra. Ale to, co owego ranka dziać się zaczęło — przeszło ludzkie wyobrażenie.

Więc naprzód poczęły sypać duże, ciężkie płaty. Potem nagle powstał wiaterek, zrazu słabszy, potem mocniejszy. A potem zaczęła się typowa zadymka alpejska, z za której wyglądało chwilami czerwone, przerażone słońce.

Tak sypało cały dzień z krótkiemi przerwami. Niewiadomo już było, co śnieg z niebios, a co śnieg z ziemi. Bo wzrastający coraz wicher pędził całe tumany miałkiego, ostrego śniegu, pozbieranego po polach i górach. Pod wieczór tylko dachy will i domków sterczały z zasp i wydm śnieżnych. Komunikacja szosą ustała zupełnie. A my utrzymywaliśmy naszą z wielką trudnością, przy pomocy dwóch pługów i setek ludzi.

Noc, ani następny ranek nie przyniosły zmiany. Biały samum wiał już bez przerwy. Nasze motorówki chodziły w tunelu śnieżnym, którego trzy ściany były stałe, a czwarta, górna, sypka.

Drugiego dnia pod wieczór miałem umówione spotkanie z Alicją. Ale w naszem rzemiośle jak w wojsku: człowiek dnia i godziny niepewny. Zaraz po obiedzie otrzymałem polecenie objęcia kierownictwa jednej partji odśnieżnej. Podobno prowadzący ją inżynier odmroził sobie ręce.

Cóż było robić? Naciągnąłem górski strój, włożyłem dwa swetry, zawinąłem się w szalik i sięgnąłem po rękawice. I już byłem gotów pójść, kiedy do głowy przyszła mi myśl: dlaczego to nie mam połączyć przyjemnego z pożytecznem i zaprosić Lili do motorówki odśnieżnej? Będzie to nawet doskonała okazja do pozostania z nią sam na sam.

Tak też zrobiłem. Lili zgodziła się skwapliwie, bo skusiła ją "awantura". Natomiast zupełnie nieoczekiwanie Rumun, Holender i Turek oświadczyli g o t o w o ś ć uczestniczenia w w y p r a w i e. Hiszpan okazał się szczęśliwie zablokowany w swym hotelu.

Odparłem gorąco, że nikogo prócz panny nie zabiorę. Ale gadaj z takimi. Powiedzieli, że jeżeli mogę pannę, mogę i ich. Inaczej wniosą zażalenie do dyrekcji. Wpadłem we własne sidła.

Szczęściem Turek w ostatniej chwili namyślił się. Snać poczciwiec miał przeczucie. Tamci dwaj poszli z nami.

Motorówka ruszyła zrazu szparko, pchając ciężki, nisko osadzony pług. Prócz motorniczego i konduktora zajęli w niej miejsca czterej robotnicy i monter. Z zaproszonymi przeze mnie gośćmi było więc jedenaście osób.

Świecąc potężnym reflektorem, w którego polu, niczem niezliczona szarańcza, wirowały pyłki śnieżne, jechaliśmy długim, z trudem przebitym wykopem. Potem przesunęliśmy się na odwietrzną górę, gdzie było nieco zaciszniej. Wreszcie wydostaliśmy się na płaskowzgórze.

Tu zaczął się sądny dzień. Świat kończył się o piętnaście centymetrów od reflektora. Dalej było państwo białej śmierci.

Zniknęły wiadukty, przekopy, nasypy, mosty. Jedna wielka, biała a zdradziecka pustynia ciągnęła się po bokach. Promienie reflektora nie były w stanie przebić

wirującej dokoła białej masy. Robiło się niesamowicie.

Wewnątrz wagonu Lili z adoratorami rozmawiała wesoło, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Dopiero gdy minęła godzina, a nie dojechaliśmy jeszcze do następnej stacji, zaczęto się niepokoić.

— Gdzie jesteśmy? — zagadnął Holender.

— Trudno określić. Wszystkie przedmioty straciły swe kształty i kolory. Mam jednak wrażenie, że koło wiaduktu w Gryon.

Rzeczywiście po chwili dudnienie kół oznajmiło, że przejeżdżamy wiadukt — śmiały łuk, przerzuczony o osiemdziesiąt metrów nad przepaścią. Dziś jednak przepaści prawie nie było, a sam wiadukt był parowem śnieżnym. Czy aby wytrzyma ciężar?

Stacyjka w Gryon utonęła w białej powodzi. Ledwie dokopaliśmy się do zawiadowcy. Dalej zaczynał się już zjazd po szlaku zębatym.

— Uważajcie, żeby was djabeł nie pociągnął nadół — rzekł nam stary Szwajcar, pamiętający jeszcze otwarcie linji kolejowej na Rigi-Kulm. — Pracowała tu cały dzień kompanja wojska, ale co to znaczy! Śniegu nawaliło tyle, że "zęby" nie mogą chwytać. A szyny śliskie i spadek 32 procent — to nie żarty.

— Może państwo zejdą? — zaproponowałem, świadomy swego obowiązku, a nie chcący narażać niczyjego życia. — Zaczyna się niebezpieczna część podróży, więc dalej pojedziemy sami.

I tu nagle uparła się Lili.

— Nie puścimy pana samego — zawyrokowała. — Zresztą nic się nie stanie. A ja chciałabym zobaczyć, jak tam w dole wygląda.

— A no, jeżeli trzeba — dodał Holender — to i ja zostanę.

Rumun krzywił się wprawdzie nieco. Widać było, że go strach oblatuje. Ale i on został. Wszelkie prośby moje były daremne. Lili uparła się. Ciekawość, przekora, czy co innego? Zgadnij, człowieku, co kobieta w takiej chwili myśli.

Pojechaliśmy. W miejscu, gdzie zaczynały się zęby, trzeba było stanąć i odgrzebać początek. Potem przypilnować czy tryby chwytają. Wreszcie ściągani wdół ciężarem pługa, poczęliśmy powoli staczać się w dolinę.

Śniegu było tu trochę mniej, bo na takiej pochyłości trudno mu się było utrzymać, a linja szła na nasypie. Wnet jednak wjechaliśmy w sztuczny wąwóz i zaczął się taniec. Tryby nie chwytały, a wagon to zjeżdżał kilkumetrowemi skokami, niczem bobsleigh, to groził opuszczeniem toru, którego zupełnie nie było widać. Białe ściany parowu coraz szybciej defilowały w kierunku przeciwnym.

— Nie tak prędko, Hans — rzekłem do motorniczego. — Jeszcze wyskoczymy, albo pojedziemy w pejzaż.

— Tryby nie trzymają, panie inżynierze. Czy mam włączyć kleszcze?

— Włącz.

I wówczas stało się coś takiego, czego nigdy nie będę w stanie opisać. Coś tak strasznego, że dziś, po siedmiu latach, włosy stają mi dęba na samą myśl o tem.

Szarpnięty siłą potężnych kleszczy wagon stanął. Ale jednocześnie szarpnięcie to wywołało jakiś straszny kataklizm w otaczającej nas naturze. Przez chwilę zdawało się, że stoimy w miejscu, a cała kula ziemska mija nas w szalonym pędzie. Potem miałem wrażenie, że z szybkością kurjerskiego pociągu pędzimy z powrotem ku górze. A potem — że wyskoczyliśmy gdzieś w przestrzeń międzyplanetarną i grozi nam zderzenie z jakiemś ciałem astralnem.

I rzeczywiście zderzenie to nastąpiło. Coś przemknęło raz i drugi obok wagonu, gruchnęło potężnie o dach i ściany. Rozległ się hałas, jakby stu naraz doboszów biło werbel. Potem trzask piekielny. Wreszcie to "coś" zdusiło mnie za gardło i zemdlałem.

* * *

Inżynier skwapliwie sięgnął po kubek z herbatą i pił długo, jakby pragnąc zalać wspomnienie tamtej chwili. Słuchacze dosłownie wisieli na jego ustach.

— No, gadaj-że pan dalej — rzekł starszy. — Przysypała was lawina?

— Tak. Pęd powietrza był tak straszny, że nas omal nie zadusiło. Szczęściem uchronił nas wykop torowy. Inaczej nie oglądałbyś pan mnie tutaj. Ale położenie i tak było niewesołe.

Światło zgasło i z trudem odnaleźliśmy zapasowe latarnie naftowe.

O jeździe bez prądu nie było mowy.

Przestało oczywiście działać ogrzewanie. Byliśmy zagrzebani i odcięci od świata.

Rumun jakoś nie mógł przyjść do siebie, więc zostawiliśmy go z Alicją. Sami, jak nas było dziewięciu, rozpoczęliśmy natychmiast kopanie w dwóch przeciwnych kierunkach. Perspektywa uduszenia się, zamarznięcia i śmierci głodowej nie uśmiechała się nam bynajmniej.

Mogło być około północy, kiedy pierwsza partja, w której był Holender, przerwała pracę. Okazało się, że nie było co robić ze śniegiem. Zbito go w odrobinę wolnego miejsca, sprasowano pod wagonem — na nic. Ludzie, nadwerężeni nerwową pracą i nadciśnieniem, walili się z nóg jak kłody.

Moja partja pracowała nieco dłużej i przez chwilę wydawało się, że śnieg rzednie. Ale wnet natrafiliśmy na świeżą warstwę osypiska. Widocznie dawna nie wytrzymała ciężaru. W ciągu godziny posunęliśmy się naprzód o zaledwie dziesięć metrów.

Zziajani, spoceni, wpół żywi powróciliśmy do wagonu. Brakło nam tchu. W kącie Lili nacierała śniegiem zemdlonego Rumuna. Stary ród książąt naddunajskich był wówczas rzeczywiście bliski wygaśnięcia.
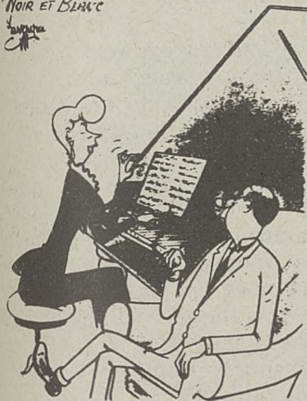
Złożyliśmy krótką naradę. Oczywiście pomoc nadejść musiała. Ale trzeba było wytrzymać conajmniej dwanaście godzin, a może i więcej. Byliśmy podobni do marynarzy w kadłubie zatopionej łodzi podwodnej. Tylko, że tamci nie wiedzą, co zimno.

A my — zaledwie ochłonęliśmy po pracy, zaczęliśmy dzwonić zębami. Ręce i nogi grabiały nam momentalnie, a kopać dalej nie mieliśmy sił. Inwentarz żywnościowy też wypadł nieszczególnie: flaszka rumu, termos z herbatą, drugi z kawą, dwie bańki z winem (własność kolejarzy) i dwa bochenki chleba. Do tego puszka konserw, kilka tabliczek czekolady i cukierki księcia. Jak na jedenaście osób — dość skromnie.

Podzieliłem to wszystko na racje i rozpoczęliśmy posiłek. Jedynie gwoli pokrzepienia sił, albowiem komu chciałoby się jeść w takiej chwili. Łykaliśmy z trud-

HUMOR ZAGRANICZNY

"Noir et Blanc"



— Vous aimez la musique?
— Oui, mais ça ne fait rien. continuez!

- CZY PODOBA SIĘ PANU MOJA GRA?
- OWSZEM, NIE SZKODZI MI WCALE, PROSZĘ NIECH PANI KONTYNUUJE!

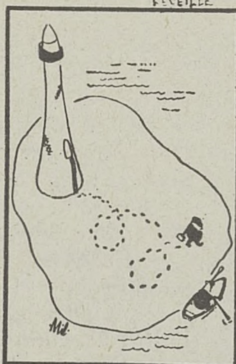
THE CLUBMAN



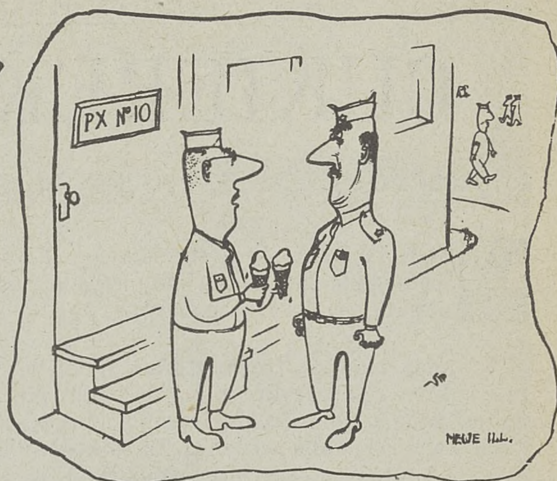
"Make yourself at home, Mr Wimpole."

"CZUJCIE SIĘ PAŃSTWO JAK U SIEBIE W DOMU."

REVEILLE



..... SIŁA PRZYZWYCZAJENIA



... MOŻE PAN MAJOR PRZYTRZYMA MOJE LODY NA CHWILECZKĘ, BO CHCĘ PANU ZASALUTOWAĆ.....



KOCHANA, PODAJ MI JAKĄŚ STARĄ SZMATĘ....

„REVEILLE"



"It's nearly one o'clock, you two should be home in bed."

JEST JUŻ PRAWIE PIERWSZA GODZINA, CZY NIE CZAS ABY BYĆ JUŻ W ŁÓŻKU?



— Czy już od dawna pani szumi w uszach?...

PRZEDRUK Z PISM
AMERYKAŃSKICH, ANGIELSKICH, FRANCUSKICH, WŁOSKICH, ORAZ NIEMIECKICH.

ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

CUKIEREK WIOSENNY

WYCHOWAŁA się u stryjostwa. Ledwie skończyła lat piętnaście, stryjna powie działa — dość! Niech idzie między ludzi.

Nastusia bała się trochę... ale tylko troszeczkę. Bo w szkole także byli "ludzie", nie rodzina. Były panna Józefa i panna Marja, obie kochane. I różne dziewczynki. Dużo kochanych.

W rodzinie to, jakoś, tak dobrze nieszło. Coś warzyło na ustach Nastusi serdeczny uśmiech, z jakim podchodziła do stryja na dzieńdobry. Patrzył na nią wzrokiem roztargnionym i mętnym. Stryjenka pokrzykiwała na niego wiecznie, że on nie lubi domu, że z nocy robi dzień. Nastusia wyobrażała sobie, jakto on chodzi nocą na spacer wielkiemi jasnemi ulicami. Potem, równo ze świtem, kończy się stryjkowy dzień. Dlatego mu tak dziwnie, zapewne, słuchać, jak dziecko mówi mu, jak na złość, wtedy właśnie: dzieńdobry!

Coś tu, zawsze w rodzinie, darzyło się Nastusi na opak. Nawet, kiedy były imieniny stryjenki, albo gwiazdka, i kiedy Nastusi bardzo chciało się zarzucić jej ręce na szyję... żeby rozpogodziła się do niej, raz przecie!... Ręce więdły. Tego nie można dobrze opisać. A tego nikomu nie daj Bóg doświadczyć, jakto się dzieje — kiedy ręce nagle więdną, gotowe do uścisku.

Najgorzej chyba wiodło się Nastusi z siostrą stryjeczną. Polcia była o trzy lata starsza od Nastusi. Bardzo ładna, zawsze różowa na buzi. Włosy to sobie karbowała, więc się kręciły. Nastusia wyglądała zawsze, jak śmierć angielska, tak nazywała ten wygląd stryjenka.

Stryjowi przeszkadzała Nastusia, gdy się chciał przespać na jedno ucho rano, przed biurem, bo trzeba było sprzątać mieszkanie i przeszkadzała mu po obiedzie, gdy chciał się wyspać na "oboje ucho"... powiadał. Nastusia zaś musiała układać naczynie pomyte i szyć na maszynie. Stryjence przeszkadzała Nastusia zwłaszcza za stołem, choć starała się jadać głównie ziemniaki i kaszę. Nie lubiła też niczego słodkiego, bo spojrzenia stryjenki robiły się wtedy takie jakieś — jak długie widelce — i mocno przyciskały leguminę do półmiska, kiedy była kolej, aby Nastusia wzięła w niej swój udział. Stryjenka chwaliła się zawsze na prawo i lewo, że ona nikomu z domowników, broń Boże, potraw nie wydziela, bo każdy musi zjeść to, co musi. Ale już co Polci, to przeszkadzała Nastusia zawsze i wszędzie. W kuchni, kiedy Polcia rurkowała włosy:

— Czego się na mnie patrzysz?! nie masz już nic do roboty?!

I w niedzielę, kiedy szły razem do kościoła i Polcia kłaniała się różnym znajomym.

— Dlaczego strzelasz oczyma do moich kolegów!? (Co to, właściwie, znaczy, strzelać oczyma?)

Najgorzej rozgniewała się Polcia raz, kiedy Nastusia powtórzyła jednemu takiemu koledze, którego ojciec był zamożnym obywatelem ziemskiem, to, co Polcia opowiedziała jej właśnie rano sama o tem, jak nocą postraszyła mysz w swoim pokoju. Mysz wpadła do norki za piecem i tylko widać jej było ogonek. Polcia wzięła zapałkę, zapaliła i przysunęła ją myszy do ogonka. Mysz schowała się odrazu!

Młody człowiek słuchał powiastki z pobłażliwym uśmiechem — patrzył na Nastusię mile uśmiechniętemi czarnemi oczyma — przenosząc je też, czasem, na Polcię.

— Wcale tak nie było! wcale tak nie było! — rozdąsała się Polcia. — Ona zawsze coś zmyśla!

Nastusi było bardzo przykro. Jakże tu tłumaczyć się przed obcym człowiekiem, że ona nigdy nie zmyśla? To wtedy wyszłoby na to, że kłamie... Polcia, kiedy ją, Nastusię, oskarża o kłamstwo. Dlaczego zresztą miałaby kłamać? Polcia tak żywo opowiedziała o tej myszy!

— Czy ty tego nie widziałaś, jak on zaraz zniechęcił się do mnie?! Bo to było okrucieństwo dla tej myszy ogon jej przypiec zapałką... A on kocha zwierzęta. Tyś się z tem naumyślnie popisała, żeby go do mnie zniechęcić! — wybuchnęła Polcia.

Jakże tu wytłumaczyć Polci, że Nastusi do głowy nie przyszło, aby można myszy naprawdę przypiec ogon i jeszcze się tem samemu chwalić, kiedy się wie, że to okrucieństwo. Brała to wszystwo za żart.

— Sama to mówiłaś o sobie, to ja powtórzyłam.

— No to właśnie, tyle nie trzeba gadać! Naucz się raz!



Szopka Krakowska.

Polcia była tak okropnie niezadowolona z Nastusi, że odtąd Nastusia bała się z czembądź odezwać przy gościach, gdy Polcia była w pokoju.

— Taki to już niezgrabjasz z tej naszej Nastki! — tłumaczyła ją pobłażliwie stryjna za bardzo zakłopotany wyraz twarzy, gdy pora byłoby otworzyć usta. Lecz kładły się wtedy na nich spojrzenia Polci, od których słowa na ustach zaraz więdły.

A co najgorsza bieda, że i serce więdło, choć chciało, tak bardzo chciało kochać wszystkich: stryja, stryjenkę, Polcię — wszystkich ludzi.

Nowi ludzie, w pięknym domu z ogrodem, których bardzo chciała pokochać Nastusia, był to pan inżynier, właściciel tego domu i ojciec swego Zbyszka. Pana inżyniera i dlatego nie można było kochać, że w domu swoim bywał rzadkim gościem. Prowadził roboty w innej części kraju. Jeśli, przypadkiem, zajechał, wołał wszystkim wielce uradowanym głosem: — jak się macie! jak się macie! — Całował z hałasem Zbyszka, jadł prędko obiad, przeglądał rachunki w gabicie. I niema go.

Był Jan, stary lokaj. Kucharka Zofja. Był też przy domu stróż a zarazem ogrodnik, pan Naryszko, i żona jego, pani Naryszkowa. Pani Naryszkowa miała oko nad wszystkiem, także nad Nastusią i Zbyszeczkiem.

Naryszków oboje można było kochać. Jana i Zofję —nie tak.

Ale przedewszystkiem... Zbyszeczek. Zbyszeczek miał pięć lat. I było to cudne dziecko.

— Co za wściekły, rozkapryszony bachor! — gniewała się Zofja. Zbyszek miewał głos donośny — i miewał swoje widzi - mi - się.

— Nie chcę myć! Nie chcę spać!! — były to dwa ulubione ćwiczenia głosowe, powtarzane wytrwale co ranka i co wieczora. — Chcę bułki z magiem! nie chcę bułki z dziurą!

Piekarz, jak wiadomo, lubi niejedną bułkę zrobić tak — na niespodziankę dla dzieci — żeby w środku było nie ciasto, ale dziura. Jak on to tak potrafi, pokuśnik? — Możeby on także potrafił nalać Zbyszeczkowi pół filiżanki mleka, ale także pół od góry co? — konkludował Jan. — A może to pana Nastusia też potrafi takie cuda? — Jan chce być zawsze dowcipny.

Ale dowcipny to tylko jest jeden na świecie — Zbyszeczek. Jest szczuplutki, a chce być tłusty. Po każdem jedzeniu chce mieć "duży, duży brzuch". Cóż, kiedy mu Pan Bóg stworzył brzuszek przyciasny i niewiele tam wchodzi.

— To trzeba mieć cierpliwość panny Nastki z tym szkaradnym krzykaczem — zrzędziła Zofja. — Me, be, — to jem, a tego nie jem...

Najgrzeczniejszy to był stanowczo, duży szary worek płócienny, w który Zbyszek pomagał zsypywać przedmuchane ziarno słonecznika. — Hap! hap! — jadł i pożerał wszystko, co mu dali. Słonecznikowe ziarno suszyło się na werandzie oszklonej, na wielkich zielonych papierach. Pani Naryszkowa, Zofja i Nastusia brały go teraz po garsteczce, dmuchały pieczołowicie: ani za mocno, ani za słabo, ale w sam raz tyle, żeby okruszki kwiatu zeschnięte wywiać — i ziarno szło na piękną bronzową paterę, która nawinęła się akurat pod rękę... Stamtąd Zbyszek zsypywał ziarno do worka.

— A widzisz, nażarłeś się: o! jaki masz wielki brzuch! — stwierdził Zbyś z niekłamaną uciechą, klepiąc worek smukłą rączką różanej radości. Ideałem Zbyszka stała się też, dla podobnej przyczyny, ...mysz. Marzenie, jakiego nie sądzono mu było ujrzeć w rzeczywistości. Tem słodsze. Mysz! Zwykła domowa mysz pojawiła się w jadalnym pokoju. Widział Jan, jak podreptała pod kredens, słyszała Zofja, że tupotała z powrotem — pod stół, pod krzesełko Zbyszkowe, pod otomanę:

— Ogromna mysz! A jaka tłusta!

Zbyszeczek w tęsknocie obchodził całą wielką jadalnię, zaglądał pod każdy sprzęt.

— Myszo! Myszo tłusta, ogromna! gdzie ty jesteś?! — nawoływał ją pieściwie, gorąco.

Mysz wzamian—nie ozwała się nigdy. Zwierz bez serca. Wietrzna istota. Szkoda, że niema tu Polci. Warta mysz, by przypiec jej niewdzięczny ogon.

Stworzenie bywa, zasadniczo, niewdzięczne. Pewnego dnia Nastusia była w zwierzyńcu z panią Naryszkową i Zbyszeczkiem. Zbyszeczek od dawna marzył o tej wyprawie do "zwierzeńców". Pierwsza klatka... pierwsza realizacja snu... zawierała parę marabutów. Stoją, niby na szczudłach, ptaszyska dwa siwe, takie duże, jak Zbyszek. Dziób ogromny, łeb omszony zlekka pierzem, wciągnięta w ramiona szyja, wyrazem odwiecznej drwiny z przechodnia: — Co mi do tego, że tam, na świecie...

Zbyszek wobec osób nieznajomych przybierał zasadniczo postawę Księżątka - Wdzięcznisia. Ruchem wytwornego salonowca posunie się ku pani Marabutowej, bo stała właśnie na jednej nodze, jak najzwyklejszy bociek, drugą zaś... dłoń (albo stopę?) zdawała się trzymać w pogotowiu do serdecznego uścisku. Zbyszek ukłonił się z nieposzlakowaną galanterją — i wygłasza najpoprawniej farmułę prezentacji, obowiązującą rzetelnego dżentelmena:

— Jestem Zbigniew Chrupczyński...

Marabutowa przechyliła obojętnie łeb na ramię, mrużąc zlekka czarne lśniące oczy... I nic. Ołowiana dłoń skrzydlatej matrony nie wyciągnęła się do chłopczyka. Zbyszek bardzo głęboko ukrył swój pierwszy zawód na terenie zwierzyńca.

Na Boże Narodzenie wpadł do domu inżynier. Zwiózł górę zabawek i świecideł choinkowych. Naryszkowa ubrała z Nastusią wspaniałą choinkę. A pod choiną — sam przepych. Kręgle. Ale jakie!! Cztery wieprzki w kolorowych frakach wygrywają kwartet: skrzypce, altówka, wiolonczela, bas... Piąty — dyrygent — ma w raci-

cy dziurkę, w którą Nastusia włożyła zapałkę (bo fabrykant zabawek zapomniał o batucie dyrygenta). Łamigłówka czarodziejska — bo na każdej stronie klocków rozmaite cząstki różnych bajek: Śnieżka... Śpiąca królewna... Kopciuszek... Jaś i Małgosia... Czerwony kapturek... Tomcio - Paluszek... Tylko złożyć!! — I jeszcze latarnia magiczna. I jeszcze teatrzyk lalek z kompletem sześciu dekoracyj... Można tem było grać Robinsona Kruzoe. Także Robinson Kruzoe do czytania.

— Ależ to będzie, proszę pana inżyniera, za poważne dla Zbyszeczka! — wtrąciła pani Naryszkowa.

— To co! Niech będzie na wyrost!

— Były też inne książki. Bajki Andersena. I czerwone książki ze złoconemi brzegami — po francusku.

— Wszystko na wyrost! — oburzała się Zofja po wigilji. — Człowiek orze, haruje, zabija się cały rok — dopracuje się tych kilku marnych złotych na gwiazdkę, a taki bachor we wszystko opływa, jak ten pączek w maśle!

Niedobra Zofja, żeby też zazdrościć nawet dziecku.

— A panna Nastka niech się cieszy. Śliczny fartuszek dostała za to utykanie nosem od rana do nocy, i w nocy z tym nieznośnym smarkaczem!

— Owszem, bardzo się cieszę! — Śliczny fartuszek. Że też to pan inżynier miał czas i chęć o mnie sam pomyśleć! Już go teraz całkiem pokochałam.

— Lizoń jest panna Nastka i podchlebiec, to powiem! Takim ludziom zawsze raj na ziemi! — rozżaliła się Zofja.

— Owszem. Raj na ziemi. Układać ze Zbyszeczkiem łamigłówkę i opowiadać mu wszystkie te bajki... tak jakoś, po swojemu, żeby tylko zrozumiał pięcioletni łepek, poszysty gęsto jedwabistem, ciemnem włosiem. Jakiego koloru włoski ma Zbyszeczek? To trudno powiedzieć. Wydają się ciemne, nie tak wiele brak, żeby był "brunetem"... A jak stanie w słońcu, to we włosach przebłyskują prześliczne jakieś złote nitki. To są włosy z bajki.

Także nie wiedzieć, jakie oczy ma Zbyszeczek? Bo kiedy bajki słucha i przejmie się, albo, kiedy się rozgniewa, — są bardzo czarne. Czasem znów, kiedy kaprysi — jest uparty, niegrzeczny... to są, jak lód, bardzo jasne. Na buzi bywa blady, i bywa też różany, jak różyczka śpiącej królewny. Inna, niż wszystkie inne różyczki na świecie.

Lepiła Nastusia bałwana ze śniegu ze Zbyszkiem. Zrobiła mu sama wielkie, bardzo odstające uszy... Nastka nie zapomniała o batucie dyrygenta.

— On musi być muzykalny, więc ma takie wielkie uszy! — wyjaśnił dumnie autor uszu.

Ale już co największa radość na świecie, to zrobiła się z wiosną. Polany parku zarzuciły się miljonem stokrotek. Zbyszek miał wieniec stokrotkowy na ciemnych i promienistych włosach.

— Nacia! ty-ż sobie zrób też taki wianeczek, dziecino! — wołała Naryszkowa, przykładając rękę do czoła, bo blask przeszkadzał patrzeć.

— Ej, co mnie po wianku! nie chce mi się pleść dla siebie...

— To ty weź mój wianek, powiem ci! — zawołał Zbyszek i pchał jej na skronie kwiatową przyciasną obrączkę.

— Czekajcież, dzieci, niechże się i ja zabawię — uśmiechnęła się Naryszkowa. Siadła pod klon i poplotła dla obojga prześliczne korony, jak wyrażała się.

Odtąd oboje chodzili nieraz w takich koronach.

Pani Naryszkowa kochała dzieci. Własne jej nie chciały się chować, wzdychała czasem. Nagół nie wzdychała, lecz pilnie obszywała dom, dbała o bliznę stołową, pościelową, o szatki Zbyszeczka. Teraz przybył jej nowy "kłopotek", jak powiadała, — o Nastkę.

Pewnej niedzieli przyniosła pani Naryszkowa dwie białe pikowe sukienki, które pilnie szyła przez dwa dni. "Dla Zbyszeczka i dla Nastki".

— Oho! to już teraz całkiem jaśnie panienka się zrobi... — żartował dowcipny Jan.

— Pochlebiaczom zawsze dobrze... — mruknęła Zofja.

Naryszko flancował floksy. Czynił swoje po ogrodzie cichutko, starannie, "jak duch jaki". Tak się to zawsze wydawało Nastusi.

Na łączce stokrotkowej pletli sobie girlandy Nastusia ze Zbyszkiem, albo raczej Zbyszeczek z Nastusią. Obrożę stokrotkową dla Medorka (żółty jamnik Naryszków). Mieli oboje na głowach swoje białe korony, oboje białe odświętne sukienki.

Szczęście. Błogość słonecznego dnia.

I wtedy właśnie zajechał powóz.

Wysiadł pan inżynier — i pani.

Była to nowa pani inżynierowa. Piękna i pięknie ustrojona. Poruszała się wolniutko. Mówiła też wolno, jakby kto przelewał ostrożnie syrop.

— A... to pewnie Zbyszeczek? Jak się masz, mój maleńki...

Dziecko, wbrew zwykłym obyczajom Książątka - Wdzięcznisia, nie poruszyło się. Stało poważne, z pochyloną główką, promienistą, bo padało słońce. W stokrotkowej koronie.

— A ta pa - nien - ka? Ki - es? (to pewnie po francusku pyta o coś pana inżyniera: pan inżynier odpowiada, tłumaczy się).

Pani inżynierowa przygląda się Nastusi — od stóp do głów... i raz jeszcze od stóp do głów.

— No... no. — Więc panna Nastusia, Bardzo miło mi poznać... Uprzejmie skinęła głową.

Odeszli.

Nastusia zlodowaciała w swej białej sukni. W stokrotkowej koronie.



Tańce huculskie we wschodniej Małopolsce.

Pani inżynierowa rozmawiała długo z Zofją. Zofja nie powiedziała Nastusi nic. Ale Nastusia czuła na sobie jej spojrzenia, bardzo podobne do spojrzeń Polci.

Pani inżynierowa rozmawiała też z Naryszkową. Drzwi od sypialni były uchylone i Nastusia słyszała doskonale osnowę rozmowy.

— W wieku Zbyszeczka konieczną już jest opieka cudzoziemki, a to, mianowicie, dla konwersacji. Uważam zresztą za konieczne zwrócić pani Naryszkowej uwagę, że zbytnio, przez dobroć serca, zajmowała się panną Nastusią. Dowiaduję się od Zofji, że to pani uszyła jej suknię z tej samej piki, co sukieneczkę dla Zbysia. To zupełnie zbyteczne. Każdy, od młodości, powinien znać swoje właściwe miejsce.

Tu Naryszkowa zamknęła drzwi.

Nastusia niezupełnie dobrze rozumiała, co chce powiedzieć pani inżynierowa. Ale głos pani inżynierowej, choć zawsze wolniutko lejący się tasiemką syropu, działał na nią wcale nie inaczej, niż ongiś krzykliwy głos stryjny.

A potem pani inżynierowa kazała poprosić Nastusię.

— Panno Nastusiu. Mamy dziś czwartego czerwca. Ponieważ nie mamy powodu wymawiać jej miejsca, płacimy zasługi do końca bieżącego miesiąca. Dziś jednakże spodziewamy się już przyjazdu panny Marceliny, Francuski, którą dla Zbyszeczka umówiłam zagranicą, tak, że od dnia jutrzejszego jest pani wolna.

Wolność. Takie piękne słowo.

Za tydzień miały być urodziny Zbyszeczka. Nastusia kupiła już dawno pudełko kredek i śliczne wzorki do malowania: "Dla grzecznych dzieci". Zbyszeczek bardzo grymasił przy kolacji, a potem wcale nie dał się kąpać ani myć główki. "Głowa nie!! nie chcę głowy"!... Nastusia robiła swoje, wytrwale, cicho, miękko, czując, że robi się coraz bledszą.

— No już przynajmniej uszy panny Nastusi odpoczną jutro od tych wrzasków — zauważyła Zofja. Popatrzała jakoś łagodniej. Nastusia nie odpowiedziała nic.

Z kredkami i wzrokami poszła do Naryszkowej.

— Pani będzie tak dobra dać to Zbyszeczkowi na urodziny. Ale niech pani nie mówi, że to odemnie. Jeszcze mu zabiorą.

Naryszkowa westchnęła.

— Dla grzecznych dje-tij... — czytał śpiewnie pan Naryszko. — A to on taki do-bry ten Zbyszeczek?

— Jak nad nim popracują pani inżynierowa i ta Francuzka, to zrobi się dobry, nie bój się — westchnęła pani Naryszkowa.

Uściskali ją oboje serdecznie.

Zbyszeczek spał. Ciemne, jedwabiste włosy burzyły się po poduszce.- Mocno zarysowane brewki ściągały się raz po raz, grały śliczne karminowe chrapki; zaciskał usteczka tak samo, jak kiedy na jawie był "zły", sprzeczał się i gniewał o wszystko, mały tyran.

— To znaczy... że już cię tak więcej nie będę widziała, Zbyszeczku. — Nigdy — myślała Nastusia powolutku jakoś, powolutku. A wtem błysnęło... "światełko". Nastusia pobiegła po nożyczki. Była to jedyna pamiątka po matce: szkatułeczka drewniana, z rzeźbioną na wierzchu szarotką, w niej nożyczki, naparstek z szafirowem denkiem.

Nastusia pochyliła się nad śpiącym. Ujęła delikatnie pasmo włosiąt. Nożyczki zgrzytnęły lekko.

Nastusi biło serce. Lękała się obudzić Zbyszeczka. Ale dziecko spało. Brewki rozchmurzyły się. Na ustach wykwitł najcudniejszy uśmiech, taki, jaki ma na całym świecie jeden tylko Zbyszeczek, kiedy jest dobry: słucha łapczywie bajki.

Potem dopiero zjechała madmuazel. Taka elegancka i kształcona pana? Mój Boże cóż ja wobec niej znaczę. To bardzo dobrze — pomyślała pani inżynierowa. Zbyszeczkowi należy się taka panna, a nie taka jakaś nianiusia, ni pies ni wydra. "Jak śmierć angielska" przypomniała sobie — z uśmiechem — słowa stryjenki. Stryjenka miała rację. Pani inżynierowa ma rację.

Nazajutrz madmuazel musiała się odespać po drodze. Na tej zasadzie Nastusia miała raz jeszcze ubrać Zbyszeczka.

W nocy śniła jej się ta piękna stokrotkowa łąka. Bawili się na niej oboję, biali, w kwietnych koronach. Nastusia zaśmiała się przez sen — tak, jak śmieje się Zbyszeczek. Jakby sama była dzieckiem. Obudziła się wtem. Niby obrót żelaznych miarowy — dzwon łańcuchów i szyb... jakby pociąg unosił ją, unosił — daleko, daleko, skąd nie wraca się, nie—wra—ca—się! "Czas, cza-as!" — zajęczała rozpaczliwie syrena parowozu. Serce przeszył mróz, ale Nastusia spała dalej.

Rano Zbyszeczek długo nie wstawał. Nastusia otworzyła okno. Słoneczny blask przewiatlał trójkątne liście powoju, który piął się po tej ścianie domu. Zbyszeczek spał. Nastusia czekała, rychło się przebudzi — czekała. — Tuż za oknem gałązka powoju ważyła się na lekkim wietrze niewysłowioną pieszczotą. Zbyszeczek otworzył oczy — Nastusia podbiegła do łóżka.

— A! przyszłaś. Bo właśnie śniło mi się...

Cały był bialutki, w koszulce zapiętej pod szyją. Mały kwiatek. Oczy wielkie, gwiaździste, patrzyły w przestrzeń, gdy oddawał jej pocałunki, jak zwykle — uczciwie, z gorliwością i właściwą sobie słodyczą.

— Co ci się śniło, Zbyszeczku?

Oczy wróciły z nieznanych przestrzeni, spojrzały na nią — takie, jak zwyczajnie. Wyraz łobuzerskiej przekory ożywił je:

— Kiedy nie pamiętam!!

Po śniadaniu zwróciła się Nastusia do Jana:

— Jan ma klucze od strychu. Może Jan będzie łaskaw przynieść mi mój koszyczek?

— Słucham jaśnie panienki! — Dowcipny Jan!

Suknię miała Nastusia ciemną. Białą pikową zostawiła w szafie. Gdzieżby ją miała stąd brać, gdy nie może wziąć z sobą łąki, stokrotek, ani Zbyszeczka.

Zbyszeczek żegnał się z nią z roztargnieniem. Znała dobrze i te jego "roztargnione" pocałunki. Dlaczego pocałunki takie wydarzyły się jej dziś właśnie? Zbyszeczek uderzony był nowością; uśmiechała się do niego Marcelina w czerwonej bluzce, brylanty świeciły mocno w uszach pani inżynierowej.

Zbyszek miał w ręku torebkę cukierków.

— Masz, to dla ciebie! — darował jej na pożegnanie.

Orzechowy? Pomarańczowy? A może rakowa szyjka?

Na papierku szmat farbkowego nieba i bardzo różowa gałązka kwiatu jabłoni. Napis: Cukierek Wiosenny.

II.

Szło życie. Pośród różnych ludzi — których wszystkich, zawsze, chciałaby kochać.

Ludzie są — różni.

Była urzędniczką na poczcie. Była...

"Zawsze była głupia" — słowa stryjenki. A styjenka, w gruncie, zawsze miała rację.

W dwudziestym roku życia, po ciężkiej chorobie, zdecydowała się poślubić majstra Hermana. Miał czterech synów po dwóch nieboszczkach. Żaden nie nazywał się Zbyszeczek. I byli to już zresztą chłopcy podrośli lub podrastający do nauki w terminie.

— Są takie, co idą i na ośmioro cudzych dzieci. Masz Panu Bogu dziękować, że znalazł się ktoś, co się chce żenić z taką... głupią. Bez grosza przy duszy. Bez zdrowia. I która wygląda, jak najprawdziwsza śmierć.

Za to nie będzie miała wymagań. A majster Herman nie lubi wymagań. Zresztą jest trzeźwy, jak się należy człowiek. Zawsze się ktoś domem zajmie i nie będzie trzeba płacić służącej. Tym też sposobem zyskała Nastka dach nad głową, bo stryjna odmówiła jej tego dachu, jako teściowa adwokata (kolega z czarnemi oczyma z Polcią nie ożenił się; napewno zniechęcił się tą myszą). Zyskała Nastka poczucie, że jeszcze coś dobrego potrafi robić na świecie. Dbać o tych chłopców, o tego majstra Hermana. Po paru latach miała też własną córeczkę. Zupełnie podobną do majstra Hermana. To zabawne! żeby malutkie stworzenie było takie samo, jak stary człowiek! Takie same bałuszyste cośkolwiek oczy, i nos garbaty i szeroko rozcięte usta.

— Nie jest ładna moja córeczka — westchnęła sobie czasem Nastka i chwyta się szczotki, szorować, albo noża, ziemniaki oskrobać. Zawsze jest dość roboty.

I tak już minęło dziesięć lat.

Majster Herman dorobił się i otworzył pracownię w Warszawie. Konkurencyjną. Bezkonkurencyjną! A potem przyszła wojna. Z fortunki majstra Hermana nie zostało się nic a nic. A że bieda nie przychodzi nigdy w pojedynkę, na dobitek ruszyło go powietrze. Siedział sobie odtąd spokojnie w fotelu, tylko głos miał wielki.

Warsztacik lichy, na bocznej ulicy prowadził — byle jak — jeden z młodszych synów. Pozostali, szczęściem, czy nieszczęściem, byli każdy na swoim chlebie, na prowincji.

Otóż działo się to trzydziestego grudnia. W śnieżny zmierzch. Zwykle z posyłkami, gdzie bliżej, chodziła Mania. kaszlała dziś bardzo — i to było nie bliżej, ale dalej, aż na Wilczą. Trzeba było odnieść buty jakiemuś starszemu panu, który ich gwałtem na dziś potrzebował. Wszystko więc składało się dobrze, byle iść i zastać płatnika.

Starszy pan mieszkał w oficynie tego domu. Sam przyjął towar, zapłacił. Ulga. Wyjść jednak z bramy nie było sposobu... Karety zjeżdżały w dziedziniec. Ślubna kareta w białe konie, z jedwabnemi kokardkami i białemi różami koło uszu (jak się one sobie w tem podobają! ciekawe!). Stangret, lokaj w cylindrach, w piaskowych płaszczach... i biczyska białe róże. Kareta obita czemś jasnem w środku, i suto wystrojona różami koło okien. Ktoby to nie popatrzył, jak gdzie ślub?!! Stąd to robi się odrazu taki tłum gapiów na dziedzińcu, w bramie, na ulicy. A, jak to przyjemnie być choć raz w życiu tym, na którego się wszyscy gapią!

Aż serce bije Nastusi! Co to będzie, co to będzie...

Ot co. Śliczniutka, smukła panna młoda — cała jasna i uśmiechnięta; wielka biała peleryna z białym futrzanym kołnierzem zasłania trochę strój, ale widać jaki biały, biały, kosztowny!... A jaki welon! A jaki kwiat pomarańczowy, taki w najlepszym gatunku, zagraniczny. A co za bukiet!... Zawsze się wpierw jakoś patrzy na pannę młodą.

— A to pan młody — — Co to jest? co to jest! Serce łopoce. Świat się kręci. — — Ta buzienka! oczy, w tej chwili... I te włoski. Ależ to Zbyszeczek! mój Zbyszeczek!...

Nie miała czasu przyglądać się. Bo szybko wsiedli. Odjechali.

Cóż, że odjechali. Nastka nie ma sił odejść. A może to nie Zbyszeczek. Zdawało jej się? Cóż zresztą! Zbyszek czy nie Zbyszek — ci ci do tego?! Dasz mu co na prezent, albo co? Brat ci jest albo swat!?

Nastusia kręci się po dziedzińcu. Przemknie raz po razu posłaniec, z upominkiem. Widać coś czasem, w papierze. kwiat jakiś... albo znów

tort z cukierni. Wszyscy tam idą — na parter, w prawej oficynie. Zapala się światło w oknach. Rzęsiste. Niepokój wpędza Nastusię na klatkę schodową. Drzwi otwarte. Długi, szeroki przedpokój, wysłany czerwonym chodnikiem. Prosto drzwi do wielkiej jadalni, bo widać koniec stołu, zasłanego śnieżnym obrusem, kilka eleganckich nakryć krańcowych... Ogromne szkło ze stertą pomarańcz... To wszystko ogarnia się wzrokiem w parę sekund. Ale wzrok uparcie wrył się w naczelną dekorację uczty. W rogu jadalni, na wprost przedpokoju — ogromna choina, przepysznie ustrojona. Lokaj z laską w ręku, na końcu laski stoczek... Widać, zacznie już zapadać!...

— Ależ zamykajcie drzwi! na litość. Zimno wchodzi... — rozlega się głos. Tasiemka syropu sączy się wolniutko. Tak. To głos... pani inżynierowej. Zamykają drzwi. Słychać jeszcze ten głos.—A dajcież mi już chleb i sól...—na te mała srebrną tackę... Nakryć pierw serwetką Richelieu, moja pani Naryszkowa!

Więc jest i pani Naryszko. Szczęśliwa.

Ach, to byłabyś szczęśliwa... gdybyś była tam... jak pani Naryszko!

Trzeba iść. Ale właśnie dzwoni posłaniec. Drzwi uchyla sama pani inżynierowa. Jakże się mało zmieniła! Te same popielate loczki, brylanty w uszach, delikatna buzia. Siedemnaście lat czasu. Ale takie jaśnie panie to się powoli starzeją. Dba to o siebie. Chucha, dmucha.

Czuła Nastka, że wzrok pani inżynierowej zahaczył o nią... Serce bije. Pozna? Niema obawy!!

Głos rozlega się w przedpokoju — słodki zawsze, ale donośny:

— Marcin niech uważa, jakaś baba plącze się po schodach, żeby to nie była złodziejka... widziałam ją, jak zaglądała w okna z podwórka...

Wiadomo. Każdy człowiek prosty, to zaraz złodziej, zwłaszcza, kiedy patrzy w okna. Chce pieniędzy. Bo nad wszystko na ziemi jest pieniądz.

Baba. — No naturalnie, a cóże ty jesteś? — Trzydzieści dwa lat. Bura podłatana kiecka, wykrzywione buty (szewc bez butów chodzi). Chustka ladajak narzucona w wiecznym pośpiechu.

Śpiesz-że się... pora! Czegoż tu czekasz, Nastka!

Żeby ci co takiego jeszcze powiedział... twój Zbyszeczek?!

Pobiegła co tchu do domu.

— A co się tak bez końca wałęsasz!? — zawołał, słusznie bardzo, majster Herman. Mogłaby się wykłamać, że czekała na starszego pana. Po co kłamać? Lepiej, zawsze, milczeć.

Potem, kiedy już wszyscy spali, Nastusia cerowała jeszcze skarpetki i koszulki wełniane majstra i pasierba.

A potem przestała cerować.

Dziwne myśli zaczęły jej się plątać o północku.

Pierwej sobie wspomniała swój ślub. I serce ścisnęło jej się nienazwanym bólem. Był brudny marcowy dzień w marcu, jak w garncu ze śniegiem deszcz, błoto. Dorożka klekotała po bruku do kościoła.

Wysiedli. Ona, majster i dwa młodsze chłopaki. Dwa starsze poszli pieszo. Miała na sobie granatowy kostjum i popielaty kapelusz. Stryj przyszedł na świadka i starszy czeladnik. Paliły się cztery świece na ołtarzu. Organista grał całą mszę. Och, jakie to było straszne! — Nastusia łamała się z sobą, żeby, jak warjatka, nie uciec... Ale coby to, zresztą, pomogło?! Grał a grał. Źle mu ktoś, jak widać, kalikował. Organy, bez tchu, sapały, męczyły się, dudliły, mędliły, szkaradziły swój śpiew. To okropne.

Ha, ciesz-że się, że masz choć taki ślub, skoroś taka.

Przychodziły jej odtąd w życiu nieraz całkiem głupie myśli. Gdy wszystko szło po grudzie — i było tak ciężko... ciężko... ciężko. Życie dudliło, męczyło, szkaradziło. No tak, naturalnie: to dlatego, że organy tak grały na tym moim "takim" ślubie. Żeby choć trochę więcej światła na ołtarzu. Trochę kwiatów.

Mignęła jej prześliczna twarzyczka panny młodej w bieli. Ehe! W sam raz... dla Zbyszeczka! Podeszła, mimowoli, ku lustru. Śmierć angielska. Ta "prawie piękna koleżanka", jak o niej ten — ów gadał niegdyś w biurze.

Komu wierzyć? — Pośpiesznie rozczesała włosy. Nie trzeba ich było karbować, bo falowały się same. Ułożyła je pięknie, jak należy. Co za głupia myśl! Chwyciła laufer z tiulu, upięła na głowie, uszczknęła z doniczki gałązki mirtu. No tak.

To jest strój, jakiego nigdy w życiu nie odziałam i nigdy w życiu nie odzieję.

— Matka!... olaboga! co tu matka wyprawia? do teatru matka wstępuje, albo co?

Pasierb. Przygląda się jej, jakby pierwszy raz w życiu widział.

— Piętnaście lat wam ubyło. Toście tak kiedyś wyglądali? — na, no, dobrze, żem was wtedy nie znał, bobym się zakochał.

Kiedy. Fala krwi uderzył jej do głowy. Zrzuciła z głowy, zmożona wstydem.

— Czego tu, smarkaczu, po nocy?! Zawsze gadam, żebyś pukał do drzwi!

— A dyć-żem pukał, hałasował, ale matka nie słyszy. Ojciec zasłabli, po tom tu szedł, pocóżby!

Niedługo zmarł majster Herman.

Wolność. Tym sposobem drugi raz w życiu była nagle wolna od obowiązku.

Wolność. Piękne słowo.

Pasierb chciał się z nią żenić . Nabeształa go. Założył pracownię w Radomiu. Ożenił się z bogatą o parę lat starszą od niej panną.

Nastusia, pracowała w sklepie, gdzie miała

swój udział i dochowała się z Mańki tej pociechy, że wnet jej się trafiło zamąż. I to za handlowca. Mańka dopiero ukończyła szesnaście lat. Ale cóż było robić! Wola Boska.

Matka ubrała ją pięknie, na biało, z welonem i mirtem. I sama zadbała o to, żeby na ołtarzu było dużo światła i kwiatów. "Będzie jej pamiątka na życie". Wnet potem przenieśli się wszyscy aż do Torunia.

Ale Mańka nie żyła długo. W rok niespełna umarła. Została się po niej córeczka, Joasia. Wkrótce potem zięć pojechał do Ameryki na dobrą posadę. I miał stamtąd dosyłać pieniądze na dziecko. Nie dosyłał jakoś nic. Wkrótce znaleźli się tacy, którzy go widzieli, jak się znowu żenił. Ale powinien przecie dosyłać pieniądze na to dziecko!

Pewnie, że powinien. Ale, skoro nie posyła to babka też potrafiła zarobić. Póki było trochę grosza w odwodzie, to udawało się łatwiej. Ale, jak wspólniczka zmarnowała wszystko, to co było począć?!

Bezrobocie w kraju. Starała się Nastka o co bądź w magistracie.

Urzędnik przyglądał się jej okiem życzliwem.

— No cóż, moja babciu... chyba, że się zgodzicie do wożenia śmieci?

— Czemuby ne? Robota każda dobra.

Babcia. No tak. Mam wnuczkę, Jaosię. Czwarty krzyżyk na karku. Co też to praca może z człowiekiem! Tóż to była praca, nim wyszła ta Mańka na ludzi!... Chodziło się często gęsto i do prania, i na obsługę. Ani mowy nie było, żeby gdzie jakiej "inteligenckiej" roboty dostać! Zresztą po co!? Robota każda dobra. Inteligencką płacą teraz gorzej, niż fizyczną. Komu, i po co szyku zadawać, kiedy niema co jeść!?

Babcia Nastusia dostała więc magistracki mały wózek dwukolny i miotłę — objeżdżała koszyki na śmiecie w swojej dzielnicy. Trafiają się tam listy podarte, gazety, ulotki... papiery od cukierków. Zamieszkała kątem u dobrej kobiety, która sprzedawała naczynia gliniane, i miała stancję przy sklepie. Babka Nastusia uprzątała stancję, a zaś kobieta miała oko nad Joasią.

Otóż działo się to dwudziestego czwartego grudnia. W śnieżny zmierzch. Babcia Nastusia poleciała kupić dwa śledzie na wilję, ale to z kieszeni garncarki. A także paczkę katarzynek — "żeby i dziecko pojadło sobie" — zaznaczyła garncarka. Na rynku choinkowym uzbierało się też sporo ułamanej świerczyny. Przystroi się izbę... Zaszła po drodze do kościoła.

Było już ciemno, kiedy wyszła. Mój Boże, tak prędko się ściemnia... Zwyczajnie koniec roku.

Szła cichą, ładnie zabudowaną ulicą. Uderzyło ją w oknie parterowem światło. Pierwsza w tym roku, zapalona już choinka! Dobrzy jacyś ludzie, nie spuścili rolet, albo, jak tu się mówi, "rolosów". Może się ucieszyć i przechodzień.

Babcia Nastusia miała taki wzrok, że doskonale widziała zdaleka, jak przez lornetkę. Patrzyła więc... wtulona w futrynę przeciwległej bramy.

Tam drzewko. Dwu chłopczyków się uwija... Ot, jeden już tak ze siedem lat może mieć, a drugi ze cztery albo więcej. Ale tam jest jeszcze jeden maleńki dzidziu na ręku, w turkusowej sukience. Podnosi go ku drzewku pani: ach, jak ładna pani! Taka prościutka sama, jak świeczka i jasna! i śmieje się!... Żeby to tak u niej trafiła się jaka robota — cerować, łatać? — Przez okulary widzę dobrze i zbliska. Ładna pani... Jakbym już znała ją skąd? A ten pan...

Przygarnął ją, ładną panią, położył jej lewą dłoń na lewem ramieniu, i położył jej głowę na prawem ramieniu. Sypną mu się jedwabne włosy. Te włosy!! tak!

Tak. To mój Zbyszeczek. Włosy promieniste, bo pada blask świeczek. Pani śmieje się. Na lewem ręku piastuje dzidziusia w turkusowej sukience. Prawą — dotyka włosków Zbyszeczka.

* * *

Oho, ależ tu dmucha w tej bramie... ocknie się babka Nastusia. W pokoju naprzeciwko został się tylko ten młodszy malec... takuteńki, jak wtedy Zbyszeczek...

Włazi na okno... a mój Boże! Otwiera lufcik! Zbytnik jeden, jeszcze się zaziębi.

Mała rączka wyrzuca na ulicę garść papierków, dobytych z kieszeni fartuszka... Patrzy dzieciak z uciechą, jak spadają na schodnik, białemi płatkami.

Ale go już matka chwyta wpół, ściąga z okna, Gniewa się — i całuje.

Chwila pustki w pokoju.

Babka Nastusia śpiesznie przechodzi na drugą stronę ulicy, tam, gdzie upadły papierki. Nawyk śmieciarski — porządek robić! wyzbierać strzępki, obrywki, papierki.

Tak, papierki — od cukierków.

Każdy z obrazkiem. Orzechowy, ponczowy, malinowy, cytrynowy... i wiosenny.

Ot, będzie miała wnuczka do zabawy. —

...Tam, w pudełeczku drewnianem z szarotką, zamkniętem na kluczyk, leżą nożyczki, naparstek... i spoczywa też... dwadzieścia pięć lat!! bójcie się Boga, to już ćwieć wieku!... spoczywa Cukierek wiosenny. W białej maluśkiej kopertce leży pasemko włosów. Z początku, przez parę lat, kiedy było jej markotno za stokrotkową łąką, brała te włoski czasem do słońca, żeby ożyły. Ale, dziwna rzecz, włosy pozostawały ciemne. Robiły się cudne promieniste tylko na głowie Zbyszeczka.

Potem to już nie patrzyła tam wcale. Nigdy...

Ot, będzie miała Joasia do zabawy pięć ładnych kolorowych obrazków na wilję od babki Nastusi...

TAJEMNICA GŁOSU LUDZKIEGO

Od bardzo dawnych czasów wiedza lekarska stara się o zgłębienie tajemnicy głosu ludzkiego. Dopiero jednak w najnowszych czasach udało się uczonym badaczom poczynić w tej dziedzinie większe postępy. Posługując się nowemi metodami badań, w których najgłówniejszą rolę odgrywają promienie Roentgena (X Rays), zdjęcia kinematograficzne, oraz gramofonowe i wielce skomplikowany aparat zwany "periskopem krtaniowym", badacze tajemnicy głosu ludzkiego doszli do niezmiernie interesujących wyników. Wyniki te rzucają zupełnie nowe światło na powstanie poszczególnych dźwięków mowy ludzkiej lub śpiewu.

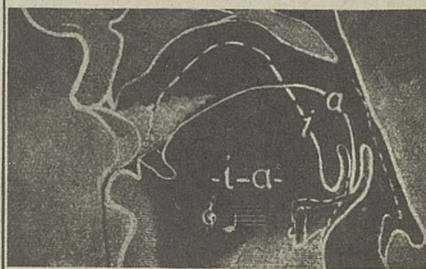
Pierwszym uczonym, który przed niespełna stu laty rozpoczął dociekania nad głosem ludzkim był słynny podówczas fizjolog, Johannes Mueller. Uczony ten wykrył, że dźwięki w krtani ludzkiej wytwarzają się w taki sposób, jak dźwięki w piszczałkach organowych. Na anatomicznych preparatach wyciętych krtani ludzkich, których głośnie naprężał lub zluźniał przy pomocy aparatu mechanicznego, przyjednoczesnem wdmuchiwaniu powietrza miechem, Mueller wykazał w jaki sposób przez odpowiednie położenie chrząstek krtaniowych dźwięk zmienia się w obrębie kilku oktaw.

Dalsze odkrycia wiedza medyczna zawdzięcza sławnemu śpiekowi hiszpańskiemu Manuelowi









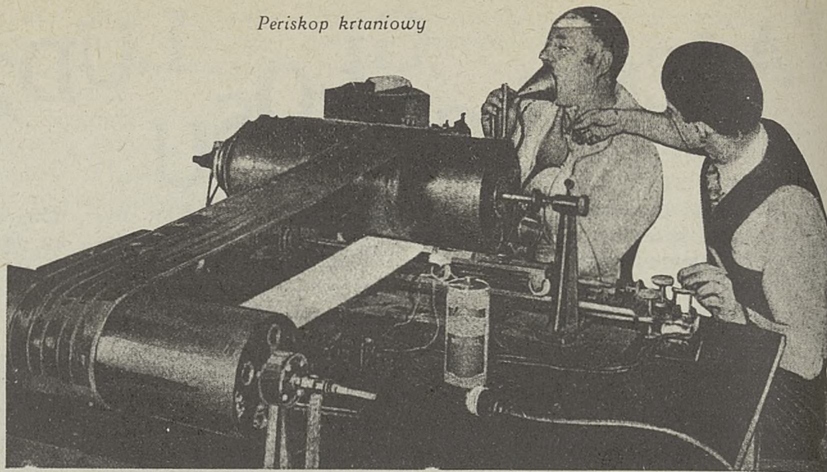




Wydobywanie dźwięków samogłosek z gipsowych odlewów. Po prawej: Gipsowe modele narządów głosowych. Po lewej: Badania narządów mowy zapomocą promieni Roentgena. Biała linijka jest zdjęciem złotego łańcuszka.

Garcia, który wynalazł tak zwane "lusterko krtaniowe" umożliwiające bezpośrednie zajrzenie do **krtani**. Od tych odkryć upłynęło jednak jeszcze wiele czasu i **sposób** powstawania dźwięków mowy ludzkiej i czarującego śpiewu wydobywającego się z krtani śpiewaków i śpiewaczek pozostawał ciągle w osłonie tajemnicy.

Dopiero w ostatnich czasach badania, dokonywane przy pomocy udoskonalonego przez doktora Russela "periskopu krtaniowego", zaopatrzonego w malenką, ale bardzo silne światło dającą lampkę elektryczną, dały ważne i niespodziewane rezultaty. Periskop krtaniowy umożliwił oświetlenie niedostępnych do niedawna głębin krtani ludzkiej i odzwierciadla wszystko co się tam dzieje w tak doskonały sposób, że dziś można obserwować przebieg powstawania głosu ludzkiego. Równoczesne zaś zdjęcia kinematograficzne i gramofonowe utrwalają poszczególne fazy wytwarzania się dźwięków. Na ekranie można widzieć najdokładniej w jaki sposób powstają poszczególne samogłoski i co się dzieje w chwili, gdy pozycja głosu zmienia się, czyli gdy rozbrzmiewa ton niski albo wysoki.


Periskop krtaniowy


Przekrój górnych narządów mowy.

Otóż te badania przy pomocy periskopu krtaniowego wykazały przedewszystkiem, że przy wytwarzaniu się tak zwanej "barwy dźwiękowej" oprócz znanych dotychczas części narządu głosowego, wytwarzających dźwięki, jak jamy ustnej i jam nosowych, niezmiernie ważną rolę odgrywają także pewne subtelne mięśnie samej krtani.

Ponadto niezbicie stwierdzono, iż na barwę dźwiękową głosu ludzkiego wpływa jakość tkanek krtani, podobnie jak barwa dźwiękowa piszczałek organów kościelnych zależy od jakości ich ścianek. Niezależnie bowiem od naprężenia, wywołanego przez mięśnie przy nastawianiu się chrząstek krtaniowych, powstaje także naprężenie owych subtelnych mięśni samej krtani, które to naprężenie może nadać **głosowi** niepożądane brzmienie. Obecnie uczeni badają właśnie działanie tego naprężenia drażnieniem mięśni prądem elektrycznym, wywołującym ich charakterystyczne drgania.

Inne badania, prowadzone z pomocą promieni Roentgena, odnoszą się do sposobu nastawiania się reszty przestrzeni dźwiękowych przy wytwarzaniu się dźwięków. Badania te są uciążliwe i trudne, gdyż w celu utrzymania krtani i języka w pozycji odpowiedniej do robienia zdjęć, osoba badana musi połykać cieniutki złoty łańcuszek. Ten łańcuszek dopasowywuje się najdokładniej do języka i jamy ustnej i potem jako delikatna, biała linja na zdjęciu umożliwia poznanie każdego położenia narządów dźwiękowych. Tym sposobem rozpoznano w szczególności subtelne różnice w wymawianiu samogłosek obcych języków.

Niezwykle zajmujących i ciekawych doświadczeń dokonano ze zdjęciami kinematograficznemi głosu ludzkiego, odlawszy z gipsu różne pozycje narządów głosowych. Modele te są dokładnemi odbitkami dolnej części głowy ludzkiej i są zaopatrzone w membrany (błonki). Wdmuchując w nie powietrze, wydobywa się z nich najwyraźniej dźwięki poszczególnych samogłosek. Na tych modelach można także doskonale obserwować pozycje krtani i języka, oraz formy jamy ustnej, które są miarodajne przy wytwarzaniu się dźwięku danej samogłoski.

Najważniejsze zaś badania dotyczyły rozstrzygającej roli, jaka przypada oddechowi przy śpiewie. Oddawna już znany był światu zdumiewający fakt, że płuca nasze przy mówieniu w zwykłym, towarzyskim tonie, są natężone w bardzo znikomym stopniu, natomiast energja płuc, zużywana podczas śpiewu jest od dziesięciu do stu tysięcy razy większa. Otóż w celu studjowania oddechu, osoba badana mówi lub śpiewa do tuby gramofonowej, zaopatrzonej w specjalny aparat piszący. Te właśnie "zapiski" aparatu gramofonowego stanowią dla uczonych doskonały materjał do badania.

Uczeni, zajmujący się badaniem powstawania i właściwości głosu ludzkiego, są przekonani, że z pomocą opisanych sposobów i metod, zczasem uda im się odsłonić wszystkie tajemnice wytwarzania się głosu ludzkiego, co umożliwi ugruntowanie nauki śpiewu i wymowy na zasadach ściśle naukowych.

WIKTOR GOMULICKI

CZEPECZEK

OBRAZEK

Do ostatniej chwili nie wiedziano, czy Tecia zechce zostać żoną Henryka.

Dziewczyna była niespokojna i płochliwa, jak pliszka. Już, już miano nakryć ją dłonią i przytrzymać za skrzydełka, ale raptem wyślizgiwała się z palców i odlatywała, kiwając filuternie kaszmirowym, koronkami obszytym ogonkiem.

Henryk rozpaczał, a to sprawę jego pogorszało.

Takie rozchwiane, jak Tecia powoje, najchętniej owijają się około drzew szorstkich choćby, lecz krzepkich...

— Mazgaj! — mawiał o Henryku jego stryj, stary kawaler.. z amatorstwa, — Powinien huknąć: mościa panno, dość młynkowań! Gdym ci się podobał, to daj gęby i niech będzie koniec; gdy nie, to pokaż mi figę, a pojadę szukać — ładniejszej!

Ale rumiany młodzieniec (Henryk miał twarz, jak rajskie jabłko) doznawał drżenia na samą myśl o tem.

Niestałość Teci była tembardziej rażąca, że zamieniła ona już z Henrykiem zaręczynowe pierścionki.

Dzień ślubu, jak miraż przed Arabem, uciekał przed młodzieńcem dalej i dalej...

Bywały godziny, w których Tecia z zachwycającą rezygnacją zakrywszy oczy długiemi rzęsami, szeptała cichutko a miękko:

— Zgoda...

Bywały dnie, w których rzęsy jej osuwały się tylko do połowy źrenic, a z ust, dwuznacznie w kącikach podniesionych, wybiegało tajemnicze:

— Nie wiem...

I bywały tygodnie, w których zmieniona w chochlika, w psotną rusałkę, w Mefista niemal (w Mefista, dodajmy, z chabrowemi oczyma i złotą, jak dojrzały jęczmień, grzywką) na wszystkie prośby, na wszystkie perswazje i na wszystkie wybuchy, miała jedną odpowiedź:

— Nie, nie i... nie!

Właśnie jednego z takich okropnych tygodni, nieznośna ta istota siedziała w saloniku, na niskim, perską materją obitym ''pufie'' i bawiła się okręcaniem na palec złocistego loka, przy niej zaś, a właściwie nad nią, stał cały hufiec mężnie wyglądających niewiast, który postanowił zwyciężyć, albo... zasiąść do poobiedniej kawy ze śmietanką.

Były tam: matka Teci, ciotka Teci i kuzynka Teci, oraz matka Henryka, ciotka Henryka i kuzynka Henryka.

Była także stara szwaczka, szyjąca dla Teci wyprawę.

— Powiedz, serce, co ci się w moim Heniu nie podoba? Jeśli nie lubisz wąsów, będzie nosił brodę, jak nieboszczyk jego ojciec...

Tak mówiła jedna matka.

— Weź na uwagę, Teciu, ża każda kobieta przeznaczona jest do małżeństwa. Gdybym ja była przez kaprys odrzuciła rękę twego ojca, cóżby dzisiaj działo się z tobą?

Tak mówiła druga matka.

Ciotki jęczały na różne tony: ''Zastanów się! Umityguj się'', a kuzynki wycałowywały Tecię w prawy i lewy policzek, błagając o litość nad ''biednym chłopczyną''.

— On taki śliczniusi, ten pan Henryczek, jak najdolrzalsza reneta! — śpiewało w głębi stare pannisko, nawlekaniem igły zajęte.

Ale Tecia milczała jak głaz i tylko główka jej, chwiejąca się miarowo na prawo i lewo, uparcie mówiła:

— Nie, nie i... nie!

Więc chór kobiet wykrzyknął z rozpaczą:

— Dlaczego?

A niewieści szatanek, roztrzepawszy nerwowym ruchem włosy i zakrywszy niemi twarz, jak maską, syknął nadąsanym głosem:

— Dlatego, że... nie!

Miał nastąpić wybuch, ale właśnie w tej chwili przyniesiono list i pudełko.

Jedno i drugie przysyłała ciotka, mieszkająca w Warszawie.

List objaśniał, że w pudełku mieści się prezent ślubny dla Teci.

Skruszono pieczęcie, rozerwano różowe opaski, wyrzucono na podłogę stos angielskiej, szeleszczącej bibułki i wydobyto z pudełka... czepeczek.

Nie wiem, kto i z czego cacko to stworzył, przekonany wszakże jestem, że był to artysta i że miał chwilę prawdziwego natchnienia.

Być może, że za materjał użył on tureckiej, jedwabnej tkaniny i starych koronek francuskich, ale być może również, iż przy pomocy wróżki cudotwórczej uprządł to arcydziełko z pajęczyny, wyzłoconej słońcem i wybrylantowanej rosą...

Matki, ciotki i kuzynki podawały je sobie z rąk do rąk, oglądając, podziwiając, wygładzając zgniecioną koronkę i próbując w palcach gatunku materji.

Tecia w pierwszej chwili ani patrzeć nań nie chciała.

Ale można być bardzo nadąsaną, a mimo to mieć umysł czuły na podszepty ciekawości. Dziewczyna zerknęła więc na czepeczek najprzód kącikiem lewego oka, potem całem okiem lewem; potem kącikiem prawego, potem całem prawem, potem lewem i prawem

CZEPECZEK

jednocześnie, a wreszcie ujęła go machinalnie końcami smukłych paluszków i również machinalnie włożyła na głowę...

Zaledwie zaś umieściła go na właściwem miejscu i w sposób właściwy, chór niewiast zawołał z zachwytem:

—Ach, Teciu! Jakże ci w tym czepeczku prześlicznie!

I posypały się gradem wykrzykniki:

— Wyglądasz, jak różyczka!

— Jak cherubinek!

— Jak żurnal paryski!

— Jak twoja matka przed osiemnastu laty!

— Jak... kopersztych! — dośpiewała z kącika stara pracownica igły.

Tecia podniosła się z miną zimnej i obojętnej na hołdy królowej (szczególna ta dziewczyna wszystkie miny posiadała w swym repertuarze) i spokojnym krokiem podeszła do lustra.

Ale w miarę, jak wpatrywała się w nie, blask jakiś wewnętrzny występował jej na twarz i wszystkie rysy przecistaczał cudownie...

Kapryśne fałdziki znikały z czoła, brewki rozsuwały się i gładziły, w oczach rozpalało się łagodne, niebieskie światło, na usta wreszcie wchodził uśmieszek powściągliwy a namiętny, jaki zdobi twarze pasterek ze starej, saskiej porcelany...

Przeistoczona tak i nie zdejmując z włosów czepeczka, który był jakby djademen jej królewskości, podeszła do matki Henryka, pochyliła się przed nią i, nadstawiając zarumienioną buzię do pocałunku, rzekła:

— Za tydzień nazwiesz mnie pani synową...

A gdy kobiety rzuciły się do niej z wybuchami wdzięczności i rozkosznego wzruszenia, dokończyła półgłosem, do siebie:

— Bo tylko w ten sposób mogę posiąść prawo do noszenia tego ślicznego stroika!



Ciasne pantofelki

Gdy przyszli na proszony wieczór, na którym ona nie spotkała tego, kogo spodziewała się i życzyła sobie spotkać, nastrój jej zmienił się, a na twarzy odmalowało się znudzenie i niezadowolenie, którego nie sposób było ukryć pod uśmiechem.

— Co ci jest, kochanie? — troskliwie spytał mąż.

— Uciska mnie pantofel — odpowiedziała z rozdrażnieniem.

Nareszcie przyszedł ten, którego oczekiwała z niecierpliwością — i zajął miejsce obok niej.

Twarz jej rozpogodziła się momentalnie, a oczy nabrały blasku.

— Czy pantofel ciągle cię uciska? — spytał mąż z lekkim odcieniem zazdrości w głosie.

Patrząc mu prosto w oczy odpowiedziała:

— Coraz więcej...

Nie kłamała.

Pod stołem, na jej maleńkiej nóżce, spoczywała teraz olbrzymia, ciężka noga jej sąsiada.

Zofja Starowiejska - Morstinowa

NIEPEWNOŚĆ

LENA obracała w ręku list.

Trochę była zaskoczona, trochę rozśmieszona.

Jeszcze raz wyjęła z otwartej, niegumowanej koperty papier kratkowany, na cztery złożony.

Najwyraźniej list miłosny do Jurka. Od jakiejś Andzi!

Jurek widocznie trochę tę Andzię opuszcza, skarży się, że go dawno nie widziała — zapewnia o swoich uczuciach.

Lena włożyła z powrotem list do koperty. Nie byłaby listu otwierała, ale koperta była tylko założona, jak przy zawiadomieniach i anonsach, nawet nie patrzyła uważnie na adres. Myślała, że jakiś rachunek lub prośba — nie, właściwie nie myślała nic, przebierała pocztę.

Ruszyła ramionami.

Też wybrała się z listem miłosnym do Jurka. Jurek i miłość...

Rzuciła list wraz z resztą poczty na biurko i siadła przy swoim stoliku koło kominka. Otworzyła książkę rachunkową i zaczęła dodawać długą kolumnę cyfr.

— No, ale jeśli ta Andzia pisze, że się dawno nie widzieli, to oczywiście musieli się kiedyś widywać.

Ogarnęła ją ciekawość.

Jeszcze raz oglądnęła list.

Stempel krakowski.

Usiadła na bujającem krześle i zapaliła papierosa.

— Ciekawam, co mi Jurek powie. Możeby mu tak urządzić scenę zazdrości.

Roześmiała się.

Raz byłoby coś nowego, jakaś niespodzianka. Nie, biedaczek, Jurek i scena...

— Chociaż — rozumowała, kręcąc w ręku papierosa — dzieją się rzeczy nieoczekiwane. Któżby przypuścił, Jurek i intryga miłosna... A jednak...

— No, no, żeby się Jurek tak sprytnie urządził, żebym się nawet nie domyśliła, że miał kiedykolwiek jakąś przygodę. Jak mógł wytrzymać, żeby mi tego nie opowiedzieć, kiedy to mogło być? Jak sobie wogóle mógł bezemnie poradzić?

Zawsze była potrzebna do załatwienia wszystkiego, każdego drobiazgu, zawsze, minuta po minucie, do znudzenia, opowiadał gdzie był, co robił, kogo widział. Widocznie nie tak wszystko opowiadał, widocznie umiał sobie i sam radzić, jak było potrzeba.

— Ciekawam jaką zrobi minę?

Nagle nasunęła się jej wątpliwość.

Jeśli jej nic nie mówi, to widocznie chciał ukryć tę znajomość, no, i potrafił ukryć, (właściwie to ją najbardziej dziwiło). Lepiej więc nic nie mówić. Jak raz wie, to go będzie obserwować, sama się domyśli. Z Jurkiem tak łatwo wszystkiego się domyśleć! Zresztą on sam pewnie coś powie.

A może to czyjś figiel? Może ktoś naumyślnie napisał taki list w otwartej kopercie, żeby ją zaintrygować? Z miny Jurka wszystkiego się domyśli.

Zdusiła papierosa, podeszła do biurka i ułożyła porządnie pocztę. Niebieski list na samym wierzchu.

Sama usiadła w kącie i zaczęła czytać. Była mocno rozbawiona tą przygodą.

Punktualnie o drugiej, jak zawsze, rozległ się dzwonek.

Jakżeż się ten Jurek zawsze grzebie w przedpokoju. Zupełny rytuał z tem rozbieraniem.

Wszystko zresztą według rytuału.

Wchodzi. Jurek uśmiechnięty, pogodny, zacierając ręce — podchodzi do kominka.

Rozmowa też, jak zwykle, jak wedle przepisu:

— A... ciepło.

Całuje Lenę we włosy.

— Cóż tam w biurze? — pyta Lena.

— A nic.

— Dużo miałeś roboty?

— Tak sobie, jak zwykle. Ale wiesz zdarzyła się pyszna historja.

— Cóż takiego?

— Opowiem ci potem, to długa sprawa, ale nie chcę mówić przy obiedzie, przy służbie, bo to właściwie wielka tajemnica. No, a ty co robiłaś?

— Nic.

— Wychodziłaś gdzie?

— Byłam u mamy.

— Cóż ci mówiła?

— Nic.

— Byłaś jeszcze gdzie?

— Nie.

Lena nie mogła już usiedzieć.

— Masz tam pocztę.

— Ach! poczta... Jest tam co?

— Nie wiem, zobacz.

— A ty miałaś jakie listy? — pytał dalej podchodząc do biurka.

— Miałam list od Maryni.

— No i cóż pisała?

Lena myślała: gdzie i kiedy w tem życiu opowiadanem i omawianiem chwili po chwili, miał czas na tę Andzię?

Jurek stał przy biurku. Tro-



Sukiennice i Kościół Marjacki w Krakowie.



Krużganki na Zamku Wawelskim.

chę się nachylił i jak człowiek, co nie dowidzi podsuwał sobie koperty i gazety do oczu, niebieskich, przejrzystych, trochę na wierzchu osadzonych. Ostre światło mroźnego dnia padało wprost na jego piękną, spokojną, starannie wygoloną twarz. Błogi uśmiech zadowolenia nie schodził mu z ust.

Lena patrząc na dobroduszną twarz męża, nabrała nagle pewności, że list był jakimś żartem i oczekiwała lada chwila wybuchu śmiechu lub oburzenia. Zasłoniła się książką, taka ją zbierała ochota do śmiechu.

Ale Jurek przerzucał pocztę w milczeniu.

Spojrzała z poza książki.

Trzymał niebieski list w ręku.

Lenie zdawało się, że spojrzał na nią uważnie, a widząc, że czyta dalej, w milczeniu przerzucał gazety, anonse, papiery.

Lena nie wytrzymała.

— Jest tam co ciekawego? Masz jakie listy? Od kogo?

— E, nic — same ogłoszenia i prospekty. A obiad będzie?

— Będzie.

— Powiem żeby dawali.

I wyszedł z bibljoteki.

Lena podeszła do biurka: niebieska koperta zniknęła.

— No, no, to jednak w tem coś jest. Ani mruknął. Dobrze, że nic nie mówiłam, wyglądałoby to naprawdę na scenę. A właściwie co mi to może szkodzić!

I poszła na obiad.

Przy obiedzie Jurek był jak zwykle wesoły i rozmowny. Lenie zdawało się, że zbyt wesoły.

— Co to może być ten list i ta Andzia? Co sobie Jurek myśli?

Parę razy spotkała uważne oczy Jurka, spoglądające na nią poprzez liljowy hjacynt.

— Co mi się tak dziś przypatrujesz?

— Nic, tak sobie. Jakoś dziwnie wyglądasz. Jesteś roztargniona.

— Ja? Nie. Zdaje ci się. Dla czego miałabym być roztargniona?

— Nie wiem. Wiesz, bardzo ładnie jesteś zaondulowana.

— Tak? Co będziesz dziś robił?

— Pójdę pewnie do kasyna.

— Do kasyna? Kiedy?

— No, nie wiem. Zresztą może nie pójdę. Zobaczę.

Znowu spojrzał na nią uważnie.

— Masz jakie projekty? Może chcesz składać wizyty? Mogę iść z tobą.

Zkolei Lena spojrzała uważnie na Jurka.

Chciał wyjść do kasyna. Kto wie czy do kasyna? Nie będzie go krępować, toby wyglądało że coś wie i jest zazdrosna.

— Ach, nie; przecież zawsze składam wizyty sama.

— No, ale raz możesz ze mną.

Siedzieli przy czarnej kawie. Ogień trzaskał na kominku. Lena nalewała pachnącą kawę ze srebrnego dzbanka.

Rozmowa się nie kleiła.

Lena wstała.

— Wychodzisz?

— Muszę iść do Józi, jest chora, prosiła, żeby ją odwiedzić.

— Chora? Nie mówiłaś mi.

— Ach! wiecznie nie mówiłaś, nie mówiłaś. Zawsze wszystko mówić, czasem mogę coś zapomnieć. Może Oleś kichnął i też mi nie mówiłeś...

— Lenuś co ci jest? Czemu jesteś taka podrażniona? Przecież nie robię ci żadnych wyrzutów.

Objął serdecznie żonę za ramiona i patrzał jej czule w oczy.

Lena zreflektowała się. Sama nie zdawała sobie sprawy, że jest tak zdenerwowana.

— Przepraszam cię Jurku, głowa mię boli, przejdę się trochę, to mi dobrze zrobi.

— Może jesteś chora?

— Nie, nie. Nic mi nie jest. Za dużo paliłam.

— Nie gniewasz się na mnie? — trzymał ją ciągle za ramiona.

— Nie, o cóż?

Ucałowała serdecznie, serdeczniej niż zwykle, jasne czoło Jurka i uwolniła się z jego uścisku.

Czuła, że się rumieni. Za nic nie chciała, żeby Jurek mógł przypuszczać, że wie coś o liście i Andzi. Naprzód, że otwiera jego listy a potem mógłby myśleć, że jest zazdrosna.

Zazdrosna. Choćby tam Jurek romansował, cóż jej to może szkodzić.

— Wiesz, namyśliłem się. Nie pójdę do kasyna. Nie będę wychodził. Jak wrócisz, może gdzie razem pójdziemy: może do kina, albo wieczorem do teatru?

— No, zobaczymy, do widzenia.

I szybko wyszła z domu.

II.

Jurek chodził po bibljotece.

— Czytała, czy nie czytała?

— Musiała czytać. List był otwarty, leżał na samym wierzchu. Nie mogła go nie widzieć. Gdyby nie była czytała, byłaby się sto razy spytała od kogo, co, poco, o co. Lena taka ciekawa.

Wyciągnął z kieszeni list i oglądał go uważnie.

Koperta niegumowana; przyszedł otwarty.

— Małpa ta Andzia! Chyba naumyślnie napisała w otwartej kopercie, jemu na złość. Wie dobrze, że mu nadewszystko chodzi o spokój w domu. Tyle razy ją prosił, żeby się zachowywała dyskretnie i żeby pod żadnym pozorem nie pisała i nie telefonowała do niego do domu. Kocha go, kocha. On ją też kocha, ale to nie racja, żeby o tem pisać w otwartym liście.

— Poczciwa Lena swoją drogą, bo czytała, musiała czytać, mogła mu zrobić scenę, mogła zacząć pytać, dręczyć...

Wpadł w pyszny humor.

— Pójdę dziś do Andzi. Nie, dziś nie będę wychodził. Muszę Lenie udowodnić, że nie reagowałem na ten list. Lenie muszę obmyślić jakąś przyjemność, muszę być dla niej serdeczniejszy, żeby odwrócić wszelkie podejrzenia. Lena takie dobre, miłe stworzenie. Też ją przecież kochałem. Tylko już Lena

i miłość, to dwie rzeczy. Nawet nie wie co to jest.

— Swoją drogą głupio się stało, że ten list wpadł w jej ręce, bo napewno wpadł. Zawsze jej będzie przykro. Biedna Lena.

Zaczął się przechadzać po pokoju. Nagle przyszła mu refleksja.

— Właściwie, czy jej było przykro?

Zatrzymał się przed oknem.

Była trochę zdenerwowana. Prawda. Ale bardzo była wesoła. Czy mogłaby być tak wesoła, mając w ręku oczywisty dowód jego niewierności. Ale nie mogła nie widzieć tego listu. Nie mogła go nie czytać.

Coś go ukłuło w serce.

— A może jej to wszystko jedno?

Zrobiło mu się dziwnie nieprzyjemnie. Gdyby on się dowiedział że Lena go zdradziła...

Przeszedł go zimny dreszcz.

— Co za nonsens! Już on by coś o tem wiedział, za dobrze zna Lenę. To nie. Ale faktem jest, że Lenie jest zupełnie obojętne, że on ją zdradza! Wyglądała nawet w dobrym humorze. Nie chciała z nim wyjść, wymyśliła nawet tę chorą Józię, żeby mu dać swobodę.

Podejrzenia wracały z uporem.

— Dlaczego tak była wesoła? Dlaczego nie wspomniała o tym liście? Nie zapytała, choćby zażartowała? Może ma w tem swoje kombinacje? Ale jakie? Tak się żachnęła, że nudno zawsze wszystko mówić?

Nie mógł sobie dać rady.

— Niema co, trzeba to wyjaśnić. Trzeba się przyznać. Przy tej sposobności dowiem się, czy była obojętna, czy tylko udawała. Dowiem się, co w niej siedzi. Dowiem się, czy mnie kocha, czy nie, co wogóle myśli.

— Dobrze — rozumował dalej — ja wiem, co powiem, ale co ona powie? Albo mi zrobi scenę, to jeszcze pół biedy, albo... albo... powie: Mój drogi, ja cię o nic nie pytam. Niech każdy robi co mu się podoba. Mnie to nic nie szkodzi...

Jurkowi robiło cię coraz nieprzyjemniej. Zaczął się złościć.

— Głupia ta Andzia! W ładną kabałę mię wpakowała. Ale żeby też człowiek nie mógł przewidzieć, co własna żona powie, lub zrobi i to po tylu latach małżeństwa. Psiakrew! Nic nie będę mówił. Będę Lenę obserwował. Ją nie tak trudno przeniknąć.

— Ale gdzie ona może siedzieć tak długo? Za dużo jej zostawiam swobody. Czy ja właściwie wiem co ona robi całemi dniami? Niby mi to mówi, ale djabli wiedzą, czy mówi prawdę...

Chodził po pokoju bezradny, jak człowiek, któremu się nagle wszystkie pewniki z pod nóg usunęły.

III.

Lena szła szybko przez zaśnieżone planty.

U Józi było właściwie bardzo nudno.

Zeszło się masę ludzi, naopowiadali pełno plotek, ten romansuje z tą, ta z tym. Co ją to mogło obchodzić?

Jedno tylko jest interesujące: może być ta Andzia. Kiedy Jurek mógł ją widywać? Dlaczego teraz ją opuszcza? Może się kocha w kim innym? Jak wyglądać może Jurek na schadzce miłosnej? Czy się bardzo kocha, czy to jest tylko flirt? Była zainteresowana i podekscytowana. Jak to dobrze, że ona nie jest zazdrosna! Jurek się trochę domyśla, że ona ten list widziała. Tak jej się przyglądał. Był taki serdeczny. Podobno zawsze mężowie są tacy serdeczni, gdy mają nieczyste sumienie. Będzie też dla niego bardzo serdeczna, żeby nieprzypuszczał, że jest zazdrosna. Ale musi zbadać to życie miłosne Jurka, tak z ciekawości.

Miała jeszcze jakieś sprawunki, ale machnęła na nie ręką; załatwi jutro rano, zanadto była ciekawa, czy Jurek rzeczywiście nie wychodził z domu, czy nie był u tej Andzi. Był trochę nienaturalny. Ciekawa była jaki będzie teraz. Trzeba pójść z nim do teatru, będzie go obserwować.

Pędem wbiegła na schody.

— Jest pan w domu?

— Jest.

— A nie wychodził gdzie? — zawstydziła się swego pytania, ale tak jakoś wyleciało.

— Nie wiem proszę pani, ale zdaje się, że nie.

— Lena! Ucieszył się szczerze Jurek. Byłaś u... — zażenowało go nagle, zwykłe pytanie — ładny czas?

— Śliczny... a ty... ty pisałeś?

— Tak.

Lena zarumieniona od powietrza, poprawiała włosy przed lustrem. Chciała być wesoła i swobodna.

— Tak ślicznie, mróz, sanna...

Nie wiedziała co mówić dalej.

— A tak, rano też była sanna... — mówił Jurek, wysilając się, jakby w naturalny sposób być wesołym i serdecznym.

— Pójdziemy do teatru, co Lenuś?

— Może masz zajęcie, może wolisz iść do kasyna? Mogę iść sama.

— Ależ nie, mam szaloną ochotę iść właśnie do teatru.

Zdecydowali się więc iść razem.

Lena wybierała się powoli.

— Ciekawam jak wygląda ta Andzia? Czy ładna?

Bardzo starannie poprawiała swe krótko przystrzyżone włosy, pociągnęła czerwonym ołówkiem usta i lekko przyciemniła brwi. Włożyła nową czarną suknię. Bardzo jej chodziło, żeby ładnie wyglądać.

— Ta Andzia to musi być taka pani — pewnie wielka elegantka. Ciekawam czy Jurek zwraca uwagę na to, jak jest ubrana. Czy Jurek wogóle interesuje się toaletami?

Jurek wołał niecierpliwie, że już późno. Nic dotąd nie poznał po Lenie. Pilno mu było z nią rozmawiać.

Lena była w doskonałym humorze, dawno już nie cieszyła się tak na teatr. Bo właściwie

PARĘ POWIEDZONEK I DEFINICJI

Pocałunek — jest to najprzyjemniejszy sposób przenoszenia zarazków.

* * *

Przyczyną rozwodów są małżeństwa.

* * *

Mężczyzna może się nazwać starym dopiero wówczas, gdy kobieta, na którą mrugnął, pomyśli, że mu coś wpadło do oka.

* * *

Turysta — jest to człowiek, który potrafi przejechać tysiące mil po to, aby zrobić sobie zdjęcie na tle samochodu.

* * *

Mężczyznę należy przeprosić, gdy nie miałeś racji — kobietę, jeśli miałeś rację.

* * *

Kawaler — jest to mężczyzna, który woli ciężkie roboty od dożywotniego więzienia.

* * *

Nieśmiała dziewczyna — jest to panna, na którą trzeba zagwizdać dwa razy.

* * *

Dyplomata — jest to człowiek, który pamięta o urodzinach kobiety, ale zapomina jej wiek.

* * *

Echo — jest to jedyna rzecz, która potrafi odebrać kobiecie ostatnie słowo.

* * *

Matka potrzebuje 20 lat, aby uczynić ze swego dziecka mężczyznę, żona zaś 20 minut, aby zrobić zeń głupiutkie dziecko.

* * *

Kobieta dopiero wówczas ukazuje swój wiek, gdy go zaczyna ukrywać.

* * *

Punktualność — jest to marnowanie czasu przez czekanie na innych.

* * *

Dobrym przykładem rządów mniejszości — jest dziecko w domu.

* * *

Miłość jest to stan zapalny, wobec którego straż pożarna jest bezsilna.

* * *

Nie można pocałować kobiety niespodziewanie — można ją jedynie pocałować wcześniej, niż się tego spodziewała.

* * *

Wszystkie kobiety przechodzą wiek, gdy głos ich się zmienia z „Nie" na „Tak".

* * *

Honor państwa jest jak cnota kobieca — im więcej się o nim mówi, tym bardziej staje się wątpliwy.

* * *

Wypadek — jest to sytuacja, w której pożądana jest obecność umysłu, a nieobecność ciała.

* * *

Rentgenolog — jest to człowiek, który potrafi przejrzeć każdą kobietę.

* * *

Hipokryta — jest to uczeń, który przychodzi do szkoły z uśmiechem na ustach.

* * *

Genealogia — jest to wyszukiwanie ludzi, którzy byli od ciebie lepsi.

* * *

Mapa — jest to kawałek papieru, który pomaga ci się zgubić.

* * *

Liście czerwienieją w jesieni, poniedziej staje się wątpliwy. nagie konary drzew.

* * *

Gdy mężczyzna pada na kolana, aby się oświadczyć, powinien się przy okazji pomodlić.

* * *



MOLE I DZIURY

Spytał raz belfer w szkole
Na lekcji o zwierzętach:
„Jakie stworzenie najmniej
Je — niech mi powie który,
Niech jakiś przykład da mnie"
Wtem mały z ławki pętak
Wstaje i rzecze: — „Mole,
Bo wyjadają dziury"



HISTORIA KULINARNA

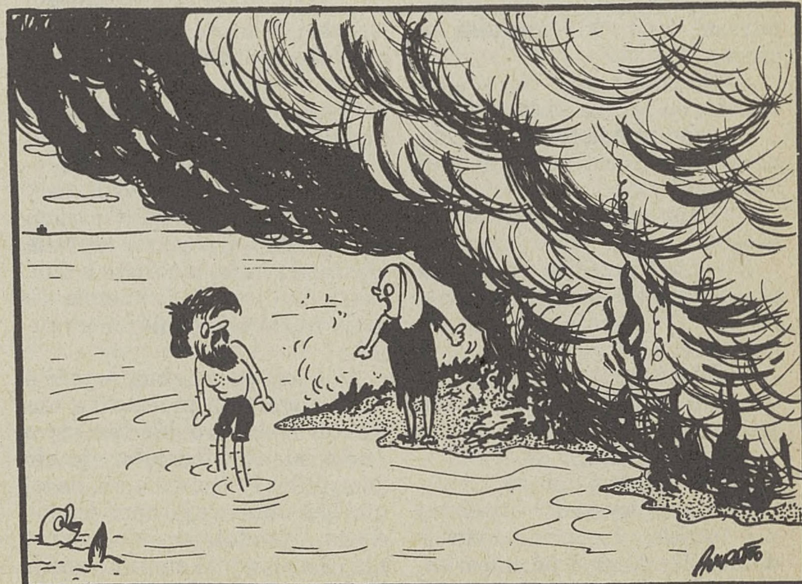
Król Kaźmierz Wielki i już stare Piasty
jeść nie lubiały bez sutej omasty
a kiedy nastał Jagiełło nabożny
natykał tury i dziki na rożny.
Kalafior włoski z Boną przyszedł, przeto
pierwsze powstało stąd liberum veto
lecz gdy Zamoyski zjednoczył Polaków
z bigosu powstał sejm, elekcja z flaków.
Nie chcąc jeść zrazów Ruś odpada dzika,
barszcz z rurą z Niemca robi przeciwnika.
Już Turek ciągnie, ale mężny duchem
król nasz Jan Trzeci odbija go brzuchem.
Upadek bliski, albowiem za Sasa
niemiecka w Polsce szerzy się kiełbasa,
król Staś francuską znów wprowadza kuchnię,
aż Targowica i Bar mu wybuchnie!

Ciemność! wróg jadło szerzy oszukańcze,
miast rzepy melon, miast śliw pomarańcze
miast udźca klopsy, miast czombrów gulasze
i cierpieć trzeba, gdy los dmucha w kasze!
... z rozpaczą Adam *) na swój naród patrzy
i mrze wśród Turków, kołdunów pojadłszy.

Nadchodzi era powstania i spisku
w cichości krąży kapłon na półmisku,
ostrzą się kosy, wędzi tłusty boczek,
dzisiaj rżną wieprza, jutro będzie Stoczek!
Już emisariusz zmyliwszy pogonie,
wiezie odezwy i broń w salcesonie,
męczy się naród, lecz rwie się do dzieła,
patrzy w śpiżarnie i wie: nie zginęła!

Jakoż gdy wolność swą zdobywa dzielnie,
szoruje garnki i czyści patelnie,
bo tylko wtedy losom zdradnym ufa,
gdy dymi garnek i musuje kufa!

Wogaut



Zawsze te twoje pomysły! Zachciało ci się dawać znaki dymem!

teatr często bywa nudny, ale dziś będzie rozmawiać z Jurkiem; a propos sztuki tak łatwo sprowadzić rozmowę na miłość, zdradę i t. d. Dowie się napewno różnych zapatrywań Jurka w tym względzie. Musiała już je nieraz słyszeć, ale jakoś nie zwracała uwagi.

— Ślicznie dziś wyglądasz, masz nową suknię, bardzo ci w niej do twarzy.

— Nową jak nową.

— Nie znam jej jeszcze.

— Jakto, noszę ją od dwóch miesięcy.

Jurek zmieszał się. Lenie zrobiło się przykro.

— Właściwie Lena jest śliczna — myślał sobie Jurek, przypatrując jej się w teatrze. Przecież wszyscy muszą widzieć.

Coś go znowu ukłuło w serce.

— A mnie nie kocha, to jest oczywiste, czyż mogłaby być taka wesoła? Co ona sobie może myśleć o tem wszystkiem? Co może być w jej życiu?

— Jurek chciał mi zrobić przyjemność, ale taki roztargniony, pewnie myśli o Andzi. Co o niej może myśleć? Nie trzeba będzie mu się narzucać.

IV.

Nazajutrz po teatrze Jurek mieszał wszystkie kawałki w biurze.

— Co robi Lena? Czy ciągle wesoła, co ją tak może cieszyć.

Andzie zatelefonowała do niego, do biura, żeby do niej przyszedł.

— Dziś nie mogę w żaden sposób.

Nie mógł przecież iść, zanim nie wyświetli sprawy z Leną. Bardzo liczył na dzisiejsze popołudnie.

— Dlaczego nie możesz?

— No mówię ci, że nie mogę, jestem zajęty.

— No to jutro.

— Może jutro, dobrze.

Z biura wyszedł wcześniej niż zwykle. Leny nie było w domu. Zły krążył po mieszkaniu. Trawiła go ciekawość, gdzie była. Ale nie śmiał zapytać. Zwłaszcza, że Lena była dziwna. Owszem, nawet bardzo wesoła i miła, ale jakaś zagadkowa. Stanowczo odmówiła wspólnego spaceru.

Lena obmyśliła już swoją taktykę. Wesoła, serdeczna, ale zdaleka. Zbyt widocznie chciał ją Jurek zmylić. Zbytnio mu na tem zależy. Widocznie chce sobie zapewnić swobodę. Jak on musi kochać tę Andzię, albo inną. Co ona właściwie wie o jego życiu? Jedno jest jasne: chce zmylić jej czujność, żeby móc prowadzić potem swobodnie swe drugie życie. Jakie jest to życie? Jaki jest w niem Jurek?

Jurek zgniewał się.

— Pal ją sześć! Niech sobie myśli co chce, pójdę do Andzi.

Ale Andzia była dziwnie nudna.

Myśl o Lenie nie dawała mu spokoju.

— Jeśli ja mówię, że jestem w kasynie, a jestem tu, to ona... — nie śmiał skończyć swojej myśli. Czyżby kogo kochała? Cóż on właściwie o niej wie? Jedno chyba, że on, Jurek, jest jej obojętny. Ta myśl napełniała go goryczą.

— Co ci jest Jureczku? Czemu jesteś taki roztargniony? Wyglądasz tak, jakbyś ciągle myślał o kim innym.

— Masz rację. Nie pokończyłem moich interesów i sumienie mię dręczy. Przyjdę kiedyindziej.

Złapał kapelusz i poleciał do domu.

— Cóż u djabła? Czyż ja oszalałem, czy co, żebym cały dzień myślał o Lenie? Nie znam jej czy co? Ostatecznie czytała, czy nie czytała, mniejsza z tem. Wszystko jest po dawnemu. Co mnie nagle tak w niej intryguje?

A Lenę po nagłem wyjściu Jurka ogarnęła przemożna nuda. Co będzie robić? Nic się o Jurku nie dowiedziała, nic nie domyśliła. Przeciwnie, im baczniej go obserwuje, tem jej się wydaje trudniejszy do poznania, bardziej skomplikowany. No więc wie, że miał romans, czy jeszcze ma. Trudno. Ale co ją w nim nagle tak zaciekawia? Taki prosty człowiek, jak Jurek! Któżby przypuszczał, że będzie sobie nad nim łamać głowę jak nad sfinksem.

V.

Zaczął się dziwny okres w życiu Jurka i Leny.

Dotąd życie płynęło im spokojnie, swobodnie i wesoło. Kiedyś się kochali, potem się lubili.

Lubili się tem uczuciem, na dnie którego jest trochę wygody, trochę przyzwyczajenia, odrobina wzajemnej lekceważącej pobłażliwości. Potrzebowali się wzajemnie, już tak jakoś życie ich w jedno splotło — ale właściwie jedno drugiego już nie spostrzegało. Jurek był częścią życia Leny, Lena częścią życia Jurka, ale właściwie na całe życie patrzyli jakby ponad siebie, jakby ponad swoje głowy. Do różnych rzeczy dążyli i różnych rzeczy pragnęli; pragnęli razem, dążyli razem, to ich łączyło. Łączyły ich wspólne kwestje życiowe. Ramiona, które tak chciwie kiedyś ku miłości prężyli, ramiona, któremi się ku sobie garnęli, zamknęły się w spokojnym uścisku; w spokojnem bezpieczeństwie zupełnego posiadania zaczęły się nużyć i drętwieć i sami się nie spostrzegli w pogodzie życia, kiedy się zupełnie otwarły i bezsilnie opadły.

Nie spostrzegli się, bo nie było między nimi cienia nieporozumienia, żadnego zgrzytu, żadnego dysonansu. Całe życie tak się jakoś naoliwiło, że płynęło spokojnie i harmonijnie.

Tylko, że w tem spokojnem życiu było naogół trochę nudno, szaro i pusto. Sobie mało mieli do powiedzenia. Mieli o sobie ustalone opinje. Jedno dla drugiego było jasne i proste, jak dobrze znana, wiele razy odczytywana książka. Nie było celu więcej do niej zaglądać. Byli dobrem, zgodnem małżeństwem. Ich stosunek był raz na zawsze ustalony. Nie było o czem więcej mówić.

W pustkę więc swego domu

i życia wrzucili masę zainteresowań i bagatelek. Lena miała suknie, wizyty, książki, miała swoje niewinne flirciki. Jurek miał biuro, karjerę no i ... Andzię.

Nie można było powiedzieć, żeby to było wielkie szczęście, ale było życie co się nazywa przyjemne. Przyzwyczaili się do niego i lubili tę swoją beztroskę i spokój.

Teraz nagle wszystko się zmieniło. W spokojne, pogodne życie wkradła się troska i niepokój.

W pachnącej hjacyntami ciszy ich mieszkania, w przyjemnej pustce życia zamieszkał jakiś dziwny, męczący gość. Jakiś wielki czarny ptak napełniał ich mieszkanie niepokojącym szelestem swych spokój roztrącających skrzydeł. Krążąc nieustannie nad ich życiem, potrącał do błogiego spokoju ułożone dusze, wydobywał z nich dziwne i męczące ciekawości i pragnienia.

Chodząc po swojem tak dobrze, do znudzenia dobrze, znanem mieszkaniu i życiu, spostrzegali się, że go nie znają, że obracają się wśród rzeczy i zdarzeń niezrozumiałych i tajemniczych.

Rozumieli też, że w tym ich naprężonym stosunku, chodzi o coś więcej, niż o wyświetlenie samego faktu czytanego lub nieczytanego listu, flirtu czy romansu z Andzią, że poprzez nieznajomość tego faktu odkryły im się wzajemnie nieznane i niepodejrzewane głębie ich życia i dusz, i że te chcieli sobie wzajemnie wydrzeć.

Żyli więc, jak dwaj ciągle się podejrzewający w r o g o w i e. Szpiegowali się poprostu. Śledzili nawzajem nietylko swoje postępki, ale każde słowo, każde spojrzenie. Stanęli naprzeciw siebie, jak dwa bolesne znaki zapytania. Karty dobrze znanych ksiąg pokryły się dziwnem, nieczytelnem pismem.

Cień padający na nich z szeroko rozpiętych skrzydeł czarnego ptaka niepewności przesłonił im wszystko, co ich dotąd interesowało: świat, zabawę, stroje, karjerę i Andzię a w tym mroku, który w obojętność pogrążył całe ich dotychczasowe życie, z tem większem natężeniem utkwili oczy w sobie, w bolesnej, a dotąd nie przeczuwanej tajemnicy swoich żyć.

Im dłużej trwała ta sytuacja, tem bardziej zacinali się w milczeniu. Każde zamykało się w sobie, okrywało jakimś płaszczem urażonej miłości własnej i dumy. Mieli do siebie skrytą urazę i żal. A jakaś nieprzeparta siła, jakaś bolesna ciekawość, ciągnęła ich ku sobie, jak magnesem.

Gdy byli razem, było im źle i nieswojo; gdy byli osobno, było jeszcze gorzej; rwali się ku sobie, rwali do tej dręczącej, głuchej walki, jaką z sobą toczyli.

VI.

Aż przyszły święta Bożego Narodzenia. Mieli jechać, jak co roku, do Zakopanego. Ale Lena uparła się, że zostanie. Jej nerwy nie mogły znieść dłużej tego naprężenia. Czuła się zmęczona i wyczerpana.

— Jedź, jak chcesz — ja zostanę.

Jurek też się zaciął.

— Naturalnie, że pojadę.

Do ostatniej chwili miał nadzieję, że Lena pojedzie. Ale Lena nie pojechała. Chciała raz przeciąć tę męczącą sytuację.

— Niech sobie robi co chce. Co mnie to właściwie obchodzi? Muszę raz wrócić do normalnego życia.

Zima była śnieżna, słoneczna i mroźna.

W pierwszy dzień świąt, wczas rano wyszła Lena do kościoła. Ogarnęła ją kompletna cisza. Żadnego tramwaju, żadnej dorożki, żadnego auta. Szła powoli zaśnieżonemi plantami. Jakaś świąteczna powaga ogarnęła cały świat. Zdaleka tylko jakiś klasztorny dzwon bił jak serce spoczywającego miasta. Cisza i spokój ogarnęły Lenę.

— Czyżby Jurek odczuł, jak ja, to piękno wielkiego święta? Co porabia w Zakopanem?

— Czy tak jak ja, miałby wrażenie jakiegoś misterjum, tego święta rodzin, zamkniętych domów, pustych ulic? Czy tak jak ja, odczuwałby urok spędzenia tego święta u siebie, w ciszy, w bezczynności, w świętowaniu?

Weszła na rynek. Ogromny plac pusty był zupełnie. Ani jednego człowieka, ani jednego przechodnia. Była sama jedna. Powietrze było przesycone światłem i śniegiem. Śnieg nie padał, tylko jakby mgła śnieżna, przepojona pierwszemi promieniami słońca, wisiała nad pustym rynkiem. Owijała się koło wież Panny Marji, wspierała o gzymsy Sukiennic.

Zatraciła się rzeczywistość. Rynek cały trwał jak wizja artystyczna, jak doskonale wcielony pomysł Wyspiańskiego.

Na zegarze poczęła bić ósma, i równocześnie przemówił Rynek swoją odwieczną, hejnałową mową. Do tego śpiewanego głosu łączyło się przytłumione echo kolend, płynących z kościoła św. Barbary.

W tajemniczej godzinie ranka świątecznego, miasto grało, modliło się i jaśniało niezmąconem pięknem swego pierwotnego pomysłu.

Lena stała nieruchoma i zatracona w tej pustce miasta.

— Objawiła mi się prawda Krakowa. Zobaczyłam jego duszę. Czy kiedy objawi mi się prawda duszy Jurka?

I zadumana szła powoli ku rozśpiewanym drzwiom kościoła.

W pustym domu ogarnęła ją bezbrzeżna nuda.

— Ach! Żeby raz wiedzieć. Raz wejrzeć mu w duszę, rozgryść jego ukrytą rzeczywistość.

Zdawało jej się, że gdy go niema, niema dokoła niej nic.

Miała takie wrażenie, jak człowiek, który wyciąga ręce ku upragnionemu przedmiotowi, który całą siłę napręża w nadludzkim wysiłku i już, już, ma go schwycić, aż nagle przed-

miot upragniony znika mu z przed oczu i człowiek zostaje ze swem nienasyconem a palącem pragnieniem, pozostaje z całem napięciem sił, całą nagromadzoną energją, i niema ich ku czemu obrócić i już pragnie tylko, aby przedmiot bolesnego pożądania stał mu się znowu widoczny, aby w męce mógł znowu o niego rozkrwawiać bezsilne dłonie.

— Dręczy mnie gdy jest, dręczy, gdy go niema, jest ze mną, gdy jest nieobecny, gdy jest blisko, jest mi daleki...

Krążyła po pustem mieszkaniu. Wybrała w bibljotece jakąś książkę; wydała jej się nudna. Wzięła drugą, nie rozumiała co czyta.

Godziny popołudnia wlokły się szare, smutne, monotonne.

Z kuchni dochodziły ostatnie odgłosy sprzątania, pobrzękiwały garnki i talerze, potrącane niecierpliwą ręką służby, śpieszącej się do wyjścia.

Na kominku trzaskał ogień, w powietrzu pachła kawa i liljowe hjacynty.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Lena drgnęła.

Do bibljoteki wszedł Jurek w wielkiej futrzanej szubie, z czapką w ręku. Biały szron osiadł na puszystym kołnierzu. Zaczerwienione od mrozu policzki i błyszczące oczy zmieniały zupełnie jego zwykły wygląd.

Lena zerwała się.

— Co się stało?

Jurek nie odpowiedział.

Przygarnął gwałtownie żonę ramieniem i zimnemi od mrozu wargami chwycił jej usta.

Lena zaskoczona i oszołomiona drżała w jego objęciu. Niewymówione dręczące pytanie rozchylało jej ciepło wargi w pocałunku.

Zawstydzeni i zmieszani stali naprzeciw siebie.

— Proszę pani czy mogę wyjść? czy pan nie będzie czego potrzebował? — odezwał się od progu głos służącej.

— Możesz, możesz. Ja podam panu co będzie potrzeba.

— To może pani założy drzwi na łańcuszek, w takie święto lepiej się mieć na baczności.

Lena założyła drzwi na łańcuszek.

Wróciła otrząsając się z chłodu, który ją w sieni ogarnął.

Jurek stał w oknie. Szyby zasnuły się deseniami mrozu. Z ulicy nie dochodził najmniejszy odgłos. Cisza i martwota wielkiego święta ciążyły nad miastem. W odgrodzonem od świata mieszkaniu dzwoniła cisza.

— Lena!

— Co Jurku?

— Opętała nas jakaś zła moc...

— Zburzyła nam spokój.

— Ale wypełniła nam życie czemś dziwnie wielkiem.

Bo widzisz, w życiu trzeba wybrać: spokój lub miłość...

— Tak, bo miłość jest pragnieniem i dążnością nieskończoną; gdy te ustaną, ustaje miłość, a pragnienie i pożądanie jest bólem i walką.

I znów zapadło milczenie. Stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce. Patrzyli sobie w oczy z taką chciwością ukrytej zagadki, z taką bolesną żądzą złamania niewidocznej a dzielącej ich zapory, że aż źrenice zaszły im mgłą.

I pokruszyła się dokoła nich martwota mrozu, święta i ich dotychczasowego życia, a coraz ciaśniej i zazdrośniej otulały ich męczące i bolesne mroki miłości.

ANTONI PILECKI.

Z Głębin Życia

O nie wierz tym, co, płacząc szczęścia straty,
Wskazują nam marzenia zdarte szaty,
Rzucając je z swych ramion w życia pył —
I wznoszą krzyk, że ducha szczytne loty
Nie dają nic, prócz bólu i tęsknoty,
Że złudzeń czar im prawdę życia skrył!

O nie wierz im — nie! — oni tam nie byli,
Gdzie z wyżyn swych promienne czoło chyli
Ku ziemi tej potężny prawdy Bóg, —
Gdzie piękna duch ołtarze wznosi swoje,
Gdzie światła blask z ciemnością wiedzie boje
I wlewa żar do piersi swoich sług.

O nie wierz im! — w te szaty, które zdarli,
Stroił się duch poziomych dążeń karli;
Choć z nieba on tęcz barwy dla nich brał,
Oblekał w nie swych ziemskich żądz pragnienia,
Rozkoszne sny, i czary upojenia
I burze krwi, miłosny zmysłów szał.

Nędzarze ci przykuci są do ziemi
Istoty swej żądzami poziomemi,
A wrażeń głód, jak sęp, im serca żre —
Rój złudnych mar przed nimi pierzchał w dali,
A goniąc je, śród drogi swej padali,
O życia głaz krwawili czoła swe.

A teraz już strudzeni, ziębli, mali,
W ten górny kraj, którego nie poznali
I który im zwątpienia mrok już skrył,
Przekleństwo ślą — i płacząc szczęścia straty,
Wskazują nam marzenia zdarte szaty,
Rzucając je z swych ramion w życia pył.

BIBLIOTEKA ZAŁUSKICH

Kędy przed laty w świetnym dworze
Dumni magnaci ucztowali,
Ślęczy uczone dziś nieborzę,
Blada się lampka przed nim pali,
Dni tutaj spędza i północki,
Rozmowy z nim się nie doczekasz:
To jest przezacny pan Janocki,
Sławny Załuskich bibliotekarz.



Biskup I. A. Załuski

Ciułał ksiądz biskup złotówczyny,
Żył czystą wodą, chlebem, serem;
Pankowie, znani z butnej miny,
Zwali go: książek bohaterem.
Aż z tych grosików i złotówek
Sute zebrały się pieniążki,
I wśród biskupich izb-alkówek:
Nic — tylko książki, książki, książki!

Aż w końcu miejsca tak już mało
W księżym mieszkaniu zostawiły,
Że się książkami łóżko słało —
Jakiż to na nim sen był miły!
U głów cudowne stały wróżki
I były snów mu czujną wartą —
Ogromny foliał miast poduszki,
A zaś materac z ksiąg *in quarto*.

Więc zacny biskup myśli w sobie:
„Nielada kłopot masz, biskupie!...“
Aż wreszcie krzyknął: — „Wiem
[co zrobię!
Dla swoich książek pałac kupię!
Kupię im pałac, mościpanie,
Niech się biedactwa nie tułają!“
I już dla owych ma mieszkanie,
Że niech się grafy w kąt schowają.

W Daniłowiczów starym dworze
Dziwne się rzeczy dzieją ninie:
Tu leżą księgi w wielkim worze,
Tu, rękopisów całe skrzynie.
Gdzie stały flasze i gąsiory,
Grzmiały wiwaty pod szafiry, —
Królują w dzionki i wieczory
Plantyny, aldy, elzewiry.

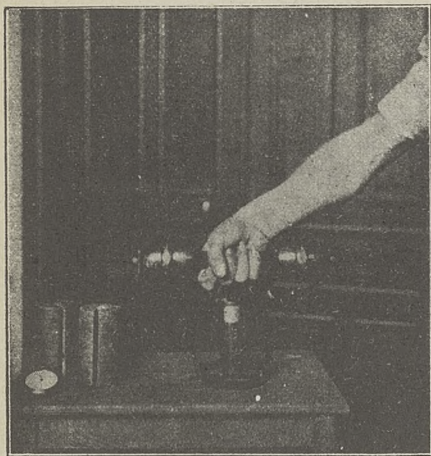
Tabaki sobie skąpi szczypty
Biskup Załuski świątobliwy,
Lecz ma najrzadsze manuskrypty:
Każdy manuskrypt skarb praw-
[dziwy!
Jakie to cudne malatury!
A jakie barwy jasne, świeże!
Złoto! purpura i lazury!
Aż ucałować chętka bierze!

Wszystkie kroniki i annały
Ma ksiądz dostojny w swoim zbiorze;
Na nie majątek wydał cały,
Za nie i życie dałby może!
Boć to oświaty naród łaknie,
Przybędzie więcej w łbach oleju...
— „A gdy na kupno groszy zbrak-
[nie?“
— „Kraść będę książki, dobrodzieju!“

I widzę oto ducha okiem
Obraz zatarty w czasu pyle:
W sali, zalanej nocnym mrokiem,
Dwaj siedzą zacni bibliofile.
Płomyczek lampy migotliwej
Płynie leniwo pod strop gocki —
Ryje się w księgach biskup siwy
I bibliotekarz, ksiądz Janocki!

Or-Ot.

MIERZENIE WRAŻEŃ



Mierzenie wrażeń mięśni.

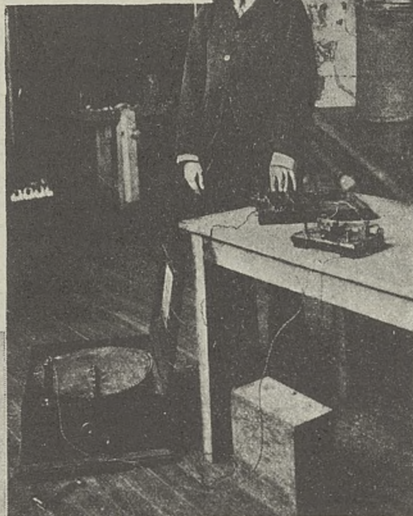
UCZENI, zajmujący się badaniem psychiki ludzkiej, od wielu lat pracują nad sposobami mierzenia wrażeń, występujących u człowieka w związku z podrażnieniem lub pobudzeniem naszych zmysłów.

Ponieważ istnieje określona zależność między oddziaływaniem otoczenia, a oddziaływaniem zmysłów, rola badacza polega na ścisłem związaniu siły podrażnienia zewnętrznego z wrażeniem wewnętrznem i do tego celu służą liczne instrumenty do badania wpływu otoczenia na poszczególne zmysły.

Pierwsze kroki w tej dziedzinie wiedzy, którą nazwano "psycho-fizyką" postawił już w roku 1834-ym niemiecki uczony Weber, a od tego czasu cały szereg wybitnych ludzi nauki nieustannie pracował nad rozwinięciem i udoskonaleniem tej gałęzi wiedzy.



"Widzenie umysłowe"



Wywoływanie wrażeń nerwowych zapomocą melodyjnych dźwięków.

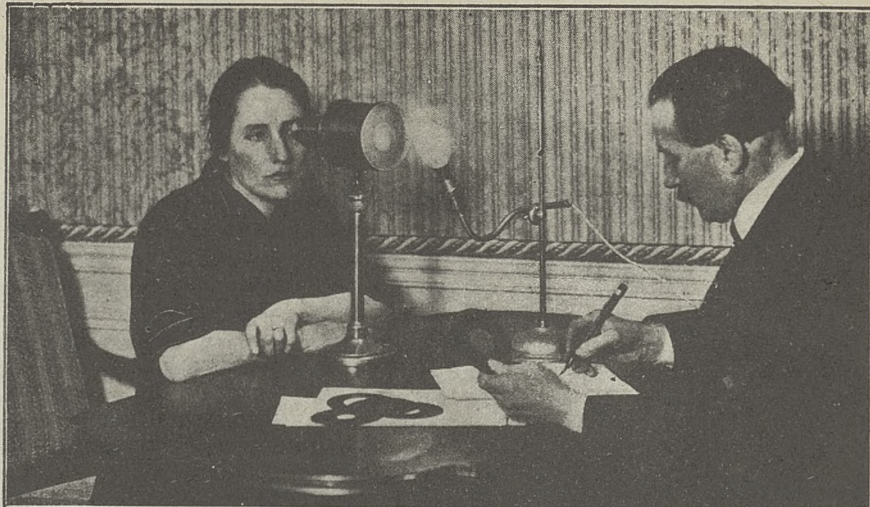
Wrażenia cieplne.

Do bezpośredniego działania światła na tęczówkę oka służy przyrząd zwany "pupillometrem". Składa się z rury okularowej, zawierającej zasłonkę z małym otworkiem, zakrytym płytką ze szkła matowego, na której odznaczają się koła, oznaczone numerami. Oko, przytknięte do otworu rury, daje obraz źrenicy powiększony dziesięciokrotnie. Zmniejszając lub zmieniając naświetlenie, można obserwować działanie tęczówki i rozszerzanie źrenicy. Psychofizyka współczesna zajmuje się także tak zwanem "widzeniem umysłowem". Odpowiedni przyrząd składa się z soczewki zbierającej, przez którą patrzy się na płaszczyznę ruchomą, z wyrysowanym na niej jakimś przedmiotem. Suwając płaszczyznę po linijce z podziałką, dochodzi się do miejsca, gdzie rysunek przedstawia się już jak słaby cień. Obserwator zauważa wtedy średnicę źrenicy. Następnie powtarza czynność, ale już bez soczewki, oddalając się od rysunku i, gdy rysunek znów przedstawia się jak niewyraźny cień, ponownie bada rozszerzenie źrenicy. Oświetlenie jest jednakowe w obydwu wypadkach, tylko różnica odległości jst znaczna. Ponieważ źrenica rozszerza się w drugim wypadku, uznano, że występuje tu działanie mózgu, wywołane pojęciem odległości.

Wrażenia węchowe mierzy się "olfaktometrem", składającym się z probówki z trzema spółśrodkowemi rurkami. Pierwsza z nich służy jako zbiornik do esencji, druga jest z papieru, trzecia ze szkła, nacechowana drobną podziałką. Obserwator wprowadza koniec probówki do dziurki nosa, zatkawszy watą drugą dziurkę i wyciąga szklaną rurkę, oddychając normalnie. Para z esencji przechodzi ze

zbiornika przez papier do rurki wewnętrznej i stąd dostaje się do nosa. Gdy obserwator poczuje zapach, zatrzymuje rurkę i notuje jej wysokość i czas podnoszenia.

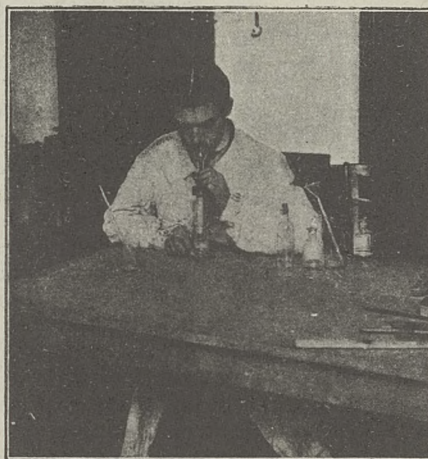
Mierzenie wrażliwości słuchu odbywa się zapomocą audiometra który składa się z rurki miedzianej z djafragmą i ma na końcu źródło dźwięku, jak naprzykład zegarek. Gumowa rurka, przyczepiona do drugiego końca przyrządu doprowadza dźwiek do ucha obserwatora.



Mierzenie wrażeń wzrokowych zapomocą pupillometra.

Krążki ebonitowe o otworach wiadomej średnicy, włożone między zegarek a djafragmę, wywołują zmienne natężenie dźwięku.

Wrażenia cieplne mierzy się zapomocą dwóch naczyń, napełnionych wodą o różnej ciepłocie i nakrytych flanelą. Obserwator zanurza każdą rękę w innem naczyniu. Ciepłotę wody zmienia się ciągle, zbliżając ją ku sobie aż do chwili, gdy obserwator przestanie odczuwać różnicę. Ustaliwszy w ten sposób granicę odczuwania, może wyprowadzić pewne prawo psychofizyczne.



Mierzenie wrażeń węchowych przez Olfaktometr.

Do mierzenia wrażeń mięśniowych zbudowano "hantle dynamogeniczne", składające się z 24-ch ciężarków kalibrowych. Ciężarki te układano w różnych stosunkach, poczem obserwator podnosił hantle w zwykły sposób. Zmęczenie wywołane podnoszeniem mierzono zapomocą dynamometra, stosowanego przed i po podniesieniu hantla.

Wykonano także szereg doświadczeń, które wykazały działanie dźwięków melodyjnych nietylko na ucho, ale na cały ustrój ludzki. W tym celu dźwięki zmieniano na zmienne prądy elektryczne, które przez drgania membrany mikrofonu sprawiały wstrząsy mięśni, odpowiadając danej melodji. Na skrzynce pozytywki umieszcza się mikrofon o czterech węglach, którego jeden przewód łączy się z dodatnim biegunem baterji, drugi zaś z jednym zaciskiem pierwotnego obwodu małej cewki indukcyjnej, typu telefonicznego. Oba zaciski wtórnego obwodu cewki są połączone z ustrojem obserwatora, zapomocą zwykłych końcówek, używanych w elektrotrapji.

Gdyby końcówki połączyć z telefonem, usłyszanoby wygrywaną arję ze wszystkiemi odcieniami tonów. Ustrój obserwatora wrażeń doznaje głębokich, rytmicznych i wywołujących stan uspokojenia i zadowolenia.

Muzyka więc, podawana w tej formie, może służyć, jako środek uspokający w chorobach nerwowych.

Mierzenie i badanie wrażeń i oddziaływania otoczenia na zmysły, znalazło już zastosowanie przy badaniu zdolności kandydatów na różne stanowiska. Nowa ta gałęź psychofizyki nazywa się psychotechniką, została uznana przez cały świat cywilizowany i jest otoczona należytą opieką naukowych instytucyj naukowych i państwowych.

Nawet w kryminalistyce można zapomocą specjalnych przyrządów i niezwykle czułych instrumentów ustalić, czy badana osoba mówi prawdę czy też kłamie. Jakkolwiek dotychczas sposobów tych nie stosują jeszcze w praktyce, można przypuszczać, że w przyszłości naukowe badanie i mierzenie wrażeń człowieka będzie wielką pomocą w wymierzaniu sprawiedliwości i uchroni sądy od wielu pomyłek.

Z chwilą, kiedy wiedza ludzka postąpi tak daleko, że można będzie orzec z całą pewnością, czy świadek lub oskarżony w procesie o zbrodnię, mówi prawdę, lub czy usiłuje okłamać sąd, omyłki będą stanowczo wykluczone. Dotychczas nieraz się zdarzyło, że skazywano na więzienia, nawet na karę śmierci człowieka niewinnego, przeciw któremu złożyły się nieszczęśliwe okoliczności, a z drugiej strony uwalniano najgorszych łotrów, którzy potrafili postarać się o fałszywe dowody niewinności i mieli dosyć pieniędzy na przekupienie świadków.

Podstawą, na której uczeni budują swój gmach docieka w tym kierunku, jest fakt, że świadomość osoby badanej, że mówi kłamstwo, wywołuje pewne zmiany w działaniu ustroju, zmiany, które występują bez wiedzy i woli owej osoby.

? ZAGADKA ?

A. N

PUGH wszedł do mego pokoju, trzymając w ręku coś owiniętego w ciemny papier.

— Tress, mój kochany, przywiozłem ci coś, na czem możesz ćwiczyć swoję domyślność.

Zaczął z powolnością, mogącą doprowadzić do rozpaczy, rozwiązywać sznureczek na pakieciku. Pugh jest jednym z tych ludzi, którzy nie przecięliby węzełka, choćby szło o ich życie. Rozplątywanie sznurka zajęło mu dobre parę minut. Nakoniec wydobył coś z papieru.

— Cóż ty o tem myślisz? — zapytał.

Nie myślałem nic wcale i powiedziałem mu to bez ogródki.

— Byłem na to przygotowany. Zauważyłem już niejednokrotnie, że ty, Tress, nie myślisz nic o rzeczach zasługujących na uwagę ludzi głębszego umysłu. Może jednak, pomimo że tak mało myślisz, potrafisz rozwiązać tę zagadkę.

Wziąłem to, co mi podawał. Było to pudełko podłużnego kształtu, około siedmiu cali długie, około trzech szerokie.

— Gdzież ta zagadka? — zapytałam.

— Przyjrzyj się wieczku, a zobaczysz.

Zacząłem obracać pudełko na wszystkie strony; trudno było poznać gdzie jest spód a gdzie wieczko. Nakoniec zobaczyłem na jednym boku napis:

"Zagadka: w jaki sposób otwiera się to pudełko?"

Napis był tak nikły, że nic dziwnego, iż go odrazu nie zauważyłem.

Pugh pośpieszył z objaśnieniem.

— Zauważyłem to pudełko na wystawie sklepu starożytności. Obejrzałem je zbliska. Zapytałem właściciela sklepu, na czem mianowicie polega ta zagadka? Odpowiedział mi, że nie wie. Sam on już parę razy próbował otworzyć to pudełko, ale mu się nie udało. Kupiłem je, zaniosłem do domu, próbowałem i ja, ale również bezskutecznie. Wiem dobrze, Tress, że chlubisz się swoją domyślnością. Pewien jestem, że jeżeli się tylko szczerze weźmiesz, odkryjesz tajemnicę.

Podczas gdy Pugh mówił, oglądałem bacznie pudełko. Było ono bardzo ładnej roboty. Nie ważyło nawet dwóch uncyj. Stuknąłem palcem, przekonałem się, że jest puste. Niebyło śladu zamku, ani żadnej sprężyny, nic, coby naprowadzało na przypuszczenie, że było kiedykolwiek otwierane, żeby nawet mogło być otworzone. Im więcej rozpatrywałam się w tem, bardziej rozpalała się moja ciekawość. Że mogło się otworzyć, nie wątpiłem nawet, ale w jaki sposób?

Pudełko nie było wcale nowe. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że ma ono najmniej pięćdziesiąt lat. Czy przez cały ten przeciąg czasu nie było ani razu otwierane? A gdy się otworzy, co będzie w jego wnętrzu?

Pudełko to było zrobione z małych kawałków drzewa różnych gatunków; niektóre z nich były zupełnie nieznane. Kawałki miały rozmaite kształty, sześciokątne, ośmiokątne, trójkątne, kwadratowe, podłużne, a nawet okrągłe. Robota była piękna, a spojenia tak dokładnie zrobione, że trudno było gołem okiem dojrzeć linie między kawałkami. Był to prześliczny okaz inkrustacji. Zanadto się pośpieszyłem z wydaniem sądu i przyznałem się szczere do tego Pughowi.

— To twoje pudełko ładniejsze jest, niżeli mi się zrazu wydało. Czy jest do sprzedania?

— Nie, nie jest do sprzedania. Ani też — dodał, patrząc na mnie bystro przez okulary, — ani do darowania. Przyniosłem je dlatego jedynie, by wypróbować, czy masz dosyć sprytu do otworzenia go?

— Zobowiązuję się otworzyć je w ciągu dwóch minut... młotkiem.

— I ja tak myślę. Ja sam potrafiłbym to także. Ale trzeba je otworzyć bez młotka.

— Pokaż.

Zacząłem oglądać pudełko przez powiększające szkło.

— Powiem ci coś, Pugh. Albo się grubo mylę, albo też cały sekret mieści się w tych kawałeczkach drzewa, stanowiących inkrustację. Należy któryś z nich przycisnąć lub posunąć, a wtedy pudełko się otwory.

— I ja tosamo myślałem zpoczątku. Teraz zaś jestem mniej pewny. Naciskałem każdy z tych kawałeczków drzewa, usiłowałem posuwać je w różnych kierunkach — bezskutecznie. Posądzam, że tu jest gdzieś ukryta sprężyna.

— Naturalnie, bo gdyby niebyło sprężyny, dałoby się otworzyć siłą. Zdaje mi się, że pudełko jest puste.

— I ja tosamo myślałem, ale teraz jestem tego mniej pewny. Zależy to od położenia, jakie mu nadać. Ustaw je tak i przysuń tuż do ucha. Czy masz mały młoteczek?

Podałem mu młoteczek.

— Teraz uderz lekko. Czy słyszysz, że tam wewnątrz coś się odzywa?

Pugh miał słuszność, wyraźnie było coś w pudełku, coś, co odpowiadało na echo moich uderzeń, prawie jakby coś żywego. Powiedziałem to Pughowi.

— Ale nie przypuszczasz chyba, że tam jest coś żywego? To niemożebne. Pudełko jest ściśle zamknięte, nie ma dostępu dla powietrza.

Stukałem młoteczkiem dalej. Zauważyłem jednę osobliwość: że tylko wtedy, gdym trzymał pudełko w pewien sposób i stukał w jedno miejsce, echo odpowiadało na moje uderzenia.

— Powiem ci coś, Pugh. Ten odgłos, który, słyszymy, to jest poruszanie się jakiejś maszynerji.

— Tak myślisz?

— Pewien tego jestem.

— Daj pudełko.

Pugh przyłożył je do ucha i stuknął młoteczkiem.

— Ten odgłos podobny jest do szmeru, jaki robią żywe chrabąszcze, lub do chodu zegara,.

Od Pugha nie należy oczekiwać prostego wytłumaczenia prostego faktu; jeżeli tylko możliwe jest przypuszczenie czegoś nadprzyrodzonego, Pugh zwróci się zawsze w tamtę stronę.

— Ten odgłos, który słyszysz — powiedziałem mu, — jest drżeniem maszynerji, służącej do otwierania pudełka. Widocznie maszynerja mieści się tam, gdzie uderzasz. młoteczkiem. Każde uderzenie wywołuje odgłos.

— Dla mnie to brzmi, jak odgłos zegara wróżącego śmierć. Zresztą w tego rodzaju rzeczach, Tress, wiem co o tobie sądzić.

— Mój drogi, uderz raz mocno, a sam zobaczysz.

Uderzył mocno i drgnął.

— Co ja zrobiłem!

— Co takiego?

— Popsułem coś, o ile mi się zdaje.

Zaczął przysłuchiwać się uważnie, przyłożywszy pudełko do ucha.

— Nie, wszystko w porządku. A jednak byłbym przysiągł, że coś pękło. Słyszałem wyraźnie.

— Daj mi pudełko.

Zacząłem ja zkolei słuchać. Potrząsnąłem je, Pugh był w błędzie. Niebyło nic zepsutego, pudełko było puste. Uderzyłem młoteczkiem tak silnie jak Pugh i wtedy odezwał się szczególny jakiś odgłos, coś jakby brzęk stłuczonego szkła.

— Myślę, Pugh, że może w twojem drogocennem pudełku jest coś stłuczonego, co my do reszty tłuczemy potrząsaniem.

* * *

— Co to za odgłos?

Leżałem w łóżku i znajdowałem się na tym punkcie, który jest granicą pomiędzy snem, a czuwaniem. Kiedy wreszcie doszedłem do pewności, że nie śpię, zadałem sobie pytanie, co mnie obudziło? Raptem wpadło mi w ucho coś, co się odzywało wśród nocnej ciszy. Przez jakiś czas leżałem cicho i słuchałem. Potem usiadłem na łóżku.

— Co to za odgłos?

Było to coś nakształt tykania dużego i niezwykle donośnego zegara. Możnaby było wziąć to za chód zegara, gdyby nie to, że odgłos nie był jednostajny, bo po kilku tyknięciach odzywał się jakiś stłumiony pisk, jak gdyby głos małego zwierzątka, cierpiącego straszliwe męczarnie. Wstałem z łóżka; niepodobieństwem było myśleć o spaniu przy takim dzikim pisku.

Zapaliłem światło. Odgłos ten wychodził z mojej gotowalni. Podszedłem tam ze światłem w ręku i oczy moje padły na tajemnicze pudełko Pugha. W tejże chwili z wnętrza pudełka rozległ się pisk jeszcze okropniejszy od poprzednich. Przestraszyłem się tak, że lichtarz wypadł mi z ręki. Ciemność zaległa pokój. Stałem, nie chciałbym powiedzieć że drżący, i przysłuchiwałem się tym piskom. Nagle ucichły i rozpoczęło się regularne i spokojne tykotanie.

Namacałem drugi lichtarz i zapaliłem światło.

Pugh zostawił u mnie pudełko. Robiliśmy co było można, ażeby rozwiązać zagadkę — napróżno. Po jego odejściu ciekawość moja była tak podniecona, że zabrałem je do sypialni, sądząc że przed samem pójściem do łóżka zstąpi na mnie natchnienie i że zdołam je otworzyć. Cóż to za siła opętała teraz tajemnicze pudełko?

Gdym tak stał i słuchał, odkryłem jedno, że jakaś maszynerja w głębi pudełka została puszczona w ruch. W jaki sposób, tego nie wiedziałem, ale niebyło w tem nic dziwnego po tylu potrząsaniach, uderzeniach i przewracaniach, którym ja i Pugh poddawaliśmy pudełko, że jakaś ukryta sprężyna ruszyła. Prawdopodobnie maszynerja była zanadto zardzewiała, ażeby mogła funkcjonować odrazu, i dopiero po kilku godzinach rozpoczął się ruch prawidłowy.

Ale skąd te piski, podobne do krzyku zdechającego zwierzątka? Rdza tylko jedna mogła wytłumaczyć te zgrzytliwe odgłosy. Brak paru kropli oliwy, oto wszystko. Podobne tłumaczenie nie zadowolniłoby Pugha; mnie wystarczało ono w zupełności.

Wziąłem pudełko i przyłożyłem je do ucha.

— Ciekaw jestem, jak długo będzie trwać to przedstawienie? I na czem się skończy? Mam nadzieję (przez głowę przeleciała mi bardzo nieprzyjemna myśl) mam nadzieję, że Pugh nie zdobył miłej niespodzianki w rodzaju maszyny kielnej? Byłaby to pierwszorzędna farsa, podobne rozwiązanie zagadki.

Nie mogę zaprzeczyć, że myśl, ta skłoniła mnie do postawienia co najprędzej Pughowego pudełka na gotowalni. W pudełku ukryta była niezawodnie jakaś ciekawa maszynerja. Może nawet bardziej ciekawa, niż bezpieczna. Tykotanie zegara nastawionego na pewną godzinę, a potem trzask i wybuch. By-

łoby to czarujące rozwiązanie zagadki teraz, gdy, stojąc w nocnej koszuli, wpatrywałem się w tajemnicze pudełko. Wprawdzie było ono bardzo lekkie, ale to właśnie mogło być dowodem zręczności mechanika. Bywają przyrządy ważące zaledwie kilka uncyj, a zdolne sprawić olbrzymie spustoszenia przy wybuchu. Kiedy wahałem się, wyznaję szczerze, czy nie lepiej wrzucić zagadkę Pugha do dzbanka z wodą, albo wyrzucić ją przez okno, nagle ustały tykotania i piski, i cisza zaległa w pudełku. Jeżeli miał nastąpić wybuch, to albo teraz, albo nigdy. Mimowolnie posunąłem się ku drzwiom.

Czekałem z trwogą, ale napróżno. Nic się nie stało, żaden odgłos nie dał się słyszeć.

— Wolałbym, żeby Pugh zatrzymał był u siebie to drogocenne pudełko. Tego rodzaju zagadki działają rozstrajająco na nerwy.

Przeczekawszy dobrą chwilę i widząc, że nic się niestało, powróciłem do gotowalni i ostrożnie wziąłem pudełko do ręki. Przypatrzyłem mu się z nieufnością; nic się nie poruszyło; przyłożyłem do ucha, cisza.

— Może po tem wstrząśnieniu uda się otworzyć pudełko? — pomyślałem.

Uderzyłem niem o róg stołu. Zdawało mi się, że wolałbym już wybuch, niżeli nic. Nie jest przyjemnie być zbudzonym ze snu dla niczego.

— Miałbym ochotę wziąć młoteczek i spróbobować innego sposobu — szepnąłem.

Na nieszczęście obiecałem Pughowi, że powstrzymam się od użycia siły. Mogłem wprawdzie rozbić pudełko młotkiem, a potem powiedzieć, że mi upadło, że na nie nadeptałem, lub coś podobnego, ale obawiałem się, że Pugh nie uwierzy. Człowiek każdy jest tak nieszczery, że nie wierzy w szczerość innych.

— No, jeżeli nie myślisz wybuchnąć, ani otworzyć się, to ci powiem dobranoc!

Stuknąłem w nie poraz ostatni, potrząsnąłem je, postawiłem na stole, zgasiłem światło i wróciłem do łóżka.

Zaczynałem właśnie zasypiać, gdy pudełko znowu ożyło. Prawdą było niezawodną, że Pugh kupił zagadkę, ale nie podlegało wątpliwości, że wszyskie wzruszenia tej zagadki miały się stać moim udziałem. Niemożna było marzyć nawet o spaniu podczas tego przedstawienia. Usiadłem napowrót na łóżku.

— Uważam, że zagadku polega na tem, w jaki sposób można spać, mając nabytek Pugha w sypialnym pokoju?

Zauważyłem, że odgłos był teraz nierównie głośniejszy: oprócz tykotania, nieustające piski.

— Bardzo prawdopodobne jest — pomyślałem, zapalając światło, — że wybuch nastąpi teraz.

Spojrzałem na pudełko. I jeżeli mogłem zaufać swoim oczom, pudełko ruszało się, podskakiwało na stole. Może to było złudzenie, ale zdawało mi się, że za każdem tyknięciem sprężyny pudełkiem wstrząsało drgnięcie. Za każdem piśnięciem, podobniejszem jeszcze teraz, niż przedtem, do pisku dręczonego zwierzęcia, pochylało się ono to na jednę to na drugą stronę. I najwyraźniej powiększył się jego rozmiar, na to gotów byłem przysiąc, że rosło teraz w moich oczach. Rosło, robiło się coraz szersze, dłuższe, głębsze. Pugh, naturalnie, byłby to przypisywał nadprzyrodzonym wpływom, bo niebyło chyba nigdy człowieka bardziej niż on rozmiłowanego w widmach. Wyobraźcie go sobie na mojem miejscu, drżącego, w nocnej koszuli, wobec tego cudu spełniającego się w jego oczach. Nagle przyszło mi na myśl, że pudełko to składa się z kilku warstw, a tajemniczy mechanizm rozpycha je z wewnątrz. Wziąłem je do ręki. Czuć było wyraźnie w jego wnętrzu jakieś drżenie, coś nakształt uderzeń małego młoteczka.

— Przyjemna zagadka! Pugh powie, że to bicie zegara wróżącego śmierć. Ja wprawdzie nie wierzę w istnienie takich zegarów, ale zawsze to pukanie jest zagadkowe. Ciekawy jestem, co po niem nastąpi?

Nic, oprócz nieustającego pukania.

Że rozmiar pudełka powiększył się, co do tego nie miałem i nie mam najmniejszej wątpliwości: o jakie pół cala w każdą stronę. Ale nagle powiększanie się jego zostało wyraźnie powstrzymane: pudełko przestało się poruszać. Tylko pukanie nie ustawało.

— Radbym wiedzieć, co z tego wyniknie? Bo przecież musi coś wyniknąć; niepodobna, żeby to wszystko skończyło się na niczem. Jeżeli ma być wybuch, będę czekał, ale zdaje mi się, że można zapalić fajkę.

Włożyłem szlafrok. Zapaliłem fajkę. Usiadłem i patrzyłem na pudełko. Sądzę, że trwało to z jakie dwadzieścia minut, gdy nagle, taksamo jak poprzednio, wszystko ucichło. To nagłe uciszenie zadziwiło mnie.

— Czy wybuchnie? Czy się otworzy?

Nie otworzyło się. Uciszyło się tylko nagle i na tem koniec. Siedziałem jeszcze czas jakiś, okując, ale napróżno. Powstałem wreszcie. Wziąłem pudełko do ręki i potrząsnąłem.

— To jest prawdziwie zagadkowo pudełko.

Przyłożyłem je do jednego ucha, to do drugiego, stuknąłem w nie parę razy palcem. Nie wydało żadnego odgłosu, nawet takiego, jaki Pugh zauważył w samym początku. Wydawało się zupełnie martwe, jak gdyby dusza ożywiająca je uleciała.

— Przypuszczam, że jeżeli się położę, zgaszę światło i powrócę do łóżka, za godzinę lub półtorej, wtedy, gdy zasnę nadobre, przedstawienie rozpocznie się nanowo. Może ten trzeci raz będzie szczęśliwszy.

Ale pomyliłem się: niebyło trzeciego przedstawienia. Wróciłem do łóżka i zasnąłem; o ile



Cudowny wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa w Mogile.

świadomość moja sięgała, nie było nic, gdyż zaledwie znalazłem się w pościeli, ogarnęła mnie niezwyciężona senność, która mnie opanowała odrazu, tak że zapadłem w sen trwający dość długo po wschodzie słońca. Czy jakie tajemnicze odgłosy dobywały się z pudełka Pugha, czy nie, nie mogę powiedzieć. Jeżeli były jakie, nie zdołały mnie obudzić. A jednak, gdym się w końcu obudził, miałem uczucie takie, że mnie coś dziwnego obudziło. Co to było, nie mogłem sobie zdać sprawy, zdawało mi się, że mnie dotknęła czyjaś ręka. Ale musiało to być złudzenie, bo gdym się podniósł, nikogo niebyło w pokoju.

Dzień już był zupełny. Spojrzałem na zegarek, blisko jedenasta. Lubię spać długo, ale nigdy do tej godziny. Ten niegodziwy Bob byłby mi dał spać choćby i cały dzień, nie pomyślawszy, nawet, że trzeba mnie obudzić. Właśnie zamierzałem wstać i zadzwonić na Boba, kiedy spojrzenie moje padło na gotowalnię, gdzie w nocy postawiłem zagadkowe pudełko. Zniknęło!

Zdumiałem i pobiegłem do gotowalni. Niebyło go. Ale nie zniknęło, tylko... rozpadło się w kawałki. Zagadka rozwiązała się sama. Pudełko otworzyło się, jakgdyby chciało się na nas pomścić, i żadne ziemskie siły nie zdołałyby z rozproszonych jego kawałków złożyć całości.

Kawałki drzewa rozpadły się, a sposób ich spojenia pozostał na wieki tajemnicą twórcy pudełka. Nie miały one żadnego podkładu, jaki zwykle bywa w pospolitych robotach tego rodzaju, i były rozmaitego kształtu a cienkie tak, jak najcieńsza blaszka, pomimo to spojone mocno. Ten, kto zrobił to pudełko, obdarzony był talentem godnym zużytkowania na rzeczy ważniejsze.

Przekonałem się dopiero teraz, że w pudełku były umieszczone sprężyny, które raz rozluźnione, rozciągały się coraz więcej, póty, aż rozsadziły pudełko.

Oprócz sprężyn, było jeszcze coś więcej wśród tych szczątków: kawałek zapisanego papieru. Podniosłem go. Na odwrotnej stronie było napisane:

"Dar dla ciebie."

Co za dar? Spojrzałem i poraz już nie wiem który od czasu, gdy Pugh przyniósł swoje tajemnicze pudełko, zdumiałem się.

Na ziemi, pomiędzy dwoma kawałkami sprężyny, której zakrzywione końce trzymały go w powietrzu, tkwił kawałek szkła, albo może kryształu. Teraz dopiero zrozumiałem, co wydawało ten odgłos, gdy ja i Pugh uderzaliśmy w pudełko młoteczkiem. Pod uderzeniami młotka sprężyny chwiały się, a kryształ między niemi osadzony uderzał o ściany pudełka.

Spojrzałem poraz drugi na znaleziony kawałek papieru:

"Dar dla ciebie."

Byłże to ten dar, ten kawałek... kryształu? Przypatrzyłem mu się uważnie.

— Przecież to chyba nie djament?

Samo to przypuszczenie było śmieszne. Żaden chyba człowiek przy zdrowych zmysłach nie umieściłby djamentu we wnętrzu pudełka bez żadnej wartości. Było to bardzo jasne. A jednak znam się przecież doskonale na drogich kamieniach i jeżeli to nie był nieoszlifowany djament, to była chyba najlepsza jego imitacja, jaką mi się zdarzyło widzieć kiedykolwiek. Wziąłem go do ręki. Przypatrzyłem mu się blisko. Im lepiej zaś przyglądałem się, tem bardziej wzrastało moje zadziwienie.

— To djament, djament bez żadnej wątpliwości!

A jednak przypuszczenie to było mało prawdopodobne. Któżby chciał robić podarunek z djamentu wielkości włoskiego orzecha? Zresztą wszystkie djamenty tej wielkości, znajdujące się na świecie, znane są tak dobrze, jak Koh-i-noor.

— Jeżeli to naprawdę djament, to jest wart... jest wart... Bóg jeden zna jego wartość, jeżeli to tylko djament!

Obejrzałem go przez powiększające szkło i nie mogłem powstrzymać się od okrzyku.

— Cały świat postawiłbym przeciwko pomarańczy, że to istotnie jest djament.

Zaledwie wymówiłem te słowa, dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołałem, sądząc że to Bob.

Nie był to Bob, lecz Pugh. Mimowolnie ukryłem za siebie lupę i kryształ. Ujrzawszy mnie w nocnej koszuli, Pugh zaczął kiwać głową.

— Któraż to godzina, Tress, która godzina! Mój kochany, ja już zjadłem śniadanie, przeczytałem gazety i listy, przyszedłem tu pieszo z domu, a ty jeszcze nie wstałeś.

— Czy wyglądam na to, że nie wstałem?

— Ach, Tress, Tress!

Zbliżył się do gotowalni. Spojrzenie jego padło na szczątki pudełka.

— Co to jest?

— Rozwiązanie zagadki.

— Jakto?! więc... więc rozwiązałeś ją nakoniec, Tress?

— Sama się rozwiązała. Nasze wstrząsania, pukania, tłumaczenia puściły widać w ruch sprężynę i podczas nocy, kiedy spałem, pudełko się rozpadło.

— Kiedy spałeś? Jakież to dziwne! A... a to co jest?

Zobaczył dwie sprężyny, w których umocowany był kryształ.

— Przypuszczam, że to cząstka zagadki.

— A czy było co w pudełku? Co to jest?

Wziął kawałek papieru, pozostawiony przezemnie na stole, i przeczytał:

— "Dar dla ciebie." Co to znaczy? Tress, czy to było w pudełka?

— Było.

— Co znaczy wzmianka o darze? Czy było coś więcej prócz tego?

— Pugh, jeżeli zechcesz wyjść z pokoju, będę mógł się ubrać; nie mam zwyczaju przyjmować gości o tak wczesnej godzinie. Gdybym był wiedział, byłbym się przygotował na twoje odwiedziny. Jeżeli chcesz zaczekać w drugim pokoju, za chwilę będę ci służył. Mam ci powiedzieć coś, co się tyczy tego pudełka.

— A co takiego?

— Powiem ci, gdy się skończę ubierać.

— Dlaczego nie teraz?

— Chcesz więc, ażebym stał tutaj w koszuli i drżał z zimna, podczas gdy by ty będziesz rozprawiał? Dziękuję za to. Czy mogę cię prosić raz jeszcze, Pugh, ażebyś raczył wyjść?

Poszedł ku drzwiom, lecz zatrzymał się w drodze.

— Spodziewam się... mam nadzieję... Tress... że nie spłatasz mi żadnego figla?

— Figla? Czy to jest prawdopodobne, ażebym miał płatać figle najlepszemu swojemu przyjacielowi?

Po jego wyjściu, a wyszedł, o ile mi się zdawało, z wyrazem niepokoju na twarzy, zaniosłem kryształ do okna. Podniosłem roletę i wystawiłem go na działanie słonecznych promieni. Przyjrzałem mu się zbliska i dokładnie przez lupę. Był to djament, nie mogło być najmniejszej wątpliwości co do tego. Jeżeli ja, znawca drogich kamieni, pomylić się mogłem, to pomyłka moja była czemś bezprzykładnem. Serce zaczęło mi być mocno, gdym sprawdził, że to co trzymam w ręku stanowi majątek dla człowieka umiarkowanych wymagań.

Wszedłszy do pokoju, zastałem Pugha kręcącego się jak na rozżarzonych węglach. Zaledwie zdążyłem wsunąć nos, rzucił się na mnie.

— Tress, oddaj mi to, co było w pudełku!

— Mój drogi, a skąd wiesz, że tam było coś w pudełku?

— Wiem, że było!

— Doprawdy? Jeżeli wiesz, że coś było, to może mi powiesz, co takiego mianowicie?

Spojrzał na mnie nieufnie. Potem zbliżył się i położył mi na ramieniu rękę, która wyraźnie drżała.

— Tress, wszak nie zechcesz zrobić figla staremu przyjacielowi?

— Masz słuszność, Pugh. Jestem przecież twoim najdawniejszym przyjacielem. Twoje sprawy są mojemi, moje obchodzą ciebie, jak własne.

— Tress... powiedz, co było w tem pudełku?

— Będę z tobą szczery. Jeżeli było cośkolwiek, czy zechcesz przypuścić mnie do połowy udziału w tem, co znalazłem?

— Do połowy? W tem, co znalazłeś? Tress, oddaj mi to, co jest moją własnością.

— Z największą chęcią, Pugh, jeżeli mi powiesz, co jest twoją własnością.

— Jeżeli mi nie oddasz tego co było w pudełku... poślę... poślę po policję!

— Dobrze! W takim razie oddam policji to, co znalazłem w pudełku, a policja wynajdzie prawego właściciela.

— Właściciela? Ja jestem prawym właścicielem!

— Daruj mi, ale tego nie wiem, przynajmniej, dopóki policja nie przeprowadzi śledztwa. Jabym sądził, że prawym właścicielem był ten od którego nabyłeś pudełko, a właściwie ten, od którego on je kupił i który sprzedał je przez nieświadomość lub pomyłkę. W ten sposób, Pugh, jeżeli poślesz po policję, zasłużymy na wdzięczność człowieka, którego nie widzieliśmy nigdy w życiu, ja za to, że odkryłem, co jest w pudełku, ty za to, że zwróciłeś mu jego własność.

Twarz Pugha przedstawiała ciekawy widok. Brakowało mu tchu. Wydobył chustkę i otarł pot z czoła.

— Tress, nie powinieneś przemawiać do mnie w taki sposób... To nie jest po przyjacielsku. Co... co było w pudełku?

— Porozumiejmy się. Jeżeli nie masz zamiaru oddać tego, co było w pudełku, policji, podzielmy się po połowie?

Pugh zaczął się rzucać.

— Szalony byłem, oddając ci pudełko. Wiedziałem przecież, że ci nie można ufać.

Nie odpowiedziałem ani słowa. Sięgnąłem do dzwonka i zadzwoniłem.

— Co to znaczy? — zawołał Pugh.

— Znaczy to, że chcę zjeść śniadanie, a jeżeli sobie życzysz, mogę kazać sprowadzić policję. Wiesz, że chociaż ty jadłeś śniadanie, ja jestem na czczo do tej pory.

Wszedł Bob. Kazałem mu podać śniadanie. Potem zwróciłem się do Pugha.

— Czy życzysz sobie czego?

— Nie... już jadłem śniadanie.

— Nie myślałem o śniadaniu tylko... o czemś innem. Bob jest na twoje rozkazy, jeżeli chcesz go gdzie posłać.

— Nie, nie, nie potrzebuję. Może odejść.

Bob wyszedł, a Pugh zwrócił się do mnie.

— Dostaniesz połowę. Co było w pudełku?

— Dostanę połowę? Napewno?

— Dostaniesz.

— Czy uważasz za potrzebne spisać umowę czarno na białem, Pugh? Zresztą zdaje mi się, że w tym razie nie dałbyś mi rady. Patrz, to było w pudełku.

Pokazałem mu kryształ.

— Co to jest takiego?

— Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

— Daj mi obejrzeć!

— Przypatruj się, ile zechcesz i zbliska, ale teraz, kiedy go trzymam w ręku.

Pugh pochylił się. Oczy mu zamigotały. On też jest niezłym znawcą drogich kamieni.

— To jest, to jest, Tress, wszak prawda, że to djament?

— To samo pytanie i ja sobie zadaję.

— Daj mi popatrzeć na niego. Będzie bezpieczny w moich rękach. Przecież on do mnie należy.

Schowałem rękę i kryształ za plecy.

— Przepraszam, nie należy on do mnie, ani do ciebie. Według wszelkich danych jest to własność osoby, która sprzedała zagadkowe pudełko kupcowi, od którego ty je nabyłeś, może jaka nieszczęśliwa wdowa lub sierota? Pugh, popomyśl tylko o tem! Ale ponieważ jesteś moim najlepszym przyjacielem, nie chcę cię zdradzać i gotów jestem dotrzymać tajemnicy pod warunkiem, że nie będziesz próbował ukryć go i że mi go oddasz zaraz, gdy zażądam.

— Jesteś bardzo okrutny względem mnie. Oddam ci, kiedy tego żądasz!

Podałem mu kryształ i lupę. Zaczął go bacznie oglądać. Po chwili krzyknął i spojrzał na mnie; oczy jego błyszczały z poza okularów. Spostrzegłem, że drży.

— Tress, to jest djament, brazylijski djament! Olbrzymiej wartości.

— Cieszy mnie, że tak sądzisz.

— Cieszy cię to? Więc ty nie myślisz, że to jest djament?

— Zdaje się, że to jest djament. W zwyczajnych okolicznościach powiedziałbym bez wahania, że tak jest. Ale gdy wezmę na uwagę warunki, w jakich został znaleziony, mam pewne wątpliwości. Ile dałeś za to pudełko, Pugh?

— Dziewięć pensów. Kupiec chciał szylinga, ale dałem mu tylko dziewięć pensów. Zdawało się, że jest zadowolony.

— Dziewięć pensów? Czy podobna przypuścić, ażebyśmy znaleźli djament, który jest najpiękniejszym okazem, jaki mi się zdarzyło widzieć, w pudełku sprzedanem za dziewięć pensów? I nie znalazł on się tam przypadkiem, lecz został umieszczony umyślnie dla tego, kto rozwiąże zagadkę, dowodem czego jest ten napis na kartce.

Pugh znowu bacznie obejrzał kryształ.

— To jest djament. Głowę dałbym, że to djament.

— A jednak, jeżeli to djament, przeczuwam w tem jakiś podstęp!

— Jakto?

— Posądzam, że ten, kto umieścił taki djament w głębi pudełka, chciał się zabawić kosztem tego, kto go znajdzie. Może się mylę, Pugh, zobaczymy zresztą. Ale dopóki się nie przekonam o pomyłce, nie uwierzę nigdy, żeby najbardziej nawet szalony człowiek zechciał wyrzucać na marne djament wart, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dajmy na to, tysiąc funtów.

— Tysiąc funtów? Ten djament wart jest nierównie więcej.

— To jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu. Nie ma chyba takiego szaleńca na świecie, jakim byłby ten, ktoby umieścił taki klejnot w pudełku wartości dziesięciu pensów.

— Bywają tacy dziwacy, bywają. Zresztą przekonamy się. Zdaje mi się, że znam kogoś, ktoby rad nabyć podobny djament i, co ważniejsze, mógłby zapłacić dobrą cenę za niego. Zaniosę mu i pokażę.

— Pugh, oddaj mi djament!

— Mój drogi, ja tylko chciałem...

Bob wszedł w tej chwili ze śniadaniem na tacy.

— Pugh, oddaj mi to natychmiast, albo Bob sprowadzi policję.

Oddał mi djament. Usiadłem do śniadania z wybornym apetytem, Pugh stał i patrzył na mnie zadąsany.

— Józefie Tress! Mam silne przekonanie i mówię ci to wyraźnie i bez wahania, że jesteś złodziej!

— Mój drogi Pugh, a mnie się zdaje, że obaj wyglądamy jak kandydaci na złodziejów.

— Nie równaj mnie z sobą.

— Nie mam bynajmniej tego zamiaru, jesteś gorszy odemnie. Nie chcesz zwrócić djamentu jego prawemu właścicielowi. Zastanów się tylko, mój drogi przyjacielu, czy djament, wart więcej niż tysiąc funtów, można kupić uczciwie za dziewięć pensów?

Pugh zaczął biegać po pokoju.

— Jaki ze mnie głupiec, że ci pozwoliłem zabrać pudełko. Powinienem był znać cię lepiej i wiedzieć, że ci nie można ufać. Czy wolno zapytać, panie Tress, co zamierzasz uczynić?

— Nie zamierzam nic, chyba tylko sprowadzić policję. Prócz tego, mój drogi przyjacielu, mam niewyraźną, bardzo niewyraźną myśl, żeby ten twój dziewięciopensowy nabytek zanieść do pewnej firmy w Hatton Garden, do firmy zajmującej się handlem drogiemi kamieniami, i zapytać, czy zechce nam coś dać za to, a jeżeli zechce, to ile mianowicie?

— Pojadę z tobą.

— Bardzo dobrze, ale zapłacisz dorożkę.

— Ja mam płacić? Zapłacę połowę.

— Wcale nie, albo zapłacisz wszystko, albo każdy z nas pojedzie osobną dorożką. Dorożka ztąd do Hatton Garden kosztuje trzy szylingi. Bądź łaskaw dać mi je zgóry.

Zachłysnął się, ale dał mi trzy szylingi. Nic dla mnie niema przyjemniejszego, jak kiedy mogę wydrzeć pieniądze od Pugha.

Całą drogę kłóciliśmy się bezustannie. Wyznaję, że drażnienie Pugha sprawia mi pewną przyjemność, bo jest on bardzo drażliwy. Chciał się dowiedzieć, ile, jak myślę, dostaniemy za djament.

— Nie możesz się przecie spodziewać wielkiej sumy za to, coś kupił za dziewięć pensów? Pugh, może nawet nie wróci się wydatek na dorożkę!

Popatrzył na mnie i milczał przez chwilę. Potem zaczął:

— Tress, zdaje mi się, że nie powinniśmy sprzedać go za mniej, niż za pięć tysięcy funtów szterlingów.

— Mówię szczerze, Pugh, nie zdaje mi się, ażebyśmy dostali więcej, jak pięć tysięcy pensów za niego.

— Dlaczego? Dlaczego? To wspaniały kamień, wspaniały. Głowę daję za to, że wielkiej wartości.

Uderzyłem się końcami palców w piersi.

— Tu, w sercu, czuję coś, co powinnoby i w twojem sercu się odezwać. Pugh, coś mi mówi, a być może, że to głos mojego zdrowego rozsądku, że zawartość tego pudełka okaże się wkońcu wspaniałem, artystycznem oszukaństwem, mój przyjacielu.

— Nie wierzę temu.

Ale ja myślę, że uwierzył, i w każdym razie zachwiałem podstawę jego wiary.

Weszliśmy razem do jubilera. Pugh tak się obawiał ustąpić mi pierwszeństwa, że literalnie uczepił się mojej ręki. Kantor przedzielony był na dwie części kontuarem sięgającym od ściany do ściany. Zwróciłem się się do stojącego za kontuarem właściciela.

— Chciałem sprzedać djament.

— Chcemy sprzedać djament — wtrącił Pugh.

Zwróciłem się ku niemu i spojrzałem surowo.

— Chcę sprzedać djament. Ten oto. Ile mi pan da za niego?

Wydobyłem z kieszeni kryształ i podałem go stojącemu za kontuarem człowiekowi. Zaledwie wziął go do ręki i obejrzał, oczy mu zabłysły.

— To jest... to jest bardzo piękny kamień.

Pugh ścisnął mnie za ramię.

— Mówiłem ci to samo.

Nie zwróciłem uwagi na Pugha.

— Ile mi pan dasz za ten kamień?

Kupiec zaczął obracać kryształ w palcach.

— No, kamień jest niezwykłej wielkości. Nieczęsto mamy sposobność nabycia podobnej sztuki. Cobyś pan powiedział, tak... na dziesięć tysięcy funtów?

Dziesięć tysięcy funtów! Przechodziło to moje najdziksze przypuszczenia.

Pughowi zabrakło tchu.

— Dziesięć tysięcy funtów! — powtórzył jak echo.

Człowiek zpoza kontuaru spojrzał na niego z pewnem zadziwieniem.

— Jeżeli pan możesz mi przedstawić jakieś dowody, upewnić mnie w jakikolwiek sposób o swojej dobrej wierze, gotów jestem dać panu za ten djament czek na dziesięć tysięcy funtów, lub też, jeżeli pan wolisz, wypłacić tę sumę gotowizną.

Zdumiałem się. Nie byłem przyzwyczajony do traktowania interesu na tak wielką skalę.

— Bierz! — szepnął Pugh.

Był zanadto wzruszony, ażeby mógł zdobyć się na coś więcej, jak na szept. Przerwałem mu.

— Mój kochany panie, zechciej mi darować, jeżeli powiem, że decydujesz się bardzo prędko. Najpierw, skąd pan ma pewność, że to jest djament?

Człowiek za kontuarem uśmiechnął się.

— Niebyłbym dostatecznie przysposobiony do zawodu, w którym pracuję, gdybym nie był w stanie oszacować djamentu, a szczególnie takiego, jak ten.

— Czyż nie ma pan tu kamienia, na którym mógłbyś dokonać próby?

— Mamy kamienie do próbowania w razach wątpliwych, ale w tym wypadku niema żadnej wątpliwości. Tak pewny jestem tego, że to jest djament, jak tego że panowie stoicie przedemną. W każdym razie mogę spróbować, jeżeli pan tego sobie życzy.

Obok kontuaru stało koło, obracane zapomocą pedału, podobne do koła wędrownego szlifierza. Kupiec postawił nogę na pedale i koło zaczęło szybko się obracać.

Przysunął kryształ do wirującego koła.

Rozległ się gwałtowny zgrzyt. Ssssss! I w tej chwili ręka kupca opróżniła się, kryształ rozprysnął się w drobne kawałeczki.

— Wielki Boże! — jęknął jubiler.

Nigdy w życiu nie widziałem równie zdumionego człowieka.

— Djament rozpadł się w kawałki... Prawdziwy djament!

. . . .

Djament był rzeczywiście prawdziwy, pomimo, że się rozpadł. W tem właśnie leżała tajemnica całego figla. Jubiler nie mylił się, gdyż zbadanie rozpryśniętych cząsteczek usunęło wszelkie wątpliwości. Znawcy uznali, że djament ten był kiedyś wystawiony na działanie wielkiego i długiego gorąca. W skutek tego zrobił się kruchy jak szkło.

Nie podlega też wątpliwości, że jego dziwaczny posiadacz był znawcą. Wiedział prawdopodobnie, jakie koleje przechodził ów djament i w jakim stanie z nich wyszedł. Wiedział też, że pod względem handlowym nie przedstawia żadnej wartości, gdyż nie mógł być oszlifowany. Dla zadosyćuczynienia jakieś dzikiej fantazji poświęcił dnie, może tygodnie całe, na zbudowanie tego zagadkowego pudełka. Umieścił w niem djament i radował się zawczasu myślą o początkowem uszczęśliwieniu i późniejszym zawodzie znalazcy.

Pugh mnie obwiniał o katastrofę. Mówił i dziś jeszcze mówi, że gdybym nie był niepotrzebnie nastawał na próbę, jubiler byłby się zadowolnił świadectwem swego wzroku, a my bylibyśmy bogatsi o dziesięć tysięcy funtów.



Typowy okaz Święconego w dawnej Polsce.

NAGODA

CUDZA ŻONA

NOWELA

Typowy okaz Święconego w dawnej Polsce.

CZY wiecie państwo, do czego doprowadzają nas cudze żony?

Do rozwodu, separacji, lub co najmniej chwilowego oziębienia stosunków z własną żoną. Nieprawdaż?...

Otóż w mojem życiu cudza żona odegrała rolę bardzo ważną. Poświęcę jej chwil kilka opowiadania — na co zresztą w zupełności zasługuje, choćby tylko swoją okrągłą, świeżą jak brzoskwinia twarzyczką i dużemi jasno-niebieskiemi oczyma, spoglądającemi zawsze na świat boży z takiem zdziwieniem, jak gdyby go dopiero po raz pierwszy ujrzały.

Ta zdziwiona piękność, imieniem Kamila, jest żoną mego serdecznego przyjaciela i towarzysza od lat najmłodszych, Jasia Wiernickiego. Poznaliśmy ją obaj, jeszcze na ławkach uniwersyteckich, gdy ona z wielkim właśnie sukcesem kończyła ósmą klasę na pensji pani Z. Mieszkając w tej samej kamienicy, co jej rodzice, zaczęliśmy u nich bywać dość często i przez dłuższy czas zdawało nam się, że jesteśmy obaj, zarówno przez rodziców jak przez pannę, dobrze widziani. Nagle jednak szale naszego szczęścia chwiać się i przeważać zaczęły i koniec końców sympatya Kamili przechyliła się stanowczo na stronę Jasia, sympatje jej rodziców — na moję.

Otóż, wobec takiego podziału sympatji w domu państwa Rafałów, mogły były wśród nas zawikłania nader przykre, a nawet tragiczne, gdyby nie to, że ja, oddawna już spostrzegłszy miłość Jasia dla pięknej Kamilki, ani myślałem wchodzić mu w drogę.

Pamiętam, iż nieraz w owych czasach, układając się na spoczynek, w półsennej wyobraźni widziałem przed sobą te oczy i ten uśmiech; nieraz godzinami całemi myślałem o niej, o jej przyszłości; wyobrażałem sobie z zachwytem tę dziecinną twarzyczkę, rozpromienioną szczęściem i wzruszeniem pod mgłą ślubnego welonu; widziałem ją potem w białym fartuszku i czepeczku, krzątającą się w swoim domu, — takim cichym, jasnym, spokojnym, jak cała ta postać dziewczęca. W marzeniach tych moich jednak nigdy ani na krok jej nie odstępował mój przyjaciel Jaś, a postać jego bynajmniej nie zaciemniała uroku tego obrazu, przeciwnie — wypełniała go tylko i zdawała mi się koniecznym warunkiem całości.

Pomagałem też, jak mogłem, młodej parze, wynajdując coraz to nowe spacery, przejażdżki i inne zabawy wspólne, dające im sposobność widywania się częściej. Rodzice przystawali chętnie na moje pomysły, nie wątpiąc zapewne, że i moje dwudziestoczteroletnie s e r c e nie oprze się urokowi Kamili a z konieczności niejako tolerowali także obecność Jasia, uważając go słusznie za mego nieodstępnego towarzysza i druha.

Doprowadziłem wreszcie do tego, że Jaś oświadczył się i ja, jako drużba poprowadziłem pannę młodą do ołtarza. Przy uczcie weselnej, gdy pito zdrowie nowożeńców, uścisnął mnie za rękę tak mocno, że jej o mało nie zgruchotał, a cała jego wdzięczność i przyjaźń znalazły wyraz w wykrzykniku: "Poczciwy Stach!" Przy tych słowach, jak gdyby mi wskazywał, jakie to szczęście pomogłem mu uzyskać, spojrzenie jego, zamglone rozrzewnieniem, przeszło z mojej twarzy na pochyloną prawie pod ciężarem włosów i wieńca główkę ślicznej oblubienicy. Oczy moje pobiegły w tym samym kierunku i zatrzymały się z przyjemnością z złotym warkoczu... gdy wtem, nagle, usłyszałem za sobą przyciszony śmiech. Obróciłem się. Za mną stał Karol, drugi drużba, i z twarzą pod wpływem wina nienaturalnie zarumienioną, mrugał na mnie z figlarnym wyrazem.

— Znajdź sobie, panie drużbo, od dzisiaj inny obrazek, do któregobyś mógł wzdychać... Cudza żona!... — szepnął mi do ucha.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem wcale, o co mu chodzi; następnie uczułem, jak krew ze wszystkich żył zbiega mi się do serca, zaczyna kipieć i burzyć.

Ja miałbym zobojętnieć dla Kamili dlatego, że została żoną Jasia? W naszej szczerej, wiernej przyjaźni ludzie mogliby upatrywać coś nagannego?... Chciałem już wybuchnąć, ale zmierzyłem tylko Karola oczyma i odszedłem.

Pogląd jego na mój stosunek do Jasia i Kamili stanowczo mi się nie podobał. Przecież Jaś był dla mnie całe życie bratem, a przez jego ożenienie miałem zyskać tylko dobrą, sympatyczną siostrzyczkę, dom rodzinny prawie, którego ja, oddalony zawsze od swoich i skazany na pustkę i czczość kawalerskiego żywota, byłem tak spragniony!

Stało się też, jak pragnąłem; bywałem u Jasiow bardzo często, witany zawsze przez nich jak najbliższy przyjaciel, nie gość już prawie, ale domowy, i spożywałem słodkie owoce moich bezinteresownych usiłowań. Jasiowie byli szczęśliwi; miałem wszelkie prawo tak sądzić, patrząc ciągle na dowody ich szczerego przywiązania i zgo-

dności charakterów. Zauważyłem wprawdzie po niejakim czasie, iż Jaś wychodził naprzeciw mnie niekiedy z twarzą niby chmurną, że bywał roztargniony i nieswój, ale nie zastanawiałem się nad tem, wiedząc, że samo nawet słońce miewa swoje zaćmienia, które jednak mijają prędko i bez śladu.

Pewnego razu, wśród rozmowy Jaś ujął mnie nagle za rękę i tonem tak swobodnym, jak gdyby mi proponował wyjście na przechadzkę lub wypicie filiżanki herbaty, wyrzekł:

— Wiesz co, Stachu, ożeń się.

Spojrzałem na niego osłupiały — myśl ta nigdy przedtem nie przyszła mi do głowy i wogóle czułem się tak zadowolony z obecnego stanu rzeczy, iż nie miałem wcale ochoty zmienić go na jakieś niepewne blaski szczęścia, które tak często są w życiu ludzkiem rozpływa się we mgle, gdy się do niego zbliżamy i wyciągniemy rękę, ażeby je pochwycić.

Jaś spoglądał na mnie badawczo, jak gdyby chciał przeniknąć moje myśli.

— No i cóż ożenisz się? — zapytał wreszcie.

— Ależ... oszalałeś!

— Nie wiem, doprawdy, co w tem widzisz tak dziwnego?— zawołał, — przecież każdy się żeni, a dla ciebie teraz właśnie pora! Zresztą... czy ci się to nie uśmiecha?... czy moje szczęście nie budzi w tobie zazdrości? — dodał, jakoś dziwnie patrząc mi w oczy.

Potrząsnąłem głową.

— Twoje szczęście? bezwątpienia!... ale ja takiej, jak Kamila, nie znajdę.

Jaś sponsowiał.

— Głupstwa gadasz! — wykrzyknął z rozdrażnieniem — ciekawy jestem, czemu nie masz znaleźć! cóż znowu upatrujesz w niej tak szczególnego! Tysiące takich, tysiące! O, są nawet i ładniejsze i milsze.

— Ale takiej samej, jak ona, drugiej niema; a ja, nie mogąc mieć takiego samego szczęścia, jak twoje, wolę się wcale nie żenić.

Jaś zaczął chodzić wielkiemi krokami po pokoju i nie odzywał się już wcale. Zakonkludowałem w duchu, że z pewnością musiał się dzisiaj poróżnić z Kamilą. No, ależ jeżeli nawet między nimi bywają nieporozumienia i sprzeczki, to już chyba żadne małżeństwo na świecie nie może być zupełnie szczęśliwem. Tak uspokajałem sam siebie, ilekroć napadała mnie tajemna obawa o spokój i szczęście Jasiów, których połączenie było przecież poczęści mojem dziełem.

Pewnego razu, wchodząc do Jasiów w zamiarze spędzenia u nich wieczoru, usłyszałem w salonie głos jakiś, czysty i dźwięczny jak dzwonek, który nie był głosem Kamili, a tem mniej też Jasia.

— Ósma minęła... zapóźno już jechać na odczyt, ale, panie Janie, zatrzymałeś mnie dziś, obiecując towarzystwo przyjaciela; cóż będzie, jeżeli doznam zawodu?

— O, niech pani się nie obawia: przyjdzie z pewnością! — odparł Jaś tonem takim, jakby niezbyt wielką sprawiała mu uciechę ta pewność.

Chrząknąłem uspokajająco— i wśród ogólnej ciszy, która nagle zapanowała w salonie, usłyszałem leciuchne "ach!" wymówione tym dźwięcznym, nieznanym mi głosem, oraz przyśpieszone kroki Jasia, wybiegającego na moje spotkanie.

— Jak się masz, Stachu! Z podwójną niecierpliwością cię dziś oczekiwałem, bo przyjechała do nas kuzynka mojej żony... piękna jak marzenie! a jaka dowcipna, inteligentna! słowem, powiadam ci: zachwycająca! Liczę na to, że nam pomożesz ją bawić.

Wprowadził mnie pod rękę do saloniku — obok pani Kamili, zajmującej zwykłe swe miejsce w rogu kanapki, ujrzałem wspartą niedbale na niskim foteliku postać młodziutkiej i pięknej kobiety. Ujrzałem, że ma czarne ogromne oczy i że temi oczyma zmierzyła mnie od stóp do głowy — wzrokiem, jeżeli nie krytycznym, to przynajmniej bardzo badawczym.

— Dobry wieczór, panie Stanisławie — rzekła Kamila, wyciągając do mnie rękę ze zwykłą, pełną serdecznego ciepła życzliwością.

Tego wieczora chłód jakiś niewytłumaczony wkradł się do naszego kółeczka. Powiadają, że we troje trudno się dobrze bawić, mnie jednak zawsze najlepiej było sam na sam z Jasiami, z wielkiem też niezadowoleniem dowiedziałem się, że kuzynka Kamili przyjechała dla kształcenia się w śpiewie i że ma zabawić co najmniej kilka tygodni, ażeby — jak się wyraziła — przekonać się, czy jej gardło zdoła wydać choć jeden ton czysty i dźwięczny, i czy warto dla niego brać lekcje.

— Panie Stanisławie, kuzynka moja nie była nigdy czas dłuższy w mieście — rzekła Kamila przy pożegnaniu, — boję się, aby ją nie nużyło przebywanie w tych szczupłych pokoikach; będziemy więc oprowadzać ją, pokazywać jej ciekawości miasta... Spodziewam się, że nam pan zechcesz towarzyszyć.

— Wszędzie, gdzie pani tylko rozkaże! — zawołałem gorąco.

I rzeczywiście, w tej chwili byłem gotów iść choćby na koniec świata dla jednego łagodnego uśmiechu Kamili.

Od tego wieczoru zaczęły mi upływać dni na obmyślaniu i przeprowadzaniu coraz nowych projektów, przejażdżek, a poczęści nawet na towarzyszeniu paniom w ich wędrówce po sklepach.

Jaś bywał w bardzo zmiennem usposobieniu; humor jego złoty, tryskający młodzieńczą, serdeczną wesołością, wracał mu niekiedy i rozgrzewał całe nasze kółko; chwilami jednak wesołość ta znikała bez śladu, zasępiał się, milknął.

Pewnego razu, wchodząc do saloniku, zastałem w nim Wan-

dę z Jasiem, grających w szachy.

— A gdzie pani Kamila? — zapytałem po chwili, nie widząc jej.

— Zęby ją bolą — odparł krótko Jaś.

— Ach, mój Boże, musiała się zaziębić na wczorajszym spacerze! Wszak przestrzegałem panie, żeby nie siadały na wilgotnej darni. Czy mocno jest cierpiąca?

— Bardzo.

Oczy panny Wandy spoczęły na mnie z dziwnym jakimś wyrazem.

— Ależ... możeby można jakie lekarstwo?... jest przecież tyle środków!...

— A żaden nigdy nie pomoże. Co kto na ból zębów poradzi!... bolą, to i przebolą — zakonkludował Jaś tonem tak suchym, że byłem prawdziwie zgorszony i rzuciłem na niego pełne oburzenia spojrzenie.

Wstał od stolika i usiadł trochę opodal z gazetą w ręku. Wkrótce też zatonął w niej kompletnie, a ja z panną Wandą zaczęliśmy nową partję szachów, których ona była zapaloną amatorką.

Szala zwycięztwa chwiała się między nami, nie chcąc się przechylić stanowczo na niczyję stronę, — partja ciągnęła się już bardzo długo. Nagle Wanda odsunęła od siebie lekko szachownicę i oparła głowę na ręku, z minką dziwnie przygnębioną.

— Co pani jest? — zapytałem zdziwiony.

— O, nic... to jest... trochę... głowa mnie boli... Zdaje mi się, że musiałam się znużyć, bo już przeszło trzy godziny gram w szachy.

W mgnieniu oka zmiotłem z szachownicy walczące zastępy tak gwałtownie, iż niektóre figury z hałasem potoczyły się na ziemię.

— Jakiż ja jestem nieuważny, samolub! Przyszedłem ze świeżemi siłami i w najlepsze zasiadłem do gry, nie pomyślawszy nawet, że pani może już być zmęczoną poprzedniemi partjami. Jak pani mogła nie ostrzec mnie wcześniej!... pani sobie może tem zaszkodzić!...

Twarz jej wydała mi się bledszą niż zwykle.

— Jakiż to dziś dzień nieszczęśliwy! Kuzynka pani słaba na zęby, pani na głowę! Czy... czy panią już dawno boli? —zapytałem, wlewając w głos mój współczucie, którego wymowność, była dla mnie samego nieskodzianką, ale płynęła z jakieś dziwnej, niezwalczonej chęci zwrócenia na siebie wejrzenia jej spuszczonych, w tej chwili prawie przymkniętych oczu.

Nie otrzymałem odpowiedzi, ale pod mojem upartem spojrzeniem różowa łuna powlokła blade policzki, powieki podniosły się i zamiast wyrazu cierpienia pod ciemnemi rzęsami zamigotały jakieś jasne, figlarne błyski...

Niespodziewana, perlista gama śmiechu Wandy wstrząsnęła mną nagle, tak, gdyby pod mojemi stopami otworzył się w tej chwili krater wulkanu.

— Co pani jest?! — wykrzyknąłem zdumiony.

— Ja... żartowałam tylko... Niech mi pan daruje. . — odparła, wlepiając we mnie wpół proszące, wpół zaniepokojone wejrzenie — ja chciałam tylko... byłam ciekawa...

— Jakto! jak pani mogłaś tak zażartować ze mnie!... i dlaczego? — wykrzyknąłem, hamując ledwie rozdrażnienie. — Pani chyba teraz żartuje, żeby mnie uspokoić? — dodałem.

Wanda wstrząsnęła głową.

— Nie, nie, doprawdy; wszak pan widzi, że mi nic nie jest; zażartowałam... ot, tak sobie!... albo ja wiem, zkąd mi to przyszło? Nie myślałam, że się pan obrazi...

— Nie jestem wcale obrażony — czułem, że mimowoli ton mój przeczył prawdzie tych słów; — ale, jeżeli pani chciała pozbyć się mnie i partji szachów, to tak łatwo było uczynić to jednem słowem, bez narażania się na trud udawania choroby i wyprowadzania mnie w pole...

— Ależ pan się myli! doprawdy, pan mnie całkiem fałszywie zrozumiał; niech się pan nie gniewa o żart, niestosowny może, ale który nie miał być wcale złośliwym!

Cóż miałem robić? Ucałowałem podaną rączkę i zgoda zapanowała między nami.

* * *

Jasne, czerwcowe słońce zasypywało ziemię swemi blaskami. Wyszedłem z biura cokolwiek wcześniej, gdyż mieliśmy natychmiast po obiedzie pojechać na daleki zamiejski spacer; dążyłem przyśpieszonym krokiem ku restauracji, gdy nagle uczułem, iż mnie ktoś z tyłu chwycił za ramię w bardzo energiczny, choć, o ile sądzić mogłem, przyjacielski sposób.

— Przecież cię złapałem! — przemówił głos Henryka, mego dawnego kolegi, który, przeniesiony jako urzędnik skarbowy na prowincję, od dwóch lat już mi się nie pokazał na oczy. — Czy wiesz, że już od tygodnia bawię w mieście, a nigdzie się z tobą zejść nie mogę! Gdzie ty się tak po całych dniach wałęsasz? Co?

Spojrzał mi w oczy z uśmiechem tak domyślnym, jak gdyby chciał dodać: "Tylko się nie wykręcaj, bo wiem wszystko lepiej od ciebie; nie wywiedziesz mnie w pole."

— A gdzieżbym się obracał? — odparłem ze spokojem człowieka, mającego czyste sumienie. — Jak zwykle, chodzę do biura, jem w restauracji, odbywam spacery...

— Terefere, spacery!... ale czy je sam odbywasz? Widziałem ja cię parę razy zdaleka w ogrodzie, ale ani śmiałem przystąpić do ciebie: zawsze jesteś z jakiemiś paniami, których podobno ani na krok nie odstępujesz. Słuchajno — dodał ciszej, ujmując mnie pod rękę, — po dawnej przyjaźni powiedz mi, czy ty tak o pannę konkurujesz, czy też... asystujesz cudzej żonie?

— Henryku! — zawołałem



Owce i owczarze w Tatrach.

cały w ogniu — jak śmiesz robić takie przypuszczenia?...

— Czegóżeś tak skoczył?... przecież ja nic złego nie powiedziałem! Cóżby było dziwnego, żeby ci się podobała? Wcale milutka. No, ale jeżeli ty w pannie gustujesz, to muszę przyznać, że zrobiłeś jeszcze lepszy wybór. Co za oczy szatańskie!

Czułem, że płomień na mej twarzy, zamiast przygasać, wzmaga się jeszcze. Zato ton którym teraz przemówiłem do Henryka, starałem się uczynić jaknajbardziej lodowatym:

— Obowiązałbyś mnie mocno — rzekłem, — nie odzywając się w sposób tak lekki o paniach, dla których ja mam najwyższy szacunek i przyjaźń.

— A! mój kochany, jużeś się więc obraził? Przyznam ci się, że dziwak jesteś — odparł Henryk z widoczną urazą. — Przyrzekam ci uroczyście, że nawet nazwiska twych pań już nigdy w życiu nie wymówię; ale przestrzegam cię, że ujmować się tak gorąco za dwiema, to trochę zabawnie. Pamiętaj, że nawet Donkiszot miał tylko jednę Dulcyneę.

Z temi słowami rozeszliśmy się: on niezadowolony, że jego dowcip nie znalazł u mnie poklasku, a ja wzburzony i roztargniony w najwyższym stopniu.

— Cudza żona! — mruczałem pocichu, drąc w kawałki rękawiczkę, dopiero co kupioną; — a cóż oni sobie myślą, że cudzej żony nie można już znajdować miłą i dobrą? że nie można znajdować przyjemności w jej towarzystwie, ani uznawać jej zalet? Więc należy może cudzą żonę nazywać sekutnicą dlatego, że jest cudzą żoną; albo lepiej jeszcze: zerwać stosunki z najszczerszym od lat dziecinnych przyjacielem i nie bywać wcale u niego dlatego, że się ożenił? Pięknaby to była przyjaźń!

Pomimo tych wszystkich argumentów, nie poszedłem jednak dnia tego na projektowany spacer. Zamknąłem się w swoim pokoju i w największej pasji przechodziłem od kąta do kąta, tam i napowrót, całe poobiedzie.

* * *

Nazajutrz uderzenie godziny czwartej po południu zastało mnie już w bawialnym pokoju Jasiów Wszedłem, naturalnie, nie anonsując się, i zastałem Wandę, siedzącą samotnie przy biureczku Kamili, z piórem w ręku, pogrążoną w odczytywaniu jakichś drobno zapisanych ćwiartek. Dywan uciszał moje kroki, tak, iż niepostrzeżony stanąłem prawie tuż za jej krzesłem.

— Dzień dobry pani!

— To pan! — wykrzyknęła głosem, w którym, zamiast oczekiwanej burzy, ucho moje pochwyciło brzmienie prawie radosne — to pan! — Ale nagle twarz jej spłonęła i, zamiast wyciągnąć ku mnie ręce na powitanie, obie jej dłonie spoczęły opiekuńczo na zapisanych ćwiartkach, jakby chciała je osłonić przed mojem niedyskretnem spojrzeniem. Ale ta gorliwość była już spóźnioną.

— Pani pisze? — zapytałem, siadając naprzeciw niej.

— O, nie... to jest...

— Pani prowadzi liczną korespondencję? — ciągnąłem dalej, poprostu dla podtrzymania rozmowy, gdyż nigdy jeszcze nie byłem z nią ani chwili sam na sam i czułem się tem trochę zmieszany, a przytem od czasu owego zajścia przy szachownicy nie było już między nami poprzedniej swobody.

W ciemnych źrenicach Wandy zabłysły zwykłe wesołe iskierki. Chwilę zdawała się namyślać, aż wreszcie:

— To nie list! — rzekła z uśmiechem; i patrząc mi prosto w oczy, dodała: — Niech pan zgadnie, co?

— Dziennik?

Potrząsnęła przecząco głową i zaśmiała się, jak gdybym w mych przypuszczeniach był bardzo dalekim od prawdy.

— A więc cóż takiego?

Zasłaniając ręką resztą ćwiartki, wskazała mi jej nagłówek.

— Pryśnięty czar! — przeczytałem głośno, nie domyślając się jeszcze znaczenia tego tytułu. — Powieść! — wykrzyknąłem w końcu tonem pełnym rozczarowania; — pani pisze powieści!

— Tylko nowelki — odparła zcicha, jak gdyby chciała się usprawiedliwić. — Czy pan potępia kobiety, które piszą? — dorzuciła, a głos jej i spojrzenie nadawały temu pytaniu cechę prawie prośby o ułaskawienie.

— Wolałbym, żeby pani pisała dziennik.

— A, rozumiem!... wiem dobrze, że panowie nie znoszą w kobiecie samoistności ani w myślach, ani w czynie. Panom kobieta, mająca zdanie o wszystkiem, zapatrująca się na życie ze strony poważnej, nie mogłaby się podobać... Uwielbiacie tylko naiwne, dziecinne charaktery, istoty, któremi łatwo kierować, bo same nie wiedzą, w jaką iść stronę, takie, co poza obrębem codziennych, powszednich zajęć są ledwie w stanie podnieść swą myśl do wsłuchiwania się w uderzenia własnego serca... a i tych nawet dobrze nie rozumieją!

— Co za gwałtowność! egzaltacja! jaki potok słów brzmiących, a bez znaczenia! Otóż to są skutki bawienia się kobiety w autorstwo! — pomyślałem zgorszony, a nawpół i przestraszony tym wybuchem.—Co widzę, łzy nawet w oczach! Ależ to przyjdzie oszaleć, jeżeli jeszcze będę musiał przepraszać i udawać skruszonego winowajcę. Jestem Bogu ducha winien i sam nie wiem, za co spadła na mnie taka burza.

Jednak wilgotna mgła, przysłaniająca błyszczące oczy Wandy, podziałała na mnie dziwnie rozbrajająco i w jednej chwili rozwiała wyrok potępienia, który miał już zapaść w mym umyśle nad młodą autorką i jej nowelami.

W sąsiednim pokoju dał się

słysześć wesoły śmiech Jasia, zmieszany jak gdyby ze szmerem pocałunków, i weszli oboje, trzymając się za ręce, z uśmiechem na ustach, tak piękni i rozpromienieni, że mi się przypomniały pierwsze odwiedziny u nich po ślubie, gdy Kamila tak ślicznie wyglądała w swoim niebieskim szlafroczku, a Jaś czuł się obowiązany co chwila oznajmiać jej to wśród pocałunków.

Szczęśliwy Jaś! przecież to miło być musi, gdy ładne oczy wpatrują się w nas z takim zachwytem i tkliwością, a mała, aksamitna rączka spoczywa z takiem zaufaniem w naszej dłoni.

— Panie Stanisławie, dlaczego pan nie przyszedłeś wczoraj? niepokoiliśmy się o pana.

— O, niech pani wybaczy; bardzo mi przykro, ale... byłem ogromnie zajęty.

— Aż tak dalece? — Pana Wanda widocznie nie dowierzała mojej wymówce i nie robiła sobie ceremonji z okazaniem tego.

— Bo też prawda, że po tych urzędach tak panów przeciężają pracą! — dodała Kamila tonem pełnym współczucia. — Bardzo żałowaliśmy, że pan nie wziął udziału w naszym spacerze.

— Ależ to trudno — wtrącił Jaś z niecierpliwością, — on nie może tylko wiecznie chodzić po spacerach, opuszczając swoje biurowe zajęcia; jego karjera może na tem ucierpieć. Nie powinnyście go na to namawiać.

— Ależ nie! to był tylko... wyjątkowy nadmiar pracy. Ja z wielką przyjemnością jestem na sługi pań i gotówem zawsze im towarzyszyć.

Czy w tych słowach, wyrzeczonych z największą uprzejmością, było coś złego?... nagannego?... niepojmuję, — dość, że od nich jakiś dziwny chłód powiał na całe towarzystwo. Jaś zasępił się, zmarszczył brwi i zaczął, nucąc pod nosem, chodzić po pokoju, jak to miał zwyczaj czynić, gdy był w najgorszym humorze. Kamila odczuwająca, jak mimoza, każdą najlżejszą zmianę w jego usposobieniu, posmutniała zaraz i zamilkła; a co do Wandy, ta wprawdzie robiła widoczne usiłowania, aby podtrzymać rozmowę, ale nie szło jej to; chwilami zdawało mi się, że ciągle jeszcze chowa do mnie urazę, to znowu była zmieszana, jak gdyby się wstydziła swego wybuchu i nie śmiała robić pierwsza pojednawczych kroków.

Tak więc ten wieczór, tak przeze mnie wyglądany od wczoraj, nie ziścił wcale moich nadziei. Ledwie że z wielką męką doczekałem się herbaty, a gdyśmy tylko wstali do stołu, zacząłem się żegnać, tłumacząc się silnym bólem głowy, choć Bogiem a prawdą, nikt mnie tak bardzo nie zatrzymywał.

Wanda stała trochę opodal, wpół ukryta za koszem kwiatów, pochylając co chwila swoję piękną twarz nad blado-różowemi bukietami azalji i drobnemi gałązkami heliotropu, których wonią zdawała się poić z zachwytem.

— Panno Wando, dobra noc! — rzekłem, stanąwszy obok niej — i... i niech się pani nie gniewa, jeżeli w moich słowach było coś, co panią dotknęło... nie miałem tego zamiaru...

Stało się więc — przeprosiłem! choć nie poczuwałem się do winy; tacy to my zawsze jesteśmy. Panna Wanda zaś znalazła się oczywiście zgodnie ze swoim charakterem, bo przybrawszy bardzo wspaniałomyślną minkę, podała mi rękę ruchem pełnym godności, jak gdyby chciała powiedzieć, że najcięższe nawet przestępstwa okupuje skrucha.

— Nie mam żalu do pana; ale wzamian — szepnęła z figlarnym uśmiechem — proszę wierzyć, że ja bardzo, bardzo rzadko popełniam grzech pisania powieści i... i niezawsze także bronię praw kobiecych tak gorąco, jak dzisiaj...

Skłoniłem się głęboko, robiąc w duchu spostrzeżenie, że dobry przykład działa bardzo szybko i że czasami warto nawet zrobić ustępstwo, ażeby samemu coś podobnego uzyskać.

Jaś dość lekko uścisnął mi rękę, i pogrążony w dumaniach, urozmaiconych nuceniem i poświstywaniem, zapomniał dziś po raz pierwszy o swoim zwyczaju odprowadzania mnie do przedpokoju.

Kamila stała najbliżej drzwi; z nią ostatnią się żegnałem, a uścisk jej ręki był dłuższy jeszcze i serdeczniejszy, niż zazwyczaj.

— Panie Stanisławie — szepnęła, — ja miałabym do pana wielką prośbę, a raczej... pragnęłabym pomówić z panem o czemś bardzo ważnem... tylko nie wiem, jak to panu powiedzieć... Może jutro...

Spojrzałem na nią zdziwiony — błękitne jej oczy miały rzeczywiście wyraz bardzo proszący, a świeże, łagodnie uśmiechnięte usta zdawały się drżeć niby od hamowanego wzruszenia. U spokojnej Kamilki objaw ten zdumiał mnie... a nawet przeraził...

— Ależ, pani, czyż się godzi nawet robić wstęp taki! Takiemu staremu przyjacielowi powinnaś pani tylko rozkazać.

— O, nie! o rozkazie nie może tu być mowy, choć rzeczywiście już w tem samem, że się z tem do pana odezwę, leży dowód, że go uważam za mego szczerego, prawdziwego przyjaciela, i nawzajem odpłacam mu równą przyjaźnią... Więc...

Pocałowałem ją w rękę dla zatwierdzenia ugody i poszedłem do domu, gubiąc się w domysłach, jaką to prośbę mogłaby ona mieć do mnie?...

Nie mogłem usnąć. Marzyły się naprzemian czarne, to niebieskie, gniewne, to proszące oczy. A gdym zamknął powieki, wydało mi się, że widzę mrugającą szydersko twarz Henryka.

—"Cudza żona"—rzucił mi w ucho, wskazując jakąś pochyloną nad koszem kwiatów kobiecą twarzyczkę... Ale gdym

spojrzał w tę stronę, choć stała odwrócona od nas, poznałem, że to nie Kamila, tylko Wanda...

— Nieprawda! ona niczyją żoną nie jest! — wykrzyknąłem na cały głos i zbudziłem się nagle, zrywając się z łóżka.

Pokój mój był zalany blaskiem księżyca, którego promienie, padając mi na twarz, stały się zapewne powodem tych snów niespokojnych.

* * *

— Panie Stanisławie, pan nie byłeś nigdy zakochanym?

Na nieśmiałą zwykle Kamilę wstęp ten był dosyć obiecujący, ale odparłem stanowczo:

— Nie, pani.

— A zatem i teraz także nie jesteś pan nikim zajęty?

— I teraz także nie.

— Pewny pan jesteś tego?

— To... to jest... zdaje mi się.

— A więc... niech mi pan wierzy, że pan jesteś bardzo, bardzo zakochany, i niech się pan stara jaknajprędzej ożenić!

— Ależ, pani!...

— Bez żadnych ale!... To dla szczęścia pana i drugiej jeszcze osoby, która wierzaj mi pan, jest warta serca pańskiego, choćby tem samem tylko, że już... swoje oddała... Czy pan sądzi, że to tak łatwo o serce takie, w którego wszystkich kącikach znajdzie pan samego siebie?... Czy godzi się odrzucać skarb taki, zwłaszcza też gdy to serduszko wygląda na świat boży przez takie śliczne okienka, jak oczy Wandzi!

Oniemiałem. Kamila ze zwykłą swą prostodusznością postawiła tę drażliwą kwestję tak jasno i dobitnie, że wymknąć się, ani wycofać nie było sposobu.

— Ależ ja nigdy nie myślałem o ożenieniu... — wyjąknąłem.

— To pomyśl pan właśnie teraz!... dla pana chyba nie jest zapóźno. A zresztą — dodała głosem cichszym i mniej już pewnym — to właśnie moja prośba... Zrób pan to dla nas, dla naszego szczęścia!

— Dla waszego szczęścia?

— No... tak — odparła żywiej, siląc się na wesoły uśmiech; — chcielibyśmy się panu odwzajemnić i obdarzyć go takiem szczęściem, jakie niegdyś pan nam osiągnąć dopomogłeś; dług wdzięczności nie będzie nam tak ciężył...

Uśmiechała się już, — ale w jej oczach był jeszcze ślad poprzedniego wzruszenia; patrzyłem na nią długo.

— A więc... na rozkaz pani... — rzekłem, skłaniając głowę.

I zdziwiłem się, uczuwszy nagle zdwojone bicie serca, jak gdyby dana obienica nie napawała mnie wcale szlachetną dumą bohatera, idącego w imię idei na stos ofiary, ale raczej radością najzwyklejszego śmiertelnika, ktry widzi zbliżające się spełnienie swoich skrytych, może nawet dotąd bezwiednych, ale najgorętszych pragnień.

Siedzieliśmy we czworo przy stoliku, prowadząc jednę z tych zajmujących rozmów, dotykających w przelocie najpoważniejszych kwestyj w lekki, dowcipny sposób, w którym szczególniej celowała Wanda.

Ktoś z nas mimochodem rzucił słówko "ideał".

— Ach, mój Boże, jakżebym rada, żeby mi kto choć raz jasno powiedział, jak wygląda, czem jest właściwie ideał! — odezwała się Wanda. — Powiadają, że na ziemi niema nic idealnego; ale ja w to nie wierzę, bo w takim raize zkądby się u nas wzięło pojęcie ideału?

— Mógłbym bardzo łatwo zaspokoić ciekawość panny Wandy — wtrącił Jaś żartobliwie, — i to nawet nie szukając daleko, opisując tylko jej własny ideał...

— O, nie radzę porywać się na takie zadanie; nawet bujna wyobraźnia pana nie okaże się dostateczną do stworzenia czegoś... co wcale nie istnieje! — Pośpiech i żywość, z jakiemi ten protest został wyrzeczony, podawał w wątpliwość jego prawdę. — Ja właśnie chciałam u pana zasięgnąć informacji — dodała, szybko zwracając się do mnie, aby nie dopuścić do słowa Jasia, którego figlarny uśmiech zdradzał jasno chęć sprowadzenia tej rozmowy na drażliwe pole.

— Nie wiem, czy informacje moje będą dostateczne, gdyż, prawdę powiedziawszy nie zastanawiałem się nigdy nad teorją ideału...

— A więc — odezwała się Kamila — niech pan, porzuciwszy teorję, przejdzie na pole praktyki i opisze nam swój własny ideał!

Przy tych słowach oczy Kamili uśmiechnęły się do mnie zachęcająco. Wanda natomiast utkwiła we mnie swoje czarne źrenice z jakimś dziwnym wyrazem ciekawości, oczekiwania, a zarazem wyzywającej odwagi, jak gdyby się gotowała na zetknięcie się oko w oko z nieprzyjacielem który, nieznany jej dotąd, miał teraz nareszcie podnieść przyłbicę.

Oba te spojrzenia, tak różne, pytały mnie o odpowiedź.

— Mój ideał... — zacząłem głosem niepewnym, nie wiedząc sam, czy wymknąć się zapomocą pierwszego lepszego żartu, czy pójść za drogowskazem jasnych, życzliwych oczów Kamili — mój ideał...

— Przestań! — zabrzmiał nagle głos Jasia, dziwnie zmieniony a zarazem stanowczy. — O ideałach nie mówi się tak lekko, żartami; ideał jest to albo rzecz święta, albo pusty dzwięk, albo...

Nie domówił reszty, lecz wyszedł nagle z pokoju i trzasnąwszy gwałtownie drzwiami, zostawił nas zdumionych, niemal przerażonych tym wybuchem...

Kamila pochyliła głowę nad robotą, Wanda niepewnym wzrokiem spoglądała kolejno na nas oboje. Na mnie ciężył teraz obowiązek przerwania przykrego milczenia i wyjaśnienia kwestji, na którą wybuch Jasia rzucił takie zagadkowe światło.

— Czy pani, równie jak Jaś, nie dałaby mi upoważnienia do

opisania mego ideału? — szepnąłem, pochylając się ku Wandzie i szukając odwróconego teraz ode mnie jej spojrzenia.

Jaką usłyszałem odpowiedź i cośmy powiedzieli sobie w dalszym ciągu tej rozmowy, to już pozostanie nazawsze wyłączną własnością nas dwojga. To tylko niech będzie wiadomo światu, że przy ostatnich słowach oczy Wandy spojrzały na mnie z wyrazem, jaki nie byłbym ich nigdy posądził, a który wprawdzie zamglił trochę i przyćmił zwykły im blask fosforyczny, ale uczynił je stokroć jeszcze piękniejszemi i dla mnie droższemi odtąd nad wszystkie skarby świata.

* * *

— Słuchaj, Jasiu! jak mam tłumaczyć twój dzisiejszy wybuch?... — spytałem mego przyjaciela, siedzącego samotnie w swoim pokoju, patrząc poważnie w twarz jego nachmurzoną i posępnie błyszczące oczy.

Na czole Jasia nabiegła sina, wydatna pręga, oznaka powtórnej, groźniejszej jeszcze burzy.

— Tłumacz sobie, jak chcesz! — wykrzyknął — albo lepiej... czekaj, ja ci sam objaśnię... Średniowieczni rycerze i poeci miewali ideały, na cześć których śpiewali hymny pochwalne, strojąc je w aureolę, uwitą z promieni i kwiatów swych własnych niedorzecznych marzeń... ale teraz minął już czas trubadurów... a w żadnym razie na piedestał taki nie należy stawiać... cudzej żony!

Gdyby piorun był nagle uderzył przed mojemi stopami, nie byłby mnie tak przeraził i ogłuszył, jak ostatnie słowa Jasia.

— Jak śmiesz! jak możesz!... — wybuchnąłem, oprzytomniawszy. A wtem stanęła mi w myśli twarz Wandy i spojrzenie, jakiem mnie żegnała przed chwilą. Umilkłem. Ta jedna chwila była mi objawieniem zupełnie mi dotąd nieznanych i niepojętych drgnień serca: uczułem, że i ja jestem właścicielem skarbu, którybym rad zamknąć, zaryglować, otoczyć murem chińskim, aby tylko dla mnie samego był dostępnym. Rozumiałem, rozumiałem już teraz doskonale każde szaleństwo, popełniane w imię ukochanej.

Tak! mój poczciwy Jaś, z tą twarzą bladą i błyskawicą gniewu w oczach, był rzeczywiście szalonym; nie mogłem czuć żalu do niego, stałem tylko zdumiony, szukając w myślach wspomnienia, kiedy się zaczęło to szaleństwo i co mogło dać powd do niego?

To więc była tajemnica jego częstych wybuchów, zmiennego humoru, słów szorstkich nieraz, zupełnie dla mnie niezrozumiałych!... Niema co mówić, pięknie się przysłużyłem tym dwojgu, których szczęście było moim najdroższym celem! Ale czyż mogłem przypuścić, żeby Jaś był zazdrosny? czyż mogłem przypuścić, widząc Kamilę tak wiecznie wpatrzoną w niego, taką słodką, kochającą!

— Jasiu! — zawołałem, wyciągając do przyjaciela obie ręce, i na usta wybiegło mi wyznanie, którem w jednej chwili mogłem rozwiać jego płonne obawy. Rozmowę naszą zakończył długi, serdeczny uścisk, który odrazu powrócił sercom naszym całą gorącą i ufną przyjaźń lat młodzieńszych.

W parę miesięcy potem przestałem bywać tak częstym gościem w domu Jasiów, bo w domu moim własnym posiadałem najsłodszy, przykuwający mnie do ścian jego talizman.

Nie przestałem jednak być zawsze równie gorącym przyjacielem Kamili, — ale ani Jaś, ani Wanda się o to nie gniewają. Wiedzą oboje, czem w mojem życiu była cudza żona.

ONA.

Kiedyś, po lat dziesiątkach, a może i więcej
wiersze moje, gdy w starych znajdziecie szpargałach,
to nie mnie dajcie sławę, lecz duszy kobiecej,
bo przez nią mam to piękno... Ona mi je dała.



Ten przeogromny ogień, co jak świetlna smuga
gdzieś poza groby sięga, co sławą nazwiecie —
to Ona rozpaliła, to jest Jej zasługa,
Razem nasze imiona splecione znajdziecie.

Jej imię wichrom podam i roznieść rozkażę
po wszystkiej ziemi, do puszcz, by tam w drzew koronach
hymny dla Niej szumiały przy błyskawic żarze,
a szmery wód strumyków zaszumią — kto Ona.



Cudnym blaskiem Jej oczy płonęły marzące,
rozkoszny dźwięk Jej głosu płynął, jak harf tony,
czarowny ust Jej uśmiech jaśniał mi jak słońce...
Oto cudny Jej obraz w snach moich wyśniony.

Yorkville, N. Y. JAN SOŁTYS.



Dziatwa bierze liczny udział w obchodzie majowym urządzanym corocznie przez oba Okręgi Z.N.P. w Chicago.



Rydwan Kolegium Z. N. P. w Pochodzie Majowym w Chicago, Ill., dla uczczenia Konstytucji 3-go Maja.

WŁADYSŁAW ORKAN

PRZEZNACZENIE

— Niech będzie pochwalony!
— Na wieki wieków... A skądze ta?
— Z Hameryki.
— Prościusieńko?
— Tak jest.
— No wicie, wicie... Toście pewnie tutejsi?
— Tutejszy, z Poręby...
— E... a od kogo?
— Od Kopańdy.
— Wszyscy święci! Toście wy Marcin? Nigdybych was nie poznała, takeście się odmienili. No wicie, wicie...
— Ja was poznał, tylko czekał, rychło mnie zaczepicie.
— To wy z koleje prosto?
— Tak jest, prościusieńko... Moiściewy, co wiecie. Z listów nie można wymiarkować...
— Eh, moi kochani, skoda i godoć... Nie mieliście po co przyjezdzać.
— Żona?... — spytał drżąco Marcin.
— Eh, wiecie pewno z listów, co wom ludzie przesyłali... — odpowiedziała kobieta.
— Słyszałem, ale mi się nie chce wierzyć... Pieniędzym jej posyłał... — mówił zamyślony
— To tyż coście najgorzej robili. Było nie posyłać! Niechby się była wymorzyła.
— Ej, co gadacie!...
— Godom prawdę. Ona wase zapracowane grajcary z tym urwipołciem przeflondrzyła, a i długów jesce do tego przyrosło...
— Mówcież wszystko dokumentnie, co wiecie — szepnął, zrzucił tłomok i oparł się o poręcz. Kobieta siadła przy nim.
— Kieście odjechali — poczęła — szło jakiś czas dość dobrze, ale potem przyjęła na słuzbę Wojtka od Chyby, tego co to dawniej do nij lotoł... No i zacęły się pijatyki, co wiecór tońce a bezeceństwa, niech ręka boska broni!... Te pieniądze, coście przysyłali, baba wasa żydowi w gardło wraziła!
— O dla Boga — przerwał Marcin.
— Słuchajcie ino dalej... Przyjechoł tu Sobek od Kozyry, ten wicie, co to do Pesztu pojechał na zarobek. Przywiózł niemało papierków. Wasa, jak poczuła u niego pieniądze, dalijże z nim pić... Wojtek zawziął się na niego, przyszło do bitki... Sobek pokaleczył mocno Wojtka tak, że ten i ruszyć się nie moze. Z tego do tego, szło coraz gozej. Wasa nie pilnowała roboty, w polu nieobrobione, wsyćko pustkom lezało, a dzieciska obsarpane chodziły...

— Rany boskie! — lamentował zrozpaczony Marcin.
— Żeby to na tem koniec... — ciągnęła dalej kobieta. — Przyśli żandary i zabrali ze sobą Sobka...
— Za co?
— Za co? Bo pieniądze, które przywiózł, nie były jego, ino kradzione... Co prawda, to nie on wzion te pieniądze. Jeden z tych, co we fabryce pracowali ukradł je panu. Sobek wypatrzył, kaj ten pieniądze schował, wzion je i przyjechał do wsi. Tamtego chwycili, on po pieniądze do schowka, a tu pieniędzy nima. Bili go okropnie Madziary... Sobek wiedział o tem, a nie oddał... Taka wam psia noga uparta... A tu się juz zaczeni zwiadować, że Sobek ma pieniądze wielkie, no i tak jakosik bokiem wychledali... Kiedy żandary przysły, to już ino połowę miał z tego, a i to oddał wasej babie... Ho! Wasa mądra! Zaraz zabrała dzieciska i pojechała koleją za Kraków.
— Wszyscy święci! I niema jej? — wykrzyknął Marcin, chwytając się za głowę.
— A nima... Wicie, do cego to doszło. Kiebyście do Hameryki nie jeździli, jako wom ludzie radzili, to byście przecie wyzyli na tym gruncie. Mieliście i młyn i gospodarstwo, a teraz co? Baba uciekła z dzieciakami, na polu nima nic... Jeszcze was z chałupy za długi wyżeną... Tak, tak, kumotrze... — dopowiedziała baba. — No, muszę iść bobych się na termin spóźniła... Mamy proces z tym sąsiadem...

Marcin już nie słuchał... Nawet się nie pożegnał z "kumoszką", ale wziął tłomok na plecy i szybkim krokiem puścił się do wsi. Zdaleka już zobaczył swoją chałupę. Przystanął nagle, oczy przysłonił ręką i wpatrzył się w nią. Pusta była... Nikogo przed progiem... Bez sił prawie oparł się o płot, a łzy ciurkiem poleciały na ziemię.

— Mój Boże! — myślał — jak ja się cieszyłem, kiedym jechał przez morze, że przecie ujrzę swoich... Że dzieciska z daleka zmiarkują, wylecą naprzeciw, a tu nikogo... nikogo! — i urywane słowa przytłumiło bolesne łkanie.

— O, Marcyś, Marcyś... ja cię o mało na rękach nie nosił, robić nie pozwalał, a tyś mnie tak odleciała... Oj, Marcyś, Marcyś!...

Wypłakał się jak dziecko, wstał z wysiłkiem i poszedł dalej, zataczając się jak pijany.

Ranek był piękny. Ludzie wyłazili z chałup, to z sierpem, to z kosą; widzieli idącego. Parę

kobiet nawet Boga pochwaliło, odpowiedział machinalnie i szedł dalej. Nikt by go i tak nie poznał. Zmienił się, wąsy zapuścił, a z tłumokiem na plecach wyglądał raczej na żebraka, niż na tutejszego gospodarza.

— A ot pijane dziadzisko włóczy się, landzi, by mieć na wódkę — dolatywały go słowa idących.

Serce jeszcze bardziej mu się ścisnęło. On, witany jak dziad we swojej wsi, on, młynarz dawny...

— Oj Marcyś, Marcyś!... — szeptał przez zaciśnięte bólem zęby.

Przypomniał sobie jak parę lat temu wyjeżdżał z chaty z nadzieją, że niedługo powróci z pełną kieszenią talarków... Pospłaca długi, dokupi pola i będzie "ućciwym gazdą". Tak okropnie charował, a zawsze było brak. Więc myślał sobie, że przecie raz pozbędzie się biedy i "dzieciskom ostawi tyla, żeby się po jego śmierci nie potrzebowały gryźć między sobą".

Prosił tyle Marcysi, żeby o dzieci dbała, a pilnowała chałupy. Ona mu przysięgła, byle go ino wyprawić... Z taką nadzieją jechał w świat, z Panem Bogiem w sercu... W Ameryce charować musiał ciężko, czasem i głodem przymierał, byle ino do chałupy posłać... Turbował się, jak se ta Marcysia da rady. Kilka razy po pięćdziesiąt papierków przesłał. Prosił w listach o jakie nowiny, a tu jeno tyle, co mu ludziska donosili, że Marcysia pije z drugimi, a pole odłogiem leży... Nie wierzył ludziom, modlił się i Marcysi ufał. "Zecnąć mu się chciało, a charował, byle ino do chałupy". A Marcysia ani słóweczka mu nie odpisywała. Tęsknota parła go do swoich, chciał choć zajrzeć, by odetchnąć przy Marcysi z miesiąc, ze dwa... i wyjechał.

— Oj, Marcyś, Marcyś!... — zakończył wirujące myśli.

Wchodzi prawie ścieżyną na swój grunt. Ścisnęło mu się serce, gdy patrzył na puste tłoki... Dokoła faluje złociste zboże, ino na jego gruncie nic. Tak goło, jak po zbiórkach.

Zaszedł pod swoją chałupę. Bezsilny prawie upadł na próg i oparł się plecami o drzwi. Z głową, zwieszoną na piersi, wyglądał jak żebrak, który czeka "rychło gaździna wrócą". Myśleć nawet nie mógł; podniósł głowę po chwili i obejrzał się po osiedlu. Wszędy pusto. Obora otwarta, ani "patycka" w sągach! Pewno sąsiedzi rozkradli.

Łzy spływały mu do serca i tak mu było ciężko, jakby sumienie kamieniem przywalił... Siedział tak nieruchomo, a jęk ciężki, jakby z "podsienia" wydobył mu się z piersi.

Wtem, jak na odpowiedź tej niemej, bez słów rozpaczy, zahuczało od stodoły, koło której wiodła do wsi drożyna:

— A kto tam tak stęka?

Jęk jeszcze boleśniejszy był całą odpowiedzią.

— A kiż to djabli tak jęczą? — rozległo się Marcinowi nad uszami.

Podniósł głowę i spojrzał do góry.

Przed nim stał barczysty chłop, odziany przyzwoicie, o twarzy czerwonej. Znać, że lubił pociągnąć. I teraz było widać "zakropiony", pochylał się bowiem na bok, jak smerek wiatrem kołysany, a wpatrywał się w siedzącego Marcina.

— A, to wy, wójcie... — szepnął młynarz.

— Zgadliście, ja tutejszy naczelnik. A wy, coście za jedni? — zagadnął wójt przepitym głosem.

— To mnie nie poznajecie?

— A nie.

— Młynarz Marcin...

— Wójt wpatrzył się lepiej.

— Rety boskie! A skądżeście się tu teraz wzięli.

— Prosto z Hameryki.

Wójt wyciągnął rękę. Przywitali się.

— No, prędzej bym się pana starosty spodziewał, jak was tu ujrzeć!... — mówił wójt.

— Kiedyście doszli?...

— Dziś...

Wójt wpatrywał się w Marcina który siedział zasępiony i przygnębiony rozpacznemi myślami, co mu wszystkie zamąciły pojęcia.

— Wiecie co? — zaczął wójt — co tu macie siedzieć? Stało się, co się miało stać. Wy i tak nic nie poradzicie, choćbyście tu cały rok przesiedzieli. Baby krzykiem nie sprowadzicie, ani też nie naprawicie szkody, choćbyście korzec łez wytoczyli! Ot, lepi chodźcie do mnie, ogadamy całą tę sprawę i jakoś będzie inaczej... No, wstańcież?... — pociągnął go za rękaw.

Młynarz podniósł się powoli i ruszył machinalnie za wójtem... Ludzie się dziwowali z kim to pon nacelnik idą, a pan naczelnik z młynarzem szedł prosto ku chałupie, różniącej się od innych tem, że już zdaleka widniał na niej napis, złożony z koszlawych liter "Urząd gminy w Porębie", a obok niego inny: "Wyszynk wina".

— Bo może nie wiecie — objaśniał wójt młynarza — żem sprowadził wina, żeby ludziska w niedzielę nie próżnowali i żeby im jakoś uprzyjemnić ten mizerny żywot. Ho! bo tu bieda, bieda krocsetna! Niema nawet o czem gadać.

Skończył wójt i jeszcze do siebie mruknął parę razy: "bieda".

Młynarz nie słuchał go prawie, myśląc o pustych zagonach i o Marcysi.

Stanęli wreszcie przed domem "pana nacelnika". Wójt popchnął drzwi. W sieni uderzył ich już silny gwar, wydobywający się z zadymionej izby. Wójt z miną "nacelnika" przekroczył, za nim z jakimś lękiem i niepewnością wsunął się młynarz.

— Ho! Pan nacelnik!... hukło od stołu, za którym rzędem na ławie siedzieli radni.

— Wasze zdrowie wójcie! — podjął polowy,

przelewając wino w lampkę, objętości małej szklanki piwa. Ręka mu się strzęsła — nie ze starości pono — więc lejąc w szklankę, dwa razy tyle wylał na stół, skąd strumieniami wino spadało na wilgotną, glinianą podłogę.

— Nie rozlewajcie kumie daru boskiego — wrzasnął wójt, a zwracając się do stojącego przy nim młynarza, rzekł:

— W wasze ręce, Marcinie!... Ino sie nie turbujcie!

Chłopi dopiero teraz spostrzegli przez gęsty dym z fajek, wypełniający połowę izby, stojącego pode drzwiami.

— Któż to? — odezwało się paru.

— Swojego nie poznajecie? — odpowiedział młynarz i podszedł ku siedzącym. Polowy przechylił się z za stołu i spojrzał bliżej.

— Młynorz! Marcin!... Na moją dusyckę!

Podwójci, chudy człowieczyna, zerwał się z ławy.

— Kumotrze! Toście to wy?... Na świecie... Kto by was... — huk przewróconego stołu i brzęk szkła przerwał mu mowę. — Je, cóż ta? — spytał, odwracając się.

— Zjedliście kopę djabłów! — rozsierdził się wójt. — Dar boski rozlewać po ziemi!

Schylił się, podnosząc potłuczone szkło.

— Na moją dusyckę, to nie ja! — krzyknął polowy.

— Któż, jak nie wy?

— A ino podwójci serdackiem zawadzili.

— Ej, cóż mnie ty nadwerężas! — wrzasnął podwójci.

I byłoby do bitki przyszło, gdyby nie nowy gość, który nagle stanąwszy na środku izby, zagadnął kłócących się biblijnemi słowy:

— Bracia w Chrystusie! Przestańcie lżyć się słowami, albowiem powiedziano jest... — tu zatrzymał się, przypominając sobie zapewne, co jest powiedziano.

— A! Pon pisorz! — przerwano mu zamyślenie i ciszę oczekiwania dalszych słów jego.

— Aleśmy się was naczekali! No, bo jak bez was radzić wedle spraw gminnych!

Stół stał już na swojem miejscu, a na nim litrówka i szklanka, większa jeszcze niż przedtem. Niejeden z radnych, spoglądając na objętość szklanki i w myślach wypełniając ją już treścią butelki, pomyślał: "Niema złego, coby na dobre nie wyszło".

Posadzono pana pisarza na ławie za stołem, wójt usiadł na stołku i rada otwarta.

W tym zamęcie zapomniano o młynarzu, który stał na boku i gdyby nie rozpaczne myśli, jakie go nie opuszczały, zapewne by się zastanowił, czemu, gdy wójt pił do niego, nie nalał potem jemu, ale kolejka poszła dalej poza stołem.

— A no, może zmienili dawny zwyczaj — pomyślał.

Kolejka tymczasem przeszła, jedna i druga. Czas leciał szybko. Słonko padło prościutko, znacząc południe białą wskazówką promieni.

Polowy wpatrzył się w próżną butelkę i mdło mu się zrobiło na sercu. Powtarzał tylko coraz częściej: "Moja dusycka", a w myślach kończył "Żeby ją też miał kto napełnić". Święty Kleofas, do którego miał dziwną słabość, zwłaszcza wówczas, gdy po każdej takiej radzie, wracał do chałupy, ulitował się wreszcie nad jego niemą prośbą, bo natchnął młynarza myślą, której zrealizowanie miało dla niego tyle ważnych następstw w przyszłości.

Widząc bowiem próżną butelkę, młynarz podszedł do wójta i szepnął:

— Proszę o dwa litry.

Wójcina w mig się zawinęła i dwa litry stanęły na stole.

— Ho, kumoter płaci! Musiała wom Hameryka posłużyć, —odezwał się jeden z radnych.

— Ino was baba wywiodła na dziadkowo... Nie trza to było wziąć na nią kija, a okrzesać, kiej sie jej zachciewało waszej jazdy!

— Eh, co tam gadać — przerwał młynarz, a chcąc rozmowę odwrócić z bolesnego tematu, nalał szklankę wina.

— W wasze ręce, wójcie! — wychylił, nalał.

Kolejka szła szybko. Powstał jeszcze większy gwar; każdy mówił, a mało kto słuchał. Słonko chyliło się na zachód, znikając powoli, niepostrzeżenie z dymnych szyb.

Młynarzem byli zajęci wszyscy.

— No, przecie on funduje, musi mieć dudki...

— Ba, cóżby nimiał! — mówili sobie na ucho.

Jeden tylko pisarz siedział milczący. Podparł głowę nad stołem: każdą szklankę wina, gdy mu do rąk przyszła, najpierw obrócił parę razy, przejrzał się w niej, na ostatku wpatrzył się w nią, jakby tam wątku jakiejś myśli lub rozwiązania ważnej kwestji szukał, nareszcie, po namyśle, szybko przechylił i podał dalej.

Tak robił za każdym razem systematycznie.

Wypróżnili tak kolejno flaszkę jedną i drugą. Słońce już zapadało, a o radzie ani słychu. Gwar za to coraz większy podnosił się w dymnej izbie; zasuszone twarze radnych nabierały barw nienaturalnych. Młynarz nawet potrafił "węgierskim ukropem" zalać smutek duszy, bo już z wesołą miną zwrócił się do polowego, opowiadając mu jakiś ciekawy przypadek z podróży "bez moze". Polowy chichotał cienko i: "na moją dusyckę" wymawiał coraz częściej.

Wtem powstał wójt. Radni się uciszyli, sądząc, że "radę" rozpocznie, a on nachylając się ku młynarzowi, zagadnął go chrapliwie:

— Hej, Marcinie! A kiej wy mi oddacie moje dwieście papierków?... Teraz chyba musicie mieć!... Coż...

Młynarz się zachmurzył. Pytanie to nagłe wróciło go do pierwotnych myśli.

— Przywiozłem ino pięćdziesiąt reńskich. Musicie wójcie zaczekać, aż sprowadzę Marcysię...

— Ho, ho, ani se myśl o tem! Ona ci wróci?... Myślisz, że mnie zarwiesz?! Tybyś ci-

Widok na dawną Ul. Marszałkowską
w Warszawie przed spaleniem.



Ratusz w Poznaniu.

chutko grunt sprzedał, uciekł za babą i szukaj wiatra po świecie! Jo musę mieć pieniądze i basta.

— Cóż, kiej niemam.

— To się postarajcie!...

— A jakże?

Wójt nie odpowiedział. Siadł i podparł głowę. Wtem, jakby mu nowa myśl wpadła, podniósł się, wychylił naloną szklankę.

— Wiecie co, kumie? Sprzedajcie grunt.

Marcin się wzdrygnął.

— Nigdy!...

— No, jakoś to będzie. Już my się nie obedrzemy.

Nalał mu wina, przepił do niego. Kazał podać nowy litr. Kolejka przeszła. Wójt młynarzowi przylewał a patrzył się z pod oka. Radni pozierali po sobie.

— Wójt cosi rozważa! — szeptali do siebie.

— No — podjął "nocelnik" — sprzedacie?

— Grunt?

— Ehę!

— A któżby kupił?

Wójtowi się oczy zaświeciły. Czuł w rękach złapanego ptaszka. Młynarz zaś prawie pijany patrzył bezmyślnie na niego. Parę razy starał się gwałtem myśli zebrać; brwi ściągał, oczy wybałuszał, ale wypite wino mgłą mu je przesłaniało tak, że nie mógł dojrzeć chytrego uśmiechu "nacelnika'''

— Ja kupię... — ciągnął wójt.

— Wiele dacie?

Wójt wyminął odpowiedź.

— No, dyć my się zgodzimy. Wiecie, że pola nieobsiewane, leżą odłogiem... Puste tłoki i nic więcej...

— Zawsze jest tego niemało—bronił Marcin.

— To nie wiecie, że wasza pół sprzedała? — zagadnął wójt z lisim uśmiechem.

— Nie może być? — skoczył młynarz.

— No, nie prawda? — zwrócił się wójt do podwójciego.

— Na świecie!... Prawda!... odwrzasnął tenże.

— Na moją dusyckę! — potwierdził polowy.

Marcin opadł ciężko na ławę. Wychylił pełną szklankę. Był już całkiem pijany.

— Przedacie resztę? — podjął na nowo wójt.

— Dam wam trzysta śrebrem...

Marcin potrząsnął głową.

— No, niech stracę! Wiecie, Marcinie, że was lubię... zresztą chałupę zostawię do waszej woli... Nie ukrzywdzę was. Kiedy tedy możecie wrócić, to was przyjmę... Daję trzysta pięćdziesiąt... Nie chcecie?... No, macie trzysta siedemdziesiąt na miejscu i litkup! Chałupa wasza. Cóż więcej chcecie? Dwieście się potrąci za dług, dwadziesiąt za procent, wypłacę wam na miejscu stówkę i pięćdziesiąt papierków! Kumotrowie poświadczą...

— Iżali powiedziałbym — począł pisarz, podnosząc poważnie głowę...

— Na świecie!... — przerwał podwójci.

— Na moja dusyckę!... — dokończył polowy.

Wójt wstał, podszedł do młynarz.

— Kumotrze! Nie bądźcież twardy! Jak wam życzę...

Uściskał go, ucałował.

Młynarz, rozbrojony serdecznością zgodził się, tembardziej, że na próżno by gonił za myślami, by oponować.

— Odrazu się kontrakt spisze. Pisarz na miejscu — mówił wójt; zupełnie wytrzeźwiał z radości.

Marcin kiwnął głową.

Pisarz już wyciągnął arkusz ze stolika, rozłożył na stole i począł z powagą gładzić pióro paznokciem. Wójt kazał lampę zaświecić, na stole postawił nową butelkę. Szła kolejka coś dziesiąta.

— Na litkup! — krzyknął wójt.

— Na litkup! — powtórzył za nim młynarz.

— No, piszcie kontrakt — rzekł wójt i przybliżył lampę.

Pisarz rozpoczął pisanie.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, by nie przerywać myśli panu pisarzowi. Gdy skończył, odchrząknął parę razy, przejrzał pismo i dodał opuszczonych ogonków.

— Żali mam przeczytać? — zapytał.

— A jużci! — odezwali się chórem radni.

— Czytajcie! — kazał wójt.

Pisarz wziął stojącą przed nim szklankę, przechylił, wreszcie zaczął:

"Kontrakt czyli pisemna ugoda co do sprzedaży i kupna gruntu czyli parceli, zawarta na miejscu między Marcinem Janią czyli..."

— Zjedliście kopę djabłów! — krzyknął wójt. — Przecież się młynarz pisze Marcin Cichorcyk a nie Jania!...

— Powiedziano jest, że Jania...

— To przezwisko! Nieprawda? — zwrócił się do młynarza.

— Na moją dusyckę! — potwierdził za niego polowy.

— Żali mam poprawić? — spytał pisarz.

— Żadne poprawianie! — krzyknął wójt. — Urzędowy dokument nie śmie być smarowany. Przepisać trza, i basta! Hej, Marcinie! — zwrócił się do młynarza — nie śpijcież, bo tu idzie o waszą rzecz...

— O jaką rzecz, co? — bełkotał nieprzytomnie zbudzony Marcin.

— No, co do tego kupna.

— Aha, wiem, co do kupna...

— Mam wam dać stopięćdziesiąt papierków...

— Aha, stopięćdziesiąt...

— Kontrakt spisany.

— Dobrze, dobrze.

Wójt otworzył skórzany, pomarszczony pulares i począł liczyć dziesiątkami:

— Dziesięć... dwadzieścia... Nadstawcież rękę!

Młynarz wyciągnął rękę.

— Trzydzieści... czterdzieści... Biorę was obecnych za świadków... Słyszycie!... krzyknął głośniej, budząc paru chrapiących radnych.

— Słyszymy.

— Rozumiecie na co?

— Rozumiemy... wedle kupna!

— Na święcie! — dodał podwójci.

— Na moją dusyckę — zakończył polowy.

Wójt odliczył stopięćdziesiąt.

— Schowajcież!

Marcin włożył zwitek do zanadrza i śpiący przechylił się na krawędź łóżka.

Pisarz tymczasem przepisał kontrakt i przeczytał uroczyście.

— Podpiszcie mnie i świadków — odezwał się wójt.

Pisarz wystylizował podpisy. Paru radnych położyło koszlawe krzyżyki przed swojem nazwiskiem.

— A gdzież młynarz? Dyć brakuje jego podpisu — zauważył jeden z radnych.

— Na moją dusyckę, brakuje! — dodał, przypatrując się polowy.

— Marcinie!... Śpi jak zarznięty... Marcice! — ciągnął go podwójci za ramię.

Młynarz podniósł się ciężko.

— Połóżcie krzyżyk!

— Gdzie?

— Tu.

Dali mu pióro. Zrobił dwie kreski. Pióro wypadło mu z ręki. Oparł się o stół i począł na nowo chrapać.

— Djabli by się z nim dogadali! Wójcie, dajcie jeno jesce flaseckę!

Wójt podał litrówkę. Zbudzono śpiących do nowej kolejki.

Wójt tymczasem złożył kontrakt do szafki, zamknął na kluczyk i usiadł przy stole. Zerknął jeszcze parę razy na śpiącego młynarza, uśmiechnął się i dwie lampki, jedna po drugiej wychylił.

— Kupiłem dobrze, co? — zagadnął radnych.

— He, pon nacelnik ma głowę! Aniby sam adwokat lepiej nie zrobił! — domawiali pijani.

— Za zdrowie naczelnika!

— Za zdrowie!

Kolejka poszła piorunem.

* * *

— Coś pan pisarz nie weseli — zauważył jeden z radnych.

— Na moją dusyckę! Coś ma we wnętrznościach — dorzucił polowy.

Pisarz nie odpowiedział, pochyliwszy bowiem głowę na stół, zasnął smacznie i chrapał. Zdziwieni i zgorszeni radni pokiwali głowami i za przykładem pana pisarza rozpoczęli ogólną drzemkę. Po chwili chóralne chrapanie zwiastowało, że "samorząd gminny" wypoczywa po trudach rady.

Ranek był we wsi. Słonko świeżym uśmiechem rozjaśniło szczyty gór i skradało się promieniami do parów i dolin. Ludziska wyłazili z chałup, zwracali się twarzami ku słonku, dziękując mu za jasność, która dawała im nadzieję ukończenia prac i szczęśliwych zbiorów.

Jeden tylko człowiek nie obziera się na słonko, na jasność. Wlecze się drogą ku zachodowi, twarz od słonka odwraca...

Przystanął chwilę, odwrócił głowę ku wsi, ku swojej chacie...

— Tam... niema nic! — wyszeptał. — Ja, bydlę, sprzedałem ojcowiznę... Chałupa sama. Co mi po niej! Grunt djabli wzięli... Dziad wierutny... O Najświętsza Panienko, ratuj...

I z ostatnią pobożną myślą łza ostatnia spłynęła mu z powieki.

Patrzał długo ku chałupie, jakby chciał każde drzewo, każdy drobiazg zabrać ze sobą w pamięci...

— Ano, stało się, co się miało stać...... Tak mi przeznaczono, dziadem umrzeć... — wyszeptał. Wstyd, gniew i boleść ścisnęły mu serce.

— Psie życie! Oj, Marcyś, Marcyś!...

Okropny wyrzut, cały żal mieścił się w tych dwu słowach.

— Zwrócił się szybko i poszedł dalej drogą ku kolei.

* * *

"Kraków!" — "Kraków!"

Wysypali się podróżni z wagonów. Każdy pchał się do drzwi, by oddać bilet i jak najprędzej powitać się ze znajomymi. Ztyłu szedł powoli młynarz. Wyszedł i on za wszystkimi, oddał bilet, przeszedł, nie oglądając się na poczekalnię. Wiedział, że nikt na niego nie czeka.

Zwrócił się prosto ku Prądnikowi. Przyjechał za Marcysią. Wykombinował sobie, że Marcysia chyba musi być na Prądniku u ciotki. Wiedział, że tam jej ciotka ma domek, nawet parę lat temu, zaglądnął do niej, kiedy był z żoną w Krakowie.

Szedł więc ku Prądnikowi, wiedząc, że Marcysię tam zastanie.

Rychło stanął przed domkiem ciotki Marcysi. Wszedł do sieni i stanął przy dochylonych drzwiach, zerkając przez szczelinę do wnętrza.

W sekundzie rozjaśnił i zaraz zachmurzył twarz. Przy stole dojrzał Marcysię. Siedziała podparta na łokciu i plecami zwrócona do drzwi. Obok niej dostrzegł kawałek wąsatej twarzy i rękę brudną, która przechylała kieliszek do ust.

— Pij, kiedy ci daję! Nie grymaś!

Młynarz wyraźnie słyszał chrapliwy głos przez odchylone drzwi.

Drgnął na te słowa i szybko otworzywszy drzwi, stanął na progu.

— Niech będzie pochwalony! — wybełkotał.

Nie odpowiedziano mu. Widać, że tu inny zwyczaj. Natomiast wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. Stara kobieta, która dotąd była schylona nad rozłożonemi kartami, podniosła

głowę, ściągnęła pomarszczoną twarz i, sądząc, że to jakiś żebrak, już miała wyrzec: "Z panem Bogiem", kiedy Marcysia poskoczyła ku niemu z krzykiem:

— Marcin! A kiej cię tu djabeł przyniósł!

— Młynarza krew oblała, chciał coś wyrzec, ale słowa nie mógł wykrztusić z bólu.

— Tato, tato! — rozległo się z kąta i dwoje odartych, nieumytych dzieci rzuciło się ku niemu.

Młynarz spojrzał na nie, nogi mu zadygotały, upadł ciężko na najbliżej stojący kufer.

Dzieci, jedno z jednej, drugie z drugiej strony, pchały się ku niemu; pogłaskał je ciężką ręką, a potem zwrócił oczy na żonę z tak strasznym wyrzutem, że ta, mimo urągającej postawy, odwróciła twarz, nie mogąc znieść tej bezsłownej skargi...

Stara kobieta i wąsaty drab ciekawie patrzyli na całą tę scenę.

— Kasper! Przynieś kwaterkę — rzekła stara, zwracając oczy z młynarza na próżną flaszeczkę. Poznała zaraz, że to mąż siostrzenicy.

Drab wziął flaszkę, mruknął coś niechętnie i wyszedł z izby.

— Dawnoś przyjechał? — zaczęła stara.

— Ani się mnie nie pytajcie! — przerwał Marcin, w którym ból i oburzenie przemieniły się we wściekłość.

— Toś tak pilnowała chałupy! — zawołał do żony. — Takeś dozierała? To ja na to charował tyle lat! Pieniędzym ci przysyłał, coś z niemi zrobiła? Co? — mówił drżącym z gniewu głosem, podchodząc ku żonie.

Marcysia podniosła na niego zaiskrzone oczy i wpatrzyła się uparcie.

Młynarz, który już w zapamiętaniu podniósł rękę, opuścił ją napowrót i patrzał na żonę. Wściekłość ustępowała szybko, jak płomień, pożerający papier. Nic nie widział, nie czuł, tylko te oczy, dla których ją wziął, dla których chciał być bogatym... Te oczy wprawiały go w odurzenie.

— Oj, Marcyś! — jęknął ciężko, opadając na stołek. Pochylił głowę, jakoby on zawinił wobec niej.

Marcysia uśmiechnęła się — czuła, że ma nad nim przewagę.

— Oj, Marcyś — począł już bez gniewu — żebyś ty wiedziała, jak mi się serce ścisło, kiedym do wsi przyszedł i nikogo nie zastał w chałupie... Taka mnie boleść wzięła za serce, że powiedzieć niepodobna... Ludzie mi tyle naopowiadali...

— Ludziom nie wierz—poczęła łagodnie Marcysia. — Ogadali mnie za nic. Nie dali mi spokoju.... Musiałam uciekać od nich. Pisałam po ciebie...

— Ja żadnego listu nie dostał...

— Bo pewnie źli ludzie przyjmowali. Teraz co innego, z tobą pojadę... Przywiozłeś pieniędzy? — spytała, przymilając się.

— Com przywiózł to przeszło...

— Więc z czemżeś przyjechał? — krzyknęła.

— Listy mnie złe dochodziły...

— Mogłeś nie wierzyć...

— Trudno było.

— Boś głupi...

W oczach Marcysi iskry się zapaliły. Stara słuchała z jednakową, pomarszczoną twarzą. Dzieci wystraszone, skulone, pozierały to na ojca, to na matkę.

— Grunt sprzedany — cicho odezwał się młynarz, spuszczając wzrok.

— Za wiele? spytała żywo Marcysia.

— Za trzysta siedemdziesiąt.

— Masz ze sobą?

— Wójtowi oddałem dwieście z procentem...

— Głupi — szepnęła żona. — A reszta?

— Mam.

— Dawaj! — popatrzyła mu w oczy śmiało.

— Młynarz zawahał się chwilę.

— Boisz się? — spytała.

— Nie... ino... Marcysiu... — począł błagalnie wyjmując z zanadrza pieniądze, oporządź dzieciska, niech przecie tak nie chodzą! — wskazał na podarte, brudne sukienki...

— To już moja rzecz — rzekła sucho żona.

— Ja będę zarabiał — ciągnął młynarz. — Daruj, nie poniewieraj — pocałował ją w czoło.

— Pojedziesz napowrót? — spytała szybko, odbierając pieniądze.

— Do Hameryki? Nigdy. Dość już mam tego. Będę tu robił przy murarzach. Znam się na budowie.

— Rób — odpowiedziała. — Ja się dość nacharowała! Tyś się wypróżnował w Hameryce... Teraz na ciebie kolej.

Młynarz nie odpowiedział na niesłuszny zarzut. Patrzył się jeno w oczy Marcysi, jak dawniej... Poweselał, przywołał dzieci, pogwarzył z niemi.

— No, wszystko dobrze — odezwała się stara. — Ty, Marcinie, nie wierz ludziom, ino żonie. U mnie macie mieszkanie. Jak zarobisz, to i o mnie nie zapomnisz.

— Dziękuję, ciotko — odrzekł, całując ją w kościstą rękę.

Marcysia przeszła do komórki.

— Kaspra nie widać — rzekła głośno ciotka. — Skocz-no, Michaś po wódkę!

Dała chłopcu centy i flaszkę. — Przynieś taką, jaką ci codzień daje — upominała. Ino pełno przynieś!

— Dobrze, ciotko — wyseplenił chłopczyk i poskoczył żywo.

Młynarz pomyślał:

— Źle dziecko przyzwyczajać do takich posyłek, — ale nie odezwał się głośno.

W chwilę, gdy chłopczyk przybiegł z wódką, harmonja zapanowała w kółku, jakby nigdy nic.

Marcysia śmiała się po swojemu, młynarz opowiadał o Ameryce, ciotka kabałę kładła na przyszłość i mimo złej wróżby, którą nosowym,

monotonnym głosem wygłaszała, żadne na to nie zwracało uwagi. Podchmieleni, weseli, zjedli wieczerzę i poszli spać.

Nazajutrz świtaniem młynarz poszedł do miasta szukać roboty.

— Przecie — myślał po drodze — znajdę zajęcie, ogarnę dzieci, siebie, może się jako biedę popchnie. Będzie gorzej, to będzie, byle ino przy Marcysi... Jakosik człowiekowi raźniej, i robić się chce i człek se pracy nie ciąży... Oj, Marcyś, Marcyś... Dużoś mnie ty kosztowała... Ha, no... może Pan Bóg dać.

Przeszedł rogatkę, wszedł w miasto, rozglądał się, rozpatrywał. Radzono mu do rozmaitych majstrów. Chodził wszędy, ale jakoś nigdzie nie mógł na razie roboty znaleźć. Obiecywali mu, że z początkiem następującego miesiąca, albo za dwa i t. d.

Chodził tak pół dnia prawie. Nigdzie nic — trzeba czekać. Może jutro, pojutrze... Przecie Pan Bóg da...

Z południa już wyszedł z miasta.

— Ha, no, trudno — myślał, idąc z powrotem na Prądnik. — Przecie nie ostatni dzień. Coby też człowiek roboty sobie nie znalazł... Przecie nie kraść ino robić, to musi się znaleźć.

Pocieszając się tak, stanął przed domem. Na progu dzieci płakały głośno. Zobaczywszy ojca poskoczyły żywo ku niemu.

— Tato! Tato! Mama poszła!

— Gdzie? — spytał młynarz.

— Nie wiemy... Poszła rano.

— Wróci, wróci, nie płaczcie, — pocieszał je ojciec. — Jeść wam się chce?

— Chce.

Młynarz wziął dziewczynkę na ręce i wszedł do izby. W izbie nie było nikogo. Ułamał bułki, dał dzieciom. Jadły łakomie, patrząc z zaufaniem na ojca; łzy im jeszcze świeciły na wychudłych policzkach. Po chwili weszła stara.

— No cóż? Masz robotę?—zawołała od drzwi.

Nienaturalne ruchy i rumieniec na pomarszczonej twarzy kazały się domyślać, że wraca prosto z karczmy.

— Nie mam jeszcze — odpowiedział młynarz i dodał zaraz: — A gdzie Marcysia poszła?

— Kto?

— Marcysia...

— Ho, ho! Marcysia! Dobra mi Marcysia! Jakiś ty głupi, Marcin... He, he... — poczęła śmiaś się.

— Nie rozumiem co chcecie powiedzieć...

—Co..: Nic. Ino ci pedam, żeś głupi. Dałeś, jej wczoraj pieniądze i myślisz, że ci tu będzie siedzieć? — ciągnęła, wymachując ręką pod nosem młynarza — spakowała manatki i dalej za Sobkiem!

— Za jakim Sobkiem? Nic nie wiem...

— To się dowiesz! Za tym, co w kryminale siedział. Nie gadali ci to we wsi? Kazała powiedzieć, że cię na oczy widzieć nie chce!

— A dzieci? — krzyknął rozpaczliwie.

— Kazała ci powiedzieć, że kiej masz dzieci, to se je żyw... Oj, Marcysia! Widzisz, jaka to ta twoja Marcysia! — krzyczała, przedrzeźniając stara.

W myślach Marcina nagle rozjaśniło się wszystko. Opowiadania kobiety, gdy wchodził do wsi, dogadywania ludzi o Wojtku, o rozpuście, pijatykach, to wszystko zobaczył jak na dłoni. Oczy otworzył szeroko... I nagle te obrazy poczęły ciemnieć, wszystko zaczęło wirować, tańczyć — cała izba kręciła mu się w oczach. Miał wrażenie, jakby leciał gdzieś z izbą i ze wszystkiem w okropną przepaść.

— Rany Boskie! — krzyknął tylko, oczy przymknął i pozostał bez ruchu, bez myśli, jak drewno...

Nie słyszał krzyku dzieci, wystraszonych zachowaniem się ojca, gadania ciotki, nic nie czuł. Stara zauważyła jego dziwny stan. Sądząc, że zemdlał, poczęła lać wodę na niego.

Otrząsnął się. Zimno przeszło po nerwach i odżył. Popatrzał na starą, wzdrygnął się przypomnieniem i znów popadł w odrętwienie.

Upłynęło tak parę godzin.

Dzieci zachowywały się cicho, myśląc, że ojciec śpi. Stara pomruczała do siebie, wreszcie machnąwszy ręką, poszła do komórki.

Po długim czasie młynarz przetarł oczy, wstał, wstrząsł się, jakby się chciał opędzić dręczącym myślom. Popatrzał na dzieci.

— Gdzie ciotka? — spytał.

— W komorze — ozwały się cicho.

Wszedł do komórki; niedługo zabawił. Wracając, cicho przymknął drzwi za sobą, ucałował dzieci — jedno i drugie — i prędko wyszedł. W twarzy jego można było czytać jakieś silne postanowienie, dyktowane rozpaczą.

Dzieci popatrzyły na siebie, na drzwi i naraz wybuchnęły głośnym, bolesnym płaczem.

— Gdzie poszedł tato? — spytała w płaczu dziewczynka.

— Nie wiem — odpowiedział chłopczyk i obydwoje załkali jeszcze głośniej.

Zbudzona ich krzykiem stara wyszła z komórki.

— Czego krzyczycie, knoty?

W odpowiedzi jeszcze głośniej się rozpłakały. Stara podeszła do stołu. Zobaczyła kupkę pieniędzy.

— Gdzież ojciec?

— Poszedł — odpowiedział chłopczyk, zanosząc się od płaczu.

— Gdzie?

— Nie wiem...

— Hm... — mruczała stara do siebie — zostawił na stole pieniądze. Jużci pewnie dla mnie...

— Poczęła liczyć, układając w kupki.

— Całe czterdzieści... Kto go ta wie? Może dla dziecisk... Nie krzyczcie — rzekła do dzieci. — Ojciec wróci z mamą. Słyszycie, knoty? Żadnego wrzasku mi tu nie robić!

Dzieci umilkły, starając się zdławić łkanie.

— Jeść, ciociu! — wyszeplenił chłopiec.

— Przyniosłę wam bułek. Michaś, ino pamiętaj o Stefci, a cicho się zachowujcie! Wnet wam przyniosę, wnet...

Zgarnęła pieniądze, zawinęła w brudny strzępek i włożyła do zanadrza. Wychodząc, przymknęła drzwi na skobel i poszła prosto do karczmy.

Dzieci czekały cierpliwie, patrząc uporczywie w okno, rychło ciocia wróci. Minęła jedna godzina, druga — nikt nie przychodzi... Dziewczynka znowu poczęła szlochać, za nią chłopczyk, wreszcię, wypłakawszy się serdecznie zasnęły.

Ciemno i cicho było w izbie. Od czasu do czasu tylko wiatr z jękiem trącał o szyby.

* * *

Ranek był we wsi. Słonko, jak zwykle swobodne, bez osłony chmur, patrzało promieniami poza najodleglejsze widnokręgi... Jasno było na świecie.

Nie w każdej chałupie gwarno koło misy, nie w każdej ruch i życie panuje...

W chałupie komornika powiadają... Ha, przecie i komornikom nie najgorzej, gdy na polu ładnie. A od czego przysłowie "tak będzie, jak padnie"! Nie zbierają sobie — to drugim, a roboty jest dosyć latem u ludzi. Gorsza zima...

Toć i komornik ma co dziś w gębę włożyć. Ale "jest casem pseznaczenie" — powiadają ludzie — "że jak jedno się w chałupie stera — wszyćko idzie na marne!"

Takie "pseznacenie" musiało chyba dotknąć młynarza zagrodę. W samym środku wsi ugory, pastwiska — a to dawniej była "jego ładna rola". Chałupę zaś ludze z daleka obchodzą, żegnając się ukradkiem. Wiecznie zamknięta, ani żywej duszy w niej. Powiadają, że w takich chałupach "ka przedtem była boska obraza, radzi 'źli' mieszkają..." Ha, może...

Więc rankiem słonko, kiedy wyjrzało z za lasu, biegnąc od strzechy do strzechy padło promieniami i na pustą chałupę. Słonko ciekawe, radeby wszędy wiedzieć, czy noc nie przyniosła nowego mieszkańca...

I po dachu ślizgało się promieniami, przeszywając światłem cienkie gonty, a gdzie szerszą szczelinę otworzyły wichry, tam rzucało całym snopem światła. Okiennica na strych otwarta; promienie padły do izby i nagle drgnęły, zwinęły się napowrót, rozpraszając się po konarach nad dachem...

Przez krótki czas bytności swej w izbie oblały złotem światłem wiszącego tam trupa...

* * *

Wieczorem u wójta zgromadziła się cała rada. Miano ważną sprawę do "uradzenia" to też nie brakowało nikogo. Pisarz tylko, jak zwykle, spóźnił się, wiedząc zapewne, że bez tak ważnej, jak on osoby, rady nie rozpoczną.

Mylił się jednak po części, gdy sądził, że będą na niego czekać. Już bowiem cztery butelki wypróżnili zanim się ukazał. Ósma kolejka szła w koło, kiedy pijący, zamiast do sąsiada, przypił do stojącego w drzwiach pisarza.

— Żali powiedziałbym, żebym się nie spóźnił, gdyby nie okoliczność nadzwyczajna — mówił poważnie pisarz.

— W ręce wasze! — przerwał mu radny.

— Na zdrowie!

Pisarz wziął szklankę i już czwarty raz obrócił ją w ręku, przezierając się w niej, gdy nagle wicher złamanym konarem jabłoni trzasnął w szybę. Szkło rozprysło się na drobne kawałki, a wiatr, skoczywszy otworem, zdmuchnął blade światło lampy. Wzdrygli się radni, każdy przerażonym wzrokiem poglądał w okno. Chwilę cisza w izbie panowała, tylko na dworze huczało coraz to głośnej.

Wójcina wpadła do izby, zatkała poduszką wybitą szybę i zaświeciła lampę.

Przerażenie ustępowało zwolna z twarzy radnych, nowa kolejka rozweseliła zalękłych.

Wtedy do izby wsunął się milczkiem chuderlawy człeczyna.

— Ho, Jędrek od Kopańcy! — rozległo się od stołu. — Jędrzeju, w wasze ręce! Co ta słychać u was?

— He, nic tak ciekawego... — mówił spokojnie — młynarz się obwiesił...

— Kto? — spytali wszyscy chórem.

— Młynorz...

— Marcin?

— Ehę!

Umilkli wszyscy. Przerażenie większe niż przedtem odbiło się na twarzach. Nawet wójt, zawsze czerwony, pobielał w jednej chwili. A na polu huczało, jak w stu fabrykach.

— Nie zadarmo tak jęczy, nie zadarmo — odezwał się jeden z radnych.

— Obwiesił się, powiadacie — mówił wójt. — Ha, no, nic mu już nie pomoże. Wieczne odpoczywanie... — nagle przerwał, wzdrygnąwszy się słów, które wymówił z przyzwyczajenia. Wicher zawył przeraźliwie...

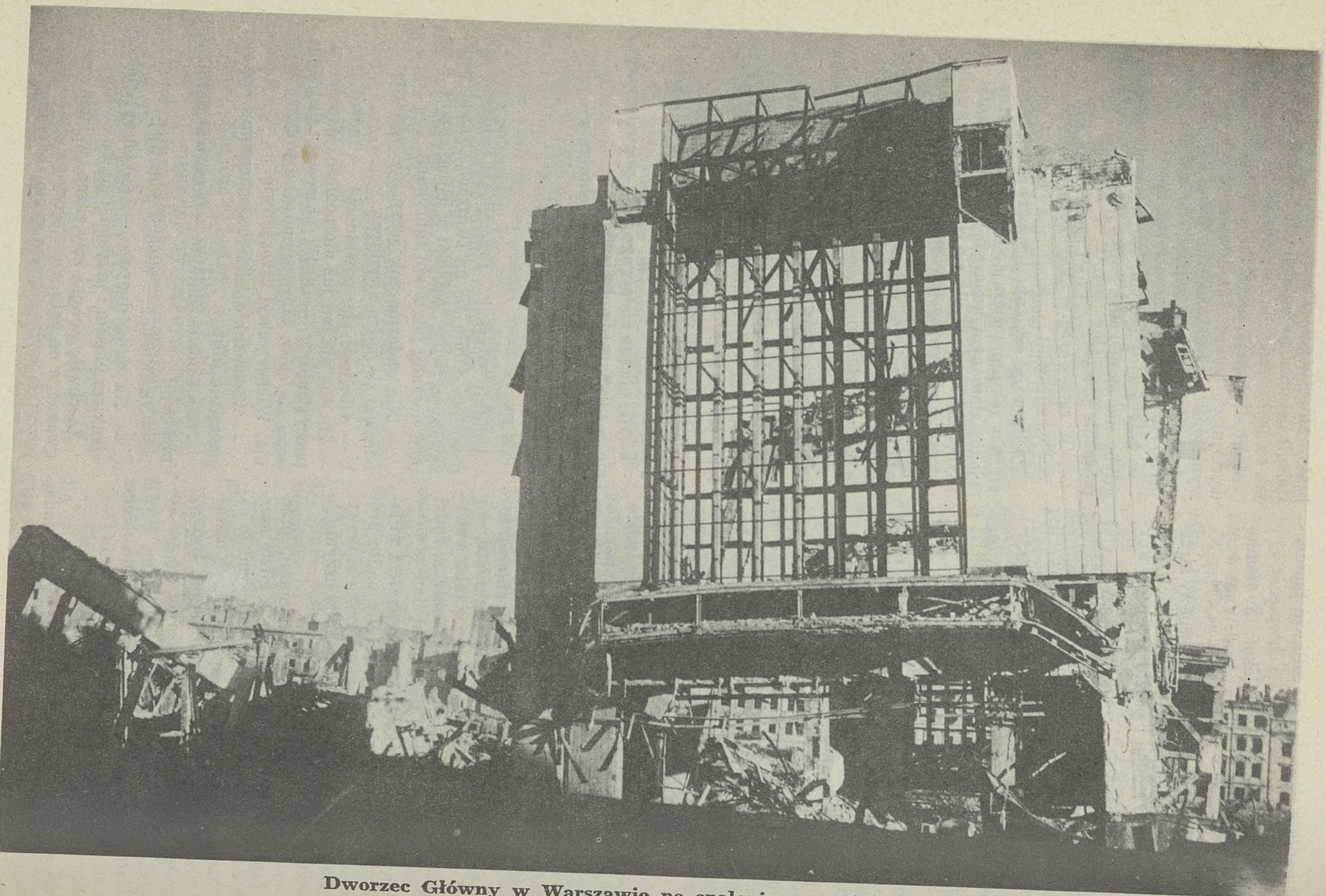
— Widać takie miał przeznaczenie — zaczął ponownie wójt.

— Żali powiedziałbym — przerwał poważnie pisarz.

— Na świecie! — wtrącił podwójci.

— Na moją dusyckę — dokończył polowy cienkiem głosem i przysunął się ku stołowi.

Za chwilę kolejki szły raźno, w izbie znowu gwarno, a na polu wiatr jęczy załośnie i bije w pozostałe szyby zimnem swem skrzydłem...



Dworzec Główny w Warszawie po spaleniu przez Niemców.

O WILKACH, WILKOŁAKACH I CZAROWNICY JAGNIE

W końcu pola, het precz pod borem, widać światełko, małe, migotliwe; zda się wychodzić spod śniegu, pokrywającego grubą warstwą rodzaj dużego kopca, z którego wierzchołka wydostaje się przez otwór ciemne pasmo dymu, a czasem wylatują iskry. Jedno i drugie porywa wnet wichura, a zakręciwszy wokoło, ciska o śniegową powłokę, szumiąc i wyjąc, jak gdyby jaka nieczysta siła splątała się z ciemnością zimowej nocy.

Kopiec ów to w ziemi wykopana izdebka, gałęziami i słomą przykryta, a osypana cała ziemią, na której latem trawa bujnie porasta. Teraz śnieg zasypał chatynkę, że i wejścia trudno wypatrzyć śród nocnych cieni, tylko przez mały kawałek szkła, stanowiący okno, widać, że zasypana śniegiem ziemianka ma mieszkańców. Przy kominie, w czerwonej chuście na głowie, w odświętnym kabacie stoi zamaszysta, choć śmigła niewiasta. Nie stara ci ona, ani też bardzo młoda. Oczy czarne, jak tarki, wlepiła w gliniany garnek i miesza a szepcze jakieś dziwne zaklęcia. W garnku kora lipowa, wilcze łyko i inne, jej tylko znane, zioła gotują się, parkocząc i pryskając.

Niewiasta, wyciągnąwszy ze starej drapaki kilka rózeg, poczęła je moczyć w owym garnku, dodawszy uprzednio nieco wilczego sadła, aż coś zawyło okrutnie. Sowa, siedząca dotychczas spokojnie na przypiecku, poczęła hukać żałośnie, a czarny kot wylazł spod pieca, łyskając zielonawym blaskiem ślepi. Widać, że już wszystko było gotowe, bo, krzątająca się po chałupie, niewiasta wyjęła z garnka one witki, a wetknąwszy je za pas, świsnęła przeraźliwie, dosiadłszy zaś ożoga, który zarżał głosem bystrego rumaka, przez otwór w pułapie razem z kłębem dymu i iskier wyleciała z izby, ginąc w czarności nocnej.

Ode wsi dochodziły oderwane dźwięki kapeli, wplatając się, jak zaczarowana nitka, w monotonny szum zadymki.

Weselisko było, jak się patrzy. Zaproszono wszystkich znaczniejszych sąsiadów i sąsiadki, a państwo młodzi dobrze się nauwijali, nim tej ceremonii zaprosin stało się zadość. Bieda tylko była z tym: czy prosić Wawrzynichę spod lasu, czy nie? Wiadomoć wszystkim było, że baba trzyma ze złem, i że za jej przyczyną męża Wawrzona, gdy wracał z jarmarku, diabeł zaprowadził na bagna i chłopa, któremu widać złe oczy zamroczyło, w onym błocie zatopił. Dopiero pastusi, chodząc za czajczymi jajkami, w trzy dni go odnaleźli. Ale cóż, kiedy Wawrzonowi, który prócz gorzałki nic innego pić nie mógł, tak ta woda z kałuży zaszkodziła, że już ani ręką, ani nogą nie ruszył, a przecie taki człek, wody nie pijający, chyba może we żniwa, po dobrej woli przez trzy dni by gębą w bajorze nie leżał! Proboszcz powiadał, po prawdzie, co innego, że to niby nie pierwszy i ostatni pijak tak swój żywot kończy, ale ludziska po staremu złego z babą Wawrzonową widzieli sprawki.

Po śmierci męża Wawrzonowa sprzedała resztę gruntu z chałupą, a pozostawiwszy sobie pod lasem pół morga ziemi, pod pagórkiem, napoły w niego wkopaną lepiankę sklеciła, ogrodziwszy całą posiadłość chróstem, dziwne zioła i kwiaty przez lato hodowała, sprzedając leki, odczyniając czary, a za odpowiedni grosz rzucając także uroki na krowy sąsiada, by przestały dawać

mleko, na kury, by się nie niosły, i tym podobne rzeczy. Wtedy jedyna rada była — krowę bić, bo, jak powiadali starzy, czarownica, nie krowa, ten ból poczuje i prędzej urok odczyni, a kurze znów po gardle nożem trzeba przejeżdżać, to się wiedźma śmierci zlęknie, i tak dalej, boć na każde złe mądry człowiek zawsze coś poradzić umie. Stanęło jednak na tym, żeby Jagny Wawrzynichy nie prosić. Obstawał głównie przy tym ojciec pana młodego, sołtys Wacho Sobota, który, że do powiatu jeździł i z samym urzędem, jak powiadał, rozmawiał, miał w każdej materii zdanie wyrobione.

Okrutnie ubodło wiedźmę to pominięcie; czuła w tym babską robotę, pamiętając, iż niegdyś, przed laty, żeby nie teraźniejsza żona Wacha, Magda, ona zostać mogła Sobociną i nie potrzebowałaby może dziś, diabłu zaprzedawszy duszę na Łysej Górze, złego rozkazów słuchać. Ale cóż, kiedy Wacho, choć mu Jagna bardziej niż Magda do serca przypadła, wielce wygody miłujący, wziął tamtą, bo miała wedle swej miary srodze wielką pierzynę! Postanowiła tedy Wawrzynicha zemstę, a w noc, poprzedzającą wesele, długie ze złymi odbywała narady, i zaraz zerwała się wichura, sypnął śnieg, a zamieć była taka, że weselnicy, choć dzień był biały, z ledwością do kościoła zajechali, kilkakrotnie wpadając z końmi i saniami do rowu.

Pod osłoną jednak strzechy w ciepłe izbie prędko zapomniano o niewygodach podróży. Gdy po sutym i tłustym jadle zaczęły krążyć półkwaterki z wódką i piwem, już wesołości nie było miary, bo i Żydkowie, wymarzłszy na saniach, z większym animuszem jęli się swych instrumentów. To też nawet ten i ów z poważnych gospodarzów, zarzuciwszy połę od sukmany na rękę, brał spod ściany niby opierającą się sąsiadkę i puszczał się w tany, aż zadry leciały, a wełniaki na tanecznicy tylko furkały w powietrzu. Nie trzeba dodawać, że i pan młody nie zasypiał



gruszek w popiele a welon panny młodej, jak biały obłok, unosił się nad tańczącymi. Do taktu oberka pochylały się nawet płomienie łojówek i kaganków.

Gdy tak zabawa wre, a karczma trzęsie się od łomotu podkutych butów i wesołych okrzyków; gdy już nawet ociężała z tęgości Sobocina, ująwszy wpół sąsiadkę Józwową, również w sobie podufałą kobietę, jęła z nią okręcać takie młyńce, że aż od tego pędu świece na szynkwasie pogasły; gdy stary Sobota z ojcem młodej, Maciejem Kukawką, nalewając sobie coraz nowe półkwaterki, doszli już do zenitu wynurzeń przyjaźni, a jeden drugiemu wszystko, niby z tej przyjaźni, podarował, prócz gruntu i baby — drzwi ze dworu do sieni rozwarły się złoskotem, a po chwili owiana tumanem śniegu wpadła do izby, roztrącając stojących przy drzwiach, Jagna Wawrzonowa. W krasnej chuście na głowie, w granatowym kabacie z czerwonymi obszywkami, z twarzą owianą mroźnym powietrzem, wyglądała na podziw młodo i pięknie Stał Sobota, jak wryty w podłogę, gębę rozwarł z wielkiego dziwu, i zdało mu się, że dawne lata wróciły. Najpierw opamiętała się Sobocina, puściła więc z rąk Józwową i poskoczyła ku Jagnie Wawrzonowej.

A w oczach pijanego Soboty wydało się, że kopę siana wiatr pędzi po izbie wprost na Jagnę; chciał wołać: „Ustąp się!" ale wnet Jagna, wyrwawszy z za pasa moczone w czarach witki, jęła nimi oganiać po izbie tańczących. Pierwsza dostała uderzenie rózgą Sobocina, i w jednej chwili zamieniona w wilczycę, poczęła, skomląc, uciekać z izby, gubiąc po drodze odzienie i chusty. Podobało się to wielce Maciejowi Kukawce, który dobrze podchmielony stał z fajką w zębach, trzymając flaszkę z półkwaterkiem, i ani spostrzegł, że sam powoli zmienia postać. Z łap wysunęła mu się flasza, wypadł półkwaterek, a stać prosto było coraz trudniej, więc zwolna na czworaku biedne chłopisko opuściło karczmę, trzymając jeno fajkę w okrutnych, choć wiekiem przytępionych, kłach. Wawrzonowa tymczasem, ująwszy się pod bok, hulała po izbie, śród tancerzy, ziemi nie tykając. Trąciła rózgą pana młodego, a ten już wilczymi ślepiami łyska; młoda chce się mu wyrwać z objęć, a za chwilę sama, wlokąc welon za sobą, ucieka w lasy, i tak dalej i dalej, a Sobota stoi na środku izby, wypuścił z rąk półkwaterek i oniemiał do reszty z podziwu i strachu.

Było ciemno, choć oko wykol, tylko gdzieś het w czarnej przestrzeni, w stronie lasu, migało, jak gdyby spod śniegu, słabe światełko. Ku temu światełku bezwiednie kierował, śród zasp i ciemności, swe kroki Sobota, nucąc:

Oj danaż, moja dana
Oj do samego rana!
Oj oczki, jak ciareczki!
Oj, Jaguś, ma kochana!

Od lasu dochodziły tymczasem wycia wilkołaków, czyli ludzi zamienionych w wilki. Były to głosy weselników, już po wilczemu gody sprawiających, a choć w takim wilkołaku natura prawie całkiem wilcza, pamięć dawnego życia pozostaje, i są nawet tacy, którym wolno co pewien czas powracać jako człowiek do ludzi.

Tak wykonała przy pomocy złego swą zemstę Wawrzonowa.

Ale największa czarownica i to ma trochę ludzkości pod sercem, więc i Wawrzynicha ulitowała się w końcu nad losem wilkołaków, jako że przecież to jej dawne sąsiady, a i do Magdy złość ją minęła, boć prawdę rzekłszy, Wacho to nie ten już, co to bywało

niegdyś, u Maćkowego przełazu na swą Jaguś ze śpiewką czekający.

Więc zwoławszy jednej nocy wszystkich, przedzierzgniętych w wilki, pod karczmę, tam z każdego po kolei urok odczyniała, a oni przyodziawszy na się w alkierzu swe szaty, które Jagna surowo przykazała Żydowi zachować, przy odgłosie sprowadzonej na ten czas muzyki jęli przerwane urokiem tańce, jak gdyby nigdy nic, dalej prowadzić.

* * *

Wilki licznie niegdyś zamieszkiwały lasy polskie. Napadając podróżnych, porywając dobytek, stawały sie bohaterami wielu zdarzeń, rosnąc w w przesadnej nieco opinii do znaczenia wielce dzielnego i śmiałego zwierza, a jedno z wybitniejszych plemion słowiańskich, mieszkających u brzegów Odry, zwano niegdyś Wilkami. Miał wilcze zęby w herbie Stefan Batory, z czego, jak przypuszcza Wójcicki, poszło przysłowie: „Pokazać komuś zęby". Nie jedno bowiem pismo tego dzielnego króla, opatrzone pieczęcią z wilczymi kłami, nabawiało większego strachu, niż cała paszcza prawdziwego wilka. „Wilk ozionął" mówi inne przysłowie oznaczając tym napędzenie komuś strachu.

Polowano też na wilki przeróżnie. Były charty wilczarze. Dojeżdżano go w stepach konno, strzelając z pistoletu, lub łowiąc na arkan. Po lasach kopano doły, a uwiązawszy na dnie prosiaka, lub krzykliwą kaczkę, przykrywano je następnie chróstem i darniną. Łowił się w dół czasem wilczek, czasem chłop, kradnący w nocy drzewo, lub obaj razem! Były polowania z prosięciem, kwiczącym na wabia w saniach. Robiono obławy, a każda zima dostarczała zawsze kilku ofiar w ludziach i domowych zwierzętach, to też mówiono: „Nie wywołuj wilka z lasu!" — a wywołać go także nie było trudno, i łowiec, dobrze wycie wilka naśladujący, gdzie zwłaszcza tych ostatnich było dużo, przywabiwszy zwierza, kładł go trupem.

Przysłowia: „Natura ciągnie wilka do lasu", „O wilku mowa, a wilk tuż", „Wilk syty i koza cała", „Przez posły wilk nie tyje" i wiele innych, dają miarę o wielkiej niegdyś popularności tego szkodnika, dziś tylko już zrzadka na Kresach spotykanego. Był wilk, było i dla wilka, a teraz gdzież są te puszcze i bory?

Nie wszystkie jednak podania o wilku mają za tło jego żarłoczność. Nie w jednej bajce występuje on znów jako stworzenie, obdarzone prostym ale dobrym sercem, a już całkiem jest pełen skruchy w następującej legendzie.

Przykrą i ciężką bywa zima dla każdego stworzenia. Krótkie dni słabo i rzadko rozwesela pogodne a ciepłe słońca oblicze, które, jak ten śpioch, podniósłszy zaledwie głowę od horyzontu, usłanego miękkimi smugami lasów, znów się do snu zabiera. Noce za to, zwłaszcza księżycowe, pełne są tajemniczych uroków. Ziemia pokryta śniegiem błyszczy w promieniach miesiąca miliardami brylantowych blasków, urągając ludzkiej nędzy, albo może daje tym poznać, że jeszcze wielkie a nieznane skarby kryje w swym łonie. W powietrzu cisza, a mgła wieczorna, zamieniona w drobny pyłek, przysłania nieco dalsze rozłogi. Misterne witki brzozy, kolczata choina i w piękny deseń ułożone igiełki świerka, wszystko w miarę, jak ów srebrzystobiały pyłek, opada, pokrywa się odświętną a wspaniałą szatą okiści.

„Idzie luty — sprawiaj chłopie, buty" — zda się przypominać mroźny powiew wiatru, a zima, która pod koniec stycznia poczęła upadać na siłach, znów wzmogła się znacznie. To też „Pod Twoją obronę uciekamy się"

szepczą usta pokulonych od zimna ludzisków! „Pod Twoją obronę“ odmawia podróżny, gdy śród zawianego śniegiem pola ujrzy pod figurą Matki Boskiej skurczone od mrozu i głodu wilczyska, które, nim jutrzenka rozproszy nocne cienie, a ludzie ku czci Królowej Niebios zapalą gromnice, ślepiami swymi świecą Przenajświętszej Panience. Tak co rok to powtarzają w każdą noc wigilijną do Gromnicznej. A zebrawszy się w większe gromady, wyją miłosierdzia proszącym głosem, że Najświętsza Panienka, która za wszelakiem stworzeniem umie wstawiać się przed tronem Najwyższego, w kilka niedziel po owym święcie, zawsze koniec zimy wyprosi.



* * *

Dla pięknego Wilna wilk wyświadczył ponoć ongi bezwiedną a ważną usługę, pierwszą bowiem myśl wystawienia zamku wileńskiego powziął Gedymin, biorąc asumpt ze snu, który miał, spoczywając śród borów, które niegdyś ten gród starożytny nieprzebytem pasmem otaczały. Na górze, dziś Zamkową zwanej, ukazał się księciu we śnie wilk zakuty w zbroję, a zwierz ten, jako rycerskie godło, nasunął myśl uczynienia góry obronną.

To też zamek wileński nieraz potem wilcze zęby Krzyżactwu pokazywał.

Słowem, po koniu i psie, wilk z pośród wszelkiego zwierza największą w życiu naszych przodków ongi odgrywał rolę, a choć słusznie szkodnikiem zwan, przynosił często korzyść uprzątając np. pobojowiska, zwłaszcza gdy nie było czasu na grzebanie poległych. Chronił on tym sposobem niejednokrotnie całe okolice od zarazy, nie będzie więc od rzeczy, gdy mu się tych kilka wspomnień poświęci.

MIASTO TORUŃ
STAROŻYTNY GRÓD KOPERNIKA



Widok z wieży ratuszowej na rynek i miasto. Na plan pierwszy wybija się potężna sylweta kościoła Marjackiego.

Toruń budowny i bogaty w cnotę,
Tam szczyrych mieszczan oglądasz ochotę:
Tam pokój, tam wstyd, tam płuży uczciwość,
I sprawiedliwość.

Tam podobieństwo zda się być człowieku,
Saturnowego i złotego wieku,
Gdy była cnota w one święte lata
Królową świata.

F. S. Klonowicz „Flis" 1595 r



Najstarsza, wielka pieczęć m. Torunia z XIII w., znajdująca się w Muzeum Miejskiem.

Założenie Torunia przypada na okres, kiedy w Polsce zatraciła się idea Bolesława Chrobrego — stworzenia wielkiego, opartego o Bałtyk, mocarstwa słowiańskiego. Natomiast pierwsze lata istnienia Torunia wiążą się ściśle ze sprowadzeniem do Polski Niemieckiego Zakonu Panny Marji, tak zwanych u nas popularnie, od czarnego krzyża, wyszytego na białych płaszczach — Krzyżaków.

Od tej brzemiennej w przyszłe dziejowe wypadki chwili rozpoczyna się 700 letnia walka Polski z krzyżactwem oraz ich następcami — Prusakami.

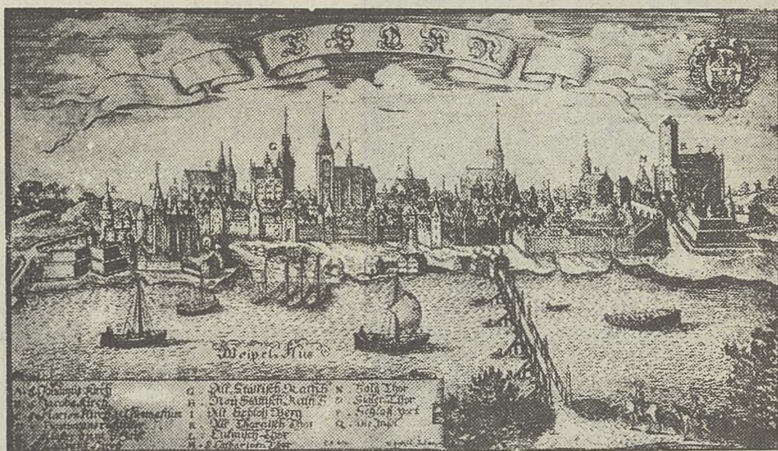
Konrad, książe mazowiecki, nie mogąc dać sobie rady z pogańskiem słowiańsko-litewskiem plemieniem Prusów, które zamieszkiwało nadbałtyckie okolice i sąsiadując z nami od północy dawało się ciągle we znaki łupiezkiemi napadami, sprowadził w r. 1225 do Polski Zakon Krzyżowy, któremu za pomoc w walkach z poganami, nadał ziemie: Chełmińską i Nieszawską, jako punkt oparcia dla ich przyszłej działalności.

Nadania takie w czasach średniowiecznych spotykamy b. często; nie oznaczały one darowizny na własność, ani odłączenia ofiarowanej posiadłości od danego państwa. Tymczasem zaborczy, złożony z samych teutońskich rycerzy, zakon

Miedzioryt przedstawia dość dobrze ogólny widok miasta, choć autor w rysowaniu szczegółów pojedyńczych budynków powodował się nieraz fantazją. Rozkład ważniejszych gmachów zgadza się z podanym poniżej planem miasta, jak i obecnym, rzeczywistym stanem. Nad miastem górują liczne kościoły: Marjacki, św. Jana, Dominikanów, św. Jakuba, oraz dwa ratusze Starego i Nowego Torunia. Klasztor św. Ducha był wzniesiony nad brzegiem Wisły, już poza murami miejskiemi, taksamo i św. Wawrzyńca, znajdujący się w obrębie jednego z bastonów.

Nad brzegiem Wisły wznoszą się spichrze i składy, zaś za jej falach płyną liczne statki. W ten sposób autor podkreślił charakter handlowy miasta.

W murze od strony Wisły znajdowała się największa ilość bram, co łącznie z powstaniem domów handlowych na rynku jest dowodem wielkiego znaczenia handlu dla miasta.



Toruń w XVII w. w/g. miedziorytu Chr. Hartknocha, z książki »Altes und Neues Preussen«, wykonanej we Frankfurcie i Lipsku w r. 1864.



Plan m. Torunia w/g. miedziorytu M. Merian'a z dzieła »Topographia Prussiae«, wydanego w r. 1652 we Frankfurcie.

Ilustracja powyższa daje nam doskonały obraz powstania i rozwoju Starego Torunia, wybudowanego według logicznie pomyślanego i doskonale ułożonego planu, który też stał się wzorem i dla wzniesionego w r. 1264 Nowego Torunia. W obrębie wielkiego pierścienia murów obronnych wytknięto pośrodku rynek, na którym stanął ratusz, zawierający w podziemiach składy towarowe. Na linji skośnej po obu stronach miasta znajdowały się dwa kościoły, jeden — farny, a drugi klasztorny. Ulice przecinały się pod kątem prostym i były zabudowane zwartemi blokami domów.

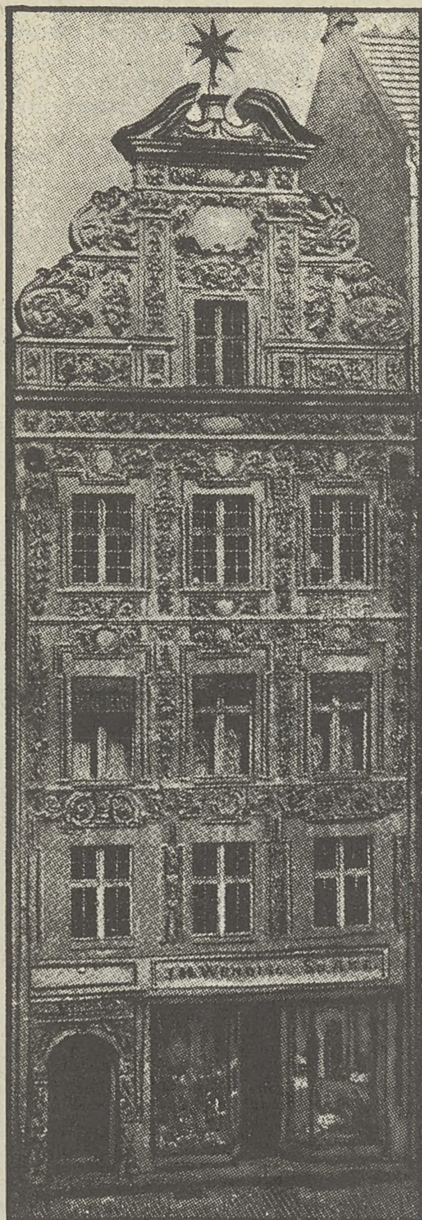
Między obu miastami znajdował się, wbijający się klinem od południa wzniesiony na wyniosłem wybrzeżu Wisły, zamek krzyżacki. Oba miasta, jak i zamek były oddzielone od siebie wewnętrznemi murami, zaś naokoło otoczone potężnemi obwarowaniami z licznemi wieżami oraz głęboką fosą, zalewaną w razie napaści wodą. Do miasta prowadziły zwodzone mosty, bronione potężnemi bramami.

Toruń, jak widać z powyższego był potężną fortecą, wzorowo umocnioną, zaś położenie miasta nad Wisłą pozwalało na komunikowanie się i zdobywanie żywności wrazie oblężenia.

którego zadaniem w zasadzie było odebranie Ziemi Świętej z rąk niewiernych, woląc osiąść wygodnie w Polsce, niż iść na krucjatę do Palestyny, odrazu postanowił stworzyć tu sobie własne państewko i w tym kierunku od samego początku podstępnie działał. Toteż wielki mistrz krzyżacki H. von Salca wyjednał u Fryderyka II, cesarza świętego imperjum Rzymskiego, jak wówczas nazywano monarchję niemiecką, przywilej oddający Krzyżakom w posiadanie zarówno otrzymane teraz kraje, jak i te, które będą w przyszłości zdobyte. Przywilej ten potwierdził następnie papież Grzegoż IX na skutek przedłużonego mu podrobionego dokumentu donacyjnego, uznając, że wszystkie ziemie Zakonu Krzyżackiego, stanowią lenno Stolicy Apostolskiej, a więc żadnej innej świeckiej władzy nie podlegają. Tak od fałszerstwa, oszustwa i kłamstwa rozpoczęli Krzyżacy swój stosunek z Polską.

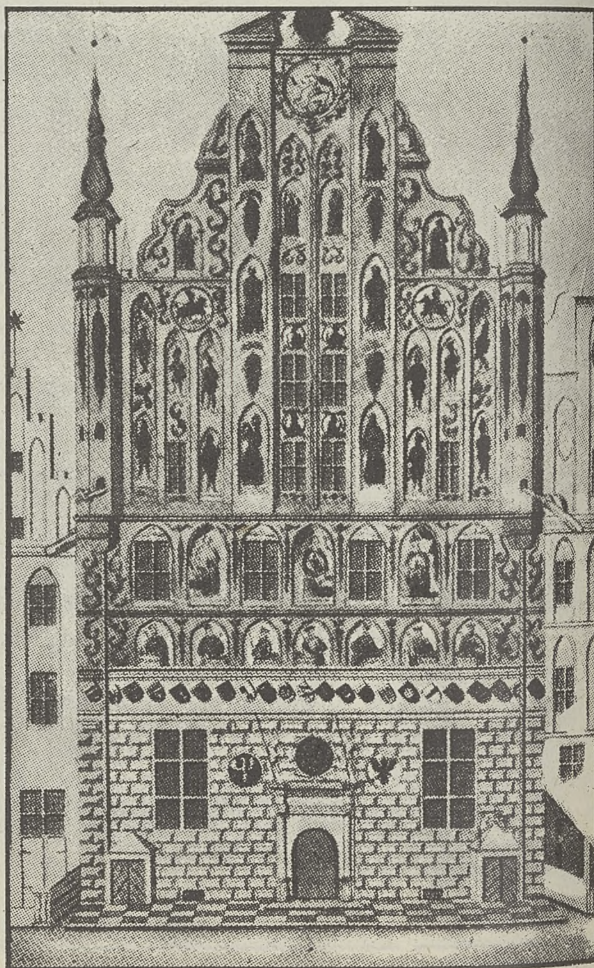
Mając za sobą, jako głosiciele krucjaty przeciw poganom, sympatje papiestwa, poparcie rycerstwa całej Europy, oraz współpracę książąt polskich, zdobyli oni w ciągu krótkiego czasu, bo zaledwie w 50 lat całe Pomorze aż po Niemen; zamiast jednak głosić Słowo Boże, wycinali w pień Prusaków, a na zdobytych ziemiach budowali zamki i twierdze.

Wkrótce po otrzymaniu nadania, bo już w r. 1231 przekroczyli Krzyżacy Wisłę u brodu w pobliżu odwiecznie polskiej osady, Toruniem zwanej, a która posiadała już nawet kościół, co dowodziło, iż była dość znacznem osiedlem, i zaczęli budować miasto. Ponieważ jednak stary Toruń, do dziś dnia pod tą nazwą istniejący, jako wioska, zalewały częste powodzie, więc w dwa

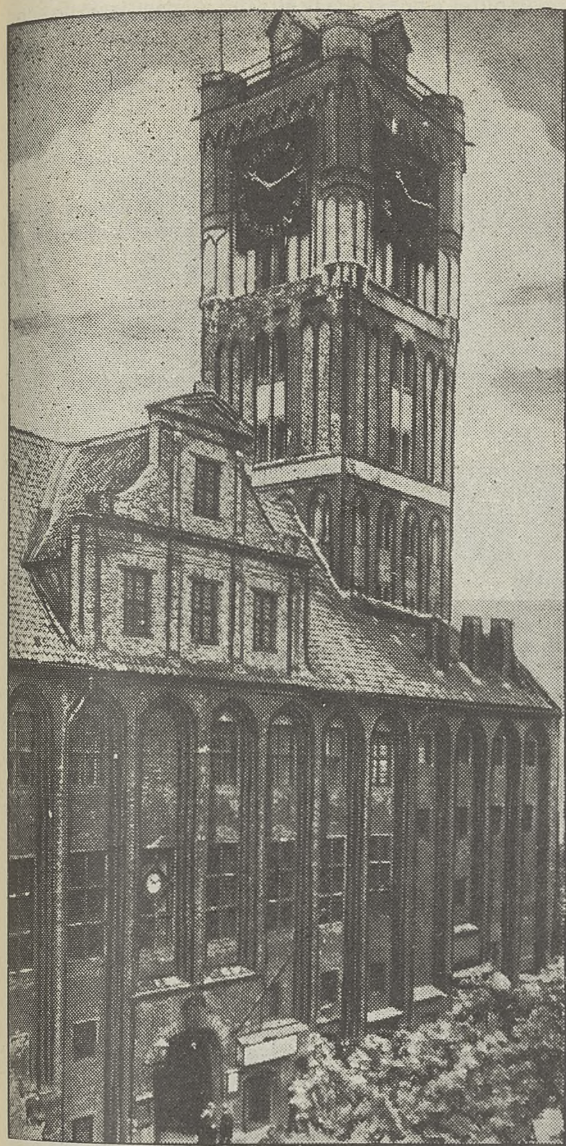


Dom barokowy „pod Gwiazdą" z XVII w., suto ozdobiony wewnątrz i zewnątrz licznemi płaskorzeźbami, które tworzą piękną całość z bogatą architekturą całej fasady.

Bogate mieszczaństwo w dawnych czasach łączyło się w związki i bractwa pod wezwaniem św. Jerzego, a w dużych miastach tworzyło t. z. »dwory Artusa«, nazwane od angielskiego króla tego imienia, który założył »stowarzyszenie stołu okrągłego«, przy którym nikt nie był pierwszy, ani ostatni, a wszyscy równi sobie. W Toruniu dwór Artusa został wzniesiony w r. 1385, a gruntownie go przerobiono w r. 1603, tak, jak wygląda na powyższej rycinie. Był on niermiernie bogato ozdobiony. Po obu stronach portalu znajdowały się herby: Polski i Prus Królewskich. Cała góra była podzielona na żebra i ślepe wnęki, blendami zwane, które były całkowicie pokryte malowidłami. Mamy tu herby miast pomorskich i hanzeatyckich, następnie portrety królów polskich, postacie alegoryczne, a u samej góry św. Jerzy, patron bractwa; wszystko otoczone licznemi ornamentami.



Dawny dwór Artusa w/g. albumu Steinera z r. 1740.



Fot. H. Poddębski.

Wieża ratuszowa, zbudowana w r. 1250, stała początkowo oddzielnie otoczona halami, kramami i sklepami. Dopiero po przybudowaniu w r. 1393 nowego skrzydła weszła w obręb jednolitej całości ratusza.

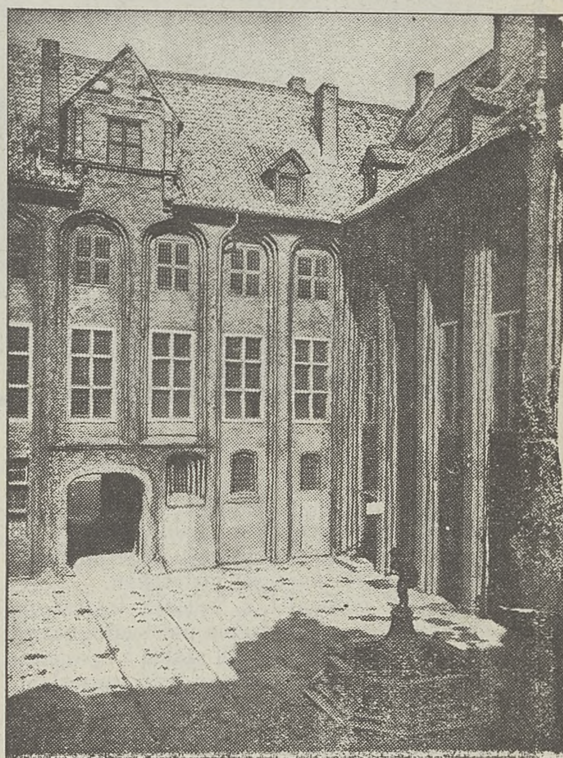
lata potem przenieśli się o półtorej mili na wschód, na wysoki brzeg Wisły, by założyć tam bastjon do walki z polskością i stworzyć klin do rozrywania żywego ciała Polski. W tym celu sprowadziwszy niemieckich osadników, którym nadali liczne przywileje i ułatwienia, zbudowali warowne miasto, a w kilkadziesiąt lat potem, gdy już się ono tak rozrosło, że nie mogło pomieścić wciąż przybywającej ludności w obrębie murów, wybudowano obok drugie, wraz z obronnym zamkiem, zwane Nowym Toruniem.

Pod względem społecznym i narodowościowym skład obu tych miast był odmienny. W dawniejszem zwanem Starym Toruniem, zamieszkiwał element osadniczy, jak zwykle przedsiębiorczy i obrotny a w danym wypadku i wyrobiony handlowo, dążący do uniezależnienia się od zakonu na wzór miast — państewek niemieckich. Natomiast w Nowym Toruniu usadowiła się ludność biedniejsza, spokojniejsza, rzemieślniczo-drobnokupiecka, w znacznej części polska, lecz bardziej uzależniona od Krzyżaków. Na przedmieściach, które podczas wojny były palone i niszczone, gnieździły się liczne rzesze biedniejsze, polskie, które dopiero w XIX w. doszły do głosu w związku z demokratyzacją. Nad tem wszystkiem niby sęp z krzywym, drapieżnym dziobem i zakrwawionemi szponami, górował i czatował ponury i potężny zamek krzyżacki, siedziba przedstawicieli okrutnych władz Zakonu, który ogniem i mieczem sprawował swe rządy, gnębiąc i wyzyskując bezwzględnie nieszczęśliwych swych poddanych.

Na wiek XIV przypada największy rozkwit Torunia pod panowaniem krzyżackiem. Wówczas wraz z innemi miastami pomorskiemi przystąpił on już do Hanzy, to jest potężnego związku wielkich miast handlowych północnej Europy. Dzięki właściwej każdemu osadnictwu przedsiębiorczości jego mieszkańców, dzięki stosunkom osobistym oraz położeniu swojemu na wielkim, handlowym szlaku Polski, udało mu się wysunąć na czoło miast pomorskich w handlu z Polską, a z drugiej strony nawiązać kontakt z ówczesnym światem handlowym Europy, co ułatwiało mu członkostwo w Hanzie.

O znaczeniu Torunia dowodzi fakt, że gdy Hanza, wypowiedziawszy wojnę Danji, zdobyła Stokholm, radca toruński Albrecht Russe został jego komendantem.

Jednak wiek XV-ty przynosi powolny upadek Torunia spowodowany egoistyczną polityką zakonu,



Czworoboczny podwórzec ratuszowy. Na miejscu dawnej studni znajduje się fontanna z flisakiem.

poświęcającego istotne interesy kulturalne i gospodarcze miasta swoim celom. To też zbuntował się Toruń przeciwko Krzyżakom i stał się ośrodkiem ruchu antykrzyżackiego, w którym brała udział niezależnie od swego pochodzenia zarówno ludność rdzennie polska, jak i niemiecka.

Polska, która dzięki Unji Lubelskiej, stała się olbrzymiem mocarstwem, a przez sprawiedliwy związek z Litwą, oparty na zasadzie równouprawnienia nie zaś przemocy i gwałtów, wyprzedziła o całe stulecia rozwój idei republikańskich w Europie, była dla ówczesnych społeczeństw wzorem demokracji i sprawiedliwości, a pociągając u siebie magnetycznie oczy i serca wszystkich uciśnionych, promieniała urokiem swobód obywatelskich i osobistych na sąsiednie narody.

W pierwszym rzędzie Prusy i Pomorze, mające odwiecznie polską ludność, a znajdujące się pod szalonym uciskiem krzyżactwa marzyły o połączeniu się z Rzeczpospolitą. Drugim, niezmiernie ważnym czynnikiem ciążenia ku Polsce były powody natury gospodarczej, gdyż związek z potężnem imperjum polskiem, przynosił wielkie korzyści materjalne.

Już w r. 1397 powstał t. z. Związek Jaszczurczy szlachty chełmińskiej, pochodzenia polskiego, nazwany tak, gdyż członkowie jego nosili szable z rękojeścią ze skóry jaszczurczej. Zadaniem jego było wyzwolenie się z pod jarzma krzyżackiego. Przetworzył się on wkrótce w Związek Pruski, do którego weszły wszystkie stany i miasta pruskie. Toruń staje na czele całej akcji, dążącej do złączenia się z Polską. W nocy z 7 na 8 lutego w r. 1454 toruńczycy zdobyli zamek krzyżacki, by oddać go następnie we władanie Rzplitej, a pożar wieży strażniczej daje hasło do walki dla całej ziemi pomorskiej. Związek wypowiedział posłuszeństwo Zakonowi i wysłał posłów do króla Kazimierza Jagiellończyka, by ziemie niegdyś polskie, znów do Polski wcielić raczył. Król prośby przyjął, i wysławszy załogi polskie do miast, już uprzednio przez Związek zajętych, sam w maju wjechał uroczyście do Torunia, by przyjąć hołd poddaństwa.

Wywołało to długą, bo aż trzynastoletnią wojnę z Krzyżakami, którzy, mimo, że byli wspomagani przez Niemców, zostali pobici i za pośrednictwem legata papieskiego został zawarty w r. 1466 pokój w Toruniu, na mocy którego Zakon zwrócił Polsce Pomorze, ziemię Chełmińską, Michałowską, zachodnią część Prus z Malborgiem i Warmją, podczas gdy reszta Prus, ze stolicą w Królewcu, pozostała przy nim, jako lenno królów polskich.

Od tej chwili na wiek XVI i XVII przypada złoty okres największego rozkwitu miasta pod dobroczynnemi promieniami słońca kultury polskiej za panowania Jagiellonów.

„Królową Wisły” nazwał Toruń w swych wierszach, nasz poeta XVI w., Klonowicz. Bo też piękny zaiste jest ten starożytny nasz gród, zarówno dla swych, majestatycznych budowli, zdobiących wyniosły brzeg Wisły, jak i dla patrjotyzmu jego mieszkańców, którzy choć w większości pochodzenia niemieckiego, umieli ocenić walory narodu polskiego i przylgnąć doń całą duszą, stając się najwierniejszymi synami naszej ojczyzny.

Toruń był po przez wieki minione i jest on obecnie prawdziwym klejnotem w koronię polskiej, ale



Ogólny widok ratusza z rynkiem w dniu targowym. Fot. H. Poddębski.



Wywieszka cechu piekarzy z XVII w. z herbem Pomorza u góry.



Jedna z sal działu etnograficznego Muzem Miejskiego. Założone w r. 1861 Muzeum posiada cenne zbiory miejskie. oraz eksponaty, tyczące się wyłącznie Pomorza — kilku instytucyj naukowych. Po zbudowaniu nowego gmachu i reorganizacji ma być ono przetworzone na Muzeum Pomorskie. Specjalnie ciekawe są tam zbiory sztuki rzemieślniczej, dowodzące jak wysoko stało rzemiosło w tych czasach oraz dające dobre wyobrażenie o życiu ówczesnego mieszczanina.

nietylko ze względu na zewnętrzną oprawę i psychiczne przymioty, ale także dla materjalnych korzyści, jakie przyczyniał zawsze krajowi i sobie. Przez swe pomyślne położenie geograficzne bowiem, jako miasto graniczne, ustawione nad głębokim nurtem spławnej Wisły, tworzącej w tem miejscu przyrodzoną, dogodną przystań, i wobec odcięcia od morza, stał się on wewnętrznym, portem morskim Polski dla wwozu i wywozu naszego i aż do chwili rozwoju Gdańska, był największym ośrodkiem handlowym Polski i punktem pierwszorzędnym dla naszego tranzytowego handlu zagranicznego. Tu przychodziły statki z Bałtyku, z towarami zamorskiemi, tutaj przeładowywano przywiezione Wisłą albo lądem towary z Czech, Rusi i Węgier.

Te świetne warunki handlowe przyczyniły się do wzbogacenia miasta, dodając mu pewności siebie i odwagi, wyrabiając w nim poczucie niezależności i siły, oraz ściągając doń kupców i rzemieślników ze wszystkich stron świata.

Handel Torunia był wybitnie tranzytowy, a najważniejszym produktem eksportu było wywożone do Angji i Holandji zboże, którego dostarczały w obfitości żyzne ziemie polskie. Pozatem szły tędy z Polski w świat sól z żup wielickich i bocheńskich, futra z Litwy i Rusi, miód i wosk, w które obfitowały liczne barcie nasze, dalej słonina, sadło i łój. Drzewo i jego przetwory, jak dziegieć i smoła, z nieprzebytych naszych puszcz leśnych, spławiane tratwami przez flisaków, płynęło nieustanie szerokiemi falami Wisły.

I naodwrot Toruń był pierwszorzędnym punktem importu i sprzedaży, tak cenionego w średniowieczu sukna, które sprowadzane z Anglij, Flandrji i Niemiec, a następnie nawet wyrabiane na miejscu, rozchodziło się stąd na Polskę i kraje ościenne.

Pozatem Toruń zaopatrywał przez długie wieki Polskę i jej sąsiadów w ryby morskie, a szczególniej w śledzie. A tędy też poczęści drogą morską otrzymywaliśmy z Genui i Wenecji, tak pożądane w owych czasach korzenie i bakalje, jak pieprz, laurowe ziele, szafran, figi, migdały, rodzenki, a także olej ryż i południowe wina.

By jednak jaknajszerzej rozwinąć handel, na mocy przywilejów królewskich, odbywały się w Toruniu trzy razy do roku słynne jarmarki, zwane kontraktami, na które ściągali różnojęzyczni kupcy z całej ówczesnej Europy. Jarmarki były dla miasta nielada świętem, toteż otwarcie ich poprzedzało bicie w dzwony wszystkich kościołów, oraz różne uroczystości i zabawy. Podczas nich wolno było handlować w mieście obcym kupcom, co było w zwykłym czasie, dawnym obyczajem, surowo wzbronione.

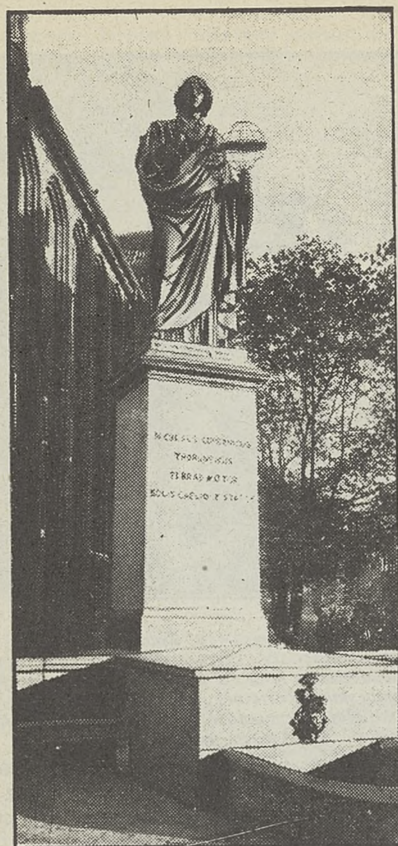
Te świetne warunki handlowe przyczyniły się do niezmiernego rozwoju miasta, to też zamożne mieszczaństwo wzniosło tyle kościołów, gmachów publicznych i domów prywatnych, spichlerzy i składów towarowych, że wkrótce w obrębie murów fortyfikacyjnych zabrakło miejsca na dalszą rozbudowę.

Wszystkie te budowle były utrzymane w stylu gotyku nadwiślańskiego, ze słynnej, toruńskiej cegły i zachowały się w większości nienaruszone. Rozrzucone na wzgórzach w pięknej panoramie ich wysmukłe, choć masywne wieżyce i baszty, i dziś jeszcze w blaskach zachodzącego słońca — płoną, jak głownie na tle pogodnego, wieczornego nieba.

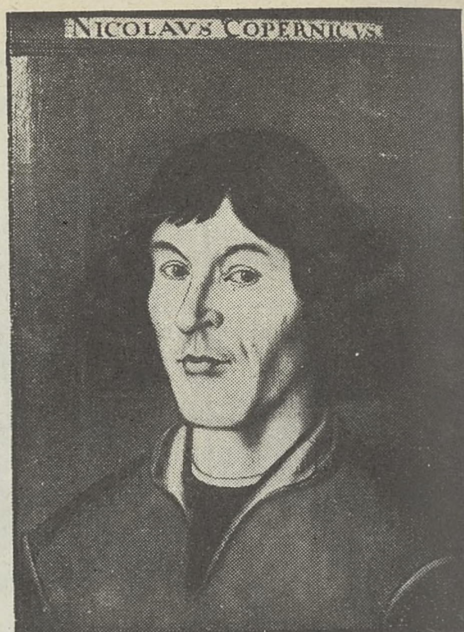
Okres wpływów polskich zapisał się olbrzymim rozwojem ruchu umysłowego w Toruniu. Tu w r. 1473 urodził się, chluba nasza, słynny astronom Mikołaj Kopernik, ten o którym mówiono „że słońce zatrzymał, a z posad poruszył ziemię."

W drugiej połowie XVI w. zajaśniało tu ożywcze ognisko wiedzy w postaci słynnego gimnazjum toruńskiego, o charakterze pół akademickim. Liczne drukarnie wypuszczają książki i broszury, rozchodzące się stąd po całym kraju.

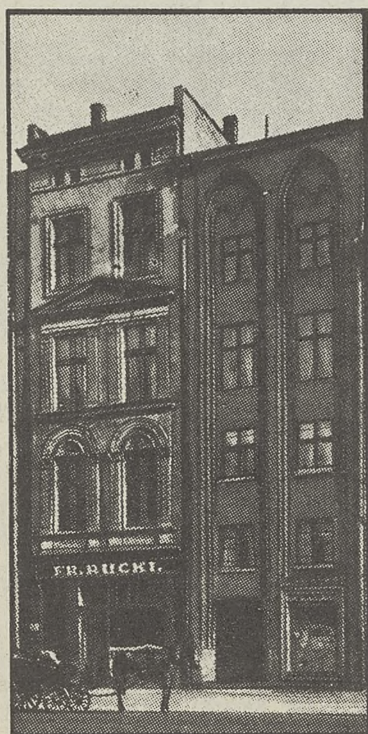
Nastaje okres reformacji i „nowinki" znajdują tu podatny grunt, to też wkrótce miasto, z wyjątkiem



Pomnik M. Kopernika wznoszący się przed ratuszem.



M. Kopernik, genjalny astronom polski i ojciec nowożytnej astronomji, urodził się w r. 1473 w Toruniu. Był on synem też Mikołaj?, który przeniósł się tu z Krakowa, a pochodził ze wsi Kopernik na Śląsku. Wielki astronom polski pierwsze nauki pobierał w Toruniu, potem w Akademji Krakowskiej. Po jej ukończeniu za namową swego stryja biskupa warmińskiego poświęcił się stanowi duchownem? i został kanonikiem katedry we Frauenburgu. Następnie zdobył doktoraty filozofji i medycyny na uniwersytetach w Padwie i Bolonji. Wróciwszy do kraju osiadł w Krakowie, gdzie napisał słynne swe dzieło astronomiczne, w którem oznajmił, że nie słońce kręci się w koło ziemi, lecz ziemia dokoła słońca Następnie przeniósł się do swei kanonji, gdzie w r. 1543 zmarł i został pochowany w katedrze frauenburskiej.



Dom gotycki na Rynku z r. 1650.



***Wskrzeszenie św.** Łazarza. Płaskorzeźba w drzewie z r. 1658.*

uboższej ludności polskiej, staje się całkowicie protestanckiem i wszystkie kościoły przechodzą we władanie ewangelików. Jednak pod koniec XVI w. przybywają do Torunia Jezuici i rozwijają energiczną akcję, która uwieńczona zostaje powrotem większości ludności i kościołów na łono katolicyzmu.

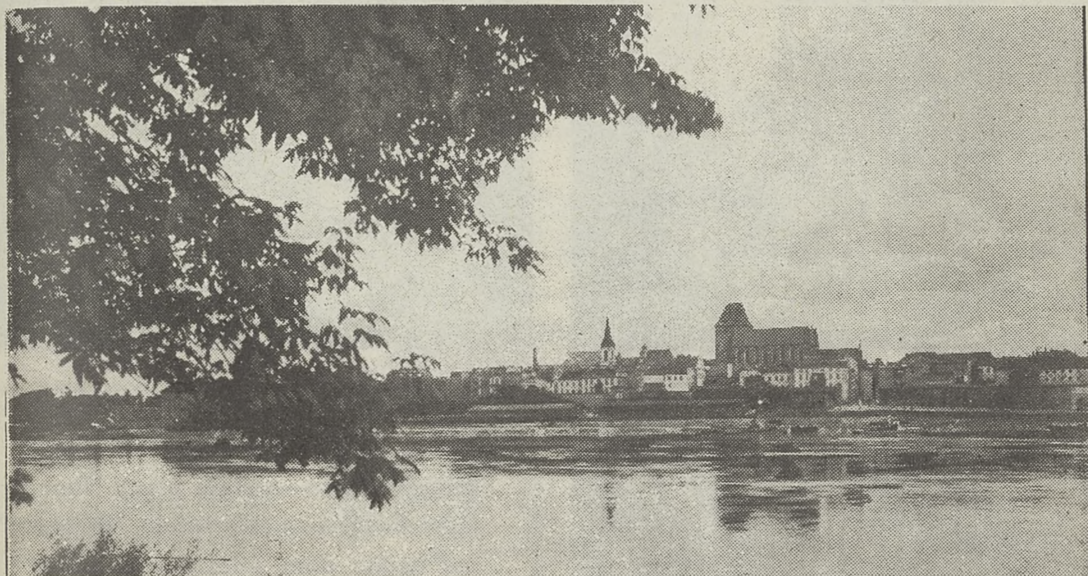
Pod koniec XV w. na jasnym horyzoncie Torunia, zjawia się groźny konkurent - Gdańsk, który usadowiwszy się bezpośrednio u ujścia Wisły, cały zamorski handel nasz skoncentrował w swych rękach, by wkrótce stać się największem miastem handlowem Polski. Daje się to bardzo ujemnie odczuć na dobrobycie miasta. Lecz prawdziwy kres kładą mu dopiero wojny szwedzkie, oraz olbrzymi pożar, po którym przez długie czasy podnieść się nie może.

Upada on jako centrum handlowe Polski, jedynie rzemiosło, a szczególniej złotnictwo i piernikarstwo, rozwija się nadal bez zmian.

celnemi. Ale rada miejska jest nieugięta. Nadchodzi rozbiór drugi. Bezbronne miasto, na znak protestu zamyka bramy, które Prusacy z wielkiemi ostrożnościami wyłamują i oto stary, nasz wierny gród staje się ich łupem.

Fryderyk II odwiedza swą nową, upragnioną zdobycz, ale w wyniku zainteresowania się nią, kollegjum jezuickie zostaje zamienione na koszary, zaś starożytny dwór Artusa, który zbyt przypomina dawne polskie czasy, zostaje zburzony.

Wojny napoleońskie budzą chwilowe, lecz niestety, krótkotrwałe i zawodne nadzieje. Toruń zostaje przyłączony w r. 1809 do Księstwa Warszawskiego. Przebywała tu przez pewien czas Rada Stanu Księstwa. A w r. 1813 jest on oblegany i zdobyty przez wojska rosyjskie, walczące z Napoleonem, którego klęska powoduje i upadek Księstwa. Toruń znów jest zajęty przez Prusaków.



Ogólny widok Torunia od strony Wisły z charakterystyczną, ściętą wieżą kościoła św. Jana.

Dzieje Torunia wykazują zawsze, charakterystystyczne dla tego miasta wierne przywiązanie do królów polskich. Objawiło się to zarówno w XV w. w samorzutnym wysiłku społeczeństwa toruńskiego, który włączył Pomorze i Prusy Królewskie w granice Rzeczypospolitej, jak i w następnych wiekach współżycia z Polską, w chwilach jej upadku oraz zmartwychwstania.

Wdzięczni monarchowie polscy nie szczędzili wzamian łask i przywilejów swym miłym poddanym. Najważniejszem z tych dobrodziejstw było przeniesienie przez Kazimierza Jagiellończyka o 10 klm. w górę Wisły, leżącego naprzeciwko miasta-rywala Nieszawy Król ten obdarował bez Toruń licznemi dobrami, z których dochody pozwalały opędzać prawie całkowicie potrzeby miasta bez opłacania podatków.

Kiedy przychodzą nieszczęsne chwile upadku Polski, Toruń łącznie z Gdańskiem, prowadzi rozpaczliwą walkę o utrzymanie łączności z Polską.

Skutkiem tego po pierwszym rozbiorze zostaje on przy Polsce, ale Fryderyk II zabiera bezprawnie wszystkie dobra miejskie i aby zmusić miasto do poddania się dobrowolnego, otacza je komorami

Nastaje stuletni okres niewoli pruskiej. Dawny wielkoduszny patrycjat miejski, o szerokich, wolnościowych aspiracjach, wymiera lub opuszcza miasto. Pozostaje przeważnie zbiedzony, drobno-mieszczański, rzemieślniczo-robotniczy żywioł, który starych tradycyj nie posiada, już w całej pełni. Rząd pruski zamienia tę kresową, zachodnią stolicę w prowincjonalne, pograniczne miasto, które w celach strategicznych i germanizacyjnych czyni dużą fortecą oraz ważnym węzłem kolejowym i ośrodkiem wielu urzędów.

Ciągły kontrakt z Kongresówką i wpływy Wielkopolski podtrzymują jednak ducha narodowego, który tymczasem rozwija się na jedynie dostępnym podłoż ekonomicznym, skutkiem czego powstaje tu wie instytucyj gospodarczych, a następnie społecznych i oświatowych, z Tow. Naukowem, jednem z najstarszych w Polsce, na czele.

Dziś Toruń, jako stolica województwa pomorskiego, posiada tak czysto polskie oblicze, że Niemcy pojąć niemogli, że tak prędko opadł z niego tynk germańskiej kultury. Nic w tem jednak nie ma dziwnego, wszak mury jego przez całe wieki nasiąkały szczerze polskim duchem.







Zabytkowa dzielnica Warszawy, Stare Miasto—została przez Niemców zniszczona całkowicie. Nie ocalał żaden dom mieszkalny, żadna świątynia, żaden warsztat pracy. Setki historycznych budowli legło w gruzach lub padło pastwą ognia. Na zdjęciu górnym, na lewo, widzimy wypalone doszczętnie kikuty domów przy ulicy Piwnej, obok gruzowiska ulicy Rycerskiej, jednej z największych i najbardziej charakterystycznych uliczek Starego Miasta. Dolne zdjęcie przedstawia ocalałą jakimś przypadkiem rzeźbę wśród rumowisk najstarszego z istniejących w Warszawie kościoła gotyckiego Panny Marii, na Nowym Mieście.

HUMOR KOREAŃSKI

AMERYKAŃSKI KŁOPOT

Amerykanie mają na Korei sporo kłopotu z tubylcami. Jak ich odróżniać?

Którzy są północni, którzy południowi? Przecież i jedni i drudzy są tak samo żółci.

Ostatnio zastosowano następującą metodę:

Łapie się podejrzanego Koreańczyka, pakuje mu się pod pachę termometr Celsjusza — jak ten wykaże powyżej 38 stopni — to wtedy jest na pewno północny Koreańczyk.

POLITYCZNE KONIE

W Tokio w głównej kwaterze amerykańskiej doszło do zerwania konferencji prasowej.

Zebranych dziennikarzy poinformowano, że podczas jednego z ataków lotniczych na koncentrację nieprzyjacielską zabito 50 komunistycznych... koni.

Dowcipny reporter angielski zadał wówczas następujące pytanie:

A czy Pan Przewodniczący konferencji mógłby nas poinformować ile padło dotychczas... antykomunistycznych koni?

Pozbyty zmysłu humoru przewodniczący konferencję prasową przerwał.

NIEDOWIERZAJĄCA BABINA

Drobni sklepikarze, to największe łobuzy. Wykorzystują każdą sposobność dla podniesienia cen i wzniecania paniki. Gdy wybuchła wojna na Korei szeptem namawiali każdego klienta w Niemczech do robienia zapasów cukru.

No i cukru w sklepach zabrakło.

Później sytuacja na Korei poprawiła się i cukier znowu pojawił się na rynku.

Ale w grudniu r. ub. ruszyła ofensywa komunistyczna.

Wówczas znowu podrożały świeczki choinkowe, a pewien kupiec pocieszał jakąś strapioną babinę, że świeczki podrożały zapewne z powodu wojny na Korei.

Zdziwiona babina odrzekła:

„Mój Panie, chyba żołnierze na Korei nie walczą przy świeczkach".

AUTENTYCZNE

W pewnym odległym punkcie Korei reporter fotograficzny na próżno czekał na możliwości transportowe do głównej kwatery prasowej. Wreszcie zatrzymał się wóz z żółtą chorągiewką. Był to samochód admirała Houstera.

Wyższy oficer marynarki, prawdopodobnie adiutant, wychylił się z samochodu. Fotoreporter przedstawił się mu.

— Hm... fotograf — powiedział nieufnie oficer — a gdzież pan ma swój aparat fotograficzny?

Fotograf odparł w tym samym tonie:

— Hm... admirał a gdzież pan ma swoją flotę?

ZMIENIONY ZWYCZAJ

Przed laty Koreę zwiedzał amerykański komik i podróżnik Jackie Kahane i dziwił się bardzo widząc Koreańczyka, jadącego na mule, a za nim drepczącą jego żonę.

— To jest taki nasz zwyczaj — wyjaśnił Koreańczyk.

Tenże Amerykanin, teraz jako porucznik, spotkał tego samego Koreańczyka jadącego na mule, ale jego żona biegła przed nim.

— Czy przypomina pan sobie mnie? — zapytał Jackie Kahane.

— Oczywiście.

— Ostatnim razem spotkaliśmy się w r. 1937 w okolicy Seulu, ale wówczas pańska żona biegła z tyłu. Dlaczego teraz biegnie przodem? zapytał Amerykanin.

— Przecież to jasne — odpowiedział Koreańczyk, kiwając swą mądrą, żółtą głową. — Z powodu zaminowania dróg.

O WOJNIE KOREAŃSKIEJ

Alianci — takie ponieśli straty,
Chińczycy — tylu stracili ludzi;
Po roku — front tam, gdzie był z początku;
Komu pierwszemu się znudzi?



KOREAŃSKIE ODZNACZENIE

Amerykański ppłk. E. Hess odbył nad Koreą 230 bohaterskich lotów bojowych za co otrzymał najwyższe odznaczenie koreańskie.

W kilka dni po nadaniu orderu do kwatery ppłk. Hessa „delegacja rządowa" przyprowadziła woła.

Według koreańskiej tradycji, odznaczony najwyższym orderem otrzymuje na dodatek „praktyczny" i pożyteczny podarek w postaci... woła.

SZLAGIER KOREAŃSKI

Orkiestry i teatry armii czechosłowackiej otrzymały do wystawienia nowe dzieło *„Ręce precz od Korei"* (na chór i orkiestrę).

Dlaczego nowego hymnu nie poświęcono Stalinowi?

Przecież to on z pewnością gra pierwsze skrzypce w orkiestrze koreańskiej.

NA WSZELKI WYPADEK

Sprawozdawca wojenny agencji amerykańskiej *Asociated Press*, O. H. P. King był bardzo zdziwiony, gdy na wysuniętej placówce na froncie koreańskim otrzymał od Tow. Ubezpieczeniowego list tej treści:

— Pan jest w nieprzyjemnej sytuacji, gdyż upływa ważność Pańskiego ubezpieczenia od wypadku. Nieszczęśliwe wypadki mają tę właściwość, że wydarzają się wówczas, gdy police nie została odnowiona.

Najbliższą pocztą King przesłał składkę ubezpieczeniową... na wszelki wypadek.

WOLI KOREĘ NIŻ... GLASGOW

Konduktor autobusowy z Glasgow, John Symington poprosił o zwolnienie z posady i zgłosił się na ochotnika do oddziałów wysyłanych na Koreę.

— Nie przypuszczam — oświadczył Symington — aby północni Koreańczycy mogli być bardziej zaczepni niż niektórzy pasażerowie w Glasgow.

„DRĘCZĄCA NIEPEWNOŚĆ"

Niedawno podano wiadomość o zestrzeleniu sowieckiego bombowca z czerwoną gwiazdą i znalezieniu przy lotniku w sowieckim mundurze legitymacji z pewnej formacji sowieckiej na nazwisko Wasyli Miszin.

Podając tę wiadomość, komentator radiowy dodał uwagę, że nie jest pewnym, czy to był naprawdę samolot sowiecki

Ta „niepewność" komentatora przypomina stary kawał, o mężu i jego żonie zdradzającej go z przyjacielem we własnym domu.

Nieszczęśliwego męża dręczyła wciąż niepewność...

Aż wreszcie podpatrzył moment, gdy żona z gachem weszła do sypialni i przez dziurkę od klucza zobaczył, że oboje rozebrali się i położyli do łóżka. a potem zgasili światło.

I wówczas nieszczęśliwy mąż jęknął: Uj! Ta niepewność! Czy naprawdę oni...

(Bo on, t. j. mąż, wciąż nie wierzył w jej zdradę).





Widok na dawny Zamek Królewski (przed spaleniem) w Warszawie, na froncie Kolumna Zygmunta.

JANINA ZDAWCZYŃSKA—BRAUN

PRZEPROWADZKA

WIATR dął z potępieńczym świstem, potrząsając wściekle okiennicami, a deszcz grubemi swemi kroplami niemiłosiernie smagał twarze przechodniów.

Pani Michałowa siedziała przy oknie i niecierpliwie wyczekiwała na listonosza.

— Że też taka zawierucha — myślała, patrząc na ulicę — właśnie dziś, gdy spodziewam wlśnie dziś, gdy spodziewam się ważnej wiadomości od męża.

Podczas oczekiwania mimowoli spojrzała w lustro i bezwiednie prawie sięgnęła po torebkę z pudrem i ružem. W tylu powieściach czytała, że bladość cery nadaje kobietom wyraz interesujący, a tu bladość, zamiast przysporzyć jej wdzięku, nadawała jej twarzy wygląd mizerny i zmęczony.

Po godzinie wiatr uspokoił się i deszcz przestał padać. Jakby czekając na to, w ulicy ukazał się upragniony listonosz.

Pani Michałowa wybiegła na jego spotkanie. Odebrawszy kopertę, szybko ją rozpieczętowała i chciwie poczęła przebiegać list ciekawemi oczyma.

"Skarbie mój" pisał Michał. "Posadę otrzymałem odrazu i to na bardzo dobrych warunkach. Wynagrodzenie mam dostawać znacznie wyższe, niż przypuszczaliśmy i z tego powodu wynająłem umeblowany dom. Jestem pewny, że będziesz z niego zadowolona. Na osobnej kartce podaję Ci adres.

"Załączam klucz od tylnych drzwi, gdyż nie będę mógł spotkać Cię na kolei. Wiem, że mi wybaczysz, gdy pomyślisz, że nie wypada mi zaraz w pierwszych dniach prosić o zwolnienie od pracy. Przyjeżdżaj tedy jutro i wprost z kolei jedź do naszego domu. Ściskam Cię serdecznie,

Twój kochający mąż,
Michał."

W pierwszej chwili zrobiło się pani Michałowej cokolwiek markotno, że sama musi jechać do nieznanego miasta, ale wnet rozweseliła ją myśl, że podróż nie będzie bardzo długa i kłopotliwa, gdyż nie miała wiele bagaży do zabierania.

Adres i klucz schowała troskliwie do torebki. Raniutko zapakowała walizkę, szybko ubrała się i, nie jedząc nawet śniadania, pojechała na dworzec kolei.

O dziesiątej przed południem znalazła się pani Michałowa na miejscu przeznaczenia. Czuła się tak zmęczona i śpiąca, że nie odebrała walizki, która była oddana na bagaż, tylko wzięła taksówkę, żeby jaknajprędzej dostać się pod wskazany przez męża adres. Walizkę postanowiła odebrać później; na razie chodziło jej tylko o wypoczynek.

Dom, przed którym stanęła taksówka, podobał się jej bardzo z zewnętrznego wyglądu, gdyż był czyściutki i miał od frontu śliczny, choć niewielki ogródek. Wysiadłszy z taksówki, obeszła dom dokoła i bez trudności otworzyła tylne drzwi kluczem, przysłanym przez męża.

Miała zamiar zaraz obejrzeć pokoje, ale zmęczenie i senność wzięły górę nad ciekawością. Położyła się na kanapie i natychmiast mocno zasnęła. Spała twardo przeszło godzinę, a gdy otworzyła oczy, poczuła gwałtowny głód. Szybko wstała i przeszła do kuchni w nadziei, że znajdzie tam cokolwiek do jedzenia.

Jakaż miła niespodzianka czekała ją w czystej i schludnej kuchni! Nie tylko, że spiżarnia była obficie zaopatrzona w najrozmaitszą żywność, ale i elektryczna lodownia zawierała różne przysmaki gotowe do jedzenia.

Łzy stanęły w oczach pani Michałowej na tak wymowne znaki miłości i troskliwości męża.

Potrawy były tak smaczne, że zjadła za czterech. Pokrzepiona i wypoczęta, wesoło zabrała się do obejrzenia całego mieszkania i przestawiania mebli według własnego upodobania. Poprzesuwała rzeczy w saloniku, a z resztą mieszkania postanowiła zaczekać na męża. Tymczasem wyszła do ogródka, by go obejrzeć.

Ucieszyła się, widząc, że w przyległym ogródku była jakaś kobieta. Czuła potrzebę porozmawiania z kimś i pierwsza przemówiła do sąsiadki. Zagaiła rozmowę zwykłym frazesem o pogodzie, ale zanim miała sposobność przejść do ciekawszego tematu, z okna przyległego domu ozwało się głośne wołanie:

— Maryniu, już późno. Chodź zaraz do domu i bierz się do przygotowania obiadu. Panicz zaraz przyjdzie.

Na głos ten kobieta z ogródka czemprędzej pobiegła do domu i z pośpiechem znikła za drzwiami tylnej werandy, nie skinąwszy nawet głową na pożegnanie pani Michałowej.

— Tam, do licha — szepnęła pani Michałowa — a to wpadłam, wdając się w rozmowę ze służącą. Pani jej gotowa pomyśleć, że chciałam zasięgać od służby wiadomości o sąsiadach.

Zmieszana wróciła do mieszkania. Postanowiła obejrzeć pokoje na piętrze. Pierwsza sypialnia przypadła jej do gustu,

ale że nie lubiła, by łóżko stało przy ścianie, zaraz odsunęła je ku środkowi pokoiku, by stało tak, jak ona była przyzwyczajona.

Zmieniwszy wygląd pierwszej sypialni, udała się do drugiej i w progu stanęła jak wryta. W pokoju panował nieład. Części kobiecego ubrania poniewierały się po łóżku i krzesłach, na komodzie był rozsypany puder, z pół otwartych szuflad wyglądały jedwabie i koronki damskiej bielizny.

Straszne przeczucie ogarnęło panią Michałową. Chwiejnym krokiem zeszła na dół i drżącemi rękami wyszukała w torebce kartkę z adresem. Pamiętała dokładnie, że podała szoferowi numer 113, a na kartce zamajaczył przed jej przerażonemi oczyma numer 1113! Ulica ta sama.

Więc znajdowała się pod mylnym adresem, w cudzym domu...

— Że też musiałam pokazywać się służącej z tamtego domu — huczało jej w głowie. — Może już policja jest zawiadomiona i tylko czatują na mnie, by schwytać jako złodziejkę...

Ręce trzęsły się jej, gdy wkładała kapelusik na głowę. Chwyciła torebkę i rozejrzawszy się ostrożnie dokoła, wypadła z domu na ulicę. Nogi uginały się pod nią, gdy szła do narożnika.

Skręciła w najbliższą przecznicę i odetchnęła cokolwiek.

Przekonała się wreszcie, że nie jest ścigana i uspokoiła się. Gnębiła ją tylko myśl, że nie tylko najadła się w cudzym domu, ale na dodatek nie pozmywała naczyń i poprzestawiała meble.

— Wyobrażam sobie — myślała, przechodząc z ulicy na ulicę, by tylko jaknajdalej znaleźć się od owego domu — jakie oczy zrobią właściciele, gdy powrócą. A cóżby było, gdyby mnie tak byli zastali gospodarującą w ich mieszkaniu!

Po godzinie wędrówki po ulicach, zmęczona i utrudzona do najwyższego stopnia wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć pod właściwy adres. Spojrzała na kartkę i upewniła się, czy znów się nie myli. Nie. Numer był właściwy.

Z zadowoleniem zauważyła, że dom był podobny do tamtego, który niedawno opuściła. Gdy taksówka odjechała, pani Michałowa obeszła do tyłu domu i już wkładała klucz do zamka, gdy nagle usłyszała za sobą kroki.

Omal ze skóry nie wyskoczyła ze strachu. Była pewna że to policjant w pogoni za nią. Z wysiłkiem obejrzała się.

Za nią stała mała dziewczynka o ślicznych szafirowych oczach i miłej twarzyczce, uśmiechając się rozkosznie.

— Czy to pani nazywa się Bączek? — spytało dziecko.

Pani Michałowa odetchnęła głęboko i przytaknęła.

— Pan Bączek będzie w domu dopiero o piątej — oznajmiła mała i pokazując białe ząbki w szerokim uśmiechu, dodała: — A ja nazywam się Andzia i mieszkam w tamtym domu. A to jest mój braciszek, Kazio...

Wskazała rączką na chłopczyka trzyletniego, który ogromnie był zajęty zbieraniem kamyczków przy furtce ogródka.

Pani Michałowa podziękowała dziewczynce, pogłaskała chłopczyka po jasnej główce i weszła do domu. Zdjęła okrycie i kapelusz i postanowiła czekać na męża.

Przyszedł po piątej. Po radosnem przywitaniu żony zaproponował, by poszli do restauracji zjeść kolację, gdyż w domu nic jeszcze nie było. Chętnie zgodziła się na plan męża i wkrótce znaleźli się za stołem pobliskiej jadłodajni.

Pan Michał dziwił się mocno małomówności małżonki i przypuszczał, że rozmowna zwykle i wesoła jego towarzyszka jest bardzo zmęczona i niewyspana, i że to właśnie powoduje jej milczenie. Nie domyślał się, że pani Michałowa kombinowała, w jaki sposób opowiedzieć mężowi o niezwykłej przygodzie. Nie mogąc jednak znaleźć nic odpowiedniego, odłożyła swe opowiadanie na później.

Pan Michał tymczasem zaczął mówić coś, co odrazu wprowadziło ją w podniecenie. Oto żona jednego z jego kolegów biurowych wyszła z domu na cały dzień i podczas jej nieobecności ktoś zakradł się do ich domu i pozjadał wszystko, co mieli przygotowane na kolację. Nie dosyć na tem, bo poprzestawiał meble i narobił nieporządku w całem mieszkaniu. Najciekawsze zaś to, że oprócz jedzenia niczego nie brakuje w mieszkaniu. Chcieli dać znać do policji, ale rozmyślili się i postanowili przemilczeć całą sprawę, by się nie rozniosła i nie narażała ich na kpiny ze strony znajomych.

— A gdzież oni mieszkają? — zapytała pani Michałowa, chociaż wiedziała jakiej odpowiedzi może się spodziewać.

— O, na drugim końcu tej ulicy, na której my mieszkamy — odparł mąż niedbale.

— A może to kto zabłądził i zrobił to nie umyślnie? — wtrąciła.

— A jakże! — zaśmiał się pan Michał. — Nic innego, tylko ktoś ze znajomych urządził im wcale niesmaczny kawał.

— Skądże ty o tem wiesz? — dopytywła się małżonka.

— Żona mego kolegi telefonowała do niego do biura.

Idąc do domu, pani Michałowa myślała:

— Jednak to niegodziwi ludzie! Mówią, że zjadłam wszystko, co mieli przygotowne na kolację, a tam przecież sporo jeszcze do jedzenia zostało. I powiadają że nieporządku narobiłam. A przecież teraz tamto mieszkanie o wiele lepiej wygląda z poprzestawianemi meblami.

Ostatecznie pani Michałowa nie powiedziała mężowi ani nikomu o swej przygodzie, ale po dziś dzień czuje wstręt do wszelkich przeprowadzek i do drugiego końca ulicy, na której mieszka, a w szczególności do fatalnego numeru 113, jak i do wszystkich trzynastek.



Humor Krajowy

NOWE NORMY.

Premier sowieckiego rządu w Polsce Cyrankiewicz wydał ostatnio poufny okólnik do podwładnych mu urzędów, w którym zawarte są dokładne przepisy, dotyczące rodzaju i czasu trwania owacji przy różnych okazajch i okolicznośiach.

Polecił on stosować następujące gradacje w oklaskach: gdy padnie nazwisko — STALIN — wówczas prezydium zebrania, referenci i cała publiczność mają powstać i z entuzjazmem klaskać 25 razy. Przy wymienieniu nazwiska Rokossowskiego, obecni mają również podnieść się z siedzeń ale oklaski należy ograniczyć do 15 razy. W wypadkach zaś wspominania „prezydenta" Bieruta — można siedzieć i wystarczy 10 oklasków.

STACHANOWCY AKTYWIŚCI

Musicie być aktywistami ruchu stachanowskiego — mówił funkcjonariusz partii komunistycznej do polskich chłopów.

Ale ani oni ani ich sąsiedzi nie wiedzieli, co to jest stachanowski aktywista.

Wobec tego jeden z chłopów pojechał do Moskwy, aby u samego Stalina poinformować się, co to jest stachanowski aktywista.

— Widzisz tam autobus na ulicy? — zapytał Stalin — Otóż jeśli zamiast jednego autobusu na godzinę przejeżdżać będzie dziesięć, to zawdzięczamy to stachanowskim aktywistom.

Chłopak wrócił do swej wsi i zwołał zebranie.

Właśnie drogą przejeżdżał karawan.

— Widzicie — rzekł chłop — jeżeli zamiast jednego karawanu na godzinę, przejeżdżać będzie dziesięć będziemy to zawdzięczać stachanowskim aktywistom.

* * *



CHCIAŁ COŚ POWIEDZIEĆ

Vicepremier reżymowy min. Minc przybył do Moskwy. Po audiencji u Stalina pewien generał sowiecki zwrócił mu uwagę:

Towarzyszu Minc! Wy się bardzo niegrzecznie zachowaliście! Obywatela ministra ogarnelo przerażenie:

— Nie wiem towarzyszu generale, co macie na myśli?

— Hm. W czasie gdy generalissimus zaszczycił was rozmową najmniej 5—7 razy ziewnęliście!

Ależ towarzyszu generale — odparł z ulgą Minc — ja przecież nie ziewałem — lecz chciałem choć raz coś powiedzieć...



WIĘ LEPIEJ...

W tramwaju warszawskim dwóch pasażerów opowiadają sobie kawały.

— Niech mi ob. powie, jaka jest różnica między pudrem a rządem?

Drugi pasażer usiłuje zgadnąć, lecz w końcu oświadcza, że nie wie.

— No to ja obywatelowi powiem: różnica jest taka, że puder jest do twarzy, a rząd jest do ..!"

Na to jeden z pasażerów, siedzący w drugim końcu wagonu, podszedł do opowiadającego i spytał grzecznie:

— Jeśli obywatel taki mądry, to niech mi obywatel powie: jaka jest różnica między obywatelem a tramwajem? — Nie wiem obywatelu. To ja obywatelowi powiem. Tramwaj pojdzie dalej sam, a obywatel pójdzie ze mną!

Przerażony pasażer usiluje się usprawiedliwić:

— Ależ Obywatelu, ja wcale nie myślałem o naszym rządzie, ja miałem na myśli rząd londyński.

Tajniak zastanowił się na chwilę głęboko:

— Niech Obywatel mnie nie buja: już ja wiem lepiej, który rząd jest do ...!"

W MOSKWIE LEJE.

W piękny słoneczny dzień pewien wysoki urzędnik amerykańskiego Depart. Stanu spotkał na ulicy w Waszyngtonie ambasadora reżymowego Winiewicza w płaszczu gumowym i z parasolem pod pachą.

Czy Pan Ambasador sądzi, że niebawem zacznie padać deszcz — zapytał Amerykanin.

Nie — odpowiedział Winiewicz — ale właśnie wychodząc z Ambasady otrzymałem wiadomść, że w Moskwie leje.

PATRIOTYCZNY STRAŻAK.

W jednej ze wsi powiatu poznańskiego zapalił się rosyjski samochód wojskowy. Mieszkańcy z satysfakcją patrzyli na palący się samochód i nikt nie spieszył się z pomocą w ugaszeniu. Tylko jakiś niepokaźny staruszek podbiegał do płonącego wozu i polewał niepłonące jeszcze części.

Z grupy widzów rozległy się okrzyki niezadowolenia a jakiś dryblas chwycił go za kołnierz i zawołał:

— Dlaczego idioto stary lejesz wodę na ten samochód? Niech nasi „wybawcy" sami ugaszą ten gruchot!

— Przestraszony tym staruszek spojrzał ze zdziwieniem na „prowodyra" i odrzekł drżącym głosem:

— Jakto „wodę" — przecież w polewaczce ja mam benzynę...

ZNALIŚMY...

W polskiej szkole reżymowej:

Nauczyciel: — Aż do wkroczenia wojsk radzieckich Polska była krajem nieskończenie zacofanym. Nie znała żadnej ze zdobyczy przodującej świata sowieckiej kultury.

Głos z tylnej ławki:

— Owszem. Znaliśmy zegarki.

* * *

KURSANCI I INSTRUKTOR.

W jednej z fabryk na Górnym Śląsku odbywa się specjalny kurs samoobrony. Kandydaci uczą się, jak bronić fabryki przed sabotażystami i partyzantami.

Instruktor pyta: jednago ze słuchaczy.

— Co zrobicie towarzyszu, gdy na podwórzu zjawią się żołnierze amerykańcsy?

Milczenie.

— No, Przechwalski, co zrobicie?

Przechwalski: — Mój Boże, ja już sobie jakoś dam radę. Ale co z wami będzie, co wy zrobicie?

CO DAJĄ?

Przed jednym z warszawskich sklepów ustaliła się długa kolejka. Do ostatniego podchodzi nowoprzybyły i grzecznie zapytuje: Przepraszam obywatela, co tutaj dają? Zirytowany długim czekaniem, — zapytany odpowiada: Jeśli obywatel stanie przede mną, to dostanie po mordzie...



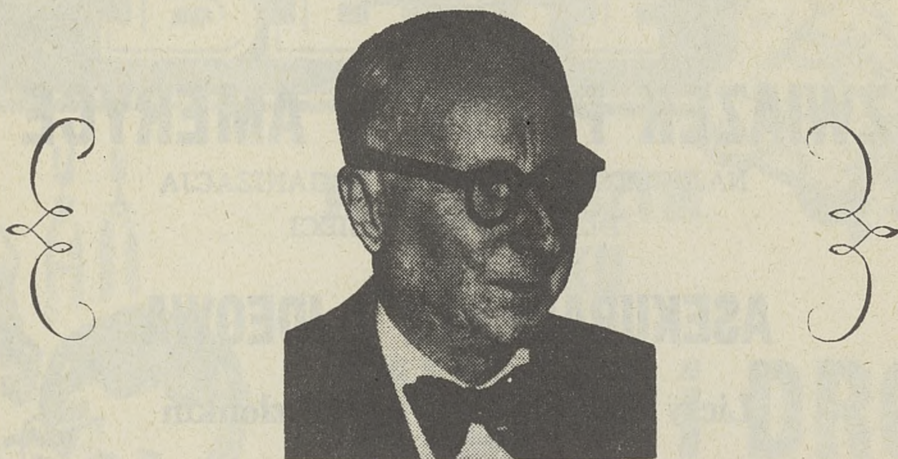




Niszczenia zabytków Niemcy nie ograniczyli do Starego i Nowego Miasta. Każdy dokument kultury polskiej był unicestwiany z pasją na terenie całej stolicy. Toteż nie jest bynajmniej przypadkiem, że spośród 900 obiektów zabytkowych w Warszawie zostało zniszczonych 810. Na zdjęciu u góry poszczerbione resztki pałacu Branickich, przy ulicy Miodowej. Na prawo — martwy krajobraz Nowego Miasta. U dołu — strzaskana "szczekaczka" niemiecka na Starym Mieście, z której Niemcy głosili o swych "miażdżących" zwycięstwach pod Moskwą.



Bierzmy udział czynny w życiu politycznym St. Zjednoczonych



Sędzia Edmund K. Jarecki

Pierwsi imigranci polscy, którzy przybyli tutaj po powstaniach w roku 1831 i 1863 nie pozostawili nam w spuściźnie większego dorobku. Złożyły się na to różne powody. Przede wszystkim ta emigracja nie była liczna i brak jej było zmysłu organizacyjnego.

Dopiero emigracja z okresu wojny francusko-pruskiej zaczęła kłaść fundamenty pod nasze życie organizacyjne. Rozumiała ona, że w pojedynkę większych rzeczy się nie dokona. Powstały więc najpierw mniejsze towarzystwa i kluby polskie, które dały początek wielkim organizacjom, będącym dziś wielkim plusem nie tylko dla Polonii, ale dla całego narodu amerykańskiego, którego jesteśmy cząstką.

Słyszymy często zdanie, że należy dążyć do zapewnienia lepszej przyszłości tym, którzy po nas przyjdą. Nie wystarczy jednak to zdanie głosić, trzeba się do niego stosować. Ta przyszłość od nas zależy. Będzie ona świetna, jeżeli nie będziemy szczędzić zabiegów i wysiłków i hasło "w jedności siła" przestanie być dla nas pustym frazesem.

Wzajemne popieranie się dokonać może wprost cudów i postawi nas w tutejszym życiu gospodarczym i politycznym na wyżynie i zdobędzie dla nas szacunek całego społeczeństwa amerykańskiego. Im więcej będzie nazwisk polskich na urzędach publicznych, tym większy będzie szacunek dla ogółu obywateli krwi polskiej.

Bądźmy duchem zjednoczeni i jednością silni.

E. K. Jarecki

Sędzia Powiatowy Powiatu Cook

w Stanie Illinois



ZWIĄZEK POLEK w AMERYCE

NAJWIĘKSZA W ŚWIECIE ORGANIZACJA

DLA KOBIET I DZIECI

ASEKURACYJNA i IDEOWA

Liczy Przeszło 81 Tysięcy Członkiń

GRUPY W KAŻDYM WIĘKSZYM OSIEDLU POLSKIM
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

PROWADZI KLASY TAŃCÓW REGIONALNYCH DLA MŁODZIEŻY
WYDAJE STYPENDIA DO UNIWERSYTETÓW AMERYKAŃSKICH

Zasoby: Przeszło $13,000,000.00

Od Założenia Wypłacono Pośmiertnego

Przeszło $8,000,000.00

GŁÓWNE BIURA:

POLISH WOMEN'S ALLIANCE of AMERICA

1309 North Ashland Avenue

Chicago 22, Illinois



NOVAK'S

Choice Quality

BEEF





W NAJLEPSZYM GATUNKU

MIĘSO i DRÓB

ORAZ

PIERWSZORZĘDNE WĘDLINY

Po Cenach Niższych
Niż Gdzieindziej
Dostaniecie Zawsze
w Naszych
Polskich Składach

NOVAK'S STOCK YARD MARKETS

JÓZEF NOVAK, Prezes

4820 S. ASHLAND	YArds 7-1949	3059 S. HALSTED	CAlumet 5-4995
2158 W. CERMAK	SEeley 8-4294	3237 N. ASHLAND	BUckingham 1-6450
3139 W. CERMAK	ROckwell 2-5263	2353 W. MADISON	CAnal 6-2317
1531 W. CHICAGO	CHesapeake 3-9561	1566 N. MILWAUWEE	HUmboldt 6-5823
1707 W. CHICAGO	MOnroe 6-5671	2600 W. NORTH	HUmboldt 6-5098
2604 W. DIVISION	ARmitage 6-4565	3363 W. NORTH	CApitol 7-3438
1716 W. 18-TH	SEeley 8-1140	1200 N. WELLS	MIchigan 2-6391

Nowoczesna Kuchnia Dla Nowoczesnej Gosposi

Nowy Piec Gazowy

Przedewszystkiem nowy piec gazowy kosztuje taniej przy nabyciu i taniej podczas używania go. Posiada on wiele zalet . . . gotowanie jest łatwiejsze i szybsze. Szybki płomień gazowy nadaje się nadzwyczajnie do mięsiwa. Piec jest czysty, chłodny i łatwy do nabycia.

Servel — Gazowy Refrigerator

Piękny gazowy refrigerator nie ma części ruchomych w swym systemie zamrażania. Działa zawsze cicho, trwa dłużej i nie macie kłopotu z naprawami refrigeracji gazowej. To spowodowało, że tysiące je kupują.

Automatyczny Gazowy Ogrzewacz Wody

Wasz plumbiarz wam powie, że automatyczne gazowe ogrzewanie wody jest tańsze. Jest ono zawsze gotowe dostarczyć wam dosyć gorącej wody, ile jej możecie potrzebować. Otrzymujecie **więcej** gorącej wody, **szybciej** i **tańszym** kosztem. Zapoznajcie się z tą lepszą obsługą.

Nowoczesna kuchnia jest przyjemnością dla każdej gosposi. Pomówcie o tym z waszym dostawcą lub zwróćcie się do najbliższego składu Peoples Gas jeszcze dzisiaj.

The Peoples Gas Light and Coke Company

PEOPLES FEDERAL SAVINGS

Czarterowana i Pod Kontrolą Rządu Stanów Zjednoczonych

1700 W. 21st Street

CHICAGO



Konto oszczędnościowe można zacząć od $5.00 i wyżej w każdy dzień. Pieniądze włożone pomiędzy 1-szym a 10-tym miesiąca, zarabiają Wam dywidendy za cały miesiąc.

Oszczędzajcie w tej Popularnej Instytucji, gdzie wasze konta są zaasekurowane od straty i przynoszą dobry zarobek. Możecie oszczędzać przez Pocztę — piszcie po szczegóły.



ZAŁOŻONA 1912

Tel. CAnal 6-5465

ZASOBY PRZESZŁO $6,000,000.00

ZARZĄD:

STANLEY W. ROPA, Prezes
AL. C. ROPA Egz., W. Prezes i Sekr.
MICHAEL WLEZIEN, Dyrektor
WALTER A. ROPA, Dyrektor
JOSEPH J. BARC, Wice-Prezes
JOSEPH F. ROPA, Wice-Prezes i Kasjer
HENRY CZEKAJSKI, Dyrektor
C. J. DANKOWSKI i W ROJEK, Adwokaci

Sincere Greetings For 1953

TO ALL MEMBERS OF THE
POLISH NATIONAL ALLIANCE

Toale Appraisal Organization, Inc.

111 WEST WASHINGTON STREET

TEL. RANDOLPH 6-6030 **CHICAGO, ILL.**

JOSEPH P. TOALE

KOMPLETNA OBSŁUGA BANKOWA

- KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE
- KONTA CZEKOWE
- POŻYCZKI AUTOMOBILOWE
- POŻYCZKI REALNOŚCIOWE
- POŻYCZKI BYZNESOWE
- BIURO ZAGRANICZNE

URZĘDNICY:

FRANK BOBRYTZKE
Przewodniczący

H. S. FRENCH
Prezes

C. N. PALECZNY
Kasjer

M. A. SAJEWSKI
Wiceprezes

VICTOR JANKOWSKI
Asystent Kasjera

FRANK A. BRANDT
Wiceprezes

JOS. B. DUBIEL
Asystent Kasjera

JOSEPH M. BARON,
Asystent Wicepr.

EDWARD WOJNOWSKI
Asystent Kasjera

PAUL MITCHELL
Audytor

Parking Lot na Division Ulicy Obok Banku

Otwarte Co Piątek Wieczorem

Zamknięte Cały Dzień w Soboty

THE MANUFACTURERS NATIONAL BANK

OF CHICAGO

1200 N. Ashland Ave.

BRunswick 8-4040

NAJLEPSZY WĘGIEL I OLEJ DOSTARCZA POLSKA FIRMA

PO PRZYSTĘPNEJ CENIE

EAGLE COAL CO.

WĘGIEL I OLEJ OPAŁOWY

BRACIA KOSOBUCCY Właśc.

Zamawiajcie WĘGIEL I OLEJ
U SWEGO RODAKA

3239 South 52nd Avenue

Tel. OLympic 2-0198 **Cicero, Illinois**

PO DOBRY TOWAR IDŹCIE DO

TRIKRYL'S

Składu Departamentowego

2110-14 Cermak Road

Tel.: VIrginia 7-8267

Nasze Niskie Codzienne Ceny Zaoszczędzają
Wam Pieniądze Na Wszystkim Co
Tu Kupujecie

Składajcie Nasze Znaczki

Oznaczają one te dodatkowe oszczędności na
wszystkich czynionych przez Was zakupach.



WSZYSTKO co wchodzi w zakres MUZYKI możecie nabyć i wybrać w

WIELKIM SKŁADZIE MUZYCZNYM

Słuchajcie BALKAN MUSICAL CARAVAN, każdej niedzieli o 12:30, na stacji WTAQ, 1300 Kilocykli.

BALKAN MUSIC CO.

1425 WEST 18-ta ULICA

CHICAGO, ILL.

WSZELKIEGO RODZAJU INSTRUMENTY MUZYCZNE, POLSKIE REKORDY, DOSKONAŁE RADIA I APARATY TELEWIZJI

Telefon SEeley 3-4057

Wypełniamy Recepty Sumiennie

Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA
WIECZOREK DRUG CO.
W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 Chicago, Ill.
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

POLSKA
APTEKA GŁOWACKIEGO
Z GŁOWACKI, R. Ph.
1053 Milwaukee Ave. BRunswick 6-4735
Wypełniamy Recepty Szybko dla Wysyłki do Polski

POLSKA APTEKA
J. GAPIŃSKI PHARMACY
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
814 No. Ashland Avenue
Telefon HAymarket 1-9413

KAZIMIERZ CABAŃSKI
APTEKA—PHARMACY
1147 N. ASHLAND AVE. SPaulding 2-2460
RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY
Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA
NEW CITY DRUG CO.
TEOFIL KEMPA, właściciel
5258 South Ashland Ave.
Telefon REpublic 7-3401
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

POLSKA APTEKA
WYPEŁNIAMY RECEPTY DO POLSKI
PINTA & WARZECHA
Właściciele
PRESCRIPTION LABORATORY, INC.
1640 W. 47th St. LAfayette 3-1140

POLSKA APTEKA
Jefferson Park Pharmacy
4827 Milwaukee Avenue Chicago, Ill.
DR. FRANK BRYKOWSKI
Telefon KIldare 5-6794
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

POLSKA APTEKA
KAZIMIERZ KAWECKI
Właściciel
Wypełniamy Recepty Szybko i Sumienne
i na Wysyłkę do Polski
1912 N. Damen Avenue
Tel. EVerglade 4-9834

POLSKA APTEKA
Walter A. Kramarczyk
3101 MILWAUKEE AVENUE
Telefon JUniper 8-9785
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA
MADURA PHARMACY
6001 W. Diversey Ave. BErkshire 7-5929
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

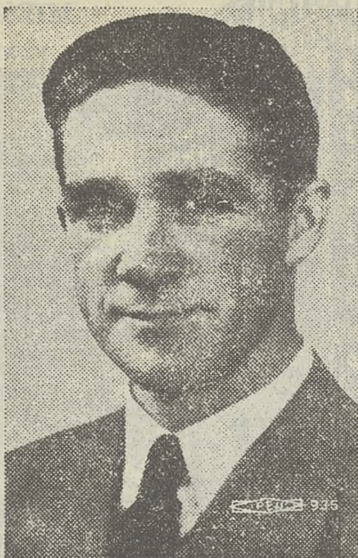
POLSKA APTEKA
R. V. KUNKA PHARMACY
WYPEŁNIAMY RECEPTY DO POLSKI
2899 So. Archer Avenue LAfayette 3-6600
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA
Superczyski Pharmacy
3156 South May Street VIrginia 7-9600
V. H. SUPERCZYŃSKI, Właściciel
Wypełniamy Recepty i na Wysyłkę do Polski



POLSKA APTEKA
Eugene Prescription Pharmacy
PRESCRIPTION CHEMIST
E. S. KWAŚNIEWSKI, R. Ph.
Właściciel
1620 W. 18-ta Ulica Tel. CAnal 6-9846
Jedyna Polska Apteka Na Wojciechowie





Serdeczne

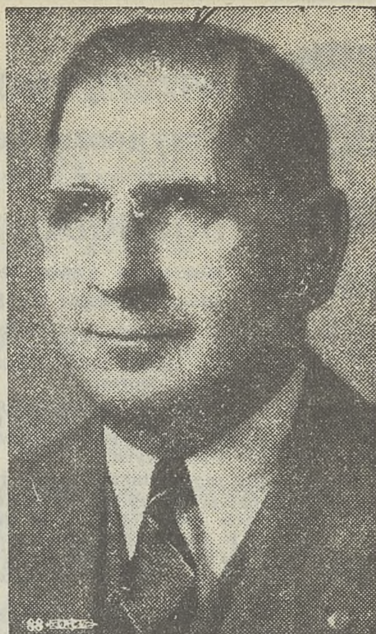
Życzenia

w Roku 1953

Dla Całej

Polonii

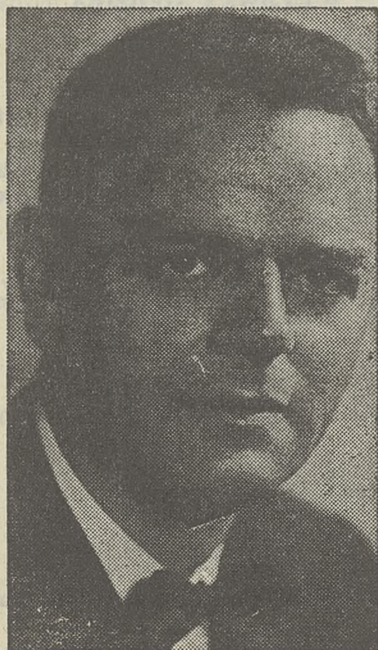
Składają



T. P. SHEEHAN
Member of Congress
11th Congressional District
Chicago, Illinois

MICHAEL J. RUDNIK
Vice-President—Trustee
Sanitary District of Chicago
(Członek Związku Nar. Polskiego)

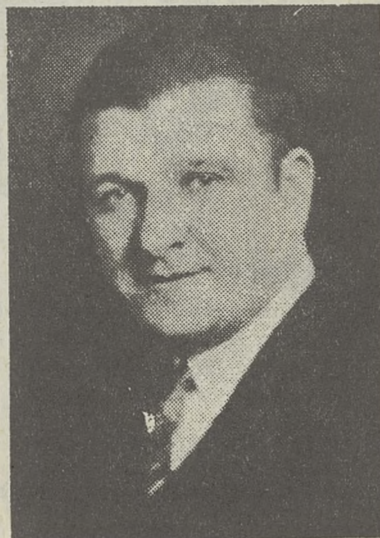
SERDECZNE ŻYCZENIA
CAŁEJ POLONII 1953



JOHN E. BABB
Sheriff of Cook County

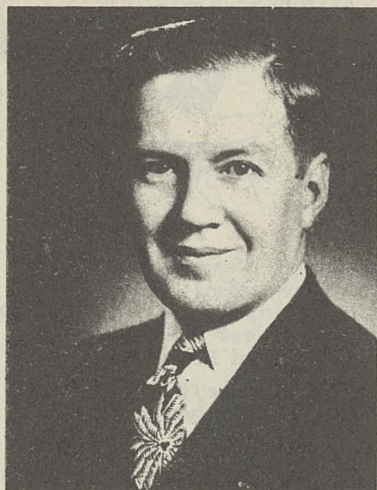
POMYŚLNOŚCI W 1953

ZASYŁA



Jan A. Stanek

Prezes Macierzy Polskiej w Ameryce
i Skarbnik Kongresu Polonii Amerykańskiej



Serdeczne Życzenia
Dla Całej Polonii
w 1953 Roku

SKŁADA

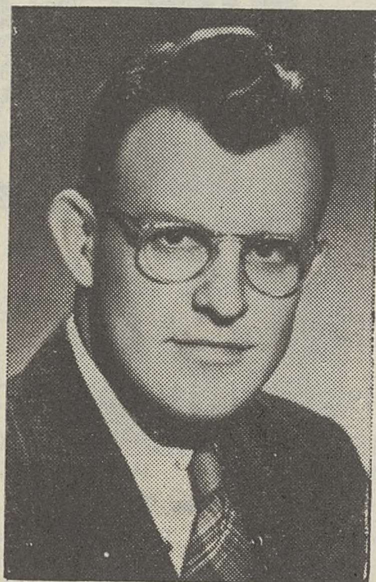
EDWARD
J. BARRETT

Secretary of State

ILLINOIS

Kandydat Na Ponowny Wybór

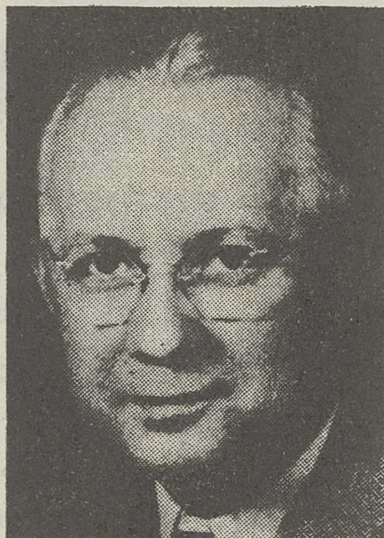
Serdeczne Życzenia Wszystkim Braciom i Siostrom Związkowym oraz Całej Polonii



Władysław Paściak

Dyrektor Związku Narodowego Polskiego,
Prezes Gminy 39-tej Z. N. P.
Prezes White Eagle Savings Loan Ass'n,
Prezes Tow. Młody Las, Grupa 2891 Z. N. P.

SERDECZNE ŻYCZENIA
W ROKU 1953 CAŁEJ POLONII



Tomasz E. Kluczyński

SĘDZIA WYŻSZEGO SĄDU
Powiatu Cook
Oraz Szef Sądu Kryminalnego
CHICAGO
(Członek Grupy 183 Z. N. P.)

Serdeczne Życzenia

Całej Polonii

w Stanach Zjednoczonych

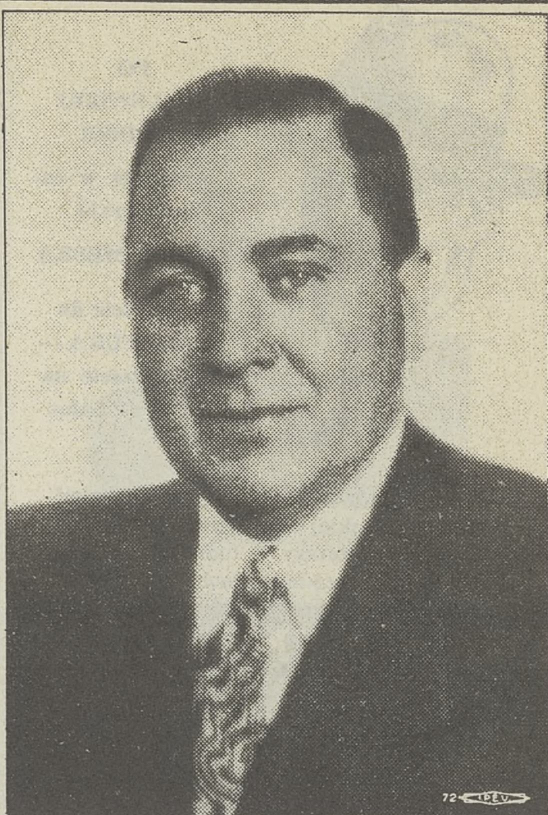
składa

RICHARD J. DALEY

County Clerk Sądu Powiatowego

Cook County, Illinois

Chicago, Ill.





Thaddeus V. Adesko

Sędzia Sądu Municypalnego w Chicago

Przewodniczący Sejmu XXX i XXXI Z. N. P.
Członek Grupy 77 Z. N. P.



EDWARD P. LUCZAK

SĘDZIA SĄDU MIEJSKIEGO

W roku 1923 otrzymał stopień Bakałarza Praw na Uniwersytecie De Paul. Członek Zw. Narodowego Polskiego, Zjed. Pol. Rzym.-Kat. oraz Chicagoskiej Izby Adwokackiej



PO NAJLEPSZEJ JAKOŚCI

i ogłaszaną w całym kraju

ODZIEŻ MĘSKĄ

Przyjdźcie do Składu FUKA — gdy jesteście na Town of Lake.

Jedyny będący własnością Polaka skład galanterii męskiej na "Town of Lake," prowadzący interesy z ludnością polską w Chicago i przedmieściach.

FUKA MENS WEAR

4729 S. ASHLAND AVENUE

NEIGHBORHOOD BORN OWNED MANAGED

STETSON HATS • MALLORY HATS



POLSKA PRALNIA

Alba Laundry

DRY CLEANING

738-40 No. Elizabeth

Telefon MOnroe 6-5071-2

Najnowsza Pralnia — Najnowsze Maszyny
Fachowi Pracownicy
Bielizna Bielutka Jak Śnieg. Grzeczna Obsługa

Właśc. Józef Kozdroń i Franciszek Kołodziej

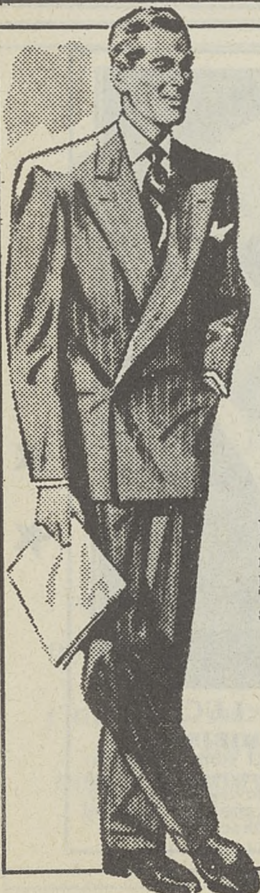


MUELLER BROS. LAUNDRY

SAVE WITH CASH AND CARRY UP TO 20 PERCENT

Bielizna Biała Jak Śnieg — Pachnąca Jak Kwiaty!

2139 S. California Ave. **Tel. BIshop 7-6277**



DOSKONALE WYKONANE I DOPASOWANE

Wszelkie Zamówienia Wykonuje

ZNANA FIRMA

NEMECEK BROS.

SKŁAD PIERWSZORZĘDNYCH UBRAŃ MĘSKICH

U nas zawsze można kupić doskonałe Ubrania, Płaszcze na wszystkie Pory Roku po Umiarkowanych Cenach. Także uszyjemy Wam doskonałe Ubrania, do Waszej figury na zamówienie.

2700 S. Drake Ave.
CHICAGO, ILL.

6908 W. Cermak Rd.
BERWYN, ILL.

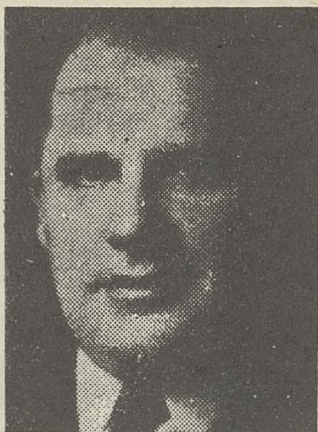
Tel. BIshop 7-8111

Już od lat słynie ze swej grzecznej i uczciwej obsługi w całym Chicago i okolicy.

MICKEYS LINEN & TOWEL CO.

4501 WEST ADDISON

Tel. KIldare 5-7211



POWODZENIA ŻYCZY

FRANK V. ZINTAK

DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN 12-EJ WARDY

Okazał się energicznym i dbałym gospodarzem, bowiem zaopiekował się sumiennie obywatelami 12-ej wardy, dbając o porządek, oraz ich dobro.

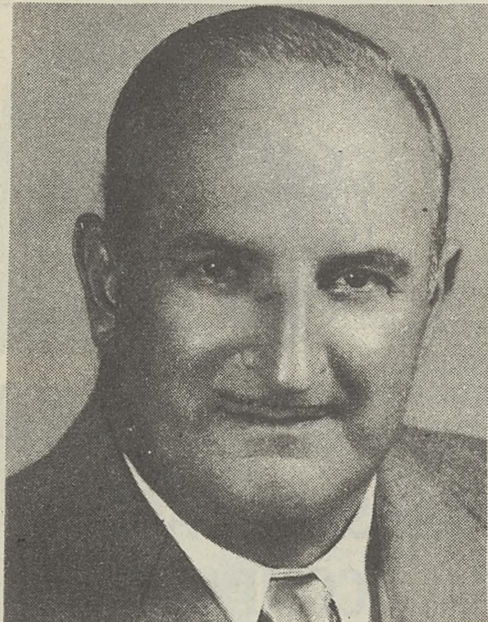


ALDERMAN

Franciszek Peska

REPUBLIKAŃSKI KOMITYMAN 35-TEJ WARDY W CHICAGO, ILLINOIS

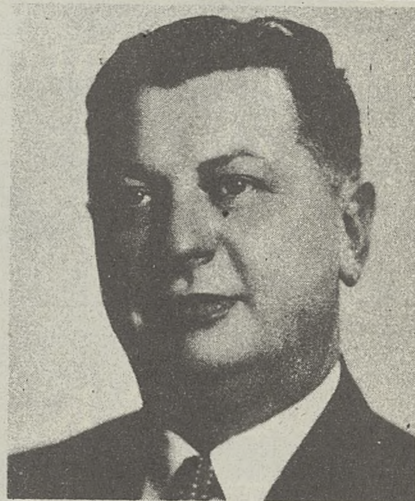
Referendariusz Sądu Okręgowego (Master in Chancery)



POWODZENIA ŻYCZY

EMIL V. PACINI

ALDERMAN 10-EJ WARDY I COMMITTEEMAN



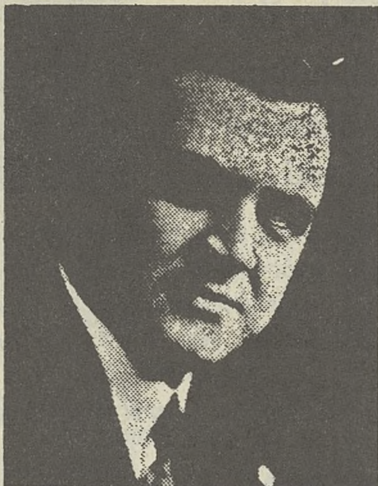
JOSEPH F. ROPA

Alderman 21-ej Wardy

i Demokratyczny Komityman 21-ej Wardy

Ald. Józef P. Rostenkowski

W 1929 ROKU BYŁ OBRANY POSŁEM DO LEGISLATURY STANOWEJ



Pierwszy raz wybrano Józefa Rostenkowskiego aldermanem 32-ej wardy w lutym roku 1931-go i urząd ten sprawuje do chwili obecnej.
Jako alderman stoi na czele komitetu licencji. Jest członkiem komitetów: transportacyjnego, finansowego, przepisów i regulaminu. Jest on także komitymanem 32-ej wardy Demokratycznej Regularnej Organizacji. Należy do wszystkich polskich organizacyj. Jest członkiem Legionu Generała Pułaskiego Post. 86 Weteranów Amer., Weteranem Legionu Armii Francuskiej 4029 Voiture 220.

Wiele powodzenia dla Związku Narodowego Polskiego oraz dalszej zbożnej pracy i rozwoju we wszelkich poczynaniach.



Dr. Franciszek A. Dulak

Sekretarz Wydziału Zdrowia Miasta Chicago
oraz
Były Lekarz Naczelny Związku Nar. Pol.



JOSEPH L. GILL

GŁÓWNY KLERK
WYŻSZEGO SĄDU



Franciszek Bobrytzke

KOMISARZ
POWIATU COOK



Wielce Popularny w Swej Walce.

o sprawiedliwość dla ludu naszego i dla dobra obywateli miasta Chicago w Radzie Miejskiej jest

REGINALD DU BOIS

Alderman
9-ej Wardy

WALTER J. LABUY

Sędzia
Sądu Federalnego

Chicago, Illinois



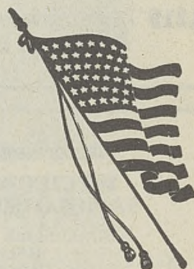
NAJLEPSZE ŻYCZENIA
OD



Ald. Clarence P. Wagner

DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN
14-EJ WARDY

Demokratyczny Kandydat
Na Ponowny Wybór Komitymana

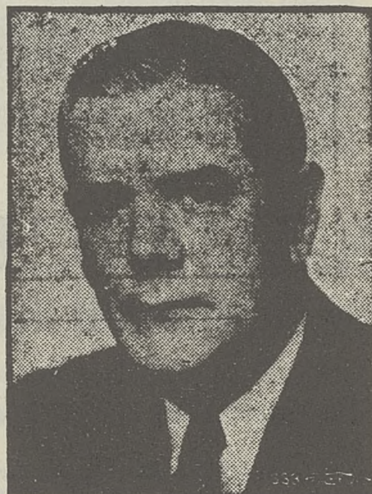




Adwokat

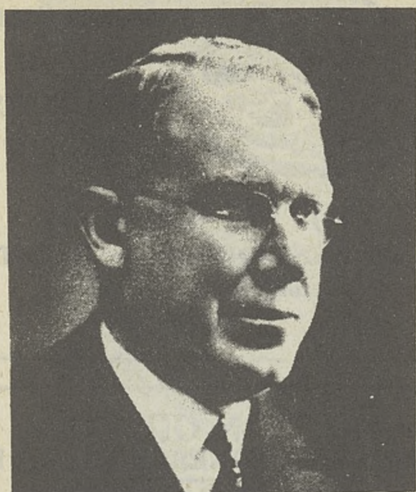
DONALD J. O'BRIEN

STATE SENATOR 4th DISTRICT
ILLINOIS



Sędzia Wyższego Sądu

James J. McDermott



CLAYTON F. SMITH

Democr. Committeeman of 33rd Ward

Member of the BOARD OF COUNTY COMMISSIONERS

Jeden z najzdolniejszych i najaktywniejszych urzędników w Powiecie Cook, który okazał się dobrym i wypróbowanym przyjacielem Polaków.

Nie szczędzi nigdy swego czasu ani pieniędzy, gdy chodzi o sprawy polskie, czy to w moralnym znaczeniu lub też o pomoc materialną.

W przeszłości swojej piastował urzędy jak: "Warden" w powiatowym szpitalu Cook, skarbnik miejski, alderman, tak samo jako "County Recorder of Deeds", a przez 12 lat był członkiem "BOARD OF COUNTY COMMISSIONERS" oraz prezesem.

BRUNO S. MINDAK

STATE CENTRAL COMMITTEEMAN

of the 8th Congressional District



B. W. LESNIAK

REALNOŚĆ, HIPOTEKI, INWESTYCJE
ASEKURACJA—NOTARIUSZKA PUBLICZNA

Biuro w Śródmieściu
188 WEST RANDOLPH STREET
Telefon CEntral 6-6152

Brighton Park:
4268 ARCHER AVENUE
Telefon LAfayette 3-5784-5785
Chicago, Illinois

NAJSTARSZA
POLSKA SPÓŁKA
PRODUKTÓW MIĘSNYCH

ZNANA POD FIRMĄ

UNITED BUTCHERS PACKING CO.



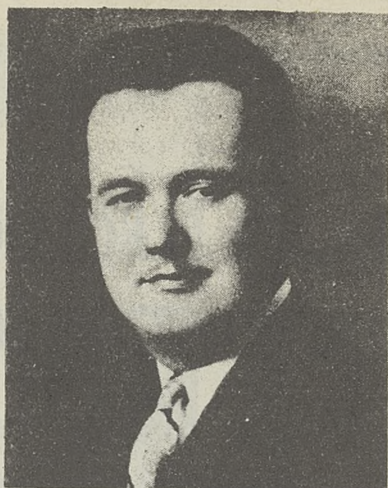
1152 FULTON STREET

Telefon: MOnroe 6-7330

Chicago 7, Illinois



Dr. Edward F. Dombrowski
Superintendent Chicago State Hospital
6500 Irving Park Road
MUlberry 5-4000
Chicago, Ill.

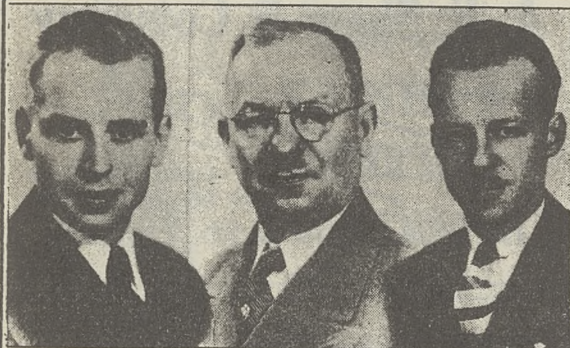


SERDECZNE ŻYCZENIA POWODZENIA W ROKU 1953 WSZYSTKIM BRACIOM I SIOSTROM ZWIĄZKOWYM ORAZ CAŁEJ POLONII

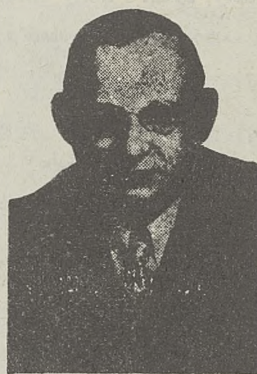
SKŁADA

Alojzy A. Mazewski
DYREKTOR
Związku Narodowego Polskiego

Dziękujemy Szanownej Polonii
Za Poparcie w Interesie, oraz Polecamy
Się Nadal Łaskawej Ich Pamięci



W. SZYJEWSKI
i SYNOWIE
WŁAŚCICIELE EUROPEJSKIEGO
SKŁADU WĘDLIN
1941 W. DIVISION STREET
Tel. ARmitage 6-2911
Chicago, Illinois



STANLEY J.
NOWAKOWSKI

Alderman 11-ej Wardy
Chicago, Ill.





Kulawy Szkot

Pewien Anglik spotkał w muzeum w Londynie Szkota, który bardzo kulał i jedną nogę prawie włóczył za sobą. Czy już długo cierpicie na nogi? — pyta Anglik.

— Ależ gdzie tam, mam zupełnie zdrowe nogi, — odpowie Szkot — tylko wetknąłem moją laskę do spodni za którą musiałbym 6 pensów zapłacić, gdybym ją dał do garderoby na przechowanie.

W szkole

W czasie pogadanki w początkowej klasie szkoły powszechnej, o środkach komunikacji — nauczycielka zapytuje ucznia Fajtłapy:

— Powiedz no Fajtłapa do czego służy pociąg? . . .

— Do wódki proszę pani.

LOOMIS
Savings & Loan Ass'n

1359 West 51st Street

Telefon YArds 7-4763 **LAfayette 3-0423**

Chicago 2, Illinois

Oszczędzajcie w Spółce LOOMIS
Która Wypłaca Wysokie Dywidendy

Dywidendy w dotychczasowej wysokości, wypłacamy co roku 1-go Kwietnia i 1-go Października

Wasze Konta Są Zabezpieczone Do Sumy $10,000.00

DAJEMY POŻYCZKI NA DOMY
NA BARDZO DOGODNYCH WARUNKACH

ANDREW KWIATKOWSKI, President
ANDREW WASYLIK, Vice-President
CHARLES MATECKI, Secretary and Manager
FELIX FRANKOWSKI, Treasurer
STANLEY ROZANSKI, Assistant Secretary
WILLIAM PAWLOWSKI, Director
THEODORE CISZEWSKI, Director

ESTELLE OPAS, Insurance Department

CLERKS
ADELINE MATECKI, EUGENIA GAJDUK, MARILYN PALKA, MARIE PALINSKI



LOOMIS

SAVINGS AND LOAN
ASSOCIATION

